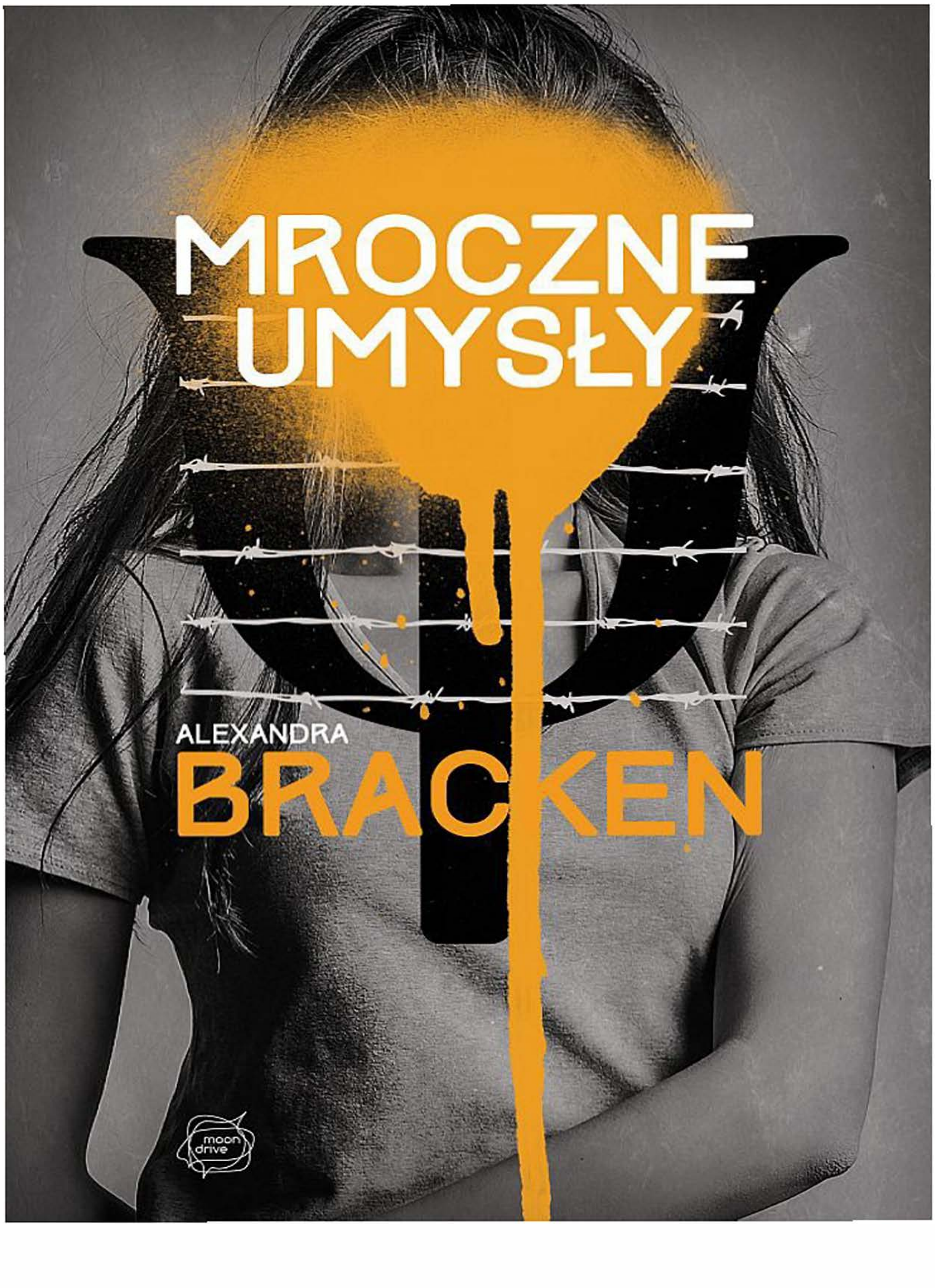

MROCZNE
UMYSŁY
ALEXANDRA
BRACKEN
moon drive

ALEXANDRA
BRACKEN

MROCZNE UMYSŁY

TŁUMACZENIE
MARIA BORZOBOHATA-SAWICKA

WYDAWNICTWO
otwarte
KRAKÓW 2014

Tytuł oryginału: *The Darkest Minds*

Opieka redakcyjna: Eliza Kasprzak-Kozikowska, Anna Małocha

Korekta: Magdalena Hutny / d2d.pl,
Anna Woś / d2d.pl

Projekt okładki: Weronika Raj

Fotografia na okładce: © InnervisionArt / Shutterstock.com

Promocja książki: Monika Frankiewicz

ISBN 978-83-7515-839-7

WYDAWNICTWO
otwarte
www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków, tel. (12) 61 99 569
Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

---

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com

PROLOG

Kiedy wyrywałyśmy chwasty w ogrodzie, powietrze wypełniło się nagle Białym Szumem.

Zawsze źle go znosiłam - niezależnie od tego, czy przebywałam na zewnątrz, w Stołówce czy w zamkniętym Baraku. Kiedy się rozlegał, świdrujące dźwięki rozsadzały mi skronie z siłą bomby wodorowej. Inne dziewczęta z Thurmond już po kilku minutach wracały do siebie, pozbywając się oszołomienia i mdłości tak, jak strząsa się zabłąkane źdźbła trawy przyklejone do ubrania. Ale ja? Zanim udawało mi się jakoś pozbierać, mijało zazwyczaj kilka godzin.

Tym razem powinno być tak samo.

Ale nie było.

Nie wiedziałam, za co spotkała nas ta kara. Ogrodzenie otaczające obóz było pod napięciem. Znajdowałyśmy się tak blisko, że w powietrzu wyczuwałam zapach spalenizny, a w ustach lekkie drgania emitowanego przez siatkę prądu. Być może ktoś zebrał się na odwagę i opuścił teren Ogrodu... A może postanowił ziścić nasze marzenia i rzucił kamieniem w głowę stojącego nieopodal żołnierza Sił Specjalnych Psi... To wynagrodziłoby nam cierpienie.

Pamiętałam tylko, że przez znajdujące się nad nami megafony ryknęły dwa sygnały ostrzegawcze: krótki i długi. Kiedy przylgnęłam do wilgotnej ziemi, z całej siły przyciskając dłonie do uszu, poczułam dreszcz na karku. W napięciu czekałam na cios.

Ryk głośników nie przypominał typowego Białego Szumu - tego dziwnego brzęczenia, które wypełnia powietrze, gdy człowiek siedzi w zupełnej ciszy, ani delikatnego buczenia emitowanego przez ekran komputera. Rząd Stanów Zjednoczonych oraz Departament do spraw Młodzieży ze Zdolnościami Psionicznymi opracowały dźwięk będący połączeniem alarmu samochodowego i wiertła dentystycznego, a następnie wzmocniły go tak, by pękały od niego bębenki.

I to dosłownie.

Dźwięk huknął z głośników, rozrywając na strzępy każdy nerw w moim ciele i - zagłuszając krzyki setek nastoletnich odmieńców - przedarł się przez moje dłonie, po czym wcisnął do mózgu, skąd nie mogłam go już wyrzucić.

Oczy zaszkliły mi się od łez. Wcisnęłam twarz w ziemię - na języku czułam jedynie posmak krwi i gleby. Obok mnie upadła dziewczyna. Jej usta wykrzywione były w niemym krzyku. Wszystko wokół straciło nagle ostrość.

Wydobywający się z głośników dźwięk sprawił, że całe moje ciało skręcało się w spazmach. Zwijałam się w konwulsjach niczym stary pożółkły kawałek papieru. Ktoś mną potrząsał. Słyszałam, jak wypowiada moje imię - Ruby - ale byłam zbyt daleko, żeby odpowiedzieć. Opadałam coraz głębiej tam, gdzie nie było już niczego, jakby pochłonęła mnie ziemia. Potem ogarnęła mnie ciemność.

I cisza.

1

Pierwsza umarła Grace Somerńeld.

A przynajmniej pierwsza w mojej klasie. Jestem pewna, że już wcześniej tysiące, może nawet setki tysięcy dzieci odeszły w ten sam sposób. Minęło sporo czasu, zanim połączono ze sobą te wydarzenia... A może po prostu rząd ukrywał przed nami prawdę na długo po tym, jak dzieci zaczęły umierać.

Kiedy ich śmierć wyszła w końcu na jaw, dyrekcja mojej podstawówki stanowczo zakazała nauczycielom i pracownikom szkoły rozmawiać z nami o tym, co określano wówczas chorobą Everharta, nazwaną tak na pamiątkę Michaela Everharta - pierwszego nastolatka, który na nią zmarł. Wkrótce jednak nadano jej właściwą nazwę: ostra młodzieńcza neurodegeneracja idiopatyczna - w skrócie OMNI. Wówczas nie była to już jedynie choroba Michaela. Dotyczyła każdego z nas.

Wszyscy dorośli, których znałam, przytulali nas tylko, skrywając prawdę za fasadą uśmiechu. Wciąż znajdowałam się w swoim małym słonecznym świecie pełnym kucyków i kolorowych zabawek. Kiedy patrzę wstecz, nie mogę uwierzyć w swoją naiwność - przegapiłam tyle tropów! Umknęły mi nawet tak wyraźne sygnały, jak to, że mój tata, policjant, zaczął brać nadgodziny, a gdy w końcu wracał do domu, unikał mnie jak ognia. Mama zaczęła mi podawać najróżniejsze witaminy i nawet przez chwilę nie pozwalała mi zostać samej.

Z drugiej strony i mama, i tata byli jedynakami, więc nie miałam nawet kuzynów, których śmierć mogłaby być dla mnie ostrzeżeniem. Co więcej, mama nie pozwoliła tacie na kupno „tej wysysającej duszę wylęgarni szmiry i bezmyślnej rozrywki”, zwanej też telewizorem, więc mojego małego świata nie burzyły żadne przerażające doniesienia. To wszystko, w połączeniu z kontrolą rodzicielską nałożoną na internet - tak rygorystyczną, że nie powstydziłaby się jej CIA - sprawiło, że bardziej niż ryzyko śmierci przed ukończeniem dziesiątego roku życia zajmowało mnie ułożenie pluszaków na łóżku.

Nie byłam przygotowana na to, co nastąpiło piętnastego września.

Poprzedniej nocy padał deszcz, więc rodzice wysłali mnie do szkoły w czerwonych kaloszach. Na lekcji uczyliśmy się o dinozaurach i ćwiczyliśmy kaligrafię, po czym pani - Port z właściwym sobie wyrazem ulgi na twarzy wypuściła nas na przerwę obiadową.

Wyraźnie pamiętam każdy szczegół tamtego posiłku - nie dlatego, że siedziałam naprzeciwko Grace, ale dlatego, że była pierwsza i że w ogóle nie powinno się to było wydarzyć. Nie była przecież stara jak mój dziadek. Nie miała też raka jak koleżanka mojej

mamy Sara. Żadnych alergii, kaszlu, urazów głowy - nic. Umarła zupełnie niespodziewanie i zanim zrozumieliśmy, co się stało, było już za późno.

Grace próbowała właśnie ustalić, czy w jej galaretce utopiła się mucha. Czerwona masa dygotała i niemal wypadła z kubeczka, kiedy nieco za mocno go ścisnęła. Naturalnie wszyscy chcieli wypowiedzieć się na temat tego, czy w kubeczku znajduje się mucha, czy raczej wepchnięty tam przez Grace kawałek cukierka. Ja także.

- Nie kłamię - powiedziała Grace. - Ja tylko...

Zamilkła. Plastikowy pojemnik wyślizgnął jej się z palców i uderzył o stół. Jej usta były rozchylone, a wzrok wbity w punkt znajdujący się gdzieś za moimi plecami. Zmarszczyła czoło, jakby ktoś tłumaczył jej właśnie jakieś skomplikowane zagadnienie.

- Grace? - zapytałam. - Wszystko w porządku?

Jej oczy błysnęły białkami i uciekły do tyłu. Grace westchnęła lekko - tak delikatnie, że nie zdołała nawet zdmuchnąć kilku brązowych kosmyków, które przykleiły jej się do ust.

Zamarliśmy, chociaż przecież wszyscy musieliśmy myśleć to samo - Grace zemdlała, tak jak Josh Preston, który tydzień czy dwa tygodnie wcześniej stracił przytomność na boisku, ponieważ - jak wyjaśniła nam pani Port - spadł mu poziom cukru czy stało się coś równie nonsensownego.

Do naszego stolika podbiegła jedna z czterech starszych pań, które w białym daszku i z gwizdkiem na szyi w czasie przerwy obiadowej patrolowały stołówkę i szkolne boisko. Nie wiem, czy poza mglistym pojęciem na temat reanimacji miała jakiekolwiek uprawnienia medyczne, jednak natychmiast ściągnęła bezwładne ciało Grace na ziemię.

Wokół niej zgromadził się tłum gapiów. Przycisnęła ucho do jaskraworóżowej koszulki Grace, nasłuchując bicia jej serca, ale ono już ustało. Nie wiem, co nią kierowało, ale kobieta zaczęła nagle krzyczeć. Wkrótce otoczyły nas białe daszki i zaciekawione twarze. Dopiero kiedy Ben Cho trącił nieruchomą rękę dziewczynki czubkiem buta, zrozumieliśmy, że Grace nie żyje.

Dzieciaki krzyczały. Jedna z dziewczynek, Tess, zaniosła się takim płaczem, że nie mogła złapać tchu. Wszystkie małe stopy rzuciły się w stronę wyjścia.

Siedziałam nieruchoma i otoczona przez tacki z niedojedzonym obiadem, wpatrując się w kubeczek galaretki. Ogarniało mnie przerażenie. Po chwili czułam się tak, jakby moje ręce i nogi na stałe przyrosły do stolika. Nie wiem, jak długo bym tam siedziała, gdyby szkolny ochroniarz nie wyniósł mnie ze stołówki.

Grace nie żyje, myślałam tylko. Grace nie żyje? Nie żyje.

A to był dopiero początek.

Miesiąc później Centrum do spraw Zapobiegania i Kontroli Chorób opublikowało listę pięciu symptomów OMNI, która miała pomóc rodzicom stwierdzić, czy ich dziecko zagrożone jest chorobą. Wtedy nie żyła już połowa mojej klasy.

Chociaż mama dobrze ukryła ulotkę, znalazłam ją przez przypadek, kiedy wspięłam się na blat w poszukiwaniu czekolady, schowanej przez mamę między produktami do pieczenia.

„Jak rozpoznać, czy Twoje dziecko znajduje się w grupie ryzyka?", głosiła broszurka. Już kiedyś widziałam tę ogniście pomarańczową kartkę, na której była wydrukowana - kilka dni wcześniej pani Port wręczyła ją resztce swoich uczniów. Oczywiście najpierw złożyła ją na cztery części i spięła trzema zszywkami, tak abyśmy nie mieli dostępu do jej zawartości. Na wierzchu widniał trzykrotnie podkreślony napis: do rąk własnych rodziców ruby. Trzykrotne podkreślenie to nie przelewki. Gdybym otworzyła broszurkę, rodzice z pewnością daliby mi szlaban.

Szczęście mi jednak sprzyjało - papier był już rozerwany.

1. Twoje dziecko z dnia na dzień staje się posępne, wycofane i/lub traci zainteresowanie ulubionymi zajęciami.

2. Zaczyna mieć trudności w koncentracji lub nadmiernie skupia się na poszczególnych czynnościach, przez co traci poczucie czasu i/lub zaniedbuje siebie i innych.

3. Ma halucynacje, nudności, przewlekłe migreny, problemy z pamięcią i/lub zaburzenia przytomności.

4. Twojemu dziecku coraz częściej zdarzają się ataki agresji, gwałtowne zachowanie lub akty samookaleczania (na jego ciele pojawiają się oparzenia, siniaki i rany cięte niewiadomego pochodzenia).

5. Zachowanie lub umiejętności Twojego dziecka są niezrozumiałe, niebezpieczne i narażają Ciebie oraz innych na fizyczne niebezpieczeństwo.

JEŚLI ZAUWAŻYSZ U SWOJEGO DZIECKA KTÓRYKOLWIEK Z POWYŻSZYCH SYMPTOMÓW, ZAREJESTRUJ JE NA STRONIE OMNI.GOV. WKRÓTCE OTRZYMASZ INFORMACJĘ DOTYCZĄCĄ SZPITALA, DO KTÓREGO NALEŻY ODWIEŹĆ DZIECKO.

Skończyłam czytać ulotkę, zagięłam kartkę i odłożyłam tam, gdzie ją znalazłam. Potem zwymiotowałam do zlewu.

Pod koniec tygodnia zadzwoniła do mnie babcia, która - jak to ona - wyjaśniła mi wszystko bez owijania w bawełnę. Moi rówieśnicy umierali na lewo i prawo, ale lekarze już się tą sprawą zajęli. Babcia kazała mi się nie martwić. Powiedziała, że w końcu jestem jej

wnuczką i że wszystko będzie dobrze. Musiałam jej obiecać, że będę grzeczna, a jeśli poczuję się dziwnie, natychmiast powiem o tym rodzicom.

Sytuacja ze złej bardzo szybko zmieniła się w koszmarną. Tydzień po pogrzebie kolejnej czwórki dzieci z sąsiedztwa prezydent wystąpił z odezwą do narodu. Rodzice oglądali transmisję na żywo na komputerze, a ja podsłuchiwałam pod drzwiami.

- Rodacy! - zaczął prezydent Gray. - Stoimy w obliczu poważnego kryzysu. Kryzysu, który zagraża nie tylko życiu naszych dzieci, ale i przyszłości naszego wielkiego narodu. Niech pocieszeniem będzie dla was fakt, że w tym trudnym czasie nasz sztab w Waszyngtonie opracowuje programy, których zadaniem jest wsparcie zarówno rodzin dotkniętych tą straszliwą tragedią, jak i dzieci, którym udało się przetrwać.

Bardzo chciałam zobaczyć twarz przemawiającego prezydenta, ponieważ wydaje mi się, że wiedział - musiał wiedzieć! - iż groźba, o której mówił, ta przeszkoda na drodze do wspaniałej przyszłości nie miała nic wspólnego ze zmarłymi dziećmi. Przykryte ziemią czy spalone na proch istniały już tylko we wspomnieniach ludzi, którzy je kochali. One odeszły na zawsze.

A ta dokładnie złożona karteczka z listą objawów, z którą nauczyciele wysyłali nas do domów - listą, którą wielokrotnie odczytywano w czasie serwisów informacyjnych, podczas gdy na pasku u dołu ekranu przewijały się zdjęcia zmarłych dzieci? Nie, oni nie lękali się o dzieci, które mogły umrzeć. Nie martwili się pustką, którą miały po sobie pozostawić.

Oni bali się nas - tych, którzy przeżyli.

2

W dniu, w którym przywieźli nas do Thurmond, padał deszcz. Padało także przez cały następny tydzień, a potem jeszcze kolejny. Był to ten rodzaj lodowatego deszczu, który gdyby temperatura spadła o pięć stopni, natychmiast zamieniłby się w śnieg. Obserwowałam, jak krople wody wijącymi się strużkami spływają po szybie autobusu. Gdybym siedziała teraz w samochodzie rodziców, śledziłabym ich kręty tor, błądząc koniuszkiem palca po chłodnej szybie. Teraz jednak ręce miałam związane na plecach, a mężczyźni w czarnych mundurach upchnęli czworo z nas na jednym siedzeniu. Nie było tu nawet miejsca, żeby wziąć głębszy oddech.

Ciepło wydzielane przez ponad sto ciał sprawiło, że szyby autobusu zaszły mgłą i zamieniły się w parawan, który odizolował nas od świata. Później szyby jasnożółtych autobusów, którymi zwożono dzieci, zamalowano czarną farbą. Na razie jednak nikt jeszcze na to nie wpadł.

W trakcie tej pięciogodzinnej jazdy siedziałam najbliżej okna, więc kiedy tylko deszcz na chwilę się uspokajał, dostrzegałam skrawki mijanego krajobrazu. Wszystko wydawało mi się takie samo - zielone farmy, niekończące się połacie drzew. Miałam wrażenie, że wciąż jesteśmy w Wirginii. Siedząca obok mnie dziewczyna, którą później zaklasyfikowano jako Niebieską, w pewnej chwili musiała rozpoznać mijany znak, ponieważ nachyliła się do mnie, żeby się mu lepiej przyjrzeć. Wydawało mi się, że skądś ją znam... Może mieszkała w moim mieście, a może pochodziła z sąsiedniej miejscowości. Prawdopodobnie wszystkie dzieci wokół mnie pochodziły z Wirginii, ale mogłam się tego jedynie domyślać, ponieważ w autobusie obowiązywała tylko jedna zasada - zachowanie bezwzględnej ciszy.

Poprzedniego dnia zabrano mnie z domu i wraz z innymi dziećmi na całą noc umieszczono w jakimś magazynie. Pomieszczenie, w którym nas trzymano, zalane było dziwną jasnością. Posadzono nas w grupce na brudnej betonowej podłodze i skierowano na nas jaskrawe światło trzech reflektorów. Nie pozwolono nam spać. Oczy tak mocno łzawiły mi od kurzu, że nie widziałam spoconych, bladych twarzy otaczających mnie dzieci, nie mówiąc już o pilnujących nas żołnierzach, którzy znajdowali się poza kręgiem światła. Ogarnęło mnie dziwne wrażenie, że przestali oni tworzyć całość - zbiór mężczyzn i kobiet. W szarej poświacie półsnu dostrzegałam jedynie drobne, przerażające elementy: cuchnącą benzyną pastę do butów, skrzypienie sztywnej skóry, grymas obrzydzenia na ich twarzach, czubek buta, który wbijał mi się w ciało, żeby nie pozwolić mi zasnąć...

Następnego ranka w autobusie panowała zupełna cisza, nie licząc trzasku

krótkofalówek i płaczu dzieci siedzących w tylnej części pojazdu. Chłopiec, który znajdował się na drugim końcu naszego siedzenia, zmoczył spodnie, ale nie zamierzał mówić o tym stojącej tuż obok niego rudowłosej funkcjonariuszce SSP, Sił Specjalnych Psi - kiedy wcześniej poskarżył się jej, że cały dzień nic nie jadł, uderzyła go w twarz.

Wcisnęłam bose stopy w podłogę, tak by nie poruszać nogami. Głód sprawił, że było mi słabo, a nawracające zawroty głowy wygrywały nawet z obezwładniającym, kłującym strachem. Nie mogłam się skupić i trudno mi było siedzieć nieruchomo. Miałam wrażenie, że się kurczę. Wydawało mi się, że zapadam się w fotel i powoli znikam. Zaczęłam tracić czucie w unieruchomionych wciąż w tej samej pozycji dłoniach. Kiedy próbowałam rozciągnąć plastikową opaskę, którą zaciśnięto nam ręce, jeszcze mocniej werżnęła się ona w delikatną skórę nadgarstków.

- Siły Specjalne Psi - tak właśnie siebie i żołnierzy, którzy zabrali nas z magazynu, określił kierowca autobusu. - Zabieramy was zgodnie z rozkazem dowódcy Sił Specjalnych Psi Josepha Traylora - powiedział, a na dowód tego w wyciągniętej dłoni trzymał jakiś dokument, więc chyba mówił prawdę. Ja i tak byłam nauczona, że z dorosłymi się nie dyskutuje.

Autobus zjechał z wąskiej szosy i wtoczył się na mniejszą drogę gruntową. Nowe wstrząsy obudziły tych, którym jakoś udało się zasnąć. Ludzie w czarnych mundurach także się ożywili. Kobiety i mężczyźni wyprostowali się i zaczęli wypatrywać czegoś przez przednią szybę.

Najpierw dostrzegłam potężne ogrodzenie. Ciemniejące popielate niebo zalewało wszystko wokoło ponurym granatem - jedynie siatka ogrodzenia srebrzyła się w ciemności, a wiatr wpadał w jego otwarte bramy. Spojrzałam w bok przez szybę i tuż pod nią zauważyłam kilkadziesiąt kobiet i mężczyzn, którzy biegnąc, eskortowali nasz autobus. Kiedy mijaliśmy budkę kontrolną przy bramie, znajdujący się w niej żołnierze SSP wstali i zasalutowali kierowcy autobusu.

Szarpnęło i pojazd nagle się zatrzymał. Nie wolno nam było się poruszyć. Za plecami słyszeliśmy jedynie łoskot zasuwanej bramy obozu. Dźwięk zatrzaskiwanych zamków przeciął ciszę jak grzmot. Nie przybyliśmy tu pierwszym autobusem - ten przyjechał rok wcześniej, kiedy stworzono obóz. Nie byliśmy też ostatni. Pojazdy zjeżdżały tu regularnie przez następne trzy lata, aż obóz całkiem się zapełnił.

W autobusie panowały zupełna cisza i bezruch. W końcu do drzwi zastukał żołnierz w czarnej pelerynie przeciwdeszczowej. Kierowca wyciągnął rękę i otworzył drzwi, jednocześnie miażdżąc nasze nadzieje na to, że jest to tylko chwilowy postój.

Do środka wszedł ogromny mężczyzna, który bez problemu mógłby się wcielić w rolę olbrzyma albo czarnego charakteru w bajce. Żołnierz przez cały czas miał na głowie kaptur, który zasłaniał mu twarz, włosy i wszystko to, dzięki czemu mogłabym go później rozpoznać. Tak czy owak, nie miało to chyba znaczenia. Mężczyzna nie przemawiał w swoim imieniu, tylko w imieniu całego obozu.

- Za chwilę wstaniecie i jedno za drugim opuścicie autobus! - wrzasnął. Kierowca chciał mu podać mikrofon, ale żołnierz odsunął go ręką. - Zostaniecie podzieleni na dziesięcioosobowe grupy i zaprowadzeni na badania. Nie próbujcie uciekać. Nie odzywajcie się. Róbcie tylko to, co wam rozkażemy. Jeśli nie podporządkujecie się tym wymogom, zostaniecie ukarani.

Miałam dziesięć lat i byłam jednym z najmłodszych dzieci w autobusie, chociaż było też kilkoro młodszych ode mnie. Większość miała dwanaście, może nawet trzynaście lat. Nienawiść i nieufność, które czaiły się w oczach żołnierzy, napawały mnie lękiem, ale u starszych dzieci wywoływały bunt.

- Walcie się! - zawołał ktoś w tylnej części autobusu.

Odwróciliśmy się akurat w momencie, kiedy rudowłosa funkcjonariuszka SSP wepchnęła jednemu z nastolatków kolbę karabinu do ust. Chłopiec krzyknął z bólu i zaskoczenia, a kobieta powtórzyła ruch jeszcze kilkakrotnie. Kiedy wściekłemu chłopcu udało się w końcu złapać oddech, z jego ust trysnęła strużka krwi. Ręce miał związane za plecami, więc nie zdołał obronić się przed ciosem. Musiał go po prostu przyjąć.

Żołnierze zaczęli wyprowadzać dzieci czwórkami, ja jednak wciąż wpatrywałam się w pobitego chłopaka. Miałam wrażenie, że emanuje od niego milcząca, toksyczna wściekłość. Nie wiem, czy zauważył, że na niego patrzę, ale po chwili odwrócił się, spojrzał mi prosto w oczy i skinął głową, jak gdyby chciał mnie ośmielić. Uśmiechnął się do mnie, odsłaniając zakrwawione zęby. Nagle poczułam, jak ktoś siłą podnosi mnie z siedzenia. Zanim się spostrzegłam, ześlizgnęłam się po schodkach autobusu i zalał mnie ulewny deszcz. Kolejny żołnierz SSP podniósł mnie z kolan i wskazał, żebym dołączyła do dwóch dziewcząt w moim wieku. Przemoczone, niemal przezroczyste ubrania przykleiły się do ich ciał niczym stara skóra.

Na placu około dwudziestu żołnierzy SSP ustawiało dzieci w równe rzędy. Stopy grzęzły mi w błocie. Miałam na sobie tylko piżamę i drżałam z zimna, ale nikt tego nie zauważył, nikt też nie podszedł, aby uwolnić nasze ręce z plastikowych opasek. Czekaliśmy w milczeniu, zaciskając zęby. Spojrzałam w chmury, wystawiając twarz na deszcz. Miałam wrażenie, że to niebo spada na ziemię - kawałek po kawałku.

Ostatnie grupki dzieci zostały wyciągnięte z autobusu i rzucone na ziemię. Wśród nich znalazł się także chłopak z poranioną twarzą. Był ostatnim pasażerem, tuż za wysoką blondynką o pustym spojrzeniu. Chociaż zasłona z deszczu i zamglone szyby autobusu utrudniały widoczność, jestem pewna, że chłopak nachylił się do blondynki i szepnął jej coś do ucha w momencie, kiedy wysiadała. Odpowiedziała szybkim skinięciem głowy. Kiedy tylko jej stopy dotknęły ziemi, rzuciła się na prawo, wymykając się stojącemu nieopodal żołnierzowi. Inny funkcjonariusz SSP wrzasnął: „Stój!", ale dziewczyna biegła dalej, prosto do bramy. Wszyscy zgromadzeni obserwowali uciekinierkę i nikt nie zwracał uwagi na nastolatka, który wciąż znajdował się w autobusie - nikt prócz mnie. Chłopak ześlizgnął się po schodkach pojazdu. Przód jego białej bluzy z kapturem poplamiony był krwią. Ta sama strażniczka, która go uderzyła, pomagała mu teraz zeskoczyć na ziemię. Widziałam, jak palce kobiety zaciskają się na jego łokciu, i moja posiniaczona skóra przypomniała sobie jej dotyk. Widziałam, jak chłopak odwraca się i coś do niej mówi. Na jego twarzy malował się niczym niezmącony spokój.

Strażniczka puściła ramię nastolatka, wyjęła pistolet z kabury, po czym bez słowa - nie mrugnąwszy nawet okiem - wsadziła sobie lufę do ust i pociągnęła za cyngiel.

Nie wiem, czy to ja krzyknęłam, czy zduszony szloch wydarł się z ust kobiety, która zbyt późno zdała sobie sprawę z tego, co robi. Obraz jej twarzy - opadnięta żuchwa, wybałuszone oczy, zmarszczki na nagle obwisłej skórze - wyrył się w powietrzu jak negatyw i pozostawał tam dłużej niż rozbryzg różowego obłoku krwi i kępki włosów na karoserii autobusu.

Stojąca obok mnie dziewczynka zemdlała, a po chwili wszyscy zaczęliśmy krzyczeć.

Strażniczka runęła na ziemię dokładnie w tym momencie, gdy żołnierze pochwycili nastolatkę i cisnęli ją w błoto. Strugi deszczu spłukiwały krew kobiety z szyb i żółtej karoserii autobusu, rozmywając ciemne plamy tak, że po chwili nie było już po nich śladu. Wszystko wydarzyło się błyskawicznie.

Chłopiec patrzył tylko na nas.

- Uciekajcie! - krzyknął przez połamane zęby. - Na co czekacie? Uciekajcie!

Nie pomyślałam wtedy: Kim ty jesteś?, Dlaczego?, ale: Przecież nie mam dokąd pójść.

Sądząc po panice, która wybuchła, nastolatek równie dobrze mógłby wysadzić w powietrze cały autobus. Niektóre dzieci posłuchały go i rzuciły się w stronę ogrodzenia, ale na ich drodze wyrośli nagle żołnierze w czarnych mundurach. Większość dzieci jednak stała w miejscu i krzyczała - krzyczała bez końca. Wokół nich spływały potoki deszczu, a ich stopy

uwięzione były w grząskim błocie. Jakaś dziewczyna popchnęła mnie na ziemię, kiedy żołnierze SSP rzucili się w stronę stojącego w drzwiach autobusu chłopca. Inni strażnicy krzyczeli, żebyśmy usiedli na ziemi i nie ważyli się nawet ruszyć. Posłuchałam.

Jeden z nich wrzasnął do krótkofalówki:

- Pomarańczowy! Potrzebujemy wsparcia przy bramie głównej. Przynieście pasy bezpieczeństwa dla Pomarańczowego...

Odważyłam się podnieść oczy dopiero wówczas, gdy żołnierze kazali nam wstać z ziemi. Chłopiec z zakrwawioną twarzą leżał w błocie. Ogarnęło mnie przerażenie. Zaczęłam się zastanawiać, czy pośród nas są inne dzieci, które potrafią doprowadzić do tego, by ktoś zrobił sobie krzywdę. I czy to dlatego nas tu przywieziono.

Nie ja... kołatało mi się w głowie. Nie ja... Popełnili błąd. To nieporozumienie...

Z rosnącym poczuciem pustki patrzyłam, jak jeden z mężczyzn bierze puszkę farby w sprayu i na plecach chłopca maluje ogromne pomarańczowe X. Nastolatek przestał krzyczeć tylko dlatego, że dwaj żołnierze SSP naciągnęli mu na twarz dziwną czarną maskę, która do złudzenia przypominała kaganiec.

Napięcie pokryło moją skórę jak krople potu. Żołnierze przeprowadzili nas przez obóz w stronę Infirmerii, gdzie mieliśmy zostać poddani selekcji. Widzieliśmy dzieci, które zmierzały w przeciwną stronę, oddalając się od ponurych drewnianych Baraków. Wszystkie miały na sobie białe kombinezony, a na plecach kolorowy znak X, któremu towarzyszył wymalowany na czarno numer. Naliczyłam pięć różnych kolorów: zielony, niebieski, żółty, pomarańczowy i czerwony.

Dzieci z zielonym i niebieskim znakiem nie miały skrępowanych rąk i mogły iść swobodnie, jednak te z wyblakłym żółtym, pomarańczowym lub czerwonym iksem z trudnością posuwały się naprzód, brnąc przez grząskie błoto - ich stopy i ręce skute były metalowymi kajdankami, a wszystkie połączone były dodatkowo długim łańcuchem, przez co musiały iść jedno za drugim. Dzieci oznaczone pomarańczowym znakiem miały na twarzach maski przypominające kagańce.

Popędzani przez strażników dotarliśmy wreszcie do jasno oświetlonego budynku, na którego drzwiach widniała podarta kartka z napisem infirmeria. Po obu stronach długiego korytarza stali lekarze i pielęgniarki, którzy kręcąc głowami, patrzyli na nas z rozdrażnieniem. Szachownicę kafelków na podłodze pokrywała śliska breja z wody i błota. Musiałam się mocno skoncentrować, żeby nie upaść. Powietrze przesycone było zapachem spirytusu salicylowego i syntetycznego aromatu cytryny.

Ustawiliśmy się w kolejce na ciemnej betonowej klatce schodowej po jednej stronie

pierwszego piętra, na którym znajdowały się puste łóżka, a wokół nich zwisały białe zasłony Nie chcę być Pomarańczowa ani Czerwona.

Czułam, jak skręca mnie w żołądku. Przed oczami wciąż miałam twarz tej kobiety - moment, kiedy pociągnęła za spust, oraz krwawą masę włosów, która rozbryzgnęła się tuż przy mnie. Przypomniałam sobie minę mojej mamy, kiedy zamykała mnie w garażu, a także twarz babci.

Przyjedzie po mnie, myślałam. Przyjedzie. Naprawi mamę i tatę, a potem przyjedzie i mnie stąd zabierze. Przyjedzie, przyjedzie, na pewno przyjedzie...

Na górze zdjęto nam plastikowe opaski, a następnie znów nas podzielono. Połowa została skierowana lodowatym korytarzem na prawo, a druga połowa na lewo. Obie części budynku wyglądały tak samo i niczym się nie wyróżniały - było tam kilkoro zamkniętych drzwi, a na końcu obu skrzydeł znajdowało się okienko. Przez moment jak w transie obserwowałam deszcz bębniący o jego cienką zaparowaną szybę. Po chwili drzwi po lewej stronie otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem i ukazał się w nich tęgi mężczyzna w średnim wieku. Spojrzał na nas, a następnie powiedział coś szeptem do stojącego na czele grupy strażnika SSP. Jedne za drugimi otwierały się kolejne drzwi, a w każdych stał jakiś dorosły. Oprócz białych kitli łączyło ich tylko jedno - malująca się na ich twarzach podejrzliwość.

Bez słowa wyjaśnienia strażnicy zaczęli wyciągać dzieci z szeregu i popychać je w stronę ludzi w białych kitlach oraz przypisanych im gabinetów. Zdezorientowane, pełne niepokoju dziecięce głosy zostały natychmiast zagłuszone przez świdrujący dźwięk dzwonka. Patrzyłam na kolejno zatrzaskujące się drzwi i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę te dzieci.

Co nam jest? Obejrzałam się przez ramię. Czułam się tak, jakby moja głowa wypełniona była mokrym piaskiem. Nie dostrzegałam nigdzie chłopaka z poranioną twarzą, ale wspomnienie o nim nie przestawało mnie prześladować. Czy przywieźli nas tu, ponieważ myśleli, że mamy chorobę Everharta, że umrzemy?

Jakim cudem nastolatek zmusił tę strażniczkę, by zrobiła to, co zrobiła? Co takiego jej powiedział?

Kiedy tam stałam, dygocząc tak, że bolały mnie nawet stawy i kości, poczułam, jak ktoś ujmuje moją dłoń. Dziewczyna - ta sama, która wcześniej ściągnęła mnie w błoto - spojrzała na mnie surowo. Ciemnoblond włosy przylegały do jej czaszki. Między górną wargą a nosem miała różową bliznę. Kiedy mówiła, jej ciemne oczy błyszczały. Zauważyłam, że z jej aparatu ortodontycznego wyciągnięto drucik, jednak do zębów wciąż przyklejone miała

metalowe pierścienie.

- Nie bój się - szepnęła. - Nie pozwól, by to zauważyli.

Tuż przy jej szyi zauważyłam wywiniętą metkę, na której ktoś ręcznie napisał: samantha dahl.

Stałyśmy tak blisko siebie, że nasze złączone palce schowane były pomiędzy materiałem moich spodni od piżamy oraz jej fioletową puchową kurtką. SSP pojawiło się i zabrało ją, kiedy szła do szkoły - tego samego ranka co mnie. Chociaż miało to miejsce dobę wcześniej, wciąż pamiętałam nienawistne spojrzenie jej ciemnych oczu, żarzące się na tylnym siedzeniu samochodu, w którym nas zamknięto. Nie krzyczała jak inni.

Dzieci, które wcześniej zniknęły za drzwiami, pojawiły się znowu, ściskając w rękach szare swetry i szorty. Zamiast ustawić je z powrotem w naszym szeregu, żołnierze zaprowadzili je na dół. Nie zdążyliśmy zadać im żadnego pytania ani nawiązać kontaktu wzrokowego.

Nie wyglądają na skrzywdzonych, pomyślałam. Wyczuwałam zapach markera i spirytusu salicylowego, ale nikt nie płakał ani nie krwawił.

Kiedy w końcu przyszła kolej na Samanthę, strażnik stojący przed nami rozdzielił nas ostrym szarpnięciem. Bardzo chciałam do niej dołączyć i wraz z nią stawić czoła temu, co czekało nas za tymi drzwiami. Nie mogłam znieść myśli, że znów zostanę zupełnie sama, bez żadnego oparcia.

Ręce drżały mi tak mocno, że musiałam skrzyżować ramiona i chwycić się za łokcie, żeby powstrzymać dygotanie. Stałam na początku szeregu i spoglądałam na błyszczącą powierzchnię ułożonych w szachownicę kafelków, która rozpościerała się między czarnymi butami żołnierza a moimi ubrudzonymi błotem stopami. Byłam wykończona nieprzespaną nocą, a zapach pasty żołnierskich butów jeszcze bardziej mnie zamroczył.

Zawołali mnie.

Znalazłam się w słabo oświetlonym gabinecie - o połowę mniejszym niż moja ciasna sypialnia. Nie mogłam sobie przypomnieć momentu, w którym przekroczyłam jego próg.

- Imię i nazwisko? - zapiszczał ktoś nienaturalnie wysokim głosem.

Mój wzrok padł na kozetkę i zwisające nad nią dziwne szare urządzenie w kształcie pierścienia.

Zza stojącego na stole laptopa wyłoniła się twarz wątłego mężczyzny w białym kitlu. Miałam wrażenie, że wystarczyłby jeden gwałtowniejszy ruch, by okulary w cienkich srebrnych oprawkach zjechały mu z nosa. Przylgnęłam plecami do zamkniętych drzwi, próbując zachować jak największą odległość między mną, nieznajomym i dziwną maszyną.

Mężczyzna podążył za moim wzrokiem i spojrzał na kozetkę.

- To tomograf. Nie ma się czego bać.

Chyba nie wyglądałam na przekonaną, ponieważ mówił dalej:

- Czy kiedykolwiek coś sobie złamałaś albo uderzyłaś się w głowę? Wiesz, co to tomografia komputerowa?

Jego głos był pełen cierpliwości, więc zrobiłam krok do przodu. Potrząsnęłam głową.

- Za chwilę położysz się na kozetce, a ja za pomocą tej maszyny upewnię się, że z twoją głową wszystko w porządku. Najpierw musisz mi jednak podać imię.

„Upewnię się, że z twoją głową wszystko w porządku". Skąd wiedział...?

- Imię i nazwisko, proszę - powiedział, a w jego głosie wyczuwałam rozdrażnienie.

- Ruby - odparłam i przeliterowałam nazwisko.

Mężczyzna zaczął stukać w klawiaturę komputera i przez chwilę nie zwracał na mnie uwagi. Mój wzrok ponownie przeniósł się na urządzenie. Zastanawiałam się, czy zbadanie tego, co mam w głowie, będzie bolało.

Zastanawiałam się, czy uda mu się zobaczyć to, co zrobiłam.

- Cholera, ależ oni się robią leniwi - mruknął raczej do siebie niż do mnie. - Czy zostałaś w ogóle poddana wstępnej klasyfikacji?

Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

- Kiedy cię zabrano... czy zadawano ci jakieś pytania? - zapytał, po czym wstał. Pomieszczenie było naprawdę niewielkie. Wystarczyły dwa kroki, by znalazł się tuż przy mnie. Serce zaczęło mi walić. - Czy twoi rodzice opowiedzieli żołnierzom o twoich objawach?

- Objawach? - wydusiłam. - Nie mam żadnych objawów. Ja nie...

Mężczyzna z irytacją pokręcił głową.

- Uspokój się. Tu jesteś bezpieczna, nie skrzywdzę cię - mówił bezbarwnym tonem, jednak w oczach miał dziwny błysk. Czułam, że słowa, które wypowiada, są wyuczone. - Istnieje wiele różnych objawów - wyjaśnił, zniżając się tak, by spojrzeć mi w oczy. Widziałam jedynie jego krzywe zęby i ciemne kręgi pod oczami. Jego oddech pachniał kawą i miętą. - Wiele różnych typów... dzieci. Zrobię teraz zdjęcie twojego mózgu, co pozwoli nam ustalić, do której grupy należysz.

Potrząsnęłam głową.

- Nie mam żadnych objawów! Moja babcia przyjedzie, przyrzekam! Ona panu powie!

- Powiedz mi no, skarbeczku, jak sobie radzisz z matematyką i zagadkami? Zieloni są niezwykle inteligentni i mają zadziwiająco dobrą pamięć.

Przed oczami znów pojawił mi się obraz dzieci z kolorowymi znakami na plecach. Zielony, pomyślałam i próbowałam sobie przypomnieć inne kolory. Czerwony, niebieski, żółty i...

Pomarańczowy. Jak ten chłopiec z zakrwawionymi ustami.

- Dobrze więc... - powiedział i wziął głęboki oddech. - Połóż się na kozetce, żebyśmy mogli zacząć. Już!

Nadal tkwiłam w miejscu. W głowie wirowały mi myśli. Trudno mi było nawet na niego spojrzeć.

- Już! - powtórzył, kierując się w stronę urządzenia. - Nie zmuszaj mnie do tego, żebym przyprowadził żołnierzy. Oni nie będą tacy mili, wierz mi! - Mężczyzna dotknął bocznego panelu urządzenia, na którym natychmiast zaświecił się ekran. Po chwili rozbłysła cała maszyna. Pośrodku szarej obręczy mrugało jasne białe światło, świadczące o gotowości do przeprowadzenia kolejnego badania. Maszyna buchała gorącym powietrzem i wydawała piski, od których włosy jeżyły mi się na karku.

W głowie kołatała mi się tylko jedna myśl: Dowie się. Dowie się, co im zrobiłam.

Znów przywarłam plecami do drzwi, a dłonią na oślep szukałam klamki. Przypomniały mi się przestrogi, których tata udzielał mi na temat nieznajomych. Tu wcale nie było bezpiecznie, a ten mężczyzna nie chciał mojego dobra.

Dygotałam tak mocno, że mogło mu się zdawać, iż zaraz zemdleję. A może chciał siłą zaprowadzić mnie na kozetkę i przytrzymywać do czasu, aż znajdę się pod urządzeniem.

Miałam ochotę zerwać się do ucieczki. Zaciskałam już palce na klamce, kiedy poczułam, jak jego ręka przedziera się przez moje splątane włosy i chwyta mnie za kark. Dotyk jego lodowatej dłoni na mojej rozpalonej skórze sprawił, że przeszedł mnie dreszcz, ale krzyknęłam dopiero wtedy, gdy u podstawy czaszki poczułam eksplozję bólu.

Mężczyzna wpatrywał się we mnie zamglonym wzrokiem, nawet nie mrugając. Ja jednak widziałam wszystko - nieprawdopodobne wizje. Palce bębniące na kierownicy samochodu, kobietę w czarnej sukni nachylającą się, żeby mnie pocałować, lecącą prosto na mnie piłkę bejsbolową na boisku, niekończącą się zieleń pola, rękę przeczesującą włosy małej dziewczynki... Te sceny przelatywały mi pod zamkniętymi powiekami jak klatki starego filmu. Sylwetki ludzi i kontury przedmiotów odciskały mi się na siatkówce i pozostawały tam, krążąc pod moimi powiekami jak wygłodniałe duchy.

To nie należy do mnie!, krzyczało coś w mojej głowie. To nie moje!

Ale czy te obrazy mogły należeć do mężczyzny w kitlu? Każdy z nich... Czy były to jego wspomnienia? Myśli?

Po chwili zobaczyłam jeszcze coś. Chłopiec, a nad nim to samo urządzenie pobłyskujące lampkami i wypuszczające dym. Żółty. Czułam, że to słowo formuje się w moich ustach, jakbym miała je wypowiedzieć na głos. Zobaczyłam małą rudowłosą dziewczynkę w pomieszczeniu podobnym do tego. Widziałam, jak podnosi palec i jak biurko wraz z laptopem unoszą się na kilkanaście centymetrów ponad ziemię. Niebieska. W mojej głowie ponownie odezwał się głos tego mężczyzny. Chłopiec trzymający w dłoniach ołówek, wpatrujący się w niego z niezwykłym skupieniem i ołówek stający w płomieniach. Czerwony. Karty z obrazkami i cyframi przed twarzą jakiegoś dziecka. Zielony.

Zacisnęłam powieki, ale nie potrafiłam uwolnić się od obrazów, które pojawiły się jako następne - rzędy maszerujących potworów w kagańcach. Stałam wysoko ponad nimi i spoglądałam na nich zza zalanej deszczem szyby, ale widziałam kajdanki i łańcuchy. Widziałam wszystko.

Nie jestem jedną z nich. Błagam, błagam, błagam...

Upadłam na kolana, opierając dłonie na kafelkowej podłodze. Próbowałam opanować mdłości. Ręka mężczyzny wciąż zaciskała się na moim karku.

- Jestem Zielona! - szlochałam, a moje słowa niemal ginęły pośród dźwięków wydawanych przez maszynę. Jej światło już wcześniej było jasne, ale teraz sprawiło, że jeszcze mocniej łomotało mi w skroniach. Patrzyłam w puste oczy mężczyzny i z całej siły pragnęłam, żeby mi uwierzył. - Jestem Zielona... błagam, błagam...!

Zobaczyłam jednak twarz mojej mamy i uśmiech, którym obdarzył mnie chłopak z połamanymi zębami. Sprawiał wrażenie, jak gdyby coś we mnie rozpoznawał. Jak gdyby wiedział, kim jestem.

- Zielona...

Na dźwięk skierowanych do mnie słów podniosłam wzrok. Wpatrywałam się w mężczyznę, a on we mnie. Jego spojrzenie wciąż było zamglone. Mamrotał coś pod nosem, jak gdyby przeżuwał każde słowo.

- Jestem...

- Zielona - powiedział, potrząsając głową. Jego głos był już pewniejszy. Kiedy podszedł, żeby wyłączyć maszynę, wciąż siedziałam na podłodze. Byłam tak zaskoczona, gdy usiadł za biurkiem, że zapomniałam o płaczu. Jednak dopiero kiedy wziął do ręki puszkę z zieloną farbą, narysował wielkie X na plecach koszuli uniformu i mi ją podał, zaczęłam oddychać.

3

Wszystko będzie dobrze, pocieszałam się, idąc zimnym korytarzem, schodząc po schodach i dołączając do dziewczynek oraz mężczyzn w mundurach, którzy czekali na mnie na dole. Dopiero tej nocy, kiedy rozbudzona leżałam na swojej pryczy, zrozumiałam, że miałam jedyną szansę na ucieczkę... i że jej nie wykorzystałam.

Sam i ja zostałyśmy przydzielone do Baraku numer dwadzieścia siedem, wraz z resztą dziewcząt z naszego autobusu, które zostały zaklasyfikowane jako Zielone. Razem było nas czternaście, chociaż następnego dnia liczba ta wzrosła do dwudziestu, a tydzień później mieszkało tam już trzydzieści dziewczyn. Strażnicy zabrali się więc za zasiedlanie kolejnego drewnianego budynku stojącego przy wiecznie podmokłej, rozdeptanej ścieżce.

Prycze na łóżkach piętrowych zostały nam przydzielone alfabetycznie, więc Sam zajmowała miejsce tuż nade mną - było to drobne pocieszenie, ponieważ inne dziewczyny w ogóle jej nie przypominały. Pierwszą noc spędziły albo w całkowitym milczeniu, albo szlochając w poduszkę. Ja nie miałam już czasu na łzy. Miałam za to mnóstwo pytań.

- Co oni z nami zrobią? - wyszeptałam do Sam. Nasze łóżka znajdowały się w rogu na samym końcu Baraku, po lewej stronie. Ściany budynku musiały zostać wzniesione w ogromnym pośpiechu i nie były dobrze uszczelnione. Co jakiś czas do pomieszczenia wdzierał się lodowaty podmuch wiatru, a w powietrzu wirowały pojedyncze płatki śniegu.

- Nie wiem - odparła cicho. Kilka łóżek dalej jedna z dziewcząt w końcu znalazła ukojenie w ramionach snu, a jej pochrapywanie zagłuszało naszą rozmowę. Strażnik, który przyprowadził nas do naszego nowego lokum, ostrzegł, że nie wolno nam rozmawiać po ogłoszeniu ciszy nocnej, wychodzić z Baraku ani używać naszych „nienormalnych umiejętności", niezależnie od tego, czy robimy to świadomie, czy też nie. Po raz pierwszy słyszałam wtedy, by ktoś użył określenia „nienormalne umiejętności". Do tej pory zetknęłam się jedynie z jego poprawnym politycznie odpowiednikiem: „symptomem". - Pewnie będą nas tu trzymać, dopóki nie wymyślą jakiegoś lekarstwa - mówiła dalej Sam. - Tak przynajmniej mówił mój tata, kiedy przyjechali po mnie żołnierze. A co mówili twoi rodzice?

Moje dłonie przestały w końcu drżeć. Za każdym razem, kiedy próbowałam zamknąć oczy, pod powiekami widziałam jedynie wbity we mnie niewidzący wzrok naukowca. Kiedy Sam wspomniała o moich rodzicach, łomotanie w skroniach stało się nie do zniesienia.

Nie wiem, dlaczego skłamałam. Tak było łatwiej. A może po prostu gdzieś w głębi ducha wierzyłam, że to, co mówię, rzeczywiście jest prawdą.

- Moi rodzice nie żyją.

Samantha wciągnęła powietrze przez zęby.

- Wolałabym, żeby moi też nie żyli.

- Wcale tak nie myślisz!

- Przecież to oni mnie tu wysłali! - mówiła coraz głośniej. To mogło się źle skończyć. - To oczywiste, że chcieli się mnie pozbyć.

- Nie sądzę, by... - zaczęłam, ale po chwili umilkłam. Czy moim rodzicom nie chodziło o to samo?

- Nieważne. Nie obchodzi mnie to - rzuciła, chociaż widać było, że to nieprawda i że jest wręcz przeciwnie. - Zostaniemy tu i będziemy się trzymać razem, a kiedy nas stąd wypuszczą, pojedziemy, dokąd tylko będziemy chciały, i nikt nas nie powstrzyma.

Moja mama mówiła, że czasem wypowiedzenie marzenia na głos wystarczy, żeby się spełniło. Nie do końca jej wierzyłam, ale słowa Sam były tak pełne żaru, że zmieniłam zdanie. Nagle wydało mi się to możliwe... Nawet gdybym nie mogła wrócić do domu, poradzę sobie, jeśli tylko Sam będzie przy mnie. Dokądkolwiek szła moja nowa przyjaciółka, tworzył się za nią tunel, dzięki któremu mogłam pozostać w jej cieniu, z dala od wzroku SSP. Musiałam jedynie uważać, by nie rzucać się w oczy i nie robić niczego, co mogłoby przyciągnąć uwagę żołnierzy.

Udawało mi się to przez pięć lat.

Pięć lat wydaje się wiecznością, kiedy jeden dzień zlewa się z drugim, a cały świat mieści się w granicach szarego elektrycznego ogrodzenia otaczającego trzykilometrowy pas nędznych bud i błota. Poza nim nie ma już nic. Nigdy nie byłam szczęśliwa w Thurmond, ale dzięki Sam udawało mi się tu jakoś przetrwać. Mogłam wymieniać z nią znaczące spojrzenia, kiedy jedna z naszych współlokatorek Vanessa próbowała obciąć sobie włosy sekatorem, żeby wyglądać bardziej „stylowo" („A niby po co? - wymamrotała pod nosem Sam. - Żeby móc gapić się w swoje odbicie w lustrze w Umywalni?"). Sam robiła zeza za plecami strażnika, kiedy ten udzielał jej nagany za to, że znów odezwała się bez pytania. Delikatnie, ale stanowczo sprowadzała też nas na ziemię, kiedy niektóre dziewczęta puszczały wodze fantazji i plotkowały o tym, że SSP chce nas wypuścić.

Sam i ja byłyśmy realistkami. Wiedziałyśmy, że nigdzie nas nie puszczą. Marzenia kończyły się zawodem, a ciągłe rozczarowania sprawiały, że pojawiało się przygnębienie, z którego trudno się było otrząsnąć. Lepiej już było żyć w szarości, niż zostać pochłoniętym przez ciemność.

Po dwóch latach władze obozu postanowiły stworzyć Fabrykę. Nie udało im się zrehabilitować niebezpiecznych dzieciaków, więc którejś nocy wywieziono je z obozu, ale na

tym nie skończyły się „usprawnienia”. Władze uznały, że obóz powinien być całkowicie samowystarczalny. Od tego czasu zaczęliśmy uprawiać warzywa i przygotowywać z nich posiłki, szorować Umywalnię i szyć uniformy dla siebie oraz mundury dla żołnierzy.

Ceglany budynek położony był w głębi, po zachodniej stronie obozu. Wprawdzie kazano nam wykopać fundamenty pod Fabrykę, jednak nie ufano nam na tyle, by pozwolić nam ją wznieść. Obserwowaliśmy, jak rośnie piętro po piętrze, i zastanawialiśmy się, do czego będzie służyła i co będziemy musieli w niej robić. W powietrzu krążyły plotki, rozsiewane wokół jak pył dmuchawca - część dzieci podejrzewała, że budynek zajmą naukowcy, którzy będą przeprowadzać kolejne eksperymenty. Inni byli przekonani, że trafią tam Czerwoni, Pomarańczowi i Żółci, jeśli w ogóle wrócą do obozu. Jeszcze inni twierdzili, że posłuży do tego, by raz na zawsze się nas pozbyć.

- Będzie dobrze - pewnej nocy powiedziała do mnie Sam, zanim wyłączono światła. - Cokolwiek by się działo, będzie dobrze, słyszysz?

Ale nie było dobrze. Ani wcześniej, ani teraz.

W Fabryce nie wolno było rozmawiać, ale udawało nam się jakoś omijać ten zakaz. Właściwie wolno nam było ze sobą rozmawiać jedynie w naszym Baraku, przed ciszą nocną. Poza nim liczyły się tylko praca, posłuszeństwo i cisza. Jednak nie da się żyć ze sobą latami i jednocześnie nie rozwinąć pewnego rodzaju języka, który składał się niemal wyłącznie z ukradkowych uśmiechów i przelotnych spojrzeń. Tego dnia kazano nam polerować buty SSP i zmieniać w nich sznurowadła, a także przyszywać guziki do żołnierskich mundurów. Ledwo zauważalne machnięcie czarnym sznurowadłem w stronę stojącej naprzeciwko dziewczyny - tej samej, która poprzedniej nocy wyzwała cię od najgorszych - mówiło więcej niż słowa.

Budynek nie przypominał właściwie typowej fabryki. Bardziej pasowało do niego określenie warsztat, ponieważ składał się on jedynie z wielkiego pomieszczenia oraz podwieszonego nad nim chodnika. Budowniczy wprawdzie pomyśleli o tym, żeby na wschodniej i zachodniej ścianie umieścić cztery wielkie okna, jednak ponieważ zimą nie było tu ogrzewania, a latem klimatyzacji, zamiast słońca przez okno wdzierały się chłód i skwar.

Władze obozu postanowiły ograniczyć wyposażenie budynku do minimum. Na całej długości zakurzonej betonowej podłogi ustawiono niekończące się rzędy stołów. Tego ranka pracowały nas tu setki - wszyscy ubrani w uniformy Zielonych. Po zawieszonych nad nami chodnikach przechadzali się żołnierze SSP uzbrojeni w czarne karabiny, a na dole pilnowało nas dodatkowo dziesięciu strażników.

Poczucie, że każdy mój ruch obserwowany jest przez żołnierzy, towarzyszyło mi na co dzień. Jednak poprzedniej nocy nie mogłam zmrużyć oka, mimo że przez cały dzień ciężko

pracowałam w Ogrodzie. Położyłam się spać z bólem głowy. Kiedy się obudziłam, mój mózg spowity był oparami gorączki, a na dodatek bolało mnie gardło. Nawet dłonie miałam zdrętwiałe, a palce sztywne jak ołówki.

Tego dnia wiedziałam, że nie nadążam z pracą. Miałam dziwne wrażenie, że tonę. Im bardziej starałam się utrzymać na powierzchni, tym bardziej czułam się zmęczona i ociężała. Po jakimś czasie nawet utrzymanie wyprostowanej sylwetki zbyt wiele mnie kosztowało i musiałam złapać się blatu, żeby nie runąć na stół. Powolne tempo pracy dość często uchodziło mi na sucho. Nie wykonywaliśmy przecież żadnego ważnego zadania i nie goniły nas terminy. Obowiązki, które nam przydzielano, miały tylko jeden cel - zająć czymś nasze ręce i ciała oraz sprawić, by nasze głowy wypełniły się bezbrzeżną nudą. Sam nazywała je przymusową przerwą - pozwalano nam opuścić nasze Baraki, a praca w Fabryce nie była tak trudna ani męcząca jak na przykład praca w Ogrodzie. Mimo to nikt nie miał ochoty tu przebywać.

Zwłaszcza kiedy w pobliżu pojawiali się gnębiciele.

Wyczułam go za plecami, jeszcze zanim zaczął liczyć ustawione przede mną wypolerowane buty. Wydzielał woń dobrze przyprawionego mięsa i oleju samochodowego, co samo w sobie było dość odrażającą mieszanką, nie mówiąc już o tym, że po chwili do tego wszystkiego dołączył smród dymu papierosowego. Próbowałam wyprostować plecy, przygarbione pod ciężarem jego spojrzenia, ale czułam się tak, jak gdyby pomiędzy łopatki wbił mi obie pięści.

- Piętnaście, szesnaście, siedemnaście... - Z jakiegoś powodu w jego ustach nawet liczby brzmiały szorstko.

W Thurmond nie wolno nam było dotykać siebie nawzajem, a tym bardziej któregoś z żołnierzy SSP. Nie oznaczało to jednak, że oni nie mogli dotykać nas. Mężczyzna zrobił dwa kroki naprzód. Czubki ciężkich butów - takich samych jak te ustawione na blacie przede mną - przycisnął do tylnej części moich zwykłych białych mokasynów. Kiedy nie zareagowałam, pod pretekstem przejrzenia mojej pracy przełożył rękę tuż ponad moim ramieniem i przycisnął mnie do siebie. Skurczyć się, zamarzyłam, kuląc się i nachylając głowę nad wykonywanym zadaniem. Skurczyć się i zniknąć.

- Beznadziejnie - mruknął żołnierz. Jego ciało wydzielało ciepło, którym można by było ogrzać cały budynek. - Źle to robisz. Popatrz! Przyjrzyj się, dziecko!

Wtedy po raz pierwszy spojrzałam na niego kątem oka. Wyrwał mi z ręki poplamioną pastą do butów szmatkę i stanął tuż obok mnie. Był niski, zaledwie trzy centymetry wyższy ode mnie. Miał perkaty nos, a przy każdym oddechu jego policzki zdawały się furkotać.

- O, tak! - mówił, polerując but. - Spójrz na mnie!

To był podstęp. Nie wolno nam było patrzeć im prosto w oczy.

Wokół mnie rozległ się zduszony śmiech. Nie wydały go jednak zgromadzone w budynku dziewczęta, ale stojący za mężczyzną żołnierze SSP.

Miałam wrażenie, że moje ciało zanurzone jest we wrzątku. Był grudzień, a temperatura w Fabryce wynosiła najwyżej cztery stopnie powyżej zera, jednak po moich policzkach spływały strumienie potu. W gardle czułam ucisk ostrego, duszącego kaszlu.

Z boku poczułam delikatne muśnięcie. Sam nie mogła podnieść wzroku znad swojego zadania, ale zauważyłam, że spogląda na mnie kątem oka, próbując ocenić sytuację. Jej dekolt i szyję oblał rumieniec wściekłości, który powoli wstępował także na jej twarz. Mogłam sobie jedynie wyobrazić słowa, które cisnęły jej się na usta. Jej kościsty łokieć znów musnął moją rękę, jak gdyby chciała przypomnieć mi o tym, że jest przy mnie.

Chwilę później ten sam żołnierz SSP znów ustawił się tuż za mną i ocierając się o moje ramię, delikatnie odstawił but z powrotem na blat.

- Włożyłaś sznurowadła do tych butów? - mruknął niskim głosem, postukując palcem w pokrywę kosza, w którym znajdowały się wypolerowane buty.

Gdybym nie wiedziała, jaka kara może mnie za to spotkać, wybuchłabym płaczem. Im dłużej milczałam, tym bardziej byłam spięta i zawstydzona, ale nie mogłam się odezwać. Nie mogłam się poruszyć. Miałam wrażenie, że spuchł mi schowany za zaciśniętymi zębami język. Po mojej głowie krążyły lekkie, otulone mętną otoczką myśli. Nie mogłam skupić wzroku.

Ktoś za moimi plecami parsknął śmiechem.

- Te sznurowadła są źle włożone. - Drugie ramię mężczyzny oplotło mnie z lewej strony. Przyciskał się do mnie tak, że między naszymi ciałami nie było nawet centymetra wolnej przestrzeni. Poczułam, jak w gardle wzbiera mi coś, co do złudzenia przypominało kwas.

Wokół nas zrobiło się zupełnie cicho. Nikt się nie poruszał.

Moje milczenie tylko go rozjuszyło. Bez ostrzeżenia chwycił kosz i przewrócił go tak, że na stół z łoskotem wysypało się kilkadziesiąt par butów. Teraz wszyscy w Fabryce patrzyli w tę stronę. Ich wzrok skupił się tylko na mnie.

- Źle, źle, źle, źle, źle! - powtarzał żołnierz, rozrzucając wokół buty. Ale nie miał racji. Wyglądały idealnie. To były tylko buty, ale doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, kto będzie w nich maszerował. Wiedziałam, co mnie czeka, jeśli się nie przyłożę. - Te, Zielona! Jesteś i głucha, i niema?

W tym momencie odezwał się ostry jak brzytwa, dudniący niczym grzmot głos Sam:

- To mój kosz.

O, nie!, pomyślałam z przerażeniem.

Poczułam, jak zaskoczony żołnierz odsuwa się ode mnie. Zawsze się tak zachowywali - jak gdyby zapomnieli, że umiemy używać słów, i to używać ich przeciwko nim.

- Coś ty powiedziała? - warknął. Widziałam, że Sam ma ochotę go wyzwać. Przeżuwała w ustach obelgę jak kawałek cytrynowej gumy.

- Słyszałeś. A może od wdychania pasty do butów wybiło ci ostatnie szare komórki, które zostały w tym twoim małym móżdżku?

Wiedziałam, czego oczekuje, kiedy na mnie spojrzała. Wiedziałam, że czeka na to samo, co przed chwilą ofiarowała mnie - wsparcie.

Cofnęłam się o krok i zaplotłam ręce na brzuchu. Nie rób tego, powiedziałam do siebie. Nie. Ona sobie poradzi. Sam nie miała nic do ukrycia i była odważna, ale ilekroć to robiła, ilekroć stawała w mojej obronie, a ja kurczyłam się ze strachu, czułam się jak zdraj - czyni. Kolejny raz mój głos zginął pod ciężarem ostrożności i strachu. Gdyby przejrzeli moje dokumenty, gdyby zobaczyli tam puste pola i zechcieli je wypełnić, kara, która by mnie spotkała, byłaby nieporównywalnie gorsza niż jakakolwiek kara nałożona na Sam.

To przynajmniej sobie powtarzałam.

Prawy kącik ust mężczyzny podjechał do góry, zamieniając ponurą linię jego warg w kpiący uśmiech.

- Proszę, proszę. Ale się stawia!

Zrób coś. Zrób coś, Ruby, zdawała się mówić Sam. Widziałam to w jej przechylonej głowie i napiętych ramionach. Nie wiedziała, co może mnie za to spotkać. Nie byłam tak odważna jak ona.

Naprawdę chciałam taka być. Tak bardzo tego pragnęłam!

Nie mogę. Nie musiałam wypowiadać tych słów na głos. Bez problemu wyczytała je z mojej twarzy. Widziałam to w jej oczach, jeszcze zanim żołnierz podszedł do niej, chwycił ją za ramię i odciągnął od stołu, ode mnie.

Odwróć się, błagałam w myślach. Jej jasny kucyk podskakiwał przy każdym kroku, kiedy żołnierz SSP wyprowadzał ją z budynku. Odwróć się. Chciałam jej powiedzieć, że bardzo mi przykro. Chciałam, by zrozumiała, że ból ściskający mnie w piersi oraz mdłości nie mają nic wspólnego z gorączką. Rozpaczliwe myśli, które rodziły się w mojej głowie, napawały mnie obrzydzeniem do samej siebie. Skupione dotąd na mnie oczy powoli się odwracały, a żołnierz nie powrócił już, by dalej mnie dręczyć. Nikt nie widział moich łez.

Lata temu nauczyłam się płakać w milczeniu, nie wzbudzać zainteresowania. Pozostali nie mieli powodu, by na mnie patrzeć. Znów schowałam się w cieniu, który zostawiła po sobie Sam.

Ten, kto odzywał się bez pozwolenia, musiał spędzić dzień w odosobnieniu, przykuty kajdankami do słupka w Ogrodzie, niezależnie od temperatury czy pogody. Widziałam już zsiniałe z zimna dzieciaki, które siedziały na śniegu i nie miały nawet koca, aby się przykryć. Latem karze towarzyszyły poparzenia słoneczne. Dzieciaki były oblepione błotem, a wolną ręką rozdrapywały bąble po ukąszeniu owadów. Jak można się było spodziewać, za odpyskowanie komuś z SSP groziła taka sama kara, z tą różnicą, że winowajca nie otrzymywał jedzenia, a w niektórych przypadkach nawet wody.

Kara za powtarzające się przewinienia była tak straszna, że kiedy dwa dni później Sam wróciła do naszego Baraku, nie chciała lub nie mogła o niej mówić. Weszła do budynku zmarznięta i przemoczona lodowatym deszczem. Wyglądała, jakby wcale przez ten czas nie spała, podobnie jak ja. Ześlizgnęłam się ze swojej pryczy i podbiegłam do niej, jeszcze zanim znalazła się w połowie drogi do łóżka.

Objęłam ją, ale odsunęła się ode mnie. Jej zaciśnięta szczęka nadała jej przerażający wygląd. Wysmagane zimnym wiatrem policzki i nos miały jasnoczerwony kolor, lecz nie widać było u niej żadnych ran ani siniaków. Jej oczy nie były nawet spuchnięte od płaczu, jak moje. Zauważyłam jedynie, że lekko kulała, ale gdybym nie wiedziała, co zaszło, uznałabym po prostu, że ma za sobą pracowity dzień w Ogrodzie.

- Sam - powiedziałam, brzydząc się swojego drżącego głosu. Nie zatrzymała się. Spojrzała na mnie dopiero, gdy znalazłyśmy się przy naszym łóżku. Położyła na kołdrze zaciśniętą pięść, żeby podciągnąć się na swoją pryczę. - Powiedz coś... - błagałam.

- Nic nie zrobiłaś. - Jej głos był niski i zachrypnięty, jak gdyby nie używała go od wielu dni.

- Nie powinnaś była...

Spuściła głowę. Długie, splątane pasma włosów opadły jej na ramiona i policzki, zakrywając twarz. Wtedy poczułam, że łącząca nas więź się zrywa. Czułam, że odpływam, dryfuję w nieznanym kierunku i że nie ma nic, czego mogłabym się chwycić. Stałam tuż obok niej, ale dzielący nas dystans był jak kanion, którego nie umiałam pokonać.

- Masz rację - odparła po chwili Sam. - Nie powinnam była nic robić. - Zaczerpnęła powietrza. - Ale co wtedy stałoby się z tobą? Po prostu byś tam stała i pozwoliła, by dalej cię dręczyli. Wcale byś się nie broniła.

W końcu Sam patrzyła mi prosto w oczy, a ja marzyłam jedynie o tym, by odwróciła

wzrok. Jej źrenice błyszczały ze złości, ciemniejsze niż kiedykolwiek.

- Mówią do ciebie te okropne rzeczy, krzywdzą cię, a ty nigdy się nie bronisz. Ja wiem, Ruby... Wiem, że taka już jesteś, ale czasem zastanawiam się, czy ty się tym w ogóle przejmujesz. Dlaczego chociaż raz im się nie postawisz?

Chociaż mówiła szeptem, w jej głosie była dziwna szorstkość, przez którą miałam wrażenie, że lada chwila zacznie krzyczeć albo wybuchnie płaczem. Spojrzałam w dół na jej palce, którymi skubała brzeżek szortów. Jej ruchy były tak nerwowe i szybkie, że ledwo zauważyłam zaognione, czerwone ślady na jej nadgarstkach.

- Sam... Samantha...

- Chciałabym tylko... - Z trudem przełknęła ślinę. Łzy drżały na jej rzęsach, ale nie spadły. - Chciałabym zostać sama. Chociaż przez chwilę.

Nie powinnam była wyciągnąć do niej rąk. Z wyczerpania i gorączki ledwo mogłam ustać na nogach. Trawiła mnie głęboka nienawiść do samej siebie. Pomyślałam wtedy jednak, że jeśli uda mi się powiedzieć jej prawdę - jeśli uda mi się jej wyjaśnić, przestanie na mnie patrzeć w ten sposób. Zrozumie, że ostatnią, absolutnie ostatnią rzeczą, której pragnęłam, było to, by spotkała ją krzywda z mojego powodu. Oprócz niej nie miałam tu nikogo więcej.

Jednak gdy tylko moje palce musnęły jej ramię, ziemia usunęła mi się spod nóg. Ogień zajął końcówki moich włosów i ogarnął całą czaszkę. Gorączka, która wydawała się mijać, powróciła i świat zatopił się w szarości. Beznamiętną twarz Sam zastąpiły palące jak rozżarzone żelazo wspomnienia, które nie należały do mnie: szkolna tablica zapisana równaniami matematycznymi, kopiący w ogródku golden retriever, oddalająca się i przybliżająca ziemia widziana z perspektywy huśtawki, warzywa wyciągane z ziemi w Ogrodzie, ceglana ściana na tyłach Stołówki odciskająca się na mojej twarzy, kiedy z każdej strony spadały na mnie ciosy szybkie jak seria z migawki aparatu fotograficznego.

Kiedy wróciłam do siebie, wciąż patrzyłyśmy sobie w oczy. Przez chwilę wydawało mi się, że w jej ciemnych błyszczących tęczówkach widzę odbicie własnej twarzy. Jednak Sam nie patrzyła na mnie - spoglądała w przestrzeń, na powoli i leniwie wirujące w powietrzu drobinki kurzu za moimi plecami. Znałam to niewidzące spojrzenie. Lata temu widziałam je u swojej matki.

- Jesteś tu nowa? - zapytała. Wydawała się zaskoczona i zlęk-niona. Przesunęła wzrokiem po mojej twarzy, zjechała w dół, aż po kościste kolana, po czym znów spojrzała mi w oczy. Zaczerpnęła powietrza, jak gdyby wynurzała się z wody po dłuższym czasie spędzonym w głębinach. - Masz jakieś imię?

- Ruby - wyszeptałam. Było to ostatnie słowo, jakie wypowiedziałam niemal przez

cały następny rok.

4

Obudziły mnie zimna woda i łagodny kobiecy głos.

- Wszystko w porządku - powtarzała kobieta. - Wszystko będzie dobrze.

Nie wiem, kogo chciała oszukać, ale ja nie zamierzałam dać się nabrać na jej słodkie kłamstewka.

Pozwoliłam, by ponownie zwilżyła mi twarz ręcznikiem. Kiedy się zbliżyła, chłonęłam jej ciepło. Pachniała rozmarynem i tym, co znałam z przeszłości. Przez chwilę, dosłownie przez ułamek sekundy, jej dłoń leżała na mojej, a ja czułam, że tego nie zniosę.

To nie był mój dom, a ta kobieta nie była moją matką. Łapczywie wciągałam powietrze, rozpaczliwie próbując powstrzymać emocje. Nie mogłam płakać - ani przy niej, ani przy żadnym innym dorosłym. Nie zamierzałam dać im tej satysfakcji.

- Nadal cię boli?

Otworzyłam oczy tylko dlatego, że to ona po kolei uniosła mi jedną, a potem drugą powiekę, świecąc w nie intensywnym światłem. Chciałam zasłonić twarz dłońmi, ale moje ręce unieruchomione były pasami. Próba uwolnienia się z nich skończyłaby się porażką.

Kobieta cmoknęła i zrobiła krok w tył, a wraz z nią oddaliła się kwiatowa woń. Kiedy w powietrzu wyczułam zapach środków antyseptycznych i wody utlenionej, od razu domyśliłam się, gdzie jestem.

W Infirmerii nierównymi falami rozchodziły się to narastające, to cichnące dźwięki. Słychać było krzyczące z bólu dziecko, stukot butów o białe kafelki, skrzypienie wózka inwalidzkiego... Miałam wrażenie, że znajduję się nad tunelem i przyciskam ucho do ziemi, nasłuchując szumu przejeżdżających pode mną samochodów.

- Ruby?

Kobieta miała na sobie niebieski strój chirurga, na który narzuciła biały fartuch. Jej blada skóra i płowe włosy sprawiały, że niemal ginęła na tle zaciągniętej dookoła mojego łóżka zasłony. Kiedy przyłapała mnie na tym, że się jej przyglądam, na jej twarzy pojawił się śliczny, szeroki uśmiech.

Była najmłodszą lekarką, jaką widziałam w Thurmond, chociaż prawdę mówiąc, moje wizyty w Infirmerii można było policzyć na palcach jednej ręki. Byłam w niej raz, kiedy zachorowałam na grypę żołądkową i odwodniłam się po czymś, co Sam nazwała Popisowym Puszczaniem Pawia, a potem jeszcze raz, kiedy zwichnęłam nadgarstek. W obu przypadkach dotyk pomarszczonych dłoni lekarzy sprawił, że czułam się jeszcze gorzej niż przed wizytą w Infirmerii. Nie ma skuteczniejszego lekarstwa na przeziębienie niż myśl o starym zboczeńcu

wydzielającym woń alkoholu zmieszanego z cytrynowym mydłem do rąk.

Ta kobieta... była jak z innego świata.

- Nazywam się doktor Begbie. Jestem wolontariuszką z firmy Leda Corporation.

Skinęłam głową, a mój wzrok padł na przypiętą do kieszeni jej fartucha złotą broszkę w kształcie łabędzia.

Lekarka nachyliła się do mnie.

- Jesteśmy dużą firmą medyczną, która przeprowadza badania i deleguje lekarzy do obozów, gdzie następnie pomagają się wami zajmować. Jeżeli wolisz, możesz mi mówić Cate i nie zawracać sobie głowy tytułami.

No pewnie. Wpatrywałam się w jej wyciągniętą do mnie dłoń. Między nami zawisła cisza, przerywana łomotaniem w mojej głowie. Po chwili niezręcznego milczenia doktor Begbie schowała rękę z powrotem do kieszeni fartucha, najpierw jednak jej dłoń spoczęła na pasie, którym moja lewa ręka przymocowana była do poręczy łóżka.

- Wiesz, gdzie jesteś, Ruby? Pamiętasz, co się stało?

Przed tym czy po tym, jak Wieża próbowała usmażyć mi mózg?, pomyślałam, nie mogłam jednak wypowiedzieć tego na głos. W towarzystwie dorosłych lepiej było nic nie mówić. Zazwyczaj słyszeli jedno, po czym przetwarzali to w coś zupełnie innego. Nie zamierzałam robić niczego, co pozwalałoby im mnie skrzywdzić.

Minęło osiem miesięcy, odkąd ostatni raz się odezwałam. Nie wiedziałam, czy w ogóle potrafię jeszcze mówić.

Jakimś cudem lekarka odgadła pytanie, które aż wyrywało mi się z ust.

- Włączyli Paralizator, ponieważ w Stołówce doszło do bójki. Wygląda na to, że... sprawy wymknęły się spod kontroli.

Mało powiedziane. Władze obozu używały Białego Szumu, czy - jak sami go nazywali - Paralizatora, aby nas uspokoić. Na nich w żaden sposób to nie wpływało. Przypominał gwizdek dla psów - jego dźwięk dostrojony był tak, że wyłapywały go i przetwarzały tylko mózgi odmieńców takich jak my.

Władze obozu włączały go z najróżniejszych powodów. Czasem tylko dlatego, że jakieś dziecko przez przypadek użyło swoich umiejętności, a innym razem po to, by ukarać nieposłuszeństwo w jednym z Baraków. Niezależnie od przyczyny zawsze kierowano dźwięk w stronę budynku, w którym znajdowały się winne dzieciaki. Jeśli tym razem użyto go na terenie całego obozu, puszczając go z głośników tak, by wszyscy mogli go słyszeć, to sprawy naprawdę musiały wymknąć się spod kontroli. Pewnie bali się, że ktoś wskrzesił iskrę, która mogłaby rozniecić w nas ogień.

Doktor Begbie bez wahania uwolniła z pasów moje nadgarstki oraz kostki. Ręcznik, którym wycierała mi twarz, zwisał z poręczy łóżka. Kapała z niego woda, a przez jego białą tkaninę przesiąkały czerwone plamy krwi.

Dotknęłam ręką ust, policzków i nosa. Nie byłam specjalnie zaskoczona, kiedy odjąwszy palce od twarzy, zobaczyłam, że splamione są ciemną krwią. Krew zaschła pomiędzy moimi nozdrzami a ustami, jak gdyby ktoś uderzył mnie prosto w nos.

Próba podciągnięcia się do pozycji siedzącej była najgorszym pomysłem, na jaki mogłam wpaść. W piersi poczułam rozdzierający ból. Ani się spostrzegłam, a opadłam z powrotem na plecy. Doktor Begbie natychmiast znalazła się przy mnie i podniosła metalowe łóżko do pozycji pionowej.

- Masz poobijane żebra - powiedziała.

Próbowałam głęboko wciągnąć powietrze, ale moja klatka piersiowa była tak ściśnięta, że pozwalała mi jedynie na zduszony wdech. Lekarka musiała tego nie zauważyć, ponieważ spojrzała na mnie tym swoim łagodnym wzrokiem, po czym zagadnęła:

- Mogę ci zadać kilka pytań?

Już sam fakt, że mnie o to zapytała, był niezwykły. Patrzyłam na nią badawczo, szukając żarzącej się nienawiści, która mogła się kryć pod warstwą malującej się na jej twarzy łagodności. Szukałam strachu czającego się w jej czułych oczach, obrzydzenia skrywanego w kąciku ust. Nie dostrzegłam nawet rozdrażnienia.

Jakiś biedny chłopiec na łóżku po mojej prawej stronie zaczął wymiotować. Widziałam ciemny zarys jego sylwetki, który przebijał przez zasłonkę niczym cień. Z nim nikt nie siedział. Nikt nie trzymał go za rękę. Był sam na sam z miską na wymiociny, podczas gdy ja siedziałam tuż obok, a serce waliło mi ze strachu, że czuwająca przy moim łóżku księżniczka będzie musiała mnie uśpić niczym wściekłego psa. Nie wiedziała, czym jestem - nie mogła tego wiedzieć.

Popadasz w paranoję, powiedziałam do siebie. Weź się w garść.

Doktor Begbie wyciągnęła długopis z luźnego koka.

- Ruby, czy po tym, jak włączono Paralizator, upadłaś do przodu i uderzyłaś się w twarz?

- Nie - powiedziałam. - Byłam już wtedy na ziemi. - Nie wiedziałam, ile mogę jej zdradzić. Uśmiech na jej twarzy powiększył się i zauważyłam, że była w nim jakaś... satysfakcja.

- Czy po Paralizatorze często doświadczasz tak silnego bólu i krwawienia?

Poczułam ból w piersi, ale nie miał on nic wspólnego z potłuczonymi żebrami.

- Rozumiem, że nie... - Nie widziałam, co pisze, zauważyłam jedynie, że skrobała długopisem po papierze w takim tempie, jak gdyby brała udział w jakimś konkursie.

Zawsze gorzej znosiłam Biały Szum niż pozostałe dziewczęta w moim Baraku, ale krew...? Nigdy.

Pisząc w notatniku, doktor Begbie cichutko nuciła pod nosem. Wydawało mi się, że była to piosenka Rolling Stonesów.

Ona współpracuje z władzami obozu, przypomniałam sobie. Jest jedną z nich.

Ale... w innych okolicznościach mogłaby nie być. Mimo że nosiła fartuch, doktor Begbie wyglądała na niewiele starszą ode mnie. Miała młodą twarz, co poza murami obozu pewnie znacznie utrudniało jej życie. Zawsze wydawało mi się, że ludzie urodzeni przed Generacją Świrów mają szczęście. Nie znali strachu, który odczuwaliśmy na myśl o przejściu z dzieciństwa w okres dorastania. Z tego, co wiedziałam, nastolatki, które ukończyły trzynaście lat, zanim zaczęto zamykać dzieciaki w obozach, mogły odetchnąć z ulgą - udało im się ominąć Obóz Odmieńców na planszy życia i otrzymać przepustkę prosto do Normalności. Jednak kiedy spoglądałam na doktor Begbie - na jej twarz pokrytą głębokimi zmarszczkami, których nie powinno się widzieć u osoby w jej wieku, nie byłam już taka pewna, że wszyscy oni wyszli z tego bez szwanku. Tak czy owak, ich los był lepszy niż nasz.

Zdolności. Moce, które wymykały się naukowym wyjaśnieniom, umiejętności mentalne tak niezwykłe, że lekarze i naukowcy nazwali całe nasze pokolenie Pokoleniem Psi. Przestano uważać nas za ludzi. Nasze umysły nie wpasowywały się w ten szablon.

- Z karty chorego wynika, że w czasie selekcji przydzielono cię do grupy ponadprzeciętnie inteligentnych - powiedziała po chwili doktor Begbie. - Czy naukowiec, który cię badał, przeprowadził wszystkie testy?

Zmroziło mnie. Może i nie rozumiałam wielu spraw, a edukację skończyłam na poziomie czwartej klasy szkoły podstawowej, ale wiedziałam, kiedy ktoś próbuje ze mnie wyciągnąć jakieś informacje. SSP bez skrupułów przerzuciło się na taktykę zastraszania, ale w przeszłości bywało, że przesłuchiwali nas łagodnym tonem. Ich fałszywe współczucie cuchnęło jak nieświeży oddech.

Czy ona wie? Może kiedy byłam nieprzytomna, przeprowadziła kilka badań i zrobiła mi tomografię mózgu albo zbadała krew czy coś w tym stylu? Jeden po drugim zagięłam wszystkie palce, tak że obie dłonie zaciskałam teraz w pięści.

Próbowałam zebrać myśli, ale w głowie wciąż miałam najgorszy scenariusz. Strach sprawił, że wszystko nagle straciło ostrość.

Jej pytanie zawisło w powietrzu gdzieś pomiędzy prawdą a kłamstwem.

Na odgłos stukania butów po nieskazitelnie czystej podłodze oderwałam wzrok od lekarki. Każdy krok był niczym ostrzeżenie. Wiedziałam, że ktoś nadchodzi, jeszcze zanim doktor Begbie odwróciła głowę. Poruszyła się, żeby odejść od mojego łóżka, ale nie pozwoliłam jej na to. Nie wiem, co mnie opętało, ale chwyciłam ją za nadgarstek, a w mojej głowie zaczęła się przewijać lista kar grożących za dotknięcie funkcjonariusza obozu, przeskakując niczym zarysowana płyta - każda rysa głębsza od poprzedniej.

Nie wolno nam było nikogo dotykać - nawet siebie nawzajem.

- Tym razem było inaczej - wyszeptałam, a słowa więzły mi w gardle. Nie poznawałam własnego głosu. Był... zdławiony, słaby.

Doktor Begbie zdążyła jedynie skinąć głową. Jej ledwo zauważalny, delikatny gest poprzedził moment, w którym ktoś gwałtownie odsunął zasłonę.

Widziałam już tego żołnierza SSP - Sam nazywała go Grinchem, ponieważ wyglądał jak tytułowy bohater filmu, brakowało mu tylko zielonego odcienia skóry.

Grinch obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, a jego górna warga uniosła się w irytacji. Następnie przywołał do siebie lekarkę. Westchnęła i położyła mi swój notatnik na kolanach.

- Dziękuję, Ruby - powiedziała. - Jeżeli ból się nasili, poproś kogoś o pomoc, dobrze?

Czy ona się naćpała? Kto niby miałby mi pomóc? Ten dzieciak na łóżku obok, który właśnie wymiotował żółcią?

Mimo to skinęłam głową i patrzyłam, jak odwraca się, żeby odejść. Na koniec mignęła mi jeszcze jej dłoń zasuwająca zasłonę dookoła mojego łóżka. To miłe, że chciała mi dać odrobinę prywatności, ale było to trochę naiwne, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę czarne kamery zawieszone pomiędzy kozetkami.

Szklane kopułki kamer zainstalowane były na całym terenie Thurmond - ich pozbawione powiek oczy obserwowały nas na każdym kroku, nigdy nawet nie mrugnąwszy. W naszym Baraku były aż dwie kamery, po jednej na każdym końcu pomieszczenia, a także jedna na zewnątrz, tuż nad drzwiami. Wydawało się to przesadą, ale kiedy trafiłam do obozu, było nas tak mało, że strażnicy rzeczywiście obserwowali nas dzień w dzień, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dziwię się, iż mózgi nie eksplodowały im z nudy.

Trzeba było zmrużyć powieki, żeby dojrzeć maleńkie czerwone światełko w głębi czarnego oka - jedyny dowód na to, że kamera wycelowana była właśnie w patrzącego. Na przestrzeni lat, kiedy do Thurmond dawnymi szkolnymi autobusami zwożono coraz więcej dzieci, Sam i ja zaczęłyśmy zauważać, że w kamerach w naszym Baraku coraz rzadziej mrugały światełka. Podobnie było z kamerami w Pralni, Umywalni i Stołówce. Wyglądało na to, że coraz trudniej było im obserwować każde spośród trzech tysięcy dzieciaków

rozproszonych po całym terenie obozu.

Mimo to obserwowali nas na tyle często, że udało im się zasiać w nas lęk. Istniała spora szansa, że zostanie się przyłapanym na ćwiczeniu swoich umiejętności, nawet jeśli robiło się to pod osłoną nocy.

Mrugające światełka kamer miały taki sam odcień, jak krwistoczerwone opaski, które żołnierze SSP nosili na prawym ramieniu powyżej łokcia. Na karmazynowej tkaninie wyszyty był symbol y zdradzający ich nieszczęsną rolę opiekunów ześwirowanej młodzieży.

W kamerze nad moją głową nie było czerwonego światełka. Kiedy to zauważyłam, ogarnęła mnie ulga, od której powietrze wokół nasyciło się słodyczą. Przez chwilę byłam sama - nikt mnie nie pilnował. W Thurmond był to niemal niespotykany luksus.

Doktor Begbie - Cate - nie zasunęła zasłony do końca, a kiedy inny lekarz w pośpiechu przeszedł korytarzem, cienka biała tkanina jeszcze bardziej się odsunęła. Moim oczom ukazał się fragment znajomego błękitu. Z portretu spoglądał na mnie chłopiec w wieku mniej więcej dwunastu lat. Jego włosy miały taki sam odcień jak moje - ciemnobrązowy, niemal czarny - ale podczas gdy moje oczy były jasnozielone, jego były tak ciemne, że żarzyły się z oddali. Uśmiechał się jak zwykle, z rękami złożonymi na kolanach, ubrany w nieskazitelny ciemny szkolny mundurek. Clancy Gray, pierwszy więzień Thurmond.

Co najmniej dwa oprawione w ramki zdjęcia Clancyego wisiały w Stołówce, jedno w kuchni, a kilka innych przybitych było do zewnętrznych ścian budynków gospodarczych, w których pracowali Zieloni. Dużo łatwiej przychodziło mi przywołanie w myślach twarzy Clancyego niż mojej mamy.

Zmusiłam się, by odwrócić wzrok od jego dumnego, niewzruszonego uśmiechu. Może i jemu udało się stąd wydostać, ale my wciąż tu tkwiliśmy.

Kiedy próbowałam zmienić pozycję, notes doktor Begbie zsunął mi się z kolan i wylądował w zgięciu mojego lewego łokcia.

Wiedziałam, że mogą mnie obserwować, ale nic mnie to nie obchodziło. Nie wtedy, gdy odpowiedzi znajdowały się w zasięgu mojej dłoni. Skoro nie chciała, żebym je zobaczyła, dlaczego zostawiła swój notes tuż pod moim nosem? Dlaczego nie zabrała go ze sobą, jak zrobiliby to inni lekarze?

Czym różnił się ten Biały Szum od poprzednich?

Czego zdołali się domyślić?

Tuż nade mną żarzyły się pozbawione osłon jarzeniówki, które wyglądały jak długie, rozpalone kości. Wydawały buczący dźwięk, przez co miałam wrażenie, że wokół mnie krąży chmara much. Kiedy odwróciłam notes, buczenie się nasiliło.

Nie była to moja karta choroby.

Nie była to lista odniesionych przeze mnie obrażeń lub ich braku.

Nie były to też moje odpowiedzi na pytania zadane mi przez doktor Begbie.

Był to liścik o następującej treści: Nowej formuły Paralizatora użyto, aby namierzyć niewykrytych Żółtych, Pomarańczowych i Czerwonych. Twoja reakcja dała im pewność, że nie jesteś Zielona. Jeżeli mnie nie posłuchasz, jutro Cię zabiją.

Drżały mi dłonie. Musiałam położyć notes na kolanach, żeby przeczytać resztę.

Mogę Cię stąd uwolnić. Zanim pójdziesz spać, weź dwie tabletki ukryte pod tą kartką. Nie może Cię zobaczyć żaden żołnierz SSP. Jeśli tego nie zrobisz, nie zdradzę nikomu Twojego sekretu, ale dopóki tu jesteś, nie mogę Cię chronić. Zniszcz ten list.

Podpis głosił: Twoja przyjaciółka, jeżeli tylko mi na to pozwolisz.

Przeczytałam go raz jeszcze, a następnie wyrwałam kartkę z notesu i wetknęłam ją sobie do ust. Smakowała jak chleb, który podawano nam tu na obiad.

Tabletki znajdowały się w maleńkiej foliowej torebeczce przypiętej do mojej prawdziwej karty choroby. Pacjentka 3285 uderzyła głową o ziemię i straciła przytomność. Nos uszkodzony w wyniku uderzenia łokciem przez Pacjentkę 3286. Możliwy wstrząs mózgu.

Kusiło mnie, żeby spojrzeć w górę - żeby zajrzeć w czarną źrenicę kamery, ale powstrzymałam się. Wzięłam tabletki i schowałam je do swojego sportowego stanika. Władze obozu wręczyły nam je, uświadomiwszy sobie, że tysiąc pięćset nastolatek nie zawsze będzie miało dwanaście lat i płaską klatkę piersiową. Nie wiedziałam, co robię. Naprawdę nie miałam zielonego pojęcia. Serce waliło mi tak szybko, że przez chwilę nie mogłam zaczerpnąć powietrza.

Dlaczego doktor Begbie to zrobiła? Wiedziała, że nie jestem Zielona, ale zataiła to i skłamała w raporcie - czy to był jakiś podstęp? Chciała sprawdzić, czy się przyznam?

Przycisnęłam dłonie do twarzy. Czułam, jak od paczuszki z tabletkami piecze mnie skóra.

...jutro Cię zabiją.

Na co w ogóle czekali? Dlaczego nie wsadzili mnie do autobusu i od razu nie zastrzelili? Czy właśnie nie tak postąpili z innymi? Z Żółtymi, Pomarańczowymi i Czerwonymi? Zabili ich, ponieważ byli zbyt niebezpieczni.

Ja także jestem zbyt niebezpieczna.

Nie wiedziałam, jak używać swoich umiejętności. Nie przypominałam innych Pomarańczowych, którzy potrafili wydawać polecenia i podsuwać innym okropne myśli.

Dysponowałam mocą, ale nie miałam nad nią żadnej kontroli. Przynosiła mi ona jedynie ból, żadnych korzyści.

Odkryłam, że aby przywołać swoje umiejętności, musiałam kogoś dotknąć, jednak nawet wtedy tylko zaglądałam do ich myśli i wcale nie mogłam im w nich namieszać. Nigdy nie próbowałam wcisnąć komuś do głowy jakiejś myśl i to wcale nie dlatego, że nie miałam ku temu okazji ani specjalnej ochoty. Każde wślizgnięcie się do czyjegoś umysłu powodowało u mnie chaos myśli, obrazów, słów i bólu. Mijały godziny, zanim udało mi się wrócić do siebie.

Wyobraź sobie, że ktoś sięga ręką do twojej klatki piersiowej, przebija się przez kości, krew i wnętrzności, a następnie z całej siły zaciska palce na rdzeniu kręgowym. Teraz wyobraź sobie, że ten ktoś zaczyna tobą potrząsać z taką siłą, że ziemia usuwa ci się spod nóg. Wyobraź sobie, że po tym wszystkim nie masz pojęcia, czy myśli, które masz w głowie, należą do ciebie, czy są mimowolną pamiątką z czyjegoś umysłu. Wyobraź sobie poczucie winy, jakie rodzi się w twoim sercu, kiedy zdasz sobie sprawę, że poznałeś czyjeś najgłębsze, najmroczniejsze tajemnice i lęki. Wyobraź sobie, że następnego ranka musisz spojrzeć mu w oczy i udawać, że nie masz pojęcia o razach wymierzanych komuś przez ojca, o różowej sukience, którą jedna z dziewcząt miała na sobie na przyjęciu z okazji piątych urodzin, o fantazjach, które ktoś z nich snuje na temat jakiegoś chłopaka czy dziewczyny, ani o zwierzętach z sąsiedztwa, które zabijali dla zabawy.

Na koniec wyobraź sobie rozdzierającą migrenę, która zawsze towarzyszy temu procesowi i trwa od kilku godzin do kilku dni. Tak to właśnie wyglądało. I dlatego starałam się unikać nawet najmniejszego dotyku, jak chociażby otarcie się o kogoś w przejściu. Wiedziałam, jakie są tego konsekwencje. Nawet te najmniejsze.

A teraz wiedziałam także, co mi zrobią, jeśli odkryją moją prawdziwą naturę.

W samą porę odwróciłam notes. Ten sam żołnierz SSP pojawił się znowu przy mojej zasłonce i gwałtownie ją rozsunął.

- Wracasz do Baraku - powiedział. - Chodź ze mną.

Do Baraku? Przyglądałam mu się badawczo, szukając w jego twarzy dowodów na to, że kłamie, ale nie dostrzegłam niczego poza charakterystycznym dla niego rozdrażnieniem. Zdobyłam się jedynie na skinienie głową. Moje ciało było jednym wielkim trzęsawiskiem strachu, a kiedy tylko moje stopy dotknęły ziemi, poczułam się tak, jakby ktoś odkorkował mi głowę, z której wszystko się nagle wylało - każda myśl, każdy lęk i obraz. Opadłam na poręcz łóżka, próbując zachować przytomność.

Czarne punkciki wciąż przepływały mi przed oczami, kiedy funkcjonariusz wrzasnął:

- Pospiesz się! Nie myśl sobie, że jak odstawisz mi tu pokaz, to pozwolimy ci zostać w Infirmerii na kolejną noc!

Mimo surowości jego słów na twarzy żołnierza pojawił się cień strachu. Ten moment - przejście od strachu do furii - można by uznać za podsumowanie nastroju wszystkich funkcjonariuszy w Thurmond. Słyszeliśmy pogłoski, że służba w wojsku nie była już dobrowolna i że musiał ją odbyć każdy pomiędzy dwudziestym drugim a czterdziestym rokiem życia. Większość rekrutów została oddelegowana do nowej jednostki Psi.

Zacisnęłam zęby. Wszystko wokół wirowało, próbując mnie wciągnąć z powrotem w czarną otchłań. Nagle dotarły do mnie słowa żołnierza.

Jeszcze jedną noc? Jak długo tu jestem?

Zamroczona, ruszyłam za nim korytarzem. Infirmeria składała się jedynie z dwóch pięter o niewielkiej powierzchni. Sufit był tak niski, że nawet ja miałam wrażenie, iż lada chwila zawadzę głową o futrynę drzwi. Na pierwszym piętrze znajdowały się kozetki, a drugie przeznaczone było dla dzieci, które potrzebowały czegoś, co nazywaliśmy Przerwą. Czasem chorowały na coś, czym reszta mogła się zarazić, jednak w większości przypadków trafiały tam dzieciaki, którym kompletnie odbiło - kalekie umysły jeszcze bardziej okaleczone przez Thurmond.

Próbowałam skupić wzrok na łopatkach idącego przede mną żołnierza, poruszających się pod jego czarnym uniformem, ale pokusa, żeby się rozglądać, była zbyt wielka, ponieważ zasłony wokół mijanych przez nas łóżek były w dużej mierze porozsuwane. Większość udało mi się zignorować lub obrzucić jedynie szybkim spojrzeniem, ale przedostatnie łóżko nieopodal wyjścia...

Moje stopy bezwiednie zwolniły kroku, dając mi czas na wciągnięcie w płuca zapachu rozmarynu.

Słyszałam łagodny głos doktor Begbie, która rozmawiała z jednym z Zielonych. Rozpoznawałam go - jego Barak mieścił się naprzeciwko naszego. Matthew? A może Max? Wiedziałam jedynie, że jego twarz także była zakrwawiona. Zaschnięta krew znaczyła jego nos i oczy, była rozmazana po policzkach. Poczułam ciężar w brzuchu. Czy ten Zielony także został rozpoznany?

Czy doktor Begbie przedstawiła mu taką samą propozycję? Przecież nie mogłam być jedyną osobą, która wpadła na to, jak przechytrzyć system selekcji - kogo zmanipulować i kiedy skłamać.

Może on i ja skrywaliśmy pod skórą ten sam kolor.

I może oboje mieliśmy być jutro martwi.

- Nie ociągaj się! - warknął funkcjonariusz SSP. Nie próbował nawet ukryć rozdrażnienia, kiedy kuśtykałam za nim, ale nie miał się czym martwić. Nawet gdyby ktoś mi zapłacił, nie miałabym ochoty zostać w Infirmerii. Nie teraz, będąc przytomna. Nie mogła tego zmienić nawet nowa groźba, która ciążyła nad moją głową. Wiedziałam, co się tu kiedyś działo.

Wiedziałam, co kryło się pod kilkoma warstwami białej farby.

Pierwsze przywiezione tu dzieci traktowano jak króliki doświadczalne. Poddano je całej gamie elektrowstrząsów i eksperymentów, podczas których rozbierano im mózgi na czynniki pierwsze. Po obozie krążyły historie, które niemal z namaszczeniem przekazywano sobie z ust do ust. Naukowcy szukali sposobów, żeby odrzeć dzieci z ich umiejętności - zrehabilitować je - ale jedyne, co im się udawało, to pozbawienie ich chęci do życia. Tym dzieciom, którym udało się ujść cało, powierzono rolę strażników, kiedy do obozu trafiła pierwsza mała grupka-dzieci. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności trafiłam tu wraz z drugą falą więźniów. Każdy z następnych transportów był większy, Thurmond się rozbudowywał, aż trzy lata temu w obozie zabrakło miejsca. Autobusy przestały przyjeżdżać.

Żołnierz uznał, że nadal poruszam się zbyt wolno. Popchnął mnie, kiedy szliśmy przez korytarz obwieszony lustrami. Z góry zalewało nas krwawe światło znaku wskazującego wyjście. Mężczyzna znów mnie popchnął, tym razem mocniej, i uśmiechnął się, kiedy upadłam. Ogarnęła mnie złość, przedzierając się przez uciążliwy ból, który odczuwałam w kończynach, i lęk, że żołnierz zabiera mnie gdzieś, gdzie zamierza wypełnić powierzony mu rozkaz.

Po chwili staliśmy już na zewnątrz, wdychając wilgotne wiosenne powietrze. Wciągnęłam do płuc woń deszczu i przełknęłam jego gorycz. Musiałam pomyśleć. Ocenić sytuację. Jeżeli zabierał mnie na zewnątrz, żeby mnie zastrzelić, i jeżeli był sam, być może udałoby mi się go obezwładnić. To nie sprawiłoby mi większego kłopotu. Jednak nie miałam szansy na przedostanie się przez ogrodzenie elektryczne - nie miałam też pojęcia, gdzie ja, u licha, jestem.

Kiedy przywieziono mnie do Thurmond, swojskość krajobrazu była raczej pocieszeniem niż bolesnym przypomnieniem przeszłości, Wirginia Zachodnia nie różni się tak bardzo od Wirginii, mimo że mieszkańcy obu stanów pewnie by się z tym nie zgodzili. Te same drzewa, to samo niebo, ta sama kapryśna pogoda - często albo byłam przemoczona od deszczu, albo kleiłam się od wilgoci. Właściwie mogła to w ogóle nie być Wirginia Zachodnia, jednak dziewczyna w moim Baraku przysięgała, że w drodze do obozu widziała znak witajcie w wirginii zachodniej, więc postanowiliśmy się tego trzymać.

Żołnierz znacznie zwolnił, tak by zrównać się ze mną, posuwającą się naprzód w żałosnym tempie. Raz czy drugi poślizgnął się na zabłoconej trawie, niemal wywracając się ku uciesze strażników, którzy spoglądali na nas z Wieży Kontrolnej.

Kiedy moim oczom ukazała się Wieża, do żelaznej kuli strachu, którą za sobą ciągnęłam, dołączył nowy ciężar. Sam budynek nie był zbyt imponujący. Nazywano go Wieżą tylko dlatego, że wyglądał jak złamany palec wyrastający z morza jednopiętrowych drewnianych bud ustawionych na planie okręgu. Ogrodzenie elektryczne tworzyło zewnętrzny krąg, izolując świat od nas - świrów. Baraki Zielonych tworzyły dwa pierwsze kręgi, a Niebieskich dwa kolejne. Jeszcze zanim ich wywieziono, kilkoro Czerwonych i Pomarańczowych mieszkało w dwóch pozostałych. Początkowo znajdowali się najbliżej Wieży - władze obozu uznały, że lepiej mieć ich na oku. Jednak kiedy jeden z Czerwonych wysadził swój Barak w powietrze, przeniesiono ich dalej, a z Zielonych na wszelki wypadek utworzono obszar buforowy, w razie gdyby jeden z naprawdę niebezpiecznych dzieciaków próbował przedostać się przez ogrodzenie.

Liczba prób ucieczki?

Pięć.

Liczba prób zakończonych sukcesem?

Zero.

Nie znam nikogo spośród Niebieskich czy Zielonych, którzy by się na to odważyli. Owszem, zdarzały się desperackie, żałosne plany ucieczki, ale dotyczyły one małych grupek Czerwonych, Pomarańczowych i Żółtych. Schwytano ich i zniknęli na zawsze.

To jednak zdarzyło się na samym początku, kiedy mieliśmy jeszcze kontakt z innymi kolorami - zanim nas posegregowano. Puste Baraki po Czerwonych, Pomarańczowych i Żółtych zajęli Niebiescy, a nowo przybyłych Zielonych, największą grupę ze wszystkich, umieszczono w dawnej kwaterze Niebieskich. Obóz rozrósł się do tego stopnia, że władze ułożyły specjalny harmonogram, tak że spożywaliśmy posiłki według koloru i płci, a nawet wtedy trudno było im pomieścić wszystkich przy stołach. Od lat nie widziałam z bliska chłopca w moim wieku.

Zaczerpnęłam kolejny oddech dopiero wtedy, kiedy minęliśmy Wieżę i nie było już cienia wątpliwości, dokąd zmierzamy.

Dziękuję, pomyślałam, nie kierując tych słów do żadnego konkretnego adresata. Ogarnęła mnie taka ulga, że aż ścisnęło mnie w gardle.

Kilka minut później dotarliśmy do Baraku numer dwadzieścia siedem. Żołnierz SSP podprowadził mnie pod drzwi i wskazał na znajdujący się po lewej stronie kran. Skinęłam

głową i zimną wodą zmyłam krew z twarzy. Czekał w milczeniu, chociaż widziałam, że jest zniecierpliwiony. Po kilku sekundach chwycił mnie za koszulę i szarpnął do góry. Drugą ręką przeciągnął kartę dostępu przez zamek w drzwiach.

Ashley, jedna ze starszych dziewcząt w naszym Baraku, szerzej rozwarła drzwi, wzięła mnie pod ramię i kiwnęła głową w stronę żołnierza. To mu najwyraźniej wystarczyło. Odwrócił się i odszedł bez słowa.

- Jezus Maria - syknęła i wciągnęła mnie do środka. - Nie mogli cię tam jeszcze trochę potrzymać? Musieli odesłać cię wcześniej? Czy to... krew?

Próbowałam się od niej opędzić, ale odsunęła moje ręce i odgarnęła mi z twarzy długie ciemne włosy. Na początku nie wiedziałam, dlaczego spogląda na mnie szeroko otwartymi, zaróżowionymi oczyma. Przygryzła dolną wargę.

- Ja naprawdę... myślałam, że... - Nadal stałyśmy w drzwiach, ale czułam zimno panujące w Baraku. Owinęło moją skórę jak chłodny jedwab.

Ashley zbyt długo przebywała w obozie, by teraz pęknąć, ale i tak byłam zdziwiona, widząc, jak jest wyczerpana i jak nie potrafi wydobyć z siebie słów. Ona i kilkoro innych dziewcząt przewodziło naszej żałosnej, źle dobranej grupce. Otrzymały tę rolę głównie dlatego, że szybciej niż reszta osiągnęły dojrzałość fizyczną i nie wyśmiewając nas, mogły nam wyjaśnić procesy zachodzące w naszych ciałach.

Uśmiechnęłam się nieznacznie i wzruszyłam ramionami, nagle nie umiejąc znaleźć odpowiednich słów. Ashley nie wyglądała jednak na przekonaną i wciąż nie puszczała mojego ramienia. W Baraku panowały wilgoć i mrok, a znajomy zapach pleśni przylgnął do każdego centymetra powierzchni, ja jednak i tak wolałam go od czystej, sterylnej woni Infirmerii.

- Daj mi... - Ashley głęboko wciągnęła powietrze - daj mi znać, jeżeli źle się poczujesz, dobrze?

I co niby wtedy zrobisz?, miałam ochotę zapytać. Zamiast tego odwróciłam się w stronę lewego narożnika naszego ciasnego Baraku. Wśród szeptów i ukradkowych spojrzeń slalomem minęłam rzędy piętrowych łóżek. Miałam wrażenie, że tabletki wciśnięte za stanik rozpalone są do białości.

-... że już po niej - usłyszałam.

Vanessa, która zajmowała dolną pryczę łóżka ustawionego na prawo od mojego posłania, zakradła się do Sam. Kiedy mnie zauważyły, urwały w pół zdania i spojrzały na mnie z pogardą. Miały szeroko rozwarte oczy i jeszcze szerzej otwarte usta.

Wciąż robiło mi się niedobrze, kiedy widziałam je razem, mimo że minął już prawie

rok. Ileż to dni i nocy spędziłam na górnej pryczy razem z Sam, stanowczo ignorując Vanessę, która zawsze próbowała nas wciągnąć w jakąś głupią, bezsensowną rozmowę?

Nie minęły nawet dwie godziny, odkąd zwolniła się posada najlepszej przyjaciółki Sam, a Vanessa natychmiast wślizgnęła się na moje miejsce i nie było dnia, by mi o tym nie przypominała.

- Co... - Sam wychyliła się przez poręcz łóżka. Nie była wyniosła ani wroga jak zwykle. Wyglądała na... zaniepokojoną? Zaciekawioną? - Co ci się stało?

Potrząsnęłam głową, a od tych wszystkich słów, które chciałam powiedzieć, aż ścisnęło mnie w piersi.

Vanessa roześmiała się szyderczo.

- Super, naprawdę super. A ty się zastanawiasz, dlaczego ona nie chce się już z tobą przyjaźnić.

- Ja nie... - wymamrotała Sam. - Nieważne.

Czasem zastanawiałam się, czy gdzieś w głębi duszy Sam pamiętała nie tylko mnie, ale i dziewczynę, którą była, zanim ją zniszczyłam. To niezwykłe, z jaką łatwością wymazałam każdą dobrą cechę Sam - a przynajmniej wszystko to, co w niej kochałam. Wystarczył jeden dotyk.

Kilkoro dziewcząt pytało mnie, co się między nami wydarzyło. Pewnie większość uznała, że Sam jest po prostu okrutna, upierając się, iż nigdy nie byłyśmy ani nie będziemy przyjaciółkami. Próbowałam zbyć to wzruszeniem ramion, ale Sam była jedyną osobą, dzięki której Thurmond wydawało mi się znośne. Bez niej moje życie tutaj było nic niewarte.

Nic niewarte.

Pomacałam palcami paczkę tabletek.

W naszym Baraku wszystko było brązowe. Poza brązem jedynym kolorem była tu biel pościeli, a z biegiem lat i ta zdążyła brzydko pożółknąć. Nie było tu półek z książkami, plakatów ani zdjęć. Tylko my.

Wczołgałam się na dolną pryczę, rzuciłam się twarzą w podniszczoną pościel i wdychałam jej znajomy zapach - wybielacza, potu i wyraźną woń ziemi - próbując nie słuchać konwersacji, która toczyła się tuż nad moją głową.

Wydaje mi się, że jakaś część mnie czekała w desperacji na to, czy uda mi się naprawić to, co zrobiłam swojej przyjaciółce. Ale co się stało, to się nie odstanie. Było już po wszystkim - odeszła i to wyłącznie z mojej winy. Najlepsze, co mogłam zrobić, to zniknąć. Nawet jeżeli doktor Begbie wciągała mnie w zasadzkę i jeżeli tak naprawdę chcieli się mnie pozbyć, nie znaleźliby między nami związku. Nie przesłuchają Sam ani jej nie ukarzą,

myśląc, że pomogła mi się ukryć, a z pewnością by to zrobili, gdybyśmy nadal się przyjaźniły. W Thurmond było nas ponad trzy tysiące, a ja byłam ostatnią spośród Pomarańczowych - może nawet ostatnią na świecie. Albo jedną z dwojga, jeśli chłopiec z Infirmerii był taki sam jak ja. Prędzej czy później i tak odkryliby prawdę.

Byłam niebezpieczna i doskonale wiedziałam, co robili z takimi jak ja.

Każdy dzień w obozie wyglądał tak samo i miał swój ustalony porządek. Teraz jak zwykle zaprowadzono nas do Stołówki na kolację, następnie do Umywalni, a na noc z powrotem do Baraków. Na zewnątrz gasło powoli światło dnia, które ustępowało miejsca pierwszym cieniom nocy.

- Dobrze, koteczki - odezwała się Ashley. - Mamy dziesięć minut do ciszy nocnej. Czyja dziś kolej?

- Moja. Czy mam zacząć od momentu, w którym skończyłyśmy? - Rachel znajdowała się na drugim końcu pomieszczenia, ale jej piszczący głos docierał aż do mnie.

Można było wręcz usłyszeć, jak Ashley przewraca oczami.

- Tak, Rachel. Przecież zawsze tak robimy.

- Dobra... czyli... czyli księżniczka. Była w wieży i nadal była bardzo, bardzo smutna.

- Dziewczyno - wtrąciła się Ashley - albo się trochę postarasz, albo olejemy twoje nudzenie i przejdziemy do następnej osoby.

- Dobrze - pisnęła Rachel. Przewróciłam się na bok, próbując wypatrzeć ją pośród rzędów piętrowych łóżek. - Księżniczka cierpiała okropne męki... Okropne, okropne męki...

- O Boże - powiedziała tylko Ashley. - Kto następny?

Macey najlepiej, jak umiała, połączyła chaotyczne wątki opowieści.

- Kiedy księżniczka siedziała zamknięta w wieży, myślała jedynie o księciu.

Przegapiłam zakończenie tej historii. Powieki za bardzo mi ciążyły.

Jeżeli mogłabym tęsknić za czymkolwiek w Thurmond, to właśnie za tym, pomyślałam, czując nadchodzący sen. Za tymi cichymi chwilami, kiedy mogłyśmy rozmawiać o sprawach zakazanych.

Musiałyśmy znaleźć sposób, żeby się rozerwać, ponieważ nie miałyśmy tu żadnych przygód - żadnych snów ani marzeń o przyszłości - poza tymi, które układałyśmy w wyobraźni.

Połknęłam dwie tabletki naraz, a na języku wciąż czułam posmak rosołu, który podano nam na kolację.

Światła w Baraku zgaszone były od trzech godzin, a od dwóch słyszałam chrapanie Sam. Otworzyłam plastikową torebkę i wyrzuciłam sobie tabletki na rękę. Wsunęłam

woreczek z powrotem do stanika i pierwsza pigułka powędrowała do moich ust. Tak długo przyciskałam je do skóry, że była ciepła, co wcale nie ułatwiało mi jej połknięcia. Póki wciąż miałam odwagę, wsadziłam do ust kolejną tabletkę i krzywiąc się, z trudem ją przełknęłam.

Mogłam jedynie czekać.

5

Nie pamiętam, kiedy zasnęłam. Pamiętam natomiast, kiedy się przebudziłam. Trudno było o tym zapomnieć - miałam takie drgawki, że spadłam z łóżka, uderzając twarzą w sąsiednią pryczę.

Vanessa naprawdę musiała się wystraszyć nagłego łoskotu i szarpnięcia, ponieważ usłyszałam, jak mówi:

- Co do... Ruby? To ty?

Nie mogłam się podnieść. Poczułam na twarzy jej dłonie i pojęłam, że nie wymawia już mojego imienia szeptem. Ona je wykrzykiwała.

- O Boże - usłyszałam głos, który przypominał głos Sam, jednak nie mogłam otworzyć oczu.

-... alarm!

Poczułam na nogach ciężar Ashley. Wiedziałam, że to ona, mimo że co chwilę traciłam przytomność, a pod powiekami buzował mi rozżarzony do białości ogień. Ktoś wcisnął mi do ust coś gumowego i twardego. W ustach czułam smak krwi, ale nie byłam pewna, czy pochodzi ona z mojego języka, ust czy...

Dwie pary rąk podniosły mnie z ziemi i opuściły na jakąś inną powierzchnię. Nadal nie mogłam otworzyć oczu i paliło mnie w piersi. Nie mogłam przestać się trząść i traciłam czucie w kończynach.

Wtedy poczułam zapach rozmarynu, delikatne, chłodne dłonie na piersi, a po chwili już nic.

Odzyskałam przytomność, kiedy ktoś wymierzył mi silny cios w twarz.

- Ruby - usłyszałam. - No już, wiem, że mnie słyszysz. Musisz się obudzić.

Z trudem uniosłam powieki, próbując przyzwyczaić się do jasnego światła zalewającego pomieszczenie. Gdzieś obok uchyliły się drzwi, które po chwili zamknęły się z trzaskiem.

- Czy to ona? - zapytał nowy głos. - Podasz jej coś na sen?

- Nie, jej nic nie podam - odparł pierwszy głos. Znałam go. Był równie słodki jak wcześniej, jednak tym razem kryło się w nim napięcie. Doktor Begbie wsunęła mi ręce pod pachy i pomogła mi się podnieść. - Ona jest twarda. Da sobie radę.

Poczułam odrażający fetor. Połączenie kwasu i zgnilizny. Gwałtownie otworzyłam oczy

Doktor Begbie klęczała obok mnie i machała mi czymś przed nosem.

- Co...?

Drugi głos należał do innej młodej kobiety. Miała ciemnobrązowe włosy i bladą cerę, jednak nie wyróżniała się niczym więcej. Nie zdając sobie sprawy, że się jej przyglądam, zdjęła niebieski fartuch i rzuciła go doktor Begbie.

Nie wiedziałam, gdzie jesteśmy. W małym pomieszczeniu całą przestrzeń zajmowały półki wypełnione buteleczkami i pudełkami. Nie czułam żadnego zapachu, poza tym, którym ocuciła mnie doktor Begbie.

- Włóż to - powiedziała, stawiając mnie na nogi i nie zwracając uwagi na to, czy moje stopy są na to przygotowane czy nie. - Szybciej, Ruby, musimy się spieszyć.

Moje ciało było ociężałe i strzykało mi we wszystkich stawach, jednak zrobiłam to, co mi kazano, i naciągnęłam fartuch na uniform. Kiedy się ubierałam, druga kobieta splotła ręce za plecami i pozwoliła, by doktor Begbie owinęła je grubą srebrną taśmą izolacyjną. Następnie zrobiła to samo ze stopami kobiety.

- Masz się z nimi spotkać w Harvey. Jedź drogą numer 2x5.

- Wiem, wiem - powiedziała doktor Begbie, po czym odgryzła kolejny kawałek taśmy i zakleiła nim usta kobiety. - Powodzenia.

- Co robisz? - zapytałam. Drapało mnie w gardle, a kiedy mówiłam, miałam wrażenie, że pęka mi skóra wokół ust. Lekarka zebrała mi włosy w niedbały kok, po czym związała go gumką re-cepturką. Druga kobieta obserwowała, jak doktor Begbie zawiesza mi na szyi jej identyfikator, a następnie wkłada na twarz maskę chirurgiczną.

- Wszystko ci wyjaśnię, kiedy się stąd wydostaniemy, ale na razie nie mamy czasu do stracenia. Za dwadzieścia minut zaczyna się obchód - powiedziała. - Nie możesz się odzywać, zrozumiałaś? Rób to, co ja.

Skinęłam głową i pozwoliłam, by wypchnęła mnie z ciemnego pomieszczenia na słabo oświetlony korytarz Infirmerii. Znów poczułam, że omdlewają mi nogi, ale doktor Begbie nie pozwoliła, by nam to przeszkodziło. Przejęła większość mojego ciężaru, zarzucając sobie moje ramię na szyję.

- Ruszyłyśmy - wymamrotała. - Przywróćcie rzeczywisty obraz kamer.

Spojrzałam na nią, ale nie mówiła do mnie. Szeptała do broszki w kształcie złotego łabędzia.

- Ani słowa - przypomniała mi, kiedy skręciłyśmy w kolejny kręty korytarz.

Szłyśmy tak szybko, że pęd powietrza poruszał zasłonami wokół mijanych przez nas szpitalnych łóżek. Ustępujący nam z drogi żołnierze SSP przypominali czarne smugi.

- Przepraszam, przepraszam! - wołała do nich doktor Begbie. - Muszę odstawić ją do

domu!

Śledziłam wzrokiem proste linie kafelków, które przesuwały się pod moimi stopami. Nadal tak mocno kręciło mi się w głowie, że zdałam sobie sprawę, iż wychodzimy z budynku, dopiero wtedy, gdy usłyszałam piknięcie karty, którą doktor Begbie przesunęła przez czytnik na drzwiach, i gdy poczułam na głowie chłodne krople deszczu.

Potężne stadionowe lampy oświetlające obóz włączone były przez całą noc. Reflektory stały na terenie obozu, wielkie jak olbrzymy, jednak mnie przywodziły one na myśl jedynie nocne mecze futbolowe, zapach świeżo skoszonej trawy i tył czerwonej bluzy mojego taty z nazwą jego dawnej szkolnej drużyny, kiedy ile sił w płucach wykrzykiwał: „Atak! Gdzie jest atak!?".

Potykając się, pokonałyśmy kilkaset metrów dzielących In-firmerię od kamienistego parkingu. Nie byłam pewna, czy nie mam halucynacji, ponieważ co chwilę traciłam ostrość widzenia, jednak trudno było nie dosłyszeć chrzęstu opon na żwirowanej nawierzchni i głosu, który krzyczał:

- Wszystko w porządku?!

Poczułam, że doktor Begbie sztywnieje. Próbowałam iść dalej, wspierając się na jej ramieniu, jednak nogi po prostu odmówiły mi posłuszeństwa.

Kiedy znów otworzyłam oczy, siedziałam na ziemi i wpatrywałam się w typowe żołnierskie buty strażnika. Mężczyzna uklęknął przede mną. Doktor Begbie coś do niego mówiła, a jej głos był równie spokojny jak wtedy, gdy rozmawiałam z nią po raz pierwszy.

-... tak chora, że muszę ją odwieźć do domu. Założyłam jej maskę, żeby nikogo nie zaraziła.

Tym razem wyraźniej usłyszałam głos żołnierza.

- Nienawidzę tego, że wciąż coś łapiemy od tych bachorów.

- Mógłby mi pan pomóc podprowadzić ją do mojego jeepa? - zapytała doktor Begbie.

- Skoro jest chora...

- To zajmie tylko chwilę - przerwała mu lekarka. - Obiecuję, że jeśli będzie miał pan jutro choćby katar, osobiście się panem zajmę.

Rozpoznawałam ten głos - był tak słodki, że przypominał delikatne dzwoneczki. Żołnierz zarechotał i poczułam, jak stawia mnie na nogi. Starałam się nie opierać na nim całego ciężaru i z zaciśniętymi zębami znieść drażniące szuranie kroków na żwirze, jednak ledwo mogłam utrzymać głowę tak, by nie opadła mi do tyłu.

- Na przednie siedzenie? - zapytał.

Doktor Begbie już miała odpowiedzieć, kiedy z krótkofalówki żołnierza rozległ się

trzask, a następnie wydobył się z niej głos:

- Punkt kontrolny widzi was na obrazie z monitoringu. Czy potrzebujecie wsparcia?

Funkcjonariusz SSP poczekał, aż doktor Begbie otworzy przednie drzwi od strony pasażera, i posadził mnie na fotelu. Dopiero wtedy odpowiedział:

- Wszystko w porządku. Doktor... - Chwycił mój identyfikator w palce i zbliżył go do oczu. - Doktor Rogers złapała wirusa, który rozprzestrzenia się w obozie. Doktor...

- Begbie - nadeszła błyskawiczna podpowiedź. Lekarka wsunęła się za kierownicę i zatrzasnęła za sobą drzwi. Spojrzałam w bok, przyglądając się, jak próbuje wetknąć kluczyk do stacyjki. Dopiero teraz zauważyłam, że drżą jej ręce.

- Doktor Begbie odwozi ją do domu. Samochód doktor Rogers zostanie tu na noc. Proszę powiadomić o tym poranny patrol.

- Zrozumiałem. Proszę im powiedzieć, żeby kierowały się prosto do bramy Przekażę strażnikom, żeby je przepuścili.

Po kilku zgrzytliwych protestach silnik jeepa zapalił. Spojrzałam przez przednią szybę na elektryczne ogrodzenie i rozciągający się za nim mroczny, znajomy las. Doktor Begbie nachyliła się, by zapiąć mi pas.

- Cholera, naprawdę zwaliło ją z nóg. - Żołnierz SSP wrócił i opierał się o okno od strony kierowcy.

- Podałam jej silne leki - zaśmiała się lekarka. Zakłuło mnie w piersi.

- Więc co z jutrem?

- Proszę do mnie wpaść - powiedziała. - Około trzeciej mam przerwę.

Nie dała mu czasu na odpowiedź. Opony zachrzęściły na żwirze, a wycieraczki zaskrzypiały o szybę. Doktor Begbie zamknęła okno i zamachała przyjaźnie do żołnierza, a drugą ręką wrzuciła wsteczny bieg, żeby wycofać samochód z parkingu. Drobne zielone cyferki na desce rozdzielczej wskazywały 2:45 nad ranem.

- Spróbuj jak najlepiej zakryć twarz - wymamrotała i włączyła radio. Chociaż nie znałam tej piosenki, rozpoznałam głos Davida Gilmoura oraz charakterystyczną dla Pink Floyd opadającą melodię wygrywaną na klawiszach.

Doktor Begbie podkręciła głośność i wyjeżdżając z parkingu, głęboko wciągnęła powietrze. Jej palce wystukiwały na kierownicy nerwowy rytm.

- No dalej, dalej - wyszeptała, ponownie zerkając na zegar. Przed nami czekały w kolejce dwa samochody, a strażnicy przy bramie straszliwie się ociągali z ich przepuszczaniem. Kiedy w końcu auto przed nami zniknęło w mroku, miałam wrażenie, że doktor Begbie jest na skraju załamania nerwowego.

Lekarka zbyt mocno wcisnęła pedał gazu i jeep ostro ruszył naprzód. Kiedy zahamowała, pasy zablokowały się gwałtownie, pozbawiając mnie tchu.

Opuściła szybę, ja jednak byłam zbyt zmęczona, żeby się bać. Przycisnęłam rękę do oczu i głęboko wciągnęłam powietrze. Maska chirurgiczna przywarła do moich ust.

- Zabieram doktor Rogers do domu. Znajdę tylko jej przepustkę...

- Nie trzeba. Z mojego planu wynika, że będzie pani jutro o piętnastej, zgadza się?

- Tak, dziękuję. Proszę zaznaczyć, że doktor Rogers jutro nie będzie.

- Zrozumiałem.

Byłam zbyt wyczerpana, żeby kontrolować błądzące palce mojego umysłu. Kiedy doktor Begbie znów mnie dotknęła, odgarniając mi włosy z twarzy, pod moimi powiekami zrodził się obraz szeroko uśmiechniętego, ciemnowłosego mężczyzny obejmującego doktor Begbie, wirującego z nią po parkiecie w takim tempie, że dobiegł mnie jej radosny śmiech.

Cate uchyliła okna, a powietrze, które wtargnęło do środka, zapachniało deszczem i szybko ukołysało mnie do snu.

6

Kiedy otworzyłam oczy, na zewnątrz nadal panował mrok.

Z wywietrzników dmuchało zimne powietrze, które poruszało żółtą kartonową choineczką zawieszoną na lusterku. Jej waniliowa woń była tak słodka i tak intensywna, że przyprawiała mnie o mdłości. Tuż przy moim uchu Mick Jagger śpiewał piosenkę o wojnie, pokoju i schronieniu - takie tam bujdy. Próbowałam odwrócić twarz od głośnika, z którego płynęły dźwięki ballady, jednak udało mi się tylko pacnąć nosem o szybę i naciągnąć mięsień w karku.

Wyprostowałam się na siedzeniu i niemal zawisłam na szarym pasie bezpieczeństwa.

Nie znajdowałyśmy się już w jeepie.

Noc powróciła niczym tchnienie, jednocześnie głębokie i obezwładniające. Deska rozdzielcza jaśniała zielonym blaskiem, który rzucał światło na mój fartuch i przypomniał mi o tym, co się wydarzyło.

Smugi drzew i zarośli znaczyły drogę pogrążoną w zupełnym mroku, jeśli nie liczyć niewyraźnego żółtego światła rzucanego przez reflektory naszego małego samochodu. Po raz pierwszy od wielu lat mogłam zobaczyć gwiazdy, które w Thurmond ginęły w blasku ogromnych reflektorów. Świeciły tak mocno i były tak wyraźne, że wydawały mi się sztuczne. Nie byłam pewna, czy trudniej jest mi uwierzyć w niekończące się połacie nieba czy drogi. Oczy zapiekły mnie od łez.

- Oddychaj, Ruby - usłyszałam.

Ściągnęłam maskę chirurgiczną z ust i spojrzałam w bok. Doktor Begbie rozpuściła swoje jasne włosy, tak że okalały jej twarz i opadały na ramiona. Zdążyła też zdjąć fartuch i przebrać się w czarny T-shirt oraz dżinsy. Mrok plamił skórę pod jej oczami, dając wrażenie sińców. Dopiero teraz dostrzegłam ostre rysy jej nosa i podbródka.

- Dawno nie jechałaś samochodem, co? - powiedziała ze śmiechem i miała rację. Byłam bardziej świadoma szarpnięć pojazdu niż bicia własnego serca.

- Pani doktor...

- Mów mi Cate - przerwała mi, a jej ton był nieco bardziej szorstki niż wcześniej. Nie wiem, czy zauważyła moją reakcję na tę nagłą zmianę, ale natychmiast dodała: - Przepraszam, jestem zmęczona i przydałaby mi się filiżanka kawy.

Zegar na desce rozdzielczej samochodu wskazywał 4:30 nad ranem. Spałam tylko dwie godziny, jednak czułam się bardziej przytomna niż przez cały dzień, tydzień... przez całe życie.

Cate poczekała, aż Rolling Stonesi skończą śpiewać, po czym wyłączyła radio.

- Grają teraz tylko stare przeboje. Na początku myślałam, że to jakiś żart albo odgórne zarządzenie z Waszyngtonu, ale najwyraźniej o takie piosenki proszą słuchacze. - Spojrzała na mnie kątem oka. - Nie rozumiem tego.

- Pani... Cate - powiedziałam. Nawet ton mojego głosu był mocniejszy - Gdzie my jesteśmy? Co się dzieje?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, za moimi plecami ktoś zakaszlał. Odwróciłam się, ignorując ból w karku i w piersi. Na tylnym siedzeniu spał zwinięty w kulkę chłopiec. Był w moim wieku, może o rok młodszy. To był chłopiec z Infirmerii - Max... Matthew... czy jak mu tam. Wyglądał, jakby był w dużo lepszej formie ode mnie.

- Właśnie wyjechaliśmy z Harvey w Wirginii Zachodniej - odparła Cate. - Tam spotkaliśmy się z kilkoma znajomymi, którzy pomogli mi zmienić samochód i wyciągnąć śpiącego tu Martina ze skrzyni transportowej, w której musieliśmy go przemycić.

- Zaraz...

- Nie martw się - błyskawicznie powiedziała Cate. - Były w niej otwory, żeby mógł oddychać.

Tak jakbym właśnie tym się przejmowała.

- Pozwolili, by wywiozła pani kufer w samochodzie? Nawet go nie przeszukali? - zapytałam.

Znów obrzuciła mnie spojrzeniem, a ja z dumą zauważyłam, że było w nim zdumienie.

- Lekarze z Thurmond używają takich skrzyń do wywozu odpadów medycznych. Po cięciach w budżecie władze obozu zażądały, by lekarze sami zajmowali się wywozem odpadów. W tym tygodniu ten obowiązek spadł na Sarę i na mnie.

- Sarę? - przerwałam. - Doktor Rogers?

Przez chwilę się zawahała, po czym skinęła głową.

- Dlaczego ją związałaś...? Dlaczego ona... Dlaczego wy nam pomagacie?

Na moje pytanie opowiedziała swoim:

- Słyszałaś kiedyś o Lidze Dzieci?

- To i owo - rzuciłam. I jedynie zdania wypowiedziane szeptem. Jeżeli w plotkach tkwiło ziarnko prawdy, Liga była organizacją antyrządową. Według najmłodszych dzieci, które przybyły do Thurmond najpóźniej, tworzyli ją ludzie chcący zlikwidować system obozów. Ludzie, którzy podobno ukrywali dzieci, tak by nie można ich było wywieźć. Zawsze podejrzewałam, że te historie były czymś w rodzaju baśni. Nic, co zdawało się tak

piękne, nie mogło być prawdziwe.

- My - powiedziała Cate i urwała na chwilę, bym miała czas to przetrawić - jesteśmy organizacją, która pomaga dzieciom poszkodowanym przez nowe prawo wprowadzone przez rząd. John Alban... Słyszałaś o nim? Kiedyś był doradcą Graya do spraw wywiadu.

- To on założył Ligę Dzieci?

Skinęła głową.

- Po śmierci córki zdał sobie sprawę z tego, co się stanie z dziećmi, które przeżyją. Wyjechał z Waszyngtonu i starał się nagłośnić sprawę badań przeprowadzanych w obozach. Żadna duża gazeta, ani „The New York Times", ani „The Washington Post", nie chciała tego opisać, ponieważ sprawy zaszły już tak daleko, że Gray sprawował nad nimi kontrolę ze względu na „bezpieczeństwo narodowe". Mniejsze dzienniki zwinęły działalność ze względów finansowych.

- Więc... - próbowałam zrozumieć to, co właśnie usłyszałam, zastanawiając się, czy się nie przesłyszałam. - Więc założył Ligę Dzieci, żeby nam... pomóc?

Twarz Cate rozjaśniła się w uśmiechu.

- Właśnie tak.

Więc dlaczego pomagacie tylko mnie?

To pytanie wyrosło w mojej głowie jak paskudny, pojedynczy chwast, który zakorzenił się głęboko w ziemi. Przetarłam twarz dłonią, próbując opanować natłok myśli, jednak chwast wciąż tkwił w mojej głowie. Nagle poczułam dziwny ciężar w piersi, który zaczął piąć się w górę, próbując się wydostać z mojego ciała. Zdaje mi się, że był to krzyk.

- A co z innymi? - Nie rozpoznałam własnego głosu.

- Z innymi? Masz na myśli inne dzieci? - Wzrok Cate skupiony był na rozciągającej się przed nami drodze. - One mogą poczekać. Sytuacja, w jakiej się znajdują, nie wymaga tak wielkiego pośpiechu jak w twoim przypadku. Kiedy przyjdzie na to czas, na pewno po nie wrócimy, ale na razie się tym nie martw. Przeżyją.

Wzdrygnęłam się, bardziej zaskoczona jej tonem niż słowami. Wymówiła słowo „przeżyją" głosem pełnym pogardy, równie dobrze mogła po prostu machnąć ręką. Nie martw się. Miałam się nie martwić tym, jak źle są traktowane, ani tym, jakie spotykają je kary? Miałam nie wspominać wycelowanych w ich plecy karabinów? Zbierało mi się na wymioty.

Zostawiłam je tam - wszystkie, co do jednego. Zostawiłam Sam, chociaż obiecałam, że razem wydostaniemy się z obozu. Po tym wszystkim, co zrobiła, żeby mnie chronić, ja ją tam po prostu... zostawiłam.

- Nie... nie, Ruby, przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało - powiedziała

Cate, spoglądając to na mnie, to na drogę. - Miałam na myśli... Sama nie wiem, co mówię. Przebywałam tam kilka tygodni i nadal nie potrafię sobie wyobrazić, co musieliście czuć. Nie powinnam nawet udawać, że wiem, przez co przeszliście.

- Ja... ja je tam zostawiłam - rzuciłam, nie zwracając uwagi na to, że łamie mi się głos, ani na to, że chwyciłam się za łokcie, żeby nią nie potrząsnąć. - Dlaczego zabrałaś tylko mnie? Dlaczego nie mogłyśmy uratować też innych? Dlaczego?

- Już ci powiedziałam - odparła miękko - że to musiałaś być ty. Inaczej by cię zabili. Innym nie grozi niebezpieczeństwo.

- Im zawsze grozi niebezpieczeństwo - powiedziałam i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wyszła poza Infirmerię. Jak mogła tego nie widzieć? Jak mogła tego nie słyszeć, nie czuć, nie wdychać? Powietrze w Thurmond było tak przesycone strachem, że miało posmak żółci.

Już po niecałym dniu w obozie zauważyłam, że nienawiść i strach się napędzają i karmią się sobą nawzajem. Członkowie SSP nas nienawidzili, więc zadbali o to, żebyśmy się ich bali. A my baliśmy się ich, przez co jeszcze bardziej ich nienawidziliśmy. Nie mówiło się o tym głośno, ale wiedzieliśmy, że jesteśmy w Thurmond ze względu na siebie nawzajem. Bez żołnierzy SSP nie byłoby obozu, ale bez ześwirowanych dzieciaków Psi nie byliby oni potrzebni.

Więc czyja to właściwie była wina? Wszystkich? Niczyja? Nasza?

- Powinnaś mnie była tam zostawić, zabrać kogoś innego, kogoś lepszego. Ukarzą ich za to. Wiem, że ich skrzywdzą, i będzie to moja wina, ponieważ wyjechałam i ich tam zostawiłam... - Wiedziałam, że z tego, co mówię, trudno wyłowić sens, ale miałam problem z przekształceniem myśli w słowa. Jak można było opisać to uczucie? To obezwładniające poczucie winy, smutek, który zakorzenił się we mnie na dobre i którego nie mogłam się pozbyć? Jak ubrać to wszystko w słowa?

Cate otworzyła usta, ale przez kilka chwil nic nie powiedziała. Zacisnęła dłonie na kierownicy i zjechała na pobocze. Zdjęła nogę z gazu i pozwoliła, by samochód sam się powoli zatrzymał. Kiedy koła pojazdu przestały się w końcu obracać, złapałam za klamkę, czując, że ogarnia mnie obezwładniająca rozpacz.

- Co ty robisz? - spytała Cate.

Myślałam, że zatrzymała się tylko po to, żebym wysiadła. Na jej miejscu zrobiłabym to samo. Rozumiałam ją.

Odchyliłam się, kiedy wyciągnęła rękę, ale zamiast szerzej otworzyć mi drzwi, Cate je zatrzasnęła i położyła mi dłoń na ramieniu. Skrzywiłam się i z całej siły wcisnęłam się w

fotel, próbując uciec przed jej dotykiem. Chyba nigdy nie czułam się gorzej - szumiało mi w głowie, co oznaczało, że zaczynam tracić nad sobą kontrolę. Jeżeli chciała mnie przytulić, pogłaskać po ramieniu czy zrobić cokolwiek, co zrobiłaby moja mama, moja reakcja powinna wystarczyć, by przekonać ją, by nawet nie próbowała.

- A teraz mnie posłuchaj - powiedziała. Wydawało się nie obchodzić jej, że w każdej chwili drogą może nadjechać samochód SSP. Kiedy spojrzałam jej w końcu w oczy, podjęła:
- Najważniejszą rzeczą, jakiej się kiedykolwiek nauczyłaś, było to, jak przetrwać. Nie pozwól, by ktokolwiek wmówił ci, że zasłużyłaś, by być w tym obozie. Jesteś ważna. Dla mnie, dla Ligi i dla naszej przyszłości - urwała. - Nigdy cię nie skrzywdzę, nie nakrzyczę na ciebie i nie pozwolę, byś była głodna. Do końca mojego życia będę cię chronić. Nigdy w pełni nie zrozumiem, przez co przeszłaś, ale ilekroć będziesz mi się chciała z czegoś zwierzyć, zawsze cię wysłucham. Rozumiesz?

Wokół mojego serca rozlało się dziwne ciepło, mimo że oddech uwiązł mi w gardle. Chciałam coś powiedzieć, podziękować jej, poprosić, by to wszystko powtórzyła, tak żebym miała pewność, że się nie przesłyszałam.

- Nie mogę udawać, że tego wszystkiego nie było - wyszeptałam. Pod skórą nadal czułam drgania emitowane przez elektryczne ogrodzenie.

- Nie powinnaś udawać ani zapominać o przeszłości, jednak aby przetrwać, musisz iść naprzód. Jest takie słowo - mówiła dalej, przenosząc wzrok na swoje zaciśnięte na kierownicy palce - które nie ma angielskiego odpowiednika. Pochodzi z języka portugalskiego. Saudade. Wiesz, co oznacza?

Pokręciłam głową. Nie znałam nawet połowy słów we własnym języku.

- To jakby... to słowo nie ma dokładnej definicji. Opisuje raczej uczucie... obezwładniającego smutku. Uczucie, które pojawia się, kiedy człowiek zda sobie sprawę z tego, że utracił coś na zawsze i że nigdy już tego nie odzyska. - Cate wzięła głęboki oddech. - W Thurmond często przypominało mi się to słowo, ponieważ życie, które mieliście wcześniej, które wszyscy mieliśmy... Nigdy go nie odzyskamy. Jednak w każdym zakończeniu kryje się początek czegoś nowego. To prawda, że często nie można odzyskać tego, co się kiedyś miało, ale można zamknąć ten rozdział i zacząć od nowa.

Rozumiałam, co ma na myśli, i wiedziałam, że wypowiada te słowa z troski o mnie, jednak po tym, jak moje życie zostało rozbite na tysiące kawałków, myśl, że mogłabym je rozbić na jeszcze mniejsze części, była nie do zniesienia.

- Proszę - powiedziała, sięgając za dekolt koszuli. Zdjęła z szyi długi srebrny łańcuszek, na którego końcu wisiał okrągły czarny medalion o obwodzie nieco większym niż

mój kciuk.

Wyciągnęłam rękę, a Cate upuściła na nią naszyjnik. Łańcuszek nadal nagrzany był ciepłem jej skóry, ale z zaskoczeniem odkryłam, że medalion zrobiony jest ze zwykłego plastiku.

- To przycisk alarmowy - wyjaśniła. - Ściskając go przez dwadzieścia sekund, zawiadomisz stacjonujących w okolicy agentów, którzy podejmą odpowiednie działania. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek musiała go użyć, jednak chciałabym, żebyś go zachowała. Wciśnij go, jeżeli kiedykolwiek będziesz się czegoś bała lub jeżeli się rozdzielimy.

- Namierzy mnie? - Myśl o tym sprawiała, że czułam się nieswojo, ale i tak założyłam łańcuszek na szyję.

- Tylko jeżeli go aktywujesz - obiecała Cate. - Zaprojektowaliśmy go w ten sposób, żeby SSP nie mogło przypadkowo namierzyć sygnału. Obiecuję, że to ty masz nad nim kontrolę, Ruby.

Chwyciłam medalion między kciuk i palec wskazujący, a następnie zbliżyłam go do oczu. Opuściłam go, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, jakie mam czarne palce i ile brudu zgromadziło się za moimi paznokciami. Nie pasowały do mnie ładne rzeczy.

- Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie? - Poczekałam, aż znów znalazłyśmy się na drodze, a i tak udało mi się wypowiedzieć te słowa dopiero po kilku nieudanych próbach. - Jeżeli Liga Dzieci powstała po to, by położyć kres obozom, dlaczego zadaliście sobie tyle trudu, by wydostać stamtąd mnie i Martina? Dlaczego po prostu nie wysadziliście w powietrze Wieży Kontrolnej?

Cate otarła usta dłonią.

- Nie interesują mnie tego typu operacje - odparła. - Wolę się skupić na czymś naprawdę ważnym, na przykład na tym, żeby wam pomóc. Można zniszczyć fabrykę, ale natychmiast wybudują następną. Nie można odbudować zniszczonego życia ani odzyskać straconego człowieka.

- Czy ludzie o tym wiedzą? - wydusiłam. - Czy ludzie wiedzą, że oni wcale nas tam nie leczą?

- Nie wiem - odpowiedziała Cate. - Niektórzy nigdy nie przyjmą tego do wiadomości i będą wierzyć w kłamstwa na temat obozu.

Wydaje mi się, że większość wie, że coś tu nie gra, ale ludzie mają za dużo własnych problemów, by podważać to, w jaki sposób rząd zawiaduje obozami. Chyba chcą ufać w to, że jesteście dobrze traktowani. Prawdę mówiąc... zostało was już bardzo niewielu.

Podciągnęłam się na siedzeniu.

- Co?

Tym razem Cate na mnie nie patrzyła.

- Nie chciałam ci tego mówić, ale sytuacja wygląda gorzej niż kiedykolwiek. Z ostatnich wyliczeń przygotowanych przez Ligę wynika, że w obozach przebywa dwa procent populacji amerykańskich dzieci w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat.

- A co z resztą? - zapytałam, ale znałam już odpowiedź. - Dziewięćdziesiąt osiem procent?

- Większość padła ofiarą OMNI.

- Umarły - poprawiłam ją. - Wszystkie dzieci? Wszędzie?

- Nie, nie wszędzie. Odnotowano kilka przypadków choroby w innych krajach, ale tu, w Ameryce... - Cate wzięła głęboki oddech. - Nie wiem, ile mogę ci powiedzieć, żeby cię nie przytłoczyć, ale wygląda na to, że symptomy OMNI i zdolności psioniczne ujawniają się w czasie dojrzewania...

- Ile? - Czy naprawdę przez te wszystkie lata, które spędziliśmy uwięzieni w Thurmond, niczego się nie nauczyli? - Ile nas zostało?

- Rząd podaje, że pozostało dwieście pięćdziesiąt tysięcy dzieci poniżej osiemnastego roku życia, ale z naszych szacunków wynika, że jest was raczej dwadzieścia pięć tysięcy.

Zrobiło mi się niedobrze. Odpięłam pas i pochyliłam się do przodu, wciskając głowę między kolana. Kątem oka widziałam, że Cate chce mi położyć rękę na plecach, ale znów się wykręciłam. Przez dłuższy czas nic nie mówiłyśmy, a ciszę wypełniało jedynie tarcie opon o zniszczoną nawierzchnię drogi.

Tak długo nie podnosiłam głowy i nie otwierałam oczu, że Cate zaczęła się martwić.

- Nadal jest ci niedobrze? Musieliśmy ci podać dużą dawkę penicyliny, żeby wywołać objawy napadu padaczkowego. Wierz mi, gdybyśmy mieli jakieś inne wyjście, nie robilibyśmy tego, ale musieliśmy się do tego posunąć, żeby SSP zgodziło się przyjąć cię z powrotem do Infirmerii.

Nawet chrapanie Martina ucichło i zlało się z dźwiękiem opon toczących się po drodze. Zakłuło mnie w żołądku, kiedy przyszło mi do głowy, żeby zapytać o to, ile kilometrów dzieli nas od Thurmond i jak daleko w tyle zostawiłam swoją przeszłość.

- Wiem - powiedziałam po chwili. - Dziękuję. Naprawdę.

Zanim zdołałam ją powstrzymać, Cate pogłaskała mnie, przesuwając dłonią w dół mojego ramienia. Poczułam dziwne łaskoczące ciepło w tyle głowy i rozpoznałam jego ostrzegawczy tryl. Pierwszy rozpalony do białości przebłysk jej wspomnień zniknął równie szybko, jak nadszedł, więc scena, którą zobaczyłam, przypominała negatyw. Mała

dziewczynka o płowych włosach siedząca w krzesełku do karmienia, z usteczkami zastygłymi w bezzębnym uśmiechu. Kolejny obraz nie zniknął tak szybko. Zawisł przed moimi oczami na tak długo, bym zorientowała się, że widzę ogień. Ogień. Był wszędzie - rozżarzony jak powierzchnia słońca lizał ściany pokoju. To... wspomnienie? Drżało, dygotało tak mocno, że musiałam zacisnąć zęby, żeby nie zwymiotować. We wspomnieniach Cate pojawiły się nagle srebrne drzwi opatrzone czarnym numerem 456B. Jej szczupła, blada dłoń sięgnęła po klamkę i natychmiast ją cofnęła - metal rozpalony był do czerwoności. Zobaczyłam uderzającą w drewno dłoń, a potem stopę. Drzwi zniknęły za gęstą powłoką dymu, która przenikała przez szpary i szczeliny. Obraz zamigotał, a jego brzegi zaczęły się zwijać.

Te same drzwi się zatrzasnęły, a ja odskoczyłam w tył, wyrywając dłoń z jej uścisku.

Co to było, do cholery!?, pomyślałam, czując pulsowanie krwi w uszach. Zacisnęłam powieki.

- Nadal źle się czujesz? - zapytała Cate. - Tak mi przykro, Ruby. Kiedy przesiądziemy się do innego samochodu, poproszę, żeby dali ci jakieś lekarstwo na żołądek.

Podobnie jak inni, ona również nie miała pojęcia, co się dzieje.

- Wiesz... - odezwała się po chwili. Jej oczy utkwione były w ciemnej drodze. Na horyzoncie zaczynało już świtać. - Byłaś bardzo odważna, biorąc ode mnie te tabletki i godząc się na to, żeby ze mną pojechać. Wiedziałam, że w tej cichej dziewczynie, którą poznałam w Infirmerii, kryje się coś więcej.

Nie jestem odważna. Gdybym była, przyznałabym się do tego, kim tak naprawdę jestem, niezależnie od tego, jak bolesna była to prawda. Pracowałabym, jadła i spała razem z innymi Pomarańczowymi albo przynajmniej nie kryła się w cieniu Żółtych i Czerwonych.

Te dzieciaki były tak dumne ze swoich mocy. Stanowiły istną udrękę dla władz obozu. Na każdym kroku gnębiły żołnierzy SSP, podpalały swoje Baraki i Umywalnię, próbowały wydostać się z obozu, doprowadzając dorosłych do szaleństwa - umieszczały im w głowach obrazy przedstawiające ich wymordowane rodziny albo zdradzające żony.

Nie można ich było przegapić ani zejść im z drogi lub zmienić kierunku, kiedy przechodziły. Ja tchórzliwie płynęłam z prądem nudnej zieleni i szarości, nie zwracając na siebie uwagi i nie pozwalając sobie na myśl o tym, że mogę lub powinnam uciec. Wydaje mi się, że one po prostu pragnęły się stamtąd wydostać i nie chciały tego zawdzięczać nikomu poza sobą. Z odwagą i determinacją dążyły do wolności.

Żadne z nich nie dożyło szesnastych urodzin.

Istnieją tysiące sposobów, żeby stwierdzić, że ktoś kłamie. Wcale nie trzeba umieć zaglądać mu do umysłu, żeby rozpoznać najmniejsze ślady niepewności i zakłopotania.

Najczęściej trzeba po prostu na kogoś spojrzeć. Kłamie, jeżeli rozmawiając z tobą, patrzy w lewo, jeżeli dodaje do swojej opowieści zbyt wiele szczegółów lub odpowiada pytaniem na pytanie. Mój tata, policjant, opowiadał o tym mnie i dwudziestu czterem innym dzieciom w drugiej klasie podstawówki, kiedy miał pogadankę pod tytułem Nieznajomy - niebezpieczny.

Ale po Cate niczego nie było widać. Opowiadała mi o świecie rzeczy, które wydawały się niemożliwe do czasu, aż znalazłyśmy stację radiową. Z głośników sączył się poważny głos spikera, który potwierdził jej słowa.

- No, w końcu! - krzyknęła, uderzając dłonią w kierownicę.

Agencje prasowe podają, że prezydent Gray odrzucił propozycję brytyjskiego premiera, aby przedyskutować możliwe środki pomocy mające polepszyć fatalną sytuację na światowych giełdach. Poproszony o uzasadnienie swojej decyzji, prezydent przypomniał o tym, że Wielka Brytania wsparła decyzję Rady Bezpieczeństwa ONZ o nałożeniu sankcji gospodarczych na Stany Zjednoczone.

Cate pokręciła gałką radia. Głos spikera to zanikał, to znów się pojawiał. W głośnikach trzasnęło, a ja aż podskoczyłam.

... wczoraj w Austin w Teksasie aresztowano czterdzieści pięć kobiet, które chciały zataić przed władzami informację, że zaszły w ciążę. Kobiety te zostały zatrzymane i do czasu porodu będą przebywać w zakładzie karnym. Ze względu na bezpieczeństwo matek oraz obywateli Teksasu dzieci zostaną im odebrane. Oto, co na ten temat miał do powiedzenia minister sprawiedliwości... - Przez głośniki popłynął inny głos, niski i zachrypnięty.

Zgodnie z nowym rozporządzeniem prezydent Gray wydał nakaz aresztowania wszystkich osób zamieszanych w ten niebezpieczny proceder...

- Gray? - powiedziałam, spoglądając na Cate. - On nadal jest prezydentem?

Został wybrany tuż przed tym, jak pojawiły się pierwsze przypadki zachorowań na OMNI. Nie mogłam sobie przypomnieć nic na jego temat, prócz tego, że miał ciemne oczy i włosy. Wiedziałam o tym tylko dlatego, że na terenie obozu wisiały zdjęcia prezydenckiego syna Clancyego jako dowód na to, że my także możemy wyzdrowieć. Nagle przed oczami stanął mi mój ostatni pobyt w Inńrmerii i to, jak Clancy zdawał się spoglądać na mnie ze zdjęcia.

Cate potrząsnęła głową z wyraźnym obrzydzeniem.

- Załatwił sobie przedłużenie kadencji do czasu, aż sytuacja z Psi, cytuję: „zostanie rozwiązana tak, by Stany Zjednoczone były miejscem wolnym od psychokinetycznego terroru i przemocy”. Zawiesił nawet działalność Kongresu.

- Jak mu się to udało?

- Skorzystał z uprawnień w stanach nadzwyczajnych - odparła Cate. - Rok, może dwa lata po tym, jak was zabrano, kilkoro dzieci Psi prawie wysadziło w powietrze siedzibę Kongresu.

- Prawie? Co to znaczy?

Cate przyjrzała mi się z uwagą.

- To znaczy, że udało im się wysadzić jedynie skrzydło Senatu. Prezydent Gray miał sprawować kontrolę nad rządem tylko do czasu wyborów do Kongresu, ale kiedy żołnierze SSP zaczęli wyciągać dzieci ze szkół, nie pytając rodziców o zdanie, wybuchły zamieszki. Oczywiście odbiło się to na gospodarce i kraj pogrążył się w długach. Kiedy stracisz wszystko, nikt się już z tobą nie liczy.

- I ludzie tak po prostu mu na to pozwolili? - Nie mogłam w to uwierzyć.

- Nie, nie pozwolili mu na to „tak po prostu”. Ruby, kraj pogrążony jest w chaosie. Gray próbuje utrzymać władzę, a z każdym dniem coraz więcej obywateli się buntuje i łamie prawo, żeby tylko mieć co włożyć do garnka.

- Mój tata zginął podczas zamieszek.

Cate tak gwałtownie odwróciła głowę, żeby spojrzeć do tyłu, że samochód zjechał na przeciwny pas. Wiedziałam, że Martin nie śpi już co najmniej od dziesięciu minut - jego oddech stał się dużo lżejszy, chłopiec przestał też dziwnie mlaskać i stękać. Po prostu nie chciałam z nim rozmawiać ani przerywać Cate.

- Ludzie z sąsiedztwa okradli jego sklep spożywczy, a on nie mógł się nawet bronić.

- Jak się czujesz? - głos Cate był niemal tak słodki jak wirujący przed naszymi oczami waniliowy odświeżacz powietrza.

- Chyba dobrze. - Martin usiadł i przyklepał swoje rozwichrzone brązowe włosy. Był okrągły jak kula, miał obwisłe policzki, a koszula jego uniformu robiła wrażenie o jeden rozmiar za małej, jednak nie zaczął jeszcze rosnąć jak inne dzieci w jego Baraku. Przewyższałam go o kilka centymetrów, a przecież sama byłam niska i średniej budowy ciała. Był ode mnie młodszy najwyżej o rok.

- To dobrze - powiedziała Cate. - Jeżeli chce ci się pić, z tyłu jest butelka wody. Za mniej więcej godzinę znów się zatrzymamy, żeby zmienić samochód.

- Dokąd jedziemy?

- Mamy się spotkać ze znajomym w Marlinton w Wirginii Zachodniej. Będzie miał dla was czyste ubrania i dokumenty tożsamości. Powoli dojeżdżamy.

Już wydawało mi się, że Martin znowu zasnął, kiedy nagle zapytał:

- A dokąd jedziemy potem?

Radio znów na chwilę wróciło do życia, wyrzucając z siebie fragmenty piosenki Led Zeppelin, a po chwili ponownie zamarło i wydawało z siebie jedynie trzaski.

Czułam na karku świdrujące spojrzenie Martina. Próbowałam się powstrzymać od obrócenia się i obrzucenia go takim samym wzrokiem, jednak od przyjazdu do Thurmond nigdy nie przebywałam tak blisko chłopca w moim wieku. Po latach życia po dwóch przeciwnych krańcach obozu denerwowały mnie wszystkie najmniejsze szczegóły - piegi na jego twarzy, których wcześniej nie dostrzegałam, albo to, że jego brwi zdawały się zrastać pośrodku, tworząc jedną długą linię.

Co miałabym mu powiedzieć? Cieszę się, że cię znalazłam? Zostaliśmy już tylko my? Tylko jedno z tych zdań było prawdziwe.

- Dołączymy do Ligi w południowej siedzibie organizacji. Kiedy tam dotrzemy, będziecie mogli zdecydować, czy chcecie zostać - powiedziała Cate. - Rozumiem, że wiele przeszliście, więc na razie nie musicie jeszcze nic postanawiać. Chciałabym tylko, byście wiedzieli, że zostając przy mnie, będziecie bezpieczni.

Ogarnęło mnie tak silne poczucie wolności, że musiałam je zdławić podobnie jak wypełniającą serce nadzieję. Nadal groziło nam niebezpieczeństwo. Istniało niebezpieczeństwo, że żołnierze SSP nas dogonią i jeszcze zanim dotrzemy do Wirginii, odwiozą mnie do obozu albo zabiją.

Martin przyglądał mi się spod zmrużonych powiek. Patrzyłam, jak źrenice jego ciemnych oczu kurczą się, i poczułam łaskotanie z tyłu głowy. To samo, które czułam, gdy uaktywniały się moje moce.

Co do cholery? Wbiłam palce w podłokietniki, ale nie odwróciłam się, żeby zobaczyć, czy nadal próbuje. Rzuciłam tylko okiem w tylne lusterko i zobaczyłam, jak Martin opiera się z powrotem o siedzenie i z głośnym sapnięciem splata ręce na piersi. W kąciku ust miał rankę - zaognioną i czerwoną, jak gdyby właśnie zdrapał strup.

- Chcę jechać tam, gdzie będę mógł robić wszystko to, czego zabraniali nam w Thurmond - powiedział w końcu.

Nie chciałam wiedzieć, co ma na myśli.

- Jestem o wiele potężniejszy, niż myślicie - mówił dalej. - Kiedy przekonacie się, co potrafię, nie będziecie potrzebowali nikogo więcej.

Cate się uśmiechnęła.

- Na to liczę. Wiedziałam, że zrozumiesz. A ty, Ruby? - zapytała, odwracając się w moją stronę. - Czy ty też chcesz się nam przysłużyć?

Czy pozbyliby się mnie, gdybym zaprzeczyła? Gdybym poprosiła, by zawieźli mnie

do domu rodziców, do Salem? A może zabraliby mnie tam bez szemrania? Mogłam też pojechać do Virginia Beach, gdzie mieszkała moja babcia. Czy gdybym z całego serca pragnęła opuścić kraj, pomogliby mi w tym?

Martin i Cate patrzyli na mnie z identyczną natarczywością i podekscytowaniem. Szkoda, że ja nie czułam tego samego. Żałowałam, że nie mogę poczuć pewności, z jaką oni podchodzili do swojego wyboru, ale nie miałam pojęcia, czego chcę. Byłam pewna tylko tego, czego nie chcę.

- Zabierzcie mnie dokądkolwiek - powiedziałam. - Wszędzie, byle nie do domu.

7

Martin tak długo skubał rankę brudnymi paluchami, aż wypłynęła z niej krew. Zlizał ją z ust i z opuszek palców. Spoglądał na mnie tak, jakby oczekiwał, że poproszę, by mnie nią poczęstował.

Odwróciłam się do Cate, ale pytanie, które chciałam jej zadać, uwięzło mi w gardle. Przez króciutką chwilę myślałam jedynie o widoku ognia i dymu za jej plecami, a także o drzwiach, których nie mogła otworzyć.

O siódmej rano dotarliśmy do rogatek miasta Marlinton. Słońce postanowiło właśnie wyłonić się zza grubej powłoki chmur. Jego promienie barwiły okoliczne drzewa delikatną purpurą i odbijały się od rosy, która zdążyła pokryć asfalt. Po drodze minęliśmy kilka zjazdów z autostrady, zawalonych różnymi rupieciami i żelastwem oraz porzuconymi samochodami. Barykady mogły zostać wzniesione albo przez Gwardię Narodową, aby odciąć wrogie miasta, albo przez samych mieszkańców, którzy chcieli powstrzymać złodziei i niechcianych gości przed splądrowaniem i tak już zniszczonej okolicy. Natomiast na drodze od wielu godzin nieprzerwanie panowała cisza, która zwiastowała, że prędzej czy później musimy na niej kogoś spotkać.

Nastąpiło to szybciej, niż myśleliśmy. Naszym oczom ukazała się czerwona ciężarówka. Skuliłam się na siedzeniu, kiedy przemknęła obok nas, ciągnąc ze sobą ryk silnika i chrzęst kół. Mimo że jechała w przeciwnym kierunku, zdążyłam zauważyć złotego łabędzia wymalowanego na jej karoserii.

- Są wszędzie - powiedziała Cate, podążając za moim wzrokiem. - Ta prawdopodobnie wiozła zaopatrzenie do Thurmond.

Była to pierwsza prawdziwa oznaka życia od czasu, kiedy ruszyliśmy w drogę - pewnie dlatego, że wybraliśmy szosę-wygwizdów-kę prowadzącą przez sam środek kompletnego zadupia - jednak jedna ciężarówka wystarczyła, żeby porządnie wystraszyć Cate.

- Przenieś się do tyłu - zarządziła - i nie wychylaj głowy.

Zrobiłam to, co mi kazała. Odpięłam pas, wcisnęłam się pomiędzy przednie fotele i przełożyłam przez nie nogi.

Martin spoglądał na mnie szklanym wzrokiem. W pewnej chwili poczułam na ramieniu jego dłoń, jakby próbował mi pomóc. Wzdrygnęłam się. Ześlizgnęłam się w dół i wcisnęłam w przestrzeń pomiędzy przednim a tylnym siedzeniem. Chociaż opierałam się plecami o drzwi, a kolana podciągnęłam pod samą brodę, nadal siedzieliśmy zbyt blisko.

Kiedy się uśmiechnął, po plecach przeszły mi ciarki.

Owszem, w Thurmond byli chłopcy. Prawdę mówiąc, było ich tam mnóstwo. Jednak jakiekolwiek spotkania obu płci, niezależnie od tego, czy chodziło o wspólne posiłki, dzielenie Baraków czy nawet mijanie się w drodze do Umywalni, były surowo wzbronione. SSP i władze obozu wprowadziły ten zakaz i egzekwowały z taką samą surowością, z jaką podchodziły do dzieci, które - czy to celowo, czy bezwiednie - korzystały ze swoich umiejętności. Cała ta sytuacja doprowadzała oczywiście przesyconych hormonami nastolatków do szaleństwa i zamieniła wiele z moich współlokatorek w elitarną jednostkę szpiegowską.

Może i nie pamiętałam „właściwego" sposobu nawiązywania kontaktów z przedstawicielami płci przeciwnej, ale byłam niemal pewna, że Martin również o tym zapomniał.

- Fajnie, co? - powiedział. Myślałam, że żartuje, do czasu aż dostrzegłam jego rozentuzjazmowane spojrzenie. Znów poczułam dziwne mrowienie oznaczające, że chłopak próbuje się dostać do mojej głowy, strach muskający mnie po plecach swoimi lodowatymi palcami. Przycisnęłam się do drzwi i wbiłam wzrok w Cate, jednak on wciąż był zbyt blisko.

Zdałam sobie sprawę z tego, że jesteśmy zupełnie różni. Przywieziono nas w to samo miejsce, gdzie żyliśmy w takim samym strachu, jednak on... on był taki...

Musiałam zmienić temat, żeby odwrócić jego uwagę od tego, co właśnie próbował zrobić. Chociaż w samochodzie włączona była klimatyzacja, od Martina biło takie ciepło, że równie dobrze mogłoby jej nie być.

- Myślisz, że w Thurmond zauważono nasze zniknięcie? - zapytałam, przerywając ciszę.

Cate wyłączyła światła.

- Na pewno. SSP dysponuje zbyt małą liczbą żołnierzy, żeby zorganizować na nas prawdziwą obławę, ale jestem przekonana, że domyślili się, kim jesteście.

- Co masz na myśli? - zapytałam. - To, że jesteśmy Pomarańczowi? Przecież mówiłaś, że już to wiedzieli. Czy to nie dlatego tak nam się spieszyło?

- Jeszcze chwila i by się zorientowali - wyjaśniła Cate. - Testowali Pomarańczowe i Czerwone częstotliwości Paralizatora. Chyba nie spodziewali się, że ich eksperyment tak szybko przyniesie spodziewane skutki... To dlatego musieliśmy was stamtąd wydostać, i to szybko.

- Częstotliwości? - powtórzył Martin. - Czyli że dodali czegoś do Paralizatora?

- Dobrze kombinujesz. - Cate uśmiechnęła się do niego w lusterku. - Liga dowiedziała

się o tym, że znaleźli sposób, by namierzyć dzieci, które w czasie pierwszej selekcji zostały błędnie przyporządkowane. Z pewnością wiecie, że dorośli nie słyszą dźwięku wydawanego przez Paralizator.

Pokiwaliśmy głowami.

- Naukowcy opracowują teraz częstotliwości, które mogą usłyszeć i przetworzyć jedynie niektóre dzieci ze zdolnościami psionicznymi. Istnieją fale, które odbieracie wszyscy, oraz takie, które słyszą jedynie Zieloni, Niebiescy, a w tym przypadku Pomarańczowi.

Brzmiało to wiarygodnie, ale nadal było przerażające.

- Tak się zastanawiałam... - zaczęła Cate. - Jak wam się to udało? Zwłaszcza tobie, Ruby. Kiedy trafiłaś do obozu, byłaś jeszcze mała. Jak udało wam się ich przechytrzyć podczas selekcji?

- Po prostu... - odparłam. - Powiedziałam mężczyźnie, który przeprowadzał badania, że jestem Zielona. Posłuchał.

- Żałosne - wtrącił się Martin, spoglądając mi prosto w twarz. - Pewnie nie musiałaś nawet używać swoich mocy.

Nie lubiłam myśleć o swoich umiejętnościach w kategorii „mocy” - to słowo sugerowało, że było to coś, z czego należało być dumnym. A przecież wcale tak nie było.

- Ja powiedziałem komuś, żeby zamienił się ze mną miejscami, kiedy oddzielano Pomarańczowych i Czerwonych. Nie chciałem, żeby mnie ukatrupili razem z nimi - Martin nachylił się do przodu - więc wziąłem na bok Zielonego w moim wieku i sprawiłem, żeby i on, i strażnik myśleli, że chłopak jest mną. To samo robiłem z każdym, kto mnie o to zapytał. Jeden za drugim. Fajnie, nie?

Poczułam rodzące się we mnie obrzydzenie. Było jasne, że nie żałował tego, co zrobił. Owszem, ja skłamałam w kwestii tego, kim jestem, ale robiąc to, nie skazałam innego dziecka na śmierć. Czy na tym właśnie polegało kontrolowanie umiejętności u Pomarańczowych? Czy zmieniało cię w potwora - kogoś, kto mógł robić, co mu się żywnie podoba, ponieważ nie było nikogo, kto mógłby go powstrzymać?

Czy na tym właśnie polegała władza?

- A więc umiesz wmówić człowiekowi, że jest kimś innym? - upewniła się Cate. - Myślałam, że Pomarańczowi potrafią jedynie nakazać komuś coś zrobić. Jak w hipnozie.

- Nie - odparł Martin. - Potrafię o wiele więcej. Ludzie robią to, czego od nich chcę, ponieważ sprawiam, iż czują to, co chcę, żeby czuli. Na przykład ten dzieciak, z którym się zamieniłem... Zadbałem o to, by bał się zostać w swoim Baraku i by wpadł na pomysł, żeby udawać mnie. Dopilnowałem, żeby każdy, kto mnie przepytywał, czuł, iż robi to

niepotrzebnie. Więc mogę rozkazywać ludziom różne rzeczy, ale jeżeli chcę, żeby ktoś zrobił komuś innemu krzywdę, muszę sprawić, by był strasznie wkurzony na tę osobę.

- Aha - powiedziała Cate. - Czy z tobą jest podobnie, Ruby?

Nie. Ze mną było zupełnie inaczej. Spojrzałam na swoje dłonie, na brud, który wciąż tkwił pod moimi paznokciami. Kiedy pomyślałam o tym, że mogłabym wyjawić, co potrafię, moje dłonie zaczęły drżeć silniej niż kiedykolwiek.

- Nie podrzucam ludziom emocji. Ja po prostu widzę różne rzeczy.

Przynajmniej tak mi się wydawało.

- Rany... po prostu... rany. Wiem, że wciąż to powtarzam, ale jesteście naprawdę niezwykli. Myślę o rzeczach, które moglibyście zrobić, i o tym, jak możecie nam pomóc. To niesamowite.

Przekręciłam się i uniosłam głowę na tyle wysoko, by widzieć drogę. Czułam, jak Martin chwyta kilka moich kosmyków i zaczyna nawijać je sobie na palce. W tylnym lusterku widziałam odbicie swojej okrągłej twarzy - dużych oczu, które wydawały się niemal zaspane, gęstych ciemnych brwi, pełnych ust. Dostrzegałam malującą się na niej odrazę.

Nie powinnam była tego robić, ale poniosło mnie. Martin nie zdążył się obronić, kiedy odwróciłam się gwałtownie i strąciłam mu spoconą dłoń z powrotem na kolana. Oddech uwiązł mi w gardle. Nie dotykaj mnie, chciałam powiedzieć. Jeżeli to zrobisz, połamię ci wszystkie palce. Ale on tylko się wyszczerzył, dotykając językiem opryszczki na ustach, po czym znów uniósł dłoń. Tym razem pokiwał tylko palcami, drocząc się ze mną. Pochyliłam się do przodu, gotowa chwycić go za nadgarstek i dać mu porządną nauczkę.

Ale on tylko na to czekał. Zrozumienie tego faktu przyszło powoli, mozolnie przedzierając się przez mój mózg. Chciał, żebym pokazała mu, co potrafię - chciał, żeby moje umiejętności podsycane były tą samą podłością, która płynęła w jego żyłach.

Znów odwróciłam się do niego plecami i zacisnęłam pięści, słysząc jego triumfalny rechot.

Nie wiedziałam, czy ten gniew należał do mnie, czy to on go we mnie umieścił.

- Wszystko w porządku? - zapytała Cate, spoglądając na mnie przez ramię. - Wytrzymajcie jeszcze trochę. Już dojeżdżamy.

Niezależnie od tego, jak Marlinton prezentowało się na co dzień, gruba warstwa ciemnych chmur i siąpiąca mżawka potęgowały wrażenie grozy i obcości, które sprawiło, że nawet Martin przestał bawić się moim umysłem.

Wystawy opuszczonych centrów handlowych wyglądały ponuro, ale po chwili wjechaliśmy w uliczkę, przy której stały małe brązowe, szare i białe domki. Minęliśmy kilka

pustych samochodów zaparkowanych przy ulicy i na podjazdach. Na niektórych z nich widniały przyklejone do tylnej szyby jaskrawo-pomarańczowe znaki na sprzedaż, a wszystkie pokryte były grubą warstwą gnijących brązowych liści. Wokół samochodów rozrzucone były sterty śmieci i pudła - meble, dywany, komputery. Całe stosy rdzewiejącego, bezużytecznego sprzętu.

- Co się tu stało? - zapytałam.

- Trudno to wyjaśnić. Pamiętasz, jak wspominałam ci o gospodarce? Po zajściach w Waszyngtonie rząd wpadł w błędne koło. Poziom zadłużenia publicznego znacznie wzrósł, zaczęło brakować pieniędzy dla poszczególnych stanów, nie było funduszy ani na świadczenia, ani na wypłaty dla pracowników budżetówki. Nawet małym miasteczkom takim jak to nie udało się uniknąć podobnego losu. Kiedy przedsiębiorstwa zaczęły padać, ludzie stracili pracę, a potem domy, za które nie mogli już płacić. To jakiś koszmar.

- Gdzie się wszyscy podziali?

- Koczują w miasteczkach namiotowych na obrzeżach dużych miast takich jak Richmond czy Waszyngton i próbują znaleźć tam pracę. Wiem, że wiele osób chce się przenieść na zachód, ponieważ wydaje im się, że czeka tam na nich praca i jedzenie, ale... Cóż, wydaje mi się, że tam jest bezpieczniej. W tej okolicy błąka się mnóstwo rabusiów i patrole straży obywatelskiej.

- A co z policją? Dlaczego ich nie powstrzymała? - Bałam się zadać to pytanie.

Cate przygryzła wargę.

- Tak jak ci mówiłam. Stany nie mają pieniędzy na wypłaty, więc policjantów zwolniono. Większość obowiązków policji przejęli na siebie ochotnicy i Gwardia Narodowa. To dlatego musicie się trzymać blisko mnie, dobrze?

Kiedy mijaliśmy podstawówkę, zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie.

Drabinki w pastelowych barwach, a raczej to, co z nich zostało, poplamione były czymś czarnym i powykręcane tak, że niemal stykały się z ziemią. Na połamanych prętach przysiadła chmara ptaków, które obserwowały, jak przejeżdżamy obok znaku stop i znikamy za rogiem.

Patrzyłam na budynek, który musiał być kiedyś stołówką, jednak wyglądało na to, że jego cała prawa strona się zawaliła. Tuż za plątaniną policyjnej taśmy odgradzającej rumowisko widać było drugą ścianę, na której namalowane były kolorowe twarze i słoneczka.

- Ktoś podłożył bombę w stołówce, jeszcze zanim pierwsze dzieci trafiły do obozu - wyjaśniła Cate. - Zdetonował ją podczas przerwy obiadowej.

- Czy to robota rządu? - dopytywał Martin, ale Cate nie mogła mu udzielić

odpowiedzi. Włączyła kierunkowskaz. Nie wiadomo było tylko, komu właściwie sygnalizuje, że skręca.

Miasto bez mieszkańców.

Od mojego oddechu zaparowała szyba. Wyjechaliśmy z uliczki i zmierzaliśmy w stronę kolejnego centrum handlowego. Minęliśmy kawiarnię Starbucksa, salon manicure, McDonalda i kolejny salon manicure, po czym Cate zatrzymała się w końcu na stacji benzynowej.

Od razu zauważyłam jasnobrązowy samochód terenowy nieznanego typu. Mężczyzna, który się o niego opierał, nie tankował benzyny - byłoby to niemożliwe. Wszystkie dystrybutory paliwa były zniszczone, a oderwane od nich węże porozrzucane były wokół na betonie.

Cate zatrąbiła, ale mężczyzna już nas dostrzegł i zamachał. Wyglądał młodo, a przynajmniej równie młodo jak Cate. Był drobnej budowy, a na czoło opadały mu brązowe włosy. Kiedy się zbliżaliśmy, na jego twarzy pojawił się uśmiech, który sprawił, że rozpoznałam w nim mężczyznę z myśli Cate. Tego, którego wyobrażała sobie w oślepiających barwach, kiedy wyjeżdżaliśmy z Thurmond.

Cate nie zdążyła jeszcze dobrze zaparkować, a już otworzyła drzwi i wypadła z pojazdu. Usłyszałam jej wysoki śmiech, kiedy zarzucała mężczyźnie ręce na szyję z taką siłą, że strąciła mu z głowy okulary przeciwsłoneczne.

Na karku, w miejscu, w którym kończył się kołnierz mojej koszuli, poczułam muśnięcie lepkiej dłoni Martina. Miałam dość. Otworzyłam drzwi samochodu i wysiadłam, nie czekając na pozwolenie Cate.

Powietrze przesycone było wilgocią pochodzącą z lekkiej mżawki, nadając drzewom i trawie soczystą barwę. Kropelki deszczu przyklejały się do moich policzków i włosów. Po ostatnich kilku godzinach spędzonych w zamknięciu z Martinem i jego trzecim migdałem - z Martinem, który cały wydawał się pokryty czymś lepkim - chłonęłam je z prawdziwą ulgą.

-... znaleźli Norę pół godziny po tym, jak wyjechałaś - mówił właśnie mężczyzna, kiedy się do nich zbliżyłam. - Wysłali za wami dwie jednostki. Mieliście jakieś problemy?

- Nie. - Cate obejmowała go w pasie. - I nie dziwi mnie to. Brakuje im ludzi. Zaraz, a gdzie są twoi...

Potrząsnął gwałtownie głową, a jego twarz spochmurniała.

- Nie udało mi się ich wyciągnąć.

Wydawało mi się, że pod Cate ugięły się nogi.

- Tak mi przykro...

- Tak... Ale widzę, że ty miałaś więcej szczęścia. Jak ona się czuje? - Oboje odwrócili się, żeby na mnie spojrzeć.

- Rob, to jest Ruby - powiedziała. - Ruby, to mój... To jest Rob.

- Co za nudna prezentacja! - Rob aż cmoknął. - Widzę, że wszystkie ładne dziewczyny poukrywali w Thurmond.

Wyciągnął do mnie rękę. Wielka dłoń, pięć palców, owłosione kostki. Nic nadzwyczajnego, jednak sądząc po tym, jak się w niego wpatrywałam, można by pomyśleć, że jego skóra pokryta jest łuską. Moja dłoń nadal przyciśnięta była do uda. Zbliżyłam się do Cate.

Nie trzymał pistoletu, noża ani urządzenia do Białego Szumu, ale na jego dłoni widać było rany i siniaki - niektóre świeże - które sięgały aż po nadgarstek. Tam znikały pod rękawami jego białej koszuli. Dopiero kiedy cofnął rękę, na prawym mankiecie zauważyłam maleńkie czerwone plamki.

Kiedy Rob zauważył, gdzie patrzę, jego twarz stężała, po czym jego dłoń zniknęła za plecami Cate, zaciśnięta na jej talii.

- Prawdziwa ślicznotka, co? - Spojrzała na niego Cate. - Idealnie nada się do tajnych operacji. Kto odmówi tak pięknej dziewczynie? Pomarańczowa.

Rob gwizdnął z uznaniem.

- Proszę, proszę.

Ludzie, którzy cenili Pomarańczowych. Kto by pomyślał.

- Co z Sarą? - nie odpuszczałam.

Rob wydawał się zdezorientowany.

- Ma na myśli Norę Jenkins - powiedziała Cate. - Imię Sara było tylko przykrywką.

- Wszystko w porządku - odparł Rob, kładąc mi dłoń na ramieniu. - Z tego, co wiem, nadal jest przesłuchiwana. Nasze wtyki w Thurmond dadzą nam znać, jeśli cokolwiek się zmieni.

Nagle poczułam napięcie.

- A czy Cate to twoje prawdziwe imię?

Zaśmiała się.

- Tak, ale na nazwisko mam Conner, nie Begbie.

Skinęłam głową. Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić albo powiedzieć.

- Mówiłaś, że jest ich dwoje? - Rob spojrzał w dal za moimi plecami. Jak na zawołanie usłyszałam dźwięk otwieranych i zatrzaskujących się drzwi.

- Oto i on! - powiedziała Cate, dumna jak kwoka z kurczęcia. - Martin, chodź tu!

Chcę, żebyś poznał naszego nowego towarzysza. Pojedzie z nami do Georgii.

Martin podszedł do nas i chwycił dłoń Roba, jeszcze zanim ten ją wyciągnął.

- Dobrze. - Cate splotła dłonie. - Nie mamy zbyt wiele czasu, ale musicie się umyć i przebrać w coś mniej rzucającego się w oczy

Rob otworzył jedne z tylnych drzwi, a samochód wydał mocny metaliczny dźwięk. Kiedy mężczyzna się obrócił, kilka rozproszonych promieni słońca padło na metalową rękojeść pistoletu zatkniętego za pasek jego dżinsów. Sięgał po coś, czego nie widziałam. Cofnęłam się o krok.

W swojej naiwności nie spodziewałam się, że jedno z nich albo oboje mają przy sobie broń. Ścisnęło mnie w żołądku. Odwróciłam się i wpatrzyłam w zaschnięte plamy oleju wytatuowane na chodniku, czekając, aż drzwi znów się zatrzasną.

- Proszę - powiedział Rob i wręczył nam po czarnym plecaku. Mój psioniczny towarzysz niedoli natychmiast porwał jeden z nich, sprawdzając jego zawartość, jak gdyby spodziewał się, że znajdzie w nim upominki. - Wygląda na to, że w łazienkach na stacji nadal jest bieżąca woda. Tylko nie próbujcie jej pić - mówił dalej Rob. - W plecakach znajdziecie coś do przebrania i artykuły pierwszej potrzeby Nie mamy zbyt wiele czasu, ale wykorzystajcie go, by zmyć z siebie obóz.

Zmyć z siebie Thurmond? Zetrzeć go z siebie jak plamę błota? Może i umiałam wymazywać wspomnienia innym, ale nie potrafiłam zatrzeć ich u siebie.

Bez słowa wzięłam plecak. Czułam rodzącą się w głowie migrenę. Wiedziałam, co to oznacza, więc instynktownie zrobiłam krok w tył. Zahaczyłam piętą o nierówny beton i potknąwszy się, poleciałam na twardą ziemię. Uniosłam ręce, żeby złapać równowagę, ale udało mi się to dopiero wtedy, gdy natrafiłam na ramię Roba.

Pewnie wydawało mu się, że łapiąc mnie, zachowuje się szarmancko, ale powinien był pozwolić mi upaść. Mój umysł wydał z siebie delikatne westchnięcie, po czym poszybował w myśli Roba. W jednej chwili napięcie, które wypełniało moją głowę, ustąpiło i przeszył mnie krótki dreszcz. Ogarnięta gniewem, zaciskając zęby, próbowałam wyrwać się z tego stanu.

W przeciwieństwie do wspomnień Cate, które przypominały trzepotanie rzęs, myśli Roba wydawały się ospałe, mętne, jak gdyby zrobione z lejącego się aksamitu. Nie łączyły się ze sobą, tylko sączyły się, przenikały jedna drugą. Były jak kropla atramentu w szklance wody - ciemna substancja ciągnęła się i pełzła, aż w końcu pochłonęła wszystko, co niegdyś było czyste.

Stałam się Robem. Robem, który spoglądał w dół na dwa ciemne kształty - na głowach miały worki, jednak od razu widać było, że jedna z sylwetek należy do mężczyzny, a

druga do kobiety. Ta druga odpowiedzialna była za łomot tętna, który wypełniał moje uszy. Głośny szloch wstrząsał całym jej ciałem, jednak ani przez chwilę nie przestała się szamotać, próbując się wyswobodzić z plastikowych więzów, krępujących jej dłonie i stopy.

Po chwili zaczął padać deszcz, ściekając przez rynny okolicznych budynków. Filtrowany umysłem Roba, brzmiał jak szum. Dopiero kiedy kątem oka zobaczyłam dwa ogromne czarne pojemniki na śmieci, zrozumiałam, że jesteśmy w jakimś zaułku i że wokół nie ma nikogo.

Ręka Roba - moja ręka - sięgnęła i zdarła kobiecie worek z głowy. Ciemne włosy rozsypały się po jej twarzy.

Jednak to wcale nie była kobieta. Była to dziewczyna, mniej więcej w moim wieku, ubrana w zielony strój. Obozowy uniform.

Łzy zmieszane z deszczem spływały jej po policzkach do ust, jej blade wargi układały się w słowo „błagam”, a oczy zdawały się krzyczeć „nie!”, jednak ja w ręce ściskałam pistolet - srebrny i połyskujący w mroku. Był to ten sam pistolet, który widziałam zatknięty za pasek dżinsów Roba. Ten sam, który teraz wycelowany był w głowę dziewczyny.

Broń wypaliła, odskakując w mojej dłoni. Strzał oświetlił przerażoną twarz dziewczyny, a huk zagłuszył jej rozpaczliwy krzyk Jej twarz zdawała się rozpadać. Krew trysnęła na moją rękę, plamiąc ciemną marynarkę... i brzeg wystającego spod niej białego mankietu.

Chłopiec zginął w ten sam sposób. Przed odebraniem mu życia Rob nie zdjął mu nawet worka z głowy. Następnie wrzucił oba ciała do kontenera na śmieci. Cofnęłam się, a scena, którą miałam przed oczami, zaczęła się zmniejszać, aż pochłonęły ją ciemne opary myśli Roba.

Wyswobodziłam się z gęstej plamy atramentu i gwałtownie wciągnęłam oddech.

Rob natychmiast mnie puścił, ale Cate rzuciła się w moją stronę i zajęłaby jego miejsce, gdyby nie to, że uniosłam obie dłonie, by ją powstrzymać.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Bardzo zbladłaś.

- Wszystko dobrze - odparłam, próbując mówić spokojnym, opanowanym głosem. Nadal kręci mi się w głowie od tego lekarstwa.

Martin sapnął z irytacją za moimi plecami. Przestępował z nogi na nogę i zniecierpliwiony mamrotał coś pod nosem. Posłał mi podejrzliwe spojrzenie i z przerażeniem pomyślałam, że on doskonale wie, co się właśnie wydarzyło. Ale było to właściwie niemożliwe - tego typu połączenia zawiązywały się tylko na kilka sekund, niezależnie od tego, jak długo zdawały się trwać w mojej głowie.

Wbiłam wzrok w ziemię, by uniknąć patrzenia w twarze dorosłych. Nie potrafiłam spojrzeć na Roba - nie po tym, co zrobił.

Wiedziałam też, że jeżeli zerknę na Cate, natychmiast wszystko pojmie. Zapyta mnie, co się stało, a ja nie będę umiała jej okłamać - nie tak, żeby uwierzyła. Musiałabym jej powiedzieć, że jej chłopak, partner czy kimkolwiek był dla niej ten mężczyzna, rozmazał mózgi dwójki dzieciaków po całej ulicy.

Rob wyjął z samochodu butelkę wody i chciał mi ją podać. Miał zaciśnięte usta. Mój wzrok znowu padł na maleńkie punkciki plamiące jego mankiet.

On ich zabił, kołatało mi się w głowie. To mogło wydarzyć się kilka dni, może nawet kilka tygodni temu, ale nie wydawało mi się to zbyt prawdopodobne. Przecież zmieniłby koszulę albo próbował wywabić z niej plamy. A potem przyjechał tu, żeby nas też zabić?

Rob uśmiechnął się do mnie, odsłaniając wszystkie zęby. Uśmiechnął się. Jak gdyby nie zastrzelił właśnie z zimną krwią dwojga dzieci i nie patrzył, jak ich krew spływa do studzienek ściekowych.

Moje dłonie drżały tak mocno, że musiałam je zacisnąć wokół plecaka, by nikt tego nie zauważył. Myślałam, że koszmar zostawiłam daleko za sobą, za elektrycznym ogrodzeniem, ale mroczne cienie nadal żyły i dopadły mnie aż tutaj.

Będę następna.

Powstrzymałam krzyk, który uwiązł mi w gardle, i odwzajemniłam uśmiech Roba, czując, jak skręca mnie w żołądku. Nie miałam nawet cienia wątpliwości, że gdyby wiedział, co właśnie zobaczyłam, Cate spędziłaby kilka dni na wywabianiu z jego koszuli mojej krwi.

Ona wie, pomyślałam, podążając za Martinem w stronę budynku stacji. Cate, która pachniała rozmarynem, która podtrzymywała mnie, kiedy szłyśmy korytarzem, która uratowała mi życie. Ona musi wiedzieć.

A mimo to go pocałowała.

Wnętrze stacji wyglądało tak, jakby przetrwało atak dzikich zwierząt, i całkiem prawdopodobne, że tak właśnie było. Podłoga pokryta była plątaniną różnych śladów łap, a na półkach z jedzeniem dostrzegłam lepkie czerwone i brązowe plamy.

W sklepie pachniało skwaśniałym mlekiem, mimo że w lodówkach z napojami nadal mrugało światełko. Chociaż większość była opróżniona z napojów gazowanych i piwa, w sklepie wciąż znajdowało się sporo towarów - i nic dziwnego. Ceny kartonu mleka wzrosły tu do dziesięciu dolarów. To samo dotyczyło jedzenia. Na niektórych półkach leżały stosy nietkniętych paczek z chipsami i batonikami. Ich cena sugerowała, że są to rzadkie, drogocenne towary. Inne półki albo świeciły pustkami, albo były miejscem eksplozji

popcornu i paluszków po tym, jak ktoś rozerwał torebki.

Zanim się spostrzegłam, ułożyłam sobie plan.

Kiedy Martin bawił się automatem do napojów, porwałam kilka paczek chipsów i batoników. Gdy pakowałam je do plecaka, ogarnęło mnie poczucie winy, ale kogo tak naprawdę okradałam? Kto miałby wezwać policję?

- Jest tylko jedna łazienka - oznajmił Martin. - Idę pierwszy. Może będziesz miała fart i zostawię ci trochę wody.

Będę miała fart, jeśli się w niej utopisz.

Zatrzasnął za sobą drzwi, a wyrzuty sumienia, że go zostawiam, natychmiast mnie opuściły. Może było to okrutne, może miałam spędzić resztę życia w poczuciu winy, że porzuciłam go tak bez słowa, ale gdybym powiedziała mu o swoim planie, natychmiast doniósłby na mnie Cate i Robowi. Nie ufałam Martinowi na tyle, by wierzyć, że nie zacznie krzyczeć ani nie będzie próbował mnie zatrzymać.

Błyskawicznie ściągnęłam z siebie fartuch Sary - Nory - i zostawiłam go na podłodze. Uniform, który miałam pod spodem, zdradzał, kim jestem, ale fartuch był zbyt luźny, żebym mogła w nim biec. A ja musiałam się stąd jak najszybciej wydostać.

Martin prawdopodobnie maksymalnie odkręcił wodę, ponieważ kiedy stąpałam pomiędzy odłamkami szkła z potężnej witryny sklepu, słyszałam głośny plusk.

Wyszłam zza półki w chwili, kiedy Rob oderwał się od ust Cate, obszukał kieszenie kurtki i wyjął z niej telefon. Ktokolwiek dzwonił, Rob wyglądał tak, jakby wcale nie miał ochoty z nim rozmawiać. Po chwili rzucił telefon Cate i zbliżył się do samochodu od strony kierowcy. Cate odwróciła się do mnie plecami i na masce samochodu rozłożyła coś, co wyglądało na mapę. Kiedy Rob ponownie się pojawił, jeden czarny karabin wetknięty miał pod ramię, a drugi trzymał za lufę. Cate bez mrugnięcia okiem wzięła od niego broń i przewiesiła ją sobie przez ramię, jak gdyby tam właśnie było jej miejsce. Poznawałam ten karabin - oczywiście, że go poznawałam. Każdy żołnierz SSP, który patrolował ogrodzenie wokół obozu, miał przy sobie karabin M16 i byłam prawie pewna, że strażnicy spoglądający na nas z Wieży także mieli go pod ręką. Tego właśnie użyją, żeby nas zabić?, zastanawiałam się. A może będą chcieli, żebym to jago użyła?

W końcu włączyła się rozumna część mojego umysłu, dławiąc chaos paniki i przerażenia, które mnie ogarnęły. Może Rob miał powód, żeby zabić te dzieci. Może chciały go skrzywdzić, mimo że były związane, a może... ... może po prostu odmówiły wstąpienia do Ligi.

Kiedy to sobie uświadomiłam, poczułam w piersi ogień, który trawił wszystko, co

napotkał na swojej drodze. Myśl o tym, wyobrażenie, że mogłabym dotknąć tej broni i że mogliby ode mnie oczekiwać, że do kogoś strzelę... Czy taka właśnie była cena dostania się do ich rodziny?

A może mam być jak Martin i sama stać się bronią?

Mój tata zastrzelił kogoś dopiero po siedmiu latach służby w policji. Nigdy nie opowiedział mi wszystkiego. Musiałam to usłyszeć od dzieci w mojej klasie, które czytały o tym w gazecie. Z ich opowieści wynikało, że przestępca zginął po tym, jak wziął zakładnika.

To go zniszczyło. Tata nie wychodził z sypialni do czasu, aż babcia przyjechała z Virginia Beach, żeby mnie zabrać. Kiedy kilka tygodni później wróciłam, zachowywał się, jak gdyby nic nie zaszło.

Nie wiem, co musiałoby się stać, żebym wzięła do ręki tego typu broń, ale z pewnością nie mogłam pozwolić, by zmusiła mnie do tego grupa obcych ludzi.

Musiałam się stąd wyrwać. Uciec dokądkolwiek. Można mnie było opisać różnymi, może i okropnymi słowami, ale nie chciałam, by „morderczyni" było jednym z nich.

Dobiegł mnie dźwięk kruszonego szkła. Był na tyle głośny, że usłyszałam go mimo plusku wody i brzęczenia lodówek z napojami. Dopiero kiedy Martin zakręcił kurek, znów usłyszałam szmery. Obróciłam się w porę, żeby za niskimi półkami z jedzeniem zobaczyć otwierające się i zatrzaskujące drzwi z napisem tylko

DLA PERSONELU.

Droga ucieczki.

Ostatni raz spojrzałam przez szybę, upewniając się, że Cate i Rob nadal stoją tyłem do mnie, a następnie ruszyłam wzdłuż półek i rzuciłam się prosto do drzwi.

To tylko jakiś gryzoń, uznałam. Albo szczury. Nie po raz pierwszy w czasie mojego krótkiego życia wolałam spotkać szczury niż ludzi.

Znowu usłyszałam chrobotanie, tym razem głośniejsze, a kiedy otworzyłam drzwi, nie zobaczyłam stada szczurów rozszarpujących paczkę chipsów.

Zobaczyłam dziecko.

8

Jego, a raczej jej wargi rozchyliły się, kiedy gwałtownie wciągnęła powietrze. W pierwszej chwili nie byłam pewna, jednak teraz uświadomiłam sobie, że była to dziewczynka i to jeszcze mała. Sądząc po jej wzroście, miała osiem, może dziewięć lat. Było to jeszcze dziecko, niemal ginące w za dużej koszulce, na której widniała jasnozielona wyścigówka i czarno-biała chorągiewka startowa. Zdumiona zauważyłam, że na ręce, aż do łokcia, miała naciągnięte jasnożółte gumowe rękawice - takie, jakich moja mama używała do mycia naczyń i szorowania wanny.

Ciemne włosy małej Azjatki były króciutko ostrzyżone. Miała na sobie workowate chłopięce dżinsy, jednak jej buzia była śliczna jak u laleczki. Jej pełne wargi z zaskoczenia ułożyły się w idealną literkę O, a ona zbladła tak gwałtownie, że uwydatniły się piegi na jej nosie i policzkach.

- Skąd się tu wzięłaś? - wykrztusiłam w końcu.

Zaskoczenie na jej twarzy ustąpiło miejsca przerażeniu. Jedną rękę miała schowaną w paczuszce z cukierkami, ale drugą natychmiast zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, tak że zdążyłam jedynie dostrzec coś żółtego.

- Hej! - Kiedy ponownie je otworzyłam, ujrzałam, jak dziewczynka ucieka przez drzwi po przeciwnej stronie magazynu, a następnie wybiega na deszcz. Narzuciłam plecak na ramiona i ruszyłam za nią, mijając metalowe regały. Drzwi magazynu przytrzymywał od zewnątrz spory kamień, tak że musiałam w nie kopnąć, żeby się rozwarły. - Hej!

Z kieszeni spodni Azjatki spod jej bluzki wysypywały się miniaturowe paczuszki paluszków i chipsów.

Miała prawo bać się pędzącej za nią, na wpół oszalałej dziewczyny, jednak nie mogłam się tym teraz przejmować. Poczułam iskierkę nadziei i nie mogłam pozwolić, by stracić dziewczynkę z oczu na parkingu. Musiała się skądś wziąć - może znała sposób na wydostanie się z tego miasta lub kryjówkę, w której mogłabym przeczekać, aż Cate i reszta przestaną mnie szukać.

Plac na tyłach stacji składał się tylko z czterech miejsc parkingowych, z których jedno zajmował przewrócony kontener na śmieci. Kiedy obok niego przebiegałam, nie spuszczając wzroku z szarej koszulki dziewczynki, usłyszałam buszujące w nim zwierzęta. Azjatka biegła tak szybko, że potknęła się w miejscu, gdzie asfalt stykał się ze skrawkiem ziemi porośniętym dziką trawą. Wyciągnęłam ręce, żeby ją złapać, ale zdążyła się podnieść i uciec.

Już miałam chwycić ją za koszulkę, kiedy dziewczynka nagle przyspieszyła i

przemknęła przez mały zagajnik drzew oddzielający stację benzynową od jakiejś drogi.

- Ja tylko... chcę z tobą porozmawiać! - zawołałam. - Proszę!

Powinnam była powiedzieć raczej: nie skrzywdzę cię, nie jestem z SSP - coś, co dałoby jej do zrozumienia, że znajduję się w równie beznadziejnym położeniu jak ona.

Czułam pieczenie w piersi, a moje płuca obkurczyły się, obolałe i ściśnięte przez żebra. Przycisk alarmowy podskakiwał w powietrzu, obijając się o mój podbródek i ramiona. Zdarłam go z szyi z taką siłą, że przerwałam zamknięcie łańcuszka.

Dziewczynka przeskoczyła przez powalony pień, a jej tenisówki z chlupotem grzęzły w kleistej mazi. Moje buty wydawały podobne dźwięki, ale wszystko zagłuszył głos Martina.

- Ruby!

Zmroziło mi krew w żyłach, miałam wrażenie, że nie płynęła w nich już ani kropelka. Nie powinnam była się odwracać, jednak zrobiłam to - wiedziona raczej instynktem niż strachem. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że moje stopy przestały się poruszać, dopóki po drugiej stronie drzew nie ukazała się okrągła sylwetka Martina. Znajdował się tak blisko, że widziałam jego czerwoną z wysiłku twarz. On jeszcze mnie nie widział.

- Ruby!

Ruszyłam biegiem, spodziewając się, że nie znajdę już nic poza drzewami i pustką, jednak po chwili ujrzałam dziewczynkę. Stała niedaleko, tuż za drzewem. Nie chowała się przede mną, ale i nie zachęcała mnie, żebym podeszła. Miała zaciśnięte usta, a jej oczy spoglądały to na mnie, to w dal, skąd dobiegał głos Martina. Kiedy ruszyłam w jej stronę, rzuciła się do ucieczki tak szybko, że obie jej stopy oderwały się od ziemi. Była wystraszona jak mały króliczek.

- Proszę - dyszałam, biegnąc ile sił w nogach. - Chcę tylko...

Przedarłyśmy się przez drzewa i wpadłyśmy na opuszczony odcinek drogi. Po drugiej stronie ślepej uliczki stał szereg rozpadających się domów, których zaklejone dyktą okna wyglądały jak czarne ślepia. Byłam pewna, że dziewczynka kieruje się w stronę najbliższego z nich - otoczonego szarym płotem domu z zielonymi drzwiami - ale skręciła gwałtownie w prawo i rzuciła się do zaparkowanego na poboczu minivana.

Karoseria pojazdu była tak zniszczona, że nadawał się co najwyżej na złomowisko - wgniecione były nie tylko zderzaki, ale także boczne drzwi i dach - nie wspominając nawet o odchodzących od niej płatach czarnej farby czy roztrzaskanych reflektorach. Najładniejszą częścią samochodu było logo wymalowane na jego przesuwanych drzwiach - bogaty w zawijasy, zapisany kursywą napis PRALNIA U BETTY JEAN.

Jednak był to w końcu samochód. Droga ucieczki. Nie zastanawiałam się nawet nad

logistyką - nad tym, czy pojazd był zatankowany ani czy w ogóle zapali. Czułam się tak, jak gdyby na sam widok minivana wyrosła mi para ogromnych puszystych białych skrzydeł, i nic mi nie mogło popsuć nastroju.

Dziewczynka biegła tak szybko, że uderzyła w boczne drzwi samochodu, odbiła się od nich i boleśnie upadła na ziemię. Podniosła się na nogi szybciej, niż wydawało się to możliwe. Chwyciła klamkę obiema dłońmi obleczonymi w żółte rękawiczki i pociągnęła za drzwi z taką siłą, że ich skrzypnięcie spłoszyło ptaki z okolicznych dachów.

Dopadłam samochodu w chwili, kiedy dziewczynka zamknęła drzwi i z całej siły przycisnęła dłonią zamek.

Jej twarz przebijała przez moje własne odbicie w przyciemnionej szybie - widziałam, jak muszę wyglądać z jej perspektywy. Szeroko rozwarte oczy o dzikim wejrzeniu, burza ciemnych splątanych włosów, ubrania, które byłyby dla mnie zbyt małe, gdyby nie to, że w czasie pobytu w obozie schudłam tak, że z mojej klatki piersiowej wystawały kości, o których istnieniu nie miałam dotąd pojęcia. Obiegłam samochód, chowając się za minivanem na wypadek, gdyby ktoś nadszedł od strony drzew.

- Proszę! - wychrypiałam. Nie byłam pewna, czy krzyki Martina odbijają się echem w mojej głowie, czy chłopak rzeczywiście jest coraz bliżej. Szyby minivana były tylko lekko przyciemnione, tak że w razie potrzeby mogłam przez nie dostrzec woskowatą skórę Martina prześwitującą między drzewami. Jeśli faktycznie się zbliżał, Cate i Rob także musieli być niedaleko. Oni również musieli słyszeć jego krzyki.

Masz wybór, Ruby, pomyślałam. Możesz wrócić albo uciekać.

Zarówno moja głowa, jak i serce podpowiadały mi, żeby uciekać, ale reszta ciała - udręczona przez Biały Szum, zatruta i sponiewierana przez ludzi, którzy przysięgali, że ich postępowanie wynika ze szlachetnych pobudek - przyklejona była do ziemi. Wyczerpana, oparłam się o samochód. Czułam się tak, jakby ktoś umieścił moją klatkę piersiową w szczękach imadła i ścisnął ją tak mocno, aż uszła ze mnie cała odwaga, a wraz z nią ostatni milimetr powietrza.

Lata spędzone w Thurmond odebrały mi wiarę w to, że czeka mnie inna przyszłość niż ta, którą zaplanowali dla mnie dorośli.

Odgłosy kroków były coraz bliższe i wyraźniejsze. Ktoś przedzierał się przez zarośla. Kiedy znów podniosłam wzrok, za drzewami dostrzegłam jasne włosy Cate, które na tle ciemnych chmur połyskiwały niczym świetliki.

- Ruby! - usłyszałam jej głos. - Ruby, gdzie jesteś?

Rob stanął tuż obok niej. W dłoni ściskał broń. Spojrzałam na domy na końcu uliczki.

Jeszcze dalej, na przeciwnym krańcu drogi dostrzegłam znaki z symbolami, których nie rozpoznawałam, ale nawet to - wielka niewiadoma - wydawało mi się lepsze niż powrót do Cate.

Dziewczynka w samochodzie spojrzała na mnie, a następnie przeniosła wzrok na drzewa. Zacisnęła wargi i ściągnęła brwi. Jedną dłoń zacisnęła na klamce, a drugą na podłokietniku fotela. Uniosła się lekko, a po chwili znów usiadła i jeszcze raz na mnie spojrzała.

Przetarłam twarz wierzchem dłoni i zrobiłam krok w tył. Miałam nadzieję, że dziewczynka wpadnie na to, by się schować, kiedy Cate i Rob ruszą za mną w pościg. Zamierzałam odciągnąć ich najdalej jak to możliwe - chociaż tyle mogłam zrobić dla dziewczynki po tym, jak ją wystraszyłam.

Nie zdążyłam się jeszcze odwrócić, żeby uciec, kiedy usłyszałam otwierające się drzwi. Para rąk chwyciła mnie za koszulę uniformu, skręcając jego tkaninę tak, by nie wyślizgnęła się z palców. Pociągnęła mnie, aż opadłam na najbliższy fotel. Uderzyłam szyją w podłokietnik i opadłam na szorstki dywanik tuż za przednim siedzeniem pasażera. Drzwi zasunęły się z trzaskiem.

Zamrugałam, próbując pozbyć się ciemnych punkcików przepływających mi przed oczami, ale dziewczynka nie zamierzała czekać, aż się ułożę. Przeczołgała się przez moje splątane nogi, żeby dotrzeć na fotel na samym końcu samochodu. Chwyciła mnie za kołnierz i mocno pociągnęła.

- Dobrze, dobrze - rzuciłam i przeczołgałam się w jej stronę. Przesunęłam palcami po szarych dywanikach samochodu. Jeśli nie liczyć kilku starych gazet i zawiązanych plastikowych siatek wetkniętych pod ostatni fotel, wnętrze minivana utrzymane było we względnym porządku.

Dziewczynka dała mi znać, żebym przykucnęła za jednym ze środkowych foteli. Przyciskając kolana do brody, zdałam sobie sprawę, że mimo iż spełniłam wszystkie jej polecenia, nie wypowiedziała jeszcze ani jednego słowa.

- Jak masz na imię? - zapytałam. Jej nogi dyndały w powietrzu, kiedy przechylona przez tylne siedzenie szukała czegoś w bagażniku. Udawała, że mnie nie słyszy. - Nie bój się, możesz ze mną porozmawiać...

Kiedy ponownie się wyłoniła, była zgrzana, a w ręku trzymała splamione farbą białe prześcieradło. Przycisnęła palec do ust, a ja posłusznie zamilkłam. Dziewczynka strzepnęła złożoną tkaninę i zarzuciła mi ją na głowę. Kiedy prześcieradło mnie okryło, moje nozdrza zaatakował zapach syntetycznej cytryny oraz wybielacza. Otworzyłam usta, żeby

zaprotestować, i sięgnęłam ręką, by zedrzeć materiał z twarzy, ale w ostatniej chwili się powstrzymałam.

Ktoś nadchodził... Nie, była to więcej niż jedna osoba. Usłyszałam odgłosy sprzeczki oraz stąpanie stóp na chodniku. Kiedy skrzypnęły drzwi, zamarłam.

-... Liam, przyrzekam, że to była ona! - powiedział ktoś niskim głosem, który nie należał jednak do osoby dorosłej. - A nie mówiłem, że nas namierzy? Suzume, miałaś jakieś kłopoty?

Po przeciwnej stronie otworzyły się drzwi. Druga osoba - Liam? - westchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu - powiedział z lekko południowym akcentem. - No już, już, wsiadaj. Nie wiem, co się tu dzieje, ale nie mam ochoty zostawać tu ani chwili dłużej, żeby się o tym przekonać. Wystarczyło mi spotkanie z łowcami nagród...

- Dlaczego nie przyznasz, że to była ona? - rzucił drugi głos.

- Bo zgubiliśmy ją w Ohio, ot co...

Głos Liama oraz pulsowanie krwi w moich skroniach zagłuszył inny głos.

- Ruby! Ruby!

Cate.

Przycisnęłam obie dłonie do ust i zacisnęłam powieki.

- Co jest, do cholery? - powiedział pierwszy głos. - Czy to jest to, co myślę?

Pierwszy strzał wybuchł jak petarda. Może tłumiła go odległość, a może drzewa i poszycie, ale wydawał mi się on nieszkodliwy. Jak ostrzeżenie. Następny był już groźniejszy.

- Przestań! - usłyszałam krzyk Cate. - Nie strzelaj...!

- LEE!

- Wiem, wiem. - Silnik zapalił z warkotem i po chwili samochód ruszył z piskiem opon. - Zu, pasy!

Próbowałam leżeć bez ruchu, ale przy każdym szarpnięciu latałam pomiędzy fotelami. W pewnym momencie uderzyłam głową o plastikowy panel na drzwiach oraz uchwyt na napój, ale ponieważ ktoś do nas strzelał, nikt nie zwrócił nawet uwagi na dziwne odgłosy dochodzące z tylnego siedzenia.

Zastanawiałam się, czy Rob dał drugi karabin Martinowi.

- Zu, czy na stacji benzynowej coś się wydarzyło? - dopytywał głos, który przyporządkowałam do Liama. W jego słowach nie było paniki, jedynie przynaglenie. Jechaliśmy już od dziesięciu minut i zostawiliśmy strzały z tyłu. Natomiast towarzysz Liama zachowywał się zgoła inaczej.

- O Boże, kolejni łowcy nagród? Czy oni przyjechali tu na jakiś cholerny zjazd?

Zdajecie sobie sprawę, co by się stało, gdyby nas złapali, prawda? - jęczał. - Oni do nas strzelali. Strzelali. Z karabinu!

Gdzieś po mojej prawej stronie usłyszałam chichot dziewczynki.

- Cóż, cieszę się, że cię to bawi - powiedział chłopak. - Czy wiesz, co się dzieje, kiedy ktoś cię postrzeli, Suzume? Kula rozrywa...

- Pulpet! - rzucił Liam tak ostro, że jego towarzysz urwał swoją upiorną opowieść. - Uspokój się, dobra? Wszystko w porządku. Niebezpieczeństwo było bliżej, niżbym tego chciał, ale udało nam się go uniknąć. Następnym razem będziemy musieli popełniać lepsze błędy, prawda, Zu?

Pierwszy głos wydał zduszone jęknięcie.

- Przepraszam za to, co wydarzyło się wcześniej - powiedział Liam. Łagodny ton jego głosu kazał mi sądzić, że mówi do dziewczynki, a nie do chłopaka, który mruczał coś pod nosem. - Następnym razem oboje pójdziemy po jedzenie. Jesteś cała i zdrowa, prawda?

Drgania nawierzchni tłumiły ich głosy. W przegródce na napój tak głośno podskakiwała moneta, że ostatkiem sił powstrzymałam się, żeby wystawić rękę spod prześcieradła i ją złapać. Kiedy pierwszy chłopak znowu się odezwał, musiałam wytężyć słuch, żeby go dosłyszeć.

- Czy tobie też wydawało się, że oni kogoś szukali?

- Nie, mnie wydawało się, że oni do nas strzelają!

Krew odpłynęła mi z koniuszków palców, tak że straciłam czucie w dłoniach.

Nic ci nie grozi, powiedziałam do siebie. To tylko dzieciaki.

Dzieciaki, które nieświadomie ryzykowały dla mnie życie.

Powinnam była wiedzieć, że do tego dojdzie. Właśnie to, a nie lęk przed zapuszczeniem się w wyludnione miasto powinno być moim największym zmartwieniem. Jednak spanikowałam, a mój mózg zamienił się w rozgrzaną masę strachu.

-... kilka rzeczy - mówił Liam - ale spróbujmy skoncentrować się na odnalezieniu East River*.

* East River - ang. dosłownie Wschodnia Rzeka (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

Musiałam się stamtąd wydostać i to natychmiast! To był beznadziejny pomysł, może nawet najgorszy, na jaki kiedykolwiek wpadłam. Jeżeli teraz zniknę, zdołają jeszcze uciec przed Cate i Robem. Mnie również wciąż mogło się to udać. Wciągnęłam plecak z powrotem na ramiona i wygrzebałam się spod prześcieradła. Zaciągnęłam się chłodnym

klimatyzowanym powietrzem i usiadłam, podciągając się na jednym z tylnych foteli.

Z przodu siedzieli dwaj nastoletni chłopcy, którzy spoglądali na drogę. Deszcz zacinał coraz mocniej. Potężne krople spadały na szybę zbyt szybko, by wycieraczki nadążały z ich ścieraniem, przez co wydawało się, że zmierzamy prosto do Wirginii Zachodniej jak gdyby wyjętej spod pędzla impresjonisty. Ponad nami rozpościerało się srebrzyste niebo, przed nami ciągnęła się czarna droga, a pomiędzy nimi połyskiwały drzewa w soczystej wiosennej szacie.

Liam, nasz kierowca, miał na sobie podniszczoną skórzaną kurtkę, ciemniejszą na linii ramion, gdzie była wilgotna od deszczu. Jego włosy w jasnym odcieniu popielatego blond stawały dęba, kiedy przeczesywał je ręką. Od czasu do czasu spoglądał w bok na ciemnoskórego nastolatka, jednak dopiero gdy spojrzał w tylne lusterko, zauważyłam, że ma niebieskie oczy.

- Nie widzę nic przez tylną szybę, kiedy... - słowa uwięzły mu w gardle, gdy ponownie spojrzał w lusterko, tym razem z niedowierzaniem.

Samochód zjechał na prawo, bo chłopak obrócił się do tyłu, gwałtownie skręcając przy tym kierownicę. Pojazd szarpnął, nieomal wtaczając się na pobocze, a drugi nastolatek wydał z siebie zduszony krzyk. Dziewczynka zerknęła do tyłu przez ramię, a na jej twarzy malowały się jednocześnie zaskoczenie i irytacja.

Liam gwałtownie wcisnął hamulce. Pasy bezpieczeństwa dwojga pozostałych pasażerów zablokowały się, wrzynając im się w pierś i pozbawiając ich tchu. Mnie nic nie przytrzymywało, więc poleciałam do przodu i wylądowałam pomiędzy dwoma środkowymi fotelami. Chociaż minął zaledwie ułamek sekundy, wydawało mi się, że upłynęły wieki, zanim samochód zatrząsł się i zatrzymał, wydając przeciągłe jęknięcie.

Obaj chłopcy wpatrywali się we mnie, a ich twarze przybrały zupełnie różny wyraz. Opalona twarz Liama zrobiła się biała jak porcelana, a jego szczęka opadła w dół, co dawało niemal komiczny efekt. Drugi chłopiec gapił się na mnie zza cienkich metalowych okularów. Z dezaprobatą zacisnął usta, podobnie jak robiła to moja mama, kiedy późnym wieczorem odkrywała, że nie leżę jeszcze w łóżku. Jego uszy były zbyt duże w stosunku do twarzy i odstawały mu od głowy, a wszystko to, co znajdowało się pomiędzy nimi, od szerokiego czoła przez wąską nasadę nosa po pełne wargi, wydawało się ciemnieć z gniewu. W jego oczach paliła się taka żądza krwi, że przestraszyłam się, iż należy do Czerwonych.

Chłopcy. Dlaczego muszą to być właśnie chłopcy?

Podniosłam się z podłogi i rzuciłam do drzwi. Moje palce ścisnęły klamkę, ale mimo że z całej siły za nią ciągnęłam, drzwi nie ustępowały.

- Zu! - krzyknął Liam, spoglądając to na nią, to na mnie. Dziewczynka złożyła ręce na

kolanach, skrzypiąc gumowymi rękawiczkami, i spojrzała na niego tak niewinnie, jak gdyby nie miała pojęcia, skąd tuż u jej stóp wzięła się pasażerka na gapę.

- Przecież ustaliliśmy, że nie zabieramy żadnych przybłęd! - Drugi chłopiec potrząsnął głową. - To dlatego nie zabraliśmy wtedy tamtych kociąt!

- No nie, ten znowu o tym... - Liam opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. - Co byśmy zrobili z kartonem pełnym porzuconych kociąt?

- Gdyby to twoje kamienne serce nie kazało ci ich zostawiać na pewną śmierć głodową, może udałoby nam się znaleźć im nowych, kochających właścicieli.

Liam obrzucił drugiego chłopca wzrokiem pełnym niedowierzania.

- Ty już zawsze będziesz mi wypominał te koty, prawda?

- To były niewinne, bezbronne kocięta, a ty zostawiłeś je pod czyjąś skrzynką na listy. Pod skrzynką na listy!

- Pulpet - jęknął Liam - daj już spokój.

Pulpet? To musiał być jakiś żart. Przecież ten dzieciak był chudy jak patyk! Każda część jego ciała, od nosa aż po palce, była długa i wąska.

Wbił w Liama karcące spojrzenie. Nie wiem, co bardziej mnie dziwiło - to, że kłócili się o kocięta, czy to, że zupełnie zapomnieli o mnie.

- Przepraszam! - przerwałam im, uderzając dłonią w szybę. - Możecie otworzyć te drzwi?

To ich w końcu uciszyło.

Kiedy Liam odwrócił się do mnie, jego twarz miała zupełnie inny wyraz niż wcześniej. Był poważny, ale nie smutny czy podejrzliwy, czego z pewnością nie mogłabym powiedzieć o sobie, gdybym znalazła się na jego miejscu.

- To ciebie szukają? - zapytał. - Ruth?

- Ruby - poprawił go Pulpet.

Liam machnął ręką.

- No tak, Ruby.

- Po prostu otwórzcie drzwi. - Jeszcze raz szarpnęłam za klamkę. - Popełniłam błąd. To był błąd! Byłam samolubna. Wiem o tym. Musicie mnie wypuścić, zanim nas dogonią.

- Zanim kto nas dogoni? Łowcy nagród? - zapytał Liam. Zmierzył mnie wzrokiem, od wymizerowanej twarzy po ubłocone buty, na których markerem wypisany był mój numer Psi. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie. - Czy ty właśnie uciekłaś z obozu?

Poczułam na sobie ciemne oczy Suzume - Zu - jednak wytrzymałam spojrzenie Liama i skinęłam głową.

- Liga Dzieci pomogła mi się stamtąd wydostać.

- A teraz od nich uciekłaś? - dopytywał Liam. Spojrzał na Zu, szukając u niej potwierdzenia. Skinęła głową.

- Przepraszam bardzo, ale co to ma w ogóle za znaczenie? - wtrącił się Pulpet. - Słyszałeś, co mówiła. Otwórz te głupie drzwi! Już i tak depczą nam po piętach SSP i łowcy nagród. Nie musimy dodawać do tej listy jeszcze Ligi Dzieci! Pewnie myślą, że ją zabraliśmy, a jeżeli powiadomili innych, że kilku odmieńców tłucze się po okolicy poobijanym czarnym minivanem... - urwał, nie potrafiąc nawet dokończyć tego zdania.

- Hej - powiedział Liam, unosząc palec - nie obrażaj Czarnej Betty. -

- Najmocniej przepraszam, że zraniłem uczucia dwudziestoletniego minivana.

- On ma rację - powiedziałam. - Przepraszam. Błagam, wypuśćcie mnie... Nie chcę, żebyście mieli przeze mnie dodatkowe kłopoty.

- A więc zamierzasz do nich wrócić? - Liam znów spoglądał na mnie z ponurą miną. - Zielona, słuchaj, to nie moja sprawa, ale masz prawo wiedzieć, że te wszystkie rzeczy, których ci naopowiadali, to w większości wierutne kłamstwa. Oni się nami nie opiekują. Mają własne plany i jeżeli wyciągnęli cię z obozu, to zrobili to w konkretnym celu.

Potrząsnęłam głową.

- Myślisz, że tego nie wiem?

- W takim razie dlaczego tak ci się spieszy, żeby do nich wrócić? - odparł spokojnie.

W jego pytaniu nie kryła się zawoalowana krytyka ani oskarżenie, więc dlaczego czułam się jak idiotka? Poczułam, że moje gardło wypełnia się czymś gorącym i drapiącym. Czymś, co pięło się coraz wyżej, aż znalazło się tuż pod moimi powiekami. Boże, ten chłopak patrzył na mnie ze współczuciem i litością, z jakimi spoglądało się na topionego właśnie szczeniaczka. Nie wiedziałam, czy emocje, które we mnie wzbierają, to gniew czy wstyd, ale nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

- To nie tak. Nie mogę... nie chciałam was w to wciągać... To znaczy... Chciałam, ale...

Kątem oka zobaczyłam zbliżającą się do mnie rękę Zu. Wyrwałam się jej i gwałtownie wciągnęłam oddech. Dziewczynka wyglądała na tak rozżaloną, że ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Próbowała mi pomóc. Chciała być miła. Nie miała pojęcia, że uratowała potwora.

Gdyby o tym wiedziała, na pewno nigdy nie otworzyłaby mi drzwi.

- Więc naprawdę chcesz do nich wrócić?

Pulpet spoglądał na Liama, a Liam na mnie. Nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego,

że na mnie patrzy.

- Nie - odparłam zgodnie z prawdą. - Nie chcę.

Nie odezwał się ani słowem, tylko wrzucił bieg i samochód ruszył.

Co ty robisz, Ruby? Próbowałam rozkazać swojej ręce, żeby sięgnęła drzwi, ale wydawały się one zbyt daleko, a moja dłoń zbyt ciężka. Wysiądź. Natychmiast.

- Lee, nawet nie próbuj... - zaczął Pulpet. - Jeżeli Liga zacznie nas ścigać...

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Liam. - Odstawimy ją tylko na najbliższy przystanek autobusów.

Zamrugałam. Nie liczyłam na tak wiele.

- Nie musicie.

Liam machnął ręką.

- Nie ma problemu. Przykro mi, że nie możemy zrobić dla ciebie więcej. Nie możemy tak ryzykować.

- Masz rację - rzucił Pulpet. - Może więc wyjaśnisz mi, dlaczego nie zabieramy jej na stację kolejową? Przecież jest bliżej.

Kiedy znów podniosłam wzrok, Liam przyglądał mi się badawczo, w zamyśleniu ściągając jasne brwi. Próbowałam wytrzymać jego spojrzenie.

- Przypomnij mi... Ruby, prawda? Pewnie już to wiesz, ale ja jestem Liam, a ta urocza młoda dama z tyłu to Suzume.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Odwróciłam się w stronę drugiego chłopaka i uniosłam brwi.

- Podejrzewam, że ty nie masz na imię Pulpet?

- Nie. - Pociągnął wyniośle nosem. - Liam nazwał mnie tak w obozie.

- Był tłuściutki jak prosiątko. - Na twarzy Liama pojawił się mały uśmieszek. - Okazuje się, że praca fizyczna i ubogi jadłospis działają lepiej niż zajęcia na siłowni. Zu może to potwierdzić.

Jednak dziewczynka nie zwracała na nas uwagi. Naciągnęła kaptur na głowę i obróciła się tak, że spoglądała przez tylną szybę znad zagłówka swojego fotela. Miała rozchylone usta, jednak nie potrafiła wydobyć z nich ani słowa. Jej twarz pobladła.

- Zu? Co się dzieje? - zapytał Liam.

Nie musiała nawet wyciągać ręki. Nawet gdybyśmy nie zauważyli pędzącej na nas terenówki, i tak nie przegapilibyśmy kuli, która przeszyła tylną szybę i roztrzaskała ją w drobny mak.

9

Kula przecięła minivan i wyleciała przez przednią szybę. Przez chwilę wszyscy w milczeniu wpatrywaliśmy się w dziurę, wokół której rozpięła się gęsta pajęczyna pęknięć.

- Cholera! - Liam wcisnął gaz do dechy. Nasz kierowca chyba zapomniał, że jechaliśmy dodgeem caravanem, a nie bmw. Miałam wrażenie, że minęło pół godziny, zanim pojazd rozpędził się do stu kilometrów na godzinę. Korpus Czarnej Betty zaczął się trząść, nie tylko ze względu na dziury i szczeliny w drodze.

Obróciłam się do tyłu, szukając wzrokiem terenówki Roba, ale jadący za nami samochód był jaskrawoczerwonym pick-upem, a uzbrojony mężczyzna, który wychylał się przez okno od strony pasażera, nie był Robem.

- Mówiłem wam! - wrzasnął Pulpet. - Mówiłem, że to łowcy nagród!

- Dobrze, miałeś rację! - odkrzyknął Liam. - Ale może spróbuj się na coś przydać!

Szarpnął pojazdem na lewo w tej samej chwili, kiedy mężczyzna oddał jeszcze jeden strzał. Kula musiała pójść bokiem, ponieważ nawet nie drasnęła samochodu, a przynajmniej takie miałam wrażenie. Kolejna miała większe szczęście i wbiła się w zderzak.

Była jak cios zadany w plecy. Wszyscy głośno wciągnęliśmy powietrze. Pulpet natomiast jęknął i się przeżegnał.

Zu skuliła się na siedzeniu, przyciskając kolana do klatki piersiowej. Kaptur zakrywał jej twarz, jednak nie zdołał zamaskować tego, że dygotała na całym ciele. Położyłam jej rękę na plecach i przytrzymałam ją.

Znów usłyszeliśmy huk za plecami, jednak tym razem nie był to wystrzał,

- Co, do jasnej... - Liam zaryzykował i spojrzał w tył przez ramię. - Nie, no nie wytrzymam!

Serce stanęło mi w gardle. Czerwona furgonetka przyspieszyła i zobaczyłam, jak jej kierowca - ciemnowłosa kobieta w okularach - gwałtownie skręca kierownicę w bok, próbując uwolnić się od brązowej terenówki, która do niej przylgnęła. Nie musiałam nawet patrzeć na to, kto siedzi za kółkiem - wiedziałam, że pojazd należy do Cate i Roba. Nie wiedziałam jednak, kto siedzi w pick-upie.

- To ona! - krzyknął Pulpet. - Mówiłem! Znalazła nas!

- Kim jest ten facet z bronią? - wrzasnął Liam. - To jej chłopak?

Mężczyzna, który do nas strzelał, skupił teraz całą uwagę na tym, żeby pozbyć się jadącej za nimi terenówki. Wychylił się przez okno i obrócił do tyłu. Minął zaledwie ułamek sekundy, kiedy kula wystrzelona z terenówki przebiła mu pierś, rozbryzgując dookoła jego

krew. Kolejny strzał, który trafił martwe ciało snajpera, uderzył w niego z taką siłą, że mężczyzna wypadł przez okno pick-upa. Kierująca pojazdem kobieta nawet na niego nie spojrzała.

Widziałam, jak czerwonemu pick-upowi udaje się w końcu oderwać od przedniego zderzaka terenówki. Samochód miał przebite obie tylne opony, więc gwałtownie skręcił na drugi pas, obrócił się dookoła własnej osi i zatrzymał nagle na poboczu.

- Jeden z głowy - stwierdził Liam. Popatrzyłam do tyłu, spodziewając się, że zobaczę wycelowaną we mnie strzelbę Roba. On jednak siedział za kierownicą.

To Cate zajmowała fotel pasażera, a w dłoniach mocno ściskała karabin.

- Proszę, wypuśćcie mnie - powiedziałam, chwytając Liama za ramię. - Wrócę z nimi i nikomu nie stanie się krzywda.

- Właśnie! - powiedział Pulpet. - Zatrzymaj się, wypuść ją!

- Zamknijcie się oboje! - rzucił Liam, wjeżdżając na prawy, a potem z powrotem na lewy pas. Terenówka jechała za nami, jednak nie siedziała nam na zderzaku. Nie wiedziałam, czy to my zwolniliśmy, czy może to oni wcisnęli gaz, ponieważ po chwili ich pojazd wbił się w tył Czarnej Betty z taką siłą, że mimo przytrzymujących nas pasów polecieliśmy do przodu.

Liam wymamrotał coś pod nosem, jednak nagłe oberwanie chmury i huk deszczu zagłuszyły jego słowa. Opuścił szybę i wystawił rękę, jakby chciał dać znać kierowcy terenówki, żeby nas objechał.

- Zrób coś! - wrzasnął Pulpet, kurczowo chwytając kierownicę.

- Przecież próbuję! Nie mogę się skupić!

Mimo przerażenia zdałam sobie sprawę, że chłopak próbuje użyć swoich zdolności.

Tłuste krople deszczu rozbryzgujące się na szybie spowodowały, że porastające drogę drzewa zmieniły się w rozmyte smugi, jednak Liam nie włączył wycieraczek. Gdyby to zrobił, może zauważylibyśmy samochód pędzący na nas z naprzeciwka. Dopiero ryk klaksonu wyrwał Liama z transu.

Nasz minivan wjechał z powrotem na swój pas, w ostatniej chwili unikając czołowego zderzenia z sedanem. Gdyby kierowca małego samochodu nie wcisnął hamulców, terenówka przecięłaby go na wylot. Zu i ja obróciłyśmy się do tyłu w samą porę, by zobaczyć terenówkę wjeżdżającą z powrotem na prawy pas. Cate szybko się opanowała i zanim zdołaliśmy odetchnąć, znów pędzili w naszą stronę.

- Liam - błagałam - proszę, zatrzymaj się. Nie pozwolę, by coś wam zrobili!

Nie chcę tam wracać.

Nie chcę tam wracać.

Nie chcę...

Zacisnęłam powieki.

- Zielona! - głos Liama wyrwał mnie z zamyślenia. - Umiesz prowadzić?

- Nie...

- Masz lepszy wzrok niż Pulpet?

- Chyba tak, ale...

- Super - powiedział, odwracając się, by chwycić mnie za ramię. - Przesiądź się do przodu.

Parsknął, mimo że kolejna kula drasnęła właśnie metaliczną skórę Czarnej Betty.

- No już, to proste jak jazda na rowerze. Prawy pedał to gaz, a lewy hamulec. Skręcasz kierownicą. I tyle.

- Zaraz! - krzyknęłam, jednak najwyraźniej nie miałam tu nic do powiedzenia. Liam znów gwałtownie skręcił na lewy pas, w momencie kiedy terenówka szykowała się do kolejnego natarcia. Zamiast przyspieszyć, z całej siły wcisnął hamulec. Czarna Betty zatrzymała się z piskiem opon, a terenówka minęła nas z pełną prędkością.

Wszystko stało się zbyt szybko, bym zdążyła zaprotestować. Liam odpiął pas i wciągnął mnie na siedzenie kierowcy, jednocześnie sam się z niego wysuwając. Samochód potoczył się do przodu, a ja spanikowałam i z całej siły wcisnęłam pedał gazu, przekonana, że to hamulec. Czarna Betty skoczyła do przodu i tym razem to ja krzyknęłam.

- Hamulec jest po lewej! - Liam wpadł na deskę rozdzielczą. Rob tymczasem zorientował się w sytuacji i zawrócił samochód z piskiem opon, a następnie docisnął gaz.

- Szybciej!

- Dlaczego to on nie może prowadzić? - zapytałam zduszonym głosem.

Pulpet opuścił oparcie fotela tak nisko, że przeszedł po nim do tyłu, a Liam zajął jego miejsce.

- Ponieważ - odparł, opuszczając okno - on ledwo widzi to, co znajduje się półtora metra przed nim. Wierz mi, skarbie, nie chcesz, żeby to on prowadził. Teraz! Gazu!

Zrobiłam, co mi kazał. Samochód znów wyrwał do przodu z taką siłą, że żołądek podszedł mi do gardła. Koła z chrzęstem ruszyły po mokrym asfalcie.

Liam pół wisiał, pół siedział na oknie.

- Przyspiesz! - rzucił.

Krople robiły wrażenie grubych i ciężkich, jednak kiedy skierowałam samochód prosto na terenówkę, jej przednie światła przedarły się przez zasłonę deszczu. Jechaliśmy tak szybko, że kierownica drżała mi w dłoniach i podskakiwała tak, jak gdyby obdarzona była

własnym życiem. Zdusiłam pełen frustracji krzyk, który rósł mi w gardle, i próbowałam zdjąć nogę z gazu, ale Liam mi na to nie pozwolił.

- Nie! Jedź!

- Lee - odezwał się skulony na fotelu Pulpet - oszalałeś? Co ty wyprawiasz?

Dotąd zachowywał się tak cicho, że niemal o nim zapomniałam. Strzałka prędkościomierza zbliżała się do stu trzydziestu, stu czterdziestu, stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Miałam pustkę w głowie.

Wtedy rozpętało się prawdziwe piekło.

Usłyszeliśmy okropny huk - tysiąc razy gorszy niż odgłos pękającego balonu - i nasz minivan zaczął się kręcić wokół własnej osi. Straciłam panowanie nad kierownicą.

- Prosto! - krzyczał Liam. - Wyprostuj kierownicę!

- Cholera! - Pas bezpieczeństwa ścisnął mnie tak, że zabrakło mi tchu, jednak udało mi się zapanować nad kierownicą i wyprostować koła. Pojazd przechylił się do tyłu, sypiąc iskry na asfalt. Znów jechaliśmy wprost na terenówkę.

- Jedź prosto na nich. Nie zatrzymuj się! - krzyknął Liam.

Ale co z oponą?, pomyślałam, z całej siły zaciskając dłonie na kierownicy. Co z oponą...

Pulpet chwycił Liama za nogi, unieruchamiając go tak, by chłopak nie wypadł przez okno.

- Ruszaj! - rzucił. - Tym razem mi się uda!

Nie wiedziałam, co Liam miał na myśli, mówiąc „to", dopóki w tylnym lusterku nie zobaczyłam ciemnego zarysu drzewa, które machnięciem dłoni wyrwał z ziemi i rzucił tuż pod koła terenówki.

Skupiony na minivanie pędzącym w ich kierunku, Rob nie zdążył zjechać z drogi, by uniknąć zderzenia z drzewem. Na oślep kręciłam kierownicą, tak że po chwili znaleźliśmy się tyłem do wraku terenówki. Słyszałam chrzęst rozbitego szkła i zgrzytanie metalu, kiedy Rob gwałtownie skręcił koła, ale stracił panowanie nad pojazdem. Kiedy spojrzałam w boczne lusterko, terenówka leżała na boku, a wokół unosiła się chmura dymu. Roztrzaskany pień drzewa nadal toczył się po jezdni.

- Coś ty zrobił? - musiałam podnieść głos, żeby przekrzyczeć wycie wiatru i odgłos kół jadących po asfalcie. - Myślałam...

Z odpowiedzią pospieszył mi poszarzały na twarzy Pulpet.

- Zrozumiałaś w końcu? Oni wcale nie zamierzali się zatrzymywać.

Liam wsunął się z powrotem do wnętrza samochodu i z westchnięciem opadł na fotel.

W jego zmierzwionych włosach tkwiły liście i połamane gałązki.

- Dobrze, Zielona - powiedział stanowczo. W jego głosie nie było zdenerwowania. - Przestrzelili nam tylną oponę, więc je-dziesz na feldze. Jedź cały czas prosto i zacznij zwalniać. Skręć w następny zjazd.

Zacisnęłam zęby tak mocno, że poczułam ból.

- Jak się czujesz, Zu? - zapytał. Dziewczynka wystawiła dwa kciuki na znak, że wszystko w porządku. Jej żółte rękawiczki stanowiły jedyną barwną plamę w całym samochodzie.

- U mnie też dobrze, dzięki, że pytasz - powiedział Pulpet. Małe okularki przekrzywiły mu się na nosie, kiedy próbował wygładzić swoją błękitną koszulę. Chłopak pochylił się do przodu i trzepnął Liama w tył głowy. - A tak na marginesie, czy ciebie kompletnie pogięło? Czy ty wiesz, co się dzieje, kiedy ciało wypada z pędzącego pojazdu?

- Nie - przerwał mu Liam - ale domyślam się, że nie jest to opis odpowiedni dla jedenastolatki.

Obejrzałam się na Zu. Jedenaście lat? Niemożliwe...

- Aha, czyli wszystko jest w porządku, kiedy ktoś celuje do niej z karabinu, ale strasznej historii to już jej opowiedzieć nie można? - Pulpet zaplótł ręce na piersi.

Liam sięgnął w dół i wyprostował fotel, a opadając na jego oparcie, skrzywił się i zacisnął pięści. Nad okiem miał świeżą ranę, a z brody kapała mu krew.

Przez igiełki deszczu zauważyłam zielony znak wskazujący zjazd z autostrady Nie miały dla mnie znaczenia ani nazwa miasta, ani numer drogi - chciałam po prostu jak najszybciej opuścić siedzenie kierowcy.

Kiedy zdjęłam nogę z gazu, poczułam, że całe moje ciało jest zdrętwiałe z wyczerpania. Minivan powoli potoczył się wzdłuż drogi zjazdowej, a kiedy dotarliśmy do skrzyżowania, sam się zatrzymał. Przycisnęłam dłoń do piersi, chcąc sprawdzić, czy moje serce nadal bije.

Liam wyciągnął rękę i przestawił drążek skrzyni biegów na tryb parkowania.

- Dobra robota - pochwalił mnie. Jego głos był cichszy, niż się spodziewałam, nie udało mu się jednak uspokoić rozjuszonego węża, który zacisnął mi się wokół żołądka.

Pochyliłam się i z całej siły wbiłam mu pięść w ramię.

- Au! - zawołał i odsunął się ode mnie zdziwiony. - A to za co?

- To wcale nie przypominało jazdy na rowerze, ty dupku!

Przez chwilę wpatrywał się we mnie w milczeniu, a jego usta lekko drgały. Suzume dostała napadu cichego śmiechu, od którego tak mocno się trzęsła, że jej twarz aż

poróżowiała, a dziewczynka nie mogła złapać tchu. Mijały sekundy, a jej chichot był jedynym dźwiękiem, który zdołał się wzbić ponad szum deszczu, przynajmniej do czasu, aż Pulpet ukrył twarz w dłoniach i przeciągle jęknął.

- No, no - powiedział Liam, otwierając drzwi - tośmy się dobrali...

Kiedy Liam zabrał się do wymiany tylnego koła, deszcz zelżał i zamienił się w mżawkę. Ja siedziałam wciąż w tym samym miejscu, głównie dlatego, że nie byłam pewna, co właściwie powinnam robić. Pozostała dwójka wyskoczyła z samochodu. Suzume poszła z Liamem na tył pojazdu, a Pulpet w odwrotnym kierunku. Przez pękniętą szybę patrzyłam, jak idzie w stronę znaku wskazującego drogę do Lasu Narodowego Monongahela. Po chwili wyjął z kieszeni książkę w miękkiej oprawie i usiadł na skraju drogi. Ze zwykłej zazdrości zmrużyłam oczy, próbując odczytać tytuł widniejący na okładce, jednak połowa obwoluty była oderwana, a drugą połowę zakrywał dłonią. Nie wiem nawet, czy rzeczywiście czytał, czy tylko wpatrywał się w zadrukowane strony.

Jeżeli ufać drogowskazom, zatrzymałam samochód na obrzeżach Siaty Fork w Wirginii Zachodniej. Trasa, która wydawała mi się zwyczajną prowincjonalną boczną dróżką, okazała się odnogą drogi numer 219 prowadzącą przez sam środek zupełnego pustkowia. Może i Marlinton straciło większość mieszkańców, ale wyglądało na to, że Siaty Fork w ogóle ich nie miało.

Podniosłam się z fotela i przedostałam na tył pojazdu. Moje dłonie nadal drżały, jakby chciały się pozbyć resztek adrenaliny, która buzowała mi we krwi. Czarny plecak, który dostałam od Roba i Cate, leżał na tylnym siedzeniu, przykryty kilkoma luźnymi arkuszami gazety i przyciśnięty butelką płynu do mycia szyb.

Chwyciłam go i położyłam na siedzeniu tuż obok siebie. Gazeta miała ponad trzy lata i była sztywna ze starości. Pół strony zajmowała reklama nowego kremu do twarzy o oryginalnej nazwie Wieczna Młodość.

Przewróciłam stronę, szukając jakichś przydatnych informacji. Omiotłam wzrokiem artykuł wychwalający pomysł stworzenia obozów rehabilitujących. Poczułam się raczej rozbawiona niż oburzona tym, że młodzież Psi określało się już otwarcie jako „zmutowane bomby zegarowe". Kolejny krótki artykuł opisywał zamieszki, które autor tekstu nazwał „bezpośrednim rezultatem rosnących napięć pomiędzy rządem Wschodu i Zachodu w kwestii wprowadzenia nowego ustawodawstwa kontrolującego liczbę narodzin". Na samym dole strony, tuż obok nadętego tekstu o rocznicy jakiegoś strajku maszynistów, widniało zdjęcie Clancyego Graya opatrzone komentarzem: „Syn prezydenta na przesłuchaniu zorganizowanym przez Ligę Dzieci". Już po przeczytaniu pierwszych kilku linijek

wiedziałam, o czym jest ten artykuł: prezydent był zbyt wielkim tchórzem, żeby wyściubić nos z kryjówki po nieudanym zamachu na jego życie, więc powierzył brudną robotę swojemu synalkowi odmieńcowi. Zastanawiałam się, ile lat może mieć teraz Clancy. Zdjęcie w gazecie było takie samo jak te, które wisiały w Thurmond. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że chłopak może mieć więcej niż jedenaście albo dwanaście lat, ale przecież musiał mieć już koło osiemnastu, czyli - według naszych standardów - był już praktycznie staruszkiem.

Z obrzydzeniem odrzuciłam gazetę i znów sięgnęłam po plecak. Rob wspominał o tym, że w środku znajdę ubrania na zmianę, więc jeżeli rzeczywiście tak było, zamierzałam raz na zawsze pozbyć się obozowego uniformu.

W plecaku schowano białą koszulę, dżinsy, pasek i zapinaną na zamek bluzę z kapturem. Mogło być gorzej.

Kiedy ktoś zastukał w okno, tak mocno się przestraszyłam, że niemal odgryzłam sobie język. Za szybą zobaczyłam ściągniętą z napięcia twarz Liama.

- Możesz mi na chwilę dać te ubrania? Chcę ci coś pokazać.

Kiedy tylko poczułam na sobie jego spojrzenie, każda kość, mięsień i staw w moim ciele się obudziły. Czując w ustach posmak krwi, wyskoczyłam z minivana, po czym przyjrzałam się naszemu pojazdowi. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale samochód wyglądał jeszcze gorzej niż wcześniej - jak zabawka, którą ktoś przepuścił przez młynek do mielenia odpadków. Przejechałam palcami po jednej ze świeżych dziur w bocznej części karoserii, w miejscu, gdzie kula przedarła się przez cienki metal.

Liam uklęknął obok Zu, która próbowała utrzymać koło zapasowe, po czym zabrał się do pracy, podnosząc pojazd na lewarku, tak że cały jego ciężar nie spoczywał już na zniszczonej tylnej oponie. Kiedy stanęłam za ich plecami, Liam właśnie machnął ręką w stronę kołpaka. Śruby i nakrętki wykręciły się posłusznie i posypały się na ziemię, tworząc równy kopczyk.

Niebieski, pomyślałam. Liam był Niebieski. A co z pozostałymi?

- Dobrze - zaczął, po czym zdmuchnął z oczu jasny kosmyk włosów. - Wyjmij koszulę, w którą chciałaś się przebrać.

- Ja... nie zamierzam się tu przebierać - powiedziałam.

Przewrócił oczami.

- Naprawdę zamierzasz bawić się teraz we wstydnisię? Za kilka godzin zaczną nam deptać po piętach agenci Ligi. To naprawdę jest teraz ważniejsze, Zielona. Wyjmij koszulę.

Przez chwilę wpatrywałam się w niego badawczo, ale nie byłam pewna, co tak naprawdę chcę zobaczyć.

- Pomacaj materiał wokół kołnierza - powiedział. U jego stóp wylądowała kolejna śrubka. - Wyczujesz tam zgrubienie.

Rzeczywiście. Było małe, wielkości najwyżej ziarnka grochu, wszyte w tkaninę koszuli, która w przeciwnym razie niczym by się nie wyróżniała.

- Pulpet trzyma pod przednim fotelem taki mały babski przybornik - dodał. - Zanim przebierzesz się w tę koszulę, musisz wypruć z niej nadajnik.

„Mały babski przybornik" okazał się pudełeczkiem z nićmi, nożyczkami i maleńkim kawałkiem wyszywanki. Na fragmencie materiału ktoś - może Pulpet? - wyszył idealny czarny kwadrat. Wpatrywałam się w haft, przesuwając kciukiem po jego wypukłej powierzchni.

- Tak czy siak, powinnaś zdjąć ten uniform - mówił dalej Liam. - Sprawdź też spodnie i bluzę. Nie zdziwiłbym się, gdyby użyli więcej niż jednego nadajnika.

Znów miał rację. Jeden z nich wszyty był w pasek dżinsów, kolejny w brzeg kaptura, a jeszcze jeden przyklejony był po wewnętrznej stronie sprzączki paska, co razem dawało cztery nadajniki na jedną dziewczynę, plus jeszcze jeden wszyty w podszewkę plecaka.

Liam skończył wymieniać koło szybciej, niż się spodziewałam. Zu pomogła mu włożyć śruby z powrotem do otworów, a następnie delikatnie opuścić pojazd. Kiedy Liam podawał jej narzędzia, wiedziała, gdzie je odłożyć.

- Daj, proszę - powiedział, wyciągając do mnie rękę. - Sam się tym zajmę. - Kiedy podawałam mu nadajniki, drżały mi ręce. Liam rzucił urządzenia na ziemię i zmiażdżył je obcasem buta.

- Nie rozumiem... - zaczęłam, chociaż nie była to do końca prawda. Przecież nie zadawaliby sobie tyle trudu, żeby mnie uwolnić, nie mając pewności, że mogą kontrolować moje położenie, nawet gdyby znów mnie schwytano lub gdybym się od nich odłączyła.

Liam wyciągnął do mnie rękę. Na myśl o jego dotyku odskoczyłam, próbując stworzyć między nami jak największy dystans, jednak nie odsunęłam się zbyt daleko. Jego ręka opadła, ale na ramieniu poczułam ciepło jego dłoni, tak jakby rzeczywiście ją tam położył. Skrzyżowałam ramiona. Czułam, jak gdzieś w moim ciele rodzi się i wzbiera mieszanina lęku oraz poczucia winy. Próbowałam skoncentrować wzrok na numerze identyfikacyjnym Psi wypisanym na moich butach, żeby znów nie odskoczyć.

Zachowujesz się jak nerwowa pięciolatka, powiedziałam do siebie. Przestań. To tylko inny nastolatek.

- Liga Dzieci ma w repertuarze całą gamę kłamstw. Najgorsze z nich mówi o tym, że jesteś wolny - powiedział. - Mówią o miłości, szacunku i rodzinie, ale nie znam żadnej

rodziny, która instaluje swoim bliskim nadajniki, a następnie wysyła ich gdzieś, gdzie można ich wysadzić w powietrze albo zastrzelić.

- Ale przecież nie musieliśmy ich zabijać - zaoponowałam. Zacisnęłam palce na ramionach plecaka. - W środku był jeszcze jeden dzieciak, Martin. On nie... On nie zasłużył...

- Masz na myśli... - Liam wytarł ubrudzone smarem dłonie o dżinsy. - To był taki raczej... - Wykonał gest, który miał opisywać okrągłą sylwetkę Martina. - Ten chłopak?

Skinęłam głową.

- To drzewo w nich nie uderzyło - powiedział Liam, opierając się o przesuwane drzwi minivana. - Może nadal żyją.

Liam zagwizdał, żeby zwrócić na siebie uwagę Pulpeta. Gdzieś za plecami usłyszałam Zu gramolącą się do Czarnej Betty.

- Posłuchaj, oni wszyscy noszą nadajniki - mówił dalej. - Jestem pewny, że niedługo któryś z agentów Ligi przyjdzie im na pomoc. Jeżeli chcesz, możesz wrócić. Możemy cię też zawieźć na przystanek autobusowy, tak jak obiecałem.

Moje ręce wciąż opuszczone były wzdłuż ciała. Starałam się zachować pogodny wyraz twarzy, jednak Liam nie dał się na to nabrać. Od razu zauważył trawiące mnie poczucie winy, jakbym miała je wypisane na twarzy.

- To, że chcesz żyć własnym życiem, wcale nie oznacza, iż jesteś złym człowiekiem.

Spoglądałam to na drogę, to na niego. Dawno nie czułam się tak zdezorientowana. Nie rozumiałam, dlaczego chce mi pomóc, skoro miał już pod opieką dwie osoby, które pragnął chronić.

Liam otworzył przede mną tylne drzwi i wskazał głową na pusty fotel, jednak zanim zdążyłam rozważyć, jak by to było, gdybym z nimi została - choćby i na krótko - Pulpet gwałtownie wyciągnął rękę i z trzaskiem zasunął mi drzwi przed nosem.

- Pulpet... - powiedział Liam ostrzegawczo.

- Jak to się stało - zaczął Pulpet - że byłaś z agentami Ligi Dzieci?

- Daj spokój! - rzucił Liam. - Wyznajemy zasadę: nic nie wiemy, o nic nie pytamy. Zielona...

- Nie - przerwał mu Pulpet - to ty o tym zadecydowałeś. Ty i Suzume. Jeżeli już mam być na nią skazany, mam prawo wiedzieć, kim jest i dlaczego gonili nas wymachujący bronią psychole, którzy próbowali ją odbić.

Liam uniósł ręce w geście kapitulacji.

- Ja... - Czy mogłam im powiedzieć cokolwiek, co nie brzmiałoby jak jawne kłamstwo? Miałam pustkę w głowie. Byłam zbyt wyczerpana, żeby myśleć. - Byłam...

Zu skinęła do mnie głową, chcąc mi dodać otuchy. Jej oczy błyszczały.

- Byłam posłańcem w Wieży Kontrolnej - wybąkałam. - Widziałam kody dostępu do serwerów, do których Liga chce się włamać. Mam fotograficzną pamięć. Dobrze sobie radzę z liczbami i kodami.

Czułam, że przesadziłam, ale chyba mi uwierzyli.

- A co z twoim kolegą? O co w tym wszystkim chodzi?

Im dłużej się na mnie patrzyli, tym trudniej było mi wytrzymać ich wzrok. Weź się w garść, Ruby.

- Masz na myśli Martina? - odparłam. Wydawało mi się, że mój głos brzmi nienaturalnie wysoko. - Wczoraj pierwszy raz widziałam go na oczy. Nic o nim nie wiem. Nie pytałam.

Marzyłam, by rzeczywiście niczego o nim nie wiedzieć.

Pulpet uderzył ręką w karoserię minivana.

- Nie mów, że jej wierzysz, Lee. Przecież przed ucieczką zdążyliśmy poznać wszystkich.

Przed ucieczką? Czy oni naprawdę uciekli z obozu? Byłam w takim szoku, że przez kilka chwil milczałam, aż w końcu zapytałam:

- Naprawdę? Poznaliście trzy tysiące dzieciaków?

Chłopcy jednocześnie zrobili krok w tył.

- W waszym obozie było was trzy tysiące? - zapytał Liam.

- Tak, a co? - Wytrącona z równowagi przenosiłam wzrok z jednego na drugiego. - Ile było w waszym?

- Najwyżej trzysta - odparł Liam. - Jesteś pewna? Trzy tysiące?

- Nie podali nam oczywiście oficjalnej liczby. W każdym Baraku mieszkało trzydzieścioro dzieci, a samych budynków wzniesiono około setki. Było nas więcej, ale Czerwonych, Pomarańczowych i Żółtych odesłano.

Moje słowa najwyraźniej wywarły na nim ogromne wrażenie. Z gardła Liama wydarł się zduszony jęk.

- Cholera - wydusił w końcu. - Który to był obóz?

- Nie twoja sprawa - powiedziałam. - Ja was o to nie pytałam.

- My byliśmy w Caledonii w stanie Ohio - oparł Pulpet, ignorując surowe spojrzenie, którym obrzucił go Liam. - Zamknęli nas w opuszczonym budynku szkoły. Uciekliśmy. Twoja kolej.

- Po co? Żebyście mogli na mnie donieść najbliższemu patrolowi SSP?

- No rzeczywiście. Zatrzymamy ich i najzwyczajniej w świecie złożymy meldunek.

Po chwili prychnęłam i powiedziałam:

- Dobra. Byłam w Thurmond.

Cisza, która zapadła po tych słowach, zdawała się ciągnąć dłużej niż wijąca się przed nami droga.

- Mówisz poważnie? - zapytał w końcu Liam. - W zwariowanym Thurmond, pośród młodocianych Frankensteinów?

- Testy wstrzymano już jakiś czas temu - odparłam jak gdyby na swoją obronę.

- Nie, ja po prostu... Ja tylko... - Liam nie mógł znaleźć odpowiednich słów. - Myślałem, że tam nie ma już miejsc. To dlatego zawieziono nas do Ohio.

- Ile miałaś lat, kiedy trafiłaś do obozu? - zapytał Pulpet. Jego głos był spokojny, ale mina mu zrzedła. - Byłaś jeszcze mała, prawda?

Bez zastanowienia odparłam:

- To było w dzień po moich dziesiątych urodzinach.

Liam cicho gwizdnął, a ja zastanawiałam się, ile informacji na temat Thurmond zdążyło wyciec w czasie, kiedy znajdowałam się za jego murami. I kto je rozpuszczał - stacjonujący tam byli żołnierze SSP?

A skoro ludzie o tym wiedzieli, dlaczego nikt nie przyszedł nam z pomocą?

- Jak długo przebywaliście w Caledonii?

- Suzume była tam około dwóch lat. Ja półtora, a Lee jakiś rok.

- Tylko... - Nieprzyjemny głosik w mojej głowie wyszeptał: tylko tyle?, mimo że przecież wiedziałam, iż nie ma znaczenia to, czy ktoś był w obozie rok czy jeden dzień. Nawet minuta spędzona za jego murem może zmiażdżyć człowieka na proch.

- Ile masz lat? Szesnaście? Siedemnaście?

- Nie wiem - powiedziałam, a ta myśl tak mną wstrząsnęła, że niemal musiałam się przytrzymać samochodu. Naprawdę nie byłam tego pewna. Sam twierdziła, że przebywałyśmy w Thurmond od sześciu lat, ale mogła się mylić. W naszym obozie nie obowiązywał tradycyjny pomiar czasu. Dostrzegałam zmieniające się pory roku, ale w którymś momencie przestałam je już liczyć. Byłam coraz większa, więc z każdą zimą musiałam być o rok starsza, jednak... nie było to dla mnie ważne, aż do teraz. - Jaki mamy rok?

Pulpet parsknął i wzniósł oczy do nieba. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknął je, kiedy tylko na mnie spojrzał. Nie wiem, jaką miałam minę, ale jego rozdrażnienie natychmiast zniknęło, a w zmrużonych oczach pojawiło się coś, co przypominało litość.

A Liam... Jego twarz pozbawiona była wyrazu.

Czułam, jak włosy stają mi dęba, a palce wykręcają materiał obozowych szortów. Naprawdę ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależało, było to, by litowała się nade mną banda nieznajomych. Całe moje ciało ogarnął żal, zastępując nawet strach i zdenerwowanie. Nie powinnam była niczego mówić. Należało skłamać albo zignorować ich pytanie. Ich wyobrażenie na temat Thurmond i moich doświadczeń musiało być tak przerażające, że w ich oczach stałam się godna politowania. Widziałam to w ich twarzach i uderzyła mnie ironia całej tej sytuacji. Przygarnęli monstrum, myśląc, że to niewinna myszka.

- W takim razie mam szesnaście lat - stwierdziłam, kiedy Liam podał rok. Wyglądało na to, że Sam miała rację.

Coś jeszcze nie dawało mi spokoju.

- Czy nadal tworzone są nowe obozy, do których wysyła się dzieci?

- Coraz mniej - powiedział Liam. - Najmłodszym, rówieśnikom Zu, oberwało się najmocniej. Ludzie się przestraszyli i odsetek urodzeń spadł, jeszcze zanim rząd podjął próbę jego ograniczenia. Do obozów wysyła się głównie takie dzieci jak my. Takie, którym udało się oszukać władze w czasie selekcji, albo te przyłapane na próbie ucieczki z domu.

Skinęłam głową, zastanawiając się nad jego słowami.

- Czy w Thurmond... - zaczął Pulpet. - Czy oni naprawdę...?

- Na razie chyba wystarczy - przerwał mu Liam, po czym sięgnął ponad jego wyciągniętym ramieniem i znów otworzył mi drzwi. - Odpowiedziała na twoje pytanie, a my odpowiedzieliśmy na jej, więc powinniśmy wyruszać w drogę, póki los nam sprzyja.

Zu weszła do samochodu jako pierwsza, a ja - nie patrząc na chłopców - wsiadłam za nią i usadowiłam się na samym końcu, gdzie mogłam się wyciągnąć i skryć przed niechcianymi pytaniami.

Pulpet zajął miejsce obok kierowcy, ostatni raz obrzucając mnie spojrzeniem. Jego pełne wargi zaciśnięte były tak mocno, że odpłynęła z nich krew. W końcu skoncentrował się na książce, którą trzymał na kolanach, i udawał, że w ogóle nie ma mnie w samochodzie.

Kiedy Liam wcisnął pedał gazu, Czarna Betty zamruczała, a wraz z nią zadrżałam i ja. Przez dłuższą chwilę tylko ona prowadziła ze mną cichy dialog.

Deszcz nadal padał obficie, spowijając auto szarawą poświatą. Szyby zupełnie zaparowały i przez jakiś czas wpatrywałam się tylko w krople deszczu. Reflektory samochodu zalewały drogę światłem, ale do zmierzchu było jeszcze daleko.

W końcu Pulpet włączył radio, zapełniając ciszę doniesieniami na temat amerykańskiego kryzysu paliwowego oraz odwiertów, które w związku z tym robiono na

Alasce. Nawet gdybym jeszcze nie przysypiała, monotonny głos nudnego spikera z pewnością ukołysałby mnie do snu.

- Zielona! - zawołał Liam. - Masz jakieś nazwisko?

Chciałam skłamać, zamienić się w kogoś, kim nie byłam, ale to by było nie w porządku. Nawet gdybym wpuściła tych ludzi do swojego życia, i tak wkrótce mieli o mnie zapomnieć.

- Nie - powiedziałam. Miałam numer Psi i imię, które odziedziczyłam po babci. Reszta nie miała znaczenia.

Liam zwrócił się w stronę drogi, bębniąc palcami o kierownicę.

- Rozumiem.

Ponownie opadłam na fotel i ukryłam twarz w dłoniach. Sen nadszedł w chwili, kiedy burzowe chmury odpłynęły, odsłaniając czyste nocne niebo. Gdy deszcz umilkł, usłyszałam cichą piosenkę płynącą z samochodowych głośników i niski głos podśpiewującego pod nosem Liama.

10

Obudził mnie Pulpet. Szybko trącił mnie w ramię, jakby nie potrafił zmusić się, by przytrzymać rękę ani mną potrząsnąć, ale to wystarczyło. Leżałam skulona na jednym z wąskich foteli, lecz jego dotyk sprawił, że podskoczyłam jak oparzona, uderzając głową w okno. Poczułam zimno szyby na karku. Sturlałam się w wąską przestrzeń pomiędzy fotelami. Przez pełną niepokoju chwilę nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jestem i jak się tu dostałam.

Pulpet ponownie znalazł się w zasięgu mojego wzroku. Na widok plątaniny moich kończyn uniósł jedną brew. Wtedy wszystko do mnie wróciło z gwałtownością nagłego ciosu.

Cholera, cholera, cholera, pomyślałam, próbując odgarnąć ciemne włosy z twarzy. Zamierzałam tylko na kilka minut przymknąć oczy. Na jak długo odpłynęłam? Sądząc po twarzy Pulpeta, nie była to krótka drzemka.

- Chyba się już wyspałaś? - fuknął z irytacją, zaplatając ramiona na piersi.

Miałam wrażenie, że w vanie jest cieplej. Dopiero kiedy usiadłam, zauważyłam ciemnoniebieski materiał rozwieszony tak, że zakrywał tylną szybę.

Zakłuło mnie w boku i natychmiast pojęłam, w jakiej sytuacji się znalazłam. Straciłam czujność, zasypiając w samochodzie pełnym obcych ludzi. Pulpet mnie dotknął. Nie wiedziałam, które z nas miało więcej szczęścia - on, bo uniknął wyczyszczenia mózgu, czy ja, bo nie doświadczyłam kolejnej potencjalnej katastrofy. Jak mogłam być tak głupia? Gdyby tylko dowiedzieli się, kim jestem, natychmiast by mnie wyrzucili i gdzie bym się wtedy podziała? Swoją drogą...

- Gdzie jesteśmy? - Podciągnęłam się na fotelu. - Gdzie reszta?

Pulpet usiadł na jednym ze środkowych foteli, spoglądając to na otwartą na kolanach książkę, to na zagajnik drzew rozciągający się tuż za przyciemnioną szybą samochodu. Poruszyłam się, by popatrzeć tam, gdzie on, ale niczego nie dostrzegłam.

- Gdzieś w pobliżu uroczego miasta Kingwood w Wirginii Zachodniej. Lee i Suzume poszli coś sprawdzić - odparł.

Bezwiednie nachyliłam się do przodu, próbując sprawdzić, co czyta. Od lat nie widziałam na oczy książki, nie mówiąc już o tym, żeby ją czytać. Pulpet nie zamierzał się nią jednak ze mną dzielić. Kiedy otarłam się o niego ramieniem, zatrzasnął książkę i rzucił mi najbardziej pogardliwe spojrzenie, na jakie potrafił się zdobyć. Mimo że na nosie miał zbyt małe okulary, a pod fotelem niewielki babski przybornik, przypomniałam sobie, że wciąż istnieje prawdopodobieństwo, iż może wykorzystać swój mózg do tego, by mnie zabić.

- Jak długo spałam?

- Dobę - powiedział Pulpet. - Generał żąda, byś w pełnej gotowości zgłosiła się na służbę. Jest dzisiaj jakiś nadaktywny. Może i należysz tylko do Zielonych, ale i tak oczekuje od ciebie pomocy.

Zignorowałam jego zadufaną minę i starałam się ostrożnie dobierać słowa. Niech sobie tak myśli, jeżeli jest mu z tym lepiej. Był ode mnie mądrzejszy, co do tego nie miałam wątpliwości. Zapewne spędził w szkole więcej czasu niż ja i przeczytał sto razy więcej książek, a w dodatku pamiętał z matmy jakieś przydatne rzeczy. Jednak mimo że czułam się przy nim mała i głupia, wystarczył zaledwie jeden dotyk, bym poznała zawartość jego mózgu.

- Liam należy do Niebieskich, prawda? - zaczęłam. - Ty i Zu także?

- Nie. - Zmarszczył brwi i przez kilka chwil rozważał, czy wyjawić mi następną informację. - Suzume jest Żółta.

Wyprostowałam się.

- Mieliście Żółtych w obozie?

Pulpet jęknął.

- Nie, Zielona, właśnie cię okłamałem. Tak, mieliśmy Żółtych.

Ale przecież to nie miało sensu - jeżeli zabrali Żółtych z Thurmond, dlaczego nie zabrali ich ze wszystkich obozów?

- Czy.. - zaczęłam, niepewna tego, jak sformułować pytanie. Kiedy na początku Zu wciągnęła mnie do vana, myślałam, że jest po prostu nieśmiała i bojaźliwa w obecności nieznajomych. Jednak przez ten cały czas, który z nimi spędziłam, nie słyszałam, by wypowiedziała choć jedno słowo. Ani do mnie, ani do Pulpeta... ani nawet do Liama. - Czy oni... zrobili coś z Żółtymi? Czy oni jej coś zrobili?

W vanie wytworzyło się napięcie tak silne, jakbym właśnie wrzuciła do wanny podłączony do prądu kabel.

Pulpet odwrócił się do mnie gwałtownie, krzyżując ręce na piersiach. Spojrzenie, które rzucił mi znad okularów, niejednego zamieniłoby w słup soli.

- To - powiedział powoli i dobitnie, jakby chciał się upewnić, że zrozumiałam - nie twoja sprawa.

Uniosłam dłonie, wycofując się.

- Czy kiedy za nią szłaś, przyszło ci w ogóle do głowy, co może jej się stać? - ciągnął dalej. - Czy obchodzi cię to, że twoi przyjaciele z zielonej terenówki chętnie by ją zgarnęli?

- Ludzie z zielonej terenówki... - zaczęłam i skończyłabym, gdyby nie to, że za nami nagle otworzyły się drzwi. Pulpet wydał dźwięk, który można by opisać jedynie jako skrzek, i

błyskawicznie wskoczył na siedzenie obok kierowcy. Kiedy się tam usadowił, miał równie przerażoną minę jak stojąca w drzwiach Zu.

- Nie rób tak! - wysapał Pulpet, łapiąc się za serce. - Może by tak jakieś ostrzeżenie?

Zu spojrzała na mnie i uniosła brew, a ja zrobiłam to samo. Po chwili przypomniała sobie, po co przyszła, i zaczęła machać, żebyśmy wyszli z samochodu. W powietrzu migotała jej słonecznie żółta rękawiczka.

Pulpet wydał pełne poirytowania westchnięcie.

- Mówiłem mu, że to strata czasu. Powiedzieli „Wirginia", a nie „Wirginia Zachodnia". - Ponownie spojrzał na mnie. - A tak na marginesie, ta terenówka była brązowa. Niezła ta twoja pamięć fotograficzna.

Już miałam zacząć się usprawiedliwiać, kiedy spojrzał na mnie znacząco i zatrzasnął za sobą drzwi.

Wyskoczyłam z vana i ruszyłam za Zu. Kiedy tak szłam, a moje stopy grzęzły w błocie i piasku, miałam w końcu okazję, by się rozejrzeć po okolicy.

Na wielkim drewnianym znaku, przychylonym tak, że miałam wrażenie, iż ktoś prawie po nim przejechał, wypisane było pole namiotowe east river, ale w okolicy nie widziałam żadnej rzeki, a już na pewno nie było to typowe pole namiotowe. Prawdopodobnie w przeszłości na tym terenie znajdował się najwyżej kemping dla przyczep turystycznych i kamperów.

Im bardziej oddalałam się od minivana, tym bardziej czułam się niespokojna. Nie padało, ale moja skóra była wilgotna i zimna w dotyku. Wokół nas jak okiem sięgnąć widać było stare wypalone łupiny dawnych pojazdów i domków. Ściany kilku większych, bardziej rozbudowanych budynków były zerwane lub zwęglone. Odsłaniały kuchnie lub salony, których wnętrza nadal wydawały się nietknięte, nie licząc tych, które były podtopione, spustoszone przez zwierzęta lub pełne gnijących liści z okolicznych drzew. Wyglądały jak masowe groby minionego życia.

Mimo że osłonięte moskitierą drzwi zostały wyrwane z zawiasów i wypaczone, mimo że niektóre kampery stały na poprze-bijanych oponach, wokół wciąż widać było ślady życia. Ściany ozdobione były zdjęciami radosnych, uśmiechniętych rodzin, stary zegar wciąż odliczał czas, garnki nadal stały na palnikach kuchenek, a na drugim krańcu pola zauważyłam nieruchomą huśtawkę.

Zu i ja obeszłyśmy przewróconego kampera i podążyłyśmy błotnistą ścieżką, w której odciśnięte były ślady stóp. Rzuciłam ostatnie spojrzenie na zardzewiałe truchło i natychmiast się odwróciłam, zaciskając dłoń na rękawiczce dziewczynki. Spojrzała na mnie pytająco,

jednak ja potrząsnęłam tylko głową i powiedziałam:

- Ponure miejsce.

Nadciągnęły chmury i deszcz zaczął łomotać o porozrzucane wokół nas metalowe zwłoki, stukając o wątłe dachy i drzwi. Z krzykiem odskoczyłam w tył, kiedy tuż pod naszymi stopami wylądowały drzwi od przyczepy. Zu tylko przez nie przeskoczyła i wskazała na Pulpeta oraz Liama, którzy nieco dalej pogrążeni byli w rozmowie.

Minęło kilka sekund, zanim rozpoznałam Liama. Spod jego kurtki wystawała niebieska bluza, której kaptur naciągnięty był na coś, co wyglądało na czerwoną bejsbolówkę. Nie miałam pojęcia, skąd wytrzasnął okulary pilotki, które zasłaniały mu większość twarzy.

-... prawda? - powiedział Pulpet. - Miałem rację.

- Mówili, że znajduje się na wschodniej granicy stanu - nie poddawał się Liam. - Mogli mieć na myśli Wirginię Zachodnią...

- Mogli też sobie z nami pogrywać - dokończył za niego Pulpet. Musiał usłyszeć, że nadchodzimy, bo podskoczył i odwrócił się w naszą stronę. Kiedy na mnie spojrzał, na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

- A oto i nasze ranne ptaszki! - zawołał Liam. - Jak wam się spało?

Zu podbiegła do nich, ja jednak zwolniłam kroku. Miałam wrażenie, że ktoś przywiązał mi do stóp niewidzialny ciężar. Skrzyżowałam ramiona na piersi, a kiedy nieco się uspokoiłam, zapytałam:

- Gdzie jesteśmy?

Tym razem to Liam westchnął.

- Cóż, mieliśmy nadzieję, że dotarliśmy nad East River. Nad tę East River.

- Ta rzeka przepływa przez Wirginię - powiedziałam, wpatrując się w swoje buty. - Płynie przez półwysep, a następnie wpada do zatoki Chesapeake.

- Dzięki, że nas oświeciłaś - powiedział Pulpet kąśliwie - ale my mówimy o East River, w którym przebywa Uciekinier.

- Hej - rzucił Liam ostro. - Odczep się od niej, stary. My też nic o tym nie wiedzieliśmy, dopóki nie wydostaliśmy się z obozu.

Pulpet skrzyżował ręce na piersiach i odwrócił wzrok.

- Jak sobie chcesz.

- Co to za miejsce?

Kiedy poczułam, że wzrok Liama znów koncentruje się na mnie, natychmiast przeniosłam uwagę na Zu, która wydawała się nieco zdezorientowana. Weź się w garść, rozkazałam' sobie, uspokój się.

Nie bałam się ich - nawet Pulpeta. No, może trochę, kiedy pozwalałam sobie myśleć o tym, jak łatwo mogę im zrujnować życie, albo kiedy wyobrażałam sobie, jak byliby przerażeni, gdyby dowiedzieli się, kim naprawdę jestem. Kiedy byłam z nimi, nie wiedziałam, co mówić ani jak się zachowywać. Każdy mój krok, każde słowo, które padało z moich ust, wydawały się niezręczne, kłujące lub ostre. Zaczynałam się martwić, że to uczucie niepewności i skrępowania nigdy mnie nie opuści. Już i tak czułam się jak królowa odmieńców. Nie potrzebowałam sobie przypominać o tym, że nie umiem się normalnie komunikować z innymi ludźmi.

Liam westchnął i podrapał się po głowie.

- Pierwszy raz usłyszeliśmy o East River od dzieciaków, z którymi byliśmy w obozie. Podobno jest to miejsce, gdzie trafiają i mieszkają razem wszystkie dzieci, które znalazły się na wolności. Uciekinier, który tym wszystkim dowodzi, potrafi cię skontaktować z rodzicami w taki sposób, by nie dowiedziało się o tym SSP. Mają tam jedzenie, miejsca do spania i tak dalej... Problem polega na tym, że trudno jest ich znaleźć. Dzięki informacjom uzyskanym od kilku dość pomocnych Niebieskich, których spotkaliśmy w Ohio, udało nam się wydedukować, że powinno to być gdzieś w tych okolicach. To jedno z tych miejsc...

-... o których nie powinno się nikomu wspominać? - dokończyłam. - Ale kim jest ten Uciekinier?

Liam wzruszył ramionami.

- Tego nikt nie wie. Chociaż... cóż, pewnie ludzie wiedzą, ale nic nie mówią. Krążą o nim za to dość niesamowite plotki. Żołnierze SSP nadali mu ten przydomek, ponieważ podobno uciekł im aż cztery razy.

Byłam zbyt wstrząśnięta, żeby to jakoś skomentować.

- Reszta z nas powinna się wstydzić, prawda? Czułem do siebie pogardę, dopóki nie dotarły do mnie plotki, że - Liam się wzdrygnął - on jest jednym z tamtych... Pomarańczowych.

Kiedy to słowo zagrzmiało wokół mnie, zamarłam. Liam chciał jeszcze coś powiedzieć, tym razem już bez obrzydzenia, ale tak mocno zaczęło mi szumieć w uszach, że nie dotarło do mnie ani jedno słowo.

Uciekinier. Ktoś, kto mógł pomóc dzieciakom dotrzeć do domu. Oczywiście jeśli miały dom, do którego mogły wrócić, i rodziców, którzy je pamiętali i którzy chcieli je przyjąć. Jeśli miały życie, do którego mogły wrócić.

Był to też pewnie ostatni ocalały Pomarańczowy.

Zacisnęłam powieki i na wszelki wypadek przycisnęłam do nich dłonie. Nie

zasługiwałam na jego pomoc, a przynajmniej nie w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Nawet gdyby udało mi się skontaktować z rodzicami, przecież nie przyjęliby z otwartymi ramionami dziewczyny, którą uważali za obcą. Była jeszcze babcia, nie wiedziałam jednak, gdzie teraz przebywa i czy w ogóle zechce mnie do siebie przyjąć po tym, co zrobiłam.

- Po co wam w ogóle jego pomoc? - przerwałam, nadal nieco oszołomiona. - Nie możecie po prostu pojechać do domu?

- Pomyśl trochę, Zielona - powiedział Pulpet. - Nie możemy jechać do domu, bo SSP prawdopodobnie obserwuje naszych rodziców.

Liam potrząsnął głową i w końcu zdjął okulary. Wydawał się wykończony. Skóra pod jego oczami była obwisła i sinawa.

- Musisz być bardzo ostrożna. Czy ty w ogóle chcesz, żebym odstawił cię na autobus? Bo my bardzo chętnie cię...

- Nie! - odparł Pulpet. - Nic z tego! I tak zmarnowaliśmy na nią zbyt dużo czasu i to przez nią Liga depcze nam po piętach.

Poczułam ostry ból, który przeszył mnie po lewej stronie klatki piersiowej, tuż nad sercem. Miał rację. Dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdyby podrzucili mnie na najbliższy przystanek i mieli mnie z głowy.

Choć zdawałam sobie z tego sprawę, równie mocno jak oni marzyłam też o tym, by znaleźć tego całego Uciekiniera. Nie mogłam jednak prosić, żeby mnie przygarnęli. Nie mogłam im się dłużej narzucać ani ryzykować, że zniszczę ich tymi niewidzialnymi palcami, które zdawały się rozrywać na strzępy każdą relację, jaką udawało mi się zbudować. Gdyby Liga nas dopadła i ich zabrała, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Nigdy.

Postanowiłam, że jeśli mam odnaleźć Uciekiniera, muszę to zrobić na własną rękę. Wydawało mi się, że przywykłam do myśli o samotnym życiu i że świadomość, iż nie będę musiała żyć w ciągłym strachu przed wślizgnięciem się komuś do głowy, przyniesie mi ulgę. Ale nie chciałam tego. Nie chciałam znaleźć się sama pod szarym, zachmurzonym niebem i czuć przejmujący do szpiku kości zimny podmuch.

- Czyli to nie jest East River - powiedziałam, zerkając na najbliższą przyczepę.

- Może kiedyś było - odparł Liam. - Pewnie od czasu do czasu zmieniają miejsce. Wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

- A może zabrało ich już SSP - mruknął Pulpet. - Może dawniej było tu East River, a teraz żadnego East River już nie ma i będziemy musieli znaleźć jakiś sposób, żeby dostarczyć list Jacka i sami jakoś dotrzeć do domu, tylko że oczywiście nam się to nie uda, ponieważ dorwą nas łowcy nagród, którzy zamkną nas z powrotem w obozie, tym razem jednak...

- Dziękujemy ci za przedstawienie nam tej optymistycznej wizji, Pulpet - wciął się Liam.

- Przyznaj, że mogę mieć rację.

- Możesz się również mylić - stwierdził Liam i położył dłoń na głowie Zu, jakby chciał jej dodać otuchy. - Tak czy siak, musimy wierzyć, że to był tylko fałszywy trop. Zobaczymy, czy uda nam się tu znaleźć coś przydatnego, a potem możemy ruszać w drogę.

- No nareszcie. Mam dość marnowania czasu na sprawy, które nie mają znaczenia. - Pulpet wetknął ręce do kieszeni spodni i ruszył w moją stronę. Gdybym nie odskoczyła, trąciłby mnie ramieniem tak mocno, że poleciałabym w tył.

Odwróciłam się i patrzyłam, jak idzie ścieżką, skopując z drogi śmieci i kamienie. Liam stanął przy mnie z ramionami splecionymi na piersi.

- Nie bierz tego do siebie - powiedział. Musiałam wydać jakiś dźwięk, który sugerował, że nie wierzę w jego słowa, ponieważ mówił dalej. - To znaczy... No dobrze, chłopak jest gderliwym siedemdziesięciolatkiem uwięzionym w ciele siedemnastolatka, ale zachowuje się tak tylko po to, żeby cię zrazić.

Na razie mu się to udaje, pomyślałam.

- Wiem, że to żadne usprawiedliwienie, ale jest tak samo zestresowany i przerażony jak my... Chcę chyba powiedzieć, że mimo tych wszystkich docinków, którymi cię częstuje, to naprawdę dobry chłopak. Jeżeli to przetrzymasz, znajdziesz w nim oddanego przyjaciela. On po prostu jest przerażony tym, co może się stać, zwłaszcza z Zu, jeżeli znów nas złapią.

Po tych słowach podniosłam wzrok, ale Liam szedł już w stronę oddalonego skupiska poobijanych przyczep. Przez ułamek sekundy chciałam za nim iść, ale kątem oka zauważyłam Zu, która wymachując żółtymi rękawiczkami, skakała od przyczepy do przyczepy i wspinała się na palce, żeby zajrzeć do kamperów przez rozbite okienka. W pewnym momencie zaczęła się nawet wczołgiwać do wraku jednego z nich, który wyglądał, jak gdyby uderzyło w niego tornado. Zwisający na dwóch lichych zawiasach metalowy dach chwiał się i kołysał pod wpływem wiatru i deszczu.

Chociaż kaptur workowatej bluzy Zu był ciasno ściągnięty, widziałam, jak jedna z jej obleczonych w rękawiczkę dłoni dotyka twarzy, jakby chciała odgarnąć z oczu zabłąkany kosmyk Włosów. Nie widziałam w tym nic dziwnego, dopóki nie zauważyłam, jak dziewczynka sama się na tym złapała i natychmiast pobladła.

Przypomniała mi się rozmowa, którą odbyłam z Pulpetem w vanie.

- Hej, Zu... - zaczęłam i natychmiast urwałam. Jak zapytać małe dziecko o to, czy ktoś nie grzebał jej przypadkiem w mózgu, bez przywoływania bolesnych wspomnień?

W Thurmond golili dzieciom głowy tylko wtedy, gdy chcieli pogmerać im w czaszkach. Zanim tam trafiłam, obozowi lekarze zaprzestali badań, ale zastanawiałam się, czy nie spotkało to Zu. Może nie mogła mówić dlatego, że ktoś naruszył jakiś nerw, którego nie powinien był tykać, albo posunął się za daleko w imię poszukiwania „lekarstwa".

- Dlaczego ścięli ci włosy? - zapytałam w końcu.

Znałam wiele dziewczyn, które wolałyby mieć krótszą fryzurę - sama się do nich zaliczałam - jednak poza corocznym strzyżeniem dziewcząt nie miałyśmy zbyt wiele do powiedzenia w tej sprawie. To, jak Zu wydawała się przeczesywać swoje nieistniejące kosmyki, kazało mi podejrzewać, że to nie ona podjęła decyzję o ścięciu włosów.

Nawet jeśli moje pytanie sprawiło jej przykrość, nie okazała tego. Zbliżyła dłonie do głowy i zaczęła się po niej drapać, robiąc przy tym minę, jak gdyby coś jej okropnie dokuczało. Widząc, że nie rozumiem, zdjęła jedną z rękawiczek i dalej drapała się po głowie.

- Aha. - Zrozumiałam. - W twojej grupie były wszy?

Skinęła głową.

- O rany - powiedziałam. To miało sens, ale nadal nie wiedziałam, dlaczego nie mogła otworzyć ust i normalnie odpowiedzieć na moje pytanie. - Bardzo mi przykro.

Zu beztrosko wzruszyła ramionami, a następnie odwróciła się i wskoczyła do najbliższego kampera.

Kiedy przekraczałam próg, drzwi zachybotały się, skrzypiąc zawiasami. Zu spojrzała na mnie, krzywiąc się, a ja zrobiłam to samo. W pomieszczeniu unosił się słodkawy, choć wcale nie przyjemny zapach. Przypominał gnijące owoce.

Zaczęłam od małego saloniku, przeszukując pomalowane jasną farbą szafki. Poduszki na krzesłach były obite wstrętną jasnofio-letową tkaniną i - podobnie jak mały telewizor zawieszony na ścianie po drugiej stronie pomieszczenia - pokryte warstwą kurzu oraz brudem. Na blacie stał jedynie kubek po kawie. Sypialnia mieszcząca się w głębi pomieszczenia była równie mała - znajdowało się w niej kilka poduszek, lampa, a także szafa, w której wisiały czerwona sukienka, biała koszula zapinana na guziki oraz całe mnóstwo pustych wieszaków.

Już sięgałam po koszulę, kiedy coś zwróciło moją uwagę.

Ktoś przyczepił to do szyby kampera, w miejsce tylnego lusterka. Ktoś, kto patrzył z zewnątrz lub zaglądał do środka, mógłby tego nawet nie zauważyć. Żeby to zobaczyć, trzeba było się wpatrywać. Jednak stojąc zaledwie kilka metrów od tego, byłam dość blisko, by dostrzec czerwone światełko u podstawy - dość blisko, by zrozumieć, że kamera ustawiona jest tak, by filmować wszystko i wszystkich, którzy przechodzili drogą tuż przed jej

obiektywem.

I skoro z miejsca, w którym stałam, mogłam dostrzec Czarną Betty, oko kamery też nie miało z tym większego problemu.

Kształtem odbiegała nieco od urządzeń zainstalowanych w Thurmond, a jednocześnie była do nich na tyle podobna, że musieli ją stworzyć ci sami ludzie. Spojrzałam na Zu, a ona podniosła wzrok na mnie.

- Zostań tutaj - powiedziałam, sięgając po stojący na stole dzbanek do kawy.

Trzema susami przemierzyłam kampera, w wyciągniętej ręce niczym miecz trzymając naczynie. Kopniakiem odrzuciłam kilka rupieci i pustych pudeł. W plątaninie plastikowych woreczków dojrzałam niewielką czerwoną rękawiczkę - zbyt małą jak na dłoń dorosłego.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że wciąż trzymam naczynie, dopóki nie uderzyłam nim w kamerę. Lichy szklany korpus dzbanka spadł na ziemię i w dłoni został mi tylko jego uchwyt. Czarna kopułka ani drgnęła, poza tym, że jej obiektyw przekręcił się w moją stronę.

Jest włączona, pomyślałam w panice, szukając czegoś, czym mogłabym ją roztrzaskać. Nagrywa.

Nie przypominam sobie, żebym ją wołała, ale Zu natychmiast stanęła u mego boku, wpychając sobie coś za dekolt workowatej bluzy. Ona także musiała dostrzec kamerę, ponieważ jeszcze zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zdjęła jedną ze swoich żółtych rękawiczek i wyciągnęła rękę w stronę urządzenia.

- Nie...!

Nigdy wcześniej nie widziałam Żółtego wykorzystującego swoje umiejętności. Naturalnie ponosiłam konsekwencje ich działań - brak prądu w całym obozie i Biały Szum, kiedy władze Thurmond uznawały, że jeden z nich zrobił to specjalnie. Jednak od tak dawna nie było ich już w obozie, iż przestałam sobie nawet wyobrażać, jak to musi być władać tajemniczym językiem elektryczności.

Palce Zu jedynie ją musnęły, jednak kamera zaczęła głośno i przeciągle piszczeć. Białoniebieski piorun przeskoczył z jej dłoni na obudowę urządzenia, po czym ta sama trzaskająca siła przesunęła się w dół plastiku, a ten zaczął dymić i odkształcać się pod wpływem ciepła.

Nagle zapaliły się wszystkie światła w pomieszczeniu, rozgrzane do takiej temperatury, że pękały żarówki. Pojazd zaczął się krztusić i prychać, drżąc pod naszymi stopami, jakby jego silnik jakimś cudem przebudził się z długiego snu.

Zu z powrotem włożyła dłoń w rękawiczkę i skrzyżowała ręce na piersi. Zacisnęła powieki, jak gdyby chciała to wszystko powstrzymać, jednak nie miałyśmy czasu, by

sprawdzić, czy jej misja zakończy się powodzeniem. Ruszyłam w stronę drzwi, chwytając ją za przód bluzy i wyciągając z pojazdu. Wywlokłam potykającą się Zu na polanę, skąd widać było drogę i Czarną Betty.

- Chodź - powiedziałam, nie pozwalając, by się ociągała. Z jej twarzyzniknęło całe światło, jakby ktoś zdmuchnął nagle świecę. - Wszystko dobrze - skłamałam. - Musimy tylko znaleźć chłopaków.

Na przedniej szybie każdego z ustawionych w szeregu pojazdów zamontowana była kamera. Zauważyłam je, kiedy biegłyśmy w stronę Czarnej Betty. Nie było sensu ich teraz niszczyć. Temu, kto miał nas zobaczyć, z pewnością już się to udało. Trzeba było stąd wiać, i to szybko.

Kiedy otwierałam drzwi vana, wmawiałam sobie, że pewnie kamery zamontowano tu lata temu na wypadek kradzieży Kto wiedział, dokąd trafiał nagrany przez nie materiał? Może donikąd...

Intuicja podpowiadała mi jednak coś zupełnie innego. Jadą po nas, jadą po nas, jadą po nas.

Chciałam krzyknąć do chłopaków, ale mogli być gdziekolwiek. Razem z Zu wgramoliłam się do vana i zrobiłam jedyną rzecz, jaka w tych okolicznościach wydawała mi się sensowna: uderzyłam nasadą dłoni w mięsistą część kierownicy. Wysoki jęk klaksonu Betty obudził rozespany krajobraz. Stado ptaków poderwało się z okolicznych drzew i poszybowało w niebo w momencie, kiedy zaczęłam wybijać dłonią szybszy, bardziej natarczywy rytm.

Najpierw moim oczom ukazał się Pulpet pędzący jedną z alejek pomiędzy kamperami, a kilka rzędów dalej - Liam. Kiedy zobaczyli, że nikogo wokół nie ma, zwolnili kroku. Pulpet wydawał się rozdrażniony.

Wychyliłam się przez okno od strony kierowcy i krzyknęłam:

- Musimy jechać! Natychmiast!

Liam powiedział do Pulpeta coś, czego nie dosłyszałam, ale mnie posłuchali. Kiedy chłopcy wskoczyli do pojazdu, nadal stałam zgięta pomiędzy dwoma przednimi fotelami.

- Co...? - Liam próbował złapać oddech. - Co się stało?

Wskazałam w stronę najbliższego kampera.

- We wszystkich zamontowane są kamery! - rzuciłam zachrypniętym głosem.

Pulpet gwałtownie wciągnął powietrze.

- Jesteś pewna? - Głos Liama był spokojny. Zbyt spokojny. Wiedziałam, że stara się być opanowany, mimo że jego palce drżały tak, iż trudno mu było wsadzić kluczyk do

stacyjki.

Wrzucił wsteczny bieg i czarne opony samochodu wpadły w poślizg w błocie. Kiedy przyspieszył, upadłam na kość ogonową.

- O Boże - powtarzał Pulpet. - Nie mogę w to uwierzyć. Zwabiono nas tu jak Jasia i Małgosię. O Boże... Myślisz, że to ona za tym stoi?

- Nie - odparł Liam. - Nie. Jak na łowcę nagród jest przebiegła, ale to coś innego...

- Oni mogli tu być - powiedziałam, kiedy znów znaleźliśmy się na szosie. Przed nami otwierała się pusta, otwarta paszcza drogi gotowa nas pochłonąć. - Może szpiegowali ludzi, którzy tam mieszkali. Może to naprawdę było East River...

A może była to pułapka zastawiona na dzieciaki, które szukały prawdziwej East River.

Liam oparł łokieć o boczny panel na drzwiach, a następnie podparł brodę dłonią. Setki wijących się pęknięć na przedniej szybie szatkowały jego odbicie na drobne kawałeczki. Dodał gazu, a wiatr, świszcząc, wpadał do środka przez otwór po kuli w szybie.

- Miejcie oczy dookoła głowy i dajcie znać, jeżeli zauważycie coś podejrzanego.

Co właściwie oznacza „coś podejrzanego”? Rzędy podniszczonych domów? Minivana ze śladami po kulach?

- Wiedziałem, że powinniśmy byli poczekać, aż się ściemni - powiedział Pulpet, bębniąc palcami o szybę od strony pasażera. - Wiedziałem. Jeżeli te kamery były włączone, pewnie mają już numer rejestracyjny Betty i w ogóle.

- Zajmę się tablicą - obiecał Liam.

Pulpet otworzył usta, ale nic nie powiedział, po czym oparł głowę o okno.

- Czy mam wypatrywać SSP? - zapytałam, kiedy przejechaliśmy przez następny przejazd kolejowy.

- Gorzej - westchnął Pulpet. - Łowców nagród.

- Mówi się, że SSP nie jest zbyt liczne - wyjaśnił Liam. - To samo z Gwardią Narodową i resztkami lokalnej policji. Raczej nie wysłaliby jednostki aż tutaj, żeby sprawdzić jakiś trop. Więc jeżeli w okolicy nie stacjonuje żaden łowca nagród, jesteśmy bezpieczni.

Mogłam mieć tylko nadzieję, że się nie myli.

- Nagroda za schwytanie i wydanie dziecka wynosi dziesięć tysięcy dolarów. - Pulpet obrócił się w fotelu, żeby na mnie spojrzeć. - Wszyscy w tym kraju są kompletnie spłukani. Nie jesteśmy bezpieczni.

Gdzieś w oddali usłyszałam nadjeżdżający pociąg. Jęk jego syreny przypomniał mi o pociągach, które o każdej porze nocy przejeżdżały nieopodal Thurmond. To wspomnienie sprawiło, że wbiłam paznokcie w skórę na udach i zacisnęłam powieki do czasu, aż minęły mi

mdłości. Nie byłam nawet świadoma tego, że rozmowa toczy się dalej beze mnie, dopóki Liam nie zapytał:

- Wszystko w porządku, Zielona?

Wytarłam twarz, zastanawiając się, czy jest mokra od deszczu czy od łez, które bezwiednie toczyły mi się po twarzy. Nic nie powiedziałam, tylko przedostałam się na tylne siedzenie. Nie włączyłam się do ich rozmowy na temat tego, gdzie powinni teraz szukać East River, mimo że bardzo chciałam im w tym pomóc. Istniały setki, tysiące, miliony miejsc, gdzie Uciekinier mógł założyć obozowisko, i marzyłam o tym, by pomóc im wpaść na jakiś trop. Chciałam w tym uczestniczyć.

Nie mogłam ich jednak o to prosić i przyszedł już czas, bym przestała się okłamywać. Wiedziałam, że wkrótce pojmą, iż to nie łowcy nagród czy żołnierze SSP są prawdziwymi potworami. Nie. Prawdziwe monstrum siedziało tuż obok.

Radio umilkło.

To właśnie cisza bijąca z głośników odbierała mi odwagę, bardziej niż opuszczone drogi i puste skorupy porzuconych domów. Liam ani na chwilę nie przestawał się ruszać. Rozglądał się wokół, kiedy przejeżdżaliśmy przez opuszczone miasteczka, sprawdzał poziom paliwa, bawił się kierunkowskazem i bębnił palcami o kierownicę. W pewnym momencie jego oczy spotkały się z moimi w tylnym lusterku. Trwało to zaledwie chwilę, jednak w brzuchu poczułam ukłucie tak nagłe, jak gdyby przejechał mi palcem po otwartej dłoni.

Moją twarz zalał gorący rumieniec, ale gdzieś w głębi poczułam lodowate zimno. Mimo że trwało to zaledwie pół sekundy, zauważyłam, że jego oczy pociemniały z rozczarowania..

Na przednim siedzeniu Pulpet bezustannie to coś składał, to rozkładał, w ogóle nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

- Przestań! - rzucił podenerwowany Liam. - Porwiesz to.

Pulpet natychmiast go posłuchał.

- Może po prostu... spróbujemy? Czy naprawdę potrzebujemy do tego Uciekiniera?

- Naprawdę chcesz ryzykować?

- Jack by zaryzykował.

- Owszem, ale Jack... - Głos Liama zamarł. - Musimy być ostrożni. Kiedy tam dotrzemy, on nam pomoże.

- Jeśli tam dotrzemy - skonstatował Pulpet gorzko.

- Jack? - Nie zdawałam sobie sprawy, że powiedziałam to na głos, dopóki w tylnym lusterku nie zobaczyłam oczu Liama.

- To nie twoja sprawa - powiedział Pulpet i zamilkł.

Liam był tylko nieco bardziej rozmowny.

- Był naszym przyjacielem, współlokatorem w obozie. Próbujemy... próbujemy skontaktować się z jego tatą. To między innymi dlatego musimy namierzyć Uciekiniera.

Wskazałam głową na kartkę papieru.

- Przed ucieczką napisał list?

- Wszyscy trzej to zrobiliśmy - wyjaśnił Liam. - W razie gdyby jeden z nas w ostatniej chwili się wycofał i nie chciał... lub nie zdołał się stamtąd wydostać.

- A Jackowi się to nie udało. - Głos Pulpeta był ostry jak brzytwa..

Pędząc, mijaliśmy jeden przepiękny kolonialny dom za drugim, a ich barwne fasady mrugały do nas przez szyby.

- Tak czy siak - Liam odchrząknął - próbujemy dostarczyć jego tacie ten list. Pojechaliśmy pod adres, jaki podał nam Jack, ale dom został przejęty przez państwo. Jego ojciec zostawił list informujący, że jedzie pracować do Waszyngtonu, ale żadnego adresu ani numeru telefonu. To właśnie dlatego potrzebujemy pomocy Uciekiniera. Musimy się dowiedzieć, gdzie teraz przebywa.

- Nie możecie po prostu nadać go pocztą?

- Właśnie z tego powodu dwa lata po tym, jak znalazłaś się w Thurmond, władze zaczęły otwierać i przeglądać listy - wyjaśnił Liam. - Rząd wszystko czyta, wszystko mówi i wszystko pisze. Stworzyli uroczą bajeczkę o tym, jak to w obozach nas ratują, przekształcając z powrotem w słodkie aniołki, więc nie chcą, żeby ktokolwiek poznał prawdę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Nie chciałam cię zdenerwować.

- Nic się nie stało - powiedział Liam po chwili, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność. - Nic się nie stało.

Trudno wytłumaczyć, jak się domyśliłam. Może zwróciłam uwagę na to, jak ręce Liama zacisnęły się na kierownicy lub jak w czasie trwania rozmowy wciąż spoglądał w boczne lusterka, na długo po tym, jak minął nas nadjeżdżający z przeciwnej strony samochód. Może zrozumiałam to po tym, jak napiął ramiona i zgarbił się, tak że sprawiał wrażenie przygnębionego. Po prostu wiedziałam, jeszcze zanim napotkałam w lusterku jego zaniepokojone spojrzenie.

Powoli, nie chcąc zwracać na siebie uwagi Zu ani Pulpeta, którzy obserwowali przewijające się za szybą niekończące się połacie drzew, wsunęłam się pomiędzy przednie siedzenia.

Liam krótko popatrzył mi w oczy i wskazał głową na boczne lusterko. Sama zobacz, wydawał się mówić. Spojrzałam.

W odległości mniej więcej dwóch samochodów jechał za nami biały pick-up. Padający deszcz utrudniał widoczność, więc nie byłam pewna, czy w środku siedzi jeden czy dwóch mężczyzn. Z tej odległości przypominali raczej dwie czarne mrówki.

- Ciekawe - powiedziałam, próbując zachować spokój.

- Tak - odparł i zacisnął szczękę. Widać było, jak napinają mu się mięśnie na karku. - I jak tu nie kochać Wirginii Zachodniej, górzystego stanu, gdzie w każdej stacji radiowej puszczają przeboje Johna Denvera!

- Może... - zaczęłam powoli - powinieneś się zatrzymać i spojrzeć na mapę?

Tylko w ten sposób mogliśmy się rozeznać w sytuacji. Liam zamierzał skręcić w drogę imienia Jerzego Waszyngtona, nieco szerszą niż kręta szosa, którą dotąd jechaliśmy. Jeżeli pojazd rzeczywiście nas śledził, nie zdoła zatrzymać się tak, by nie wzbudzać podejrzeń. Kierowca samochodu zachowywał dystans. Jeśli zgodnie z przewidywaniami Liama rzeczywiście byli to łowcy nagród, oni także próbowali nas wyczuć.

Łagodnie wchodząc w zakręty, pięliśmy się dalej w górę Gor-man Road. Czarna Betty zwalniała w oczekiwaniu na kolejny wiraż. Liam zawahał się przez chwilę, po czym wrzucił kierunkowskaz.

Spojrzałam w lusterko i z ulgą dostrzegłam, że kierowca pick-upa sygnalizuje skręt w drugą stronę. Jechał w prawo, a my w lewo.

Liam odetchnął i w końcu opadł na oparcie, kiedy nasz minivan dojechał do skrzyżowania. Z drogi zjeżdżał jeszcze jeden samochód - mały srebrny volkswagen. Oboje z Liamem podnieśliśmy ręce, żeby osłonić oczy przed oślepiającym promieniem słońca, który odbił się od szyb pojazdu.

- No dalej, staruszku. - Liam zamachał do kierowcy volkswagena ze zniecierpliwieniem. - Skręcaj, zanim nadejdzie kolejne milenium. To jeden z tych facetów, którzy mają czas... Zaraz zacznie się golić i podziwiać krajobrazy.

Przez otwarte okna pick-upa, który skrzypiąc i charcząc, jak to się zdarza starym samochodom, zatrzymał się tuż obok nas, dochodziły dudniące dźwięki piosenki zespołu Lynyrd Skynyrd Free Bird. Pech chciał, że była to ulubiona piosenka taty. Wystarczyły dwie sekundy tego przeklętego utworu, żebym poczuła się tak, jakbym znów znalazła się na przednim siedzeniu jego radiowozu i wraz z nim krążyła po mieście. Tylko wtedy, gdy jeździliśmy we dwoje, miałam szansę słuchać tej wspaniałej muzyki. Mama jej nie znosiła.

Kiedy spojrzałam na kierowcę samochodu kiwającego głową w rytm piosenki,

zachciało mi się śmiać. Ile sił w płucach wyśpiewywał tekst piosenki, po każdej frazie wydychając dym z papierosa.

Chwilę później jego śpiew ustąpił innemu dźwiękowi - był to dziwny pisk. Podniosłam oczy w chwili, kiedy kierowca jadącego przed nami volkswagena gwałtownie wcisnął hamulec i zatrzymał się z szarpnięciem, znów nas oślepiając.

- No chyba go pogięło! - Liam już miał wcisnąć klakson, kiedy kierowca volkswagena opuścił szybę i wycelował w nas jakiś czarny, błyszczący przedmiot.

Nie. Nagle wszystko wokół nabrało ostrości, a dźwięk płynący z głośników zamarł. Nie!!!

Wyciągnęłam rękę i włączyłam radio, maksymalnie podkręcając głośność. Liam i Pulpet zaczęli krzyczeć, ale odepchnęłam dłoń Liama, zanim zdążył wyłączyć odbiornik.

Biały Szum zagłuszył płynącą z głośników muzykę i wdarł się w nasze uszy. Nie był tak głośny i potężny, jak pamiętałam, i ani odrobinę nie przypominał tego, którego doświadczyłam ostatnio, ale i tak torturował nasze bębenki. Moja sztuczka z radiem nie zdołała go całkiem zagłuszyć.

Już pierwszy przeszywający ryk sprawił, że moi towarzysze skulili się i skurczyli.

Liam opadł na kierownicę, przyciskając dłonie do uszu. Pulpet uderzał głową w boczną szybę, jakby próbował wybić sobie ten dźwięk z głowy. Poczułam, jak Czarna Betty toczy się naprzód, a po chwili zatrzymała się gwałtownie, kiedy Liam wcisnął hamulec zamiast gazu.

Obok otworzyły się drzwi i para rąk złapała Pulpeta wpół, próbując wyswobodzić go z pasów bezpieczeństwa. Z trudem podniosłam się z ziemi, wyciągnęłam rękę i z całej siły przejechałam paznokciami po policzku mężczyzny. To wystarczyło, by kierowca pick-upa - ten sam, który chwilę temu wybijał głową rytm piosenki Free Bird - puścił Pulpeta, który zwisał teraz z fotela.

Kierowca podszedł do skrzyni ładunkowej swojego samochodu, a jego słowa zniknęły pośród ryku, który zawisł nad trzema samochodami. Dopiero wtedy zauważyłam, że z szyi mężczyzny na srebrnym łańcuszku zwisa identyfikator z jasnoczerwonym symbolem v. To nie byli łowcy nagród.

Psi. SSP. Obóz. Thurmond. Obława.

Mężczyzna z volkswagena otworzył drzwi od strony kierowcy i próbował odpiąć pas Liama. Nie można go było nazwać postawnym. Nosił okulary i był zgarbiony, przypominał księgowego, który zbyt wiele godzin tkwił przy biurku. Nie potrzebował jednak siły, w dłoniach trzymał bowiem czarny megafon.

Niektórzy żołnierze SSP w Thurmond nosili te urządzenia przy sobie, celując nimi w niewielkie grupki krnąbrnych dzieciaków, czasem tylko po to, żeby napawać się ich męczarnią. Nic ich to nie obchodziło - oni tego nie słyszeli.

Mimo że czułam, jak każdy nerw w moim ciele wyje z bólu, udało mi się wbić łokieć w pierś kierowcy pick-upa. Znów się cofnął, a ja pociągnęłam za drzwi i wcisnęłam blokadę. Omiotłam Zu szybkim spojrzeniem, a następnie rzuciłam się w stronę Liama i pięścią strąciłam okulary z twarzy Księgowego. Gdzieś za moimi plecami kierowca pick-upa zbliżył się do przesuwanych drzwi, tym razem jednak nie był bezbronny.

Kiedy wycelował karabin w twarz Zu, dziewczynka nawet nie mrugnęła - sądząc po tym, jak jęczała, zaciskając powieki i z bolesnym wyrazem twarzy zasłaniając uszy żółtymi rękawiczkami, chyba nie była świadoma tego, co dzieje się wokół.

Nie’miałam pojęcia, co robić. Złapałam Liama i starałam się go ocucić. Nagle jego oczy się rozwarły, czyste i błękitne, jednak trwało to zaledwie ułamek sekundy. Megafon znalazł się kilka centymetrów od mojej twarzy i Biały Szum zatopił się w moim mózgu jak piła mechaniczna. Moje kości zmieniły się w galaretę i nawet nie zauważyłam, że upadłam na Liama. Jedynym dźwiękiem, który zagłuszał Biały Szum, radio i krzyki Pulpeta, było głośne bicie jego serca.

Znów zamknęłam oczy i zacisnęłam palce na miękkiej skórze jego kurtki. Część mnie chciała się od niego oderwać, odsunąć się od niego na taką odległość, by nie móc się wślizgnąć do jego umysłu, jednak pozostała część - ta zdesperowana - już próbowała się przebić, przywrzeć do niego i nakazać mu, żeby się ruszył. Jeżeli potrafiłam krzywdzić ludzi, czy nie oznaczało to także, że potrafię im pomagać?

Wstawaj, wstawaj, wstawaj, wstawaj, błagałam.

Nagle usłyszałam wysoki, zawodzący dźwięk, który nie mógł pochodzić od człowieka. Zmusiłam się, żeby otworzyć oczy. Kierowca pick-upa jedną ręką przytrzymywał karabin, a drugą kołnierz koszuli Zu. Ciągnął ją w stronę swojego samochodu. Nie przestawałam jej wołać nawet wtedy, gdy Księgowy złapał mnie za włosy i siłą wyciągnął z samochodu. Upuścił mnie na ziemię tak mocno, że bryłki żwiru poraniły moje nogi i dłonie.

Przewróciłam się na bok, próbując znaleźć się poza zasięgiem żołnierza SSP Leżąc pod podwoziem Betty, widziałam żółte skrzydełka rękawiczek upadające na ziemię jak małe ptaszki, a następnie usłyszałam trzaśnięcie drzwi.

- Stewart, potwierdź obiekt Psi numer 42755, zlokalizowany na... - Księgowy ponownie szarpnął za drzwi samochodu i wyciągnął z kieszeni coś jasnopomarańczowego. Przetarłam oczy, próbując wyostrzyć wzrok. Pomarańczowy przedmiot w dłoni

funkcjonariusza SSP był nie większy niż telefon komórkowy, dzięki czemu mężczyzna z łatwością zamachał nim przed twarzą Liama nadal leżącego na kierownicy.

Kopnięcie żołnierza w kostkę nic nie dało - był tak skoncentrowany na tym, co robi, że nawet tego nie zauważył.

Liam! Moje usta pozostały nieruchome. Nie udało mi się. Liam!

Pomarańczowe urządzenie rozbłysło i po chwili usłyszałam głos Księgowego, który zdołał się przedrzeć nawet przez Biały Szum.

- Zidentyfikowałem Liama Stewarta.

Nagle powietrze wypełniło się gorącym, szczypiącym żarem, a pod Betty dostało się coś, co przypominało piekącą chmurę piasku. Poczułam, jak ociera się o moją nagą skórę, i musiałam odwrócić twarz, żeby nie oślepił mnie błysk, który zmiótł wszystko, co napotkał na swojej drodze. Gdzieś nad sobą usłyszałam przekleństwa miotane przez Księgowego zagłuszone po chwili dźwiękiem metalu zgrzytającego o metal oraz szkła rozsadzonego z taką siłą, że jego drobinki opadły na ziemię jak grad.

I wtedy żar zniknął. Biały Szum umilkł i usłyszałam jedynie, jak coś z łoskotem spada na ziemię niedaleko mnie. Megafon.

Wyciągnęłam rękę i zacisnęłam palce na jego uchwycie. Księgowy wykrzykiwał coś, czego nie słyszałam ze względu na dzwonienie w uszach. Byłam zbyt skupiona na tym, by zdobyć megafon, żeby słuchać jego słów. Wokół mojej nagiej kostki zacisnęła się ręka, która przeciągnęła mnie po ziemi. Na szczęście zdążyłam chwycić urządzenie.

- Wstawaj, ty mała... - Kiedy w powietrzu rozległ się pisk przypominający alarm, mężczyzna natychmiast mnie puścił. - Tu Larson, proszę o natychmiastowe wsparcie...

Stękając, podciągnęłam się na kolana, a następnie wstałam. Mężczyzna odwrócony był do mnie plecami o sekundę za długo, a kiedy w końcu zdał sobie sprawę ze swojego błędu i popatrzył przez ramię, wymierzyłam mu silny cios megafonem prosto w twarz.

Jego radio upadło z trzaskiem na jezdnię, a ja kopnęłam je tak, by nie mógł go dosięgnąć. Zakrył twarz dłońmi, próbując obronić się przed kolejnym uderzeniem, ale nie zamierzałam się nad nim litować. Nie mogłam pozwolić, by zabrał mnie z powrotem do Thurmond.

Zacisnęłam dłonie na jego odsłoniętym przedramieniu i szarpnęłam nim tak, że musiał na mnie spojrzeć. Obserwowałam, jak źrenice jego brązowych oczu kurczą się, a następnie wracają do normalnego rozmiaru. Mężczyzna był od mnie trzydzieści centymetrów wyższy, ale po tym, jak upadł przede mną na kolana, trudno się było tego domyślić. Nie mógł nawet złapać tchu, a co dopiero powstrzymać mnie przed wtargnięciem prosto do jego głowy.

Odejdź!, próbowałam powiedzieć. Zacisnęłam żuchwę. Jej mięśnie były napięte, tak jakby Biały Szum nadal przepływał przez nią niczym pulsujący prąd. Odejdź!

Nigdy wcześniej tego nie robiłam, więc nie miałam pojęcia, czy to w ogóle zadziała, ale nie miałam nic do stracenia. Jego wspomnienia fala po fali zalewały mój umysł jak przypływ. W głowie kołatała mi się tylko jedna myśl: To działa. Uda mi się.

Martin powiedział, że potrafi wmówić ludziom emocje, jednak moje zdolności polegały na czymś zupełnie innym. Potrafiłam jedynie mącić, porządkować i wymazywać obrazy.

Nigdy nie próbowałam niczego innego, nie czułam nawet takiej potrzeby - aż do teraz. Jeżeli miało się okazać, że nie mogę pomóc tym dzieciakom i że nie mogę ich ocalić, to czy moje życie miało jakikolwiek sens? Zrób to, po prostu to zrób.

Szczegółowo wyobraziłam sobie, jak mężczyzna podnosi radio - od tego, jak po omacku szuka okularów na ziemi, po sposób, w jaki marszczą się jego spodnie. Wyobraziłam sobie, że wycofuje prośbę o wsparcie i że schodzi po stromym zboczu usytuowanym przy krawędzi drogi, po czym wchodzi w gęstwinę.

Kiedy puściłam jego rękę, krok po kroku zrobił dokładnie to, co sobie wyobraziłam. Gdy ruszył przed siebie, nie mogłam się nadziwić, że to ja tego dokonałam. Ja.

Odwróciłam się w stronę, skąd wydostawał się czarny dym spowijający drogę. Ścielił się na trawie pagórka i w jego zakamarkach niczym gruby brzydki koc. Nagle coś sobie przypomniałam.

Zu.

Zbliżając się, coraz wyraźniej widziałam wrak samochodu.

Pick-up, który wcześniej stał zaparkowany tuż obok Betty, znajdował się teraz kilkadziesiąt metrów dalej, na opustoszałej zielonej polanie. Tuż przed nim, przewrócony na boku, leżał mniejszy, srebrny Volkswagen - kupa wygiętego złomu, którą ledwo rozpoznawałam. Unosiły się z niego kłęby gęstego dymu i miałam wrażenie, że wystarczyłaby jedynie mała iskierka, żeby wywołać eksplozję.

Staranował go, zrozumiałam. Pick-up uderzył w niego i zmiótł go z drogi.

Podążyłam szlakiem wyznaczonym przez ślady opon i potłuczone szkło, jednak znalazłam tam tylko kierowcę pick-upa, a raczej to, co z niego zostało.

Jego ciało było splątane jak dzika trawa. Nie wiedziałam, gdzie kończy się jego jedna kończyna, a zaczyna druga. Żadna z nich nie była na swoim miejscu. Jego łokcie wystawały z ziemi jak dwa połamane skrzydła. Pick-up musiał staranować także jego.

Wokół serca poczułam chłód i kruchość, które zmusiły mnie, żebym wyszła ze smugi

dymu i sprawdziła, czy Zu nie ma w żadnym z samochodów. Wydostałam się z najgęstszego kłębu dymu, po czym upadłam na ziemię i zwymiotowałam niewielką ilość jedzenia, którą miałam w żołądku.

Dopiero wtedy podniosłam wzrok i w końcu ją ujrzałam - siedziała na drodze tuż przy Betty. Miała przygarbione ramiona i pochyloną głowę, ale była cała i zdrowa! Złapałam się tych dwóch słów i spróbowałam ją zawołać. Zu spojrzała w górę, oddychając z trudem. Kiedy się do niej zbliżyłam, wstęga dymu powoli odsłoniła jej zaczerwienione oczy, ranę na czole i łzy, które toczyły się po jej zabrudzonych policzkach.

Uklękłam przed nią, czując pulsowanie w skroniach, i przez kilka bolesnych sekund był to jedyny dźwięk, jaki do mnie dochodził.

- Wszystko... dobrze? - zapytałam słabo.

Kiwnęła głową, szczękając zębami.

- Co... Co się stało? - wydusiłam.

Zu skurczyła się, jakby chciała zniknąć z powierzchni ziemi. Żółte rękawiczki leżały na ziemi tuż obok niej, a nagie dłonie nadal miała wystawione przed siebie, jak gdyby dopiero co dotknęła samochodu.

Nie wiedziałam, jak ją uspokoić - nie wiedziałam nawet, jak uspokoić siebie. Ta dziewczynka, Żółta, w kilka sekund zniszczyła dwa samochody i jedno życie. I wyglądało na to, że zrobiła to za pomocą zwykłego gestu.

Jednak mimo tego przecież to wciąż była Zu. A te dłonie? To one mnie uratowały.

Drżącymi rękami podniosłam ją i pomogłam wejść z powrotem do samochodu. Była rozpalona i z pewnością nie był to zwykły stan podgorączkowy. Opuściłam ją na najbliższe siedzenie i przyłożyłam dłonie do jej policzków, ale nie potrafiła skupić na mnie rozbieganego wzroku. Już miałam zasunąć drzwi, kiedy chwyciła mnie za nadgarstek i wskazała na leżące na ziemi rękawiczki.

- Mam je! - powiedziałam i podałam jej rękawiczki, a następnie odwróciłam się, żeby zmierzyć się z czymś poważniejszym.

Pulpet nadal leżał nieprzytomny na fotelu pasażera - jego ciało zwisało przez otwarte drzwi. Na szczęście kierowcy pick-upa nie udało się wyciągnąć go z samochodu, w przeciwnym razie chłopak prawdopodobnie leżałby teraz w trawie obok mężczyzny. Jego bezwładne ciało uderzyło o drzwi, kiedy je w końcu zatrzasnęłam.

Ruszyłam w stronę maski samochodu, potykając się o czubki własnych trampek. Próbując odgonić różnobarwne punkciki migoczące przed moimi oczami, mocniej rozwarłam drzwi od strony kierowcy. Liam również był nieprzytomny i mimo że nim szarpałam, nie

udało mi się go wybudzić. Usłyszałam stłumiony szloch Zu, która wciskała twarz w kolana.

- Wszystko dobrze, Zu - powiedziałam. - Wszyscy jesteśmy cali i zdrowi. Wszystko będzie dobrze.

Wypięłam Liama z szarego pasa bezpieczeństwa i na wpół wypchnęłam, na wpół wyciągnęłam go z fotela kierowcy. Nie byłam dość silna, by wciągnąć go na jedno z tylnych siedzeń. Ułożyłam go więc na ziemi pomiędzy przednimi fotelami. Na jego zwróconej ku mnie twarzy drgały mięśnie, co jakiś czas wykrzywiając jego usta w nienaturalnym uśmiechu.

Wpatrywałam się w kierownicę, próbując przypomnieć sobie, jak uruchamia się samochód - starałam się odtworzyć kroki, które wykonywali Liam, Cate i mój ojciec. Miałam szesnaście lat i nie wiedziałam nawet, gdzie znajduje się hamulec ręczny, nie mówiąc już o tym, czy jest zaciągnięty.

To nie miało jednak znaczenia. Najwyraźniej mogłam jechać i z hamulcem. Najważniejsze, że wiedziałam, iż prawy pedał to gaz, a lewy hamulec. Ot, cała filozofia.

Betty przedarła się przez środek dymnej chmury, która ciągnęła się za nami aż do otwartej drogi, aż w końcu - w końcu, w końcu - zostawiliśmy za sobą wraki samochodów. Powietrze dmuchające z wywietrzników nie napełniało już naszych głów echem Białego Szumu, a płuc zapachem dymu.

11

Przejechaliśmy może piętnaście kilometrów, kiedy chłopcy zaczęli się w końcu budzić. Jako że Zu szlochała na tylnym siedzeniu, a ja nie miałam pojęcia, dokąd jadę, powiedzieć, że mi ulżyło, to mało.

- O cholera - jęknął Liam. Przyłożył rękę do skroni i usiadł nagle, przestraszony. - O cholera!

Jego twarz znajdowała się kilka centymetrów od stóp Pulpeta, więc chwycił je dłońmi i pociągnął, jakby chciał sprawdzić, czy nadal są do czegoś przytwierdzone. Pulpet stęknął.

- Zaraz zwymiotuję - jęknął.

- Zu? - Liam podciągnął się do niej, przy okazji kopiąc Pulpeta w nogę, czego ten nie omieszkał skomentować cichym jękiem. - Zu? Czy ty...?

Zaczęła płakać jeszcze mocniej, zasłaniając twarz rękawiczkami.

- O Boże, tak mi przykro... Tak strasznie mi przykro... Ja... - W głosie Liama słychać było taki ból, jak gdyby ktoś wyrywał mu wnętrzności. Patrzyłam, jak przyciska do ust zaciśniętą pięść, i słyszałam, jak odchrząkuje, ale nie powiedział już ani słowa.

- Zu - zaczęłam dziwnie spokojnym głosem. - Posłuchaj. Ocaliłaś nas. Bez ciebie byśmy nie przeżyli.

Liam nagle odwrócił głowę, jakby dopiero przypomniał sobie o mojej obecności. Skrzywiłam się, ale czy mogłam go winić za to, że najpierw chciał sprawdzić, w jakim stanie znajdują się jego prawdziwi przyjaciele?

Poczułam jego wzrok na karku, kiedy wracał na przód pojazdu. Opadł na fotel pasażera. Jego twarz była blada i ściągnięta.

- Jak się czujesz? - zapytał szorstko. - Co się stało? Jak udało ci się nas stamtąd wydostać?

- To zasługa Zu - zaczęłam i nagle zdałam sobie sprawę, że muszę balansować na cienkiej granicy, jaka dzieliła prawdę od tego, co mogłam im powiedzieć. Zarówno ze względu na siebie, jak i Zu. Nie wiedziałam, ile pamiętała z tego, co się wydarzyło, ale nie chciałam potwierdzać jej obaw. Powiedziałam tylko: - Sprawiła, że jeden z samochodów wbił się w drugi. Jeden z facetów stracił przytomność, a drugi zwiał.

- Co to było... - Pulpet oddychał z trudem. - Co to było za straszliwe wycie?

Wpatrywałam się w niego, a moje wargi z niedowierzaniem próbowały wymówić kolejne słowa.

- Nigdy go nie słyszeliście?

Chłopcy pokręcili głowami.

- Jezu - powiedział Liam - to brzmiało, jakby ktoś przepuszczał kota przez maszynkę do mielenia, jednocześnie poddając go elektrowstrząsom.

- Naprawdę nie mieliście w obozie Białego Szumu? Paralizatora? - zapytałam, zaskoczona gniewem, który wkradał się w moje serce. Co to był za obóz? Disneyland?

- A ty miałaś? - Liam potrząsnął głową, prawdopodobnie próbując pozbyć się dzwonienia w uszach.

- Używali tego w Thurmond, żeby nas... obezwładnić, kiedy się buntowaliśmy lub sprawialiśmy problemy - wyjaśniłam. - W ten sposób powstrzymywali nas przed używaniem naszych umiejętności.

- Dlaczego tobie nic nie jest? - wysapał Pulpet na wpół podejrzliwym, na wpół zazdrosnym tonem.

To było dobre pytanie. W długiej, ponurej historii mojej styczności z Białym Szumem miało miejsce kilka przypadków omdlenia, wymiotów, utraty pamięci, nie wspominając ostatniego epizodu, kiedy to zaczęłam obficie krwawić z oczu i nosa. Pewnie kiedy doświadczyło się najgorszego, „po prostu złe” okazywało się całkiem znośne. Oni mieli do czynienia z Białym Szumem po raz pierwszy, co wyjaśniało, dlaczego po zaledwie kilku sekundach opadli niczym zwiędła trawa.

Liam badawczo wpatrywał się w moją twarz. Zastanawiałam się, co w niej widzi. Wszystko? Myślałam o tym, jak jego kurtka dotykała mojego policzka, i o wypukłości jego kręgosłupa. Zrobiło mi się ciepło na sercu.

- Chyba się do tego przyzwyczaiłam - powiedziałam. - Poza tym Zieloni nie są tak podatni na działanie Paralizatora jak Niebiescy i reszta - dodałam na wszelki wypadek. Odrobina prawdy, odrobina kłamstwa.

Kiedy tylko z twarzy Liama zniknął znajomy wyraz bólu, a na policzki wrócił zdrowy rumieniec, zaproponował, że zmieni mnie za kierownicą. Ten chłopak zasługiwał na owacje za to, jak dobrze ukrywał przed innymi drżenie nóg i rąk, ale mnie trudno było zmylić. Nikt tak dobrze jak ja nie znał przykrych skutków ubocznych Białego Szumu.

- No już - powiedział, kiedy na zegarze na desce rozdzielczej przeskoczyła kolejna minuta. - Zrobiłaś już... - jego głos ucichł.

Spojrzałam na niego i natychmiast zdałam sobie sprawę z tego, że na mnie patrzy - a raczej, że patrzy na moje kościste, poobijane kolana. Kiedy po chwili znów przeniosłam wzrok na drogę, tuż nad nogą poczułam ciepło i aż podskoczyłam.

- Przepraszam... - wyszeptał Liam, cofając rękę. Czubki jego uszu zrobiły się

jasnoczerwone. - Ja tylko... Jesteś cała poraniona. Zatrzymaj się na chwilę, dobrze? Powinniśmy się rozejrzeć i ustalić, gdzie jesteśmy.

Nie chciałam się zatrzymywać gdzieś w pobliżu przypadkowego płotu czy pastwiska. Poczekałam, aż znaleźliśmy się w pobliżu opuszczonego leśnego parkingu, na którym stał kolonialny budynek z czerwonej cegły, po czym zjechałam z drogi.

Pulpet próbował się pozbyć treści żołądka, jednak tylko kilka razy się zakrztusił. Liam stanął obok niego i poklepał go po plecach.

- Możesz pomóc Ruby, jak skończysz?

Może i Pulpet mnie nienawidził albo chciał mnie odstraszyć, ale przynajmniej docenił to, że odegrałam jakąś rolę w ocaleniu jego skóry. Nie odpowiedział jednak „tak". Skrzyżował tylko ramiona na piersi i wydał z siebie męczeńskie westchnienie.

- Dzięki - rzucił Liam. - Prawdziwa z ciebie Matka Teresa.

Otworzył przesuwane drzwi i ruszył w stronę srebrnych wodotrysków ustawionych pomiędzy samochodem i drzwiami toalety. Zu podążyła za nim, trzymając w ręce różowy worek. Kiedy znów przeniosłam uwagę na Pulpeta, zdążył się już pozbierać, a teraz stał nade mną, dźgając mnie i szturchając.

- Zostaw! - rzuciłam, kiedy dotknął palcem mojego łokcia. Przycisnął guzik górnego światła, które posłusznie się włączyło. W końcu zobaczyłam, że żwir zdarł do żywego skórę z mojego łokcia aż po nadgarstek.

- Popatrz na mnie. - Pulpet sprawiał wrażenie, jakby ostatkiem woli powstrzymywał się, żeby nie przewrócić oczami. - Teraz, Zielona, nie mam całego dnia!

Obróciłam się tak, że moje nogi skierowane były w stronę siedzenia pasażera. Nie zdziwiłam się, widząc, że wyglądają równie atrakcyjnie jak moje ramię. Skóra z obu kolan była zupełnie zdarta i w niektórych miejscach zaczynały się tworzyć strupy, jednak poza kilkoma zadrapaniami i siniakami, które nie miały nic wspólnego z atakiem, były w dużo lepszym stanie niż moje ręce.

Pulpet wyciągnął spod fotela walizkę i otworzył jej klamry. Zdążyłam tylko rzucić okiem do środka, zanim wyjął z niej cztery białe kwadratowe paczuszki i znów ją zamknął.

- Boże, jak ci się w ogóle udało do tego doprowadzić? - wymamrotał, rozrywając pierwsze opakowanie. Kiedy poczułam zapach środka odkażającego, próbowałam się wykręcić.

Pulpet łypnął na mnie znad okularów.

- Jeżeli już zamierzasz się tu rozgościć, możesz chociaż zacząć trochę bardziej na siebie uważać? Już i tak trudno mi utrzymać pozostałą dwójkę w jednym kawałku, więc bądź

tak miła i nie pakuj się w tarapaty.

- Nie wpakowałam się... - zaczęłam, ale urwałam. - Przykro mi.

- No cóż - fuknął. - Przykro to ci będzie, jeżeli w którąś z tych ran wda się zakażenie.

Podniósł moją lewą dłoń i zbliżył ją do oczu, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Próbowałam się nie krzywić, kiedy zaczął ją przecierać chusteczkami dezynfekującymi. Był delikatny jak wilk rozszarpujący swoją ofiarę. Pieczenie, które poczułam chwilę później, wytrąciło mnie z mętnego odrętwienia, w jakie zaczynałam wpadać. Wyrwałam mu dłoń i odebrałam wilgotny gazik. Wcale nie bolało mnie mniej, kiedy sama usuwałam z ręki drobinki asfaltu.

- Powinieneś sprawdzić, jak się czują Liam i Zu - powiedziałam.

- Nie, ponieważ wtedy się wściekną, że nie zajmuję się tobą. - Po chwili jednak niechętnie przyznał: - Poza tym rzeczywiście ucierpiałaś najmocniej z nas wszystkich. Oni mogą zaczekać. - Musiał zauważyć, że drgnęła mi warga, ponieważ natychmiast dodał: - Tylko sobie nie myśl, że zmarnuję wszystkie opatrunki na te twoje powierzchowne rany!

- No co ty! - odparłam, wyrzucając chusteczkę dezynfekującą przez okno. Podał mi nową, do oczyszczenia drugiej dłoni. Jego oczy nadal były zwężone z irytacji, ale wydawało mi się, że zaczynają powoli łagodnieć. Nieco się rozluźniłam, ale ani przez chwilę nie łudziłam się, że niedługo zabierzemy się do wyplatania bransoletek przyjaźni.

- Dlaczego skłamałaś?

Słysząc jego pytanie, gwałtownie uniosłam głowę, w której lekko mi się zakręciło.

- Ja nie... Co ty... Ja wcale nie...

- Chodzi mi o Zu. - Obejrzał się przez ramię, po czym mówił dalej ściszonym głosem. - Powiedziałaś, że ten facet stracił przytomność, ale... było inaczej, prawda? On zginął.

Skinęłam głową.

- Ona nie chciała...

- To oczywiste - rzucił ostro. - Zastanawiałem się, dlaczego nikt nie ruszył za nami w pościg. Zacząłem się niepokoić, co by było, gdyby się o tym dowiedziała... Cóż, chyba masz jednak trochę oleju w głowie.

Kiedy na niego spojrzałam, natychmiast pojęłam, że chciał się mnie pozbyć, ponieważ uważał mnie za zagrożenie. Gdyby nie udało mi się dowieść, że się myli, nigdy by mi nie zaufał, zwłaszcza po tym, jak pomyliłam kolor terenówki.

- Swoją drogą, świat bez kolejnego łowcy nagród to dużo piękniejsze miejsce. - Pochylił się, żeby znów wyjąć walizkę, a następnie włożył do niej niewykorzystane materiały opatrunkowe.

No tak, pomyślałam i wyprostowałam się. Przecież im-nie powiedziałam.

- To nie byli łowcy nagród, tylko żołnierze SSP.

Słysząc to, Pulpet parsknął śmiechem.

- A mundury mieli schowane pod flanelowymi koszulami i dżinsami?

- Jeden z nich miał identyfikator - powiedziałam. - A to pomarańczowe urządzenie, którego używali... Widziałam raz takie w Thurmond.

Pulpet nie wyglądał na przekonanego, ale nie mieliśmy czasu - a już na pewno siły - żeby godzinami doszukiwać się prawdy.

- Posłuchaj - mówiłam dalej - nie musisz mi wierzyć, ale jeden z nich podał przez radio numer Psi 42755. To numer Liama, prawda?

Przedstawiłam mu tok wypadków ze swojego punktu widzenia i pozwoliłam, by sam dopowiedział sobie resztę. Kiedy doszłam do opisu pomarańczowego urządzenia, uznał, że ma dość. Gwałtownie wciągał powietrze, a jego usta zaciskały się tak mocno, aż coraz mniej przypominał człowieka, a coraz bardziej tchórzofretkę. Wstrzymałam oddech, kiedy Pulpet opuścił szybę i słowo w słowo zaczął opowiadać reszcie to, co mu przed chwilą przedstawiłam, jak gdyby nie ufał, że mogę to zrobić sama.

- Mówiłem, że SSP wpadnie na nasz ślad! - powtarzał w kółko, jak gdybyśmy nie dosłyszeli tego poprzednie dziesięć razy. - Mamy szczęście, że to nie była ona.

I znowu pojawiła się ta tajemnicza „ona".

Liam zignorował go i odwrócony do nas plecami nadal pochylał się nad wodotryskiem. Zu stała tuż obok, troskliwie trzymając wciśnięty guzik, tak by chłopak mógł użyć obu dłoni, aby umyć twarz wodą tryskającą z kranika.

Użyłam ostatniej z chusteczek, żeby wytrzeć twarz.

- Chciałabym tylko wiedzieć, jak ten żołnierz rozpoznał Liama, jeszcze zanim użył tego pomarańczowego czegoś. Wprawdzie błysnęło, ale facet już wcześniej znał ten numer. Nie czekał, aż urządzenie mu go poda.

Pulpet przez chwilę przypatrywał mi się badawczo, a po chwili ścisnął palcami nasadę nosa.

- Każdemu nowemu więźniowi obozu robiono zdjęcie. U was tak nie było?

Skinęłam głową.

- A więc stworzyli sieć, dzięki której można wyszukiwać zdjęcia? - zapytałam.

- A skąd ja mam to wiedzieć, Zielona? - powiedział. - Jeszcze raz opisz mi to urządzenie.

Pomarańczowy gadżet musiał mieć wbudowany aparat albo skaner. Było to jedyne wyjaśnienie, którego Pulpet nie nazwał kompletnym idiotyzmem.

Przycisnęłam dłonie do oczu, próbując powstrzymać mdłości.

- Jeżeli tak łatwo mogą nas zidentyfikować, to jest to bardzo zła wiadomość - oznajmił Pulpet, przecierając ręką czoło i wygładzając je. - Chociaż i tak mamy przechlapane, to teraz jeszcze domyślą się, że szukamy East River, co oznacza, że wyślą więcej patroli i będą pilniej obserwować nasze rodziny. Uciekinierowi będzie więc ciężej...

Nie skończył swojego wywodu. Nie musiał.

Zaśmiałam się sucho.

- Daj spokój! Naprawdę myślisz, że naślą całą flotę, żeby schwytać kilku odmieńców?

- Po pierwsze: flota składa się ze statków - odparł Pulpet. - A po drugie: masz rację. Nie naślą całej floty, żeby schwytać kilku odmieńców. Naślą ją, żeby schwytać Liama.

Nie czekał, aż spokojnie przetrawię tę informację.

- Jak myślisz, Zielona, kto był mózgiem operacji ucieczki z obozu?

Kiedy pozostała dwójka była gotowa, żeby wrócić do minivana, zaczęliśmy naszą małą roszadę. Pulpet zajął środkowy fotel po stronie pasażera, a Zu jak zwykle usadowiła się tuż za siedzeniem kierowcy. Ja miałam do wyboru przedostać się na tylny fotel albo odważnie zająć miejsce z przodu, zachowując się tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku i jakby Pulpet nie wyjawił mi właśnie, że to Liam był odpowiedzialny za akcję, która mogła przejść do historii jako jedyna zakończona sukcesem ucieczka z obozu.

Koniec końców zwyciężyło zmęczenie. Resztką sił opadłam na fotel pasażera, czując się równie świeżo jak podwiędła główka sałaty. Liam siadł za kierownicą.

Uśmiechnął się.

- Niełatwo być bohaterem.

Machnęłam na niego ręką, próbując uciszyć idiotyczne, radosne pulsowanie, które zrodziło się w mojej piersi, kiedy to powiedział. Chciał po prostu być miły.

- Dobrze, że dziewczyny się nami zajęły - mówił dalej, zwracając się do Pulpeta - w przeciwnym wypadku leżelibyśmy właśnie związani w samochodzie kierującym się z powrotem do Ohio.

Pulpet tylko coś mruknął, nadal poszarzały na twarzy.

Przynajmniej Liam wyglądał już lepiej. Jego policzki zaróżowiły się od lodowatej wody z wodotrysku i chociaż jego palce co jakiś czas nadal nerwowo drgały, oczy przestały wyglądać na zamglone i nieskoncentrowane. Zważywszy, że po raz pierwszy potraktowano go Paralizatorem, można uznać, że szybko doszedł do siebie.

- Dobra, drużyno! - powiedział powoli. - Czas na głosowanie.

- Nie! - obudził się nagle Pulpet. - Wiem, do czego zmierzasz, i wiem, że zostanę

przegłosowany, ale...

- Tych, którzy głosują za tym, żeby nasza superdziewczyna na razie z nami została, proszę o podniesienie ręki.

Zarówno Liam, jak i Zu natychmiast unieśli ręce. Zu spojrzała na mnie z uśmiechem, który na tle patrzącego ponuro Pulpeta wydawał się wyjątkowo jasny.

- Nic o niej nie wiemy... Cholera, przecież nie wiemy nawet, czy to, co nam powiedziała, jest prawdą! - zaprotestował. - Może to psychopatka, która marzy o tym, żeby zamordować nas we śnie. A może tylko czeka, aż stracimy czujność, żeby zadzwonić po swoich koleżków z Ligi!

- No bardzo ci dziękuję - rzuciłam sucho. W pewnym sensie mi schlebiał, sugerując, że jestem zdolna do ułożenia tak przebiegłego planu.

- Im dłużej z nami zostanie - dodał - tym bardziej prawdopodobne, że Liga nas doścignie, a doskonale wiesz, co oni robią ze swoimi dzieciakami!

- Nie dościgną nas - oznajmił Liam. - Już o to zadbaliśmy. Musimy się trzymać razem.

- Nie. Nie, nie, nie, nie, nie - powiedział Pulpet. - Głosuję przeciw, mimo że wasza dwójka i tak zawsze wygrywa.

- Naucz się przegrywać! - odparł Liam. - Na tym w końcu polega prawdziwa demokracja.

- Jesteś pewny? - zapytałam.

- Oczywiście, że tak - odrzekł. - Trudniej by mi było zostawić cię na jakimś podrzędnym dworcu autobusowym bez pieniędzy i dokumentów, nie mając nawet możliwości, aby sprawdzić, czy cała i zdrowa dotarłaś na miejsce.

Znów obdarzył mnie tym swoim uśmiechem. Przycisnęłam rękę do piersi, starając się zachować dystans. Nie mogłam dać po sobie poznać, że mam ochotę pogłaskać dłoń, którą położył na podłokietniku mojego fotela. To było chore i niemoralne, ale marzyłam o tym, żeby wślizgnąć się do jego umysłu i sprawdzić, o czym myśli. Dlaczego patrzy na mnie w ten sposób.

Naprawdę jesteś potworem, pomyślałam, przykładając zaciśniętą pięść do brzucha.

Chciałam go chronić - w tym momencie uświadomiłam sobie wyraźnie, że chciałam chronić ich wszystkich. Ocalili mnie. Uratowali mi życie i nie oczekiwali niczego w zamian. Jeśli ta cała akcja z SSP czegoś mnie nauczyła, to właśnie tego, że potrzebują kogoś takiego jak ja. Mogłam im pomóc.

Nie sądziłam, że będę im się mogła kiedykolwiek odpłacić za to, że się mną zaopiekowali i pozwolili, bym z nimi została, jednak jeśli dość długo zdołam kontrolować

swoje umiejętności, będzie to krok we właściwym kierunku. Tylko w ten sposób mogłam dobrze wykorzystać swój dar.

- Dokąd właściwie próbujesz dojechać? - Liam starał się brzmieć niezobowiązująco, ale jego oczy pociemniały ze zmartwienia. - Czy da się tam w ogóle dotrzeć autobusem?

Przedstawiłam im niedopracowany plan, który ułożyłam szybko na stacji benzynowej. Nawijałam na palce końcówki moich długich, splątanych włosów, zaskoczona tym, że ucisk w klatce piersiowej zaczyna ustępować na tyle, bym mogła wziąć głęboki oddech.

- A kto taki mieszka w Virginia Beach?

- Moja babcia. Chyba - odparłam. - Mam taką nadzieję.

Tak, babcia, przypomniałam sobie. Nadał istniała iskierka nadziei. Przecież mnie pamiętała, prawda? Jeśli pomogę im znaleźć Uciekiniera i jeśli on pomoże mnie, to przecież istniała realna szansa, że jeszcze ją zobaczę, a może nawet z nią zamieszkam.

Sporo było tych „jeśli”. Jeśli znajdziemy Uciekiniera. Jeśli naprawdę jest Pomarańczowy. Jeśli nauczy mnie kontroli nad moimi umiejętnościami. Jeśli pomoże nam skontaktować się z rodzinami.

Zaczęły mnie nachodzić wątpliwości i nie mogłam ich już powstrzymać.

A co jeśli babcia umarła? Ta myśl była obezwładniająca. Kiedy mnie zabrano, miała siedemdziesiąt lat, co oznaczało, że teraz zbliżała się do osiemdziesiątki. Nigdy się nawet nad tym nie zastanawiałam, ponieważ zawsze wyglądała promiennie, jakby chciała zawojować świat - siwowłosa, z jaskrawą saszetką przy pasku i takim samym daszkiem przeciwsłonecznym nasuniętym na czoło.

Ale skoro nawet ja nie byłam tą samą osobą, co sześć lat temu, jak mogłam oczekiwać tego po niej? Jeśli żyła, jak mogłam prosić ją o to, by zajęła się swoją wnuczką potworem? Jak mogłam prosić, by mnie ukryła i by się mną opiekowała, skoro istniało prawdopodobieństwo, że nie mogła się już nawet zająć sobą?

To wszystko mnie przerastało - nie byłam w stanie o tym myśleć ani wyciągnąć logicznych wniosków. W głowie nadal czułam pulsowanie, skutek uboczny Białego Szumu, ale brak silnej woli ułatwił mi zadanie.

- Dobrze - powiedziałam. - Zostanę.

I mam nadzieję, że żadne z nas tego nie pożałuje.

Głęboka bruzda, która pojawiła się na czole Liama, zmniejszyła się, ale nie zniknęła. Wiedziałam, że mi się przygląda. Czułam na sobie spojrzenie jego jasnych oczu. Może chciał zrozumieć, dlaczego tak długo zwlekałam z odpowiedzią. Niezależnie od tego, do jakiego wniosku doszedł, z westchnieniem opadł na fotel i w milczeniu poprawił lusterka.

Był jedną z tych osób, które wszystko mają wypisane na twarzy. Wystarczyło na niego spojrzeć i od razu wiedziało się, co myśli. Dzięki temu można było uwierzyć w prawdziwość jego słów. Teraz na jego twarzy pojawiło się wystudiowane skupienie - widać było, że próbuje przybrać obojętny wyraz twarzy. Wyglądało to nienaturalnie u kogoś, komu w kącikach ust zawsze błąka się uśmiech. Oparłam się, próbując ignorować rwący ból głowy i żałosne pojękiwania Pulpeta, który nagle przypomniał sobie, jak źle się czuje.

Liam w milczeniu podał mu na wpół pustą butelkę wody, którą wyjął spod siedzenia. Kątem oka spojrzałam na Zu, jednak zapadający zmierzch zdołał ją uśpić. Jej czoło i skórę nad ustami pokryła cienka warstewka potu.

Samochód zapalił ze zgrzytem. Liam przeciął parking i głośno odetchnął. Kiedy dotarliśmy do drogi, nie wiedział, w którą stronę skręcić.

- Dokąd jedziemy? - zapytałam.

Przez chwilę milczał, pocierając podbródek.

- Nadal kierujemy się w stronę Wirginii, jeżeli uda nam się ją znaleźć. Zdaje się, że jakiś czas temu przekroczyliśmy granicę stanu, ale nie wiem, gdzie jesteśmy. Niezbyt dobrze znam tę okolicę.

- Może byś tak zajrzał do mapy? - mruknął Pulpet.

- Poradzę sobie i bez niej - nie poddawał się Liam. Kręcił głową to w lewo, to w prawo, jakby oczekiwał, że zjawi się ktoś, kto przy akompaniamencie fanfar i fajerwerków wskaże mu właściwą drogę.

Pięć minut później kierownicę zakryła mapa, a siedzący z tyłu Pulpet triumfował. Przechyliłam się ponad oparciem fotela, próbując zrozumieć coś z pastelowych kolorów i linii krzyżujących się na cienkim, podartym papierze.

Liam wskazał palcem na granice Wirginii Zachodniej, Wirginii, Maryland i Karoliny Północnej.

- Wydaje mi się, że jesteśmy gdzieś... tu. - Przyłożył palec do maleńkiej kropki otoczonej pajęczyną kolorowych linii.

- Domyślam się, że Czarna Betty nie jest wyposażona w GPS? - rzuciłam.

Liam wypuścił powietrze, poklepując kierownicę. Postanowił, że skręcimy w prawo.

- Czarna Betty jest szlachetnym stworzeniem, jednak brakuje jej tego typu gadżetów.

- Mówiłem, że powinniśmy byli wybrać tego forda, terenówkę - powiedział Pulpet.

- Tę przeklętą kupę... - Liam się opamiętał. - Ten grat był jak śmiertelna pułapka, nie wspominając już o tym, że miał zerwany pasek klinowy.

- Więc naturalnie twój wybór padł na minivana.

- Tak, słyszałem, jak mnie woła z parkingu pełnego porzuconych samochodów. Jej szyby lśniły niczym promień nadziei.

Pulpet jęknął.

- Czemu jesteś taki dziwny?

- Ponieważ moje dziwactwa kasują twoje dziwactwa, moja ty hafciareczko złota!

- Przynajmniej to, co robię, uważa się za sztukę - odparł Pulpet.

- Tak, w średniowiecznej Europie kawalerzy pchaliby się do ciebie drzwiami i oknami...

- Słuchajcie - przerwałam im, spoglądając na mapę - musimy się znajdować w okolicach Winchester. - Wskazałam na kropkę na zachodnim krańcu Wirginii.

- Skąd ten wniosek? - zaczął Liam. - Pochodzisz z tych okolic? Bo jeśli tak...

- Nie. Po prostu pamiętam, że kiedy wy byliście jeszcze nieprzytomni, przejeżdżaliśmy nieopodal miejscowości Keyser i Rom-ney. Te wszystkie drogowskazy wyznaczające szlak wojny secesyjnej świadczą o tym, że jesteśmy w pobliżu jednego z pól bitwy.

- Prawdziwy z ciebie Sherlock, ale niestety w tej części kraju te znaki są zupełnie bezużyteczne - oznajmił Liam. - Co piętnaście metrów znajduje się miejsce, przez które przechodziła armia, gdzie ktoś umarł albo gdzie mieszkał prezydent James Madison...

- Jego posiadłość znajdowała się w Orange - przerwałam mu. - To zupełnie gdzie indziej.

Błękitne światło zmierzchu osiadło wokół jego włosów, pozbawiając je koloru. Spoglądał na mnie przez dłuższą chwilę, przez cały czas pocierając brodę.

- A więc pochodzisz z Wirginii.

- Nie...

Uniósł dłoń.

- Litości. Nikogo spoza tego stanu nie obchodzi, gdzie znajduje się dom Jamesa Madisona.

Oparłam się o fotel. Sama się o to prosiłam.

To wszystko wina mamy. Jako nauczycielka historii w liceum uznała, że jej obowiązkiem jest zaciągnięcie mnie i taty w każde ważniejsze miejsce w okolicy, które zapisało się w historii. Kiedy więc moi znajomi chodzili na imprezy na basenie oraz przyjęcia urodzinowe, ja przemieszczałam się z jednego pola bitwy na drugie, pozując do zdjęć z armatami i facetami przebranymi za dziewiętnastowiecznych żołnierzy Po prostu ubaw po pachy. Uwielbiałam zwłaszcza bąble po ugryzieniach owadów i skórę po poparzeniach

słonecznych, która zawsze łuszczyła mi się akurat na rozpoczęcie roku szkolnego. Nadal mogłam policzyć blizny, których nabawiłam się, zwiedzając teren bitwy nad Antietam.

Liam uśmiechnął się do ciemnej drogi, wciąż nie włączając świateł. Było to bardzo odważne - albo bardzo głupie - zważywszy na to, że władze stanu Wirginia nigdy nie wpadły na to, by zamontować latarnie wzdłuż wiodących przez niego autostrad i dróg.

- Chyba powinniśmy zatrzymać się na noc - powiedział Pulpet. - Znajdziesz jakiś parking?

- Bez nerwów, stary. Dam sobie radę - odparł Liam.

- Wciąż to powtarzasz - wymamrotał Pulpet, opadając na fotel - a potem zawsze to samo: „przepraszam, kochani, przytulmy się do siebie, żeby było nam cieplej", podczas gdy niedźwiedzie próbują dostać się do środka i pożreć nam zapasy.

- No tak... Przepraszam za wtedy... - powiedział Liam. - Ale czymże byłoby życie bez kilku przeciwności losu?

To była chyba najsztuczniej sza próba wykrzesania z siebie odrobiny optymizmu od czasów, kiedy moja nauczycielka z podstawówki próbowała nam wmówić, że lepiej nam będzie bez kolegów z klasy, którzy umarli, ponieważ będzie mniej chętnych do huśtawek na placu zabaw.

Po tym wszystkim nie śledziłam już toku ich rozmowy. Nie dlatego, że nie miałam ochoty słuchać o przedziwnych rytuałach i zwyczajach, które zdążyli sobie wyrobić przez te dwa tygodnie od ucieczki z obozu. Nie miałam już siły zastanawiać się nad tym, dlaczego właściwie tych dwóch chłopców tak kurczowo trzyma się wątłej nici przyjaźni, która ich łączy.

Liam odnalazł w końcu drogę numer 81, a Pulpet zapadł w płytki, niespokojny sen. Mijaliśmy niekończące się szpalery drzew, które przybrały już wiosenną szatę. Jechaliśmy za szybko i otaczał nas zbyt gęsty mrok, bym mogła dostrzec spowijający nas kilim liści. Asfalt szosy pokryty był suchym listowiem jeszcze z jesieni. Miałam wrażenie, że jesteśmy pierwszym samochodem, który pojawił się tu od bardzo dawna.

Oparłam czoło o chłodną szybę, po czym ustawiłam wywietrzniki tak, by dmuchały mi klimatyzowanym powietrzem prosto w twarz. Nadal bolała mnie głowa, a pod powiekami czułam ucisk. Lodowate powietrze miało uchronić mnie przed snem, a co więcej, pomóc mi utrzymać przytomność umysłu, tak by nie wślizgnąć się do głowy Liama.

- Dobrze się czujesz?

Zerkał to na drogę, to na mnie. W ciemności widziałam jedynie zarys jego nosa i ust. W głębi duszy cieszyłam się, że nie dostrzegam siniaków i ran znaczących jego twarz. Minęło

zaledwie kilka dni, krótka chwila w obliczu szesnastu lat mojego życia, jednak nie musiałam nawet patrzeć w jego twarz - wiedziałam, że maluje się na niej łagodna troska. Liama można było opisać wieloma słowami, ale „tajemniczość” i „nieprzewidywalność” się do nich nie zaliczały.

- A ty? - odparłam.

Samochód jechał wystarczająco cicho, bym usłyszała, jak Liam bębni palcami o kierownicę.

- Chyba muszę się z tym wszystkim przespać. - Po chwili dodał: - Czy oni naprawdę używali tego w Thurmond? W dużych dawkach?

Może i dawki Białego Szumu nie były duże, ale wystarczały. Nie mogłam mu tego jednak powiedzieć, nie wzbudzając jego litości.

- Myślisz, że SSP domyśliło się już, dokąd zmierzacie? - odpowiedziałam pytaniem.

- Może. Mogliśmy się też po prostu znaleźć w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Pulpet obudził się, obwieszczając to głośnym ziewnięciem.

- To mało prawdopodobne - powiedział zaspanym głosem. - Nawet jeśli wtedy nie próbowali nas namierzyć, teraz na pewno to robią. Pewnie wszyscy dostali już twoje zdjęcie i kazano im zapamiętać twój numer Psi. A przecież wiadomo, że jesteś też łakomym kąskiem dla łowców nagród.

- Masz dla mnie jeszcze jakieś słowa pocieszenia, moja ty wesoła pszczółko? - odparł Liam gorzko.

- Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale ten żołnierz wydawał się zaskoczony, że to naprawdę ty - rzuciłam. - Ale... Kim jest ta kobieta, o której ciągle mówicie?

- Lady Jane - oznajmił Liam, jak gdyby wszystko było jasne.

- Kto?

- Nazywamy ją jedną z najbardziej... wytrwałych łowców nagród.

- Po pierwsze: to tyją tak nazywasz - stwierdził Pulpet - a po drugie: „wytrwałych”? Powiedz od razu, że odkąd uciekliśmy z Caledonii, ta kobieta jeździ za nami jak cień. Pojawia się nagle, jakby potrafiła odgadnąć nasze plany, jeszcze zanim je ułożymy.

- Ta babka jest dobra w tym, co robi - potwierdził Liam.

- Czy mógłbyś, proszę, nie komplementować osoby, która próbuje nas zaciągnąć z powrotem do obozu?

- Dlaczego nazywacie ją Lady Jane?

Liam wzruszył ramionami.

- Jest jedyną Brytyjką pośród żądnych krwi Amerykanów.

- Jak to się stało? - zapytałam. - Myślałam, że zamknęli wszystkie granice?

Liam już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale Pulpet go uprzedził.

- Nie wiem, Zielona, może utniesz sobie z nią pogawędkę przy herbatce, kiedy następnym razem zjawi się, żeby nas dorwać?

Przewróciłam oczami.

- Może, ale najpierw musicie mi powiedzieć, jak ona wygląda.

- Giemne włosy związane w koczek, okulary... - zaczął Liam.

-... długi, haczykowaty nos? - dokończyłam.

- Widziałaś ją?

- W Marlinton. To ona siedziała za kierownicą tego czerwonego pick-upa, ale... - Cate i Rob zajęli się tym samochodem. Zostawili go gdzieś z tyłu. - Cóż, tym razem jej tam nie było - dokończyłam. - Może naprawdę ją zgubiliśmy.

- Pobożne życzenie - mruknął Pulpet. - Ta baba jest jak Terminator.

Mijaliśmy jeden obskurny motel za drugim, niektóre z nich bardziej wypełnione, inne mniej. Wyprostowałam się, kiedy Liam skręcił na parking jednego z nich tylko po to, by z cichym gwizdem natychmiast się z niego wycofać. Na placu nie było samochodów, ale za to przed drzwiami pokoi stało kilkanaścioro kobiet i mężczyzn, którzy rozmawiali, palili papierosy i kłócili się.

- Przejeżdżając przez Ohio, często widzieliśmy taki obrazek - wyjaśnił. Nie musiałam go nawet ciągnąć za język. - Kiedy ludzie stracili domy, jechali do najbliższego hotelu i walczyli o pokoje. Powstały nawet gangi.

Liam wybrał jeden z moteli należący do sieci Howard Johnson Express. Jedna czwarta parkingu wypełniona była samochodami różnych marek i modeli. Tuż pod logo motelu widniał znak wolne pokoje. Wstrzymałam oddech, kiedy Liam przejechał wzdłuż zewnętrznego kręgu pomieszczeń, uważając, by nie zbliżyć się do budynku recepcji. Zaparkował na skraju placu i przyglądał się najbliższym drzwiom. Dwa pokoje od razu można było wykluczyć - przez zasłony w oknach przebijała bijąca od telewizora poświata - ale w pozostałych najwyraźniej nikt nie mieszkał.

- Poczekajcie tu chwilę - powiedział, odpinając pas. - Upewnię się, czy okolica jest bezpieczna. - I tak jak poprzednio nie czekał nawet na nasze protesty. Po prostu wyskoczył z samochodu, zajrzał do każdego mijanego pokoju i w końcu spróbował się dostać do jednego z nich za pomocą łomu.

Mnie i Pulpetowi przypadło zadanie podzielenia resztek jedzenia, które zebraliśmy na

stacji benzynowej w Marlinton. Nasze zapasy składały się z paczki chrupek Cheetos, herbatników z masłem orzechowym, żelek i małej paczuszki ciasteczek Oreo, a także cukierków, które w ostatniej chwili zdążyłam wepchnąć do plecaka. Była to uczta ze snu sześciolatka.

Pracowaliśmy w milczeniu, nie patrząc sobie w oczy. Pulpet zwinnie otworzył paczuszkę herbatników i zaczął je rozdzielać. Na kolanach miał otwartą tę samą podniszczoną książkę. Wiedziałam, że ma zbyt słaby wzrok, by ją teraz czytać. Kiedy w końcu postanowił się do mnie odezwać, jego oczy nadal wlepione były w jej zadrukowane kartki.

- Podoba ci się to nasze życie rodem z kryminału? Generał chyba sądzi, że jesteś do tego stworzona.

Sięgnęłam ręką, by obudzić Zu, ignorując to, co mi właśnie sugerował. Byłam zbyt zmęczona, żeby wdawać się z nim w dyskusję, a żadna z ripost, które cisnęły mi się na usta, nie wydawała mi się dość cięta, bym mogła z nim wygrać.

Zanim zdążyłam wysiąść z samochodu, zabrawszy ze sobą plecak i jedzenie, Pulpet wyciągnął rękę i zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Oświetlony przytłumionym światłem bijącym z motelu wydawał się... może nie zły, ale na pewno nie wyglądał przyjaźnie.

- Mam ci coś do powiedzenia.

- Myślę, że powiedziałeś mi już wystarczająco dużo.

Dopiero kiedy spojrzałam na niego przez ramię, mówił dalej.

- Nie będę udawał, że nam dzisiaj nie pomogłaś ani że nie spędziłaś kilku lat w prawdziwym piekle, ale chciałbym cię prosić, żebyś poważnie przemyślała decyzję o pozostaniu z nami. Jeżeli postanowisz się wymknąć w środku nocy, wiedz, że prawdopodobnie postąpisz słusznie.

Złapałam za klamkę, ale on jeszcze nie skończył.

- Jestem pewny, że coś ukrywasz. Wiem, że nie byłaś z nami zupełnie szczera. Jeśli z jakiegoś dziwnego powodu wydaje ci się, że możemy cię chronić, mylisz się. Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się wyjść z tego wszystkiego cało, i naprawdę nie są nam dodatkowo potrzebne twoje problemy.

Ścisnęło mnie w żołądku, ale zachowałam obojętny wyraz twarzy. Jeśli liczył na to, że wyczyta coś z mojej miny, mylił się. W końcu przez ostatnie sześć lat uczyłam się, jak wyglądać na niewinną, kiedy żołnierze mierzyli do mnie z karabinów.

Jego podejrzenia nie mogły być jednak zgodne z prawdą, ponieważ wtedy nie dałby mi szansy na ucieczkę. Sam wypchnąłby mnie z rozpędzonego pojazdu pośrodku jakiegoś pustkowia.

Pulpet potarł kciukiem dolną wargę.

- Myślę, że... - zaczął. - Mam nadzieję, że dotrzesz do Virginia Beach, naprawdę, ale... - Zdjął okulary i ścisnął nasadę nosa. - Przykro mi, ale to bez sensu. Po prostu przemyśl to, co powiedziałem. Podejmij słuszną decyzję.

Liam zamachał do nas, stojąc w drzwiach, które przytrzymywał stopą. Zu położyła rękę na ramieniu Pulpeta. Podskoczył, zaskoczony muśnięciem żółtej gumy. Zachowywała się tak cicho, że ja także zapomniałam o jej obecności.

- Chodź, Suzume - powiedział, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Przy odrobinie szczęścia generał pozwoli nam wziąć prysznic. A jeżeli naprawdę nam się poszczęści, on także się wykąpie.

Zu wyszła za nim, rzucając mi zaniepokojone spojrzenie. Pomachałam jej ze sztucznym uśmiechem i sięgnęłam po leżący na tylnym siedzeniu czarny plecak.

Zauważyłam ją dopiero, gdy wysiadłam z samochodu. Ciemniejące niebo wysysało resztki ciepła z mojej skóry. Jedną ręką przytrzymałam przesuwane drzwi. Zanurzyłam się z powrotem do wnętrza i z tylnej kieszeni fotela pasażera wyciągnęłam książkę. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy Pulpet wypuścił ją z rąk.

Spłaszczone opakowanie po M&M sach, którego chłopak używał jako zakładki, nadal tkwiło na swoim miejscu. Otworzyłam ją na zaznaczonej stronie i nie musiałam nawet patrzeć na grzbiet tomu - od razu wiedziałam, co to za książka. Wodnikowe Wzgórze Richarda Adamsa. Nic dziwnego, że tak bardzo starał się ukryć to, co czyta. Opowieść o grupie królików, które próbują znaleźć swoje miejsce w świecie? Liam miałby używanie.

Ja jednak kochałam tę książkę i Pulpet najwyraźniej też. To było to samo stare wydanie, z którego tata czytał mi na dobranoc - to samo, które wykradałam mu z gabinetu i kładłam na półce u siebie w pokoju, kiedy nie mogłam zasnąć. Jakim cudem trafiło w moje ręce teraz, kiedy najbardziej go potrzebowałam?

Moje oczy chłonęły każde słowo, napawając się ich kształtem. Wkrótce moje usta same zaczęły się w nie układać, tak że po chwili czytałam już na głos. Cały świat będzie ci nieprzyjazny, Książę o Tysiącu Wrogów, i ktokolwiek cię schwyta, zabije cię. Ale najpierw muszą cię schwytać, ciebie, który kopiesz, który nasłuchujesz, który biegniesz, książę o szybkim refleksie. Bądź sprytny, pełen sztuczek, a twój lud nigdy nie zginie*.

Zastanawiałam się, czy Pulpet znał zakończenie tej opowieści.

* Richard Adams, Wodnikowe Wzgórze, przet. Krystyna Szerer, Poznań 1994, s. 29.

12

Strumień gorącej wody pozwolił mi zapomnieć o tym, że stoję w brodziku motelowego prysznica, myjąc włosy szamponem cuchnącym syntetyczną lawendą. W maleńkiej łazience znajdowały się tylko umywalka, toaleta, ręcznik, brodzik z zasłonką i ja.

Byłam ostatnia w kolejce. Kiedy w końcu przekroczyłam próg pokoju, Zu była już umyta, a Pulpet zabarykadował się właśnie w łazience, gdzie spędził następną godzinę, szorując siebie i wszystkie swojego ciuchy do chwili, aż zaczęły pachnąć starym mydłem. Robienie prania w zlewie za pomocą mydła do rąk wydawało mi się pozbawione sensu, ale w łazience nie było ani wanny, ani proszku do prania, którego mógłby użyć. Nasza trójka odprężyła się, starając się puścić mimo uszu jego płomienną mowę na temat znaczenia higieny osobistej.

- Twoja kolej - rzucił Liam, odwracając się do mnie. - Pamiętaj, żeby potem wszystko dokładnie wytrzeć.

Złapałam ręcznik, który mi rzucił.

- A ty?

- Ja wykąpię się rano.

Kiedy zamknęłam za sobą drzwi łazienki, upuściłam plecak na pokrywę deski sedesowej i zabrałam się do przeglądania jego zawartości. Wyjęłam z niego ubrania, które mi dali, i rzuciłam je na podłogę. Na koniec z plecaka wyślizgnęło się coś czerwonego i jedwabistego, tak że cofnęłam się zaskoczona.

Dopiero po kilku chwilach inspekcji zrozumiałam, że jest to jasnoczerwona sukienka z szafy kampera.

Zu, pomyślałam, ze zmęczeniem przecierając twarz. Musiała zabrać ją z szafy, kiedy nie patrzyłam.

Dotknęłam stopą materiału i zmarszczyłam nos, wyczuwając zwietrzały zapach dymu papierosowego. Sukienka wydawała się o rozmiar za duża, nie wspominając już o tym, że nie miałam pojęcia, kto ją wcześniej nosił. Zrobiło mi się lekko niedobrze.

Najwyraźniej jednak Zu chciała, żebym ją wzięła, i chociaż z trudem się z tym godziłam, włożenie jej było lepszym pomysłem niż paradowanie w obozowym uniformie. Postanowiłam zrobić to dla Zu, czując, że jej radość będzie tego warta.

Liga Dzieci sprezentowała mi dezodorant, jaskrawozieloną szczoteczkę do zębów, paczkę chusteczek, kilka tamponów i środek odkażający do rąk, a wszystko to zamknięte w plastikowej podróżnej kosmetyczce. Pod spodem znalazłam jeszcze małą szczotkę do włosów

i butelkę wody. A na samym dnie plecaka - kolejny przycisk alarmowy.

Musiał tam tkwić przez cały czas - po prostu nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ten, który wręczyła mi Cate, wyrzuciłam w błoto. Na myśl o tym, że przycisk przez cały czas znajdował się w moim plecaku, przeszły mnie ciarki. Dlaczego aż do tej chwili nie pomyślałam, żeby dokładnie przeszukać plecak?

Chwyciłam przycisk dwoma palcami i upuściłam do zlewu, jak gdyby był to rozżarzony węgiel. Już miałam odkręcić kurek, żeby spłukać ten głupi nadajnik wodą i na dobre go unicestwić, kiedy coś mnie powstrzymało.

Nie wiem, jak długo się w niego wpatrywałam, jednak po chwili znów go podniosłam i trzymałam pod światło, próbując dojrzeć, co kryje się pod jego czarną powłoką. Szukałam migoczącego czerwonego światełka, dzięki któremu wiedziałabym, czy urządzenie nagrywa. Przystawiłam je do ucha, nasłuchując jakiegokolwiek brzęczenia albo pikania, które oznaczałoby, że jest włączone. Jeżeli tak było lub jeżeli rzeczywiście był to nadajnik, już dawno by nas namierzyli, prawda?

Może powinnam go zatrzymać - na wszelki wypadek, na przykład gdyby znów coś się wydarzyło, a ja nie mogłabym pomóc reszcie? Czy wstąpienie do Ligi nie byłoby lepsze niż powrót do Thurmond? To drugie wydawało mi się gorsze od śmierci.

Wkładając przycisk alarmowy z powrotem do kieszeni plecaka, nie robiłam tego dla siebie. Gdyby Cate mnie teraz widziała, na pewno by się uśmiechnęła. Na myśl o tym znów ogarnęła mnie złość. Nie mogłam uwierzyć nawet w to, że umiem ochronić te dzieciaki.

Kiedy weszłam pod prysznic, czułam się jak we śnie - w przeciwieństwie do Thurmond tu moich uszu nie dobiegało pikanie automatycznego czasomierza, który pilnował, by moja kąpiel trwała nie dłużej niż trzy minuty. Dobrze się składało, ponieważ niełatwo było mi zetrzeć brud ze skóry. Po piętnastu minutach szorowania czułam się tak, jakby każdy centymetr mojego ciała przenicowany został na drugą stronę. Użyłam nawet cukierkowo-różowej maszynki do golenia dołączonej do hotelowej paczuszki mydła i szamponu, która sprawiła, że rany na łydkach i kolanach znów się otworzyły.

Mam szesnaście lat i pierwszy raz mogę ogolić nogi, pomyślałam.

Czułam się strasznie głupio. Nie wiedziałam, co robię, a co więcej, nic mnie to nie obchodziło. Byłam już dość duża. Nikt nie mógł mnie powstrzymać.

W przebłyskach pamięci wracała do mnie mama. Czasem słyszałam, jak wypowiada kilka słów, a kiedy indziej zjawiały się wspomnienia tak rzeczywiste, jak gdybym przeżywała je na nowo. Teraz mogłam jedynie myśleć o rozmowie, którą odbyłyśmy na ten temat, i jej uśmiech, kiedy powtarzała wciąż: „Może jak skończysz trzynaście lat”.

Na koniec opłukałam maszynkę i rzuciłam ją w stronę plecaka. Pomyślałam, że nikt więcej nie zechce jej użyć. Zignorowałam krew spływającą mi po nogach i skupiłam wzrok na skołtunionych włosach. Były zbyt splątane, bym mogła je przeczesać dłońmi. Musiałam rozczesywać je supeł po suple, używając w tym celu większej ilości szamponu, niż planowałam. Kiedy skończyłam, po moich policzkach spływały łzy.

Mam szesnaście lat.

Nie wiem, dlaczego tak zareagowałam. Jeszcze przed chwilą wszystko było w porządku, a teraz miałam wrażenie, że moje serce rozpadnie się na drobne kawałki. Próbowałam wziąć głęboki oddech, ale powietrze było zbyt gorące. Oparłam dłonie na kafelkach, a po chwili przylgnęłam do nich całym ciałem. Usiadłam na szorstkiej podłodze brodzika i przycisnęłam dłonie do klatki piersiowej, wdzięczna, że odgłos prysznica i łazienkowego wywietrznika zagłusza mój histeryczny szloch. Nie chciałam, żeby wiedzieli, w jakim jestem stanie, zwłaszcza Zu.

To było takie głupie... Co z tego, że miałam szesnaście lat? Co z tego, że nie widziałam swoich rodziców od sześciu lat? Co z tego, że prawdopodobnie już nigdy ich nie zobaczę? Przecież i tak o mnie nie pamiętają.

Powinnam się cieszyć, że to koniec i że wydostałam się z obozu, ale niezależnie od tego, czy znajdowałam się w jego murach czy poza nimi, byłam sama. Zaczęłam się zastanawiać, czy zawsze tak było i czy zawsze tak będzie. Ciśnienie wody słabło, a jej temperatura obniżyła się, tak jakby w sąsiednim pomieszczeniu ktoś spuścił wodę. Nie miało to jednak znaczenia. I tak ledwo czułam, jak spływa po moich plecach. Przycisnęłam palce do krwawiących kolan, ale tego także nie poczułam.

Cate powiedziała, że powinnam podzielić życie na trzy etapy i dwa z nich zamknąć za sobą raz na zawsze. Nie wiedziałam jednak, jak to zrobić. Jak można było tak po prostu zapomnieć?

Ktoś zapukał do drzwi. Z początku pukanie było niepewne, jednak gdy zwlekałam z otwieraniem, stało się bardziej natarczywe.

- Ruby?! - zawołał Liam. - Żyjesz?

Wzięłam głęboki oddech i sięgnęłam ręką do tyłu, na oślep szukając kurka. Woda z prysznica zmieniła się w mżawkę, po chwili zaczęła jedynie kapać, by w końcu zupełnie ustać.

- Możesz... Możesz na chwilę otworzyć drzwi? - W jego głosie była nerwowość, która udzieliła się i mnie. Przez przerażający ułamek sekundy myślałam, że coś się stało. Owinęłam się ręcznikiem i zanim się zorientowałam, odsunęłam zasuwkę w drzwiach i przekręciłam

klamkę.

Najpierw owionął mnie podmuch lodowatego powietrza. Potem zobaczyłam szeroko rozwarte oczy Liama. Na koniec mój wzrok padł na parę grubych białych skarpet, które trzymał w dłoni.

Zerknął ponad moim ramieniem i rozejrzał się po łazience. Miał ponuro zaciśnięte usta. W motelowym pokoju panował gęstszy mrok, niż kiedy do niego weszliśmy. Musiało być już późno, więc nie mogłam być zupełnie pewna, ale wydawało mi się, że czubki jego uszu poczerwieniały.

- Wszystko w porządku? - wyszeptałam. Wpatrywał się we mnie otoczony ciepłą parą płynącą z łazienki. - Liam?

Gwałtownie wysunął rękę, w której trzymał skarpetki. Spojrzałam na nie, a następnie przeniosłam wzrok na niego, modląc się w duchu, by nie było po mnie widać, jak bardzo jestem zdumiona.

- Chciałem ci je tylko... dać - powiedział, potrząsając nimi lekko, po czym znów wyciągnął rękę. - To dla ciebie.

- Ty ich nie potrzebujesz?

- Mam kilka dodatkowych par, a ty nie masz żadnej, prawda? - Wyglądał, jakby strasznie się męczył. - Po prostu je weź. Proszę. Pulpet mówi, że kończyny marzną najszybciej czy jakoś tak... Będziesz ich potrzebować i...

- O matko, Zielona. Weź od niego te cholerne skarpetki - z głębi pokoju wydobył się głos Pulpeta - i nie męcz już tego biedaka.

Liam nie czekał, aż je zabiorę. Sięgnął ręką i położył je na blacie obok umywalki.

- Dzięki - powiedziałam.

- Świetnie, to znaczy... nie ma za co. - Liam chciał już odejść, jednak ponownie się odwrócił, jak gdyby coś sobie przypomniał. - Dobrze. Świetnie. Doskonale, więc ty...

- Staraj się mówić pełnymi zdaniami, Lee! - zawołał Pulpet. - Niektórzy z nas próbują tu zasnąć.

- A no tak, zasnąć. - Liam wykonał nieokreślony gest w stronę pokoju. - Ty i Zu będziecie spać na jednym łóżku. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Oczywiście, że nie.

- No to świetnie! - Na jego twarzy pojawił się nienaturalnie radosny uśmiech. Zastanawiałam się, czy czeka, żebym coś powiedziała i czy jest to jedna z tych chwil, na którą nie byłam przygotowana po sześciu latach spędzonych w Baraku z kilkunastoma dziewczynami. Miałam wrażenie, że mówimy w dwóch różnych językach.

- Świetnie - powtórzyłam, zupełnie zdezorientowana.

To jednak poskutkowało. Liam odwrócił się i odszedł bez słowa.

Podniosłam moje nowe skarpetki i przyjrzałam się im. Zanim zatrzasnęłam drzwi, usłyszałam przemądrzały ton Pulpeta.

-... mam nadzieję, że jesteś z siebie dumny - oznajmił. - Powinieneś był ją zostawić w spokoju. Wszystko było w porządku.

Ale nie było i Liam jakimś cudem się tego domyślił.

Minęła dłuższa chwila, zanim zorientowałam się, że jestem we śnie Zu.

Leżałyśmy na podwójnym łóżku, przytulone do siebie, żeby nie zmarznąć. Chłopcy spali na podłodze, a pod głowy włożyli sobie ręczniki, które zwędzili z wózka pokojówki. Nawet wspólnymi siłami Pulpet i Liam nie potrafili dojść do tego, jak wyłączyć klimatyzator, który przesycał powietrze lodowatym oddechem, ilekroć temperatura w pomieszczeniu wzrastała choćby do piętnastu stopni.

Od kilku godzin pogrążona byłam w słodkiej, mlecznej poświacie snu, kiedy w głowie poczułam nagłe drganie. Właściwie mogłam się tego spodziewać. Mimo że moje ciało opadło na łóżko tak ciężko, jakby było zrobione z ołowiu, w moim mózgu wciąż kotłowały się myśli. Nie mogłam zapomnieć o tym, co się stało z żołnierzem SSP. Zastanawiałam się, czy udałoby mi się jeszcze raz zrobić to, co zrobiłam temu mężczyźnie, kiedy Zu musnęła mnie stopą. To wystarczyło. Zanurkowałam w jej sen.

Byłam Zu i leżałam w małym łóżku, wpatrując się w spód brunatnego materaca. Mrok spowijał pomieszczenie, ale w końcu dostrzegłam znajome kształty. Masa piętrowych łóżek, tablica, jasnoniebieskie szafki, które sięgały od podłogi aż po sufit, wielkie okna zabite dyktą i dziwne, wyblakłe prostokąty na ścianach w miejscach, gdzie kiedyś musiały wisieć plakaty.

Nie mogłam się wyrwać. Niebezpieczeństwo snu polegało właśnie na tym, jak szybko człowiek się w niego wplątywał. We śnie ludzie w naturalny sposób tracili kontrolę, czasem do tego stopnia, że jeśli sen był naprawdę przerażający, nie musiałam nawet nikogo dotykać, żeby zostać wciągnięta w jego koszmar.

W pomieszczeniu nie czuć było swędu dymu, jednak przeciskał się on pod drzwiami dawnej klasy i niczym mleko rozlewał po podłodze. Po chwili gwałtownie się przebudziłam i sturlałam z łóżka. Z przerażeniem patrzyłam, jak kilkanaścioro dziewcząt zeskakuje ze swoich prycz i w gwarnej grupce ustawia się pośrodku pomieszczenia.

Jedna z dziewcząt, co najmniej o głowę wyższa od pozostałych, prosiła, by dzieci ustawiły się na czworakach tuż pod oknami, jedno za drugim, jednak jej błagania były bezowocne. Kiedy wymachiwała ramionami, rękawy jej prostej, musztardowożółtej piżamy

zamieniały się w rozmazane kleksy.

Nagle rozległ się alarm i drzwi po drugiej stronie pomieszczenia rozwarły się na oścież.

Dźwięk alarmu był równie przenikliwy jak Biały Szum, a sen jedynie wzmocnił i zniekształcił jego pisk. Ktoś popchnął mnie w stronę drzwi, kiedy pozostałe dziewczynki rzuciły się do wyjścia. Zdawały się nie dbać o to, że wnętrze spowite było duszącym dymem pochodzącym z niewiadomego źródła.

Wokół panował prawdziwy chaos. Zamiast ustawić się w szeregu, dzieci w zielonych, granatowych i żółtych uniformach wysypały się z pomieszczenia na wyłożony białymi kafelkami korytarz. Oświetlenie awaryjne było włączone, a zawieszone na ścianie alarmy przeciwpożarowe emitowały czerwone i żółte światło. Zostałam wepchnięta w stłoczoną ciżbę ciał. Wszyscy kierowali się w stronę źródła dymu.

Oczy zaszły mi łzami. Brakowało mi tchu. Wystarczyło jedno spojrzenie przez ramię, bym zrozumiała, że kilkoro starszych dzieciaków, zarówno chłopcy, jak i dziewczyny, wynosi ze swoich pokoi niebieskie szafki i barykaduje nimi podwójne metalowe drzwi po drugiej stronie korytarza.

To nie była ewakuacja. To była ucieczka.

Kiedy drugimi drzwiami wydostaliśmy się na zatłoczoną klatkę schodową, zrobiło mi się ciemno przed oczami. Tu dym był najgęstszy, jednak jego źródłem nie były migoczące płomienie, tylko dwa niewielkie czarne kanistry - takie same jak te, które żołnierze SSP nosili przy paskach, czekając na sposobność, aby rzucić je w tłum nieposłusznych dzieciaków.

A więc to robota SSP? Wydawało mi się to niemożliwe. Bardziej prawdopodobne było to, że jakieś dzieciaki zwinęły kanistry, co uruchomiło alarmy i otworzyło drzwi. Pewnie na tym właśnie polegała obozowa procedura ewakuacyjna.

Byliśmy uwięzieni na schodach, zbici w roztrzęsioną masę nerwów i podniecenia. Próbowałam skupić się na tym, by ostrożnie stąpać po stopniach, jednak trudno było nie zauważyć, jak inne dzieci reagowały na mrok i migające światła. Niektóre z nich wpadły w histerię, inne wyglądały, jakby za chwilę miały zemdleć, a jeszcze inne się śmiały. Śmiały się, jak gdyby była to tylko gra.

Nie wiem, jakim cudem pośród masy rąk i głów udało mi się dojrzeć inną małą Azjatkę. Stała na palcach, wciśnięta w kąt po lewej stronie znajdującego się poniżej półpiętra. Jej zielony uniform był ledwo widoczny, jednak jej włosy lśniły czernią pod migającymi światłami. Wyciągała ramiona ponad głową - może do mnie?

Kiedy nawiązałam z nią kontakt wzrokowy, jej twarz się rozjaśniła, jakby

dziewczynka mnie poznała, a jej usta ułożyły się w imię Zu. Próbowałam złapać ją za rękę, jednak stłoczeni wokół ludzie potrącali mnie i spychali po schodach. Kiedy udało mi się w końcu odwrócić, już jej nie było.

Nie widziałam ani jednego żołnierza SSP, ani nikogo z władz obozu, dopóki nie znaleźliśmy się na samym dole klatki schodowej. Dzieci przeskakiwały, a właściwie przechodziły po trzech leżących ciałach. Ich twarze były spuchnięte - przypominały posiniaczone maski. Leżały w kałuży krwi.

Ktoś, pewnie jeden z Niebieskich, wyrwał drzwi z zawiasów, tak że wypadły na zewnątrz. Teren obozu przypominał pokryte śniegiem pustkowie. Ziemia emanowała nienaturalną poświatą pod bezksiężycowym niebem - częściowo dlatego, że był to sen, a częściowo ze względu na reflektory, które włączono, kiedy dźwięk alarmu z piszczenia zmienił się w ostrzegawczą syrenę.

Kiedy w końcu wydostaliśmy się z budynku, biegiem rzuciliśmy się przed siebie.

Tonęliśmy w śniegu po kolana, a większość dzieci miała na sobie jedynie cieniutkie uniformy - niektóre nie włożyły nawet butów. Drobinki śniegu wypełniały głębokie, krzyżujące się ślady stóp. Zwolniłam i zaczęłam się przyglądać płatkom, które ani nie opadały, ani się nie unosiły - zawisły w powietrzu niczym wstrzymany oddech. Obozowe reflektory sprawiały, że przypominały tysiące świetlików.

Nagle czar prysł, przerwany pierwszym strzałem.

Po chwili zamiast płatków śniegu spadł na nas deszcz kul.

Z gardeł kilkuset uciekinierów wyrwał się zachrypnięty, przenikliwy krzyk. Kilka, kilkanaścioro, kilkadziesięcioro... Trudno było zliczyć dzieci, które rzuciły się naprzód, krzycząc i wyjąc z bólu.

Koszmarna czerwień zaczęła barwić śnieg jak rozlany atrament, rozprzestrzeniając się i pożerając jego biel. Uniosłam dłoń i dotknęłam swojego wilgotnego policzka, a kiedy ją od niego odjęłam, zrozumiałam w końcu, że przebiegłam właśnie przez fontannę krwi. Byłam nią pokryta od stóp do głów - krew innych dzieci spływała po moich policzkach i skapywała mi z brody.

Biegliśmy coraz szybciej, kierując się w tylny prawy róg siatkowego ogrodzenia otaczającego dawny budynek szkoły. Obróciłam się i spojrzałam na ceglany gmach, na kilkadziesiąt ciemnych postaci siedzących na jego szarym dachu oraz kilkadziesiąt innych wysypujących się przez drzwi i okna pierwszego piętra. Kiedy znów się odwróciłam, przestrzeń przede mną pokryta była różnokolorowymi stosami ciał - Żółtymi, Niebieskimi i Zielonymi. Wokół widać było też czerwień. Mnóstwo czerwieni. Ciała tworzyły barykady,

przez które musieliśmy przeskakiwać.

Potknęłam się i w ostatniej chwili złapałam równowagę. Coś, a raczej ktoś chwycił mnie za kostkę. Leżąca na brzuchu Zielona czołgała się w moją stronę. Miała otwarte oczy, a jej usta łapczywie chwytały oddech. „Pomóż mi", szlochała, a wokół jej warg tworzyły się bąbelki krwi. „Pomóż mi".

Ja jednak wstałam i rzuciłam się biegiem na drugi kraniec obozu, gdzie znajdowała się brama.

Teraz, kiedy byłam już kilkaset metrów od niej, widziałam ją coraz wyraźniej. Nie widziałam natomiast, co zatrzymało resztę dzieciaków i dlaczego nie szturmujemy bramy, żeby wydostać się na wolność. Nagle uświadomiłam sobie, że w śniegu za moimi plecami leży trzy razy więcej dzieci niż biegnie przede mną.

Pozostała grupka parła do przodu, krzycząc i wyciągając przed siebie ręce. Dzięki niskiemu wzrostowi bez trudu prześlizgnęłam się pomiędzy nimi i rzuciłam w stronę ogrodzenia, gdzie trzech starszych chłopców w niebieskich uniformach próbowało powstrzymać tłum dzieci przed szturmowaniem bramy i jednoosobowej budki wartownika, w której obecnie znajdowały się trzy osoby - nieprzytomny żołnierz SSP, Liam i Pulpet.

Kiedy ich zobaczyłam, byłam tak zaskoczona, że ledwo zauważyłam smugę zieleni - małego chłopca, który biegł w stronę ogrodzenia. Ominął stojących na swojej drodze nastolatków i rzucił się na jaskrawożółte pręty, które przytrzymywały bramę.

Kiedy tylko ich dotknął, włosy stanęły mu dęba, a pod jego palcami zobaczyłam błysk ognia. Zamiast puścić metalowy pręt, chłopiec zdawał się zaciskać dłonie. Na chwilę zastygł w bezruchu, po czym przez jego ciało przepłynęły tysiące woltów, tak że wyprężył się w konwulsyjnym ataku.

O Boże.

Brama wciąż była pod napięciem. Liam i Pulpet próbowali ją wyłączyć.

Poczułam, jak krzyk więźnie mi w gardle, kiedy chłopiec runął na ziemię i w końcu znieruchomiał. Liam krzyknął z budki coś, czego nie dosłyszałam wśród ryku zgromadzonych wokół dzieci. Widok martwego chłopca natychmiast zburzył nasz chwilowy spokój.

Byłam pewna, że żołnierze SSP są coraz bliżej, ponieważ kiedy zaczęli strzelać, wszyscy staliśmy się dla nich łatwymi celami. Dzieci padały jedno za drugim, odsłaniając kolejną świeżą warstwę ruchomych celów - ciała pokrywały już całą ziemię, tak że nie widać było spod nich śniegu.

Dzieciaki rozbiegły się we wszystkie strony - niektóre z powrotem do budynku szkoły, inne puściły się pędem wzdłuż ogrodzenia, szukając nowej drogi ucieczki. Wokół rozległo się

szczekanie psów i warczenie silników. Te dwa dźwięki połączone ze sobą brzmiały jak monstrum, które sforsowało piekielne bramy. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na hordę zwierząt i pojazdów śniegowych pędzących w naszym kierunku, kiedy nagle coś twardego wbiło się we mnie z taką siłą, że upadłam w gęsty śnieg.

Trafili mnie, pomyślałam zaskoczona.

Coś się tu jednak nie zgadzało. Ktoś uderzył mnie łokciem w głowę. Niebieska nawet mnie nie zauważyła, kiedy odwróciła się i puściła biegiem z powrotem w stronę obozu. Przeturlałam się na plecy w momencie, gdy uniosła dłonie w wyraźnym geście kapitulacji, a i tak... I tak ją zastrzelili. Jęknęła z bólu i runęła na ziemię.

Nie była jedyną osobą, która nie zauważyła mnie w śniegu - nikt mnie nie widział. Czułam napięcie w piekących od mrozu ramionach, kiedy próbowałam odepchnąć się od ziemi i uwolnić z lodowatego uścisku śniegu, ale gdy tylko mi się to udawało, kolejne stopy przebiegały po moich ramionach i plecach. Nie mogłam złapać powietrza - krzyczałam, ale nikt mnie nie słyszał.

Ogarnęły mnie gniew i frustracja. Biegnące w popłochu dzieci wbijały mnie coraz głębiej w śnieg, a ja zastanawiałam się, czy można w ten sposób utonąć. Czy można udusić się w lodowatym mroku? Może lepiej by było umrzeć w ten sposób?

Ktoś chwycił mnie w talii i podniósł, a kiedy łapczywie zaczerpnęłam tchu, moje płuca wypełniły się lodowatym powietrzem.

Brama była już otwarta, a dzieci, które zachowały wystarczający spokój, by przetrwać - te, które miały tyle szczęścia, że nie trafiła ich żadna kula - rzuciły się przez jej wrota i zanurkowały w gęstwinę drzew. Nie mogło ich być więcej niż dwadzieścioro - z setek dzieci, które wypełniały korytarze dawnego budynku szkoły, pozostało dwadzieścioro.

Było mi ciepło, niewiarygodnie ciepło. Trzymające mnie dłonie zacisnęły się. Uniosłam wzrok i spojrzałam w jasne oczy Liama.

Trzymaj się, dobrze?

Zu obudziła się z westchnieniem, jakby wydostała się ze swojego koszmaru, żeby zaczerpnąć tchu.

Wypadłam z jej snu i wróciłam do lodowatego pokoju hotelowego. Chociaż w głowie miałam zamęt, odwróciłam się do Zu, a moje oczy przyzwyczaiły się do mroku, tak że dostrzegłam zarys jej sylwetki.

Kiedy wyciągnęłam rękę w jej stronę, czyjaś dłoń już tam była.

Liam potrząsał głową, próbując wyswobodzić się z mocnego uścisku snu.

- Zu - wyszeptał. - Hej, Zu...

Zamarłam.

- Hej - Liam pocieszał ją łagodnie - wszystko w porządku. To tylko zły sen.

Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy zdałam sobie sprawę, że ona płacze. Usłyszałam ciche skrobnięcie o drewno, jakby Liam wziął coś ze stolika nocnego.

- Zapisz to - powiedział. - Do niczego się nie zmuszaj.

To musiał być blok listowy. Zacisnęłam powieki, czekając, aż włączy tandetną lampkę nocną, ale trzymał się swojej zasady - żadnych świateł poza łazienką.

- Za co przepraszasz? - wyszeptał. - Sen dodaje urody tylko Pulpetowi.

Zu zaśmiała się niepewnie, ale czułam, że jej ciało nadal jest napięte.

- Czy to był... ten sam sen, co wcześniej? - Łóżko ugięło się lekko pod ciężarem siadającego na nim Liama. - Trochę inny? - zapytał po chwili. - Tak?

Tym razem milczenie trwało nieco dłużej. Nie byłam pewna, czy Zu dalej zapisuje swój sen na papierze, po chwili jednak Liam odchrząknął.

- Nigdy tego nie zapomnę. Martwiłem się, że dotknęłaś bramy, jeszcze zanim Pulpet doszedł do tego, jak ją wyłączyć - powiedział, po czym ledwo dosłyszalnym szeptem dodał: - Tak mi przykro.

Poczucie winy i smutek, które przebijały z jego słów, były niczym cios. Przesunęłam się na łóżku, przyciągana przez jego ból, gotowa zapewnić go, że w tym, co wydarzyło się tego dnia w pokrytym śniegiem obozie, nie było jego winy. Przerażające było to, jak dobrze go w tej chwili rozumiałam.

Ale nie mogłam go pocieszyć. To była ich intymna rozmowa, podobnie jak intymny był jej sen. Dlaczego zawsze pchałam się tam, gdzie nie było dla mnie miejsca?

- Nie tylko Pulpet myśli, że to zbyt niebezpieczne, ale wydaje mi się, że Ruby jest dość silna, by poradzić sobie sama, jeśli postanowi się od nas odłączyć. Dlaczego pytasz?

Znów usłyszałam drapanie długopisu o papier.

- Pulpet chce tylko, żebyśmy byli bezpieczni - Liam nadal szeptał. - To sprawia, że czasem zapomina o dobru innych. Patrzy na to wszystko z innej perspektywy. Od ucieczki minęły zaledwie dwa tygodnie. Musisz mu dać więcej czasu.

Mówił to wszystko z taką pewnością, że mu uwierzyłam.

- O rany! - Niemal słyszałam, jak przeczesuje włosy. - Nie wolno ci się wstydzić tego, co potrafisz. Słyszysz? Gdyby cię tam z nami nie było, zginęlibyśmy.

W pokoju znów zapadła spokojna cisza, nie licząc świszczącego chrapania Pulpeta.

- Lepiej się czujesz? - zapytał. - Przynieść ci coś z Betty?

Musiała zaprzeczyć, ponieważ poczułam, jak Liam wstaje.

- Będę tuż obok. Obudź mnie, jeśli zmienisz zdanie, dobrze?

Nie słyszałam, żeby powiedział „dobranoc”, zauważyłam natomiast, że zamiast się położyć, siadł na podłodze, oparł się plecami o łóżko i wbił spojrzenie w drzwi, jakby bał się tego, co mogło się przez nie dostać do środka.

Kilka godzin później, kiedy na szaroniebieskim porannym niebie wciąż widać było księżyc, delikatnie wyjęłam moją sukienkę z palców Zu i wyślizgnęłam się z łóżka. Czerwona poświata budzika na stoliku nocnym sprawiła, że godzina, którą pokazywał, wyryła mi się w pamięci - 5:03.

Czas ruszać w drogę.

Zgodnie z prośbą Liama żadne z nas nie rozpakowało plecaków, ale musiałam zabrać szczoteczkę i pastę do zębów, które zostawiłam w łazience obok kosmetyków Pulpeta. Leżał tam jeszcze jeden zestaw hotelowych przyborów toaletowych, tuż przy najbrzydszym ekspresie do kawy, jaki kiedykolwiek widziałam. Włożyłam je do plecaka razem z małym ręczniczkiem do rąk.

Na zewnątrz panowała temperatura zaledwie kilka stopni wyższa niż w pokoju. Typowa schizofreniczna wiosenna pogoda w Wirginii. Poprzedniej nocy musiało padać. Lekka biała mgła, będąca pozostałością cichej ulewy, przeplatała się pomiędzy gałęziami drzew i spowijała samochody. Minivan, który poprzedniego wieczoru stał na samym końcu parkingu, teraz zaparkowany był przed drzwiami naszego pokoju. Gdybym nie przeszła tuż obok Czarnej Betty, przejeżdżając dłonią po jej poobijanym boku, pewnie wcale nie zauważyłabym Liama.

Klęczał przy przesuwanych drzwiach i kluczykami powoli kończył zdrapywać napis pralnia u betty jean. U jego stóp leżała tablica rejestracyjna z Ohio, która jeszcze niedawno przykręcona była do karoserii samochodu. Zatrzymałam się kilka metrów od niego.

Miał sińce pod oczami. Był pogrążony w rozmyślaniach, a jego usta były ponuro zaciśnięte. Ta mina wcale do niego nie pasowała. Z mokrymi włosami zaczesanymi do tyłu i świeżo ogolony mógłby wyglądać dwa lub nawet trzy lata młodziej, gdyby nie jego oczy.

Moje buty zaszurały na żwirze, przyciągając jego uwagę. Uniósł się lekko.

- Co się stało?

- Słucham?

- Wcześnie wstałaś - wyjaśnił. - Żeby obudzić Pulpeta, zazwyczaj muszę go zaciągnąć pod prysznic i odkręcić lodowatą wodę.

Wzruszyłam ramionami.

- Chyba nie przestawiłam się jeszcze po Thurmond.

Powoli wstał i wytarł dłonie o dżinsy. Spojrzał na mnie tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko lekko się uśmiechnął. Wrzucił tablice rejestracyjne z Ohio na tylne siedzenie i zastąpił je tablicami z Wirginii Zachodniej. Nie zdążyłam go zapytać, skąd je wytrzasnął.

Upuściłam plecak na ziemię i oparłam się o drzwi Betty. Liam zniknął za tylną częścią samochodu, a po kilku minutach wyłonił się zza pojazdu, trzymając kanister i zniszczony czarny wąż. Z zamkniętymi oczami i uchem przyciśniętym do zimnej szyby chłonęłam słodkie dźwięki radiowej reklamy lokalnego supermarketu.

Po chwili znów odezwał się głos spikerki, która podała ponure wieści z Wall Street, a właściwie tego, co z niej zostało.

Z trudem otworzyłam oczy i spojrzałam w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał chłopak.

- Liam?

- Tutaj! - odparł natychmiast.

Rzuciłam okiem na rząd seledynowych drzwi motelu, a następnie obeszłam vana od tyłu i po chwili znalazłam się kilka metrów za Liamem. Wspięłam się na palce i przechyliłam na prawo, żeby lepiej zobaczyć, co robi przy srebrnej terenówce zaparkowanej tuż obok Betty.

Pracował w milczeniu, skupiony na wykonywanym zadaniu. Jeden koniec węża wepchnięty był do baku terenówki. Liam oplótł sobie nadmiar węża wokół ramienia, a drugi koniec umieścił w czerwonym kanistrze.

- Co robisz? - Nie próbowałam nawet ukryć zaskoczenia.

Jego dłoń przesuwała się po całej długości węża, jak gdyby pociągał go w naszą stronę. Wyglądało to tak, jakby wybierał linę lub kogoś do siebie przywoływał. Z drugiego końca węża zaczęły spływać kropelki płynu o gryzącym zapachu.

Zrozumiałam, że spuszcza paliwo. Słyszałam, że ludzie posuwali się do tego, kiedy brakowało benzyny, ale nigdy nie widziałam, by ktoś naprawdę to robił. Płyn spływał do kanistra równym strumieniem, a powietrze wokół nasyciło się gryzącą wonią.

- Deficyt benzyny - wyjaśnił, bez odrobiny skruchy wzruszając ramionami. - Sytuacja jest ciężka, a my od wczoraj jedziemy właściwie na oparach.

- Jesteś Niebieski, prawda? - zapytałam, wskazując głową dłoń, którą pompował benzynę do czerwonego kanistra. - Nie mógłbyś po prostu sprawić, by Betty pojechała bez paliwa?

- Owszem, ale... nie na długo - rzucił Liam nieśmiało. Kiedy zacisnął wargi, zrobiły

się nienaturalnie białe i dostrzegłam małą bliznę w prawym kąciku jego ust.

Nagle zdałam sobie sprawę, że się na niego gapię. Ukucnę-łam przy nim - bardziej po to, żeby ukryć zakłopotanie, niż żeby pomóc. Co ciekawe, kradzież paliwa wcale nie była taka trudna.

- Chyba zazdroszczę ci tego, że w ogóle potrafisz używać swoich umiejętności.

Przyszło mi do głowy, że może przez cały ten czas się myliłam. To, jak funkcjonowaliśmy w Thurmond... Władze obozu zadbały o to, by dzieci bały się, że ktoś przyłapie je na tym, jak używają swoich mocy. Od początku dano nam do zrozumienia, że to, kim jesteśmy, i to, co potrafimy, jest niebezpieczne i nienaturalne. Błędów i przypadków nie traktowano ulgowo, a kary nie dało się uniknąć. Upewniono się, że nie będziemy niczego próbować ani badać granic, sprawdzając, jak daleko możemy się posunąć.

Skoro Liam z taką łatwością panował nad swoimi umiejętnościami, pewnie oznaczało to, że ćwiczył je od lat, głównie poza murami obozu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że inne dzieci ukrywające się w domach - że pozostałe dzieciaki, które na oczy nie widziały wnętrza Baraku i nie doświadczyły ponurej pustki, jaką było życie w obozie - mogły się nauczyć niezwykłych rzeczy. One się siebie nie bały. Nie czuły się przygniecione ciężarem tego, czego nie widziały.

Ogarnęło mnie przedziwne wrażenie, że straciłam coś, czego tak naprawdę nigdy nie miałam - że nie byłam tym, kim dawniej, a co więcej, nie byłam tym, kim miałam być. Poczułam dziwną pustkę.

- Dla nas, Niebieskich, to wszystko jest dość proste - wyjaśnił Liam. - Patrzysz na coś, koncentrujesz się na tym, wyobrażając sobie, że obiekt przemieszcza się z punktu A do punktu B, i to się po prostu... dzieje. Podejrzewam, że wielu Niebieskich w Thurmond domyśliło się, w jaki sposób korzystać ze swoich umiejętności. Postanowili po prostu tego nie robić. Może miało to coś wspólnego z tym dźwiękiem.

- Zapewne tak. - Miałam zbyt mało kontaktu z Niebieskimi, by coś na ten temat wiedzieć.

Kiedy strumień benzyny zamienił się w pojedyncze kropelki, Liam kilkakrotnie poruszył wężem, tam i z powrotem. Wstałam, obrzuciłam spojrzeniem parking oraz drzwi pokoi w poszukiwaniu śladów życia i kucnęłam obok Liama dopiero wtedy, gdy miałam pewność, że jesteśmy sami.

- Sam się tego nauczyłeś? - zapytałam, próbując znaleźć potwierdzenie dla swojej teorii.

Spojrzał na mnie.

- Tak. Dość późno trafiłem do obozu. Strasznie się nudziłem, więc miałem mnóstwo czasu, żeby to wszystko jakoś ogarnąć.

Oczywiście następne pytanie, jakie cisnęło mi się na usta, brzmiało: ukrywałeś się?, ale nie mogłam go zadać z obawy, że po jakimś czasie on zacznie wypytywać mnie o moją przeszłość i o to, w jaki sposób mnie złapano.

Musiałam to przerwać. Dłonie drżały mi tak, jakby właśnie oznajmił mi, że zaraz mnie udusi. Wszystko, co do tej pory robił, świadczyło o tym, że jest dobry i miły. Czy nie dawał mi do zrozumienia, że jeśli tylko mu na to pozwolę, będzie moim przyjacielem?

Nie pamiętałam nawet, kiedy ostatni raz chciałam się z kimś zaprzyjaźnić - było to tak dawno, iż nie wiedziałam nawet, czy jeszcze to potrafię. W pierwszej klasie było to niezwykle proste... Nauczycielka kazała nam napisać na kartce nazwę naszego ulubionego zwierzątka, a następnie znaleźć kolegę lub koleżankę z klasy z takim samym ulubieńcem. Najwyraźniej zawieranie przyjaźni było właśnie takie proste - wystarczyło odnaleźć kogoś, kto także lubi słonie.

- Lubię tę piosenkę - wyrwało mi się. Łagodny głos Jima Mor-risona tak cicho sączył się z głośników Betty, że ledwo go słyszeliśmy.

- Tak? The Doors? - Twarz Liama pojaśniała. - Come on baby, light myfire - zaśpiewał niskim głosem, próbując dopasować się do Morrisona.

Zaśmiałam się.

- Lubię, kiedy to on ją śpiewa.

Liam chwycił się za serce, jakbym głęboko go zraniła, ale szybko się pozbierał. Prezenter radiowy zapowiedział kolejny utwór, a Liam wyglądał, jakby właśnie wygrał na loterii.

- To rozumiem!

- The Allman Brothers? - Ściągnęłam brwi. Ciekawe, mogłabym się założyć, że jest fanem Led Zeppelin.

- To muzyka mojej duszy - powiedział, poruszając głową w rytm utworu.

- Czy ty w ogóle wsłuchiwałeś się w jej słowa? - zapytałam, czując, jak schodzi ze mnie napięcie. Mój głos stawał się coraz pewniejszy. - „Czy twój tato w karty grywał i czy dostał kulkę w łeb? Czy urodziłeś się na tylnym siedzeniu autobusu?”

- Zaraz, zaraz - odparł i sięgnął ręką, żeby odgarnąć mi włosy z twarzy. - Powiedziałem, że to muzyka mojej duszy, a nie życia. Żeby było jasne: mój ojczym jest mechanikiem w Karolinie Północnej i z tego, co wiem, nadal żyje i ma się świetnie. Ale rzeczywiście urodziłem się na tylnym siedzeniu autobusu.

- Żartujesz! - Nie wiedziałam, czy mówi poważnie.

- Nie. Opisali to w gazetach i tak dalej. Przez pierwsze trzy lata byłem Cudownym Dzieckiem z Autobusu, a teraz...

- „... próbujesz jakoś żyć na tym łez padole” - dokończyłam słowami piosenki.

Zaśmiał się, a czubki jego uszu znów lekko poczerwieniały.

Piosenka nadal leciała, wypełniając powietrze szybkim rytmem i brzdąkaniem gitar. Wszystko do siebie pasowało. Nie była to właściwie ani muzyka country, ani rock and roli, ale ciepła, szybka piosenka rodem z południowej części USA.

Podobała mi się nawet bardziej, kiedy Liam podłączył się i sam zaczął ją śpiewać.

Gdy strumień paliwa przestał kapać, chłopak ostrożnie wyciągnął wąż z baku i zakręcił korek wlewu paliwa. Zanim się podniósł, trącił mnie w ramię.

- Skąd ty właściwie wytrzasnęłaś tę kieckę?

Parsknęłam i chwyciłam materiał palcami.

- To prezent od Zu.

- Wyglądasz, jakbyś miała ochotę ją spalić.

- Nie mogę obiecać, że za jakiś czas sukienka nie ulegnie nieszczęśliwemu wypadkowi - odparłam poważnie. Kiedy znów się zaśmiał, poczułam się tak, jakby urosły mi skrzydła.

- Tak czy siak miło, że ją założyłaś - powiedział Liam. - Tylko uważaj. Zu od tak dawna tęskniła za koleżanką, że niedługo może z ciebie zrobić własną lalkę Barbie.

- Ach, te dzisiejsze dzieciaki - rzuciłam. - Myślą, że cały świat mają u stóp.

Uśmiechnął się szeroko.

- Tak, te dzisiejsze dzieciaki...

Poruszaliśmy się od samochodu do samochodu. Liam nie prosił mnie o pomoc, a ja nie zadawałam mu już więcej pytań. Godzinami moglibyśmy trwać w tej przyjaznej ciszy i wcale by mi się to nie znudziło.

13

Pulpet i Zu nie byli specjalnie szczęśliwi, kiedy o 5:30 obudziliśmy ich i kazaliśmy im pościelić łóżko, podczas gdy sami sprzątaliśmy łazienkę i wymienialiśmy zużyte ręczniki. Nie robiliśmy tego ze względu na pedanterię - po prostu lepiej było, by pracownicy motelu nie dowiedzieli się, że gościli w nocy kilku dzikich lokatorów.

Pulpet ruszył w stronę minivana, a kiedy jego wzrok padł na mnie, gwałtownie się zatrzymał. Na twarzy wypisane miał pytanie: „co ty tu ciągle robisz?"

Wzruszyłam ramionami. Zostaję.

Potrząsnął głową i uraczył mnie jednym z tych swoich westchnięć.

Wszyscy usadowiliśmy się na miejscach - Zu i Pulpet zajęli środkowe fotele. Obserwowaliśmy, jak Liam zamyka drzwi pokoju. W ręce trzymał kubeczek obrzydliwej hotelowej kawy.

No tak, pomyślałam, kątem oka spoglądając na Zu, która skuliła się na siedzeniu, podkładając sobie ręce pod głowę. Nie pospał sobie.

Zanim ruszyliśmy, Liam jak zwykle sprawdził ustawienie lusterek i zagłówka, a następnie zapiął pasy i włożył kluczyk do stacyjki. Postanowił jednak nie odpowiadać na miliony pytań, którymi zarzucał go Pulpet chcący się dowiedzieć, dokąd jedziemy. Poczekał, aż chłopak zacznie chrapać, po czym zawołał do mnie:

- Umiesz czytać mapę!?

Zrobiłam się purpurowa ze wstydu.

- Nie, przykro mi. - Było to przecież coś, czego człowiek prędzej czy później uczy się od swojego ojca.

- To nic. - Liam poklepał pusty fotel pasażera. - Potem cię tego nauczę, ale na razie potrzebny mi ktoś, kto będzie patrzył na znaki. Chodź tu do mnie na fotel pilota.

Wskazałam kciukiem na Pulpeta.

Liam tylko potrząsnął głową.

- Chyba żartujesz. Wczoraj był przekonany, że skrzynka pocztowa to klown.

Z westchnieniem odpięłam pas. Kiedy przeszłam ponad wyciągniętymi nogami Pulpeta i znalazłam się z przodu, obróciłam się i spojrzałam na jego za małe okulary.

- Czy on naprawdę tak źle widzi?

- Naprawdę - odparł Liam. - Kiedy uciekliśmy z Caledonii, włamaliśmy się do jednego z domów. W środku nocy obudził mnie straszliwy kwik, jakby ktoś zarzynał świnię. Złapałem kij bejsbolowy i ruszyłem w stronę, skąd dobiegał ten przerażający dźwięk. W razie

potrzeby chciałem ogłuszyć kijem napastnika, tak abyśmy mieli dość czasu na ucieczkę. Po chwili na dnie pustego basenu zobaczyłem Pulpeta.

- No nie!

- Tak. Naszemu kochanemu Sokolemu Oku zachciało się siusiu i nie zauważył ziejącej w ziemi dziury. Skręcił kostkę i nie mógł się stamtąd wydostać.

Próbowałam powstrzymać się od śmiechu, ale było to prawie niemożliwe. Zbyt barwnie wyobraziłam sobie tę scenę.

Liam włączył radio i pozwolił, bym to ja wybrała stację. Wydawał się usatysfakcjonowany, kiedy zdecydowałam się na tę, gdzie puszczano piosenkę zespołu The Who.

Opuściłam szybę i wychyliłam się przez okno, opierając brodę na dłoniach. Powietrze poranka było ciepłe, ogrzane pierwszymi promieniami słońca. Kiedy spojrzałam ponad czubki drzew, moim oczom ukazał się błękit nieba.

Za plecami usłyszeliśmy cichy głosik, delikatne westchnienie. Oboje odwróciliśmy się, by spojrzeć na śpiącą Zu.

- Obudziliśmy cię wczoraj? - zapytał.

- Słyszałam fragment waszej rozmowy - odparłam. - Czy ona często miewa koszmary?

- Odkąd poznałem ją kilka tygodni temu, zdarza się jej to co drugą noc. Czasem śni o obozie i muszę ją uspokajać, ale nigdy nie wiem, co powiedzieć o jej rodzinie. Przyrzekam, jeśli kiedykolwiek spotkam jej rodziców...

Urwał, jednak gniew, który przebijał przez jego słowa, zelektryzował powietrze.

- Co oni jej zrobili?

- Oddali ją, ponieważ się jej bali. Jeżeli chodzi o mnie i o Pulpeta, to nasi rodzice starali się nas ukryć, dlatego tak późno trafiliśmy do obozu. Rodzice Zu odesłali ją do obozu, kiedy na środku autostrady spowodowała spięcie w samochodzie ojca.

- O Boże.

- Skorzystali z możliwości dobrowolnego oddania dziecka do obozu. Trafiła tam jako jedna z pierwszych. - Liam oparł łokieć na bocznym panelu biegnącym wzdłuż drzwi i podparł twarz dłonią. Bejsbolówka skrywała jego oczy. - Zapomniałem, że ciebie to ominęło.

Czekałam, aż mi to wyjaśni.

- To zdarzyło się w czasie, kiedy większość naszych rówieśników znajdowała się już w obozach albo w kryjówkach. Rząd wydał oficjalne oświadczenie, że rodzice, którzy czują się zagrożeni lub nie radzą sobie z opieką nad swoimi dziećmi, w uzgodnionym dniu powinni je wysłać do szkoły. Ogłosił, że żołnierze SSP zabiorą je do obozów, gdzie następnie zostaną

poddane rehabilitacji.

Cała akcja była trzymana w wielkiej tajemnicy, żeby nie „zdenerwować” dzieci lub nie „wzbudzić ich buntu”.

Potarłam czoło, próbując odegnać obrazy, które rodziły się w mojej głowie.

- Czy ona ci o tym powiedziała?

- „Powiedziała”? - Wciąż wpatrywał się w drogę, ale jego dłonie zacisnęły się na kierownicy. - Nie. Opisała fragmenty tego zdarzenia. Nie wymówiła ani jednego słowa od...

- Od czasu ucieczki? - dokończyłam. Mimo zdobytych właśnie informacji poczułam ulgę. - A więc chodzi tu o jej wybór, a nie o coś, co jej zrobili.

- Mylisz się. To nie jej wybór. To wyłącznie ich wina - odparł Liam. - To musi być straszliwie frustrujące: mieć coś do powiedzenia, ale nie wiedzieć, jak to ubrać w słowa. Przeżyć coś strasznego, ale nie móc tego z siebie wyrzucić, zanim rana zacznie się jątrzyć. Owszem, masz rację. Ona może mówić i prawdopodobnie któregoś dnia się odezwie. Po tym wszystkim, co przeze mnie przeszła, po tym, co się stało... Po prostu nie mam takiej pewności...

To uczucie rzeczywiście było straszliwie frustrujące i ustępowało jedynie zupełnej bezsilności, która towarzyszyła zamknięciu w obozie, oraz wrażeniu, że nie może się o niczym decydować. Po tym, co stało się z Sam, nie wypowiedziałam słowa prawie przez cały rok. Po prostu nie potrafiłam wyrazić bólu, który odczuwałam.

Radio zgubiło częstotliwość i zaczęło przeskakiwać na inne pasma, zatrzymując się przez chwilę na stacji do nauki języka hiszpańskiego i na programie z muzyką poważną, aż w końcu samochód wypełnił się surowym, nosowym głosem spikera odczytującego wiadomości.

... wstępne doniesienia mówią o czterech niezależnych eksplozjach, które tego ranka nastąpiły w tunelach nowojorskiego metra...

Liam natychmiast zmienił stację, ale ja do niej wróciłam.

... chociaż władze miasta nie potwierdziły jeszcze tych doniesień, eksperci mówią, że wybuchy nie miały charakteru nuklearnego ani biologicznego i skupiły się w samym centrum Manhattanu, gdzie po ostatnim zamachu na swoje życie ukrywa się podobno prezydent Gray.

- Liga, Zachodnie Wybrzeże czy jakaś podpucha? - dobiegł nas zaspany głos Pulpeta.

Według naszych źródeł prezydent Gray oraz jego współpracownicy podejrzewają, że zamach jest dziełem Koalicji Federalnej.

- Koalicji Federalnej? - powtórzyłam.

- Zachodnie Wybrzeże - odparli chłopcy jednocześnie, a Pulpet wyjaśnił: - Mają

siedzibę w Los Angeles. To gałąź rządu, która przetrwała bombardowanie Waszyngtonu i której nie podobało się to, że Gray zignorował ustalony limit dwóch kadencji. To głównie same gadające głowy, ponieważ wojsko opowiedziało się oczywiście po stronie Graya.

- Dlaczego Gray przebywa w Nowym Jorku, a nie w Waszyngtonie?

- Trwa odbudowa Kapitolu i Białego Domu, ale idzie ona dość mozolnie, ponieważ rząd nie spłacił jeszcze swoich długów - odparł Liam. - Gray rozlokował członków rządu pomiędzy Wirginią a Nowym Jorkiem dla ich bezpieczeństwa. Chciał mieć pewność, że ani uciekinierzy Psi, ani Liga nie wpadną na pomysł, jak załatwić ich wszystkich za jednym zamachem.

- A więc Koalicja Federalna... opowiada się przeciwko obozom i programowi rehabilitacji?

Pulpet westchnął lekko.

- Muszę cię rozczarować, ale sama wkrótce się przekonasz, że nikt nie traktuje nas priorytetowo. Wszyscy skupiają się raczej na tym, że nasz kraj kompletnie splajtował.

- Kogo więc wspieramy? - dopytywałam.

- Siebie - odezwał się Liam po chwili. - I nikogo więcej.

W stanie Wirginia - a przynajmniej w jej zachodniej części - ostały się najwyraźniej tylko dwie sieci restauracyjne: Cracker Barrel oraz Waffle House, a jedną z nich otwierano dopiero o dziewiątej rano.

- Całe szczęście - rzucił Liam poważnym głosem, parkując nieopodal budynku Waffle House. - W przeciwnym wypadku nie wiem, jak udałoby nam się zdecydować, który z tych dwóch ekskluzywnych lokali wybrać.

Powiedział, że zamówi wszystko to, co zmieści się w kwocie dwudziestu dolarów, jednak odmówił, gdy zaproponowałam, że z nim pójdę.

Kiedy wysiadał z samochodu, Zu podniosła niewielki notes i zamachała nim, by zwrócić na siebie jego uwagę.

- Już?

Skinęła głową.

- Poproś Pulpeta, żeby sprawdził. No już, nie rób takiej miny On i tak jest lepszy z matmy niż ja.

- Co prawda, to prawda - powiedział Pulpet, nie podnosząc nawet oczu znad książki.

Zu przewróciła stronę w notesie i nagryzmoliła coś na czystej kartce. Kiedy pokazała ją Liamowi, uśmiechnął się szeroko.

- Ho, ho... Dzielenie liczb wielocyfrowych? Chyba się trochę pospieszyłaś, mała. Nie

opanowałaś jeszcze mnożenia liczb dwucyfrowych.

Patrzyłam, jak Liam wyskakuje z minivana, i ogarnęła mnie irytacja. To wszystko byłoby dużo łatwiejsze, gdyby jako jedyny z nas nie wyglądał na ponad dwadzieścia lat. Przynajmniej ja czułabym się lepiej, wiedząc, że jedno z nas mogłoby z nim pójść i w razie czego go wesprzeć. Musiał poczuć na sobie mój palący wzrok, ponieważ przystanął i odwrócił się, żeby mi pomachać, a następnie zniknął za rogiem.

- Naprawdę powinnaś przestać go do tego zachęcać - Pulpet zwrócił się do Zu. Odwróciłam się i obserwowałam, jak drugą końcówką ołówka dotyka rzędów cyfr w notesie. - W końcu będzie musiał przejrzeć na oczy.

Zu skrzywiła się, jakby wzięła do ust cytrynową landrynkę. Szturchnęła go w ramię.

- Przykro mi - powiedział, ale widać było, że to nieprawda. - Uczenie cię tego wszystkiego to marnowanie czasu i energii, ponieważ nigdy nie będziesz miała okazji z tej wiedzy skorzystać.

- Przecież tego nie wiesz - wtrąciłam się i rzuciłam Zu pocieszający uśmiech, a następnie dodałam: - Kiedy wszystko wróci do normalności, będziesz wiedziała więcej niż twoi rówieśnicy.

Odkąd to w ogóle wierzyłam w normalność? Wszystko, przez co do tej pory przeszłam, potwierdzało jedynie argument Pulpeta. Mimo - że nie chciałam tego przyznać - miał rację.

- Wiesz, co bym właśnie robił, gdyby sytuacja wyglądała normalnie? - rzucił Pulpet. - Wybierałbym właśnie college, a jesienią zacząłbym studiować. Zdałbym maturę, chodził na mecze futbolowe, poszedłbym na bal maturalny, zapisał się na zajęcia z chemii...

Jego głos ucichł, ale nadal docierały do mnie strzępki jego marzeń. Doskonale go rozumiałam. Kiedy pozwalałam sobie na odwiedziny w ponurej krainie gdybania, moje myśli krążyły wokół tych samych spraw. Mama powiedziała kiedyś, że edukacja to przywilej, na który nie wszyscy mogą sobie pozwolić, ale myliła się - edukacja nie była przywilejem. Mieliśmy do niej prawo. Zasługiwaliśmy, by marzyć o przyszłości.

Zu wyczuła zmianę nastroju. Spoglądała to na mnie, to na Pulpeta i w milczeniu poruszała ustami. Przyszedł czas poruszyć inny temat.

- Phi - powiedziałam, zaplatając ramiona na piersi i opierając się o fotel. - Już widzę, jak idziesz na mecz futbolowy.

- O, wypraszam to sobie! - Pulpet podał Zu notes. - Proszę, musisz popracować nad dziewiątkami. - Kiedy znów odwrócił się do mnie, na jego twarzy malowała się dezaprobata. - Nie chce mi się wierzyć, że spośród wszystkich ludzi to właśnie ty wierzysz w jego słodkie

wizje.

- A co to ma niby znaczyć?

- Przecież byłaś w Thurmond przez... pięć lat?

- Sześć - poprawiłam go. - Nie zrozumiałeś mnie. To nie tak, że wierzę w to, co mówi Lee. Ja po prostu mam nadzieję, że ma rację. Mam ogromną nadzieję, że się nie myli, bo w przeciwnym wypadku jaka czeka nas przyszłość? Będziemy się ukrywać do czasu, aż ich pokolenie wymrze? Uciekniemy do Kanady?

- Powodzenia - rzucił Pulpet. - Zarówno Kanada, jak i Meksyk odgrodziły się od nas murami.

- Bo wydawało im się, że OMNI to choroba zakaźna?

- Nie, ponieważ przez cały czas nas nienawidzili i czekali tylko na wymówkę, żeby nie musieć się już użerać z opasłymi Amerykanami w bejsbolówkach.

Liam wybrał sobie idealny moment na powrót. W rękach trzymał cztery styropianowe pojemniki. Poruszał się szybko, prawie biegiem. Przechyliłam się i otworzyłam mu drzwi, a on niemal rzucił mi pojemniki na kolana.

- O rany, co znowu?! - krzyknął Pulpet.

Ja tymczasem walczyłam z pojemnikami, starając się zadbać o to, by gorące jedzenie nie wysypało mi się na kolana oraz na fotel. Silnik Betty zapalił z warknięciem i już po chwili gnaliśmy na wstecznym biegu. Tylna szyba samochodu wciąż była zasłonięta, więc Liam mógł spoglądać jedynie w boczne lusterka, żeby wydostać nas z drogi i wjechać w zaułek, który oddzielał restaurację Waffle House od opuszczonego komisu z biżuterią. Zaparłam się łokciem o drzwi, kiedy skierował minivana w stronę śmietników i wjechał tuż za róg w ślepą uliczkę, na której mieścił się zatłoczony parking dla pracowników. Samochód zahamował tak gwałtownie, że wszyscy polecieliśmy do przodu.

- Zatrzymamy się tu na chwilkę - oznajmił Liam, spoglądając na nasze przerażone twarze. - Nie panikujcie, ale wydaje mi się, że widziałem... To znaczy... Tu na razie będzie bezpieczniej.

- Widziałeś ją. - To nie było pytanie. Pulpet znał już odpowiedź. - Lady Jane.

Liam potarł kark i nachylił się do przodu. Zaparkował tak, że mogliśmy wyjrzeć za róg restauracji i zobaczyć, co dzieje się w zaułku.

- Tak, jestem tego prawie pewny.

Jak udało jej się nas znaleźć?

- A niech to szlag! - pisnął Pulpet. - „Prawie pewny" czy „pewny"?

Po chwili Liam odparł:

- Jestem pewny. Ma nowy samochód, białego pick-upa, ale wszędzie rozpoznałbym jej chytrą twarz!

- Czy ona cię widziała? - zapytałam.

- Nie wiem. Pewnie nie, bo w przeciwnym wypadku ona i jej nowy chłoptaś próbowaliby mnie przejechać. Minęli mnie samochodem, kiedy wychodziłem.

Wyciągnęłam szyję, starając się wyjrzeć poza ścianę restauracji na zaułek. Jak na zawołanie moim oczom ukazał się błyszczący biały pick-up. Z przodu siedziały dwie ciemne sylwetki. Liam i ja błyskawicznie oparliśmy się o fotele, spoglądając na siebie z przerażeniem. Wydawało mi się, że oboje wstrzymywaliśmy oddech, dopóki nie byliśmy pewni, że nikt nie zmierza w naszą stronę.

Liam odchrząknął.

- Hmm... Możesz rozdać jedzenie? Ja tylko zobaczę, czy...

- Liamie Michaelu Stewarcie - huknął Pulpet z tylnego siedzenia - jeżeli wystawisz choćby stopę z tego minivana, rozkażę Zielonej, żeby cię nim przejechała.

- I nie myśl sobie, że tego nie zrobię - powiedziałam ostrzegawczo, pewna, że Liam chce zaryzykować i wejść w zaułek, żeby upewnić się, iż nic nam nie grozi. Kiedy podałam mu styropianowy pojemnik, poddał się i opadł na fotel.

Liam zamówił nam wszystkim niewyszukany posiłek złożony z jajecznicy, bekonu i dwóch naleśników. Pozostali z ochotą zabrali się do jedzenia, w mgnieniu oka pochłaniając swoje porcje. Ja ubiegłam Liama i oddałam swoje naleśniki Zu.

Kiedy sytuacja wydawała się opanowana, Liam wyciągnął mapę i rozłożył ją na kierownicy. Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał godzinę 7:25, a kiedy Liam się do nas odwrócił, na jego twarzy malowała się determinacja, jakiej nie widziałam u nikogo o tak wczesnej porze.

- Dobra, drużyno - zaczął. - Znów musimy podjąć trop. Wiem, że East River, do którego trafiliśmy, okazało się kompletnym niewypałem, ale musimy szukać dalej. Jeszcze raz zastanówmy się nad informacjami, które uzyskaliśmy od tamtych Niebieskich: Eddo.

Dopiero po pełnej minucie ciszy zrozumiałam, że na tym wspomniane informacje się kończą.

- Powinniśmy byli ich przekupić, żeby podali nam więcej wskazówek - oznajmił Pulpet.

- Przekupić ich czym? - odparł Liam, odkładając mapę. - Ciebie by nie wzięli, Pulpet, a jesteś naszym najcenniejszym towarem.

Jak można się było spodziewać, Pulpetowi wcale nie wydało się to śmieszne.

- Czy powiedzieli ci, jak zapisać to „Eddo”? Przez jedno „d” czy dwa? - zapytałam. - Jeżeli rzeczywiście jest to jakaś wskazówka, pisownia może być równie ważna jak samo słowo.

Chłopcy wymienili spojrzenia.

- A niech to szlag! - rzucił w końcu Liam.

Poczułam ostre szarpnięcie, a kiedy się odwróciłam, Zu trzymała w rękach notes, na którym zapisała „E-D-O”.

- Dobra robota, Zu - powiedział Liam. - Dobrze, że przynajmniej jedno z nas słucha.

- To wszystko? - zapytałam.

- Zdołaliśmy z nich wydusić tylko tyle, że jeśli dojedziemy do Raleigh, oznacza to, że znaleźliśmy się zbyt daleko na południe. A i tak musieliśmy błagać, żeby się tym z nami podzielili - wyznał Liam. - To było naprawdę żałosne.

- Nie zapominajmy o tym, że mogli sobie robić jaja - oznajmił Pulpet. - To właśnie najbardziej mnie w tym wszystkim drażni. Jeżeli w East River jest tak wspaniale, dlaczego się stamtąd wynieśli?

- Jechali do domu, pamiętasz? Uciekinier...

Kiedy chłopcy się kłócili, ja wyciągnęłam mapę spod dłoni Liama i wpatrywałam się w nią, próbując wyczytać coś z tych wszystkich linii. Liam z grubsza powiedział mi, w jaki sposób wyznacza się drogę z punktu A do punktu B, ale i tak byłam zdezorientowana.

- Co o tym myślicie? - zapytałam. - Macie jakąś teorię?

- Trafiliśmy na kilkoro dzieciaków na granicy stanu Ohio - odparł Liam. - Kierowały się ze wschodu na zachód. Jeżeli dodać do tego informację o Waszyngtonie i Raleigh, mamy do wyboru Wirginię Zachodnią, Wirginię lub Maryland. Zu mówi, że Edo to dawna nazwa Tokio, ale nie sądzę, żeby Uciekinier ukrywał się aż tam.

- A ja myślę, że to jakiś szyfr - oznajmił Pulpet. - Rodzaj tajnego kodu. - Wyprostował się i spojrzał mi w oczy. Kiedy na jego twarz wpłynął powolny uśmiech, pomyślałam o filmie dokumentalnym o krokodylach, który oglądaliśmy kiedyś w szkole, i o tym, jak szczerzą zęby, kiedy w wodzie wyczują ofiarę. - A skoro już o tym mowa, nie wspominałaś przypadkiem, że Liga wydostała cię z obozu, ponieważ jesteś światowej klasy łamaczem kodów?

Cholera.

- Nie użyłam określenia „światowej klasy”...

- No właśnie! - Twarz Liama rozjaśniła się z podekscytowania, a mnie aż coś zakłuło. - Możesz spróbować?

Cholera, cholera.

- Ja... Cóż, chyba tak - powiedziałam, próbując zachować neutralny wyraz twarzy. - Zu, mogę jeszcze raz rzucić okiem na twój notatnik?

Wszyscy się we mnie wpatrywali. Czułam się sparaliżowana, jakby cała trójka usiadła mi właśnie na klatce piersiowej. Ogrzewanie było wyłączone, więc w samochodzie panował lodowaty chłód, mnie jednak ogarnęła gorąca, lepka panika. Trzymałam się tego notatnika, jakby była to moja ostatnia deska ratunku.

Wiedziałam, że istnieją dzieciaki, które potrafią jedynie rzucić okiem na kilkadziesiąt cyfr, by po chwili przedstawić skomplikowane współrzędne albo znaleźć zagadkę ukrytą w krzyżówce, ale ja z pewnością do nich nie należałam.

Pulpet parsknął.

- Wygląda na to, że Lidze coś się poplątało.

- Hej - rzucił Liam ostro. - My zastanawiamy się nad tym cholerstwem od dwóch tygodni i do niczego jeszcze nie doszliśmy. Naprawdę nie możesz jej dać godziny?

Można było podstawić cyfry pod litery EDO. Pięć, cztery, piętnaście? Rany, jakie jeszcze istnieją kody? Numery pociągów. Nie, to nie pasowało. A może to wcale nie był kod? Nie oszukujmy się. To by było nawet bardziej logiczne. Ta zagadka powinna być na tyle prosta, by odgadły ją zarówno dzieci w obozie, jak i poza nim. Gdyby była za trudna, nikt nigdy by jej nie rozwiązał.

Skłam, pomyślałam, odgarniając z twarzy zabłąkany kosmyk włosów. Po prostu skłam. Zrób to. Powiedz cokolwiek! Co zazwyczaj oznacza się w USA trzema cyframi? Cenę, godzinę, numery kierunkowe...

- O! - Gdyby okazało się, że mam rację, powinnam raczej zawołać: O Boże!

- O? - powtórzył Liam. - „O” co?

- Wyleciało mi to z głowy... Właściwie mogę się mylić - poprawiłam się - ale wydaje mi się, że to numer kierunkowy do Wirginii.

- Numery kierunkowe nie składają się z czterech cyfr - oznajmił Pulpet. - Pięć, cztery, piętnaście nie pasuje.

- Ale pięć, cztery, zero tak! - powiedziałam. - Ludzie często podstawiają literę „O” za zero, kiedy mówią, prawda?

Liam podrapał się po głowie i spojrzał na Pulpeta.

- Pięć, czterdzieści? Mówi ci to coś?

Odwróciłam się do Pulpeta i nagle ujrzałam go w zupełnie nowym świetle.

- Pochodzisz z Wirginii?

Skrzyżował ramiona i wyjrzał przez okno.

- Pochodzę z północnej części Wirginii.

Można się było tego domyśleć.

- Pięć, czterdzieści to kierunkowy zachodniej części Wirginii - wyjaśniłam Liamowi. - Nie wiem, jaką część obszaru obejmuje, ale wydaje mi się, że oznacza tę okolicę. - Postukałam palcem o mapę. Nie wydawało mi się. Miałam pewność. Pięćset czterdzieści było naszym numerem kierunkowym, kiedy mieszkałam z rodzicami w Salem. - Jest tu mnóstwo miast i mniejszych miejscowości, ale także sporo nieużytków. To całkiem niezłe miejsce na kryjówkę.

- Naprawdę? - skupiony na obserwowaniu drogi Liam mówił spokojnym głosem, ale jego obojętność wydała mi się podejrzana. - Dorastałaś w tej okolicy?

Spojrzałam znów na notatnik, czując ukłucie w żołądku.

- Nie.

- A więc w Virginia Beach?

Potrząsnęłam głową.

- Na pewno nie słyszeliście o tym miejscu.

Usłyszałam mlaśnięcie. Pulpet już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, kiedy z fotela kierowcy rozległo się głośne chrząknięcie. Porzuciliśmy ten temat i nikt nie miał ochoty do niego wracać, a już na pewno nie ja.

- Cóż, to dobry trop, chociaż żałuję, że ta okolica nie jest nieco mniejsza. - Liam spojrzał na mnie. - Dzięki, Ruby.

Zalało mnie przyjemne ciepło.

- Nie ma za co. - A jeśli się mylę... Odegnałam tę myśl. To był naprawdę dobry trop.

Liam zajrzał w zaułek, upewniając się, że nic nie stoi nam na przeszkodzie, po czym złożył mapę i wrzucił ją z powrotem do otwartego schowka. Silnik Betty zapalił z niskim warknięciem.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Pulpet.

- Znam takie jedno miejsce. Już tam kiedyś nocowałem. Podróż zajmie nam najwyżej dwie godziny. Jeśli się jednak zgubię, jedno z was, moi drodzy Wirgińczycy, będzie musiało stanąć na wysokości zadania i mi pomóc.

Już od dawna nikt mnie w ten sposób nie nazwał - nagle stałam się osobą, która ma dom. To prawda, urodziłam się tutaj, ale tyle czasu spędziłam w Thurmond, że to obóz stał się moim domem. Szare ściany i betonowe podłogi wywabiły z mojej pamięci niemal każde wspomnienie domu moich rodziców, wymazując najpierw szczegóły - zapach miodowych

ciastek mojej mamy, kolejność zdjęć na ścianie tuż przy schodach - a następnie pożerając pozostałe obrazy.

Czasem w nocy, kiedy w Baraku było tak cicho, że można było myśleć, i kiedy pozwalałam sobie zatęsknić za domem, zastanawiałam się, czy dom, który pielęgnowałam w sercu, oznacza miejsce, w którym się urodziłam, czy miejsce, w którym się wychowywałam. Nie byłam pewna, czy mam prawo wybrać jedno z nich. Być może to miejsce samo mnie wybrało.

Prawdę mówiąc, kiedy patrzyłam na swoje odbicie w oknie, nie widziałam już ani śladu Ruby, która mieszkała w małym białym domku na końcu ulicy. Tej samej Ruby, której palce kleiły się od miodu, a z warkoczy wymykały się niesforne kosmyki. W pewnym sensie czułam się wtedy pusta - jakbym zapomniała słów ulubionej piosenki. Ta dziewczynka zniknęła bezpowrotnie, a zostało po niej tylko to, czego nauczył ją obóz - strach przed jasnymi marzeniami, które wypełniały jej serce.

Mijaliśmy kolejne zjazdy do Harrisonburga i drogowskazy na Uniwersytet Jamesa Madisona. Jazda jedną z głównych szos z nadzieją, że nikt nas nie zatrzyma, nie należała do moich ulubionych rozrywek, ale na razie ryzyko się opłacało - przynajmniej ze względu na widoki.

Uwielbiałam przepiękną dolinę Shenandoah - każdy centymetr jej połaci. Kiedy byłam mała, rodzice wcześniej zwalniali mnie ze szkoły i zabierali na weekendowy biwak albo piesze wędrówki. Nigdy nie brałam ze sobą do samochodu książek ani gier – nie potrzebowałam ich. Przez cały czas patrzyłam przez okno i chłonęłam piękne pejzaże.

W filmach, zwłaszcza tych starych, często bywa tak, że kadr zatrzymuje się na bohaterze i bohaterce spoglądających ponad czubki drzew lub na drugi brzeg rzeki, a słońce pod właściwym kątem oświetla korony drzew przy akompaniamencie narastającej muzyki. Tak właśnie czułam się, kiedy wjeżdżaliśmy do doliny Shenandoah.

Dopiero kiedy ujrzałam delikatną błękitną mgłę spowijającą góry, zrozumiałam, że naprawdę jesteśmy w zachodniej części Wirginii. I że gdybyśmy dalej jechali szosą, bylibyśmy o dwie godziny drogi od domu moich rodziców w Salem. Dwie godziny.

Nie wiedziałam do końca, jak się z tym czuję.

- O, nie! - jęknął Liam, wskazując na tymczasowy znak drogowy, który głosił: droga 81 pomiędzy harrisonburgiem

A STAUNTON ZAMKNIĘTA. PROSZĘ KORZYSTAĆ Z DRÓG LOKALNYCH.

Około godziny dziewiątej rano tak mocno zapuściliśmy się w głąb Harrisonburga, że wyczuwaliśmy tętniące w nim życie. Tu i ówdzie dało się zauważyć właścicieli restauracji

otwierających drzwi lokali, żeby wpuścić do środka trochę światła. Minęliśmy kilkoro dorosłych pedałujących na rowerach, którzy z torbami i teczkami w rękach oraz ze spuszczonymi głowami balansowali ostrożnie na dwóch kołach. Nawet nie podnieśli wzroku, kiedy przejeżdżaliśmy obok.

Wokół brakowało jedynie studentów tutejszego uniwersytetu. Nie zauważyłam ani jednego.

Pulpet westchnął i oparł czoło o szybę.

- Wszystko w porządku, stary? - spytał Liam. - Mam zrobić postój, żebyś mógł powdychać powietrze przesiąknięte akademickością?

- A po co? - Pulpet potrząsnął głową. - Uniwersytet jest zamknięty, podobnie jak wszystkie pozostałe.

Obróciłam się w fotelu.

- Dlaczego?

- Głównie ze względu na brak studentów. Jeśli jesteś w wieku studenckim, jesteś także w wieku poborowym. Nawet gdyby nie o to chodziło, wydaje mi się, że ludzi po prostu już nie stać na studia.

- To strasznie przygnębiające...

- Moja propozycja nadal jest aktualna - powiadomił Liam przyjaciela. - Jeśli tylko czujesz potrzebę, by usiąść na jednym z tych niewygodnych krzesełek i przez chwilę wpatrywać się w tablicę, chętnie włamię się do którejś z sal. Wiem, że przepadasz za zapachem tych kolorowych flamastrów.

- Dziękuję - odparł Pulpet, składając dłonie na kolanach - ale to nie będzie konieczne.

Minęliśmy coś, co musiało być kiedyś czarnym kutym ogrodzeniem, a teraz pokryte było czymś przypominającym zniszczony patchworkowy koc. Kiedy się do niego zbliżyliśmy, zrozumiałam, że patrzymy na setki, może tysiące kartek papieru przyczepionych lub przywiązanych do ogrodzenia oraz wetkniętych pomiędzy pręty.

Liam zwolnił i zsunął z nosa okulary przeciwsłoneczne, żeby przyjrzeć się ogrodzeniu.

- Co tam jest napisane? - zapytał Pulpet. - Nie widzę...

Zu znów oparła głowę o fotel i zamknęła oczy.

Były to plakaty osób zaginionych. Widniały na nich twarze małych dzieci oraz nastolatków, fotografie i znaki z tekstem rozmytym przez krople deszczu - największym z nich był transparent, na którym napisano jedynie: mateusz, 19, 14. Baner był przekrzywiony, tak jakby ktoś próbował go zedrzeć, a potem inna osoba niedbale przywiesiła go z powrotem.

Ściana wyblakłego papieru wysmagana była wiatrem, który dął pomiędzy prętami, wyrywając najwątlejsze kartki i sprawiając, że inne powiewały jak skrzydełka kolibra. Pomiędzy pręty - tam, gdzie było jeszcze miejsce - powtykano maskotki, kwiaty, kocyki i wstążki.

Nie, oni nie zaginęli, pomyślałam. Te dzieci zostały zabrane albo naprawdę zniknęły na zawsze. Jeśli ich rodziny szukały ich za pośrednictwem plakatów, to pewnie chciały, by do nich wróciły.

- Boże - wycedził Liam. - Kiedy znów będziemy mogli wjechać na osiemdziesiątkę jedynkę?

Rosnące po obu stronach jednokierunkowej ulicy jesiony dopiero pokrywały się świeżą szatą liści. W popołudniowym słońcu rzucały długie cienie na wijącą się przed nami drogę.

14

Zapadłam w sen gdzieś pomiędzy Staunton a Lexington i obudziłam się w chwili, kiedy w miejscowości Roanoke stanęliśmy przed olbrzymim białym magazynem, gdzie w przeszłości mieściło się centrum handlowe Walmart.

Owszem, niebieski szyld nadal desperacko trzymał się bocznej ściany budynku, ale był to jedyny ślad po dawnym supermarkecie. Na parkingu tu i ówdzie widać było zabłąkane wózki sklepowe - popychane podmuchami wiatru rozjeżdżały się w różne strony. Z wyjątkiem kilku porzuconych samochodów i zielonych kontenerów na śmieci asfaltowa płyta parkingu była zupełnie pusta. Muśnięte pomarańczowym rumieńcem niebo wyglądało tak, jakby Wirginię dotknęła apokalipsa.

Znajdowaliśmy się w niewielkiej odległości od Salem. Dzieliła nas od niego może dziesięciominutowa podróż samochodem. Na myśl o tym ścisnęło mnie w żołądku.

Liam znów postanowił, że sam pójdzie się rozejrzeć. Na ramieniu poczułam gumową rękawiczkę Zu i nie musiałam nawet na nią patrzeć - wiedziałam, jaką ma minę. Podobnie jak ja nie chciała, by Liam sam zapuszczał się do tej obmierzłej rudery.

To właśnie dlatego z nimi zostałaś, przypomniałam sobie. Żeby się nimi zająć. A w tej chwili człowiek, który najbardziej mnie potrzebował, powoli znikał nam z oczu.

Wyskoczyłam z Betty.

- W razie kłopotów zatrąbcie trzy razy - powiedziałam i zasunęłam drzwi. Liam musiał mnie usłyszeć, ponieważ czekał na mnie, oparty o jeden z zardzewiałych stojaków na wózki.

- Czy zdołam cię przekonać, żebyś wróciła do Betty?

- Nie - odparłam. - Chodźmy.

Ruszył za mną, wtykając pięści głęboko do kieszeni. Nie widziałam jego oczu, ale mogłam wyczytać wszystko ze sposobu, w jaki garbił plecy, kiedy kierował się w stronę zniszczonych drzwi.

- Wcześniej pytałaś mnie, skąd znam to miejsce... - rzucił, kiedy znaleźliśmy się tuż przy wejściu.

- Nie, nie... Nie musisz mi mówić. Wiem, że to nie moja sprawa.

- Spokojnie - powiedział Liam. - Po prostu nie wiem, od czego zacząć. Wiesz, że ja i Pulpet się ukrywaliśmy, prawda? Cóż, żaden z nas nie wspomina tego najlepiej, ale on przynajmniej przebywał w domku swoich dziadków w Pensylwanii.

- Już rozumiem. Ty z kolei zaszyłeś się w tym wspaniałym przybytku.

- Między innymi - odparł Liam. - Nie lubię o tym mówić przy Zu. Nie chcę, żeby myślała, że tak będzie teraz wyglądało jej życie.

- Ale nie możesz jej okłamywać. Wiem, że nie chcesz jej straszyć, ale nie możesz też udawać, że jej życie będzie lekkie. To nie fair.

- Nie flir? - Liam gwałtownie wciągnął oddech i zamknął oczy. Kiedy się w końcu odezwał, jego głos znów był pełen łagodności. - Nieważne.

- Hej! - powiedziałam, dotykając jego ramienia. - Naprawdę wszystko rozumiem. Jestem po twojej stronie. Ale nie możesz udawać, że wszystko będzie dobrze. Nie rób jej tego... Nie dawaj jej fałszywej nadziei, którą ktoś potem zdepcze. Byłam w obozie z tysiącami dzieciaków, które myślały, że mamusia i tatuś zawsze będą przy nich. To ich, nas, naprawdę zniszczyło.

- Zaraz, zaraz - rzucił Liam bez śladu gniewu. - Ciebie to nie zniszczyło.

Mogłam się z nim o to kłócić bez końca.

Temu, kto wyciągnął przesuwane szklane drzwi supermarketu z szyn, nie zależało na tym, by odpowiednio je zabezpieczyć. Odłamki szkła pokrywały cementową podłogę i leżały nawet kilkadziesiąt metrów od czarnych metalowych ram. Przeszliśmy przez ich powyginane skrzydła i znaleźliśmy się w niewielkim przedsionku, w którym kiedyś jeden z pracowników sklepu witał gości.

Liam pośliznął się na żółtawym proszku, którym pokryta była podłoga. Stęknął z zaskoczeniem, a ja wyciągnęłam rękę, żeby go podtrzymać. Chłopak nie spuszczał wzroku z ziemi, gdzie wśród pyłu krzyżowało się kilkadziesiąt śladów stóp.

Wśród nich można było znaleźć każdy kształt i rozmiar, od poszarpanego wzoru, który zostawiała podeszwa męskich butów turystycznych, po fantazyjne esy-floresy dziecięcych trampek, a wszystkie ślady były równie wyraźne jak ciasteczka wykrojone ze świeżej porcji ciasta.

- Może to stare ślady? - wyszeptałam.

Liam skinął głową, ale nie oddalił się ode mnie nawet na krok. Ani ja w to nie wierzyłam, ani on.

Prąd w sklepie został odcięty już jakiś czas temu i widać było, że supermarket od dawna jest opuszczony. Po chwili usłyszeliśmy szelest pomiędzy pobliskimi regałami i Liam wyskoczył do przodu, chowając mnie za sobą.

- To... - zaczęłam, ale uciszył mnie, potrząsając głową. Patrzyliśmy w stronę półek i czekaliśmy.

Wtedy zza przewróconych regałów z gazetami wybiegł jelonek - urocze maleństwo o

karmelowym ubarwieniu i wielkich czarnych oczach. Liam i ja wymieniliśmy spojrzenia i roześmialiśmy się niepewnie.

Liam przycisnął palec do ust i dał mi znak, żebym za nim poszła. Spoglądał na ciemny rząd identycznych kas rozciągających się przed nami. Ktoś zgromadził wszystkie koszyki w sklepie i zastawił nimi alejki, jak gdyby próbował stworzyć fortyfikację, która uniemożliwiłaby wejście intruzom. Ostrożnie, nie naruszając stosu plastikowych koszyków, wspięliśmy się na taśmę przy jednej z kas. Stojąc na niej, widziałam drugie wyjście zastawione regałami. Wyglądało to tak, jakby przez prowizoryczną barykadę przebiło się coś potężnego.

Co to mogło być?

Każdy człowiek, psionik czy też nie, potrafi wyczuć fluidy bijące z jakiegoś miejsca. Silne emocje, takie jak strach lub rozpacz, zostawiają w powietrzu ślad i ten, kto odwiedza dane miejsce, prędzej czy później na niego natrafia. Czułam się tak, jakby wabił mnie mrok. Łaskotał mnie pod brodą i szeptał, bym nakłoniła ucha i poznała jego tajemnice.

Tu musiało wydarzyć się coś strasznego, pomyślałam. Ogarnęło mnie lodowate zimno. Wiatr wdzierał się do środka przez otwarte drzwi, gwiżdżąc przerażającą melodię, od której przeszły mnie ciarki.

Chciałam wyjść. Tu nie było bezpiecznie. Nie mogliśmy tu przyprowadzić Zu ani Pulpeta, więc dlaczego Liam zapuszczał się w czeluście sklepu? Nad nami migotało oświetlenie awaryjne, bzycząc jak uwięzione w pudełku muchy. Oświetlało wszystko zielonkawą poświatą. Kiedy Liam posuwał się coraz dalej w głąb pierwszej alejki, miałam wrażenie, że mrok tylko czeka, żeby go pochłonąć.

Zapuściłam się w morze metalowych regałów. Niektóre leżały na podłodze, a inne opierały się o pozostałe, tworząc pochyłe linie. Ich półki uginały się pod jakimś niewidzialnym ciężarem. Podeszwy moich butów skrzypiały na podłodze, kiedy przemykałam pośród gąszczu rozrzuconych balsamów do ciała, płynów do płukania ust i lakierów do paznokci. Przedmioty, które w przeszłości wydawały się tak niezbędne, teraz skazane były na zapomnienie.

Zrównawszy się z Liamem, zacisnęłam palce na miękkim, luźnym rękawie jego skórzanej kurtki. Kiedy poczuł leciutkie szarpnięcie, odwrócił się, a w jego błękitnych oczach malowało się zdziwienie. Cofnęłam się o krok i opuściłam rękę, sama zaskoczona swoim zachowaniem. Wydawało mi się to tak naturalne, że nie zastanowiłam się nad tym, kierując się jedynie nagłą potrzebą, by być blisko niego.

- Myślę, że powinniśmy stąd iść - wyszeptałam. - Coś mi tu nie gra. - Nie miało to nic

wspólnego z przeraźliwym wyciem wiatru ani ptakami ukrytymi w krokwiach budynku.

- Nie martw się - powiedział. Stał do mnie tyłem, ale wyjął rękę z kieszeni i wyciągnął ją do mnie w mroku. Nie wiedziałam, czy w ten sposób przywołuje mnie do siebie czy chce, żebym ją ujęła, ale nie potrafiłam się zdobyć ani na jedno, ani na drugie.

Ramię w ramię ruszyliśmy w stronę prawego rogu w głębi pomieszczenia. Ta część sklepu, w której składowano wyroby żelazne i żarówki, wydawała się nienaruszona. Pewnie ludzie, którzy opróżnili pozostałe półki, uznali, że nie mają tu czego szukać.

Od razu się zorientowałam, dokąd idziemy. Ktoś założył tu swoje własne obozowisko, moszcząc sobie posłanie z niebieskich materaców do pływania. Na małej lodówce leżało kilka pustych opakowań po krakersach i babeczkach, a na tym wszystkim stały małe bezprzewodowe radyjko i latarka.

- O rany, nie mogę uwierzyć, że to nadal tu jest. - Liam zatrzymał się metr za mną z rękami splecionymi na piersi. Podążyłam za jego wzrokiem i dostrzegłam kilkanaście wgnieceń w pękniętym białym kafelku, które niemal odwróciły moją uwagę od kalejdoskopu plam krwi tuż u jego stóp.

Otworzyłam usta.

- To stara krew - powiedział Liam szybko, jakby ta informacja miała mnie pocieszyć.

Wyciągnął do mnie rękę i zmusił się do uśmiechu. Wypuściłam wstrzymywane dotąd powietrze i sięgnęłam, żeby ją złapać.

Kiedy tylko nasze dłonie się zetknęły, zobaczyłam to. Oświetlenie awaryjne na tylnej ścianie włączyło się nagle niczym reflektor, oświetlając wymalowane na niej olbrzymie czarne i widniejący pod nim jasny przekaz: wynoś się stąd.

Grube, nierówne litery wyglądały tak, jakby płakały. Żarówka zabzyczała i światło wysiadło z głośnym trzaskiem, ja jednak rzuciłam się naprzód, wyrywając się Liamowi. Podbiegłam do wymalowanych sprayem liter. Ten zapach i to, w jaki sposób słowa spływały po ścianie...

Przycisnęłam palce do symbolu Psi i poczułam lepką substancję. Była czarna.

Świeża farba.

Kiedy Liam do mnie dobiegł, ogarnęło mnie dziwne gorąco. Spojrzałam w dół, pewna że zobaczę płomień pożerający tę śmieszną sukienkę, którą dostałam od Zu, ale natychmiast upadłam, a Liam spadł na mnie. Zostaliśmy zmieceni niczym dwie stokrotki wyrastające ze szczelin w kafelkach.

Ramię Liama wbiło się w moją klatkę piersiową, pozbawiając mnie tchu. Próbowałam unieść głowę, by zobaczyć, co się właściwie stało, ale on przygniótł mnie niczym potężny

głaz.

Na plecach czułam lodowatą podłogę, ale skupiłam się jedynie na ramieniu Liama przyciśniętym do mojego policzka. Leżeliśmy tuż obok siebie, tak że przez chwilę nie wiedziałam, gdzie zaczyna się moja ręka, a gdzie jego. Z trudem przełknął ślinę. Był tak blisko, że słyszałam pulsowanie jego krwi.

Liam uniósł głowę, napinając mięśnie karku.

- Hej! - krzyknął. - Kto tu jest?

Jedyną odpowiedzią było kolejne szturchnięcie niewidzialnych rąk. Nagle ktoś zaczął ciągnąć nas po ziemi. Skórzana kurtka Liama skrzypiała po podłodze. Spoglądałam na oświetlenie awaryjne, które przesuwało się przed naszymi oczami w oszałamiającym tempie, łącząc się w pojedynczą wiązkę światła. Z alejek dobiegł nas drwiący śmiech płynący z dołu, z góry, z każdej strony. Kątem oka dostrzegłam przesuwającą się ciemną sylwetkę, która przypominała raczej potwora niż człowieka. Przeciągnięto nas przez wstążki podartych zasłon prysznicowych, alejki z balsamami do ciała i wybielaczami, aż dotarliśmy do rzędu kas we frontowej części sklepu.

- Przestańcie! - wrzasnął Liam. - My...

Istnieją dźwięki, których nigdy się nie zapomina. Trzask łamanej kości. Melodyjka wygrywana przez furgonetkę sprzedawcy lodów. Rozrywany rzep. Odbezpieczana broń.

Nie!, pomyślałam. Nie teraz, nie tu!

Zatrzymaliśmy się, boleśnie uderzając w metalowe stanowisko jednej z kas. Ból rozlał się po moim ciele. Przez chwilę panowała absolutna cisza, a po chwili sklep zalał się jasnością. Nagle włączyła się kasa, a za nią jej taśma - najpierw w jednej alejce, potem w następnej i kolejnej. Posłuszne jak wykonujący rozkaz żołnierze. Ponumerowane znaki ponad nimi zamrugały żółtym i niebieskim światłem, jakby wydawały sygnały ostrzegawcze - tak szybko, że ledwo za nimi nadążałam.

Najpierw wydawało mi się, że to Biały Szum. Nagle włączył się alarm bezpieczeństwa oraz interkom, a następnie rozbłysły ekrany telewizorów. Ponad tym wszystkim usłyszeliśmy krzyk setek głosów. Jedno za drugim włączyły się wszystkie światła na suficie - przez ich puste zakurzone żyły po latach przepłynęła w końcu elektryczność.

Liam i ja odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Zu, która gołą ręką opierała się o jedną z kas. Tuż przy niej stał poszarzały na twarzy Pulpet.

Zaledwie po kilku sekundach przepięcia spowodowanego przez Zu światełka kas zaczęły syczeć jak fajerwerki, sypiąc na ziemię niebieskobiałe iskry i szkło.

Pewnie chciała tylko odwrócić ich uwagę, tak byśmy zdążyli uciec. Kątem oka

widziałam, jak do nas macha, ale maszyna pod jej drugą dłonią rozgrzała się do czerwoności. Poczułam, że uchwyt niewidzialnych dłoni nagle słabnie, ale lęk nie pozwolił mi się ruszyć. Zu nie odpuszczała. Zarówno Liam, jak i ja musieliśmy myśleć o tym samym - musieliśmy odczuwać ten sam palący strach - ponieważ podnieśliśmy się na nogi i krzyknęliśmy, żeby przestała.

- Wyłącz ją! - krzyknął ktoś ponad wyciem alarmu.

- Zu, puść! - Liam potknął się o pojemniki z filtrem przeciwsłonecznym i sprayem na owady, które pospadały z pobliskich półek. Uniósł ręce, gotowy użyć swoich zdolności, aby powstrzymać Zu, ale Pulpet był szybszy. Zdjął rękawiczkę z drugiej dłoni dziewczynki i naciągnął ją na własną, a następnie oderwał jej rękę od metalu.

Światła wysiadły. Jeszcze zanim żarówki na suficie eksplodowały, zobaczyłam twarz Zu, która wychodziła właśnie z transu. Jej duże oczy otoczone były czerwoną obwódką, krótkie czarne włosy stanęły dęba, a piegi wyraźnie odcinały się na jej zalanej rumieńcem, owalnej twarzy. Nagły mrok pozwolił Liamowi przygwoździć Zu i Pulpeta do ziemi.

Po chwili znów rozbłysło oświetlenie awaryjne.

To nie my ruszyliśmy się jako pierwsi. Tym razem wyraźnie widziałam naszych napastników, którzy wspinali się po stosach pogruchotanych białych półek. Było ich czterech - każdy z nich w czerni, każdy z bronią w dłoniach, gotowy do oddania strzału. Gdy tylko zobaczyłam ich czarne mundury, chciałam uciekać - zebrać moich towarzyszy i wiać.

Ale to nie byli żołnierze SSP. To nie byli nawet dorośli.

To były dzieciaki, tak jak my.

15

Kiedy się zbliżyli, dostrzegłam ich niedopasowane ciemne ubrania i zabrudzone twarze. Byli przeraźliwie wychudzeni i mieli zapadnięte policzki, jakby w przeciągu krótkiego czasu gwałtownie urośli.

Byli to sami chłopcy, wszyscy mniej więcej w moim wieku.

Pewnie w ostateczności dalibyśmy sobie z nimi radę.

- Ożeż ty... - wymamrotał jeden z nich, stojący najbliżej, potrząsając czupryną rudych włosów. - Mówiłem, że trzeba było najpierw sprawdzić tego vana.

Z rumowiska wyłoniła się jasna głowa Liama.

- Co wy tu, do diabła, odstawiacie? - warknął. Usłyszałam także inny dźwięk, coś jakby miauczenie kota albo płacz małej dziewczynki.

Przeskoczyłam nad koszem z przecenionymi płytami DVD. Zu siedziała na podłodze, a Pulpet przyglądał się jej różowej dłoni. Bez okularów na nosie wyglądał zupełnie inaczej.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Żadnych oparzeń.

Liam znalazł się nagle przy mnie, wspierając się na moim ramieniu, kiedy wdrapywał się po przewróconych regałach.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Dobrze - odparłam. - Jestem wkurzona. A ty?

- Dobrze. Jestem wkurzony.

Byłam pewna, że kiedy zbliżymy się do chłopców, będę musiała go od nich odciągnąć, ale z każdym krokiem złość najwyraźniej mu mijała. Chłopcy ustawili się obok przewróconej półki z kolorowymi zabawkami do pływania. Najwyższy z nich, nastolatek ze strzechą kręconych brązowych włosów otaczających cieniutką szyję, wystąpił przed innych - rudego chłopaka i dwóch postawnych blondynów, którzy wyglądali jak bracia.

- Stary, przykro nam - powiedział.

- Zawsze się tak zachowujecie? - odparł Liam. - Atakujecie ludzi, nie sprawdzając nawet, czy są uzbrojeni? Nie upewniacie się, czy nie są przypadkiem tacy jak wy?

Przywódca bandy się najeżył.

- Mogliście być łowcami nagród.

- Poza tym to wasza Żółta jest odpowiedzialna za... to wszystko. - Rudy wskazał na półki. - Tego dzieciaka trzeba trzymać na smyczy.

- Na twoim miejscu bym uważał - warknął Liam. Blondyni zrobili krok naprzód, gotowi podjąć wyzwanie. - Nie spanikowałaby, gdybyście nie wyciągnęli broni.

- Nie musielibyśmy tego robić, gdybyście potraktowali nasze ostrzeżenie poważnie i odeszli.

- Tak, bo przecież daliście nam na to tyle czasu... - drwił Liam.

- Słuchajcie, możemy się tak przekomarzać bez końca - przerwałam im. - Chcieliśmy tu spędzić noc, ale jeżeli to wasz teren, odejdziemy. Tylko po to tu przyjechaliśmy. Szukaliśmy schronienia.

- Schronienia - powtórzył ich przywódca.

- Mówię niewyraźnie?

- Nie, ale nadal dzwoni mi w uszach po tej akcji, którą odstawiła wasza Żółta - mruknął. - Może na wszelki wypadek powinnaś to powtórzyć, maleńka.

Liam wyciągnął rękę i zatrzymał mnie, zanim zdążyłam zaatakować chłopaka.

- Chcemy tu tylko przenocować. Nie szukamy kłopotów - powiedział stanowczo.

Przywódca bandy zmierzył mnie wzrokiem i zatrzymał się na moich zaciśniętych pięściach, w których miętam materiał sukienki.

- Wygląda na to, że już je znaleźliście.

Ich przywódca miał na imię Greg i pochodził z Mechanicsville w Wirginii. Nerwowy rudzielec nie chciał się przedstawić, ale inni mówili do niego Collins. Dosłyszałam, że pochodzi z jakiegoś miasteczka w Pensylwanii, ale nie miał ochoty dodawać nic więcej. Blondyni, którzy zgodnie z moimi przewidywaniami okazali się braćmi, nazywali się Kyle i Kevin. Jedyne, co łączyło tę przedziwną grupę, poza zapasem jedzenia i niepokojącą stertą noży i broni, to to, że trafili do jednego obozu w Nowym Jorku, który nazywali pieszczotliwie Dupskiem Szatana.

Kiedy zabraliśmy się do wspólnej kolacji złożonej z suszonych owoców, starych chipsów i czekoladowych batoników, podzielili się z nami niezwykle dramatyczną - i zupełnie nieprawdopodobną - historią ucieczki spod opieki SSP.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem - powiedział Pulpet z niedowierzaniem. - Przewożono was z obozu do obozu?

Greg oparł się o szklane drzwi jednej z chłodziarek.

- Nie wieźli nas do innego obozu. Upakowali w autobusie tylu chłopaków, ilu się zmieściło, i powiedzieli, że wiozą nas do ośrodka badawczego w Maryland.

- Tylko chłopaków? - zapytał Pulpet.

- Nie mieliśmy tam dziewczyn. - W głosie Grega czuć było zawód. To wiele wyjaśniało. Rozumiałam już, dlaczego niezależnie od tego, jak bardzo starałam się od niego oddalić, wciąż się do mnie przysuwał. - W przeciwnym wypadku one także znalazłyby się w

autobusie.

- Nie mogę uwierzyć, że podali wam taką informację - odparłam, próbując sprowadzić naszą rozmowę na właściwe tory. - Myślicie, że właśnie tam was wieźli?

- Nie - wciął się Collins. - Widać było, że dostali wyraźny rozkaz, żeby się nas pozbyć.

- I naprawdę zrobiła się taka ulewa, że autobus się wywrócił, co umożliwiło wam ucieczkę?

Był to jeden z wątków ich opowieści, w który trudno mi było uwierzyć. Czy to naprawdę mogło być takie proste? Wystarczyła interwencja ze strony matki natury, żeby w biblijnym stylu zostali ocaleni z potopu i wyrzuceni na brzeg wolności? A co się stało z pilnującymi ich żołnierzami SSP?

- Od tamtego czasu się tu ukrywamy. Zajęło mi jakieś sześć miesięcy, żeby dać znać mojemu tacie, że żyję i jestem bezpieczny, a potem kolejne trzy, bym otrzymał od niego odpowiedź.

Pulpet nachylił się do niego.

- Niby jak się z nim skontaktowałeś? Przez internet?

- Co ty, stary - odparł Greg. - Po tych wszystkich atakach terrorystycznych w internecie nie można nawet szukać przepisów kulinarnych, żeby żołnierze SSP nie wyłamali ci drzwi do domu i nie wpadli do środka całą brygadą. Wystarczy, że wyczują jakiekolwiek kłopoty.

- Po jakich atakach? - przerwałam im.

- Po atakach Ligi - oznajmił Pulpet. - Nie pamiętasz... Aha...

Uświadomił sobie swój błąd i z cierpliwością, o jaką bym go nie podejrzewała, wyjaśnił:

- Trzy lata temu Liga włamała się do rządowych baz danych Psi i próbowała podać informacje o obozach do wiadomości publicznej. Ich krok ośmielił grupy hakerów, którzy zaczęli się włamywać na strony banków, giełdy i Departamentu Stanu...

- Więc się z tym wszystkim rozprawili?

- Tak. Zamknięto większość portali społecznościowych, a wszystkie serwisy oferujące usługi poczty elektronicznej zobowiązane są kontrolować wiadomości przepływające przez ich serwery. - Zwrócił się do pozostałych chłopców, którzy wpatrywali się we mnie z ciekawością. Wydaje mi się, że Kevin, a może Kyle ani razu nie spuścił ze mnie wzroku. - A więc jak?

- W bardzo prosty sposób - odparł Greg, po czym mrugnął do mnie, co uznałam za

zupełnie niestosowne. - Skorzystaliśmy ze środków, jakie nam pozostały. W lokalnej gazecie zamieściłem ogłoszenie, które było zrozumiałe tylko dla mojego brata.

Nie musiałam nawet patrzeć na Pulpeta - byłam pewna, że przyglądał się Gregowi podejrzliwie. Poczułam bijące od niego napięcie.

- A kto niby zapłacił za to ogłoszenie? Przecież chyba redaktorzy nie pozwolili ci go zamieścić za darmo?

- Nie, Uciekinier to zrobił - odpowiedział Greg. - We wszystkim mi pomógł.

Wyprostowałam się, odrzucając puste opakowanie po przekąskach.

- Macie kontakt z Uciekinierem?

- No jasne. On jest jak... bóg - powiedział Collins. Jego oddech przyspieszył. - Zebrał nas wszystkich. Wziął dzieciaki z Nowej Anglii i z Południa, bez względu na kolor skóry, młodsze i starsze. Mówią, że SSP trzyma się z dala od jego leśnej kryjówki, ponieważ się go boją. Mówią, że podpalił obóz i zabił wszystkich żołnierzy, którzy ruszyli za nim w pogoń.

- Kim on jest? - zapytałam.

Cała czwórka wymieniła się uśmiechami, a migoczące na ich twarzach cienie rzucane przez lampy awaryjne nadały im jeszcze bardziej przebiegły wygląd.

- Mówcie dalej - rzucił Pulpet, z entuzjazmem chłonąc każde ich słowo. - Jak udało mu się wpłacić pieniądze za ogłoszenie? Jak wygląda East River i gdzie to jest?

Obejrzałam się przez ramię na Liama, który stał za mną oparty o chłodziarkę, gdzie kiedyś przechowywano mrożonki. Przez cały ten czas był dziwnie cichy. Miał zaciśnięte usta, ale jego twarz pozbawiona była jakichkolwiek emocji.

- Nieźle się urządzili w tym East River - oznajmił Collins. - Ale jeśli chcecie je odnaleźć, jesteście zdani na siebie.

- Na to wygląda - powiedział w końcu Liam. - Czy jest tam dużo dzieciaków?

Cała czwórka musiała się zastanowić.

- Ponad setka, ale na pewno nie tysiące - odparł Greg. - A co?

Liam potrząsnął głową, a ja zdziwiłam się, kiedy w jego twarzy dostrzegłam rozczarowanie.

- Tak się tylko zastanawiam. Pewnie większość nigdy nie trafiła do obozów?

- Niektóre tak. - Greg wzruszył ramionami. - A niektóre z nich trafiły do East River, uciekając przez łowcami nagród i SSP.

- A Uciekinier... Czy on...? - Liam nie był pewny, jak sformułować to pytanie. - Czy on ma dla nich jakieś plany? Jaki ma w tym wszystkim cel?

Wyglądało na to, że innym pytanie Liama wydało się równie dziwne jak mnie.

- Żadnego - powiedział Greg, a ja uświadomiłam sobie, że nie wiem właściwie, dlaczego Liam szuka Uciekiniera. Uznałam po prostu, że tak jak pozostali chce go znaleźć, by pomógł mu wrócić do domu i dostarczyć list Jacka. Jeśli jednak chodziło tylko o to, to skąd wziął się żar w oczach Liama? Chociaż dłonie wetknięte miał w kieszenie, widać było, że zacisnął je w pięści.

- Może chociaż powiecie, jak się tam dostać? - zapytałam.

- No, no... - W twarzy Grega coś się zmieniło. Uśmiechnął się słodko i położył mi dłoń na stopie. Bracia Kyle i Kevin, którzy dotąd nie odezwali się nawet słowem, teraz spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Starałam się przełknąć narastającą we mnie odrazę. - Na pewno chętnie cię do siebie przyjmą - powiedział Greg, a jego palce ześlizgnęły się z mojego buta i musnęły kostkę. Zaczęłam się cofać, ale przestałam, kiedy dodał: - Ich obozowisko znajduje się w świetnym miejscu na wybrzeżu, ale nie mają tam zbyt wielu dziewczyn. Pewnie nie pogardziliby taką... ślicznotką.

Jego palce znów się poruszyły, muskając wnętrze mojej łydki.

- Powinniście tam pojechać. Uważajcie tylko, żeby nie wpaść w ręce jednego z plemion. Grupa Niebieskich szwenda się w okolicach Norfolk, te parszywe dzieciaki ukradną wam nawet ciuchy. W okolicy kręciło się też plemię Żółtych, ale chłopak, z którym byliśmy w obozie, twierdzi, że zabrało ich SSP.

Pierwszy raz słyszałam o tych „plemionach". Zgraja dzieciaków włóczących się po lasach? Niesamowite.

Ciepła mięsista dłoń Grega sunęła coraz wyżej, aż dotarła do mojego kolana i lekko je ścisnęła - na tym jego próby miały się skończyć. W głowie poczułam pulsowanie, silniejsze nawet niż mój gniew. Kiedy przed oczami pojawiły się migoczące obrazy, musiałam zamknąć oczy. Na leśnej drodze zobaczyłam zarys jasnożółtej sylwetki autobusu. Mignęła mi zamazana twarz kobiety śpiewającej piosenkę, której nie słyszałam. Płomień obozowego ogniska rozjaśniający mrok nocy. Twarze Kevina i Kylea pochylone nad czymś, co wyglądało jak radiobudzik, pośrodku zniszczonego sklepu z elektroniką. Cyfry na tarczy zegara rosłyx ale nie odliczały czasu. W ciemności jaśniały elektryczną zielenią - 310, 400,460, 500, aż w końcu zatrzymały się na.

Zacisnęłam pięść, by oderwać się zarówno od Grega, jak i od jedwabistej chmury jego wspomnień, ale Pulpet mnie uprzedził. Z pogardliwym wyrazem twarzy zaczął odejmować palce Grega z mojego kolana - jeden po drugim. Oczy niczego nieświadomego Grega były szkliste, a on sam zdawał się lekko oszołomiony. Rozejrzałam się dookoła nieprzytomnie, czując, że serce podchodzi mi do gardła, jednak najwyraźniej nikt niczego nie zauważył.

Poruszył się jedynie Pulpet, ale zrobił to tylko po to, żeby się do mnie przysunąć.

Cholera, pomyślałam i ponownie zacisnęłam powieki. Jedną rękę przycisnęłam do czoła, jakbym mogła siłą powstrzymać niewidzialne palce mojego umysłu. Było zbyt blisko, zdecydowanie zbyt blisko.

- Jak on się nazywał? Ten Żółty, który pracował z nami w kuchni? Fred? Frank? - Collins położył się na swoim śpiworze i złożył ręce na piersi.

- Felipe... Felipe Marino? - Wzrok Grega znów się wyostrzył, a jego oczy powędrowały ku mojej nodze, dużo wyżej, niż pozwoliłam na to jego dłoni.

- Felipe? - odezwał się Liam tak nagle, jak gdyby przebudził się z transu. - Powiedziałeś Felipe Marco?

- Znasz go?

Liam skinął głową.

- Trochę razem podróżowaliśmy.

- Pewnie zanim go złapali - odparł Greg. - To on powiedział nam o tym miejscu. Mówił, że mieszkał tu z jakimś kumplem. To ty?

- Tak. Co się z nim stało? - Liam uklęknął, wciskając się pomiędzy Grega i mnie. - Trafiliśmy do różnych obozów.

Greg wzruszył ramionami.

- Znalazł się w jednym z wcześniejszy autobusów do Maryland. Kto to wie...

A więc Żółtych z ich obozu także się pozbyto. Musieli ich zabrać tylko z dużych obozów, nie z tych małych, które rozrzucone były dalej na zachodzie.

- Brakuje mi go. Był bystry. Wiedział, jak używać swoich umiejętności... lepiej niż ta wasza pupilka. Równie dobrze możecie ją odesłać, bo do niczego się wam nie przyda. - Greg wskazał głową na Zu, która siedziała do nas tyłem pochylona nad zadaniami z matematyki, ułożonymi dla niej przez Liama.

Nie wytrzymałam.

- Masz dokładnie dwie sekundy, żeby to odszczekać - powiedziałam - albo rozwalę ci tę twarzyczkę.

- Zrób to! - syknął Pulpet tuż obok mnie.

Jednak Liam położył mi rękę na ramieniu, skutecznie odbierając mi szansę na spełnienie pogróżek. Zachował przyjazny wyraz twarzy, ale wstrzymał oddech. Wyprostował palce i musnął nimi moją dłoń spoczywającą na podłodze. Kiedy poczułam jego dotyk, podskoczyłam, ale nie potrafiłam się zmusić, żeby zabrać rękę.

Greg uniósł obie dłonie.

- Mówię tylko, że coś z nią nie tak. Nie jest taka jak inni. - Nachylił się do nas. - Czy ona jest upośledzona? Robili na niej badania?

- Chociaż nie mówi, nie jest głucha - przerwał mu Liam. - I mogę cię zapewnić, że jest pięć razy mądrzejsza od nas wszystkich razem wziętych.

- Nie byłbym tego taki pewny - zaczął Pulpet. - Ja na przykład...

Liam uciszył go spojrzeniem, po czym szepnął mi do ucha:

- Zabierzesz stąd Zu?

Skinęłam głową i postukałam palcami w jego dłoń na znak, że rozumiem, po czym podniosłam się z ziemi. Czułam się o wiele spokojniejsza.

Podeszłam do Zu i podałam jej rękę. Nie podnosząc nawet wzroku, wyciągnęła do mnie dłoń. Wpatrywałam się w żółtą rękawiczkę, zabrudzoną od kurzu i sadzy, po czym - nie zważając na to, co wydarzyło się kilka minut wcześniej - ściągnęłam ją z jej małej dłoni.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Może fakt, że byłam tak blisko Liama i nie straciłam nad sobą kontroli; dodał mi odwagi, a może byłam po prostu wściekła na okoliczności, które zmusiły Zu do tego, by je włożyła. Marzyłam tylko o tym, by już nigdy nie musiała ich nosić.

Dziewczynka wzdrygnęła się, kiedy poczuła moją ciepłą dłoń na swojej skórze. Próbowała się wyrwać. Jej oczy się rozszerzyły, ale nie byłam pewna, czy była zmartwiona, czy zdziwiona.

- Chodź - powiedziałam, ściskając jej rękę. - Pobędziemy sobie tylko we dwie. Dziewczyny muszą trzymać się razem.

Jej twarz pojaśniała, ale nie pojawił się na niej uśmiech.

- Nie odchodźcie zbyt daleko! - zawołał za nami Liam.

- Nie odchodźcie zbyt daleko - przedrzeźniali go inni chłopcy, po czym wybuchli śmiechem.

Zu z obrzydzeniem zmarszczyła nos.

- Zgadzam się z tobą - powiedziałam i zabrałam ją jak najdalej od nich.

Pierwsze dziesięć minut spacerowałyśmy po sklepie, a Zu wciąż kierowała oczy w dół, żeby popatrzeć na nasze splecione dłonie, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Co jakiś czas jej uwagę przyciągał kosz pełen niechcianych płyt DVD lub półka z bibelotami, ale po chwili znów spoglądała na nasze złączone dłonie. Minęłyśmy właśnie jedną z wielu splądrowanych alejek ze środkami czystości, kiedy pociągnęła mnie za rękę.

- Co się dzieje? - zapytałam i kopnęłam leżący na naszej drodze mop.

Zu wskazała na rękawiczkę, którą ściskałam w wolnej dłoni.

Podniosłam nasze splecione ręce.

- Tak jest niedobrze?

Wypuściła wstrzymywane dotąd powietrze, dając mi do zrozumienia, że nie o to chodzi. Zaciągnęła mnie na sam koniec alejki, gdzie puściła moją rękę i porwała z półki białe pudełko. Kiedy rozerwała opakowanie i wyjęła ze środka plastikowe zabezpieczenia, moim oczom ukazał się staromodny srebrny toster.

- Nie sądzę, byśmy tego potrzebowali - zaczęłam ostrożnie.

Spojrzeniem dała mi do zrozumienia, żebym była cicho, po czym ściągnęła rękawiczkę z drugiej dłoni, rozcapierzyła palce i chwyciła urządzenie z obu stron. Po chwili zobaczyłam, jak zaciska powieki.

Metalowe przewody we wnętrzu tostera rozgrzały się do czerwoności, mimo że długi czarny kabel zwisał u jej stóp, niepodłączony do gniazdka. Tandetne urządzenie wytrzymało tylko minutę i już po chwili zaczęło topnieć. Kiedy ukazał się dym, kazałam Zu odstawić toster.

Widzisz? - zdawała się mówić. - Rozumiesz?

- Ale mnie nie możesz tego zrobić - zapewniłam ją i ponownie sięgnęłam po jej dłoń. - Nie musisz się martwić, że zrobisz mi krzywdę, ponieważ to niemożliwe.

Zamiast tego powinnam była powiedzieć: Wiem, co czujesz. Wiem, jak to jest, kiedy boisz się tego, nad czym właściwie nie masz kontroli.

Z trudem zmusiłam się, by nie myśleć o tym, co zrobiłam temu tajnemu agentowi SSP. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogłabym to zrobić jeszcze raz, chociażby po to, żeby przetestować swoje umiejętności. Z drugiej strony zastanawiałam się, czy kiedykolwiek nauczymy się kontrolować swoje zdolności, nie ćwicząc ich? Nie mogąc zbadać granic?

- Chodź, może znajdziemy coś przydatnego - powiedziałam i znów splotłam nasze dłonie. Poczekałam, aż palce Zu zacisnęły się na moich, a następnie ruszyłyśmy z powrotem alejką. - Jak myślisz...?

Nie wiem nawet, o co chciałam ją zapytać, ale ona i tak nie zwracała na mnie uwagi. Zatrzymała się tak gwałtownie i tak mocno ścisnęła moją dłoń, że się potknęłam. Podążyłam wzrokiem za jej wyciągniętą ręką i spojrzałam na przewrócony regał z ubraniami i butami, a konkretnie na samotną jaskraworóżową sukienkę zwisającą z pustego wieszaka.

Zu rzuciła się przed siebie biegiem, mknąc przez alejki z przedłużaczami i wiadrami. Próbowałam za nią nadążyć, ale miałam wrażenie, że jakaś magiczna moc pcha ją do przodu. Zatrzymała się przy wieszaku. Zafascynowana patrzyłam, jak wyciąga rękę, by dotknąć tkaniny, i natychmiast ją cofa.

- Piękna - powiedziałam. Sukienka była rozkloszowana od pasa w dół, a w miejscu,

gdzie góra stykała się ze spódnicą w różowe i białe paski, przyszyta była wielka kokarda. Zu wyglądała tak, jakby marzyła tylko o jednym: by ściągnąć sukienkę z wieszaka, przytulić ją do piersi i ukryć twarz w satynowej tkaninie.

Mogłam wyliczyć tysiąc rzeczy, za którymi tęskniłam w Thurmond, ale na tej liście z pewnością nie było sukienek. Mój tata uwielbiał opowiadać wszystkim o dniu, kiedy wraz z mamą próbowali mnie wcisnąć w błękitną sukienkę na przyjęcie z okazji jego urodzin. Miałam wtedy trzy lata. Ponieważ guziczki były za małe i nie mogłam ich dosięgnąć, własnoręcznie porwałam tiulową sukienkę na strzępy, kawałek po kawałku. Przez pozostałą część przyjęcia paradowałam dumnie w majtkach z Batmanem.

- Przymierzysz? - zapytałam.

Spojrzała na mnie, potrząsnęła głową i opuściła ręce, które trzymała dotąd nad plastikowym wieszakiem. Dopiero po chwili zrozumiałam, co się dzieje.

Zu myślała, że na to nie zasługuje. Wydawało jej się, że sukienka jest zbyt nowa i zbyt ładna. Poczułam duszącą nienawiść, nie wiedziałam jednak, na kogo ją przelać. Na jej rodziców za to, że wysłali ją do obozu? Na obóz? Na SSP?

Jedną ręką zdjęłam sukienkę ze srebrnego wieszaka, a drugą chwyciłam ramię Zu. Znów czułam na sobie spojrzenie jej czarnych oczu, niepewnych tego, co się dzieje, ale zamiast jej to wyjaśnić - zmusić ją, by zrozumiała to, co chcę jej przekazać - poprowadziłam ją do przymierzalni, która znajdowała się pośrodku odzieżowej części sklepu, podałam jej sukienkę i kazałam ją przymierzyć.

Czułam się tak, jakbym za pomocą cienkiej linki wciągała statek do portu. Kilka razy, kiedy podawałam jej sukienkę, odkładała ją, a ja musiałam ją podnosić. Nie wiem, czy w końcu pragnienie przymierzenia sukienki zwyciężyło, czy udało mi się ją po prostu zmęczyć, ale kiedy wyjrzała zza drzwi przymierzalni, ogarnęła mnie taka ulga, że niemal się rozpłakałam.

- Wyglądasz przepięknie. - Okręciłam ją, żeby mogła się zobaczyć w długim lustrze. Kiedy w końcu zmusiłam ją, żeby na siebie spojrzała, poczułam, jak jej ramiona się prostują. Jej oczy zrobiły się wielkie i jasne, jednak po chwili Zu znów je spuściła. Kręciła głową, skubiąc tkaninę, jakby chciała powiedzieć: „Nie, nie mogę". - Dlaczego nie? - zapytałam, obracając ją tak, by na mnie spojrzała. - Przecież ci się podoba, prawda?

Nie podniosła wzroku, ale skinęła głową.

- Więc co się dzieje? - Złapałam ją na tym, jak zerka na swoje odbicie w lustrze. Jej dłonie wygładzały materiał spódnicy, ale ona nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. - Właśnie. Nic się nie dzieje. Zobaczmy, może jeszcze trafimy na coś interesującego.

Po tym wszystkim Zu chciała znaleźć coś dla mnie. Oczywiście dział z odzieżą dla dorosłych był już zupełnie przetrzebiony przez szabrowników. Miałam do wyboru albo strój myśliwski, albo kombinezon przemysłowy. Kiedy kolejny raz wyjaśniłam jej, dlaczego nie potrzebowałam chabrowej koszuli nocnej z satyny ani spódniczki w stokrotki, rozgoryczona Zu pogodziła się w końcu z tym, że przymierzę jedynie dżinsy i gładką koszulkę.

Kiedy wskazała dłonią wieszak z bielizną, miałam ochotę wczołgać się pod stos rozrzuconych dziecięcych piżam i umrzeć. Te wszystkie literki i cyferki równie dobrze mogłyby być po chińsku - i tak nie umiałam ich rozszyfrować. Do oczu napłynęły mi łzy frustracji. Bałam się, że Zu zacznie się śmiać.

Nieczęsto zdarzało mi się myśleć: Szkoda, że nie ma tu mamy. Zdążyłam się już pogodzić z tym, że tego, co jej zrobiłam, nie można już cofnąć. Nigdy już mnie nie rozpozna, a ja nigdy nie będę umiała wyrzucić z głowy wspomnienia jej miny, kiedy zobaczyła mnie tamtego ranka. Dziwne, jak z minuty na minutę zmieniało się to, co do niej czułam. W jednej chwili przypominałam sobie uczucie, które towarzyszyło mi, kiedy czesała mi włosy, a w następnej ogarniała mnie złość, że mnie opuściła. Że nie nauczyła mnie tego, jak czuć się dobrze we własnej skórze i jak być dziewczyną.

Jednak czyja tak naprawdę była to wina?

Zamyślona Zu wydęła usta i ściągnęła brwi, przekopując się przez wyrastającą przed nami górę bielizny. Zaczęła wybierać po jednej sztuce z każdego rozmiaru i rzucała je w moją stronę tak długo, aż dostałyśmy histerycznego napadu śmiechu.

W końcu znalazłam coś, co wydawało się na mnie pasować. Właściwie trudno powiedzieć, bo te wszystkie staniki był cholernie niewygodne: fiszbiny kłuły mnie pod biustem, a paski wrzynały

się w ramiona. Kiedy się przebierałam, Zu przygotowała sobie strój, który zdawał się wyjęty ze sklepowego katalogu - różowa sukienka, białe legginsy, a na to wszystko dżinsowa kurtka, która była o jeden czy dwa rozmiary na nią za duża. Resztę znalezionych rzeczy wepchnęła do plecaka w kwiatki, który ściągnęłam dla niej z wystawy. Kiedy już przygotowała garderobę dla siebie, postanowiła poszukać ubrań także dla chłopców.

Gdy znalazłam jej nową parę tenisówek z różowymi sznurówkami, złapała mnie w talii i przytuliła się do mnie tak mocno, jakby w ten sposób chciała wyrazić swoją wdzięczność. I chociaż nie była specjalnie zachwycona parą niskich czarnych butów, które znalazłam sobie w dziale męskim, nie próbowała zmusić mnie do włożenia balerinek ani wysokich obcasów.

Zu składała właśnie zapinaną na guziki koszulę, którą wybrała dla Pulpeta, kiedy coś

sobie przypomniałam.

- Zaraz wracam - powiedziałam. - Poczekaj tutaj, dobrze?

Minęło kilka minut, zanim udało mi się znaleźć alejkę, której szukałam. Liam i ja przeszliśmy nią tak szybko, próbując dotrzeć na tyły sklepu, że miałam wątpliwości, czy sobie jej nie wyobraziłam. Jednak już po chwili, tuż nad akcesoriami do sprzątania, w morzu tradycyjnych gumowych żółtych rękawiczek znalazłam parę różowych.

- Hej, Zu! - zawołałam, kiedy się do niej zbliżyłam. Wystawiłam je przed siebie i czekałam, aż się odwróci. Gdy je zobaczyła, aż otworzyła usta. Była tak oszołomiona nowymi rękawiczkami, że chodziła z rękami wyciągniętymi przed siebie jak księżniczka, która podziwia biżuterię na swoich palcach i nadgarstkach. Kiedy przemierzałyśmy sklep, patrzyłam, jak dyga i robi piruety w nowej sukience, a jej stopy przez cały czas tańczyły na podłodze zawalonej dowodami tego, co wydarzyło się przy kasach. Patrząc na nią i czując rodzącą się w sercu radość, ja też ledwo zauważałam roztrzaskane szkło i migające ekrany telewizorów. Skręciłyśmy w słabo oświetlony zaułek z kosmetykami, a ja nadal nie mogłam zetrzeć uśmiechu z twarzy.

Liam znalazł nas chwilę później, w momencie kiedy Zu kończyła zaplatać mi warkocz i związywała go właśnie brokatową gumką. Siedziałam na kafelkowej podłodze, a ona przycupnęła tuż za mną na półce niczym dobra wróżka.

- Wspaniale! - oznajmiłam, kiedy podstawiła mi lusterko. - Jesteś niesamowita!

Gdy tylko to powiedziałam, zaplotła mi na szyi ręce, chudziutkie jak u ptaszka. Odwróciłam się do niej, ponieważ chciałam, żeby widziała moją twarz. Chciałam, by zobaczyła, że mówię szczerze, kiedy powtórzyłam:

- Jesteś niesamowita.

- Widzę, że nie próżnowałyście.

Liam opierał się o regał na końcu alejki. Uniósł brwi. Zu rzuciła się w jego stronę, ściskając w ramionach koszule i skarpetki, które dla niego wybrała.

- Dziękuję. O matko, Pulpet chyba umrze, jak to zobaczy! - Położył dłoń na jej głowie. - Rany, zostawić was na chwilę... Wyczyściłyście cały sklep. Dobra robota.

Podniosłam się z ziemi i pomogłam im zebrać ubrania i zapasy, które udało nam się zgromadzić, po czym powoli ruszyliśmy w stronę pozostałych chłopców. Cała nasza trójka zdawała się wiedzieć, że za chwilę po tej cudownej chwili nie będzie już śladu.

Kiedy Zu wybiegła kilka kroków naprzód, Liam odwrócił się do mnie i powiedział:

- Dziękuję, że to robisz. Cieszę się, że zrozumiałaś, o co mi chodzi. - Pociągnął mnie lekko za warkocz. - Chciałem im po prostu zadać kilka dodatkowych pytań.

- I nie chciałeś, żeby - wskazałam głową na Zu - je słyszała?

Spojrzał na swoje stopy, a kiedy podniósł wzrok, jego uszy były lekko zaróżowione.

- Tak. Ale jest coś jeszcze... Trochę ich rozpraszałaś.

- Co? Przykro mi, że poczuli się zagrożeni, ale...

- Nie... Rozpraszałaś ich swoją... twarzą.

- Aha - powiedziałam, po czym szybko wzięłam się w garść. - Wyciągnąłeś z nich jakąś przydatną informację?

- Podali mi nazwy kilku przyjaźniejszych plemion, kilku miast zamkniętych ze względu na powstanie i tym podobne. Chciałem się tylko rozeznać w tym, co dzieje się w Wirginii.

- Chodziło mi o Uciekiniera. - Mój głos zabrzmiał chyba nieco zbyt entuzjastycznie.

- Nie dowiedziałem się niczego nowego. Najwyraźniej wszyscy składają jakąś świętą przysięgę, że nie wyjawią żadnych informacji na ten temat. To jakiś absurd.

- Naprawdę nie chcieli powiedzieć nic więcej?

Liam wbił oczy w ziemię.

- Greg przedstawił nam pewną propozycję, ale ją odrzuciliśmy.

- Czego chciał? - Co było dla nich tak cenne, że nie chcieli tego oddać w zamian za możliwość zobaczenia się z rodzinami? Czarna Betty?

- Nieważne - odparł Liam stanowczo. - Jeżeli tym półgłówkom udało się znaleźć East River, to my też prędzej czy później damy sobie z tym radę.

- Tak - powiedziałam i roześmiałam się lekko. - Masz rację.

Kątem oka patrzyłam, jak zarzuca ubrania na ramię, wciąż obserwując Zu, która przeskakiwała przez walające się na ziemi puszki i stare magazyny. Kiedy je mijaliśmy, mój wzrok padł na okładkę jednego z czasopism. Pod twarzą blond gwiazdy filmowej wydrukowane były słowa: zdradza wszystko!

- Mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście - odparł. - Mów.

- Dlaczego szukasz Uciekiniera? - Poczułam na sobie jego wzrok i wiedziałam, jaka będzie jego odpowiedź. - Poza tym, oczywiście, że chcesz pomóc Pulpetowi i Zu dotrzeć do East River i próbujesz dostarczyć list Jacka. Czy to dlatego, że chcesz wrócić do domu, czy...?

- Dlaczego pytasz? - powiedział spokojnie. Sprawdzał mnie.

- Zwróciłam uwagę na to, jak wypytywałeś ich o obozowisko - wyjaśniłam. - Wydawało mi się, że próbujesz się czegoś dowiedzieć.

Liam milczał do czasu, aż naszym oczom ukazały się namioty, które chłopcy rozbili

na noc. Kiedy znów się odezwał, nie odpowiedział na moje pytanie.

- A dlaczego tobie zależy na tym, żeby znaleźć Uciekiniera?

- Chciałabym móc zobaczyć się z babcią. - Ponieważ muszę się dowiedzieć, jak kontrolować swoje umiejętności, zanim zniszczę wszystkich, na których mi zależy. - Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Zu wdrapała się do jednego z namiotów, a światło latarni rozjaśniło zachwyconą twarz Pulpeta. Kiedy podała mu jego nowe rzeczy, przytulił ją tak mocno, że poderwał ją z ziemi.

- Szukam go z tego samego powodu co ty... - odparł. - Chcę wrócić do domu.

- A gdzie jest twój dom?

- I to właśnie jest w tym wszystkim najśmieszniejsze - rzucił. - Dawniej była to Karolina Północna, ale teraz... sam już nie wiem.

Staliśmy bardzo blisko siebie i przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Podniósł klapę namiotu, dając mi znak, żebym weszła do środka. Wiedziałam, że kłamie. Zastanawiałam się, czy on także mnie przejrzał.

16

Dopiero po godzinie, a może nawet później oddech Liama stał się miarowy. Zaczął chrapać. Leżał płasko na plecach, a jego dłonie spoczywały na miękkiej flanelowej koszuli. Jego twarz, która wcześniej naznaczona była siniakami i cieniami, znów się wygładziła. Może i z tym swoim zarostem oraz postawną sylwetką rzeczywiście wyglądał na dwadzieścia lat, ale kiedy spał, trudno było się na to nabrać.

Jego twarz zwrócona była w stronę Zu, która leżała pomiędzy nami na stosie koców. Tylko ona powstrzymywała mnie przed tym, bym mogła się do niego zbliżyć, wsunąć dłoń pod jego dłoń i poznać zawartość jego snów.

Ta odległość dzieliła nas nie bez powodu. Wyobrażenie sobie jego przyszłości, w której by mnie nie było - w której bezwiednie mogłabym wymazać siebie z jego wspomnień - kazało mi wetknąć dłonie pod uda i w końcu zapanować nad swoim umysłem.

Kiedy w sąsiednich namiotach usłyszałam Grega i jego kolegów, porzuciłam nadzieję na sen. Z początku ich głosy przypominały cichy szmer i trudno je było od siebie odróżnić, jednak z każdą minutą przybierały na sile. W końcu przykręcili światło latarni, jednak ich sylwetki wciąż przebijały przez zieloną tkaninę naszego namiotu.

Wyślizgnąwszy się na zewnątrz, cicho przemieszczałam się po betonie. Kiedy się do nich zbliżyłam, ich szepty robiły się coraz bardziej gorączkowe.

-... nimi - wymamrotał Greg. - Nie jesteśmy im nic winni.

Zacisnęłam dłonie, czując, jak strach i nieufność, które kiełkowały we mnie od kilku godzin, w końcu przybierają na sile. Przez chwilę żałowałam, że nie zabrałam plecaka z Czarnej Betty. Przycisk alarmowy nadal tam był, czekając, aż użyję go, gdyby sytuacja nagle się zmieniła. Głupia Ruby, pomyślałam. Głupia.

Nie martwiłam się Gregiem ani jego kumplami. Mimo że byli uzbrojeni, mogliśmy ich pokonać. Gdyby jednak chcieli nas zaatakować we śnie lub gdyby wezwali posiłki...

Zatrzymałam się gwałtownie.

Pulpet uprzedził mnie i sam pełnił wartę.

Siedział zwrócony w stronę namiotów. Założył jedną pająko-watą nogę na drugą, a na kolanach trzymał notatnik Zu. Nachylał się w stronę namiotu tamtych chłopaków, tak bardzo skupiając się na tym, by usłyszeć ich rozmowę, że mnie nie zauważył i prawie wyskoczył ze skóry, kiedy się zbliżyłam.

- Zu? - Przypatrywał mi się spod zmrużonych powiek.

- Zu? - wyszeptałam. - Chyba żartujesz?

Wyjęłam mu z rąk notatnik Zu oraz ołówek i przewróciłam stronę, nie patrząc na to, co pisał.

co tu robisz? - naskrobałam i pokazałam mu kartkę. Przewrócił oczami i nie chciał wziąć ode mnie ołówka, który wciskałam mu do ręki.

MYŚLISZ, ŻE COŚ KNUJĄ?

Po chwili westchnął i skinął głową.

ja też - napisałam. - chodź ze mną.

Pulpet, który najwyraźniej czuł, że nie ma tu nic do gadania, bezszelestnie podniósł się z podłogi i wytarł dłonie o spodnie.

- Mam złe przeczucia - powiedział, kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem ich słuchu. Wciąż widzieliśmy ich namioty, ale dla nich byliśmy niewidoczni. - Co do tych chłopaków.

- Myślisz, że chcą nas okraść?

- Myślę, że chcą nam zabrać Betty.

Nastała cisza. Czułam na sobie spojrzenie Pulpeta, ale na wszelki wypadek nie spuszczałam wzroku z namiotów, w razie gdyby coś się zaczęło dziać.

- Powinnaś się położyć - powiedział szorstko, zaplatając ramiona na piersi. W jego głosie było jednak coś, co kazało mi myśleć, że Pulpet mnie sprawdza. - Dlaczego ty właściwie nie śpisz?

- Pewnie z tego samego powodu co ty - odparłam. - Upewniam się, że nikt z nas nie zostanie obrabowany, brutalnie pobity ani zamordowany we śnie. Sprawdzam, czy ci chłopcy rzeczywiście są takimi dupkami, na jakich wyglądają.

Pulpet prychnął i potarł czoło. Kilka chwil upłynęło nam w milczeniu, ale czułam, że atmosfera między nami się oczyszcza i z wrogości zmienia się w swoistą akceptację. Jego ramiona nie były już uniesione i napięte, a kiedy przechylił głowę w moją stronę, uznałam to za zaproszenie. Zbliżyłam się do niego.

- Nie dość, że w ogóle postanowił tu wrócić... - wymamrotał bardziej do siebie niż do mnie. - Boże...

- Liam? - zapytałam. - To tu schwytali jego i tego kolegę, prawda?

Pulpet skinął głową.

- Nigdy nie opowiedział mi całej historii, ale wydaje mi się, że w czasie podróży on i Felipe natrafili na plemię Niebieskich, którzy zamiast przyjąć ich do siebie, na co liczył Liam, dotkliwie ich pobili i ukradli im wszystko, co mieli: jedzenie, plecaki, zdjęcia rodziny i tak dalej. Przyjechali tu na kilka dni, żeby opracować nowy plan działania, ale byli w tak złej formie, że kiedy pojawili się łowcy nagród, nie mieli siły uciekać.

Ścisnęło mnie w gardle.

- Lee myśli, że to ci Niebiescy ich wydali - opowiadał dalej Pulpet - i że łowcy odpalili im część nagrody.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Na myśl o tym, że jakiś dzieciak - jeden z nas - może się zwrócić przeciwko drugiemu, miałam ochotę roztrzaskać w drobny mak regał, o który się opieraliśmy.

- Ufam Liamowi - powiedziałam powoli. - To dobry chłopak, ale inni bez trudu mogą go wykorzystać, a oni nie mają czystych intencji.

- Właśnie - rzucił Pulpet. - Jest tak zajęty zaglądaniem w głąb drugiego człowieka, że nie widzi noża, który ten chowa za plecami.

- Co więcej, na pewno sam obwiniałby się za to, że ten ktoś w ogóle ma nóż, i przeprosiłby go, że jest tak kuszącym celem.

To właśnie najbardziej martwiło mnie w Liamie - był ufny i dobrotliwy jak harcerzyk. Jak na kogoś, kto był świadkiem takiego ogromu cierpienia i śmierci, był albo niezwykle uparty, albo naiwny w tej swojej bezkrytycznej wierze, że wszystkim można ufać. Zarówno Pulpet, jak i ja czuliśmy z tego powodu rozdrażnienie, a jednocześnie wzbudzało to w nas instynkt opiekuńczy.

- Oboje wiemy, że daleko mu do doskonałości, mimo że bardzo się stara - powiedział Pulpet i usiadł na ziemi, opierając się plecami o pusty regał. - On nigdy się nad niczym nie zastanawia. Robi zawsze to, co podpowiada mu instynkt, a kiedy jego działania kończą się porażką, zalewają go wyrzuty sumienia i zaczyna się nad sobą użalać.

Skinęłam głową, w zamyśleniu dłubiąc w rozdarciu na rękawie mojej nowej koszuli, którego wcześniej nie zauważyłam. Po tym, jak usłyszałam rozmowę Liama z Zu, byłam pewna, że ma ogromne poczucie winy za to, co wydarzyło się w noc ich ucieczki, ale chodziło chyba o coś więcej.

- Później ci to zaceruję. - Pulpet wskazał głową rozdarty materiał. Położył dłonie na kolanach i zaczął w nie bębnić swoimi długimi palcami. - Tylko mi przypomnij.

- Kto cię nauczył szyć? - zapytałam, ale chyba nie powinnam była tego robić. Pulpet znów zesztywniał i wyprostował się gwałtownie, jakby ktoś wrzucił mu za kołnierz kostkę lodu.

- Ja nie szyję - warknął - tyko zszywam. Szyje się w celach dekoracyjnych, a zszywa, żeby uratować komuś życie. Nie robię tego dlatego, że sprawia mi to przyjemność. Ja ćwiczę.

Wpatrywał się we mnie znad okularów, sprawdzając, czy rozumiem to, co próbuje mi powiedzieć.

- Tata nauczył mnie zszywania, zanim zacząłem się ukrywać - wyznał w końcu. - Żebym umiał to zrobić w razie nagłego wypadku.

- Czy twój tata jest lekarzem?

- Chirurgiem urazowym. - Pulpet nie próbował nawet ukryć dumy. - Jednym z najlepszych w Waszyngtonie.

- A czym zajmuje się twoja mama?

- Pracowała w Ministerstwie Obrony, ale zwolnili ją, kiedy odmówiła zarejestrowania mnie w bazie dzieci chorych na OMNI. Nie wiem, co teraz robi.

- Muszą być wspaniałymi ludźmi - powiedziałam.

Pulpet parsknął, ale zauważyłam, że mój komplement sprawił mu przyjemność.

Minuty się ciągnęły, a nasza rozmowa utknęła w martwym punkcie. Sięgnęłam po notatnik Zu i otworzyłam go na pierwszej stronie, która pokryta była rysunkami i bazgrołami. Nieco dalej kartki zapisane były zadaniami matematycznymi. O dziwo, pismo Zu było równie porządne i staranne jak pismo Liama.

- Betty pokonała sto dziewięćdziesiąt kilometrów w trzy godziny. Z jaką prędkością jechał Lee?

- Masz pięć snickersów, którymi musisz się podzielić z trojgiem przyjaciół. Kroisz je na pół. Ile kawałków dostanie każde z przyjaciół? W jaki sposób równo podzielisz zapasy, tak by Pulpet nie narzekał?

Potem natrafiłam na stronę pokrytą zupełnie innym charakterem pisma - niechlujnym i rozmazanym. Litery były także ciemniejsze, jakby piszący zbyt mocno przyciskał ołówek.

Jestem pewny, że o tej książce napisano już wszystko. Swifta można określić słowem „wolny”. Nie jestem obiektywny, bo ten autor zawsze był moim ulubionym pisarzem. Nie ma jednak nikogo, kto nie zachwyciłby się językiem tej powieści. Nie mogę w tym miejscu nie wspomnieć, jak bardzo książka Swifta podobna jest do Przypadków Robinsona Crusoe, zwłaszcza opis podróży do krainy Liliputów. Jak Was zachęcić do przeczytania tej książki? Myślę, że ten osiemnastowieczny autor potrafi dotrzeć do każdego, zarówno młodego, jak i doświadczonego czytelnika.

Spotkajmy się z Guliwerem - poszukującym przygody marzycielem, który wybiera się w morską podróż. Przyjrzyjmy się temu, jak nasz bohater dorośleje i odkrywa świat. Podajcie mi powieść, gdzie występuje równie piękna kraina jak wyspa Laputa! To miejsce, które chciałbym odwiedzić, ponieważ ja także marzę o studiowaniu filozofii i matematyki. Czytałem tę książkę wielokrotnie. Nie ukrywam, że był w moim życiu czas, gdy uważałem, że Swift mógłby lepiej przedstawić wizję społeczeństwa idealnego. Tęsknię za literaturą,

która prowokuje do myślenia i rewidowania swoich poglądów. Za co kocham Jonathana Swifta? Jego powieści mają podwójne dno. Jeśli lubicie marzyć i nęcą Was podróże, zachęcam Was do przeczytania Podróży Guliwera.

- Hmm... - Pokazałam mu notatnik. - To twoje?

- Oddawaj! - rzucił. Na jego twarzy malowała się panika. Nie, nie tylko panika. Jego rozszerzone nozdrza i drżące ręce świadczyły o tym, że naprawdę go wystraszyłam. Ogarnęło mnie poczucie winy. Podałam mu notes i patrzyłam, jak wydziera z niego kartkę.

- Przepraszam - powiedziałam, zmartwiona jego nagłą bladością. - Nie chciałam sprawić ci przykrości. Zastanawiam się tylko, dlaczego ćwiczysz pisanie wypracowań, skoro sam mówiłeś, że pewnie nigdy nie wrócisz do szkoły.

Wpatrywał się we mnie jeszcze przez kilka sekund i w końcu się poddał. Wypuścił oddech.

- To nie do szkoły. - Zamiast włożyć kartkę do teczki, położył ją na podłodze pomiędzy nami. - Zanim... zanim znalazłem się w obozie, rodzice myśleli, że SSP ich śledzi, co zresztą okazało się prawdą. Ukryli mnie w domku moich dziadków i...

Pamiętasz, jak mówiłem, że internet objęto cenzurą? Musieliśmy to jakoś obejść, zwłaszcza kiedy mama zaczęła odczuwać coraz silniejszą presję w pracy.

Spojrzałam na kartkę papieru.

- Więc wysyłaliście sobie recenzje książek?

- Miałem ze sobą laptopa i kilka bezprzewodowych kart sieciowych. Zamieszczaliśmy recenzje książek w internecie. Tylko w ten sposób mogliśmy się porozumiewać, nie wzbudzając podejrzeń.

Nachylił się i przykrył kartkę dłonią tak, że widoczna była jedynie pierwsza kolumna słów. Jestem wolny. Nie mogę do Was dotrzeć. Spotkajmy się. Podajcie miejsce i czas. Tęsknię. Kocham Was.

- Aha.

- Postanowiłem napisać to wcześniej - oznajmił Pulpet - w razie gdyby udało nam się uzyskać dostęp do internetu choćby i na kilka minut.

- Jesteście genialni - powiedziałam powoli. - Cała wasza rodzina.

W odpowiedzi usłyszałam prychnięcie, które miało chyba oznaczać „no raczej".

Już wyrywało mi się kolejne pytanie, kiedy wyjął z teczki talię kart.

- Chcesz w coś zagrać? - zapytał. - Trochę tu posiedzimy.

- Jasne... Ale znam tylko remika i makao.

- No cóż - odchrząknął. - Nie mamy drugiej talii do remika, więc zagramy w makao.

Pewnie się zmartwisz, ale jestem mistrzem tej gry. W piątej klasie wygrałem nawet turniej makao.

Uśmiechnęłam się szeroko i czekałam, aż rozda karty.

- Prawdziwa z ciebie gwiazda, Pulpet, prawdziwa... - Zmarszczył nos. - Nie mogę nazywać cię inaczej, bo przecież nie wiem, jak masz na imię.

- Charles - odparł. - Nazywam się Charles Carrington Meriwether IV.

Próbowałam opanować śmiech. Wcale mnie to nie zdziwiło. Kto jak kto, ale on nie mógł się nazywać inaczej.

- Dobrze, Charles. A mogę do ciebie mówić Charlie? Chuck? Chip?

- Chip?

- Przecież to urocze!

- Fuj! Mów mi po prostu Pulpet, jak wszyscy.

Rozgryzłam to.

Musiało być już wpół do szóstej rano, kiedy skończyliśmy naszą ospałą grę w karty i kalambury, wspomaganą zbyt dużą ilością słodyczy i zbyt małą ilością snu. Oboje czekaliśmy na to, co się wydarzy, pewni, że nasze przypuszczenia okażą się słuszne. Pod ręką trzymaliśmy kij bejsbolowy i przez cały czas spoglądaliśmy w stronę namiotów. Kiedy ogarnęło nas w końcu zmęczenie, na zmianę układaliśmy się na ziemi, żeby uszczknąć choć kilka minut snu.

Znów wzięłam notatnik Zu, nie chcąc, by miarowe chrapanie Pulpeta mnie także uśpiło, i dodałam kilka chmurek oraz gwiazdek do bazgrołów na pierwszej stronie. Kiedy wertowałam notes, kartki szeleściły mi pod palcami. W końcu znalazłam to, czego szukałam.

540.

To naprawdę był numer kierunkowy tej części stanu, byłam tego pewna. Przez jakiś czas babcia mieszkała w okolicach Charlottesville i jak przez mgłę pamiętam, że stałam w kuchni moich rodziców, wpatrując się w cyfry nakreślone na notesie przy telefonie. Jednak obszar objęty tym numerem był naprawdę rozległy i nie mieliśmy właściwie żadnej gwarancji, że to rzeczywiście był numer kierunkowy.

Łatwiej mi się o tym myślało, kiedy nie wpatrywały się we mnie trzy badawcze pary oczu, jednak ogarniająca mnie senność nieco mi to utrudniała. Aby jakoś zabić czas, znów zaczęłam się nad tym zastanawiać - przestawiałam cyfry, podstawiałam pod nie różne litery i próbowałam tworzyć anagramy

Odpowiedź pojawiła się w mojej głowie nieśmiało, przedzierając się przez zatłoczone, senne zakamarki mojego umysłu. Gdzie mogłam widzieć tę liczbę - 540? Co ona mogła

oznaczać...?

Gdy w końcu to pojęłam, prawie się roześmiałam. Prawie.

Widziałam tę liczbę na wyświetlaczu radia we wspomnieniach Grega zaledwie kilka godzin wcześniej. Cyfry jaśniały tak mocno, że przebijały się nawet przez najgęstsze opary jego myśli.

540 am - stacja radiowa.

Byłam tak podniecona, że zwykłe szturchanie Pulpeta, by go obudzić, wydawało mi się niewystarczające. Po prostu rzuciłam mu się na plecy i nie dość, że go wystraszyłam, to jeszcze wbiłam mu kolano w nerkę. Nie wiem, jak nazwać dźwięk, który z siebie wydał, gdy na nim wylądowałam, ale z pewnością nie był on ludzki.

- Wstawaj, wstawaj, wstawaj! - syknęłam, pociągając go na nogi. Rozdrażniony Pulpet sapał i przeklinał. - Kiedy powiedzieli wam o EDO, dodali coś jeszcze?

- Zielona, jeśli jutro będę mógł chodzić, to niech Bóg ma cię w swojej opiece...

- Posłuchaj! - syknęłam. - Czy mówili coś o tym, żeby się na nie nastawić albo przestawić?

Wpatrywał się we mnie ponuro.

- Powiedzieli tylko, żeby sprawdzić Edo.

- „Sprawdzić”? - powtórzyłam. - Użyli dokładnie tych słów? Wcześniej się myliłam - przyznałam. - Te cyfry nie mają nic wspólnego z numerem telefonu. Mieliśmy rację. Ostatnia litera wcale nie oznacza litery, tylko zero. Pięć czterdzieści. To stacja radiowa!

- Niby jak do tego doszłaś?

No tak. Podchwytliwe pytanie. Jak zatuszować fakt, że po prostu zobaczyłam odpowiedź i że wcale nie posiadam zdolności umysłowych, które pomogłyby mi do niej dotrzeć.

- Próbowałam myśleć o innych trzycyfrowych liczbach, kiedy przypomniałam sobie, jak Greg i reszta rozmawiali o tym, że trzeba by było znaleźć tu radio. Powinnam była powiedzieć wam o tym wcześniej, ale dopiero teraz to do mnie dotarło.

- O Boże! - Wstrząśnięty Pulpet kręcił głową. - To niewiarygodne. Przez całą tę podróż mieliśmy tak cholernego pecha, że byłem pewny, iż zanim uda nam się coś wymyślić, co najmniej dwoje z nas zginie i wyląduje gdzieś w rowie.

- Potrzebne nam radio - powiedziałam. - Myślę, że mam rację, ale jeśli się mylę... Musimy to sprawdzić, zanim powiemy reszcie.

- Betty?

- Nie! - Nie chciałam zostawiać namiotu bez opieki, choćby i na piętnaście minut. -

Chyba widziałam radio na tyłach sklepu. Pójdę po nie.

Kiedy biegłam, regały zlewały się w ciemne smugi, a wokół mnie wirowały wyblakłe kolory, jednak w tej chwili nie bałam się absolutnie niczego. Okazało się, że wcale sobie tego radia nie wyobraziłam. Tkwiło wśród materaców i koców, które rozłożyli tu jeszcze Liam i jego kolega.

Gdy wróciłam, Pulpet przechadzał się nerwowo tam i z powrotem. Położyłam niewielkie urządzenie na półce, która znajdowała się na wysokości naszego wzroku, po czym zaczęłam ustawiać pokrętła, szukając włącznika.

Czułam, że to ja muszę je uruchomić. Kręciłam gałką głośności, a trzaski wydobywające się z jego głośników niemal przebiły nam bębenki. Podniszczony srebrny radioodbiornik wydawał się niemal zabytkiem, ale działał. Przeskakiwałam pomiędzy stacjami, natrafiając na głosy, reklamy i kilka znajomych piosenek.

- To musi być na falach długich - oznajmił Pulpet, chwytając urządzenie. - Fale FM dochodzą tylko do 108. Proszę...

Najpierw pomyślałam, że Pulpet nastawił złą stację. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego typu dźwięków wydobywających się z głośników - niski szum był przerywany odgłosem, który przywodził na myśl turlaną po ziemi szklaną butelkę. Wprawdzie nie przypominał Białego Szumu, ale nie był też przyjemny.

Pulpet jednak nadal szczerzył zęby w uśmiechu.

- Wiesz, co to jest? - zapytał, a kiedy potrząsnęłam głową, natychmiast mnie oświecił. - Słyszałaś o częstotliwościach i tonach, które odbierają jedynie dzieciaki Psi?

Przytrzymałam się regału, żeby nie zemdleć. Owszem, słyszałam. Cate mi o nich wspominała. Wyjaśniła, że władze obozu wzmocniły Biały Szum specjalnymi częstotliwościami mającymi pomóc zidentyfikować niebezpieczne dzieciaki ukrywające się pośród reszty.

- To nawet nie tak, że reszta ludzi nie słyszy tego szumu. Ich mózg przetwarza po prostu te dźwięki inaczej niż nasze. To fascynująca sprawa. Testowali to w Caledonii, żeby sprawdzić, które dzieci słyszą pewne tony, i zawsze wychodziło na to, że nie...

Nagle z głośników wydobył się ostry trzask i szum zupełnie zniknął, zastąpiony łagodnym męskim głosem, który szeptał: Jeśli to słyszysz, jesteś jednym z nas. A jeśli jesteś jednym z nas, możesz nas odszukać. Jezioro Prince. Wirginia.

Wiadomość powtórzyła się jeszcze trzy razy, a potem rozległ się kolejny trzask i z głośników znów popłynął szum.

- O Boże! - powiedział Pulpet. - O Boże! - Po chwili powtarzaliśmy to razem,

podskakując objęci jak para wariatów. Nagle zapomnieliśmy o tym, że wielokrotnie marzyliśmy, żeby tej drugiej osobie porządnie przyłożyć. Uściskałam go serdecznie, bez strachu i skrępowania. Byłam tak rozemocjonowana, że prawie się popłakałam. - Mam ochotę cię ucałować! - zawołał Pulpet.

- Spróbuj się powstrzymać! - wysapałam, czując, jak jego mocny uścisk niemal gruchocze mi żebra.

Liam obudził się jako pierwszy, może ze względu na dobrze ustawiony zegar biologiczny, a może usłyszał podekscytowane

kwiczenie Pulpeta. Kątem oka zobaczyłam wystającą z namiotu zmierzwioną blond czuprynę. Liam spoglądał to na mnie, to na Pulpeta. Schował się do namiotu, a po chwili wyłonił się ponownie z zaniepokojoną miną.

- Co się dzieje? - zapytał. - O co chodzi?

Pulpet i ja spojrzeliśmy na siebie z identycznymi uśmiechami.

- Obudź Zu - powiedziałam. - Musicie to usłyszeć!

17

Pulpet twierdził, że Jack urodził się jako drugi syn w pięcioosobowej rodzinie Fieldsów i tylko jemu udało się przeżyć ostrą młodzieńczą neurodegenerację idiopatyczną. Jego ojciec był właścicielem włoskiej restauracji, a matka zmarła na raka, gdy był jeszcze mały. Z wyglądu Jack nie wyróżniał się niczym szczególnym - był jednym z chłopców, których obojętnie mijało się na szkolnym korytarzu. Pod przykrywką przeciętności krył się jednak ktoś niezwykły - ktoś, kto jako jedyny w ich pokoju wiedział, o czym mówi Liam, gdy opowiadał o japońskich filmach klasy B albo artykułach z archiwalnych numerów magazynu „Rolling Stone". Lubił opowiadać historie, udając różne głosy, i przez całe lata wydrapywał panoramę Nowego Jorku na dawnej szkolnej tablicy w ich pokoju. Przydzieleni do ich pokoju funkcjonariusze SSP byli tak zachwyceni niezwykłą dbałością o szczegóły, z jaką podszedł do zadania, że pozwolili mu dokończyć.

Jack odnajdywał przyjemność w uprzykrzaniu się władzom obozu, używając swoich umiejętności do wyjmowania im przeróżnych przedmiotów z kieszeni i rzucania im rozmaitych rzeczy pod nogi, tak że potykali się i upadali przy wszystkich. Słowa Pulpeta przedstawiały Jacka Fieldsa jako chodzącego świętego – apostoła Odlotowości głoszącego Niebieskim nowinę, w której uczył ich używać swoich umiejętności po tym, jak sam przez lata je udoskonalał.

To pewnie dlatego był pierwszym dzieciakiem, któremu żołnierze strzelili w tył czaszki tej nocy, kiedy próbowali uciec.

Gdy zbliżaliśmy się do rogatek Petersburga, Liam przez cały czas milczał, od czasu do czasu kiwając tylko głową, żeby potwierdzić, iż nawet najbardziej niewiarygodne fragmenty opowieści Pulpeta są prawdą. Kiedy zaciągnęliśmy go przed odbiornik, tak by na własne uszy mógł usłyszeć przekaz płynący z East River, był równie podekscytowany jak my, ale z godziny na godzinę jego nastrój się pogarszał. Kiedy Pulpet zamilkł, w vanie zrobiło się zupełnie cicho.

- To podobno bardzo piękne miejsce - powiedziałam nagle i skrzywiłam się, słysząc, jak niezręcznie to zabrzmiało. - Jezioro Prince, ma się rozumieć.

Liam nie wydawał się zestresowany, był raczej bardzo smutny. To właśnie mnie martwiło - wpadał w jakąś otchłań, z której nie potrafiło go wydobyć nawet nasze odkrycie.

- Na pewno masz rację - odparł cicho. Podał mi złożoną mapę. - Możesz to włożyć do schowka?

Wcale go nie szukałam, jednak kiedy otworzyłam małą przegródkę, leżał na wierzchu,

na stosie zgniecionych serwetek.

Prawdę mówiąc, spodziewałam się kopert albo chociaż papieru listowego, jednak było to głupie i nonsensowne - w obozie nie było przecież świetlicy ani zajęć z plastyki. Przecież nikt nie rozdał im papieru ani długopisów. A mimo to myślałam, że listy będą nieco... cięższe. I że Pulpet oraz Liam będą nosić napisane przez siebie wiadomości przy sobie.

List Jacka leżał na wierzchu i napisany był na skrawku czegoś, co wyglądało na wydruk komputerowy. Kilkakrotnie go złożono. Na odwrotnej stronie drukowanymi literami udało mu się wcisnąć imię i nazwisko ojca, pomiędzy wielkimi czarnymi słowami:

ADRES ZASTRZEŻONY.

Zamiast odłożyć mapę, wyjęłam list. W tle słyszałam odgłosy kłótni, w którą wdali się Liam i Pulpet, próbując ustalić, w jaki sposób najszybciej dostać się nad jezioro Prince. Bez zastanowienia musnęłam list palcami i rozłożyłam kartkę. W prawym górnym rogu nie było daty, a jedynie pospieszne, bezpośrednie słowa: „Drogi Tato".

Nie udało mi się przeczytać nic więcej. Liam sięgnął i wyrwał mi kartkę z dłoni, zgniatając ją lekko w zaciśniętej pięści.

- Co robisz? - rzucił.

- Przepraszam, ja tylko...

- Tylko co? - warknął. Jego ton spowodował, że aż podskoczyłam. - To sprawa osobista. Nie powinno cię obchodzić, co tam jest napisane!

- Lee... - powiedział Pulpet, równie zaskoczony jak ja. - Daj spokój.

- Nie, to poważna sprawa. Nie czytamy cudzych listów!

- Nigdy? - zapytałam. - Nawet gdybyście mieli trudności w odnalezieniu jego ojca, a w liście znajdowała się informacja na temat tego, gdzie on jest?

Liam potrząsał głową. Nie przestał nawet po słowach Pulpeta:

- Ona może mieć rację.

Nie odezwał się ani słowem, ale dłonie drżały mu na kierownicy. Jego milczenie zadawało mi ból i kiedy poczułam, że nie zniosę go ani chwili dłużej, włączyłam radio, modląc się, żeby leciała akurat piosenka The Allman Brothers. Zamiast tego radio Betty zatrzymało się na audycji publicystycznej.

... dzieci trzymane są w izolacji dla ich własnego dobra, a nie ze względu na bezpieczeństwo obywateli USA. Rozmawiałem z dobrze poinformowanymi osobami w rządzie Graya, które powiadomiły mnie, że wszystkie przypadki, w których dziecko zostało przedwcześnie wypuszczone z obozu rehabilitującego, kończyły się jego śmiercią. Poza obozami nie ma szans na leczenie, ćwiczenia ani stymulację oferowaną w tych ośrodkach,

żeby utrzymać wasze dzieci przy życiu.

Liam uderzył pięścią w przycisk głośności, próbując wyłączyć radio, jednak pokrętło przeskoczyło na kolejną stację, gdzie tym razem to kobiecy głos przedstawiał złe wiadomości. Źródła podają, że w Ohio w Wirginii Zachodniej zostali schwytani dwaj uciekinierzy Psi podróżujący pieszo...

Betty tak szybko i gwałtownie skręciła na pusty parking, że byłam niemal pewna, iż zrobiła to na dwóch kołach. Liam zaparkował, zajmując trzy miejsca parkingowe, po czym zaciągnął hamulec.

- Zaraz wracam - rzucił tylko. Jeszcze chwilę temu siedział przy mnie, a teraz wpatrywaliśmy się w tył jego czerwonej flanelowej koszuli, kiedy przeskakiwał przez kałużę zastałej wody, kierując się w stronę ceglanego budynku i automatów z przekąskami.

- To było takie... teatralne!

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Pulpeta, ale był równie zdezorientowany jak ja.

- Chyba powinnaś za nim iść - stwierdził.

- Co mam mu powiedzieć?

Pulpet zmierzył mnie tym swoim spojrzeniem.

- Poważnie? Mam ci to jeszcze tłumaczyć?

Nie miałam pojęcia, co ma na myśli, ale i tak ruszyłam śladami złości i frustracji, jakie zostawiał za sobą Liam. Minęłam toalety i puste ławy, aż w końcu znalazłam się po drugiej stronie budynku, gdzie teren porastały wysoka dzika trawa oraz drzewa. Stamtąd na pewno nie dojrzelibyśmy go z Betty.

Stał do mnie tyłem, oparty o ścianę budynku, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Miał zmierzwione włosy. Wydawało mi się, że stąpam cicho jak myszka, ale kiedy stanęłam za nim, od razu mnie wyczuł. Jego smutek spowijał nas jak mgła, a moja skóra chłonęła go jak gąbka. Poczułam, jak w mojej głowie budzą się niewidzialne palce, rozjuszone niczym dziki kot, który zbyt długo przebywał w klatce.

Trzymałam się na dystans.

- Lee?

- Wszystko w porządku. Wracaj do samochodu. - Jego głos znów przesycony był sztucznym entuzjazmem.

Przykucnął, a po chwili usiadł na ziemi. Ruszyłam się dopiero, gdy wetknął głowę między kolana, jakby miał właśnie zwrócić całą zawartość żołądka.

Długo i uporczywie wpatrywałam się w jego kark - w miejsce, gdzie jego jasne włosy zaczynały się kręcić i gdzie stary siniak znikał za kołnierzem jego koszuli. Uniosłam rękę,

żeby odgarnąć miękką tkaninę. Chciałam zobaczyć, jak daleko sięga znamię, oraz to, czy Liam ukrywa jeszcze jakieś dawne rany.

Już raz go dotknęłaś, wyszeptał cichy głosik w mojej głowie. Wtedy nic się nie wydarzyło...

Mimo to cofnęłam się o krok i odsunęłam na bok, żeby nie stać tuż za nim. Dystans. Musiałam zachować dystans.

- Masz rację - powiedział cicho. - Nie chcę znaleźć Uciekiniera tylko po to, by dostarczyć list Jacka. Nie potrzebuję też jego pomocy w odnalezieniu rodziny. Wiem, gdzie są i jak się z nimi skontaktować, ale nie mogę wrócić do domu. Jeszcze nie teraz.

Gdzieś z tyłu usłyszałam, jak przesuwają się drzwi Betty, ale ich dźwięk nie przerwał bezruchu tej chwili.

- Dlaczego nie? Twoi rodzice na pewno za tobą tęsknią.

Liam objął kolana ramionami, nadal siedząc tyłem do mnie.

- Czy Pulpet ci mówił... Czy opowiadał ci cokolwiek o mnie i o Lidze?

Chociaż nie mógł tego zobaczyć, potrząsnęłam głową.

- Harry, mój ojczym, od razu wiedział, że pojawienie się Ligi Dzieci nie wróży nic dobrego. Mówił, że wykorzystają nas gorzej niż Gray i że nie uronią nawet łzy, jeśli pomagając im, zginiemy. Nawet po tym, jak... jak Claire, to była moja młodsza siostra... - odchrząknął - odeszła, próbował mi wytłumaczyć, że niezależnie od tego, jak uparcie będziemy walczyć, nie uda nam się jej odzyskać. Cole dołączył do nich wcześniej i przyjechał, żeby mnie także zwerbować. Do walki.

Jego siostra. Odeszła. Kolejna ofiara OMNI.

- Uwierzyłem w to. Byłem wściekły. Nienawidziłem wszystkich i wszystkiego, ale nie wiedziałem, jak sobie z tym gniewem poradzić. Byłem z nimi przez kilka tygodni. Trenowałem i pozwalałem, by zrobili ze mnie broń. Kogoś, kto potrafi odebrać życie niewinnej osobie tylko dlatego, że Liga na tym zyskuje, tylko dlatego, że oni tego chcą. Mój brat był dla mnie jak obcy człowiek. W pokoju trzymał nawet coś, co nazywał tabelą ofiar. Ilekroć udało mu się wypełnić zadanie i zamordować kogoś ważnego, wpisywał tam jego nazwisko. Kiedy przychodziłem do niego po całodziennym treningu, spoglądałem na to i myślałem: Ile z tych osób miało rodziny? Czy były osoby, które ich potrzebowały, tak jak my potrzebowaliśmy Claire? Jestem pewny, że tak było, Ruby. Ludzie nie są samotnymi wyspami.

- Więc uciekłeś.

Skinął głową.

- Musiałem uciec w trakcie treningu, który odbywał się na wolnym powietrzu. Próbowałem wrócić do Harryego i mamy i wtedy schwytało mnie SSP. - Odwrócił się w końcu, by na mnie spojrzeć. - Nie mogę do nich pojechać. Jeszcze nie teraz. Muszę na to zasłużyć. Muszę wszystko naprawić.

- O czym ty mówisz?

- Kiedy współpracowałem jeszcze z Ligą, zrozumiałem, że tylko my sami możemy sobie pomóc, więc kiedy wymyśliłem sposób, żeby wydostać się z Caledonii... - urwał, a po chwili powiedział: - To było okropne. Okropne. Zawiodłem ich, a przecież obiecałem im, że wszystko się uda. Dlaczego więc... - Słowa uwięzły mu w gardle. - Słyszałaś, co powiedział ten spiker. Tylko kilkorgu z nas udało się uciec, a i tak wyłapują nas jak zające w sezonie polowań. Dlaczego więc znowu chcę to zrobić? Dlaczego nie mogę się z tego otrząsnąć? Chcę po prostu pomóc innym dzieciakom wydostać się z Caledonii... z Thurmond... ze wszystkich obozów, jednemu po drugim.

Aha, pomyślałam, czując lekkie odrętwienie. Aha. Ja chciałam znaleźć Uciekiniera, by pomóc sobie i by nauczyć się kontroli nad swoimi umiejętnościami. On jednak przez cały ten czas pragnął go znaleźć, by pomóc innym. Sądził, że razem wymyślą sposób, by ocalić dzieci, które musiał zostawić w obozie.

- To wszystko jest nie fair. Przez cały czas myślałem o tym, jak cholernie niesprawiedliwe jest to, że jestem o krok od znalezienia East River, podczas gdy oni nie żyją. - Przycisnął dłonie do oczu. - Kiedy o tym myślę, robi mi się niedobrze. Nie mogę się z tego otrząsnąć, po prostu nie mogę. Te dzieciaki, o których mówili w radio... na pewno były z Caledonii. Ja po prostu... - Z trudem wciągnął oddech. - Jak myślisz, czy oni żałują, że mnie posłuchali?

- Na pewno nie! Posłuchaj. Nikogo do niczego nie zmusiłeś. Dałeś im tylko to, co zabrało im SSP i władze obozu: wybór. Nie można żyć w takich miejscach jak te obozy i nie liczyć się z konsekwencjami. Jeżeli te dzieciaki cię słuchały, robiły to, ponieważ chciały. Wierzyły, gdy mówiłeś, że kiedyś wrócą do domu.

- Ale większość nie wróciła. - Liam potrząsnął głową. - W pewnym sensie byłoby dla nich lepiej, gdyby zostały w obozach, prawda? Nikt by na nie nie polował. Nie musiałyby widzieć tego, że wszyscy się ich boją, ani czuć, że nie ma tu dla nich miejsca.

- Ale czy nie lepiej było dać im wybór? - zapytałam.

- Wierzysz w to?

Łomotało mi w skroniach, czułam też ostry ból ramion. Kiedy już wymyśliłam, co mogę powiedzieć, Liam zaczął się podnosić z ziemi.

- Co ty tu jeszcze robisz? - Nie był smutny ani zły. Już nie.

- Martwię się o ciebie.

Potrząsnął głową ze smutnym uśmiechem.

- Masz większe zmartwienia.

- Przepraszam, strasznie cię przepraszam! - wyrzuciłam z siebie. - Nie powinnam była otwierać jego listu. To nie moja sprawa. Nie pomyślałam.

- Nie... nie. To ja przepraszam. Nie chciałem tak wybuchnąć. Boże, czułem się tak, jakby przemawiał przeze mnie mój ojciec. Przepraszam!

Liam spojrzał w ziemię, a kiedy znów podniósł wzrok, miał zaciśnięte usta. Myślałam, że się rozpłacze albo zacznie krzyczeć, więc kiedy zrobił kolejny niebezpieczny krok w moją stronę, zachwiałam się. Gdy patrzyłam mu prosto w oczy, miękły mi kolana. Chociaż bałam się intensywności jego spojrzenia, zależało mi na tym, żeby poznać prawdę o nim.

- Wracajmy. - Znów potrząsnął głową. - Już dobrze. Nie powinienem był zostawiać tej dwójki samej.

- Myślę, że potrzebujesz jeszcze chwili. Powinieneś ją dobrze wykorzystać, ponieważ kiedy znów wsiądziesz do tego samochodu, musisz pamiętać, że jego pasażerowie na ciebie liczą.

Próbował złapać mnie za ramię, ale zrobiłam krok w tył.

- Nie wiem, co takiego jest w tobie... - zaczął. Boże, tak bardzo chciałam ująć jego wyciągniętą dłoń. Moja jakby zamarzła, przeszywana igiełkami bólu.

- Tutaj... - machnęłam ręką pomiędzy nami - nie musisz kłamać. Wcześniej mówiłam szczerze, ale nie mogę ci pomóc, jeśli nie powiesz mi, co tak naprawdę dzieje się w twojej głowie. Jeśli potrzebujesz się wygadać albo wykrzyczeć, masz mnie. Nie możesz tak po prostu wstać i wyjść, tak jak dzisiaj... Jak zawsze. Lee, wiem, wydaje ci się, że nas chronisz, ale co się stanie, jeśli któregoś dnia odejdziesz i nie wrócisz?

Zrobił krok w moją stronę, a jego oczy pociemniały od czegoś, czego nie rozpoznawałam. Wcześniej jakoś nie zauważyłam, jaki jest wysoki, jednak teraz zdawał się nade mną górować. Nachylił się tak, że nasze twarze znalazły się na jednym poziomie. Wiedziałam, co bym zrobiła, gdyby okoliczności wyglądały inaczej. Gdybym umiała się kontrolować. Widziałam, czego on chce.

Czego ja chcę.

Kiedy się cofałam, poślizgnęłam się na kamieniu i przywarłam plecami do ściany. Czułam ogarniającą mnie panikę. Drżałam w oczekiwaniu na to, co się wydarzy, rozkoszowałam się jego bliskością. Może jego gniew zniknął, ale to, co czuł teraz, było o

wiele silniejsze niż ból, frustracja czy złość. Czułam, jak w moim gardle rodzą się słowa nie zbliżaj się i nie, wciśnięte pomiędzy przerażenie i pragnienie. Jego usta ułożyły się w moje imię, ale ja słyszałam jedynie szum własnej krwi.

Ostatni raz próbowałam się z tego uwolnić, ale kolana odmówiły mi posłuszeństwa. Przed oczami wirowały mi i pękały punkciki we wszystkich odcieniach tęczy.

Złapał mnie, jednak tym razem nie przyciągnął mnie do siebie, ale uniósł do góry. To nie miało znaczenia. Kiedy jego dłonie zacisnęły się na mojej talii, straciłam go z oczu.

18

Miałam zamknięte oczy, ale wyobrażałam sobie, co musiało się właśnie wydarzyć - to, jak jego źrenice musiały się nagle skurczyć i ponownie rozszerzyć. Jak musiał być bezbronny. Gotowy na przyjęcie rozkazów.

Umysł Liama był jak smuga kolorów i świateł. Znalazłam się obok chłopczyka w ogrodniczkach, ściskającego dłoń jakiejś kobiety, a po chwili balansowałam na przednim zderzaku starego samochodu, kiedy mężczyzna o łagodnej twarzy i mocnych ramionach pokazywał mi silnik. Widziałam odskakującą twarz jakiegoś chłopca po tym, jak uderzyłam go pięścią w nos, i słyszałam ryk entuzjazmu zgromadzonych wokół nas gapiów. Wpatrywałam się w długie nogi Pulpeta zwisające z górnej pryczy, a już po chwili stałam przed Czarną Betty, przyglądając się, jak słaba i głodna Zu wdrapuje się na tylne siedzenie.

Wtedy zobaczyłam siebie.

Widziałam, jak promienie słońca migoczą w moich ciemnych włosach, jak śmieję się w głos na przednim siedzeniu. Nie wiedziałam, że mogę tak wyglądać.

Nie.

Nie.

Nie! Nie chcę widzieć...

Uderzyłam go w twarz, a dźwięk rozległ się echem w koronach drzew. Moją dłoń przeszył ból, który przeniósł się na ramię i klatkę piersiową. Usłyszałam także coś innego - trzask, który przypominał przełamywany patyczek. Cofnęłam się, jakby to on mnie uderzył. Prawie żałowałam, że tak się nie stało, ponieważ ból wyrwałby mnie z mętnego transu, w który wpadłam.

Spanikowałam. Niezliczone doświadczenia z Thurmond nauczyły mnie, że aby zerwać połączenie, najlepiej było zrobić to powoli, ostrożnie. Rozplątać łączące nas niewidzialne nici, jedna po drugiej. Czy nie to samo przytrafiło mi się z Sam? Jeden nieodpowiedni dotyk sprawił, że tak mocno i tak szybko się od niej oderwałam, iż zupełnie wymazałam siebie z jej pamięci.

W miarę jak odrywałam się od Liama, ból słabł.

- Ruby?

Dlaczego zawsze musiałam to robić? Dlaczego choć ten jeden jedyny raz nie potrafiłam wziąć się w garść?

Liam wpatrywał się we mnie. Patrzył na mnie, a nie gdzieś w pustkę. Był skupiony, chociaż zupełnie osłupiały. Spojrzałam na czerwoną pręgę, która powstawała na jego

policzku.

- Ruby?

Czy dobrze usłyszałam? Wypowiedział moje imię?

- Co tu się właściwie stało? - Zaśmiał się krótko. - Czuję się tak, jakbym właśnie oberwał od dwumetrowego oprycha.

- Poślizgnęłam się... - Co mogłam mu powiedzieć? Chociaż prawda sama wyrywała mi się z ust, nie mógł się dowiedzieć, co właśnie zrobiłam...

- No proszę... A ja próbowałem być rycerski i cię złapać? - Zaśmiał się i stanął na nogi, chwytając się pobliskiego drzewa. - Będę miał nauczkę. Następnym razem na mnie nie licz, słonko... Ależ z ciebie uparciuch.

- Przepraszam - wyszeptałam. - Tak mi przykro...

Liam przestał się śmiać.

- Przecież wiesz, że żartuję. Naprawdę trzeba mieć szczęście, żeby oberwać od kogoś, kogo się właśnie próbuje złapać. Wprawdzie przypomniało mi się kilka upokarzających momentów z WF-u, ale poza tym nic mi się nie stało, naprawdę... Co?

Czy ty w ogóle pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

- O mój Boże - powiedział, uświadamiając sobie, że wciąż leżę na ziemi. - Żyjesz? Nie mogę uwierzyć, że nawet cię o to nie zapytałem. Nic ci się nie stało?

Zignorowałam rękę, którą mi podał. Było jeszcze zbyt wcześnie.

- Wszystko dobrze - odparłam. - Chyba musimy już wracać. Zostawiłeś włączony silnik.

Mój głos brzmiał spokojnie, ale wypełniała mnie pustka. W jednej chwili uschła cała nadzieja, która we mnie płynęła i rozlewała się po moim ciele niczym strumień. Straciłam nad sobą kontrolę, ale on nie miał o tym pojęcia. I nie tylko on. Nikt nigdy nie zdawał sobie z tego sprawy.

To nie mogło się powtórzyć. Tym razem miałam szczęście, nadal mnie pamiętał, mimo że nie mógł sobie przypomnieć, co zrobiłam. Nie miałam jednak pewności, że dobra passa będzie trwać.

Koniec z dotykaniem. Koniec z palcami muskającymi ręce i z ramionami przyciśniętymi do ramion. Koniec z chwytaniem jego dłoni, niezależnie od tego, jak wydawała mi się ciepła i duża.

Miałam powód, by chcieć znaleźć Uciekiniera. Będę błagać, żeby mi pomógł.

- Tak... tak. - Skinął głową, ale kiedy znów na mnie spojrzał, miał ściągnięte brwi. Gdy przeszedł obok mnie, nie podając mi ręki, poczułam ból w piersi.

Kiedy wracaliśmy do samochodu, mijając budynek, wodotryski, srebrne ławki i zadaszone stoły, szłam kilka kroków przed nim. Gdy wyłoniłam się zza rogu, przyspieszyłam i właściwie zaczęłam biec truchtem. Spodziewałam się, że Pulpet i Zu będą stać przy automatach, próbując wydobyć z nich ostatnie przekąski.

Ale to nie Pulpet tam na mnie czekał, a już na pewno nie była to Zu.

Ciemne włosy i jeszcze ciemniejsze oczy. Mężczyzna nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Jego twarz szpeciła blizna, która zaczynała się tuż pod jego prawym okiem i biegła aż do linii włosów, gdzie błyszcząca różowa skóra uniemożliwiała wzrost włosów. Mój mózg przyswajał te informacje w zwolnionym tempie. Patrzyłam, jak mężczyzna krzywi się i z pogardą marszczy swój wąski nos.

Liam zawołał mnie głosem pełnym paniki. Jego stopy dudniły o cementową ziemię. Uciekaj!, chciałam krzyknąć. Co ty robisz? Uciekaj! Kiedy odwróciłam się do mężczyzny, łowcy nagród ubranego w pogniecioną niebieską wiatrówkę, uniósł kolbę karabinu i wymierzył mi silny cios w głowę, pozbawiając mnie tchu.

Czułam oślepiający ból, a pod moimi powiekami rozlało się białe światło. Upadłam, ale nie straciłam przytomności. Kiedy mężczyzna próbował złapać mnie za koszulę, z całej siły kopnęłam go w kostki. Stękając, przewrócił się, a jego broń wylądowała na kamieniach. Kopałam, aż poczułam pod stopami coś twardego. Wiedziałam, że to nie wystarczy.

Próbowałam się podnieść, ale ziemia kołysała mi się pod nogami. W głowie czułam rwący ból, a moje prawe oko zalało coś gorącego i mokrego - krew. Czułam jej smak, tak samo jak drganie powietrza, kiedy Liam machnięciem dłoni uniósł mężczyznę z ziemi i jak szmacianą lalkę rzucił na ostre krawędzie stołów piknikowych, natychmiast pozbawiając go przytomności.

Zu, Pulpet, Zu, Pulpet, kołatało mi się w głowie. Przycisnęłam rękę do czoła w miejscu, gdzie kolba karabinu rozerwała moją skórę.

Nie wiem, co wydarzyło się potem. Kiedy ruszyliśmy przed siebie, miałam wrażenie, że sekundy w mojej głowie przeskakują jak zdarta płyta. Wydaje mi się, że Liam próbował mi pomóc, ale odepchnęłam go niezdarnymi, spowolnionymi ruchami rąk.

Biegnij, chciałam powiedzieć. Uciekaj stąd!

- Ruby... Ruby. - Liam próbował zwrócić na siebie moją uwagę, ponieważ nie widział tego, co ja.

Zu i Pulpet siedzieli na ziemi przy Betty. Ręce mieli skute za plecami, a stopy związane jasnożółtą liną. Nad nimi stał nie kto inny, jak sama Lady Jane.

Pierwszy raz widziałam ją z bliska, a przynajmniej z tak bliska, że mogłam dostrzec

znamię na jej policzku i jej zapadnięte oczy skrywane za czarnymi oprawkami okularów. Wilgoć w powietrzu sprawiała, że jej ciemne, rozpuszczone, sięgające ramion włosy zaczynały się kręcić, jednak jej skóra wyglądała tak, jakby ktoś naciągnął ją na ostre rysy twarzy kobiety. Czarną koszulę wetknęła w dżinsy przytrzymywane przez czarny pas. Rozpoznawałam niezliczone przyrządy, które z niego zwisały. Pomarańczowe urządzenie, paralizator elektryczny, kajdanki...

- Witam cię, Liamie Stewarcie - powiedziała kobieta lodowatym, aksamitnym jak jedwab głosem.

Stojący tuż obok mnie Liam zaparł się stopami o ziemię i uniósł ramiona - chyba chciał ją przewrócić. Kobieta cmoknęła tylko z dezaprobatą i wskazała głową na swoją lewą rękę. Podążyłam wzrokiem w dół i w jej dłoni zobaczyłam broń, która wycelowana była w głowę Zu.

- Lee... - Głos Pulpeta był nienaturalnie piskliwy, ale to spojrzenie oczu Zu sprawiło, że zamarłam.

- Podejdź tu - powiedziała kobieta. - Powoli, z rękami na głowie. Zrób to natychmiast, Liamie, inaczej nie mogę ci obiecać, że nie omsknie mi się palec. - Przechyliła głowę na bok.

Przycisk awaryjny, pomyślałam. Gdzie on jest? Mój plecak wciśnięty był pod fotel pasażera. Gdybym mogła go dosięgnąć, gdyby udało mi się zbliżyć do drzwi...

- Tak? - syknął Liam. - Ile wynosi teraz nagroda za moją głowę? Zajęło ci trzy tygodnie, żeby w końcu nas dogonić, więc stawka pewnie zmalała.

Jej uśmiech na chwilę przygasł, jednak po chwili kobieta znów wyszczerzyła zęby.

- Nadal można za ciebie dostać dobre dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, gołąbeczku. Powinieneś być z tego dumny. Za pierwszym razem dostałam tylko dziesięć.

Liam aż dygotał z wściekłości, zbyt rozemocjonowany, by mówić. Słyszałam, jak oddech więźnie mu w gardle. Nagle zrozumiałam, skąd tyle o niej wiedział - była to ta sama kobieta, która schwytała go wcześniej.

- Nawet nie wiesz, jaka byłam zaskoczona, kiedy w bazie danych znów pojawiło się twoje nazwisko, i to jeszcze z taką nagrodą! Wygląda na to, że odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, wpakowałeś się w niezłe tarapaty.

- No cóż - powiedział Liam szorstko. - Staram się, jak mogę.

- Ale, serduszko, nie rozumiem, jak mogłeś wrócić w tamto miejsce? Nie przyszło ci do głowy, że cię tam znajdę? - Kobieta znów przechyliła głowę. - Twoi przyjaciele bardzo chętnie podzielili się ze mną waszymi planami w zamian za wolność. A zatem wybieracie się nad jezioro Prince?

Ból, który odczuwałam, znów ustąpił miejsca lękowi. Jeżeli znajdzie East River... Boże, nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić tego, czym mogło to grozić.

Z miny Liama wnioskowałam, że on potrafi. Starał się utrzymać palce wsunięte we włosy, a jego kłykcie aż zbielały z wysiłku.

- Jeśli mogę dostać tyle pieniędzy za ciebie, wyobraź sobie, ile dostanę za obozowisko pełne dzieciaków - powiedziała Lady Jane. - Starczy mi, bym mogła wrócić do domu. Muszę ci za to podziękować. Nie masz pojęcia, ile trzeba mieć pieniędzy, żeby jakiś urzędnik przymknął oko i przepuścił przez granicę kogoś wyjeżdżającego z kraju trawionego chorobą.

Kolejna sekunda ciszy była niemal ogłuszająca - widziałam dokładnie, jakie będą jego następne słowa.

- Jeśli ich puścisz, będziesz mogła mnie zabrać - powiedział Liam. Ręce wciąż trzymał na głowie. - Nie będę sprawiał kłopotów.

- Nie! - krzyknął Pulpet. - Nie rób tego...

Kobieta nie zastanawiała się ani chwili.

- Myślisz, że zamierzam robić ci jakiekolwiek przysługi? Nie, Liamie Stewarcie, zabiorę was wszystkich, nawet tę twoją dziewczynę. Może zanim zaczniesz się targować, powinieneś wziąć pod uwagę to, w jakim jest stanie?

Liam spojrzał w moją stronę i zauważył krew cieknącą mi po twarzy. Starając się zachować jasność widzenia, zrobiłam maleńki krok naprzód.

- Nie wiem, skąd się tu wzięłaś, moja panno, ale mogę cię zapewnić, że tam, dokąd cię zabiorę, nie będzie ci już tak przyjemnie.

Nigdy tam nie wrócę.

Żadne z nas tam nie wróci. Nie, jeśli mogłam mieć na to jakikolwiek wpływ.

- Chodź tu - powiedziała, patrząc na mnie, a jednocześnie wciąż trzymając Liama na muszce. - Ty pierwsza, dziewczynko. Już ja się tobą zajmę.

Szłam krok za krokiem, ignorując rzężący oddech Liama i szumienie w uszach. Mój wzrok prześlizgnął się z Pulpeta na Zu, a następnie na twarz kobiety, irytująco zadowolonej z siebie. Żadne z nich nie spuszczało ze mnie oka.

Odkryją prawdę.

Po tym wszystkim nie będą mnie już chcieli.

- Odwróć się - warknęła. Spojrzała na stoły piknikowe, pośród których wciąż leżał jej nieprzytomny partner. Kiedy jej koncentracja na chwilę osłabła, zauważyłam, że zwalnia nieco uścisk na rękojeści broni. Postanowiłam wykorzystać okazję.

Moje kolano poszybowało do góry i wbiło się tuż pod jej żebra. Broń z łoskotem

upadła na ziemię. Usłyszałam, że Liam robi dwa kroki w moją stronę, jednak byłam szybsza. Czułam, jak ciepła krew spływa mi po twarzy i kapie z podbródka. Źrenice kobiety rozszerzyły się, kiedy zacisnęłam dłoń na jej odsłoniętym gardle i przycisnęłam ją do drzwi Betty. Spojrzała mi w oczy, a ja byłam pewna, że mam nad nią kontrolę. Gdy poczułam ból pod powiekami, wiedziałam, że się nie mylę.

Wślizgnięcie się do jej głowy przyszło mi tak łatwo, jak wciągnięcie powietrza do płuc. Widziałam, jak jej źrenice kurczą się, a po chwili wracają do normalnego rozmiaru, i czułam, jak gdyby ktoś oplątał mój mózg drutem kolczastym i z każdą sekundą coraz mocniej go zaciskał.

Kątem oka zobaczyłam zdumioną twarz Pulpeta. Kiedy próbował wstać, odepchnęłam go stopą. Nie. To nie było bezpieczne. Jeszcze nie teraz.

Kobieta rozejrzała się dookoła roztargnionym wzrokiem. Wtedy zaczęło mi łomotać w uszach. Bum-bum, bum-bum, bum-bum... Nie wiedziałam, czy słyszę bicie swojego serca czyjej.

- Oddaj mu broń - powiedziałam, wskazując głową na miejsce, w-którym stał Liam. Kiedy się nie poruszyła, do mrocznego wnętrza jej umysłu wepchnęłam obraz tej czynności. Nie mogłam się zmusić do tego, żeby spojrzeć na reakcję Liama, gdy kobieta podała mu czarny przedmiot. - Posłuchaj mnie uważnie - ciągnęłam. Na języku czułam gorycz krwi. - Odwrócisz się i odejdziesz szosą w przeciwną stronę. Wejdziesz do lasu i będziesz szła przez godzinę... Potem usiądziesz pomiędzy drzewami i nie będziesz się ruszać. Nie będziesz jadła ani spała, ani piła, niezależnie od tego, jak bardzo będziesz tego pragnąć. Będziesz siedziała w bezruchu.

Stworzenie tego wyobrażenia w jej umyśle i podsunięcie jej powyższej wizji było coraz trudniejsze. Nie dlatego, że traciłam nad nią kontrolę, ale dlatego, że powoli traciłam przytomność.

Uda ci się, powtarzałam sobie. Nie miało znaczenia to, że nikt nigdy mnie tego nie nauczył, ani to, że nigdy tego nie ćwiczyłam. Robiłam to instynktownie, jak gdybym znała to od zawsze.

Zamknęłam oczy i zaczęłam przemierzać szlak jej ciemnych wspomnień, które zbierały się pod moimi powiekami. Jechałam szosą, jedną dłonią trzymając kierownicę, a drugą wskazując na pobliski parking. Zaparkowałam na tyłach budynku, skrywając pojazd wśród drzew, i zaczęłam iść w stronę samotnego czarnego vana stojącego na parkingu. Zatrzymałam się przy tym wspomnieniu. Wdychałam zapach deszczu i trawy, czując lekki podmuch wiatru. Poczekałam, aż jej partner podejdzie do vana z uniesionym karabinem,

gotowy do strzału.

Wyszarpnęłam jej to wspomnienie z głowy, a w miejscu, w którym stała Czarna Betty, wyobraziłam sobie jedynie powietrze. Wróciłam trasą jej wspomnień do chłopców w supermarkecie i do informacji, którą wyjawili jej o East River. Powyższy obraz zamienił się w smugi światła, rozmazane jak spływające po szybie samochodu krople deszczu.

- Nie będziesz już pamiętać tego, co się wydarzyło. Nie będziesz już pamiętać nas.

- Nie będę pamiętać tego, co się wydarzyło... - powtórzyła, jak gdyby ta myśl dopiero pojawiła się w jej głowie.

Puściłam jej szyję, ale ból, który odczuwałam, nie mijał. Jej wzrok odzyskał ostrość. Ból nadal nie mijał. Obróciła się na pięcie i zaczęła iść w stronę opustoszałej szosy.

Ból nie mijał.

Przeciwnie, stawał się coraz silniejszy. Strużka potu spłynęła mi po skroni na plecy. Byłam cała mokra. Włosy przylgnęły mi do twarzy, a koszula przykleiła się do mojego ciała niczym druga skóra. Przykucnęłam. Skoro miałam zemdleć, lepiej było pozostać blisko ziemi.

Nie chcę zemdleć. Nie mdlej. Nie. Mdlej.

Usłyszałam głos Liama, a po chwili zobaczyłam jego stopę. Uchyliłam się.

- Nie... - zaczęłam. Nie dotykaj mnie. Nie teraz.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałam, nim zamknęłam powieki, nie była stara asfaltowa droga ani niebo, ani nawet moje odbicie w karoserii Betty. Było to migoczące wspomnienie mnie samej sprzed kilku dni, kiedy Liam siedział za kierownicą, z całych sił wyśpiewując piosenkę zespołu Derek and the Dominos Layla. Tak strasznie fałszował, że nawet Pulpet pękał ze śmiechu. Zu siedziała tuż za nim, poruszając się w rytm śpiewnych tonów gitary elektrycznej.

Wtedy tak łatwo było się śmiać i chociaż przez chwilę udawać, że wszystko będzie dobrze. Że byłam jedną z nich.

Ponieważ oni nie wiedzieli... Nie mieli pojęcia, kim jestem. A teraz wszystko miało się skończyć i nigdy już nie wrócimy do tego, co było.

Żałowałam, że nie udało mi się uruchomić przycisku awaryjnego. Żałowałam, że Cate nie przyjechała i nie zabrała mnie ze sobą tam, gdzie z otwartymi ramionami przyjęto by kolejne monstrum.

19

Kiedy zbliżały się moje dziesiąte urodziny, najważniejsze było dla mnie to, że w dziesiątce znajdują się dwie cyfry. Atmosfera i tak nie była zbyt urodzinowa. Przy obiedzie siedziałam pomiędzy rodzicami i przesuwałam widelcem groszek na talerzu, próbując nie zwracać uwagi na to, że oboje milczą - nie odezwali się słowem ani do mnie, ani do siebie. Po kłótni, która miała miejsce pół godziny wcześniej, mama miała zaczerwienione oczy. Zaprosiła moich kolegów i koleżanki na przyjęcie niespodziankę, ale tata zmusił ją, żeby zadzwoniła do ich rodziców i wszystko odwołała. Powiedział, że w tym roku nie wypada świętować i że okrucieństwem byłoby wywieszenie przed domem kolorowego transparentu i balonów, ponieważ byłam ostatnim żywym dzieckiem na naszej ulicy. Siedziałam u szczytu schodów i słuchałam, jak się kłócą.

Właściwie to wcale mnie to nie obchodziło. I tak nie było już dzieci, które naprawdę chciałam zaprosić. Najważniejsze było dla mnie to, że w wieku dziesięciu lat poczułam nagle, że się starzeję, a raczej to, że wkrótce się zestarzeję. Zacznę wyglądać jak dziewczęta w magazynach: będę musiała nosić sukienki, buty na wysokich obcasach i robić makijaż, a co więcej - pójść do liceum.

- Za dziesięć lat, licząc od jutra, będę miała dwadzieścia lat. - Nie wiem, dlaczego powiedziałam to na głos. Zdałam sobie z tego sprawę tak nagle, że musiałam się tym z kimś podzielić.

Cisza, która zapadła po mojej wypowiedzi, była wręcz rozdzierająca. Mama gwałtownie się wyprostowała i przycisnęła serwetkę do ust. Przez chwilę miałam wrażenie, że wstanie i wyjdzie, ale tata położył dłoń na jej dłoni i nie pozwolił jej odejść.

Przestał żuć kawałek grillowanego kurczaka i uśmiechnął się do mnie tak niepewnie, że drgały mu kąciki ust. Nachylił się do mnie, a nasze identyczne zielone oczy się spotkały.

- Masz rację, pszczółko. A dziesięć lat później ile będziesz miała lat?

- Trzydzieści - powiedziałam. - A ty... Pięćdziesiąt dwa!

Zaśmiał się.

- To prawda. Będę już jedną nogą w...

Grobie, szepnął mój umysł. Jedną nogą w grobie. Tata uświadomił sobie swój błąd i nie dokończył wypowiedzi, ale nie miało to już znaczenia. Cała nasza trójka wiedziała, co ma na myśli.

Grób.

Wiedziałam, czym była śmierć. Wiedziałam, co się działo z ludźmi, kiedy umierali.

Na lekcjach odwiedzali nas specjalni goście z pogadankami dla dzieci, które przeżyły. Jedna z kobiet przydzielona do naszej klasy, panna Finch, przygotowała dla nas prezentację na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Miała na sobie różowy golf i okulary, które zasłaniały jej pół twarzy. Na tablicy wielkimi drukowanymi literami napisała: śmierć to nie

SEN. ŚMIERĆ SPOTKA KAŻDEGO Z NAS. PRZYCHODZI NIESPODZIEWANIE. PO ŚMIERCI Się NIE WRACA.

„Kiedy ludzie umierają - mówiła - przestają oddychać. Nie muszą jeść ani mówić i nie myślą o nas ani nie tęsknią za nami, tak jak my tęsknimy za nimi. Nigdy, przenigdy się nie budzą". Podawała nam coraz więcej przykładów, jakbyśmy byli zbyt głupi lub zbyt mali, żeby to pojąć - jakby sześcioro dzieci, które pozostały z całej naszej klasy, nie widziało blednącej twarzy Grace. „Zdechłe koty nie mruczą, a zdechłe psy się nie bawią. Zwiędłe kwiaty - panna Finch wskazała dłonią na uschnięty bukiet na biurku mojej wychowawczyni - nie rosną ani nie kwitną". I tak godzinami. Przez cały czas powtarzała: „Rozumiecie?", ale żadna z jej odpowiedzi nie zaspokoiła mojej ciekawości. Pytanie, które naprawdę chciałam jej zadać, brzmiało:

- Jak to jest?

Tata spojrzał na mnie ostro.

- Jak to jest?

Wbiłam wzrok w talerz.

- Kiedy się umiera. Czy to się czuje? Wiem, że nie wszyscy umierają w ten sam sposób i że przestaje się oddychać, a serce przestaje bić, ale jak to jest?

- Ruby! - W głosie mamy słychać było przerażenie.

- Nie martwię się bólem - powiedziałam - ale czy kiedy ciało przestaje działać, człowiek nadal jest w środku? Czy wie, że umarł?

- Ruby!

Tata ściągnął swoje krzaczaste brwi i przygarbił plecy.

- Cóż...

- Tylko spróbuj! - powiedziała mama i wolną ręką starała się zdjąć jego wielką dłoń ze swoich drżących palców. - Jacob, ani mi się waż...

Splotłam dłonie pod stołem i próbowałam nie wpatrywać się w mamę, której zarumieniona twarz w zaledwie kilka sekund zrobiła się zupełnie biała.

- Nikt... - zaczął tata. - Nikt tego nie wie, kochanie. Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie. Każdy dowiaduje się tego w swoim czasie. Myślę, że to zależy...

- Przestań! - rzuciła mama, uderzając dłonią w stół. - Ruby, idź do siebie!

- Uspokój się - powiedział tata stanowczym głosem. - Musimy o tym rozmawiać.

- Nie musimy! Wcale nie musimy! Jak śmiesz? Najpierw odwołujesz przyjęcie, a kiedy ci powiedziałam, że... – Próbowała wyślizgnąć się z jego uścisku. Ze zdumieniem patrzyłam, jak podnosi szklankę wody i rzuca nią w tatę. Uchylając się, uniósł dłoń, więc mamie udało się wyrwać i wstać. Krzesło, na którym siedziała, z łoskotem upadło na podłogę, a szklanka roztrzaskała się o ścianę tuż za głową taty.

Mimowolnie krzyknęłam. Mama podeszła i złapała mnie za łokieć, a następnie pociągnęła tak mocno, że prawie zrzuciła obrus ze stołu.

- Przestań - powiedział tata. - Uspokój się! Musimy z nią o tym rozmawiać. Lekarze mówią, że musimy ją na to przygotować!

- To boli - wystękałam. Mama przestraszyła się mojego głosu i spojrzała w dół na miękką skórę mojego ramienia, w którą wbijały się jej paznokcie.

- Q Boże... - szepnęła, ale ja byłam już w korytarzu. Pobiegłam schodami na górę, wpadłam do sypialni i trzasnęłam drzwiami, a następnie przekręciłam klucz. Nie chciałam słyszeć, jak rodzice na siebie wrzeszczą.

Schowałam się pod ciężką fioletową kołdrą, strącając na ziemię starannie ułożone maskotki. Nie zdjęłam nawet ubrania, które miałam na sobie w szkole, ani nie zgasiłam światła. Zrobiłam to dopiero wtedy, gdy byłam pewna, że rodzice nadal są w kuchni, z dala ode mnie.

Godzinę później, kiedy wciąż leżałam pod kołdrą, wdychając zgromadzone tam gorące powietrze i słuchając szumu wydobywającego się z otworu wentylacyjnego, przyszło mi do głowy coś jeszcze.

Grace miała dziesięć lat. Podobnie jak Frankie, Peter, Mario i Ramona. Podobnie jak połowa mojej klasy - ta połowa, która nie wróciła do szkoły po świętach.

OMNI ujawnia się zazwyczaj u dzieci w wieku dziesięciu lat - usłyszałam kiedyś w radio - jednak choroba może dotknąć każdego dziecka pomiędzy ósmym a czternastym rokiem życia.

Rozprostowałam nogi i przycisnęłam ramiona do tułowia. Wstrzymałam oddech i zacisnęłam powieki, próbując leżeć nieruchomo. Śmierć. Panna Finch opisała ją, stosując naprzemiennie słowa „nie" i „już". Już nie oddychasz. Nie ruszasz się. Twoje serce już nie bije. Nie śpisz. Wydawało mi się to zbyt proste. „Ten, kto umiera, już do nas nie wraca - powiedziała. - Nie ma czegoś takiego jak powrót ani druga szansa. Pewnie macie nadzieję, że wasi bliscy wrócą, ale musicie zrozumieć, że tak się nie stanie".

Po moich policzkach toczyły się łzy, skapując mi do uszu i ginąc we włosach.

Obróciłam się na bok i wcisnęłam twarz w poduszkę, próbując zagłuszyć odgłosy trwającej na dole awantury. Czy przyjdą do mojego pokoju, żeby na mnie nakrzyczeć? Kilkakrotnie słyszałam ciężkie kroki na schodach i dobiegał mnie grzmiący, straszliwy głos taty wykrzykującego okropne słowa, których nie rozumiałam. Mama brzmiała tak, jakby ktoś obdzierał ją ze skóry.

Podciągnęłam nogi pod brodę, przycisnęłam twarz do kolan i oddychałam spazmatycznie. Miałam wrażenie, że serce łomoce mi w piersi już od wielu godzin i przyspiesza przy każdym trzasku i łoskocie dochodzącym z dołu. Tylko raz wytknęłam głowę spod kołdry, żeby sprawdzić, czy na pewno zamknęłam drzwi na klucz. Gdyby próbowali wejść do mojej sypialni, jeszcze bardziej by ich to rozwścieczyło, ale nie przejmowałam się tym.

Moja głowa wydawała się równocześnie lekka i ociężała, ale najgorsze było to łupanie, jakby coś siedziało mi pod czaszką i za wszelką cenę próbowało się stamtąd wydostać.

- Przestańcie - szepnęłam, zaciskając powieki z bólu. Dłonie drżały mi tak mocno, że nie mogłam utrzymać ich przy uszach. - Błagam, przestańcie!

Kilka godzin później, kiedy zeszłam na dół, znalazłam ich w ciemnej sypialni, pogrążonych we śnie. Stanęłam w plamie srebrzystego światła, które sączyło się przez otwarte drzwi ich pokoju, i czekałam, żeby sprawdzić, czy się obudzą. Przyszło mi nawet do głowy, by ułożyć się na tym małym skrawku łóżka pomiędzy nimi, gdzie było ciepło i bezpiecznie. Tata jednak powiedział mi, że jestem już za duża, żeby robić takie rzeczy.

Zamiast tego podeszłam do śpiącej mamy i ucałowałam ją na dobranoc. Jej policzek był śliski od rozmarynowego kremu do twarzy, chłodny i gładki. Kiedy tylko przycisnęłam usta do jej skóry, odskoczyłam. Oślepił mnie błysk białego światła. Przez kilka dziwnych sekund pod powiekami widziałam własną twarz, zagubioną w plątaninie myśli. Po chwili zniknęła jak zdjęcie opadające w ciemną toń. Koc, którym była przykryta mama, musiał być naelektryzowany i przeskakująca iskra trafiła pewnie wprost do mojego mózgu, zalewając go białym światłem.

Mama chyba tego nie poczuła, ponieważ nawet się nie przebudziła. Tata także spał jak kamień, mimo że kiedy do niego podeszłam, sytuacja się powtórzyła.

Gdy wracałam na górę, ucisk w klatce piersiowej zniknął, jakby spadł na ziemię razem ze zrzuconą z łóżka kołdrą. Świdrujący ból ustąpił, czułam się jednak bardzo osłabiona. Musiałam zamknąć oczy, żeby pogrążony w mroku pokój przestał się kołysać.

Obudziłam się rano. Budzik odezwał się punktualnie o siódmej, uruchamiając radio w

momencie, kiedy zaczynała się piosenka Goodbye Yellow Brick Road Eltona Johna. Pamiętam, że z zaskoczeniem usiadłam na łóżku. Dotknęłam twarzy i klatki piersiowej. Miałam wrażenie, że mimo zasuniętych zasłon w mojej sypialni panuje niezwykła jasność, nietypowa dla tak wczesnego poranku. Minęło zaledwie kilka minut i ból głowy powrócił ze zdwojoną siłą.

Sturlałam się z łóżka na podłogę. Mdliło mnie. Odczekałam chwilę, aż ciemne punkciki przestaną przepływać mi przed oczami, i spróbowałam przełknąć ślinę, żeby pozbyć się suchości w gardle. Znałam to uczucie. Wiedziałam, co oznacza ten ucisk w brzuchu. Byłam chora. I to we własne urodziny.

Przebrałam się w piżamę z Batmanem i wyszłam z pokoju. Mama jeszcze bardziej by się na mnie rozzłościła, gdyby wiedziała, że spałam w mojej ładnej koszuli zapinanej na guziczki, która była teraz pognieciona i przepocona, mimo chłodnego powiewu przedostającego się przez okno. Może mamie będzie przykro ze względu na to, co wydarzyło się zeszłego wieczoru. Może pozwoli mi nie iść dziś do szkoły, żeby mi to wynagrodzić.

Już ze schodów dostrzegłam bałagan w salonie. Wydawało mi się, że patrzę na miejsce, gdzie poprzedniej nocy urzędowały dzikie zwierzęta, które rozdarły poduszki, przewróciły fotel i roztrzaskały na drobne kawałeczki wszystkie szklane świeczniki stojące na wyszczerbionym teraz stoliku. Wszystkie zdjęcia z półeczki nad kominkiem leżały teraz na ziemi, podobnie jak moje szkolne portrety, które mama ustawiła na stole za kanapą. Były też książki. Kilkadziesiąt książek. Rozgniewana mama musiała opróżnić z nich całą biblioteczkę. Pokrywały teraz ziemię niczym tęczowe landrynki.

Mimo że stan pomieszczenia mnie przeraził, mdłości nadeszły dopiero wtedy, gdy dotarłam na ostatni schodek i poczułam zapach smażonego bekonu, a nie naleśników.

Może i w naszej rodzinie nie mieliśmy zbyt wielu tradycji, ale na urodziny zawsze robiło się naleśniki i nigdy o tym nie zapominaliśmy. Przez ostatnie trzy lata rodzice nie pamiętali o tym, żeby zostawić mleko i ciasteczka dla Świętego Mikołaja. Wyleciała im też z głowy nasza umowa, że w każdy długi weekend będziemy jeździć na wycieczki, a od czasu do czasu nie pamiętali o tym, żeby uroczyście obchodzić Dzień Świętego Patryka, ale żeby zapomnieć o urodzinowych naleśnikach?

A może po prostu mama nadal była tak wściekła, że postanowiła ich nie robić? Może znienawidziła mnie po tym, co powiedziałam poprzedniego wieczoru?

Kiedy weszłam do kuchni, mama odwrócona była do mnie plecami. Swoją sylwetką zasłaniała mi światło, sączące się przez okno nad zlewem. Jej ciemne włosy zebrane były w niski, niedbały koczek, który opierał się na kołnierzu czerwonego szlafroka. Ja miałam taki

sam szlafrok. Miesiąc wcześniej tata podarował je nam na Gwiazdkę. „Rubinowa czerwień dla mojej Ruby” - powiedział, wręczając mi prezent.

Mama nuciła coś pod nosem, jedną ręką przewracając bekon na patelni, a drugą trzymając złożoną na pół gazetę. Piosenka, która chodziła jej po głowie, była wesoła i rytmiczna, tak że przez krótką chwilę wydawało mi się, że wszystko będzie dobrze. Przeszła jej złość. Pozwoli mi dziś zostać w domu. Po kilku miesiącach wściekłości i ciągłej irytacji znów była radosna!

- Mamo? - powiedziałam, a po chwili powtórzyłam nieco głośniej: - Mamo?

Odwróciła się tak gwałtownie, że strąciła patelnię z kuchenki i niemal upuściła gazetę w buzujący na palniku płomień. Wyciągnęła rękę i przestawiła pokrętła, tak że zapach gazu się ulotnił.

- Źle się czuję. Mogę dziś zostać w domu?

Nie odpowiedziała. Nawet nie mrugnęła. Widziałam, jak zaciska szczękę, ale dopiero kiedy podeszłam do stołu i usiadłam, odzyskała w końcu głos.

- jak... jak się tu dostałaś?

- Boli mnie głowa i brzuch - powiedziałam, opierając się łokciami o blat. Wiedziałam, że nie znosi, kiedy marudzę, ale nie spodziewałam się tego, że znów do mnie podejdzie i złapie mnie za ramię.

- Pytam, jak się tu dostałaś, moja panno? Jak się nazywasz? - Nie poznawałam jej głosu. - Gdzie mieszkasz?

Im dłużej zwlekałam z odpowiedzią, tym bardziej zaciskały się jej palce na mojej skórze. Miałam wrażenie, że to jakiś żart. Czy ona też była chora? Czasem dziwnie reagowała na lekarstwo przeciw przeziębieniu.

Dziwnie, ale nie przerażająco.

- Odpowiedz mi na pytanie. Jak się nazywasz?

- Au! - krzyknęłam, próbując się jej wyrwać. - Mamo, co się dzieje?

Szarpnęła i wyciągnęła mnie zza stołu.

- Gdzie są twoi rodzice? Jak się dostałaś do tego domu?

Serce ścisnęło mi się tak mocno, że miałam wrażenie, iż zaraz pęknie.

- Mamo... Mamusiu, czemu...

- Przestań! - syknęła. - Przestań mnie tak nazywać!

- Co ty...? - Chciałam chyba powiedzieć coś jeszcze, ale zaciągnęła mnie do drzwi prowadzących do garażu. Moje stopy ślizgały się po drewnianej podłodze, a skóra piekła. - Co... co się z tobą dzieje?! - krzyczałam. Próbowałam uwolnić się z jej uścisku, ale nawet na

mnie nie spojrzała. Zrobiła to dopiero, gdy przycisnęła mnie plecami do drzwi garażu.

- Albo się przyznasz, albo porozmawiamy inaczej. Wiem, że jesteś zdezorientowana, ale uwierz mi, że nie jestem twoją matką. Nie wiem, jak dostałaś się do tego domu i, prawdę mówiąc, chyba nie chcę wiedzieć...

- Ja tu mieszkam! - odparłam. - To mój dom! To ja, Ruby!

Kiedy znów na mnie spojrzała, w jej oczach nie było nic, co przypominałoby mi moją mamę. Linie, które tworzyły się wokół jej oczu, kiedy się uśmiechała, wygładziły się, a jej szczęka się zacisnęła. Kiedy na mnie patrzyła, nie widziała mnie. Nie byłam niewidzialna, ale nie byłam też Ruby.

- Mamo. - Zaczęłam płakać. - Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna. Tak mi przykro, tak strasznie mi przykro! Obiecuję, że będę już dobra! Pójdę dziś do szkoły. I nie będę chora. I posprzątam pokój. Proszę cię, mamo! Naprawdę jest mi przykro. Proszę!

Położyła jedną dłoń na moim ramieniu, a drugą na klamce.

- Mój mąż jest policjantem. Pomoże ci wrócić do domu. Poczekaj tu... Niczego nie dotykaj!

Kiedy otworzyła drzwi, ogarnął mnie powiew mroźnego styczniowego powietrza. Potknęłam się na brudnej betonowej posadzce pokrytej plamami oleju, jednak w ostatniej chwili udało mi się złapać równowagę i nie uderzyć w samochód mamy. Za plecami usłyszałam zatrzaskujące się drzwi i zgrzyt przekręcanego klucza. Zawołała tatę. Słyszałam ją równie wyraźnie jak ptaki ćwierkające w zaroślach wokół pogrążonego w mroku garażu.

Nie zapaliła mi nawet światła.

Podniosłam się z podłogi, ignorując lodowate powietrze wgryzające się w moją nagą skórę, i rzuciłam się w stronę drzwi, poruszając się po omacku, aż w końcu na nie natrafiłam. Próbowałam szarpać klamką, wciąż mając nadzieję i modląc się, że to jakaś wielka urodzinowa niespodzianka i że kiedy znajdę się z powrotem w domu, na stole będzie czekał talerz naleśników, a tata przyniesie prezenty, po czym wszyscy - wszyscy - będziemy mogli udawać, że poprzednia noc nigdy się nie wydarzyła, mimo dowodów czekających w pokoju obok.

Drzwi były zamknięte.

- Przepraszam! - krzyczałam i waliłam w nie pięściami. - Mamusiu, przepraszam! Błagam, wypuść mnie!

Chwilę później pojawił się tata. Jego potężna sylwetka otoczona była światłem płynącym z wnętrza domu. Tuż za jego ramieniem zobaczyłam jasnoczerwoną twarz mamy. Odwrócił się i powiedział, żeby odeszła, a następnie włączył światło.

- Tato! - powiedziałam i objęłam go w pasie. Pozwolił mi na to, jednak sam poklepał mnie tylko lekko po plecach.

- Nic ci nie grozi - rzucił swoim łagodnym, dudniącym głosem.

- Tato... Mamie się coś stało! - wybełkotałam. Po policzkach spływały mi gorące łzy. - Nie chciałam być niegrzeczna! Musisz ją naprawić, dobrze? Ona... Ona...

- Wiem, wierzę ci.

Po tych słowach zdjął moje ręce ze swojego munduru i pociągnął mnie w dół na schodek znajdujący się naprzeciwko bordowego samochodu mamy. Szukając czegoś w kieszeniach, wysłuchiwał mojej opowieści o tym, co się wydarzyło od chwili, kiedy weszłam do kuchni. W końcu wyjął z kieszeni mały notatnik.

- Tatusiu - spróbowałam znowu, ale przerwał mi, dając do zrozumienia, że mam go nie dotykać. Już raz go takim widziałam, kiedy pewnego dnia zabrał mnie ze sobą na posterunek. Sposób, w jaki mówił, i to, że nie pozwolił mi się dotknąć... Kiedyś widziałam, jak robi to samo w stosunku do jakiegoś chłopca. Tylko że tamten chłopak miał podbite oko i złamany nos. Tamten chłopak był obcy.

Nadzieja, która dotąd we mnie kiełkowała, rozprysła się na tysiące maleńkich kawałków.

- Czy twoi rodzice powiedzieli ci, że byłaś niegrzeczna? - przerwał mi. - Czy uciekłaś z domu z obawy, że zrobią ci krzywdę?

Podniosłam się z ziemi. To jest mój dom!, chciałam krzyknąć. To wy jesteście moimi rodzicami! Ścisnęło mnie w gardle.

- Nie bój się, możesz mi o wszystkim opowiedzieć - mówił łagodnie. - Nie pozwolę, by ktokolwiek cię skrzywdził. Powiedz tylko, jak się nazywasz, a potem pojedziemy na posterunek i zadzwonimy w kilka miejsc...

Nie wiem, które z jego słów sprawiło, że coś we mnie pękło, ale zanim zdołałam się powstrzymać, rzuciłam się na niego z pięściami, jak gdybym mogła w ten sposób przywrócić mu pamięć.

- Jestem twoim dzieckiem! - krzyczałam. - Jestem Ruby!

- Musisz się uspokoić, Ruby - odparł, chwytając mnie za nadgarstki. - Wszystko będzie dobrze. Zadzwonię na posterunek i zaraz tam pojedziemy.

- Nie! - wrzasnęłam. - Nie!

Odciągnął mnie od siebie i wstał, po czym skierował się w stronę drzwi. Wbiłam się paznokciami w jego dłoń i usłyszałam, jak jęknął z bólu. Zamykając drzwi, nawet się nie obejrzał.

Zostałam sama w garażu, tuż obok mojego niebieskiego roweru. Tuż obok namiotu, który wielokrotnie zabieraliśmy ze sobą na biwak, i sanek, na których prawie złamałam rękę. Zarówno garaż, jak i dom wypełnione były cząstkami mnie, ale mama i tata... Oni nie potrafili ich poskładać w całość. Nie widzieli pełnego obrazu.

W końcu jednak musieli zobaczyć moje zdjęcia w salonie lub pójść do mojej zabałaganionej sypialni.

-... to nie moje dziecko, Ruby! - Przez ściany dochodził mnie krzyk mamy. Musiała rozmawiać z babcią przez telefon. Babcia przemówi jej do rozsądku! - Ja nie mam dziecka! Ona nie jest moja! Już do nich zadzwoniłam, nie... Przestań! Wcale nie zwariowałam!

Musiałam się schować. Nie mogłam pozwolić na to, żeby zabrali mnie na policję, ale nie mogłam też zadzwonić na pogotowie, prosząc, żeby ktoś im pomógł. Może powinnam to przeczekać? Może samo im przejdzie? Rzuciłam się do skrzyni stojących po przeciwnej stronie garażu, przeciskając się obok samochodu mamy. Jeszcze jeden, dwa kroki, a wskoczyłabym do najbliższej skrzyni i schowała się pod stertą koców. Nie zdążyłam. Drzwi garażu się podniosły.

Nie otwarto ich w pełni, a jedynie uchylono, tak że dostrzegłam śnieg na podjeździe i trawę oraz dolną część ciemnego munduru. Zmrużyłam oczy i przesłoniłam je dłonią, tak by nie oślepiło mnie białe światło. Poczułam świdrujący ból głowy, tym razem tysiąc razy mocniejszy niż dotąd.

Mężczyzna w ciemnym mundurze uklęknął w śniegu, a jego oczy skryte były za okularami przeciwsłonecznymi. Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale przecież nie poznałam wszystkich policjantów z posterunku taty. Ten był starszy. Pamiętam, że przyszło mi wtedy do głowy słowo „surowy".

Przywołał mnie do siebie, mówiąc:

- Jesteśmy tu, żeby ci pomóc. Proszę, wyjdź na zewnątrz.

Zrobiłam jeden ostrożny krok, a potem następny. Ten człowiek jest policjantem, tłumaczyłam sobie, a mama i tata są chorzy, potrzebują pomocy.

W miarę jak się do niego zbliżałam, jego granatowy mundur wydawał mi się coraz ciemniejszy, jak gdyby był przemoczony od deszczu.

- Moi rodzice...

Policjant nie pozwolił mi skończyć.

- Chodź tu, słonko. Teraz jesteś bezpieczna.

Dopiero kiedy moje bose palce znalazły się na śniegu, a mężczyzna owinął sobie moje długie włosy wokół pięści i szarpnął, żeby przeciągnąć mnie przez drzwi, zauważyłam, że

jego mundur jest czarny.

Kiedy odzyskałam w końcu przytomność, szara poświata, zagięcie tylnego fotela i syntetyczny zapach cytryny podpowiedziały mi, że znów jestem w Betty.

Silnik nie był uruchomiony, a pode mną nie przesuwała się szosa, jednak w stacyjce tkwiły kluczyki. Radio było włączone. Przez głośniki sączyły się pierwsze dźwięki piosenki Forever Young Boba Dylana.

Piosenka urwała się nagle i zastąpił ją podenerwowany głos DJ-a.

-... przepraszam. - Mężczyzna zaśmiał się nerwowo. - Nie wiem, dlaczego poleciała ta piosenka. Znajduje się przecież na zakazanej liście. No więc... tak... Wróćmy do muzyki. Kolejny kawałek zamówił Bill z Suffolk. Oto We Gotta Get out of This Place zespołu The Animals.

Podniosłam jedną powiekę i próbowałam usiąść, ale mi się to nie udało. Świdrowanie w głowie było tak natarczywe, że musiałam zacisnąć zęby, żeby nie zwymiotować. Minęło dobre pięć minut, zanim poczułam się na tyle silna, by sięgnąć ręką i dotknąć prawej skroni, skąd promieniował ból. Musnęłam poszarpaną, spuchniętą skórę, wyczuwając pod palcami grube szwy, które przytrzymywały ranę.

Pulpet.

Wyciągnęłam ramię, na którym leżałam. Opadło bezwolnie, bezużyteczne i zdrętwiałe, aż krew znów zaczęła krążyć. Wtedy poczułam palący ogień i kłucie igieł. Ale ból dobrze mi zrobił. Wybudził całe moje ciało z otumaniającego snu.

Nie pozwalał mi jednak zapomnieć.

Muszę uciekać, pomyślałam. Teraz, zanim zdążą wrócić. Na myśl o ujrzeniu ich twarzy czułam, że pęknie mi serce.

Oni wiedzy.

Oni wiedzą.

Wtedy zaczęłam płakać. Nie byłam z tego dumna, ale wiedziałam, że drugi raz sobie nie poradzę.

Na zewnątrz usłyszałam kroki.

-... że to zbyt niebezpieczne. - Pulpet. - Chyba będziemy musieli się jej pozbyć.

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać. - Liam wydawał się podenerwowany.

Usiadłam, podciągając się na jednym z pasów. Przesuwane drzwi były otwarte, dzięki czemu widziałam Pulpeta i Liama stojących przed małym ogniskiem otoczonym kręgiem kamieni różnej wielkości. Powoli zapadał zmierzch.

- Kiedy więc o tym porozmawiamy? - odparł Pulpet. - Nigdy? Będziemy po prostu

udawać, że nic się nie stało?

- Zaraz wróci Zu...

- I dobrze! Świetnie! To także jej decyzja. Wszyscy mamy tu coś do powiedzenia, nie tylko ty!

Nigdy nie widziałam tak zarumienionego Liama.

- Co mamy niby z nią zrobić? Po prostu ją tu porzucić?

Tak, właśnie to powinniście zrobić, pomyślałam i starałam się przedostać na środkowe siedzenie, żeby im o tym powiedzieć, kiedy Pulpet natarł do przodu i rzucił Liama na ziemię, nawet go nie dotknąwszy. Niewzruszony Liam zacisnął usta, uniósł dłoń i dosłownie wydarł przyjacielowi ziemię spod nóg, jak gdyby był to dywan. Pulpet stęknął i się przewrócił, zbyt zdumiony, żeby jakkolwiek zareagować.

Liam także leżał na ziemi, przyciskając pięści do oczu.

- Dlaczego to robisz?! - krzyknął Pulpet. - Chcesz, żeby nas złapali?!

- Wiem, wiem... - odparł. - To moja wina. Powinienem był zachować większą ostrożność...

- Dlaczego mi po prostu nie powiedziałeś? - mówił dalej Pulpet. - Czy ty przez cały czas o tym wiedziałeś? Dlaczego skłamałeś? Czy ty w ogóle chcesz wrócić do domu, czy...

- Charles!

Kiedy wypowiadałam jego imię, mój głos się załamał. Wydawało mi się, że brzmi obco, ale chłopcy od razu mnie poznali. Kiedy Pulpet odwrócił się w stronę vana, gdzie stałam, przytrzymując się nagrzanej słońcem karoserii, zbladł. Liam podniósł się z ziemi.

- Sama odejdę, więc... nie kłóćcie się już, dobrze? - poprosiłam. - Przykro mi, że was okłamałam. Wiem, że powinnam była odejść, ale chciałam wam pomóc dotrzeć do domu, ponieważ wy pomogliście mnie i... Tak mi przykro... Przepraszam was...

- Ruby - powiedział Pulpet, a następnie powtórzył głośniej: - Ruby! Na miłość boską... Przecież my mówimy o Czarnej Betty, a nie o tym, że jesteś Pomarańczowa...

Zamarłam.

- Ja... myślałam... Zrozumiałabym, gdybyście chcieli się mnie pozbyć...

- Że co? - Na twarzy Liama malowało się przerażenie. - Zostawiliśmy włączone radio właśnie po to, żebyś po przebudzeniu wiedziała, że cię nie zostawiliśmy.

Jego słowa sprawiły, że rozpłakałam się jeszcze mocniej.

Kiedy dziewczyna płacze, nie ma na świecie nikogo bardziej bezużytecznego niż chłopak. Obecność dwóch przedstawicieli tej płci oznaczała, że zamiast we mnie zdezorientowani Pulpet i Liam wpatrywali się w siebie nawzajem. Stali zupełnie bezradnie.

W końcu Pulpet wyciągnął rękę i poklepał mnie po głowie jak psa.

- Myślałaś, że chcemy się ciebie pozbyć, bo nie jesteś Zielona? - Liam brzmiał tak, jakby nie do końca to rozumiał. - Cóż, nie jestem zachwycony tym, że nie ufasz nam na tyle, by wyjawić nam prawdę, ale masz prawo mieć swoje tajemnice.

- Ufam wam, naprawdę - powiedziałam - ale nie chciałam, żebyście myśleli, że was do czegoś zmusiłam albo zmanipulowałam. Nie chciałam, żebyście się mnie bali.

- Dobra, po pierwsze: dlaczego mielibyśmy myśleć, że nas zaczarowałaś tak, żebyśmy ci pozwolili zostać? To my głosowaliśmy. To my ci to zaproponowaliśmy. Po drugie: co, u licha, jest takiego złego w byciu Pomarańczowym?

- Nie macie pojęcia... - Do czego jestem zdolna.

- Właśnie - wciął się Pulpet. - Nie mamy pojęcia, ale my też nie otrzymaliśmy ostatnio nominacji do nagrody za normalność. Co z tego, że zaglądasz innym do umysłów. My umiemy rzucać ludźmi jak zabawkami. Zu, przechodząc raz obok klimatyzatora, niechcący wysadziła go w powietrze.

To nie było to samo. Oni nic nie rozumieli.

- Nie umiem tego kontrolować tak jak wy. Czasem robię... złe rzeczy. Widzę to, czego nie powinnam. Zamieniam ludzi w kogoś, kim nie są. To okropne. Kiedy jestem w czyjejś głowie, czuję, że tonę w ruchomych piaskach. Im silniej próbuję się z nich wyrwać, tym większe powoduję szkody.

Pulpet zaczął coś mówić, ale natychmiast przerwał. Liam nachylił się do mnie, tak że jego twarz znajdowała się na wysokości mojej, a nasze czoła niemal się stykały.

- Chcemy, żebyś została - powiedział, przeczesując dłonią moje włosy. - Chcieliśmy tego wczoraj, chcemy dzisiaj i będziemy chcieli jutro. Nic tego nie zmieni. Jeśli się boisz i nie rozumiesz swoich dziwnych zdolności, pomożemy ci je zrozumieć, ale nawet przez chwilę nie wolno ci myśleć, że moglibyśmy cię tak po prostu zostawić.

Poczekał, aż spojrzę mu w oczy, i mówił dalej.

- To dlatego zachowywałaś się w ten sposób, kiedy powiedziałem, że Uciekinier może być Pomarańczowy? To dlatego zależy ci na tym, żeby go znaleźć, czy po prostu chcesz pojechać do babci? Tak czy siak, słonko, pomożemy ci tam dotrzeć.

- I jedno, i drugie - przyznałam. Czy było w tym coś złego?

Przestałam już płakać, ale moje płuca zdawały się lepkie i ciężkie, a zaczerpnięcie nawet płytkiego oddechu wymagało ode mnie wielkiego wysiłku. Nie wiem, dlaczego mój mózg zdawał się tak spokojny, ale próbowałam o tym nie myśleć. Liam i Pulpet chwycili mnie pod ramiona i podprowadzili w stronę trzaskającego ognia.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałam w końcu.

- Gdzieś pomiędzy Karoliną Północną i mokradłami Great Dismal Swamp. Przynajmniej taką mam nadzieję - odparł Liam. Jego dłoń wciąż spoczywała na moim karku i delikatnie mnie masowała. - Południowo-wschodnia Wirginia. Skoro już nie śpisz, muszę sprawdzić, co z Zu. Zostańcie tutaj, dobrze?

Pulpet skinął głową. W milczeniu patrzyliśmy, jak odchodzi. Po chwili Pulpet odwrócił się w moją stronę.

- Ruby - zaczął poważnym głosem. - Możesz mi powiedzieć, kto jest prezydentem?

Mrugnęłam zdziwiona.

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Pamiętasz, co się stało?

Czy pamiętałam? Wspomnienie było blade i zniekształcone, jakbym zaglądała do czyjegoś snu.

- Wściekły facet - powiedziałam. - Karabin. Głowa Ruby. Au.

- Przestań, mówię poważnie!

Skrzywiłam się, dotykając szwów na czole.

- Możesz mówić ciszej? Zaraz rozpadnie mi się czaszka.

- Cóż, masz za swoje. Nie trzeba było nas tak straszyć. Proszę, pij - powiedział, podając mi butelkę z resztką wody. Nieważne, że była zastała i ciepła. Wypiłam ją duszkiem. - Mój tata zwykł powtarzać, że rany głowy zawsze wydają się poważniejsze, niż są w rzeczywistości, ale naprawdę myśleliśmy, że już po tobie.

- Dzięki, że mnie pozszywałeś - rzuciłam. - Wyglądam wprawdzie jak Frankenstein, ale właściwie to chyba do mnie pasuje.

Pulpet westchnął ciężko.

- Frankenstein to nazwisko lekarza, który stworzył potwora, a nie sam potwór.

- Wiedziałam, że nie odpuścisz.

- Nie bądź taka mądra. To ty nie znasz literatury klasycznej.

- Ciekawe, tej książki nie było chyba w bibliotece w Thurmond. - Nie miało to zabrzmieć tak ostro, jak zabrzmiało, ale nie lubiłam, gdy ktoś mi przypominał, że poziom mojego wykształcenia zatrzymał się na etapie wczesnej podstawówki.

Wyglądał na skruszonego. Westchnął głęboko.

- Ja tylko... Po prostu na siebie uważaj. Mam słabe serce. Mogę nie wytrzymać kolejnej dawki takiego stresu.

Kiedy Pulpet i Liam próbowali mnie uspokoić, przez cały czas myślałam o kłótni,

którą usłyszałam. Chociaż ta myśl była przerażająca, rozumiałam, że będziemy musieli zostawić Betty. Wyglądało na to, że żołnierze SSP i łowcy nagród wiedzieli już, że mają jej szukać. Jednak w ich słowach kryło się coś więcej. Wydawało mi się, że wiem, o co chodzi, ale nie mogłam zapytać o to Liama. Chciałam poznać prawdę, a nie jej lukrowaną wersję. Potrzebowałam realistycznego spojrzenia na sytuację, a mógł mi go dostarczyć jedynie Pulpet.

Wahałam się jednak, ponieważ na ziemi pomiędzy nami leżał jego egzemplarz Wodnikowego Wzgórza. Pomyślałam o jednym zdaniu, które tak bardzo rozzłościło mnie, kiedy czytałam je jako dziecko.

Królikom potrzeba godności, a przede wszystkim zgody na swój los*. Króliki w książce natknęły się na królikarnię - społeczność, która przyjmowała jedzenie od ludzi, godząc się, by w zamian za to niektóre z nich zabijano. Króliki z królikarni przestały walczyć z systemem, ponieważ łatwiej im było się pogodzić z utratą wolności i zapomnieć o tym, jak wyglądało ich życie, zanim znalazły się za ogrodzeniem, niż żyć w świecie, w którym trzeba było walczyć o schronienie i jedzenie. Uznały, że utrata kilku królików rekompensuje im chwilową wygodę pozostałych.

* Richard Adams, Wodnikowe Wzgórze, s. 91.

- Czy zawsze tak będzie? - zapytałam, podciągając kolana pod brodę i chowając w nich twarz. - Nawet kiedy znajdziemy East River i otrzymamy pomoc, za rogiem zawsze czyhać będzie Lady Jane, prawda? Czy naprawdę warto?

Potrzeba im zgody na swój los. W tym przypadku mieliśmy się pogodzić z tym, że już nigdy nie zobaczymy swoich rodzin. Że zawsze ktoś będzie na nas polował i że znajdzie nas nawet w najciemniejszej kryjówce w odległym zakątku świata. Trzeba iść na kompromis - przecież nie możemy tak żyć. Nie tak powinno wyglądać nasze życie.

Poczułam ciężką dłoń Pulpeta na swojej głowie, ale dopiero po dłuższej chwili udało mu się pozbierać myśli.

- Może nic się nigdy nie zmieni - powiedział. - Ale warto poczekać, gdyby miało się jednak okazać inaczej.

Nie wiem, czy uspokoił mnie dym z naszego ogniska, czy nagłe pojawienie się Zu, która wróciła z wyprawy na pobliskie pole kempingowe. Chciała się upewnić, że nikogo tam nie ma. Objęła mnie w pasie, a chłopcy zabrali się do gromadzenia jedzenia, które zostało jeszcze w Betty.

- A więc to w ten sposób rozwiązałaś tę zagadkę? - powiedział Liam. - Zobaczyłaś wspomnienie?

Skinęłam głową.

- Teraz nie jest to już takie imponujące, co?

- Nie... nie, nie to chciałem przez to powiedzieć - tłumaczył się, po czym szybko dodał: - Próbuję sobie po prostu wyobrazić, jak wyglądał umysł tego chłopaka, i przychodzi mi na myśl tylko rojące się od aligatorów bagno. To musiało być dla ciebie okropne.

- Nie tak okropne, jak zaglądanie do głowy kogoś, kogo naprawdę lubię - przyznałam.

- Zrobiłaś to? - Pulpet przerwał niemal dziesięciominutową ciszę. Liam sprawdzał właśnie, czy może użyć kluczyków od samochodu do otwarcia puszek z owocami i zupą.

- Co?

- Zaglądałaś do naszych głów? - doprecyzował. Zapytał mnie o to tak, jak dzieci pytają o zakończenie opowieści na dobranoc. Żarliwie. Zaskoczył mnie. We wszystkich moich koszmarnych wizjach tego, że odkrywają prawdę, Pulpet przyjmował ją najgorzej.

- Oczywiście, że wie, co siedzi w naszych głowach - odparł Liam, wkładając całą siłę w to, żeby otworzyć puszkę. - Ruby jest teraz jedną z nas.

- Nie o to mi chodziło - sapnął Pulpet. - Chciałbym po prostu wiedzieć, jak to działa. Nigdy wcześniej nie poznałem żadnego Pomarańczowego. W Caledonii ich nie było.

- Pewnie dlatego, że rząd wszystkich zlikwidował - powiedziałam, splatając ręce na kolanach. - Tak właśnie stało się w Thurmond.

Liam spojrzał na mnie zaniepokojony.

- Jak to?

- Przez pierwsze dwa lub trzy lata, które tam spędziłam, mieliśmy tam każdy kolor, nawet Czerwonych i Pomarańczowych - oznajmiłam - ale... nikt tak naprawdę nie wie, dlaczego i jak to się stało. Niektórzy myślą, że zabrano ich, ponieważ sprawiali zbyt duże kłopoty, ale mówi się, że zostali przeniesieni do nowego obozu, gdzie chcieli przeprowadzić na nich dodatkowe badania. Kiedy obudziliśmy się pewnego ranka, Czerwonych, Pomarańczowych i Żółtych już nie było. - Myślałam o tym z takim samym przerażeniem jak wtedy.

- W takim razie jak udało ci się tego uniknąć? - zapytał Pulpet.

- Od początku udawałam Zieloną - odparłam. - Widziałam, jak bardzo SSP boi się Pomarańczowych, więc wprowadziłam w błąd naukowca, który przeprowadzał test klasyfikacyjny. - Z trudem kontynuowałam naszą rozmowę. - Te dzieciaki były... takie pokręcone. Może były takie, jeszcze zanim odkryły swoje umiejętności, a może nienawidziły siebie za to, że je mają, ale... robiły okropne rzeczy.

- Na przykład? - naciskał Pulpet.

Niełatwo mi było o tym mówić. Słowa z trudem wydobywały się z moich ust. Nie potrafiłam opowiedzieć o sztuczkach, które stosowali na członkach SSP. Ani o tym, jak musieliśmy myć podłogi w Stołówce po tym, jak pewien Pomarańczowy kazał żołnierzowi wejść do środka i zastrzelić wszystkich strażników. Zakłuło mnie w żołądku i poczułam w ustach metaliczną gorycz krwi. Czułam jej zapach. Pamiętam uczucie, które towarzyszyło mi, kiedy próbowałam usunąć krew zza swoich paznokci.

Pulpet otworzył usta, ale Liam uniósł dłoń na znak, żeby był cicho.

- Po prostu wiedziałam, że muszę się chronić.

Prawdę mówiąc, ja też bałam się Pomarańczowych. Było w nich - w nas - coś dziwnego. Chodziło chyba o ten ciągły gwar, o potok myśli i uczuć wszystkich ludzi zgromadzonych wokół nas. W końcu można było się nauczyć, jak się od tego odciąć, jak wznieść gruby mur pomiędzy swoim umysłem a umysłami całej reszty, ale udawało się to nam zbyt późno, kiedy trujące emocje innych ludzi wniknęły już w nas i splamiły nasze myśli. Niektórzy tak wiele czasu spędzali poza własnymi głowami, że kiedy wracali do siebie, nie potrafili już normalnie funkcjonować.

- Teraz już rozumiecie - powiedziałam w końcu - jak wielki popełniliście błąd, pozwalając mi, abym z wami została.

Zu kręciła głową, zrozpaczona myślą, że mogłoby być inaczej. Pulpet zaczął pocierać powieki, tak że nie widziałam jego miny. Tylko Liam patrzył mi prosto w oczy. W jego wzroku nie było odrazy, lęku ani żadnej z tysięcy paskudnych emocji, które miał prawo czuć. Było w nim jedynie zrozumienie.

- Spróbuj sobie wyobrazić, co by z nami było bez ciebie, słonko - powiedział cicho - i wtedy może pojmiesz, jak nam się poszczęściło.

20

Tej nocy spaliśmy w vanie, każde rozłożone na osobnym fotelu. Pozwoliłam, by Zu zajęła tylne siedzenie, a sama zostałam z przodu z Liamem. Spowijająca nas cisza sprawiła, że czułam się nieswojo, a sen nie przychodził, niezależnie od tego, jak usilnie go przywoływałam.

Około piątej rano miałam się już zanurzyć w mgiełce spowijającej mój mózg, kiedy na karku poczułam delikatne muśnięcie czyjejś dłoni. Odwróciłam się na drugi bok i ujrzałam na wpół rozbudzonego Liama.

- Mamrotałaś coś do siebie - wyszeptał. - Wszystko w porządku?

Uniosłam się na łokciu i przetarłam sen z powiek. Krople deszczu zgromadziły się na oknach, pokrywając pękniętą szybę niczym cienka warstwa koronki. Za każdym razem, kiedy jakaś gruba kropla spływała po szybie, wydawało się, że tworzy rozdarcie w tej misternej tkaninie.

Kiedy spojrzałam przez szybę na las, miałam wrażenie, że zaglądam komuś w sen - czułam się zagubiona i zaniepokojona - ale w samochodzie wszystko nabrało ostrości: linie opuszczonych oparć foteli, pokrętła na desce rozdzielczej... Dostrzegałam nawet maleńkie literki wytłoczone na guzikach koszuli Liama.

W tym świetle widziałam każdego siniaka i każde zadrapanie na jego twarzy. Niektóre z nich dopiero zaczynały się goić, a inne już dawno się zabliźniły. Jednak mojej uwagi nie przyciągnął siniak na jego policzku - ten sam, który powstał z mojej winy zaledwie kilka dni temu, chociaż wydawało mi się, że było to w innym życiu - ale to, jak jego włosy stały niemal na baczność, kręcąc się delikatnie wokół uszu i na karku. Deszcz zabarwił je na ciemniejszy odcień miodu, ale nie straciły swojej miękkości. Miałam ogromną ochotę wyciągnąć rękę i ich dotknąć.

- Co? - wyszeptał. - Czemu się uśmiechasz?

Musnęłam palcami jego włosy, żeby je wygładzić. Zdałam sobie sprawę z tego, co robię, dopiero minutę po tym, jak Liam zamknął oczy i poddał się mojemu dotykowi. Ogarnął mnie wstyd, ale zanim zdążyłam się cofnąć, on złapał moją dłoń i wetknął ją sobie pod brodę.

- Nie - szepnął, kiedy próbowałam mu ją wyrwać. - Jest moja.

To niebezpieczne. Uważaj. Ostrzeżenie natychmiast się rozmyło, odegnane w najdalsze zakamarki mojego umysłu, gdzie nie mogło już przeszkodzić cudownemu uczuciu, które towarzyszyło mi, kiedy go dotykałam. Czułam się wspaniale. Tak... naturalnie.

- Kiedyś mogę jej potrzebować - powiedziałam, pozwalając, by musnął nią zarost na

brodzie.

- Nic z tego.

-... krakersy... - wysapał głos za naszymi plecami - taaak...

Odwróciliśmy się i patrzyliśmy, jak Pulpet wierci się na swoim fotelu, a następnie nieruchomieje, wciąż pogrążony w głębokim śnie.

Przycisnęłam dłoń do ust, żeby się nie zaśmiać. Liam z uśmiechem przewrócił oczami.

- Śni o jedzeniu. Często mu się to zdarza.

- Przynajmniej ma dobre sny.

- Tak - zgodził się Liam. - Pewnie ma szczęście. - Ponownie spojrzałam na skuloną sylwetkę Pulpeta i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z tego, jak wielki chłód panował w samochodzie, kiedy z wywietrzników Betty nie płynęło ciepłe powietrze.

Liam oparł głowę na drugim ramieniu i splótł swoje palce z moimi. Przyglądał się ich kształtowi i temu, jak mój kciuk w naturalny sposób ułożył się na jego.

- Czy gdybyś chciała - zaczął - mogłabyś zobaczyć, o czym śnię?

Skinęłam głową.

- Tylko że to coś bardzo osobistego.

- Ale już ci się to zdarzyło?

- Niechcący.

- Ze mną?

- Z dziewczynami w moim Baraku - wyjaśniłam. - I z Zu, tamtej nocy w motelu. Raz wślizgnęłam się do twojej głowy, ale nie do twoich snów.

- Dwa dni temu - powiedział, łącząc ze sobą fakty. - Na parkingu.

Instynktownie chciałam się wycofać, puścić jego dłoń, zanim on puści moją, ale mi na to nie pozwolił.

- Nie rób tego - szepnął. - Nie gniewam się.

Położył sobie nasze dłonie na czole i nie patrząc na mnie, spytał:

- Czy tak jest gorzej? Czy jeśli kogoś dotykasz, trudniej jest ci to kontrolować?

- Czasem - przyznałam. Nie wiedziałam, jak to wyjaśnić, ponieważ nigdy nawet nie próbowałam o tym mówić. - Czasem, kiedy jestem zmęczona lub zdenerwowana, mogę zostać wciągnięta do czyichś myśli lub wspomnień, a równocześnie tego uniknąć, jeśli tej osoby nie dotykam. Jeśli dotknę jej w momencie, kiedy moja głowa jest w takim stanie... dzieje się to automatycznie.

- Tak myślałem - westchnął Liam, znów zamykając oczy - Kiedy się poznaliśmy, robiłaś, co mogłaś, żeby nas nie dotknąć.

Zastanawiałem się, czy to coś, czego nauczono cię w obozie, ponieważ za każdym razem, kiedy któreś z nas próbowało cię dotknąć albo z tobą porozmawiać, podskakiwałaś jak rażona prądem.

- Nie chciałam was skrzywdzić - wyszeptałam.

Jego oczy znów się otworzyły i wydawały mi się jaśniejsze niż wcześniej. Wskazał głową na nasze splecione palce.

- Czy tak jest dobrze?

- A czy ty się dobrze czujesz? - odparłam. Już kiedyś go takim widziałam. Niemal identyczny smutek wypisany miał na twarzy kilka dni wcześniej na parkingu, kiedy opowiadał mi o swoim obozie. - O czym myślisz?

- O tym, jakie to dziwne, że znamy się zaledwie od dwóch tygodni, ale mam wrażenie, jakbym znał cię o wiele dłużej. Myślę o tym, jakie to frustrujące, że część ciebie znam tak dobrze, a drugą część... Nie wiem nawet, jak wyglądało twoje życie, zanim trafiłaś do obozu.

Co mogłam mu powiedzieć? Jak wyznać mu prawdę o tym, co zrobiłam rodzicom i Sam, tak żeby się nie wystraszył i nie puścił mojej dłoni?

- Tutaj nie musisz kłamać - dodał, machając dłonią pomiędzy nami. - Sama tak powiedziałaś.

- Pamiętasz to?

- Oczywiście, że tak, ponieważ mam nadzieję, że to działa w obie strony. Że jeśli zapytam cię, dlaczego nie chcesz wracać do rodziców, powiesz mi prawdę. Albo że jeśli spytam, jak naprawdę było w Thurmond, przestaniesz kłamać. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że to nieuczciwe, ponieważ ja też nie mam ochoty rozmawiać o mojej rodzinie. To tak... jakby...

Obróciłam się, żeby na niego spojrzeć, czekając, aż poukłada myśli.

- Nie wiem, jak to wyjaśnić - powiedział. - Nie umiem ubrać tego w słowa. Te sprawy... te wspomnienia... należą do mnie. To jedyne rzeczy, których nie mogli mi odebrać w obozie. Sprawy, którymi nie muszę się z nikim dzielić. To chyba głupie.

- Wcale nie - zaprzeczyłam. - To wcale nie jest głupie.

- A ja chciałbym z tobą rozmawiać o wszystkim. O wszystkim. Nie wiem jednak, co powiedzieć ci o Caledonii - przyznał. - Nie wiem, co mogę ci powiedzieć, tak żebyś mnie nie znienawidziła. Byłem głupi. Wstydzę się tego i wiem, jestem pewny, że Charles i Zu winią mnie za to, co się stało. Wiem, że Cole doniósł już o wszystkim mamie, a ona powiedziała Harry emu. Kiedy o tym myślę, zbiera mi się na mdłości.

- Zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne. Jestem pewna, że to rozumieją.

Potrząsnął głową i z trudem przełknął ślinę. Drugą ręką odgarnęłam mu włosy z oczu. To, jak wtulił w nią twarz, zamykając powieki i przechylając brodę, dodało mi odwagi, żeby znów to zrobić. Musnęłam palcami jego włosy, zakładając mu kosmyki za ucho.

- Co chcesz zrobić? - wyszeptałam.

- Musimy obudzić resztę. Trzeba się zbierać. Musimy wyruszyć pieszo.

Znieruchomiałam. Było jasne, że podjął już decyzję.

- Po co ten pośpiech? - powiedziałam lekko.

W kąciku ust, tam, gdzie jego blizna spotykała się z wargą, pojawił się nikły uśmiech.

- Właściwie możemy pozwolić im pospać jeszcze kilka godzin.

- A potem?

- Potem ruszymy w drogę.

Minęły dwie godziny. Chyba oboje w końcu zasnęliśmy, ponieważ kiedy otworzyłam oczy, krople deszczu na szybie zaczęły znikać, a przez korony drzew przedzierały się pierwsze promienie słońca.

Gdy tylko się poruszyłam, Liam także się przebudził. Przez chwilę milczeliśmy, próbując rozmasować karki, zesztywniałe od dziwnych pozycji, w jakich spaliśmy. Kiedy puściłam w końcu jego dłoń, poczułam wdzierające się do środka pojazdu lodowate powietrze.

- Pobudka, drużyno - powiedział Liam. Chrupnęło mu w stawach, kiedy sięgnął do tyłu, żeby klepnąć Pulpeta w kolano. - Carpe diem i tak dalej.

Niecałą godzinę później staliśmy przed czarnym minivanem, czekając, aż Zu po raz ostatni upewni się, że nic nie zostało pod siedzeniami. Zapięłam swoją kraciastą koszulę pod szyję i trzykrotnie owinęłam wokół niej czerwony szalik, który gdzieś znalazłam - nie było mi zimno, ale pomagał zakryć przykuwającą uwagę, rozmazaną na przodzie krwawą plamę.

- O rany... - Liam z ponurą miną nachylił się i uwolnił moje włosy zza kołnierza. - Może wolisz włożyć moją?

Uśmiechnęłam się i zapięłam mu kurtkę. Moje czoło nadal było obolałe, a szwy prezentowały się paskudnie, jednak czułam się już nieco lepiej.

- Naprawdę tak strasznie to wyglądało?

- Noc żywych trupów w trójwymiarze. - Liam pochylił się i włożył mi do plecaka kilka swoich ciuchów. W jego dłoni zobaczyłam coś czerwonego. - Prawie miałem przez ciebie zawał, Zielona.

- Teoretycznie nie możesz jej już tak nazywać - zauważył Pulpet. Musiał dokonać właśnie trudnego wyboru i zdecydować, które książki zostawić, a które zabrać ze sobą.

Zdecydował się wziąć Wodnikowe Wzgórze, Serce to samotny myśliwy i Howards End, o której nigdy nie słyszałam. Zostawił natomiast Ze śmiertelnego zimna oraz Wściekłość i wrzask, której nadał własny tytuł Nuda i smuta.

- Właśnie - powiedziałam. - Koniec z Zieloną...

- Już? - Liam zwrócił się do Zu. Wystawiła kciuki, a on zarzucił sobie jej różowy plecak na jedno ramię, a mój na drugie. - Długo jeszcze, moja ty słodka bibliotekareczko? Wydawało mi się, że to tobie spieszyło się najbardziej?

Pulpet pokazał mu środkowy palec i oparł się całym ciężarem o walizkę, żeby ją domknąć. Podeszłam, by mu pomóc, starając się nie patrzeć na Liama, który wpatrywał się w poturbowany szkielet Betty. Zu płakała bezgłośnie. Liam uspokajająco położył jej dłonie na ramionach. Nawet Pulpet spojrzał na samochód z nietypowym dla siebie rozrzewnieniem, skubiąc tkaninę swoich spodni.

Wiedziałam, dlaczego musimy się rozstać z Betty. Łowca nagród, który towarzyszył Lady Jane, wciąż na nas polował i istniało zagrożenie, że nasza prześladowczym zdążyła wpisać samochód do bazy danych, z której korzystali inny łowcy. Wiedziałam jednak także, dlaczego Liam robił to tak niechętnie. W przeciwieństwie do ludzi z porzuconych miasteczek, przez które przejeżdżaliśmy w zachodniej części Wirginii, mieszkańcy okolicznych miast wcale się nie wynieśli, co oznaczało, że na drodze będzie więcej samochodów, a Betty ze swoją podziurawioną od kul karoserią i popękanymi szybami zwracała na siebie uwagę. Poza tym nie mieliśmy już prawie benzyny, a jedynym sposobem na jej znalezienie było spuszczanie jej z baków samochodów porzuconych wzdłuż pobliskiej szosy. Ruch na drodze był jednak zbyt duży, a co za tym idzie mielibyśmy zbyt wielu potencjalnych świadków, żeby tak ryzykować.

Liam podjechał na tyle blisko jeziora Prince, jak tylko było to możliwe, ale nie wiedzieliśmy, ile czasu potrzebujemy, żeby tam dojść.

- Mam wrażenie, że powinniśmy coś zrobić - powiedział. - Na przykład wysłać ją w morze na tratwie i podpalić. Pozwolić, by odeszła w blasku chwały.

Pulpet uniósł brew.

- Przecież to minivan, a nie wiking.

Zu wyrwała się Liamowi i ruszyła w kierunku rosnącego po lewej stronie zagajnika. Liam potarł kark. Wyglądał na zagubionego.

- Hej! - zaczął. - Nieważne, po prostu...

Kiedy jednak Zu wyłoniła się zza drzew, w palcach ściskała cztery małe żółte kwiaty - na oko zwyczajne chwasty, które każdej wiosny musieliśmy wyrywać z ogrodu w Thurmond.

Podeszła do samochodu, wspięła się na palce i uniosła wycieraczkę. Delikatnie ułożyła je obok siebie, tak by leżały prosto na popękanej szybie.

Coś zimnego i mokrego zaplątało mi się w rzęsach. Nie łzy, ale drobny deszczyk - taki, który potrafi przemoczyć do suchej nitki i przeniknąć do szpiku kości. Zdałam sobie sprawę z tego, jakie to niesprawiedliwe, że nie możemy po prostu wsiąść do tego samochodu i że nawet jeśli dotrzemy do East River, i tak przez kilka dni będziemy przemoczeni i obolali.

Ten samochód był dla nas bezpiecznym schronieniem, które teraz mieliśmy utracić.

Wetknęłam ręce do kieszeni, odwróciłam się i ruszyłam w stronę zarośli. Pod palcami wyczułam coś twardego i gładkiego. Nie musiałam nawet wyjmować przedmiotu - wiedziałam, że to przycisk awaryjny. Zatrzymałam go, ponieważ nie byłam pewna, czy sama będę w stanie ich ochronić, a teraz... przemknęło mi przez myśl, że mogłabym go upuścić na ziemię i pozwolić, by tam został. Liam potwierdził wszystkie moje obawy, ale głupotą byłoby pozbycie się nadajnika, kiedy mogliśmy jeszcze wykorzystać Ligę, tak jak ona z pewnością wykorzystałaby nas. Gdyby schwytało nas teraz SSP albo łowcy nagród, wcisnęłabym guzik, a agenci, którzy by się pojawili, mogliby odwrócić uwagę naszych napastników i umożliwić nam ucieczkę.

Kiedy go dotykałam, poczułam ulgę. Zawstydziło mnie to, jak wielkie ukojenie przyniosła mi myśl o tym, że Cate, która obiecała, że wszystkim się zajmie, nadal była blisko.

Liam uważał, że nasza mała grupka najszybciej i najłatwiej dotrze do East River, poruszając się wzdłuż dróg, którymi jechalibyśmy, gdybyśmy wciąż podróżowali Betty. Znajdowaliśmy się na tyle blisko szosy, by usłyszeć szum przejeżdżającego samochodu lub dostrzec błysk długiej, srebrnej ciężarówki, jednocześnie będąc niewidoczni dla innych. W ten sam sposób Liam podróżował po ucieczce z Ligi i pokonał znaczną część Wirginii. W ten sposób miał nadzieję dotrzeć do domu.

Zastanawialiśmy się właśnie, czy Pulpet złamał palec na wystającym z ziemi korzeniu, kiedy ciszę przeciął ryk klaksonu ciężarówki. Huk, który rozległ się chwilę później, był dużo głośniejszy - coś ciężkiego przewróciło się z łoskotem. Usłyszeliśmy trzask metalu.

Podskoczyliśmy - puściłam rękę Zu, żeby zatkać uszy. Pisk opon, który przeszył powietrze tuż przed wypadkiem, przypominał sygnał ostrzegawczy, zapowiadający Biały Szum.

Liam wyciągnął rękę i delikatnie odciągnął moje dłonie od uszu.

- Chodź ze mną. A wy pilnujcie bagaży - zwrócił się do pozostałej dwójki.

Zanim dźwięk zdołał się rozmyć w powietrzu, usłyszeliśmy krzyki. Nie były to zrozpaczone jęki, które wydaje ktoś przestraszony, ranny albo zrozpaczony. Był to okrzyk

wojenny. Ryk zagrzewający do walki. Po tym, co usłyszeliśmy, nie było mowy, by Zu lub Pulpet szli z nami. Zostali przy bagażach, a Liam i ja ruszyliśmy w stronę drzew, które odgradzały nas od mokrego asfaltu szosy.

Pośrodku drogi leżała przewrócona ciężarówka. Miałam wrażenie, że ktoś strącił ją niczym zabawkę. Kiedy ukucnęliśmy, wciągnęłam do płuc woń spalonej gumy i dymu. Bałam się, że przeskakujące przed nami iskry zmienią się w ścianę ognia.

Liam wstał i był już prawie na poboczu, kiedy złapałam go za łokieć.

- Co ty robisz? - próbowałam przekrzyczeć szum deszczu bębniącego o srebrną, zgniecioną naczepę, którą ciągnęła za sobą ciężarówka.

- Kierowca...

Potrzebował pomocy - owszem, wiedziałam o tym. Może byłam bezduszna, ale nie mogłam pozwolić Liamowi, by się nim zajął. Ciężarówki nie przewracają się ot tak, bez powodu. Albo na drodze był jeszcze jeden samochód i kierowca, którego nie widzieliśmy, albo...

Albo okrzyki i wypadek były ze sobą związane.

Liam i ja wciąż znajdowaliśmy się na widoku, kiedy z zarośli naprzeciwko nas wysypały się jakieś postaci. Wszystkie od stóp do głów odziane były w czerń - od kominiarek narciarskich naciągniętych na twarz po czarne buty. Mimo że dzieliła nas droga, kiedy je zobaczyłam, złapałam Liama za ramię i ścisnęłam tak mocno, że na pewno zostawiłam na jego skórze solidny odcisk palców.

Było ich co najmniej dwudziestu. Doskonale zsynchronizowani, poruszali się z wystudiowaną łatwością. Obserwując, jak wysypują się na drogę i dzielą na dwie grupy - jedną okrążającą przód ciężarówki i drugą, która zajęła się kartonami towarów wysypującymi się z naczepy - miałam dziwne skojarzenie z meczem futbolowym. Czterech z nich wdrapało się na kabinę samochodu i gwałtownie otworzyło drzwi, po czym wyciągnęło z niej kierowcę, który wykrzykiwał coś w niezrozumiałym dla mnie języku.

Jedna z postaci w czerni - potężna, o szerokich ramionach - wyjęła zza paska nóż i dała znać pozostałym, żeby przytrzymali kierowcę. Następnie przycisnęła srebrne ostrze do dłoni mężczyzny.

Usłyszałam krzyk, ale dopiero kiedy głowa czarnego monstrum zwróciła się w naszą stronę, zrozumiałam, że wydobywa się on z mojego gardła. Liam podskoczył, bo znaleźliśmy się na linii strzału dziesięciu luf. Pierwsza kula przeleciała tak blisko, że drasnęła jego ucho. Nie mieliśmy nawet czasu, żeby odwrócić się i uciec. Kiedy napastnicy wstrzymali ogień, trzy postaci ruszyły naprzód, krzycząc: „Na kolana!” i „Twarzą do ziemi!”.

Chciałam uciekać. Liam musiał to wyczuć, ponieważ złapał mnie za ramię i pociągnął w dół, przyciskając moją twarz do zimnego, szorstkiego asfaltu. Deszcz zacinał coraz mocniej, wlewając mi się do ucha, nosa i ust, kiedy próbowałam zdusić kolejny krzyk.

- Nie jesteśmy uzbrojeni! - krzyknął Liam. - Spokojnie... spokojnie!

- Zamknij się - syknął ktoś.

Dobrze wiedziałam, jak to jest mieć lufę przyciśniętą do skóry. Ktokolwiek to właśnie robił, bez wyrzutów sumienia przygwoździł mnie kolanem do ziemi, a następnie oparł się na mnie całym ciężarem. Na policzku poczułam chłód metalu. Ktoś zanurzył dłoń w moich włosach i gwałtownie za nie szarpnął. Właśnie wtedy zapomniałam o bólu i uniosłam dłoń, próbując obrócić się tak, by złapać mojego napastnika. Nie byłam bezbronna. Nie mogliśmy tu zginąć.

- Zostaw! - usłyszałam błagalny głos Liama. - Proszę!

- A co to? Nie chcesz, żeby te cenne papiery zamokły? - powiedział ten sam głos, co wcześniej. - Lepiej martw się o siebie i swoją dziewczynę, koleś. - Brzmiał jak szkolny mięśniak, jadący na zbyt dużej dawce adrenaliny.

Ktoś nadepnął mi na dłoń, którą próbowałam chwycić napastnika. Wydałam zduszony krzyk, żałując, że nie mogę odwrócić głowy i zobaczyć, czemu Liam robi to samo.

- Doktor Charles Meriwether - wyczytał głos - 2775 Arlington Court, Alexandria, Wirginia. George Fields...

Listy.

- Przestań - powiedział Liam. - Nic nie zrobiliśmy. Niczego nie widzieliśmy... My tylko...

- Charles Meriwether? - wtrącił się inny męski głos o silnym południowym akcencie. Szum deszczu sprawiał, że ledwo go słyszałam. - George Fields? Tak jak Jack Fields?

- Tak! - Liam zrozumiał to szybciej niż ja. Te dzieciaki tworzyły plemię. - Tak, jesteśmy Psi, proszę... Tak jak wy!

- Lee? Liam Stewart? - Wokół zrobiła się krzątanina.

- Mike? To ty? - zapytał Liam.

- O, Boże... przestańcie, przestańcie! - Lufa oderwała się od mojej twarzy, jednak nadal leżałam przyciśnięta do ziemi. - Znam go! To Liam Stewart! Przestańcie! Hayes, złaź z niego!

- Widział nas. Musimy się trzymać zasad!

- Czy ty ogłuchłeś?! - wrzasnął Mike. - Zasady odnoszą się do dorosłych, a to są dzieciaki, ty głąbie!

Nie wiem, czy to Liam w końcu zrzucił z siebie chłopaka, czy może słowa Mikea podziałały, ale czułam, jak tuż obok mnie podnosi się z ziemi, i otworzyłam oczy w odpowiedniej chwili, by zobaczyć, jak odpycha przytrzymującą mnie czarną postać. Wciągnęłam powietrze głęboko do płuc.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Ujął moją twarz w dłonie. - Ruby, spójrz na mnie. Wszystko w porządku?

Objęłam jego dłonie i kiwnęłam głową.

Spośród sześciu chłopaków, którzy nas okrążyli, tylko dwaj ściągnęli z twarzy kominiarki - jeden rumiany, potężny jak Herkules, ze znakami wymalowanymi czarną farbą pod oczami, a drugi o oliwkowej skórze i kędzierzawych brązowych włosach, związanych w krótki kucyk. Ten drugi miał na imię Mike. Wyciągnął rękę i zabrał Herkulesowi listy, a następnie przycisnął je sobie do piersi.

- Lee, stary, tak mi przykro... Nie przyszłoby mi do głowy... - Głos uwiązł mu w gardle. Liam puścił jedną z moich rąk, żeby poklepać go po plecach. - Co ty tu robisz, u diabła?

Liam odebrał od niego listy i wyciągnął do mnie rękę, a następnie znów mnie do siebie przyciągnął.

- Już dobrze - powiedział. Prawie w to uwierzyłam. Kiedy tylko Mike zabrał głos, reszta dzieciaków w czerni straciła nami zainteresowanie.

- Boże, Lee - rzucił, ocierając twarz z deszczu. - Boże, nie wierzę, że naprawdę udało ci się uciec.

W głosie Liama pobrzmiewało napięcie.

- Myślałem, że byłeś z Joshem, kiedy...

- Byłem, ale udało mi się uciec przez pole. Dzięki tobie.

Inny chłopak, o skórze tak ciemnej jak skóra Pulpeta, wskazał kciukiem w stronę Liama.

- To jest Lee Stewart? - zapytał. - Z Caledonii?

- Z Karoliny Północnej - odparł Lee z nietypową dla siebie złością.

Drżący Mike ścisnął dłoń Liama.

- A pozostali... Widziałeś, czy pozostałym udało się uciec?

Liam się zawahał. Wiedziałam, co myśli, i zastanawiałam się, czy wyjawi Mikeowi, ilu dzieciakom rzeczywiście udało się tej nocy uciec.

Nagle zegarki całej szóstki zaczęły przenikliwie piszczeć.

- Już czas - powiedział Herkules do reszty. - Bierzcie zapasy i wracajcie. Zaraz zjawią

się tu żołnierze.

Pojedynczy strzał podkreślił jego słowa niczym wykrzyknik, niosąc się hukiem po pustej szosie. Liam i ja odskoczyliśmy do tyłu.

Dzieciaki na tyłach ciężarówki zrzucały z naczepy wszystkie towary: kartony i skrzynki kolorowych owoców. Na widok zielonych bananów, które potrzebowały zaledwie kilku dni, żeby dojrzeć, otworzyłam usta ze zdziwienia.

Kiedy skończyli i ruszyli z powrotem w stronę drzew, zobaczyłam, jak wrzucają związanego, nieprzytomnego kierowcę do rowu.

- Więc jak to jest? - Liam potarł kark. - Napadacie na każdego, kto jest na tyle głupi, by tędy przejechać?

- Robimy to, żeby zgromadzić zapasy - odparł Mike. - Próbujemy po prostu zdobyć trochę jedzenia, a tylko w ten sposób nam się to udaje. Musimy działać szybko. Napadamy i wynosimy się, zanim ktokolwiek nas zauważy i ruszy za nami do domu.

- Do domu?

- Tak. A dokąd wy jedziecie? - Mike odkrzyknął coś do pozostałych chłopaków, którzy go wołali. - Powinniście do nas dołączyć!

- Dzięki, ale my już mamy swoje plemię - odparł Liam.

Mike zmarszczył swoje ciemne brwi.

- My nie jesteśmy plemieniem. A przynajmniej nie w takim sensie, w jakim to rozumiesz. Przewodzi nam Uciekinier. Słyszeliście o nim?

21

Ku rozczarowaniu naszej rozbuchanej wyobraźni East River okazało się po prostu polem kempingowym. Owszem, było ogromne, ale nie różniło się niczym od tych, które dziesiątki razy odwiedzaliśmy wraz z rodzicami. Z opisów Mikea i pozostałych wynikało, że lada moment przekroczymy bramy niebieskie, a nie wejdziemy na dawny teren biwakowy, który w swoim poprzednim życiu nosił nazwę Chesapeake Trails.

Ponieważ to Mike przekonał resztę, żeby nas ze sobą zabrała, musiał nas niańczyć, kiedy pięliśmy się w górę nieutwardzonej drogi, obciążeni pudłami pełnymi owoców, które były równie ciężkie, jak kuszące.

- Organizujemy te eskapady, które nazywamy napadami, żeby zgromadzić zapasy dla całego obozu. Jedzenie, lekarstwa i tak dalej. Od czasu do czasu rabujemy też sklepy.

Liam dał mi swoją kurtkę, żebym nie zmokła. Chociaż deszcz zelżał, rozsypujące się w naszych ramionach kartonowe pudła zdążyły już ucierpieć. Co chwilę dno jakiegoś kartonu rozrywało się i dzieciak, który go niósł, musiał pakować przemoczone owoce do kieszeni lub nieść je w prowizorycznym worku zrobionym z koszuli. Nastolatki pochylały się, żeby pozbierać rozrzucone owoce, które tworzyły za nami barwny szlak.

Kiedy Mike odwrócił się do nas plecami, Liam wetknął rękę do górnego pudła, wyjął pomarańczę i wręczył mi ją ze wstydliwym uśmiechem. Włożył ją do kieszeni mojej kurtki, po czym nachylił się tak, że kaptur jego bluzy zsunął mu się z głowy, a następnie pocałował mnie w posiniaczony policzek. Nagle poczułam, że znika chłód, który dotąd spowijał moją skórę.

- Au, au, au, au - jęczał Pulpet za naszymi plecami. - Au, au, au, au.

- Podnosi mnie na duchu to, że po tym wszystkim, co przeszedł, Pulpet wciąż jest tym samym Pulpetem, którego znamy i kochamy - oznajmił Mike.

- O, nieprawda - odparł Liam. - To ulepszona wersja. W ciągu tego podejścia ani razu się nie rozryczał.

- Daj mu kilka minut - parsknął Greg. - Na pewno nas nie zawiedzie.

- Hej - powiedziałam niskim, ostrzegawczym głosem. - To nie jest śmieszne.

Pulpet wciąż wlókł się z tyłu, a odległość między nami rosła z każdym słupkiem wyznaczającym kolejne przebyte kilometry. Zatrzymałam się i zaczekałam na niego, nie chcąc, by czuł się porzucony.

- Pomóc ci? - zapytałam, kiedy do mnie przykuśtykał. - Moje pudło nie jest zbyt ciężkie.

W przeciwieństwie do wielkiego kartonu grejpfrutów, który dźwigał.

Widziałam po nim, że bardzo chce się zamienić, choćby i na kilka minut. Zamiast tego uniósł brodę ponad klapę pudła i powiedział:

- Nie, ale dziękuję, że pytasz.

Liam i Mike roześmiali się z czegoś głośno - nawet Zu odwróciła się do nich z uśmiechem, a czapka Liama opadła jej na oczy Niezwykłe było to, że minęło zaledwie kilka godzin, a Liam już wyglądał o wiele lepiej. Jego twarz pełna była energii, której nie widziałam od... Właściwie nigdy go takim nie widziałam.

- Jaki on był? - zapytałam cicho. - W obozie.

Pulpet westchnął przeciągle.

- Cóż, na pewno był o wiele bardziej irytujący z tym swoim całym hurraoptymistycznym badziewiem z serii: „No, kochani, damy radę! Pewnego dnia nam się uda!”. Teraz, kiedy w końcu zrozumiał, w jaki ponurej rzeczywistości żyjemy, zaczyna mu to przechodzić.

Zatrzymał się, by poprawić karton.

- Nie wiem, co tak naprawdę chcesz wiedzieć? Lee to Lee. Wszyscy go kochali, nawet niektórzy żołnierze SSP. Wybrali go spośród wszystkich Niebieskich na kandydata do centrum kontroli w Caledonii.

- Tak? A ty jaki byłeś w obozie? - zapytałam z uśmiechem.

- Ignorowany - odparł. - Chyba że był przy mnie Lee.

Liam odwrócił się nagle, jakby usłyszał swoje imię.

- Pospieszcie się, panienki, bo nas tu zostawią.

Kiedy w końcu ich dogoniliśmy, Mike opowiadał właśnie Lia-mowi, jak po ucieczce z Caledonii przedostał się autostopem z Ohio do Wirginii. Zu pociągnęła mnie za rękaw kurtki i wskazała na zarośla po lewej stronie.

Byłam tak pogrążona w rozmowie z Pulpetem, że nie zauważyłam gładkiej tafli błękitnego jeziora, które nagle wyłoniło się zza drzew. Chmury odpłynęły, odsłaniając zawieszone wysoko nad naszymi głowami słońce. Muskana jego promieniami woda migotała, rzucając blask na otaczające je drzewa. Przez ich gałęzie dostrzegałam niewielki drewniany pomost w kształcie litery T po drugiej stronie jeziora, a jeszcze dalej kilka drewnianych chat.

- A więc to raczej kryjówka - mówił Liam. - Myślisz, że pomoże się nam skontaktować z rodzicami?

Mike zmarszczył brwi.

- Niewykluczone, ale zazwyczaj w zamian prosi dzieciaki, żeby przez kilka tygodni

zostały i pomagały w naszym obozie. Poza tym, dlaczego chciałbyś teraz wracać do domu? Tu jest dużo bezpieczniej.

Widziałam, że Pulpet ma ochotę drążyć temat, ale Liam rzucił kolejne pytanie.

- Od jak dawna Uciekinier prowadzi tu ten cały ośrodek?

- Jakieś dwa lata. Tak mi się wydaje - oparł Mike. - Nie mogę się doczekać, aż go poznasz, stary. Ześwirujesz na jego punkcie!

Pulpet przewrócił oczami i domyśliłam się, że tych dwóch za sobą nie przepada.

- Setki dzieciaków tak tu sobie po prostu żyją, niekontrolowane przez nikogo? - zapytałam. - Jak to się stało, że przebywacie tu od tak dawna, a SSP niczego się nie domyśliło?

Mike wyjaśnił nam już, w jaki sposób działa obozowisko. Wszystkie zgromadzone w nim dzieciaki - i te, które wydostały się z obozu, i te, które tak długo się ukrywały, że udało im się uniknąć niewoli - miały swoje obowiązki.

- Widzisz, właśnie dlatego warto być pod opieką Uciekiniera - oznajmił Mike. - SSP nie może go zaatakować ze względu na to, kim jest i co może im zrobić. Nawet staruszek Gray się go boi.

- Wiem, kim on jest! - Liam pstryknął palcami. - To Święty Mikołaj!

Zu zachichotała.

- Jesteś blisko - powiedział Mike. - To zabrzmi strasznie ckliwie i możesz się ze mnie nabijać, ale każdy dzień spędzony w East River przypomina Boże Narodzenie.

Wkrótce zrozumiałam, co może mieć na myśli. Kiedy dotarliśmy na polanę, na której zapewne rozstawiano niegdyś namioty, wokół nas znajdowało się kilkadziesięcioro dzieci. Po prawej nastolatki grały w siatkówkę - miały nawet prawdziwą siatkę. Usłyszałam piski śmiechu i zatrzymałam się, żeby przepuścić kilka dziewczynek, które bawiły się w berka. To one przykuły uwagę Zu.

Wszyscy wyglądali na szczęśliwych. Byli radośni, uśmiechnięci i w doskonałych nastrojach. Byli też czyści. Nie mieli posiniaczonej, poranionej i zabłoconej skóry tak jak my. Nosili porządne ubrania i buty. Kilkoro nastolatków kręcących się pod drzewami przerwało swoje zajęcia i pomogło nam zanieść kartony z owocami do białego budynku oznaczonego jako biuro sklep. Nie musieliśmy ich nawet o to prosić.

Biuro sklep było najtrwalszą konstrukcją, jaką do tej pory minęliśmy, wybudowaną z porządniejszych materiałów niż mniejsze drewniane chaty z zielonymi drzwiami.

- Tu trzymamy jedzenie - powiedział Mike, jakby była to najbardziej ekscytująca informacja na świecie. - Tu też całą tą imprezą zawiaduje Uciekinier. Przedstawię was i

uzyskacie pozwolenie, żeby dłużej tu zostać.

- Potrzebujemy pozwolenia? - zapytał Pulpet. - A co, jeśli powie „nie”?

- Jeszcze nie było takiego przypadku - odparł Mike, przesuwając pudło na ramieniu tak, by drugim ramieniem objąć Pulpeta. Widząc, że na nich patrzę, uśmiechnął się od ucha do ucha. - Ciebie chyba nie było w Caledonii. Pamiętałbym taką twarzyczkę. - Pewnie wydawało mu się, że jest czarujący z tymi swoimi ciemnymi oczami i dołeczkami w policzkach. Spojrzał na Liama, który widząc moją reakcję, próbował się nie roześmiać. - Skąd ona się wzięła i gdzie mogę taką znaleźć?

- Dostaliśmy ją po promocyjnej cenie na stacji benzynowej w Wirginii Zachodniej - zażartował Lee. - Ostatnia sztuka, przykro mi.

Mike znów się zaśmiał i ścisnął Pulpeta za ramię, a następnie wbiegł po schodach i schylił się pod białym prześcieradłem rozwieszonym na małym ganku budynku. Rzuciłam na nie okiem, a po chwili spojrzałam jeszcze raz, żeby się upewnić.

Wymalowane tam ogromne czarne sprawiło, że Zu pobladła i zamarła w bezruchu. Nie mogłam się ruszyć ani odwrócić wzroku. Liam odchrząknął i zacisnął szczękę, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

Przerażenie rozświetliło twarz Zu niczym płomień świecy. Liam rzucił Mikeowi zaskoczone spojrzenie.

- Co? - zapytał Mike, widząc naszą reakcję.

- Czy istnieje powód, dla którego udekorowaliście ten przybytek symbolem naszych śmiertelnych wrogów? - odparł Liam.

Wtedy po raz pierwszy, odkąd go spotkaliśmy, to jest od dwóch godzin, zobaczyłam, jak Mike poważnieje. Zacisnął szczękę, a jego wzrok stężał.

- To przecież nasz symbol. Psi. Powinien oznaczać nas, nie ich.

- Więc skąd ta czerń? - dopytywał Liam. - Opaski na ramię, koszule...?

Miał rację. Wszyscy, w ten czy inny sposób, mieli na sobie coś czarnego. Większość zadowoliła się zawiązaniem sobie na ramieniu czarnej opaski, ale inni - i to nie tylko ci, którzy napadli na ciężarówkę - od stóp do głów ubrani byli w czerń.

- Czerń jest równoznaczna z brakiem innych barw - oznajmił Mike. - Nie segregujemy tu dzieciaków ze względu na kolor. Szanujemy siebie i swoje umiejętności, a co więcej, pomagamy sobie je zrozumieć. Wydawało mi się, że komu jak komu, ale tobie się to spodoba, Liam.

- Oczywiście, że mi się to podoba. I to jeszcze jak! - odparł Liam. - Przez chwilę byłem nieco... zdezorientowany i już. Ale teraz już rozumiem. Tu obowiązuje czerń.

Drzwi skrzypnęły i Mike przytrzymał je stopą.

- Idziecie?

Kiedy znaleźliśmy się w środku, uderzyła mnie fala ciepła. Ze zdumieniem zauważyłam, że palą się tu światła. Elektryczność - pamiętam, że Greg wspominał coś o tym, iż Żółtym udało się ją przywrócić, ale czy mieli tu także bieżącą wodę?

Główne pomieszczenia wypełnione były stosami koców i pościeli, kilkoma materacami i mnóstwem niepozornych szarych plastikowych skrzyń. Zaplecze - sklepowa część budynku - znajdowało się po prawej stronie niewielkiej, wykładanej białymi kafelkami kuchni. Mike pomachał znajdującym się w środku dzieciakom, które długimi drewnianymi łyżkami mieszały w garnkach przygotowane przez siebie przysmaki.

Dawne drewniane półki sklepowe pomalowano na ponurą zieleń, ale za to wypełnione były tęczowymi puszkami i paczkami chipsów, opakowaniami makaronu, a nawet słodyczami. Na widok pudeł z płatkami śniadaniowymi znajdujących się tuż nad naszymi głowami Liam cicho gwizdnął.

Miałam wrażenie, że Pulpet zaraz się rozpłacze.

Postawiliśmy kartony z owocami w zacienionym kącie pomieszczenia, tuż obok dziewczyny z krótkimi blond włosami, ubranej w czarną koszulę odsłaniającą brzuch. Z radości klaskała w dłonie i podskakiwała. Miała może czternaście albo piętnaście lat i po tyle samo kolczyków w każdym uchu.

- Wiedziałem, że się ucieszysz, Lizzie - powiedział Mike i rzucił jej grejpfruta.

- Strasznie dawno nie mieliśmy już owoców - oznajmiła, a z każdym słowem jej głos stawał się wyższy. - Mam nadzieję, że starczy na kilka tygodni.

Mike wyprowadził nas z pomieszczenia, zostawiając rozanie-loną Lizzie w towarzystwie pomarańczy i ananasów.

- Chodźmy na górę. Powinien już być po spotkaniu z ludźmi z patrolu. Hayes nadzoruje napady, a Olivia, którą niedługo poznacie, zajmuje się koordynacją warty wokół terenu obozowiska. Jeśli chcesz, mogę z nią pogadać, żeby cię do nich przydzieliła, Liam.

Spojrzał na Zu.

- Natomiast ty, moja mała, jak wszystkie dzieci poniżej trzynastego roku życia, będziesz musiała chodzić na lekcje.

Pulpet natychmiast się ożywił.

- Na jakie lekcje?

- Takie jak w szkole. Matematyka, trochę przyrody, literatura... Wszystko zależy od tego, jakie książki uda nam się zdobyć. Szefowi zależy, żeby wszyscy opanowali chociaż

podstawy. - Mike zatrzymał się u szczytu schodów i spojrzał na Pulpeta przez ramię. - Wiem, że nie lubiłeś tego robić, ale mamy też zajęcia z tego, jak używać swoich umiejętności.

Stojący za moimi plecami Pulpet odchrząknął.

- Wystarczy mi to, czego nauczył mnie Jack.

- Jack... - powiedział Mike i urwał. - Rany, brakuje mi tego chłopaka.

W drodze do obozowiska wyjaśnił nam, że mieszka tu piątka dzieciaków z Caledonii. Mike był jedynym chłopakiem z dawnego pokoju Liama, ale oprócz niego znajdowały się tu dwie Niebieskie, jeden Żółty i jeden Zielony, który jakimś cudem trafił aż do wschodniej części Wirginii.

Drugie piętro budynku przypominało raczej strych. Była to spora otwarta przestrzeń - ładna i zadbana. Mike zapukał do drzwi i dopiero kiedy usłyszeliśmy „proszę", nacisnął klamkę. Pulpet cicho pisnął z nerwów, a ja sama z zaskoczeniem odkryłam, że przyspieszyło mi tętno.

Weszliśmy do pokoju. Po prawej wisiała biała zasłona, zakrywająca zapewne część mieszkalną. Znajdujące się za zasłoną okno wpuszczało do środka tyle popołudniowego światła, że przez tkaninę przebijały kontury łóżka i komody.

Pozostała część pokoju urządzona była jak biuro. Znajdowały się tam dwa regały wypełnione przeróżnymi segregatorami i książkami, a pomiędzy nimi ustawione było stare metalowe biurko, od którego płatami odchodziła czarna farba. Przed biurkiem stały dwa zwykłe krzesła, a przy ścianie po lewej stronie, na samym końcu pomieszczenia, długi stół zawalony różnego rodzaju sprzętem elektronicznym. Telewizor był włączony, nastawiony na jeden z kanałów informacyjnych. Twarz prezydenta Graya wypełniała cały ekran, a po jego bokach powiewały dwie amerykańskie flagi. Jego usta się poruszały, ale głos został wyciszony. Poza nagłym westchnięciem Pulpeta słychać było tylko palce Clancyego Graya uderzające w klawiaturę eleganckiego srebrnego laptopa.

Poznałabym go wszędzie, nawet gdyby zgolił te swoje gęste, falowane, czarne włosy... Nawet gdyby wytatuował sobie policzki, a w długim, prostym nosie umieścił kolczyki. Przez sześć lat wpatrywałam się w jego portrety rozwieszone w Thurmond, zapamiętując każde znamię na jego twarzy i kształt wąskich ust.

Wiedziałam nawet, jak układa się linia jego włosów. Jednak nie można było tego porównać z ujrzeniem go na żywo. Portretom nie udało się uchwycić jego ciemnych oczu i z pewnością nie zwiastowały tego, jak przystojny będzie, kiedy dorośnie.

- Chwileczkę... - Podniósł wzrok znad ekranu i obrzucił nas spojrzeniem, po czym natychmiast spojrzał powtórnie. Tym razem na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

- Szefie? - powiedział Mike. - Wszystko w porządku?

Syn prezydenta powoli podniósł się z krzesła, zamykając pokrywę laptopa. Podwinięte rękawy jego białej koszuli ześlizgnęły się w dół jego opalonych przedramion.

A więc to jest Uciekinier?, pomyślałam. On? Powiedzieć, że byłam zaskoczona, to mało. Powiedzieć, że znajdowałam się w stanie otępiającego szoku, który spowolnił mój tok myślenia niemal do zera, byłoby niedopowiedzeniem. Nie zdążyłam się jeszcze opanować, kiedy z jego ust padły trzy słowa. Clancy Gray spojrzał na mnie i powiedział coś, czego zupełnie się nie spodziewałam.

- Ruby Elizabeth Dały.

Moja reakcja była zbyt silna, w końcu usłyszałam tylko swoje nazwisko. Przecież nie wycedził trzech przekleństw. Nie wrzasnął też: „Zabij ich wszystkich!” ani „Zamknij ich gdzieś!” Nie powinnam była uciekać, potykając się o własne buty, ale zanim się zorientowałam, byłam już prawie przy drzwiach.

Clancy zrobił krok w przód, ale Liam z całej siły go odepchnął.

- Lee! - obruszył się Mike.

Clancy uniósł dłonie.

- Przepraszam, przepraszam! Mój błąd. Powinienem był pomyśleć, jak to zabrzmi. Jestem po prostu zaskoczony, że cię widzę. - Uśmiechnął się przepraszająco, a ja zatrzymałam się przy drzwiach, zdziwiona tym, jak białe i proste są jego zęby. - Tyle razy i w tylu różnych źródłach czytałem twoje akta, że mam wrażenie, jakbyśmy się już znali. Szuka cię teraz tak wiele osób...

- I której z nich chcesz ją wydać? - warknął Pulpet.

Stałam bez ruchu, a Zu obejmowała mnie w pasie, W odpowiedzi na oskarżenie Pulpeta twarz Clancyego poczerwieniała, a jego ciemne oczy znów przeniosły się na mnie.

- Żadnej. Ja po prostu zbieram informacje i przeglądam sieć, żeby wiedzieć, co jest obecnie tematem numer jeden. Tak się składa, że to ty nim jesteś, panno Dały. - Urwał i z roztargnieniem potarł ramię. - Zobaczmy, czy dobrze pamiętam... Urodzona w Charlottesville w Wirginii, ale wychowana w Salem przez matkę Susan, nauczycielkę, i ojca Jacoba, policjanta. Uczennica szkoły podstawowej w Salem, do której uczęszczałaś aż do swoich dziesiątych urodzin, kiedy to twój ojciec zadzwonił na posterunek i zgłosił, że w jego domu znajduje się obce dziecko...

- Przestań - wymamrotałam. Liam spojrzał przez ramię, próbując skupić się jednocześnie na mnie i na chłopaku recytującym właśnie ponurą historię mojego życia.

-... niestety SSP dotarło do twojego domu wcześniej niż policja. Na szczęście ktoś

czegoś nie dopilnował albo musieli zgarnąć jeszcze inne dzieciaki, ponieważ nie mieli czasu przesłuchać twoich rodziców, przez co nie zostałaś poddana segregacji. Następnie przyjechałaś do Thurmond, gdzie nie wykryto, że jesteś Pomarańczowa...

- Przestań! - Nie chciałam tego słuchać. Nie chciałam, by ktokolwiek o tym słyszał.

- Co z tobą?! - wrzasnął Liam. - Nie widzisz, że ją denerwujesz?

Clancy, może obawiając się kolejnego silnego pchnięcia, stanął po drugiej stronie biurka.

- Po prostu cieszę się, że mogę ją poznać. Tyle. Nieczęsto mam okazję spotkać innego Pomarańczowego.

Poczułam ciepło w piersi, a iskra, która tam powstała, przeskoczyła mi do mózgu. On jest Pomarańczowy. Plotki okazały się prawdziwe. Może będzie mógł mi pomóc.

- Ale... czy ty nie zostałeś zrehabilitowany? - zapytałam powoli. - Czy to nie dlatego cię wypuścili?

- Ty najlepiej powinnaś wiedzieć, że w Thurmond nie da się nikogo zrehabilitować, Ruby - odparł. - Swoją drogą, co słychać w naszym kochanym obozie? Miałem wątpliwy zaszczyt być jego pierwszym więźniem. Widziałem, jak budowali Stołówkę, cegiełka po cegiełce. Naprawdę powiesili wszędzie moje zdjęcia?

Czy on sądził, że usiądę wygodnie i wdam się w pogawędkę o starych dobrych czasach?

Clancy westchnął.

- Nieważne... Jeśli ty jesteś Ruby, to ty musisz być Lee Stewart. Twoje papiery też czytałem.

- Napisali coś ciekawego? - spytał Mike z nerwowym uśmieszkiem.

- SSP śledzi twój każdy ruch - odparł Clancy, opierając się o krzesło. - Co oznacza, że potrzebujesz miejsca, gdzie możesz przez chwilę przeczekać, prawda?

Liam zawahał się, po czym skinął głową.

- Dobrze zrobiliście, przyjeżdżając tutaj. Możecie zostać tak długo, jak chcecie. - Clancy splótł ramiona na piersi. - Skoro zdążyłem już wszystkich zdenerwować... Mike, mógłbyś odprowadzić ich do chat i przydzielić im zadania?

Mike skinął głową.

- A tak na marginesie, szefie, mnie nie udało ci się zdenerwować!

Clancy roześmiał się głośno.

- To dobrze. Dzięki za dzisiaj. Wygląda na to, że łup był spory?

- Nawet sobie nie wyobrażasz - odparł Mike, kierując się w stronę drzwi. Przywołał

nas do siebie, nie patrzył na nas jednak tak ciepło jak wcześniej. - Chata numer osiemnaście jest otwarta, prawda?

- Tak. Tyler i jego chłopaki stworzyli własne plemię - powiedział Clancy. - Nie wiem, czy od ich odejścia ktokolwiek tam sprzątał, więc z góry przepraszam za bałagan.

Znów na mnie spojrzał. Po chwili uniósł się najpierw jeden koniuszek jego ust, a potem drugi. W głowie poczułam ciepłe mrowienie. Przyspieszyło mi tętno. Obróciłam się, zrywając z nim kontakt wzrokowy, ale przed moimi oczami wciąż tkwił obraz, od którego zaczynało brakować mi tchu. Byliśmy sami w jego pokoju, a on klęczał przede mną, podając mi różę.

Wybaczysz mi? Jego głos niósł się echem w mojej głowie, kiedy zbiegałam ze schodów.

Jak on to zrobił? Zburzył wszystkie moje bariery ochronne. Dlaczego mój mózg nagle ożył i przylgnął do tego, kto był najbliżej i kto był na tyle głupi, by wpuścić mnie do środka?

Podniosłam twarz, którą skrywałam dotąd na ramieniu Liama. Kiedy to zrobiłam? Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz? Kiedy pokonaliśmy drogę dzielącą nas od chaty?

Liam próbował złowić moje spojrzenie, gdy się od niego odsunęłam. Mój umysł dosłownie pragnął jego umysłu. Przebywanie tak blisko niego było niebezpieczne.

- Nie teraz - wyszeptałam.

Liam ściągnął brwi i rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, jednak po chwili skinął tylko głową, odwrócił się i wszedł po schodach do chaty.

Czułam, że muszę się od nich oddalić, przynajmniej do czasu, aż przestanie świdrować mi w głowie. Nie miałam żadnego planu ani mapy. Po prostu wybrałam najbliższą ścieżkę i ruszyłam przed siebie. Kilka nieznajomych dzieciaków zawołało mnie z troską, ale zignorowałam je i kierowałam się zapachem błota oraz gnijących liści, aż dotarłam do jeziora, które wcześniej mijaliśmy.

Drzewa i krzewy zarosły ścieżkę prowadzącą do drewnianego pomostu, a tam, gdzie na mojej drodze nie było roślin, natrafiałam na linę wraz ze znakiem wstęp wzbroniony.

Prześlizgnęłam się pod nią i szłam dalej, aż dotarłam do wypłowiałego od słońca pomostu. Usiadłam na jego krawędzi i schowałam głowę między kolana, nasłuchując śmiechu i krzyku bawiących się w oddali dzieci. Zastanawiałam się, ile czasu minie, zanim wróci mi czucie w nogach, tak bym znów mogła wstać, i kiedy echo głosu Clancy ego Graya przestanie dudnić mi w skroniach.

Jestem sama, pomyślałam, kładąc się na starych deskach. W końcu jestem sama.

Tego wieczoru kolację podano punktualnie o siódmej. W obozie nie było interkomu

ani systemu alarmowego, były natomiast dzwonki. Najwyraźniej stanowiły one uniwersalny sygnał na rozpoczęcie jedzenia, ponieważ kiedy odezwał się pierwszy, kolejne odpowiedziały mu dzwonieniem, docierając do wszystkich chat i szlaków, aż do miejsca, gdzie siedziałam i wpatrywałam się w swoje odbicie w ciemnej wodzie.

Nietrudno było trafić do centrum wydarzeń - nie dało się przeoczyć dwustu dzieciaków zgromadzonych wokół potężnego ogniska, gotowych do rozpoczęcia kolacji. Zbliżając się, zwolniłam kroku i patrzyłam, jak starsi chłopcy wrzucają drwa w łapczywe płomienie. Kręgi ze starych pniaków tworzyły prowizoryczne siedzenia dla tych, którzy dostali już swoją porcję, a nie chcieli jej spożywać samotnie w swojej chacie.

Dzieciaki, które spotkaliśmy w kuchni, zastawiły cały stół wolnowarami i biegały pomiędzy budynkiem biura oraz ogniskiem, żeby uzupełnić ich zawartość. Kilkadziesięcioro dzieci czekało w kolejce do jedzenia, ściskając w dłoniach plastikowe miseczki.

Od razu zauważyłam Liama, który zamiast siedzieć na pniaku, stał na nim. Trzymając miski z jedzeniem, rozglądał się dookoła, jakby czegoś szukał. Pulpet przeszedłby tuż obok niego, gdyby Liam nie trącił go w ramię. Zapytał go o coś, usłyszałam jednak tylko fragment jego wypowiedzi.

- Nie, dzięki. Czytałem Władcę much. Wiem, jak to działa. Wszyscy zaczynają tańczyć wokół ogniska, malują sobie twarze i czczą świńską głowę, a potem jednego z nich zabija wielki głaz i... a to ci niespodzianka! Okazuje się, że padło akurat na grubego dzieciaka w okularach. - Liam zaczął się śmiać, ale nawet ja widziałam, jak niezręcznie czuje się Pulpet. - Nie będę ryzykował i pójdę poczytać. O, jest Ruby! Możecie wspólnie świętować degradację ludzkiej przyzwoitości. Ja się z tego wypisuję.

Liam odwrócił się tak gwałtownie, że poślizgnął się na pniaku i prawie upuścił obie miski na siedzącą tuż obok niego kędzierzawą dziewczynkę.

- Bawcie się dobrze - powiedział Pulpet, przemykając obok mnie. Złapałam go za rękaw, tak że musiał zawrócić.

- Co się dzieje? - zapytałam.

Wzruszył ramionami, a jego usta wykrzywiły się w smutnym uśmiechu.

- Chyba nie mam dziś na to wszystko ochoty.

Znałam to uczucie. Tak długo przebywaliśmy tylko we czwórkę, że znalezienie się pośród tych wszystkich ludzi - mimo że były to tylko dzieci, takie jak my - wydawało mi się odrobinę stresujące. Skoro nie był zachwycony, kiedy jedna nowa osoba - ja - wkroczyła bez pytania do jego świata, można było sobie wyobrazić, jak czuł się w obecnej sytuacji.

- Cóż, jeśli zmienisz zdanie, będziemy tutaj.

Pulpet z czułością poklepał mnie po głowie i ruszył nieutwardzoną drogą w stronę przypisanej nam chaty.

- Co w niego wstąpiło? - zapytał Liam, podając mi parującą miskę z jedzeniem.

- Chyba jest po prostu zmęczony - powiedziałam tylko. - Gdzie Zu?

Skinął głową w lewo, gdzie uśmiechnięta twarz Zu jaśniała wśród małej grupki jej rówieśników. Kiedy mnie zobaczyła, zamachała. Nie mogłam uwierzyć, że jej buzia jest tak promienna. Siedząca obok niej mała Azjatka skinęła głową, kiedy Zu pokazała jej coś na migi. Miałam wrażenie, że dziewczynka doskonale rozumie to, co przekazuje jej Zu. Kiedy Zu zdjęła jej z głowy kaptur, moim oczom ukazał się długi, błyszczący czarny warkocz.

- O Boże! - Natychmiast wszystko pojęłam.

- Co się dzieje?

- Ta dziewczynka była w waszym obozie - powiedziałam. - Widziałam ją w koszmarze Zu. Rozdzielono je.

- Naprawdę? - Wyglądał uroczo, kiedy był przejęty. - W takim razie rozumiem, dlaczego wcześniej rzuciły się na siebie z taką siłą, że przewróciły się na ziemię.

Zaśmiałam się.

- Poważnie?

- Tak, turlały się w trawie jak dwa szczeniaczki. Hej, Zu! - Spojrzała w naszą stronę. - Chodź tu na chwilę. Nie, zabierz ze sobą koleżankę...

Kiedy wstały, z zaskoczeniem odkryłam, że druga dziewczynka jest o dobre dziesięć centymetrów wyższa niż Zu, chociaż mogła być najwyżej o rok od niej starsza.

Uśmiechnięta Zu złapała ją za rękę i podbiegła do nas. Miała na sobie jaskraworóżową sukienkę, którą znalazłyśmy wtedy w supermarkecie.

- Cześć - powiedział Liam, wyciągając dłoń do dziewczynki. - Jestem Liam, a to...

- Wiem, kim jesteście - przerwała mu towarzyszka Zu. - Liam i Ruby. - Skrzyżowała ramiona na piersi. - Suzume mi o was opowiadała.

- Opowiadała... opowiadała czy...

- No oczywiście, że mi o was nie opowiedziała - fuknęła, za co otrzymała od Zu potężnego kuksańca. Odwróciła się i powiedziała do Zu coś po japońsku, a ona z kolei potrząsnęła głową i pociągnęła ją za warkocz. - No dobra! - Wysoka dziewczynka znów obróciła się w naszą stronę. Za jej plecami buzowało ognisko. - Jestem Hina. Suzume to moja kuzynka.

- O rany! - rzuciłam, patrząc na Zu. - Mówisz poważnie? To niesamowite.

Nadal uśmiechnięta Zu balansowała na palcach.

- I byłyście razem w Caledonii - powiedział Liam wolno. - Zu, dlaczego o tym nie wspomniałaś? Mogliśmy spróbować ją odnaleźć. Czy ty też jesteś Żółta?

- Zielona - odparła Hina, wskazując na swoją kędzierzawą głowę. - No halo!

Zu spojrzała na nas przepraszająco i odciągnęła Hinę z powrotem do grupki młodszych dzieci, które były pochłonięte grą w karty. Liam odwrócił się w moją stronę z niedowierzaniem.

- Czy my właśnie dostaliśmy burę od dwunastolatki?

- To chyba rodzinne - powiedziałam, mieszając łyżką w misce. Ciepłe danie wspaniale rozgrzewało. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłam coś takiego. Ponieważ w ciągu ostatnich sześciu lat zdążyłam się przyzwyczaić do szarej brei, którą dostawaliśmy w Thurmond, i śmieciowego jedzenia, to, że ktoś włożył choćby i niewielki wysiłek w to, by przygotować tę kolację... Wzięłam dokładkę, a potem jeszcze jedną i jeszcze jedną, aż czułam, że zaraz pęknę.

Kiedy nasycona pysznym jedzeniem siedziałam tak blisko ognia, czułam się senna i bezpieczna. Ześlizgnęłam się z pniaka i usiadłam na ziemi, opierając się o nogę Liama.

- Coś sobie przypomniałem... - odezwał się. - Dasz wiarę, że Zu zaczęła skakać i klaskać z radości, kiedy powiedziałem jej, że musi jutro wstać o siódmej, żeby pójść na lekcje z innymi Niedźwiadkami?

- Niedźwiadkami?

- Uczniami. W szkole. - Postukał mnie w nos czystym końcem swojej łyżeczki. - Nie martw się, Ruby, niedługo załapiesz ten slang.

Kiedy skończyliśmy jeść, Liam włożył nasze miseczki do jednej z wielu przepływających obok plastikowych balii. Niebieski, który kontrolował najbliższą misę, był chudym chłopakiem i ważył chyba o połowę mniej niż jego balia. Kilkakrotnie zamrugałam oczami, zastanawiając się, czy sobie tego nie wyobrażam. Pierwszy raz w życiu widziałam, żeby dzieciaki używały swoich umiejętności tak... beztrosko. Na tle pozornie normalnego życia był to spory kontrast. A przynajmniej na tle tego, co ja uważałam za normalność. Kilkoro nastolatków brzdąkało na gitarze, a inni zrobili ze swoich pniaków perkusję. Większość jednak cicho rozmawiała i grała w karty.

Liam ześlizgnął się na ziemię tuż za mną i wcisnął się pomiędzy moje plecy a stary pniak. Połyskujące powietrze wokół buzujących płomieni w połączeniu z rozkosznym ciepłem sprawiły, że moje mięśnie zamieniły się w bezwolną masę. Liam odgarnął mi kosmyk włosów z karku. Wtulona pomiędzy jego kolana, odchyliłam się i oparłam się o jego pierś.

- Wszystko w porządku, skarbie? - wyszeptał mi do ucha. Skinęłam głową i musnęłam palcami odsłoniętą skórę jego przedramion, podążając śladem jego mięśni i wypukłych żył. Przez cały czas czegoś szukałam, nie wiedząc nawet, że tego pragnę. Aż do teraz. Jego skóra wydawała się niezwykle miękka, a dłonie ciepłe i szerokie. Ich kostki był stłuczone i szorstkie od zasklepionych ran. Położyłam dłoń na jego dłoni i splotłam nasze palce.

- Potrzebowałam chwili samotności, ale czuję się już lepiej.

- Dobrze - wyszeptał. - Ale następnym razem nie chowaj się tam, gdzie nie będę mógł cię znaleźć.

Nie zasnęłam, ale zupełnie się odprężyłam. Miałam wrażenie, że im dłużej tam siedzę, tym bardziej wycisza się moja głowa, a ból i napięcie mijają, sprawiając, że staję się miękka i delikatna jak ziemia pod naszymi stopami.

W końcu ktoś przyniósł stary radiomagnetofon i nawet brzdąkające na gitarach dzieciaki przestały grać z szacunku dla Beach Boysów. Miałam wrażenie, że jestem jedyną osobą w całym obozie, która nie tańczy, ale z przyjemnością patrzyłam na innych, zwłaszcza na Zu, która kręciła biodrami i machała rękami w powietrzu. W pewnym momencie podbiegła do nas i zaczęła nas ciągnąć za ręce. Udało mi się wykręcić, ale Liam nie miał wystarczająco silnej woli.

Zaśmiali się, gdy zaczęła się piosenka Barbara Ann, a kiedy rozległy się dźwięki refrenu, zaczęli się kręcić. Powinnam była wiedzieć, że coś się kroi, gdy odwrócili się do mnie równocześnie z identycznymi przebiegłymi uśmiechami.

Liam przywoływał mnie do siebie palcem. Zaśmiałam się i zamachałam przed sobą dłońmi.

- Nie!

Uśmiechnął się szeroko - po raz pierwszy od kilku dni - a ja poczułam szarpnięcie w okolicy pępka. Ogarnęło mnie ciepłe, łaskoczące, znajome uczucie. Liam udawał, że ciągnie linę, a Zu przerwała swoje harce, żeby do niego dołączyć. Ich rumiane twarze błyszczały od potu. Zrobiłam krok i wślizgnęłam się prosto w wyciągnięte ramiona Liama.

- To niesprawiedliwe - jęknęłam.

- Daj spokój, Zielona - odparł. - Przyda ci się porządny taniec.

Zu kręciła się dokoła nas, wymachując rękami w rytm piosenki

Wouldnt It Be Nice. Oparłam dłoń na dłoni Liama i pozwoliłam, by położył ją sobie na ramieniu. Bez pytania chwycił moją drugą dłoń i delikatnie ją przytrzymał.

- Stań mi na stopach.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Zaufaj mi - powiedział. - No dalej, zanim nasza piosenka dobiegnie końca.

Wbrew temu, co podpowiadał mi rozum, stanęłam na jego stopach, czekając, aż ugnie się pod moim ciężarem. Na szczęście w porównaniu ze mną jego ciało wydawało się krzepkie.

- Trochę bliżej. Nie gryzę.

Przysunęłam się do niego, tak blisko, że muskałam policzkiem jego ramię. Dłoń Liama zacisnęła się na mojej, a ja chwyciłam jego koszulę. Wstydziłam się, pewna, że słyszy, jak serce wali mi w piersi.

- Tylko żadnych piruetów - rzuciłam. Nie wiedziałam, czy moja głowa i serce to zniosą. Z bliska wydawał się tak ciepły i piękny... To wystarczyło, by świat zawirował mi przed oczami.

- Obiecuję.

Kiedy zaczęliśmy się ruszać, nie był to taniec, tylko delikatne kołysanie. Tam i z powrotem, łagodnie i spokojnie. Pierwszy raz czułam, że mój umysł trzyma ręce przy sobie. Moje mięśnie poruszały się powoli i miękko, jakby były zrobione z miodu. Nie zważaliśmy na rytm piosenki, a po chwili zupełnie się zatrzymaliśmy. Mój policzek nadal spoczywał na jego ramieniu. Dłoń, którą trzymał mi na plecach, wślizgnęła się pod koszulę i muskała moją skórę.

Kiedy znów odezwały się dzwonki, tym razem sygnalizując ciszę nocną w obozie, w powietrzu rozległ się głośny i tak przeciągły jęk zawodu, że Liam zaczął się śmiać. Dopiero kiedy się od siebie oderwaliśmy, zrozumiałam, jak bardzo jestem zmęczona.

- Trzeba iść spać - oznajmił, przywołując Zu. Stanęła, wygładziła ubranie i wykonała jakiś gest w stronę dzieci, z którymi się rozstawała.

Ogień trzaskał i syczał, przygasając pod równym strumieniem wody z węża ogrodowego. Dźwięki, jakie wydawał, przywodziły na myśl zarzynane zwierzę. Kiedy płomień w końcu zgasł, tonąc w kupce żarzących się w popiele węgielków, nic poza warstwą dymu nie oddzielało mnie od Clancyego Graya, który siedział po drugiej stronie paleniska i nie spuszczał ze mnie swych ciemnych oczu.

Clancy Gray lubił mi się przyglądać.

Obserwował mnie, kiedy siadałam z Zu na ganku i pomagałam jej zawiązać tenisówki, a następnie odprowadzałam ją i Hinę do chaty, w której odbywały się lekcje.

Obserwował mnie, kiedy naśmiewałam się z Pulpeta, że jest jedyną osobą z naszej grupki, którą ugryzł kleszcz.

Obserwował mnie, kiedy czekałam przy ognisku na Liama i Mikea, którzy mieli

ogłosić, jakie obowiązki przypadną nam w East River.

Całe to obserwowanie odbywało się z okna na drugim piętrze jego biura, skąd najwyraźniej wszystko kontrolował i gdzie nic nie robił.

Mike wspominał, że każda osoba powyżej trzynastego roku życia otrzyma jakieś zadanie, nie wiedziałam jednak, że zadania te były przydzielane odgórnie. Oczywiście nie miałam nic przeciwko pomaganiu w magazynie, gdzie sortowaliśmy i rozdzielaliśmy zapasy, ale o wiele bardziej wolałabym pracować z Pulpetem w małym ogrodzie lub biegać po lesie z Liamem odpowiedzialnym za zabezpieczenie obozu.

Dzieciaki, z którymi pracowałam, były miłe, i to bardzo. Większość nigdy nie była w obozie, ale ja z kolei nigdy niczego nie ugotowałam, więc w kwestii doświadczenia życiowego nasz wynik był wyrównany. Imponowała mi ich śmiałość. Lizzie na przykład trafiła do East River niemal dwa lata wcześniej. Zdołała się wymknąć żołnierzom SSP, gdy ci w Maryland zatrzymali samochód, którym jechała wraz z rodzicami.

- Tak po prostu wysiadłaś i uciekłaś? - zapytałam.

- Byłam szybka jak wiatr - potwierdziła. - Nie miałam przy sobie nic oprócz tego, w co byłam ubrana. Próbowałam znów spotkać się z rodzicami, ale nie wrócili do naszego dawnego domu. Po drodze przygarnęło mnie plemię Zielonych, którzy przyprowadzili mnie tu.

To była kolejna rzecz, która przykuła moją uwagę. Większość mieszkających tu dzieciaków należała albo do Zielonych, albo do Niebieskich. Była jeszcze niewielka grupka Żółtych, którzy nie spoufalali się z osobami spoza swojego kręgu. Lizzie powiedziała, że było ich więcej, ale Uciekinier zezwolił im na opuszczenie obozu i stworzenie własnego plemienia.

- Zezwolił im? - powtórzyłam, zapisując, ile zostało nam jeszcze pudeł z płatkami śniadaniowymi.

- Tak. Oprócz tego trzeba spełnić jeszcze inne wymogi - odezwał się Dylan, drobny chłopiec, który dopiero niedawno przestał uczęszczać na lekcje dla Niedźwiadków. - Trzeba zebrać grupę przynajmniej pięciu osób, a Clancy decyduje, czy to bezpieczne. Trzeba przysiąc na swoje życie, że nikomu się nie zdradzi, gdzie znajduje się obozowisko, chyba że będzie to inny dzieciak w potrzebie, a w takim wypadku można mu tylko udzielić wskazówki. To ze względów bezpieczeństwa. Gdyby z jego winy któremuś z nas coś się stało, Clancy byłby zrozpaczony.

Jego słowa trochę mnie zmiękczyły. To nie tak, że nie ufałam intencjom Clancyego. On po prostu wzbudzał we mnie niepokój. Kiedy ktoś tak bardzo się tobą interesuje, trudno nie zastanawiać się nad tym, czego tak uporczywie szuka w twojej twarzy.

- Co wy robicie?

Cała nasza trójka zwróciła się w stronę drzwi, gdzie stał Clancy - napięty i nieruchomy - i nie spuszczał ze mnie wzroku. Przez otwarte drzwi wpadł podmuch wiatru i zmierzwił jego ciemne włosy. Kiedy zobaczyłam jego minę, coś ścisnęło mnie w żołądku, ale nie był to lęk.

- Sortujemy zapasy - odparła zdezorientowana Lizzie. - Coś nie tak?

Clancy otrząsnął się z zamyślenia.

- Nie, nie... Przepraszam. Ja tylko... Ruby, mogę cię na chwilę prosić? Ktoś chyba przydzielił ci niewłaściwe zadanie.

Oddałam notatnik Lizzie, zastanawiając się, dlaczego spojrzała na mnie z niechęcią.

- Przypisano mnie do magazynu - powiedziałam, kiedy znaleźliśmy się na ganku.

- Nie powierzyłem ci żadnego zadania - odparł. - Przecież mówiłem o tym Mikeowi.

Chociaż zawsze sądziłam, że innym dzieciakom niełatwo jest mnie zawstydzić - nawet tym wyższym, silniejszym i lepiej uzbrojonym niż ja - nagle uświadomiłam sobie, że rozmawiam z Clancym Grayem. Synem najpotężniejszego mężczyzny w tym kraju. Potomkiem amerykańskiej arystokracji. Clancy ubrany był w czarny dzianinowy sweter, spod którego wystawał kołnierz koszulki polo w takim samym kolorze. Miał na sobie nawet czarny skórzany pasek.

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Nie potrzebuję taryfy ulgowej. Poradzę sobie.

Na zewnątrz, w promieniach słońca był o wiele mniej przerażający, niż kiedy staliśmy w mroku. Był też niższy. Możliwe, że to jego reputacja dodała mu kilka wyimaginowanych centymetrów, ale był tylko nieco wyższy ode mnie, co oznaczało, że zarówno Liam, jak i Pulpet przewyższali go prawie o głowę. Mimo to i tak mogłam spokojnie powiedzieć, że był najatrakcyjniejszym człowiekiem, jakiego w życiu widziałam.

Clancy był szczupły, ale nie chudy, zadbany, ale nie wymuskany, opanowany, ale nie wyluzowany. Kiedy owiał nas podmuch wiatru, miałam wrażenie, że pachnie jakąś korzenną wodą kolońską, ale wydało mi się to absurdalne.

Cieszyłam się, że staliśmy na ganku, gdzie wszyscy zgromadzeni wokół paleniska mogli nas zobaczyć. Nie podejrzewałam go o to, że może mnie skrzywdzić - właściwie dlaczego miałby to robić? Splotłam ręce przed sobą, a następnie opuściłam je wzdłuż tułowia, żeby po chwili objąć się za łokcie, jak gdybym nie wiedziała, co z nimi zrobić.

Nie zapomniałam, po co tu przybyłam, ale nie mogłam się zmusić, by poprosić go o pomoc. On najwyraźniej doskonale kontrolował swoje umiejętności, skoro tak chętnie

zanurzał się w głowach innych ludzi, więc zadanie mu tego pytania nie powinno mi przychodzić z takim trudem.

Przecież skoro te dzieciaki spełniały każde jego polecenie i zachciankę, musiały to robić dlatego, że był po prostu dobrym chłopakiem. Ludzie nie pomagali innym ot tak, dla sportu. Clancy odznaczał się pewnością siebie, która sprawiała, że był słońcem w galaktyce East River. Wszystko i wszyscy krążyli wokół światła, którym emanował.

Dlaczego więc nie potrafiłam poprosić go o pomoc? Dlaczego wciąż drżały mi ręce?

- Wiem, że po naszym pierwszym spotkaniu trudno będzie ci mnie polubić - oznajmił - ale naprawdę jest mi przykro. Nie pomyślałem o tym, że możesz trzymać to wszystko w tajemnicy.

- Nie szkodzi - odparłam. - Ale co to ma wspólnego z moimi obowiązkami?

Przez kilka chwil milczał i tylko się we mnie wpatrywał.

- Możesz przestać? - wymamrotałam, jednocześnie oszołomiona i zirytowana. - Jeśli powiem, że ci wybaczam, skończysz z tym wreszcie?

Na jego urodziwej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Nie.

Clancy, którego najwyraźniej nikt nie nauczył, że należy szanować przestrzeń osobistą innych ludzi, zrobił krok w moją stronę. Cofnęłam się, grzęznąc w lepkim błocie. Zamiast się wycofać, potraktował to jak wyzwanie i znów się do mnie zbliżył, a ja z jakiegoś powodu - głównie ze zdenerwowania - mu na to pozwoliłam.

- Posłuchaj - rzekł w końcu. - Powiedziałem Mikeowi, żeby nie przydzielał ci żadnego zadania, ponieważ miałem nadzieję, że będziesz pracować ze mną.

- Słucham?

- Przecież słyszałaś. - Położył mi dłoń na ramieniu, a ja miałam wrażenie, jakby ktoś wpuścił mi do głowy pszczołę. Czułam, jak mój mózg się budzi, zalewając mnie mlecznobiałymi obrazami przedstawiającymi nas dwoje siedzących przy jego biurku i wpatrujących się w siebie, podczas gdy płomienie pożerały wszystko wokół.

To on podsuwał mi te obrazy.

Nie wiem, jak to robił, ale wydawało mi się to takie realne. W środku czułam płomienie, które trawiły moje płuca, a pod skórą kłębił się gryzący dym. Miałam wrażenie, że moja skóra zaraz zacznie pękać. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Płomienie lizały moje ubrania, a moje włosy pokrywały się sadzą.

To nie dzieje się naprawdę, to nie dzieje się naprawdę, to nie dzieje się NAPRAWDĘ...

Clancy musiał odpuścić, a może to ja jakoś mu się wyślizgnęłam, ponieważ ogień syknął i rozmył się równie szybko, jak się pojawił.

- Nie potrafisz mnie odeprzeć - powiedział ze zdumieniem. - Czy to w ogóle umiesz używać swoich umiejętności? Z dokumentów Ligi wynika, że tak.

Czy rzeczywiście było to aż tak oczywiste? Pokręciłam głową. To dlatego tu jestem, chciałam powiedzieć. To dlatego cię potrzebuję.

Zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów i znów się wycofał. Kiedy się odezwał, jego głos był łagodny i pełen współczucia.

- Wiem, jak to jest. Myślisz, że ja się z tym nie zmagałem? Wiem, jak samotna się czujesz, gdy nie możesz nikogo dotknąć tak, jak byś chciała. Wiem, jak strasznie jest być uwięzionym w czyjejś głowie i nie mieć pojęcia, jak się z niej wydostać. Ruby, wszystkiego, co potrafię, musiałem się nauczyć sam. To było okropne. Chciałbym ci tego oszczędzić. Mogę cię nauczyć różnych sztuczek, tak byś umiała odpowiednio wykorzystywać swoje umiejętności.

Miałam nadzieję, że nie widzi moich drżących rąk. Boże, przecież sam mi to zaproponował - nie musiałam go nawet o nic prosić - a ja nadal nie potrafiłam wydusić ani słowa.

Clancy rozluźnił się, a kiedy znów mnie dotknął, żeby przełożyć mi warkocz na ramię, nie miał złych intencji.

- Przemyśl to, dobrze? Jeśli uznasz, że tego chcesz, po prostu wpadnij do mnie do biura. Przełożę inne zajęcia. - Zacisnęłam usta, mocno przygryzając język. - Nie ma nic złego w tym, by wiedzieć, jak używać swoich umiejętności - dodał. - Tylko w ten sposób kiedyś w końcu ich pokonamy.

Kogo?

- Zostało nas już tak niewiele - oznajmił. - Dopóki twoje nazwisko nie pojawiło się w systemie, wydawało mi się, że ocalałem tylko ja.

- Cóż, jest jeszcze ktoś. Ma na imię Martin...

-... i dołączył do Ligi Dzieci - dokończył za mnie. - Wiem. Czytałem o nim raport. Przerażający dzieciak. Mówiąc: my, nie miałem na myśli psychopatów

Parsknęłam śmiechem.

- Przemyślę to - powiedziałam w końcu. Znów poczułam na sobie jego ciemne oczy. Przeszły mnie ciarki, jakby ktoś poraził mnie prądem. Bezwiednie zrobiłam krok w jego stronę.

- Słuchaj swojej intuicji - rzucił Clancy, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem do

biura. Grupka dzieciaków szykująca miejsce na obiad przy palenisku zawołała go, a on, jak na syna prezydenta przystało, uśmiechnął się i ładnie im pomachał.

Słuchaj swojej intuicji.

Dlaczego jednak to, co podpowiadało mi serce, kłóciło się z tym, co mówił mi rozum?

Skierowałam się w stronę drewnianego pomostu, który odkryłam pierwszego dnia. Chciałam się znaleźć w miejscu, gdzie będę mogła pozbyć się drżenia, które czułam w sercu. W głowie aż wirowało mi od nowych możliwości.

Clancy Gray zaproponował mi właśnie wszystko, o czym marzyłam. Sposób, by już nigdy nie powtórzyło się to, co stało się z moimi rodzicami i Sam. Sposób, by być z Liamem, odnaleźć babcię i przestać żyć w ciągłym strachu przed tym, co mogę im zrobić. Dlaczego więc z moich ust natychmiast nie padło entuzjastyczne „tak”?

Dopiero kiedy się schyliłam i przeszłam pod liną odgradzającą ścieżkę do jeziora, zorientowałam się, że coś jest nie tak.

- Cholera - powiedziałam, kiedy go zobaczyłam.

- O nie... Nie, nie, nie - powtarzał Pulpet, a rozanielony uśmiech zniknął mu z twarzy. Przestał też rzucać chleb zgromadzonym w wodzie kaczkom. - To moja sekretna kryjówka. Rubym wstęp wzbroniony.

- To ja pierwsza ją znalazłam! - sapnęłam i usiadłam obok niego.

- Nieprawda.

- To było tydzień temu, kiedy wy się rozpakowywaliście.

Zrobił zniechęconą minę.

- No... dobra. Ale dzisiaj byłem tu pierwszy

- Nie pracujesz dziś w ogrodzie?

- Nie mogłem już dłużej słuchać jednej dziewczyny, która piała z zachwytu nad tym, jak cudowny i mądry jest Uciekinier, ponieważ kazał nam sadzić marchewki. A ty? Nie powinnaś być w magazynie?

Spojrzałam na swoje zaciśnięte dłonie. Kiedy nie odpowiedziałam, Pulpet odłożył woreczek z chlebem i wyprostował się.

- Hej, wszystko w porządku? - Przyłożył mi chłodną dłoń do czoła. - Wyglądasz, jakbyś miała się rozchorować. Masz migrenę albo zawroty głowy?

Mało powiedziane. Roześmiałam się.

- Aha. - Zabrał rękę. - To ten ból.

Położyłam się na chropowatych deskach i zakryłam oczy ręką, mając nadzieję na to, że ciemność pomoże złagodzić pulsującą migrenę.

- Mówiłeś, że to Jack nauczył cię korzystać z twoich umiejętności?

- Tak - odparł. - Tylko w ten sposób mogłem się tego nauczyć. Od innego dzieciaka. Po prostu długo nie mogłem się na to zdecydować.

- Dlaczego?

- Ponieważ wydawało mi się, że jeśli nie będę ich używał, to prędzej czy później same znikną - wyszeptał. - Wydawało mi się, że wszystko wróci do normy Istnieją naukowe dowody na to, że jeśli nie używa się niektórych części mózgu, one w końcu przestają funkcjonować. - Po chwili zapytał: - Czy Clancy zaproponował ci, że pomoże ci zapanować nad twoimi zdolnościami?

Kiwnęłam głową.

- Powiedziałam, że się zastanowię.

- A nad czym się tu zastanawiać? - Pulpet trzepnął mnie w brzuch swoją książką. - Przecież sama mówiłaś, że nie umiesz sobie z nimi poradzić.

- No tak, ale... - Przeraża mnie to, ile jeszcze nie wiem.

- Musisz nauczyć się je kontrolować. W przeciwnym wypadku one zawsze będą kontrolować ciebie. Będziesz się ich bała i pozwolisz, by tobą manipulowały. Istnieją trzy możliwości: albo od tego zwariujesz, albo umrzesz, albo znajdą na to lekarstwo. Zgadnij, który scenariusz wydaje mi się najbardziej prawdopodobny?

W powietrzu rozległ się dźwięk dzwonka wzywającego na obiad. Dwa uderzenia oznaczały drugi posiłek. Pulpet wstał i rozprostował kości, a następnie wrzucił resztę chleba do wody.

- Naprawdę myślisz, że znajdą na to lekarstwo? - zapytałam.

- Mój tata zawsze powtarzał, że jeśli tylko ci na czymś zależy, wszystko jest możliwe. - Uśmiechnął się gorzko. Kiedy wspomniał o swoim ojcu, zakłuło mnie w żołądku.

- Nadal nie miałeś okazji, żeby wysłać im wiadomość.

- Pytałem kilku osób, ale w tym grajdole jest tylko jeden komputer i zgadnij, kto jest jego jedynym użytkownikiem.

No tak. Srebrny laptop na biurku Clancy ego.

- Pytałeś go, czy nie użyczyłby ci go na kilka minut?

- Tak - odparł Pulpet, kiedy wyszliśmy zza zakrętu i wyłoniło się palenisko. Wyglądało na to, że rozdawano kanapki i jabłka. - Nie zgodził się. Uznał, że to zbyt wielkie ryzyko, by ktoś poza nim z niego korzystał.

Potrząsnęłam głową.

- Jutro go o to zapytam. Może uda mi się go przekonać.

- Mogłabyś? - Pulpet złapał mnie za rękę. Jego twarz aż pojaśniała. - Mogłabyś mu powiedzieć, że chcemy dostarczyć bardzo ważny list, ale musimy sprawdzić nowy adres ojca Jacka? Powiedz mu, że zrobimy wszystko... Nie, powiedz mu, że ja osobiście wyliżę mu do czysta każdą parę butów.

- Może po prostu powiem mu, że po to tu w ogóle przyjechaliśmy - zaproponowałam - i nie będziemy w to mieszać twojego języka?

Pulpet poczekał, aż wezmę kanapkę ze stołu, po czym mnie od niego odciągnął. Myślałam, że będzie chciał jeść w chacie albo na pomoście, ale szwendaliśmy się dookoła, aż znaleźliśmy Liama.

22

Chłopcy z drużyny patrolowej mieli przerwę w pełnieniu warty. Rozłożyli się na ładnej polanie pomiędzy drzewami. Była wystarczająco szeroka, by zmieścić na niej dwie drużyny i zorganizować mecz lewitabolu, czyli futbolu amerykańskiego, w który grało się bez użycia rąk. Pulpet i ja usiedliśmy na spróchniałym pniu, ignorując niewielką grupkę dziewcząt, które zgromadziły się wokół, żeby dopingować drużyny.

Obsypany piegami, wysoki rudzielec jako pierwszy poddał piłkę lewitacji. Biegł obok niej, próbując sprawić, by zarówno on, jak i ona znaleźli się poza zasięgiem pozostałych graczy. W pewnym momencie Liam miał piłkę tuż przed sobą, ale poruszał się zbyt wolno, by ją złapać.

- Te, dziurawe ręce, skup się na piłce! - zawołałam. Liam odwrócił się w naszą stronę. Kiedy tylko spojrzał mi w oczy, Mike, który był akurat przy piłce, staranował go w drodze do prowizorycznej strefy końcowej.

Pulpet i ja skrzywiliśmy się, gdy Liam upadł na ziemię, uderzając głową w wystający korzeń.

- Kurczę. Nie żartował, kiedy mówił, że kiepski z niego sportowiec.

- To by było nawet śmieszne, gdyby nie to, że jest jednak cholernie smutne.

Pozostali chłopcy za bardzo się śmiali, żeby utrzymać piłkę w powietrzu. Liam leżał na ziemi czerwony ze wstydu, ale również trząsł się ze śmiechu. Uniósł koszulę, żeby otrzeć pot z czoła, odsłaniając przede mną, a także przed wszystkimi zebranymi tam dziewczynami kawałek nagiego torsu.

Tym razem to ja się rumieniłam.

Jeden z chłopców, którego nie rozpoznawałam, podbiegł do Liama i pomógł mu wstać, poklepując go po plecach. Zaśmiali się, jakby znali się od przedszkola.

Ale taki właśnie był Liam - żartował, że Zu w okamgnieniu zawiera przyjaźnie, a był przecież taki sam. Pulpetowi i mnie wystarczyło, że siedzieliśmy sami, obserwując i czekając. Ani on, ani ja nie mieliśmy ochoty się angażować. Może po prostu za bardzo przyzwyczailiśmy się do samotności. Ale może przyszedł czas, żeby to zmienić.

Następnego ranka, punktualnie o 9:21 stanęłam przed drzwiami do biura Clancy’ego Graya. Uniosłam rękę, żeby zapukać. Powstrzymały mnie zdenerwowanie i rozmowa, która toczyła się po drugiej stronie drzwi.

-... pewny, że jest nas wystarczająco dużo, by to zrobić. Jeżeli wyślę tam aż tyle dzieciaków, zabraknie osób do pełnienia warty - perorował dziewczęcy głos, w którym nie

było ani grama słodyczy. Skoro wspominano o patrolowaniu obozowiska, zapewne była to Olivia.

- Rozumiem twoje argumenty, Liv, ale szkoda by było stracić taką okazję - mówił Clancy. - Brakuje nam leków, a Leda Corporation nie wysyła już tędy tak wielu ciężarówek

- Nie wybierasz się na jedną z tych swoich wypraw? - dopytywała. - Przecież to właśnie wtedy zazwyczaj dostajesz cynk na temat dostaw.

- Dlaczego pytasz?

- Po prostu... Prawie od roku tego nie robiłeś - stwierdziła Olivia. - A kiedyś jeździłeś tam bez przerwy. Wiem, że brakuje nam leków, ale może gdybyś spotkał się ze swoim informatorem...

- Nie - powiedział Clancy tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Nie mogę już opuszczać obozu. To niebezpieczne.

Podłoga zaskrzypiała.

- Czy SSP coś wykryło? - odezwał się szorstki głos Hayesa.

- Dowiedzieli się oczywiście o skoku na ciężarówkę - odparł Clancy. - Trudno to było przeoczyć, zwłaszcza po tym, jak poharatałeś tego kierowcę.

- Naprawdę musisz mi to wypominać?

- Powinieneś był go tam zostawić, tak jak ci mówiłem. Doceniam to, że chcesz rozpowszechniać nasz symbol, ale nie mogłeś go na przykład wymalować sprayem na ciężarówce?

- Martwisz się tym, jak to wpłynie na nasz wizerunek? - Głos Olivii był pełen irytacji.

- Kiedy ludzie dowiedzą się o naszych krwawych metodach, trudno będzie ich przekonać, że nie jesteśmy potworami - argumentował Clancy. - Więc proszę bardzo, propagujcie czerń. Używajcie naszego symbolu. Tylko, błagam, róbcie to trochę... subtelniej.

- Sub-co? - zapytał Hayes.

- Przepraszam, ale musimy kończyć. Wygląda na to, że panujecie nad sytuacją, a na mnie ktoś czeka - powiedział Clancy. Oderwałam się od drzwi. - Liv, zacznij planować skok. Ja zajmę się ludźmi.

Cofnęłam się na schody, ale nie było sensu udawać, że nie podsłuchiwałam. Kiedy drzwi się otworzyły, pojawiła się w nich Olivia. Była wysoka i szczupła. Miała długie nogi, a jej opalone ciało aż lśniło.

Skinęłam głową, po czym przepuściłam ją i Hayesa na schodach. Olivia była pewnie moją rówieśniczką, ale wydawała się dużo starsza. Wyobrażałam sobie, że tak właśnie wyglądają dwudziestolatki. Kiedy znów podniosłam wzrok, uśmiechnięty Clancy opierał się o

futrynę.

- Przyszłaś. - Dał mi znak, żebym weszła, i poprowadził mnie do swojego biurka. Usiadłam na jednym z krzeseł i omiotłam spojrzeniem drugą część pokoju, odgrodzoną zasłonką.

Clancy zajął swoje miejsce za biurkiem i z uśmiechem bujał się na krześle.

- Dlaczego zmieniłaś zdanie?

- Jest... tak jak mówiłeś - wymamrotałam. - Zostało nas już tak mało. - A ja chciałabym wiedzieć, co zrobić, by móc przebywać z ludźmi, których kocham, nie obawiając się, że wymażę im siebie z pamięci.

- W raportach Ligi czytałem, że nie mogą znaleźć żadnego innego Pomarańczowego poza tobą i Martinem - powiedział Clancy - a najwyraźniej większość Czerwonych została zabita. Znajdujemy się na czele listy.

- Chyba tak - przyznałam. - Skąd masz dostęp do dokumentów Ligi? I SSP? - Wskazałam dłonią na pokój. - Do tego wszystkiego?

- Mam wielu przyjaciół - odparł Clancy po prostu, bębniąc palcami o biurko. - A mój ojciec pozwala mi działać, ponieważ boi się skandalu, który z pewnością wybuchłby, gdybym ujawnił, że program rehabilitujący ludzi takich jak ty i ja to w rzeczywistości bujda.

- Ty i ja - powtórzyłam.

Clancy przeczesał włosy dłonią.

- Powinnaś zrozumieć, Ruby, że różnimy się od reszty. Ty, ja i... wszyscy zaklasyfikowani jako Pomarańczowi. Jesteśmy inni. Wyjątkowi. Nie, nie przewracaj oczami, tylko posłuchaj. Ponieważ musisz też zrozumieć, że wszyscy: mój ojciec, władze obozu, naukowcy, SSP i Liga Dzieci przez cały ten czas cię okłamywali. Jesteśmy wyjątkowi nie ze względu na to, kim jesteśmy, ale ze względu na to, kogo mogą z nas zrobić.

- Nic nie rozumiem - odparłam.

Wstał, obszedł biurko i usiadł obok mnie.

- Może lepiej będzie, jeśli najpierw opowiem ci swoją historię. - Spojrzałam mu w oczy. - Ale musisz obiecać, że to zostanie między nami.

Dotrzymywanie tajemnicy. Z tym akurat nie miałam problemów.

- Dobrze - powiedział - daj mi rękę. Wszystko ci pokażę.

Kiedy wślizgiwałam się w czyjś umysł, zawsze towarzyszyło mi niepokojące wrażenie, że tonę. Bardzo często wpadałam w mroczne grzęzawiska wspomnień i nieposkromionych uczuć, nie mając mapy, latarki ani pomysłu na to, jak się stamtąd wydostać.

W umyśle Clancyego nie było nic przerażającego. Jego wspomnienia były barwne i czyste, pełne kwitnących obrazów i kolorów. Miałam wrażenie, że tam też chwycił mnie za rękę i ruszyliśmy długim korytarzem wypełnionym gablotami z jego przeszłością. Zatrzymywaliśmy się tylko na chwilę, by zajrzeć do każdej z nich.

Biuro, w którym nagle się znaleźliśmy, wyposażone było w zwykłe niebieskoszare metalowe szafki na dokumenty i właściwie niczym się nie wyróżniało. Biała farba na ścianach była tak świeża, że tworzyły się na niej bąbelki powietrza. Powoli rozpoznałam jednak urządzenie w kształcie pierścienia usytuowane w kącie pokoju i mężczyznę wpatrującego się we mnie zza stolika karcianego służącego mu za biurko. Tęgi i łysiejący, stanowił nieodłączną część Infirmerii. Chociaż nie słyszałam, co mówi, widziałam, jak poruszają się jego usta. Spojrzałam na leżący przed nim równiutki stos dokumentów. Moje oczy powędrowały do jego dłoni, trzymającej zgiętą wcześniej kartkę papieru, która nie chciała dać się zupełnie rozprostować. Był to papier listowy z Białego Domu. Wypisane na niej słowa nabrały ostrości, a ja z niedowierzaniem przesuwałam po nich wzrokiem. Szanowni Państwo, niniejszym otrzymują Państwo ode mnie pozwolenie na przeprowadzenie badań oraz terapii eksperymentalnej na moim synu, Clancym Jamesie Beaumoncie Grayu, z zastrzeżeniem, że nie mogą one pozostawić na nim widocznych blizn.

Światła w pomieszczeniu stawały się coraz jaśniejsze i wspomnienie zaczęło blednąc. Kiedy znów przygasły, nie znajdowałam się już w Infirmerii, lecz w pomieszczeniu z niebieskimi kafelkami i piszczącymi monitorami. Nie!, pomyślałam, próbując uwolnić się z pasów, którymi przywiązana byłam do metalowego stołu. Wiedziałam, co to za miejsce.

Obleczona w rękawiczkę dłoń przysunęła do mojej twarzy dużą lampę. Kątem oka widziałam zgromadzonych wokół naukowców i lekarzy w białych kitlach, przygotowujących maszyny i komputery. Moje szczęki ściśnięte były skórzanym, zapinanym z tyłu głowy kagańcem, a czyjeś ręce przytrzymywały mi głowę, kiedy podłączano mnie do różnych przewodów i monitorów. Próbowałam się wyrwać, wykręcając głowę tak mocno, że zauważyłam stół, na którym leżały skalpele i niewielkie wiertła. W szybie oddzielającej salę operacyjną od stanowisk obserwacyjnych widziałam swoją twarz - młodą i bladą z przerażenia, będącą lustrzanym odbiciem portretów, które rozwieszono później na terenie obozu.

Ostre światło zaczęło pęcznieć i pochłonęło tę wizję. Kiedy przygasło, znajdowaliśmy się już w innym wspomnieniu. Mój wzrok najpierw padł na rękę, którą ściskałam, a następnie przesunął się w górę na rozbiegane oczy tego samego naukowca, którego widziałam wcześniej. Kręcący się wokół nas mężczyźni mieli ten sam mglisty wyraz twarzy - puste

oczy, sztuczne uśmiechy. Wyprostowałam ramiona i poczułam nagły przypływ triumfu, kiedy przechodziłam przez bramę, kierując się w stronę czekającego na mnie czarnego samochodu. Mężczyzna w garniturze, który powitał mnie zdawkowym klepnięciem w plecy, nie był prezydentem, ale pojawił się w niemal każdym następnym wspomnieniu: zapraszał mnie na scenę podczas spotkań w szkołach, towarzyszył mi, kiedy staliśmy przed monumentalnymi budynkami rządowymi i kiedy występowałam przed kamerami w małych miasteczkach. Za każdym razem wręczano mi ten sam zestaw kartek z wydrukowanym na nich tekstem. Za każdym razem tłum ludzi spoglądał na mnie z nadzieją i głębokim smutkiem, a moje usta zawsze wypowiadały te same słowa: Nazywam się Clancy Gray i jestem tu po to, by powiedzieć wam, jak obóz rehabilitujący ocalił mi życie.

Rozbłysło kolejne światło, tym razem z lampy błyskowej aparatu. Kiedy wyblakło, patrzyłam w twarz starszej, steranej życiem wersji mnie. Fotograf odwrócił ekran w naszą stronę, by pokazać nam zrobiony przez siebie portret - nie widziałam już siebie jako chłopca, ale młodego mężczyznę - piętnasto-, może szesnastoletniego. Kiedy fotograf znów ustawiał sprzęt, tym razem po drugiej stronie pomieszczenia, położyłam rękę na plecach prezydenta i obchodząc sofy, poprowadziłam go do wielkiego, ciemnego drewnianego biurka. Gałęzie dzikiej róży drapały o szyby, ja jednak skupiłam się na przeznaczonej dla niego kartce papieru leżącej na blacie i zmusiłam go, by podniósł długopis. Kiedy ją podpisał, spojrzał na mnie pustym wzrokiem i uśmiechnął się bezwiednie.

Musiały minąć tygodnie, miesiące, a może nawet lata - czułam, jak moje ciało ogarnia zmęczenie, oplatające moją pierś niczym łańcuch. Była ciemna noc i chociaż nie wiedziałam, która jest godzina, zorientowałam się, że znajduję się w jakimś podłym hotelu. Okryta kołdrą, wpatrywałam się w sufit, kiedy nagle z ciemnej szafy wypadł na mnie mężczyzna w czarnej masce. W dłoni miał broń. Wszystko działo się tak szybko, że nie miałam czasu do namysłu. Zrzuciłam z siebie kołdrę i z całej siły kopnęłam napastnika, tak że poleciał do tyłu. Nacisnął spust, a strzałowi towarzyszył nagły rozbłysk światła i cichy dźwięk. W nozdrzach poczułam woń prochu.

Przewrócił mnie na plecy i złapał za szyję, miażdżąc mi tchawicę. Wyciągnęłam ręce, uderzając nimi o szorstki dywan, stolik nocny, a w końcu jego twarz. Nawet przerażenie wypełniające moje żyły nie było w stanie powstrzymać mnie przed wniknięciem do jego umysłu.

PRZESTAŃ! Czułam, jak moje wargi układają się w to słowo, chociaż go nie słyszałam. PRZESTAŃ!

Mężczyzna rzeczywiście przestał, a jego wzrok stał się pusty jak u kogoś, komu

właśnie rozłupano czaszkę i wystawiono ją na działanie lodowatego powietrza. Usiadł na podłodze, odkładając broń.

Kaszlałam i sapałam, próbując nabrać powietrza w płuca. Natychmiast porwałam broń i wetknęłam ją za pasek spodni od piżamy. Chwyciłam płaszcz z krzesła i wybiegłam na korytarz, wpatrując się w miejsce przed drzwiami, gdzie powinien stać mój ochroniarz. Wiedziałam, po prostu wiedziałam, co się dzieje. Wiedziałam, co może mi się stać, jeśli rano odkryją, że jednak żyję.

Zbiegłam w dół hotelowymi schodami, przedostałam się przez kuchnię, minęłam kontenery na śmieci, aż dotarłam na parking. Paliło mnie w piersi. Wokół słyszałam krzyki i dudnienie butów na chodniku. Rzuciłam się w stronę drzew i mroku...

- Ruby... Ruby!

Znów znalazłam się w biurze Clancyego i powoli dochodziłam do siebie. Miałam tak silną migrenę, że musiałam się pochylić, by na siebie nie zwymiotować.

- Chcieli cię zabić - powiedziałam, kiedy w końcu odzyskałam głos. - Kto to był?

- A jak myślisz? - odparł Clancy sucho. - Ten mężczyzna był agentem Tajnych Służb, który miał mnie chronić.

- Przecież to bez sensu. - Przyciskałam do czoła zewnętrzną stronę dłoni i zaciskałam powieki, próbując odegnać zawroty głowy. - Skoro obwozili cię po kraju i wykorzystywali jako rzecznika programu rehabilitacyjnego, to dlaczego...?

- Ponieważ mój ojciec uświadomił sobie w końcu, że wcale mnie tam nie zrehabilitowano - odparł. - Tylko dlatego wypuścili mnie z Thurmond. Wmówiłem im, że mnie wyleczyli. Ale mój plan był zbyt ambitny. Próbowałem manipulować ojcem, a on mnie na tym przyłapał. - Clancy na chwilę umilkł. - Martwił się, że prawda o obozach wyjdzie na jaw, ale nie mógł mnie tak po prostu usunąć z centrum zainteresowania, gdzie sam mnie umieścił. O, nie! Wydaje mi się, że w jego przekonaniu lepiej było się mnie pozbyć zupełnie, zanim zacznę sprawiać kłopoty. Mogę sobie tylko wyobrazić łzawą historyjkę na temat mojej śmierci, którą chciał zamydlić oczy swoim współobywatelom.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w niego bez słowa.

Jak udało ci się to przetrwać?, chciałam zapytać. Jak udało ci się pozostać sobą i nie zmienić się w monstrum, które chcieli z ciebie zrobić?

- Po tym, jak uciekłem, poznałem Hayesa, a potem 01ivię i resztę. Znaleźliśmy to miejsce i zabraliśmy się do roboty. Mój ojciec nie mógł wyznaczyć za mnie nagrody, nie ujawniając jednocześnie prawdy o programie rehabilitacyjnym. Wymyślił jakąś bujdę o tym, że poszedłem na studia, żeby pozbyć się natrętnych dziennikarzy. - Uśmiechnął się. - Więc

sama widzisz, że ostateczne zwycięstwo należy do mnie.

Podniósł się z krzesła i wyciągnął rękę. Ujęłam ją bezwiednie, a kiedy ścisnął moje palce, poczułam ogarniający mnie spokój. W mojej głowie zapanowała cisza. Pochyliłam się do przodu.

- Kiedy o tobie usłyszałem, zapragnąłem cię poznać. Musiałem się upewnić, że znasz prawdę, tak byś nie dała się zaskoczyć.

- Prawdę? - Spojrzałam na niego zdumiona. - Co masz na myśli?

Nie puszczając mojej dłoni, Clancy przysiadł na krawędzi biurka.

- Co powiedziała ci kobieta, która wydostała cię z Thurmond, ta agentka Ligi? Co mówiła o Białym Szumie, którego użyto tego dnia?

- Powiedziała, że władze obozu dodały do niego nową częstotliwość, którą potrafią wykryć jedynie Pomarańczowi, Czerwoni i Żółci - odparłam. Przecież musiał o tym wiedzieć. Stosowali tę samą metodę, żeby nadawać przez radio współrzędne obozu. -1 że starali się namierzyć wszystkie niebezpieczne dzieciaki ukrywające się w obozie.

Clancy puścił moją dłoń i odwrócił do mnie ekran komputera, na którym widniało zdjęcie mojej twarzy. Zostało wykonane w dniu, w którym przywieziono nas do obozu. Jednak tekst, który znajdował się pod fotografią, wcale mnie nie dotyczył.

- Przeczytaj na głos drugi paragraf.

Spojrzałam na niego zdezorientowana, ale zrobiłam to, o co prosił.

- „O godzinie 5:23 zarządca obozu Harris zauważył nieprawidłowości w Paralizatorze użytym poprzedniego dnia, po tym, jak odkrył, że bez jego wiedzy dodano do niego nową częstotliwość - przerwałam i oblizałam suche wargi. - Po przejrzeniu nagrań z kamer umieszczonych w Stołówce uznano, że wybuch przemocy, w którego wyniku o godzinie 11:42 użyto Paralizatora, został sprowokowany przez tajnych agentów z terrorystycznej grupy Liga Dzieci. Zarządca twierdzi, że ci sami agenci odpowiedzialni są za dodanie do Paralizatora częstotliwości identyfikującej. Uważa się, że obiekty Psi numer 3285 oraz 5312, zabrane z terenu obozu o godzinie 3:34 przez agentów Ligi Dzieci, przy wstępnej klasyfikacji zostały błędnie oznaczone jako Zielone...”.

- Czytaj dalej - powiedział Clancy, kiedy urwałam.

- „Obiekty 3285 i 5312 uważa się za niezwykle niebezpieczne, przez co wydano rozkaz ich natychmiastowego schwytania i utylizacji...”. Utylizacji?! - Znów spojrzałam na Clancyego. - To, co tu napisali... Oni nie wiedzieli... Nie mieli pojęcia, że jestem Pomarańczowa, dopóki nie wydostałam się z obozu.

Clancy skinął głową.

- Na to wygląda.

- Więc wcale nie groziło mi niebezpieczeństwo? Nie chcieli mnie zabić?

- O, na pewno groziło ci niebezpieczeństwo - odpowiedział. - Mieli wszystkie elementy tej układanki i wystarczył tylko jeden dociekliwy umysł, żeby poskładać ją w całość. Ale jeśli pytasz, czy złapano by cię, gdyby Liga nie dodała nowej częstotliwości, odpowiedź brzmi: najprawdopodobniej nie.

- Dlaczego więc to zrobili? - drążyłam. - Przecież to zbyt wielkie ryzyko, żeby dorwać kilka dzieciaków.

- Kilka bardzo cennych, niezwykłych dzieciaków - poprawił mnie. - Dzieciaków, które w przeciwnym wypadku by zabito.

Widząc moją minę, dodał łagodnie:

- Chyba nie sądziłaś, że pozwolono im żyć? Nie Pomarańczowym. Żółtym tak, ponieważ umieli nad nimi zapanować, ale nie Pomarańczowym.

Zasłoniłam twarz dłonią.

- A co z Czerwonymi? Czy oni też zostali zabici?

- Nie - odparł Clancy. Jego głos stał się cichy, niepewny. - Ich los był dużo gorszy.

Wykręcając splecione dłonie, czekałam na dalszy ciąg jego opowieści.

- Tajny program prezydencki. - Skrzyżował ramiona na piersi i odchylił się do tyłu. - Projekt Jamboree. Tatulek wyszkolił sobie armię złożoną z Czerwonych, których zabrano z obozów. Sama więc widzisz... - odkaszlnął. - Rozumiesz już chyba, dlaczego Lidze zależało, żeby znaleźć sobie własne niebezpieczne dzieciaki.

Potrząsnęłam głową i schowałam twarz w dłoniach. Ze wszystkich scenariuszy, które sobie wyobraziłam - ze wszystkich rzeczy, jakie mogły się przydarzyć tym dzieciakom - ten wydawał mi się tak nieprawdopodobny, że sama nigdy bym go nie ułożyła.

- Jak ich do tego zmuszono? - zapytałam. Nie poznawałam swojego głosu. - Dlaczego się na to zgodzili?

- A mieli inny wybór? Przekonano ich, że jeśli nie będą współpracować, ich rodzinom stanie się krzywda. Przeszli specjalny program szkoleń, podczas którego wmówiono im, że są potrzebni i że wszyscy się o nich troszczą. Zanim mój ojciec i jego doradcy zorientowali się, że nimi manipuluję, udało mi się do tego stopnia kontrolować ten program, że faktycznie się o nich troszczono... Na pewno bardziej niż w obozach. - Pokręcił głową. - Nie bój się o nich. Kiedyś uda im się wyrwać spod kontroli mojego ojca.

Przynajmniej wciąż żyją, pomyślałam.

- Ruby.

Podniosłam wzrok, czując, jak ogarnia mnie lodowaty chłód.

- Chciałbym ci pokazać to, co wiem - wyszeptał i odgarnął mi kosmyk włosów z policzka. Poczułam, jak zaciśnięty dotąd żołądek się rozluźnia, a podejrzenia, jakie co do niego miałam, ustępują. Byliśmy tacy sami. Chciał mi pomóc, mimo że nie mogłam mu się niczym odwdzięczyć. - Nikt nie będzie mógł cię skrzywdzić ani zmienić, jeśli nauczysz się z nimi walczyć - powiedział miękko.

Nie kierowałam się przygnębieniem ani nawet litością dla siebie samej. Poczułam po prostu, jak gdzieś w głębi mojego ciała rodzi się czysta, niczym niezmącona nienawiść. Myślałam, że Uciekinier pomoże mi odzyskać dawne życie, ale teraz wiedziałam, że to nie wystarczy. Chciałam, by pomógł mi zabezpieczyć moją przyszłość. Kiedy się odezwałam, moje słowa były pełne żaru.

- Naucz mnie.

23

To, że Clancy miał tak ogromną moc, nie oznaczało, że z niej korzystał. Zdumiewające było to, że ktoś, kto potrafi wpływać na myśli innych ludzi, urodził się z osobowością, która w naturalny sposób ich do siebie przyciągała. Zauważyłam to, kiedy zaproponował, że oprowadzi mnie po obozowisku.

Clancy pomachał do kilku ubranych na czarno nastolatków zgromadzonych wokół paleniska. Jego obecność wzbudziła ogólną ekscytację. Na twarzach mijanych przez nas dzieci pojawiały się uśmiechy i nie było nikogo, kto by do nas nie pomachał lub kto nie pozdrowiłby nas choćby szybkim „hej!”.

- Czy jest ktoś, z kim rozmawiasz o tym, przez co przeszedłeś? - zapytałam.

Spojrzał na mnie kątem oka, jakby moje pytanie go zaskoczyło. Obserwowałam, jak wkłada ręce do kieszeni spodni, zgarbiony pod ciężarem myśli.

- Zaufali mi - odparł, uśmiechając się smutno. - Nie chcę ich martwić. Muszą wierzyć, że umiem o nich zadbać, w przeciwnym wypadku nasz system się załamie.

No tak, nie można było zapomnieć o systemie. Wymalowywanie symbolu Psi na budynkach i wywieszanie go na gankach to jedno, ale co z praktyką?

Po raz pierwszy miałam okazję zobaczyć to na własne oczy, kiedy nagle na naszej drodze wyrosła dziewczyna odpowiedzialna za ogród i zażądała ukarania trzech dzieciaków, które jej zdaniem kradły owoce.

Gdy Clancy zaczął rozmawiać z nastolatkami, wystarczyły dwie sekundy, bym zdała sobie sprawę, że życie w East River nie było oparte na surowych zasadach. Clancy sam oceniał sytuację, a wszyscy wokół ufali jego sprawiedliwemu osądowi.

Oskarżenie padło na trzech Zielonych, którzy zaledwie kilka miesięcy temu ukończyli naukę w Niedźwiadkach. Dziewczyna zostawiła ich w ogrodzie, gdzie siedzieli na ziemi cicho jak trusie. Każdy miał na sobie czarną koszulę, ale ich dżinsy znajdowały się w różnych stadiach rozkładu. Stanęłam z boku, a Clancy uklęknął przed nimi, nie przejmując się, że mokra ziemia plami jego wyprasowane spodnie.

- Czy ukradliście te owoce? - zapytał łagodnie. - Proszę, powiedzcie prawdę.

Chłopcy wymienili spojrzenia. Odpowiedzi podjął się największy z nich, siedzący pośrodku.

- Tak. Bardzo nam przykro.

Uniosłam brwi.

- Dziękuję wam za szczerość - odparł Clancy. - Mogę spytać, dlaczego to zrobiliście?

Chłopcy przez kilka chwil milczeli. W końcu udało się wydobyć z nich prawdę.

- Pete od jakiegoś czasu jest chory i nie przychodzi na posiłki. Nie chcieliśmy, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział, bo myślał, że spotka go kara za to, że w tym tygodniu nie stawił się do sprzątania i... nie chcieliśmy cię zawieść. Przepraszamy!

- Rozumiem - odpowiedział Clancy. - Ale jeżeli Pete jest naprawdę chory, powinniście mi byli o tym powiedzieć.

- Na ostatnim spotkaniu mówiłeś, że mamy mało leków. Nie chciał o nie prosić, w razie gdyby kto inny ich potrzebował.

- Wygląda na to, że na razie to on ich potrzebuje, jeśli jest tak słaby, że nie przychodzi nawet na posiłki - oznajmił Clancy. - Zdajecie sobie sprawę z tego, że zabierając jedzenie z ogrodu, utrudniacie przygotowanie zaplanowanego dla wszystkich posiłku?

Dziewczyna odpowiedzialna za ogród już otwierała usta, ale uprzedził ją starszy chłopiec. Oparł grabie o płotek otaczający ogród.

- Jeżeli przez kilka dni będą pomagać w usuwaniu chwastów, kilku z nas na zmianę posiedzi z Peteem. Zadbamy o to, żeby dostawał jedzenie i lekarstwa.

Clancy skinął głową.

- To dobry plan. Co o tym myślicie?

Miałam wrażenie, że dziewczyna tupnie nogą ze złości, kiedy wszyscy inni zgodzili się na „karę”. Jej czerwone policzki świadczyły o tym, że jest głęboko niezadowolona z takiego obrotu spraw.

- To zdarzyło się już nie pierwszy raz, Clancy - powiedziała, odprowadzając nas do furtki. - Ludziom się wydaje, że mogą tu po prostu przyjść i wziąć, co im się podoba. Przecież nie możemy zamknąć ogrodu podobnie jak magazynu!

- Obiecuję, że podniosę tę sprawę na następnym spotkaniu w przyszłym miesiącu - odparł Clancy i posłał jej jeden z tych swoich uśmiechów. - Obiecuję, że potraktuję ją priorytetowo!

Jego odpowiedź zdawała się ją satysfakcjonować, przynajmniej na jakiś czas. Warzywna Baronowa rzuciła mi zaciekawione spojrzenie, po czym odwróciła się na pięcie i wróciła na swoje włości.

- Rany - powiedziałam. - Milusia jest.

Wzruszył ramionami, w zamyśleniu drapiąc się w prawe ucho.

- W pewnym sensie ma rację. Jeśli zacznie nam brakować zapasów w magazynie, naszym głównym źródłem jedzenia będą ogrody, a jeśli tam nic nie znajdziemy, możemy mieć kłopot. Wydaje mi się, że wszyscy zdążyli się już przekonać, że w East River wszystko

jest ze sobą powiązane. Słuchaj, możemy jeszcze wstąpić do Pete a?

Uśmiechnęłam się.

- Oczywiście.

Mały chłopiec schowany był pod stertą koców - gołe materace jego współlokatorów świadczyły o tym, że postanowili oddać przykrycia koledze. Kiedy jego zarumieniona twarz wynurzyła się w końcu spod pledów, przywitałam się z nim. Clancy rozmawiał z nim jeszcze dobry kwadrans, ja jednak czekałam na zewnątrz, obserwując życie toczące się w obozie. Dzieciaki machały i uśmiechały się do mnie, jakbym przebywała tu od lat, a nie zaledwie od kilku dni. Ja także im machałam, czując ucisk w klatce piersiowej. Nie wiem, czy stało się to nagle, czy może ta świadomość kiełkowała we mnie już od jakiegoś czasu, ale zrozumiałam, że czerń - kolor, którego się bałam i którego tak nienawidziłam - dawała tym dzieciakom rodzaj solidarności i pozwalała odczuwać dumę.

- Tu nigdy nie będziesz się czuła samotna - powiedział Clancy, zamykając za sobą drzwi. Przeszliśmy do budynku pralni, a następnie zatrzymaliśmy się w łazienkach, żeby przetestować nowe krany i upewnić się, że światła wciąż działają. Co jakiś czas ktoś zatrzymywał Clancyego, żeby zadać mu pytanie lub na coś się poskarżyć, a on za każdym razem był wyrozumiały i cierpliwy. Obserwowałam, jak rozwiązuje nieporozumienia między współlokatorami, przyjmuje propozycje obiadów i dzieli się swoją opinią na temat tego, czy drużyna patrolowa potrzebuje dodatkowych ludzi.

Kiedy dotarliśmy do chaty, która służyła Niedźwiadkom za klasę, padałam z nóg. Clancy miał właśnie rozpocząć swoją cotygodniową lekcję z historii Stanów Zjednoczonych.

Pokój był mały i ciasny, ale dobrze oświetlony i ozdobiony kolorowymi plakatami oraz rysunkami. Mój wzrok padł na Zu, jeszcze zanim dostrzegłam stojącą z przodu nastolatkę wodzącą palcem po rzece Missisipi na starej mapie Stanów Zjednoczonych. Obok Zu siedziała oczywiście Hina, która w szaleńczym tempie notowała coś w zeszycie. Nie powinno być dla mnie zaskoczeniem, że dzieciaki powitały Clancyego owacyjnie. Dziewczyna ustąpiła mu miejsca na środku klasy.

- Dooobrze już, dooobrze - zaczął. - Kto wie, na czym skończyliśmy?

- Na Święcie Dziękczynienia i pielgrzymach! - odezwało się kilka głosików.

- Na pielgrzymach? - mówił dalej. - A kto to był? Może ty, Jamie? Pamiętasz, kim byli pielgrzymi?

Dziewczynka w wieku Zu wyprostowała się i zaczęła:

- Ludzie w Anglii źle ich traktowali ze względu na ich religię, więc pielgrzymi przypłynęli do Ameryki. Przybili do Plymouth Rock.

- Czy ktoś wie, co się działo potem?

Około dziesięciu dłoni wystrzeliło w górę. Clancy wybrał siedzącego nieopodal chłopca, który równie dobrze mógłby być Zielony, co Żółty albo Niebieski. Metoda, którą kierowałam się zazwyczaj przy rozróżnianiu dzieciaków, zaczęła mnie zawodzić, teraz kiedy wszystkie były ze sobą wymieszane. Ale przecież o to właśnie chodziło.

- Założyli kolonię - odparł chłopiec.

- Właśnie! Była to druga kolonia brytyjska po tej założonej w Jamestown w 1607 roku. Znajdowała się nieopodal miejsca, w którym teraz jesteśmy. - Clancy podniósł mapę, z której korzystała nauczycielka, i wskazał oba punkty. - Jeszcze na okręcie May-flower zawarli umowę zwaną Mayflower Compact, która głosiła, że wszyscy będą współpracować i działać wspólnie dla dobra kolonii. Kiedy przybyli do Ameryki, musieli się zmierzyć z wieloma trudnościami, jednak zaczęli ze sobą współpracować i stworzyli społeczność wolną od wpływów korony angielskiej. Mogli już swobodnie wyznawać swoją religię. - Clancy przestał przechadzać się po klasie i omiótł swoich słuchaczy spojrzeniem. - Brzmi znajomo?

Obok mnie znajdowała się zasłuchana Zu. Siedziała tak blisko, że mogłam policzyć piegi na jej twarzy, a co więcej, czułam bijące od niej szczęście. Widząc ją, sama poczułam się lepiej. Hina nachyliła się i wyszeptała jej do ucha coś, od czego uśmiech Zu zrobił się jeszcze szerszy.

- To tak jak my! - zawołało jakieś dziecko z końca sali.

- No pewnie - potwierdził Clancy.

Przez następne półtorej godziny opowiadał o relacjach pielgrzymów z Indianami, o Jamestown i o tym wszystkim, o czym moja mama uczyła w liceum. Kiedy jego czas minął, ukłonił się lekko i przy akompaniamencie jęków zawodu dał mi znać, żebym z nim wyszła. Kiedy dotarliśmy do paleniska, gdzie zaczęły się już przygotowania do obiadu, zanosiliśmy się ze śmiechu. W naszą stronę zwróciło się kilkanaście par oczu, ale jakoś się tym nie przejęłam. Odczuwałam nawet coś w rodzaju dumy.

- No i jak? - rzucił Clancy, kiedy stanęliśmy na ganku biura, nasłuchując dzwonków wzywających dzieci na obiad. - Co o tym wszystkim myślisz?

- Myślę, że jestem gotowa na swoją pierwszą lekcję - odparłam.

- Ależ, panno Dały... - Jego usta wygięły się w uśmiechu. - Pierwsza lekcja właśnie się zakończyła.

Dwa tygodnie minęły jak jeden dzień.

Większą część dni spędzałam w pokoju Clancyego, wypełniając jego umysł różnymi wizjami i uniemożliwiając mu robienie tego samego z moją głową, rozmawiając o Lidze,

Thurmond i Białym Szumie. Wkrótce oboje wypadliśmy z rytmu tutejszego życia. Clancy wciąż brał udział w swoich codziennych spotkaniach, jednak zamiast wypraszać mnie wtedy z pokoju, prosił, żebym czekała po drugiej stronie białej kotary, gdzie odbywaliśmy większość naszych sesji treningowych.

Niekiedy opuszczał budynek biura, by zrobić obchód chat lub rozwiązać jakąś kłótnię, ja jednak większość czasu spędzałam w jego zakurzonym, pachnącym stęchlizną pokoju. Miałam do dyspozycji książki, płyty i telewizor, więc ani chwili się nie nudziłam.

Nadal widywałam Pulpeta, głównie w trakcie posiłków, jednak Clancy często prosił, by przynoszono nam jedzenie do pokoju.

Jeszcze trudniej było mi namierzyć Zu, ponieważ kiedy nie była na lekcjach, biegała gdzieś z Hiną lub jakąś starszą dziewczynką, jedną z Żółtych. Jedyne wspólne chwile spędzaliśmy w naszej chacie, tuż przed wygaszeniem świateł. Pulpet także był zabiegany - cały czas pracował i próbował zwrócić na siebie uwagę Clancy ego, a to zszywając wargę dziewczynce, która się przewróciła, a to sugerując wydajniejszy sposób na zbieranie plonów z ogrodu. Udało mi się spędzić z nim nieco więcej czasu, kiedy wyjmował mi szwy.

Zu z radością chwaliła się tym, czego się nauczyła w szkole, i prezentowała mi sztuczki, które pokazali jej inni Żółci.

Po kilku dniach przestała nosić rękawiczki. Zauważyłam to dopiero pewnego wieczoru, kiedy czesała mi włosy. Podniosłam się, żeby wyłączyć światło, ale Zu mnie ubiegła - pstryknęła palcami i.żarówka zgasła.

- To niesamowite! - powiedziałam z podziwem, chociaż skłamałabym, mówiąc, że nie czułam odrobiny zazdrości na myśl o tym, jakie zrobiła postępy. Mnie tylko raz udało się wyrzucić Clancy ego z mojej głowy, a i tak wcześniej odkrył, co wydarzyło się z Sam.

- Interesujące - powiedział tylko.

Chociaż Zu i Pulpeta widywałam codziennie, sprawa z Liamem wyglądała zupełnie inaczej. Drużyna patrolowa przydzieliła mu drugą wartę - od siedemnastej do piątej rano - po zachodniej stronie jeziora. Zdarzało się, że był zbyt zmęczony, by po swojej zmianie wracać do chaty, więc przez większość dni spał w jednym z namiotów rozbitych nieopodal wejścia na teren obozowiska. Raz czy dwa widziałam, jak przy śniadaniu z ożywieniem opowiada coś grupce dzieciaków, ale ja spoglądałam na to wszystko z okna pokoju Clancyego.

Tęskniłam za nim tak mocno, że odczuwałam wręcz fizyczny ból, ale rozumiałam, że ma swoje obowiązki. Kiedy udawało mi się złapać chwilę wytchnienia, moje myśli zazwyczaj wędrowały ku niemu, jednak tak silnie koncentrowałam się na lekcjach z Clancym, że nie mogłam sobie pozwolić na długie rozproszenie.

Clancy zaśmiał się, odwracając moją uwagę od tego, co działo się za oknem. Nie wiedziałam, jak mogłam sobie pozwolić, by tak odpłynąć myślami. Miał na sobie białą koszulkę polo, która podkreślała jego świetlistą skórę, i wyprasowane płócienne spodnie, niedbale podwinięte przy kostkach. Kiedy przebywał z innymi, zawsze wyglądał schludnie, a jego ubrania były czyste i dokładnie odprasowane - ale nie ze mną.

Tu nie musieliśmy niczego udawać. Nie przed sobą nawzajem.

Kiedy zaczęliśmy odbywać nasze lekcje, siadaliśmy po przeciwnych stronach tego absurdalnego biurka. Miałam wrażenie, że trafiłam na dywanik do dyrektora szkoły, a nie na lekcję Psi z moim nowym guru. Później przenieśliśmy się na podłogę, ale po kilku godzinach siedzenia czułam, że mój kręgosłup odmawia współpracy. To Clancy zaproponował, żebyśmy siedli na jego wąskim łóżku. Przycupnęliśmy po jego przeciwnych stronach, a po jakimś czasie nieco się do siebie zbliżyliśmy. Z każdą lekcją skracaliśmy dzielącą nas odległość, aż któregoś dnia, kiedy wyrwałam się z transu, w który wprawiły mnie ciemne oczy Clancyego, zdałam sobie sprawę, że nasze kolana się stykają.

- Przepraszam - wymamrotałam, gdy znów zwróciłam się w jego stronę. - Możemy zacząć od początku?

Najwyraźniej wszystko, co mówiłam, szalenie go bawiło.

- Od początku? Czy to są próby do szkolnego przedstawienia? Mam poprosić Mike a, żeby zaczął pracę nad scenografią?

Nie wiem, dlaczego się zaśmiałam - to nie było nawet szczególnie zabawne. Może to, że od dwudziestu minut próbowałam się wtopić w jego umysł, sprawiło, że przestałam nad sobą panować. Byłam pewna tylko tego, jak silny i krzepiący był uścisk jego dłoni.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział. - Tym razem wyobraź sobie, że te niewidzialne ręce, o których mi opowiadałaś, to noże. Rozedrzyj nimi ten trans.

Łatwo powiedzieć. Skinęłam głową i zamknęłam oczy, starając się odpędzić wpływający mi na policzki rumieniec. Kiedy tylko używał tych kiczowatych słów, którymi opisywałam mu działanie swojego mózgu, czułam się zawstydzona. Za pierwszym razem, kiedy użyłam tego porównania, zaśmiał się i zamachał mi palcami przed twarzą, jakby rzucał na mnie urok.

Stosował różne metody, żeby zademonstrować mi, jak to zrobić. Zabrał mnie do magazynu, gdzie wślizgnął się do głowy Lizzie i kazał jej gdakać, tylko po to, żeby mnie rozśmieszyć. Próbował mi pokazać, jak łatwo jest wpłynąć na nastrój wielu osób jednocześnie, i nie wypowiadając nawet jednego słowa, rozwiązał kłótnię pomiędzy dwojgiem dzieciaków. Pewnego dnia siedzieliśmy na schodkach prowadzących do biura, a on

czytał mi myśli wszystkich przechodzących obok nas nastolatków, w tym Hiny, która najwyraźniej głęboko się w nim durzyła.

Prawdę mówiąc, Clancy mógł zrobić wszystko. Zablokować mnie, podsunąć mi jakąś wizję, emocję czy lęk. Jestem przekonana, że pewnego dnia podłożył mi nawet sen. Poświęcał mi tak dużo czasu, że nie chciałam go zawieść - myśl o tym, że mogłabym go rozczarować, sprawiała, że moje ciało napinało się ze strachu. Uspokajał mnie. Mówił, żebym dała sobie czas i że latami się tego wszystkiego uczył, ale trudno mi było opanować pragnienie, żeby przyspieszyć i jak najszybciej przejąć kontrolę nad swoimi umiejętnościami. Wydawało mi się, że aby jak najlepiej odpłacić mu się za jego dobroć, powinnam przyswoić sobie wiedzę, którą mi przekazywał, i nie wstydzić się już tego, kim jestem. Czułam, że powinnam być z tego dumna.

Wiedziałam, że dopóki nie poznam jego tajemnic, nie możemy rozmawiać jak równy z równym. Kilkakrotnie nazwał mnie swoją przyjaciółką, zarówno podczas naszych lekcji, jak i w obecności innych dzieciaków. Zaskoczyło mnie to, jak bardzo się wzdrygnęłam, kiedy usłyszałam to słowo. Clancy miał setki przyjaciół. Ja chciałam być kimś więcej - chciałam, żeby mi ufał. Pragnęłam być jego powierniczką.

Czasem chciałam, by się do mnie zbliżył i założył mi kosmyk włosów za ucho. Nie miałam pojęcia, z którego ciemnego zakątka mojego mózgu wypełzła ta okropnie dziewczyńska myśl. Miałam wrażenie, że mój umysł ze mną igra, ponieważ byłam pewna, że tak naprawdę pragnę, aby Liam to zrobił... To i o wiele więcej.

Jednak gdy tylko próbowałam się wślizgnąć do umysłu Clancy ego, on mnie odpychał. Tak bardzo panował nad swoją mocą, że nie czułam nawet pędzącego potoku myśli i wspomnień. Za każdym razem miałam wrażenie, że wokół swojego mózgu zasuwa białą kotarę. Choćbym nie wiem jak się starała, nie mogłam jej rozedrzeć.

Co nie oznaczało, że nie próbowałam.

Clancy uśmiechnął się i odgarnął mi włosy z ramienia. Nie cofnął dłoni, tylko przesunął nią po mojej skórze i położył mi ją na karku. Wiedziałam, że się na mnie gapi, ale nie mogłam zmusić się do tego, by spojrzeć mu w oczy, nawet kiedy się do mnie nachylił.

- Uda ci się. Wiem, że ci się uda.

Tak mocno zacisnęłam zęby, że strzeliło mi coś w szczęce. Mięsień na moim prawym policzku zadrgał. Próbowałam złączyć setki, tysiące błądzących palców w jedno ostre i zabójcze narzędzie, za pomocą którego mogłabym zburzyć mur chroniący jego myśli. Ścisnęłam jego dłoń tak mocno, że musiało go to zaboleć, i wycelowałam w niego ostrze niewidzialnego sztyletu, rzucając się na niego tak gwałtownie i tak szybko, jak tylko

umiałam. Jednak kiedy tylko dotknęłam białej ściany, miałam wrażenie, że uderzył mnie w twarz. Clancy westchnął i puścił moją dłoń.

- Przepraszam - powiedziałam, zmartwiona ciszą, która pomiędzy nami zawisła.

- Nie, to ja przepraszam. - Potrząsnął głową. - Fatalny ze mnie nauczyciel.

- Wierz mi, że to nie ty jesteś tu problemem.

- Ruby, Ruby, Ruby - odparł. - To nie jest problem, który można rozwiązać w trzech prostych krokach. Gdyby tak było, nie przyjęłabyś mojej pomocy, prawda?

Spuściłam oczy, a on masował kciukiem wnętrze mojej dłoni. Wykonywał powolne, leniwe kółeczka. Było w tym coś dziwnie uspokajającego, niemal hipnotyzującego.

- Racja - zaczęłam. - Ale powinieneś wiedzieć, że nie byłam z tobą zupełnie... szczera.

To przykuło jego uwagę.

- Pozostali... Oni cię szukali, ponieważ myśleli, że jesteś jakimś czarodziejem, który pomoże im wrócić do domu. Ja jednak chciałam cię odszukać, ponieważ liczyłam na to, że rzeczywiście jesteś Pomarańczowy i że może będziesz chciał zostać moim nauczycielem.

Clancy ściągnął swoje ciemne brwi, ale nie puścił mojej dłoni. Zamiast tego oparł drugą dłoń na kawałku dzielącej nas wolnej przestrzeni.

- Ale to było jeszcze zanim powiedziałem ci o tym, co planuje dla ciebie Liga - odparł. - W czym miałbym ci pomóc? Nie... Sam zgadnę. Chodzi o to, co wydarzyło się z twoimi rodzicami, prawda?

- O to, jak wymazałam siebie z ich pamięci - potwierdziłam. - O to, jak sprawić, by to się więcej nie powtórzyło.

Clancy na krótką chwilę zamknął oczy, a kiedy w końcu je otworzył, wydawały się ciemniejsze niż dotąd, niemal czarne. Zbliżyłam się do niego, odbierając promieniującą od niego mieszankę smutku, poczucia winy i... czegoś jeszcze.

- Chciałbym ci w tym pomóc - powiedział - ale prawdę mówiąc, nie potrafię robić tego co ty. Nie wiem, jak ci pomóc.

Nie wiem, jak ci pomóc. Oczywiście. Oczywiście, że nie wiedział. Martin także był Pomarańczowy, ale jego umiejętności różniły się od moich. Zastanawiałam się, dlaczego uznałam, że Uciekinier potrafi to samo co ja.

- Jeśli... Jeśli mi o tym opowiesz... Wyjaśnisz, jak to może działać, postaram się coś wymyślić.

To nie tak, że nie mogłam o tym mówić. Po prostu nie chciałam. Nie w tej chwili. Znałam się na tyle dobrze, że oczami wyobraźni widziałam, jak wypowiadam płaczliwe słowa i przez łzy próbuję znaleźć jakieś wyjaśnienie. Za każdym razem, kiedy wracałam myślami do

tego, co się stało, ogarniały mnie wyczerpanie i rozpacz. Czułam się równie przestraszona i rozedrgana, jak wtedy, gdy ta cała historia się wydarzyła.

Spoglądał na mnie spod ciemnych rzęs, a na jego twarzy malowało się zrozumienie. Masował mój nadgarstek w miejscu, gdzie wyczuwalne było tętno.

- Rozumiem, to tak jak z Benjaminem. Powinienem był się tego spodziewać, przepraszam. - Widząc, że nie rozumiem, wyjaśnił: - Benjamin był moim starym nauczycielem, jeszcze zanim... Cóż, jeszcze zanim rozpętało się to całe piekło. Umarł, kiedy byłem bardzo mały, ale nadal nie mogę o tym rozmawiać. Za bardzo boli. - Kącik jego ust uniósł się do góry w smutnym uśmiechu. - Ale może nie musisz mi niczego mówić. Możemy spróbować czegoś innego.

- Czego?

- Teraz to ty postaraj się mnie zablokować. Tak będzie ci łatwiej.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ponieważ nie jesteś dość bezwzględna, żeby zastosować dobrą ofensywę. Wierz mi, to komplement. - Poczekał, aż się uśmiechnę, a następnie dodał: - Ale bardzo się pilnujesz. Przed nikim się nie odsłaniasz. Czasem zupełnie nie można cię rozszyfrować.

- Nie robię tego specjalnie - przerwałam mu.

Clancy machnął ręką.

- To nic złego - powiedział. - A wręcz przeciwnie. Móże ci to bardzo pomóc.

Cóż, z pewnością nie pomogło mi to w pełni odeprzeć ataku Martina.

- Czy czujesz, kiedy ktoś próbuje ci się wślizgnąć do głowy? - zapytał. - Pojawia się wtedy lekkie mrowienie...

- Tak, znam to. Co powinnam zrobić, kiedy je wyczuję?

- Powinnaś odeprzeć swojego napastnika. Sprowadzić go z drogi, na którą wszedł. Z mojego doświadczenia wynika, że sprawy, które najbardziej chciałoby się chronić, takie jak marzenia i wspomnienia, wyposażone są w swoje własne mechanizmy obronne. Musisz tylko dodać kolejną ścianę.

- Za każdym razem, kiedy próbowałam się dostać do twojej głowy, czułam, że dostępu broni mi biała kurtyna.

Clancy skinął głową.

- Tak właśnie to robię. Kiedy odczuwam mrowienie, wyobrażam sobie kotarę i nie podnoszę jej niezależnie od tego, co by się działo. Proponuję więc, żebyś przywołała jakieś wspomnienie lub tajemnicę, coś, czego nie chciałabyś pokazać ani mnie, ani nikomu innemu, a następnie spuściła na nie swoją zasłonę, żeby je ochronić.

Na mojej twarzy musiało pojawić się wahanie, ponieważ Clancy ujął moje dłonie i splótł nasze palce.

- Daj spokój - powiedział. - Czego się boisz? Że zobaczę coś, czego się wstydzisz? Myślę, że jesteśmy już na tyle dobrymi przyjaciółmi, że możesz mi zaufać. Obiecuję, że nikomu nie powiem o tym, że się wywaliłaś albo zwymiotowałaś przy ludziach.

- A o lataniu na golasa i zjadaniu piasku z piaskownicy?

Udawał, że się namyśla, a po chwili uśmiechnął się szeroko.

- Może uda mi się powstrzymać chęć podzielenia się tym z całym obozem podczas obiadu.

- Jakiś ty sprawiedliwy i wielkoduszny! - odparłam, po czym dodałam: - Naprawdę uważasz, że jesteśmy przyjaciółmi, czy mówisz to tylko po to, żeby zobaczyć, jak wybiłam sobie cztery przednie zęby, próbując grać w piłkę nożną?

Clancy pokręcił głową i zaśmiał się. Uwielbiał opowieści o tym, jak udawałam, że jestem chłopcem, albo o tym, jak mój tata zabrał mnie na fastfoodową ucztę, kiedy mama wyjechała na jakąś konferencję. Uświadomiłam sobie, jak bardzo moje wspomnienia różniły się od jego. Pewnie brał mnie za kosmitkę.

- Oczywiście, że uważam cię za swoją przyjaciółkę. Tak naprawdę... - zaczął cicho. Kiedy znów na mnie spojrzał, jego ciemne oczy były pełne żaru. Zdawało mi się, że wszystkie myśli wywietrzały mi z głowy i że zaraz poszybuję w przestworza. - Uważam cię za kogoś więcej.

- Co masz na myśli?

- Kiedy ty mnie szukałaś, ja na ciebie czekałem. Już od dawna nie czułem, że ktoś rozumie, przez co przechodzę. Bycie Pomarańczowym... Nie można tego porównać z tym, co czują inne dzieciaki. One nie rozumieją ani nas, ani tego, co potrafimy.

Zostaliśmy tylko my, odezwał się cichy głosik w mojej głowie. Tylko nas dwoje.

Ścisnęłam jego dłonie.

- Wiem.

Wydawało mi się, że popadł w zamyślenie, spoglądając w drugi kąt pokoju, na komputer i telewizor. W jego oczach pojawił się smutek, prawdziwy ból, który jednak szybko zniknął, zastąpiony typową dla niego pewnością siebie.

- Gotowa?

Skinęłam głową.

- Naprawdę się staram. Proszę, błagam, nie rezygnuj ze mnie.

Byłam zaskoczona, kiedy puścił moje dłonie. Zdumiona czułam, jak jego ręce suną po

moich nagich ramionach. Nie powstrzymałam go. Taki właśnie był Clancy i zaczynałam się tego uczyć. Przy nim nie musiałam się obawiać, że coś mu zrobię. Nie musiałam wznosić kolejnych murów, żeby powstrzymać łapczywe palce mojego umysłu, ponieważ on potrafił mnie powstrzymać przed wniknięciem do jego głowy.

Ale Liam? Był dla mnie kimś niezwykle cennym: kimś, kogo mogłabym stracić, gdybym zrobiła jeden niewłaściwy krok. Kimś, z kim nie mogłam być, jeszcze nie teraz - nie póki byłam tym, kim byłam.

Clancy nachylił się do mnie, żeby zabrać się do pracy. Ja także się pochyliłam, opierając się o jego pierś. Był ciepły i pachniał igliwiem, starymi książkami i tysiącem możliwości, o których jeszcze nie miałam pojęcia.

Za pierwszym razem nie udało mi się go zablokować - nie udało mi się to nawet za piątym razem. Dopiero po trzech dniach, kiedy obejrzał już niemal każde żenujące wspomnienie, jakie skrywało się w mojej pamięci, zdołałam się przed nim obronić.

- Musisz zagłębić się w myślach - powiedział. - Pomyśl o czymś, czego nie chciałabyś nikomu zdradzić. To właśnie te wspomnienia obudzą twoje najsilniejsze mechanizmy obronne.

Widział już wszystko. Ten chłopak tak dokładnie zgłębiał mój mózg, że równie dobrze mógłby być neurochirurgiem. Za każdym razem, kiedy przywoływałam jakieś wspomnienie lub myśl i próbowałam otoczyć je niewidzialnym murem, kruszył go, jak gdyby ściana zrobiona była z pergaminu. Był jednak cierpliwy.

- Uda ci się - powtarzał. - Wiem, że ci się uda. Potrafisz więcej, niż ci się wydaje.

Tak długo wiercił mi dziurę w brzuchu, że w końcu przywołałam coś, co chciałam ochronić.

- Czy to musi być wspomnienie? - zapytałam.

Zastanowił się.

- Może powinnaś spróbować czegoś innego. Może to być jakieś wyobrażenie. - Albo mi się wydawało, albo jego twarz rzeczywiście zbliżyła się do mojej. - Coś, czego pragniesz... A może ktoś?

Sposób, w jaki to powiedział, kazał mi myśleć, że pod niezobowiązującym tonem skrywa się zupełnie poważne pytanie. Starałam się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Dobrze - odparłam. - Chyba jestem gotowa.

Clancy nie wyglądał na przekonanego. Ale ja byłam. Przywołałam marzenie, które od wielu tygodni nawiedzało mnie w snach i zabierało każdą wolną chwilę, której nie spędzałam akurat na ćwiczeniu swoich umiejętności.

Pierwszy raz pojawiło się trzeciego dnia naszego pobytu w East River, o brzasku. Usiadłam na łóżku i zdezorientowana wsłuchiwałam się w pochrapywanie Pulpeta i wiercącej się na łóżku Zu. Czułam mrowienie na skórze, kiedy zastanawiałam się, czy to, co właśnie widziałam, naprawdę się wydarzyło i czy kiedykolwiek mogłoby się wydarzyć.

Był to sen, którym nie chciałam się z nikim dzielić. Marzenie, które nosiłam tak głęboko w sercu, że nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego, że istnieje, dopóki samo ze mnie nie wyskoczyło, w pełni ukształtowane i dojrzałe.

Musiałam śnić, że jest wiosna. W Salem, na końcu uliczki, przy której mieszkali moi rodzice, kwitły drzewa wiśniowe.

Minęliśmy je, jadąc Czarną Betty - Liam i ja siedzieliśmy razem z przodu, słuchając piosenki Led Zeppelin, która być może wcale nie istnieje. Do płotu otaczającego dom rodziców po obu stronach furtki przywiązane były pęki białych balonów, które niczym dryfujące w powietrzu drogowskazy kierowały nas w stronę otwartych frontowych drzwi. Liam wziął mnie za rękę. Miał na sobie te same ubrania, co w dniu, kiedy się poznaliśmy. Ruszyliśmy przed siebie, mijając hol i jasnożółtą kuchnię, aż dotarliśmy do ogrodu, gdzie już na nas czekano.

Byli tam wszyscy. Moi rodzice. Babcia. Zu. Pulpet. Sam. Siedzieli na kocu, który rodzice rozłożyli na trawie, i jedli przysmaki z grilla, przyrządzane przez mojego tatę. Mama krzątała się wokół i przywiązywała kolejne balony. Jej dłonie ubrudzone były ziemią po tym, jak obsadziła ogród świeżymi, wiotkimi kwiatami w miejscach, gdzie kiedyś rosła tylko trawa. Kiedy ze wszystkimi się przywitaliśmy, uściskałam Sam, pokazałam Zu ptaki gnieżdżące się na drzewach i przedstawiłam Pulpeta mojej mamie.

Wtedy Liam pochylił się i mnie pocałował, a ja nie znałam słów, które mogłyby to opisać.

Clancy wdarł się do mojej głowy tak, jak poprzednio - najpierw poczułam brzęczenie, a zaraz potem głośny ryk. Tak głęboko zanurzyłam się w to marzenie, że nie poczułam nawet, kiedy ujął moją dłoń i rozpoczął natarcie.

Lubiłam Clancyego. I to bardziej, niż sądziłam. Ale nie było dla niego miejsca w tym śnie. Nie było tam nic, czym chciałabym się z nim podzielić.

Mocno ścisnęłam jego dłoń i włożyłam całą siłę w to, by drugą, wewnętrzną parą rąk wypchnąć go ze swojej głowy.

Strategia z kotarą zawiodła, ale to... zastosowanie ofensywy jako defensywy okazało się nadspodziewanie skuteczne. Jeszcze zanim otworzyłam oczy, poczułam, jak Clancy odskakuje, wsysając powietrze, jakby coś go zabolało.

- O Boże! - zawołałam, kiedy w końcu otrząsnęłam się z transu. - Przepraszam!

Jednak gdy Clancy podniósł wzrok, uśmiechał się.

- A nie mówiłem? - rzucił. - A nie mówiłem, że sobie poradzisz?

- Możemy to powtórzyć? Chciałabym się upewnić, że to nie był przypadek.

Clancy potarł czoło.

- Może chwilę odpoczniemy? Czuję się tak, jakbyś właśnie przeorała mi mózg.

Jednak nie dane mu było odpocząć. Kiedy tylko wypowiedział ostatnie słowa, usłyszeliśmy wysoki pisk przypominający alarm samochodowy, który wydobywał się z drugiej strony pomieszczenia. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego dźwięku. Clancy skrzywił się i schował głowę w ramionach, żeby stłumić hałas, a następnie zeskoczył z łóżka.

Dopadł biurka i gwałtownie podniósł pokrywę laptopa. Błyskawicznie wpisał hasło, a niebieskobiały ekran oświetlił jego bladą twarz. Stojąc za nim, widziałam, jak otwiera nowy program.

- Co się dzieje? - zapytałam. - Clance?

Nie podniósł wzroku.

- Włączył się jeden z alarmów zainstalowanych wzdłuż obozowiska. Nie martw się, to pewnie nic takiego. Bywało już, że zwierzęta za bardzo zbliżały się do drutów.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z tego, co widzę. Cztery kolorowe obrazy z kamer, po jednym w każdym narożniku. Widok na cztery różne punkty ogrodzenia otaczającego obozowisko. Clancy nachylił się nad ekranem, zaciskając dłonie po obu stronach laptopa.

Wyciągnął rękę i sięgnął po bezprzewodowe czarne radio stojące po drugiej stronie biurka. Ani na sekundę nie oderwał wzroku od ekranu.

- Hayes, słyszysz mnie?

Po chwili ciszy w głośniku trzasnęło i odezwał się szorstki głos Hayesa.

- Co jest?

- Aktywował się alarm na południowo-wschodniej granicy. Patrzę teraz na obraz z kamer, ale... - Sądziłam, że powie: „nic tam nie widzę”, jednak jego kolejne słowa sprawiły, że schyliłam się i przecisnęłam pod jego ramieniem, żeby popatrzeć na ekran. - Tak, widzę kobietę i mężczyznę. Oboje w strojach moro. Nie wyglądają zbyt przyjaźnie.

Zobaczyłam ich. Wyglądali na ludzi w średnim wieku, ale nie byłam tego pewna. Zakamuflowani od stóp do głów, mieli na sobie coś w rodzaju stroju myśliwskiego. Nawet ich twarze zdawały się pokryte brązową farbą.

- Dobra. Zajmę się tym.

- Dzięki. Zadbaj o to, żeby się od nas odczepili - powiedział Clancy ostrożnie, a następnie ściszył radio.

Południowo-wschodnia granica... Na szczęście nie był to teren, który patrolował Liam. Westchnęłam z ulgą.

Wciąż wpatrywałam się w ekran, kiedy Clancy nagle zamknął laptopa.

- Wracajmy do pracy. Wybacz, że się rozproszyłem.

Zaskoczona, zapytałam:

- Nie musisz tam iść? Co Hayes im zrobi?

Clancy machnął tylko ręką. Znowu.

- Nie martw się tym, Ruby. Wszystko jest pod kontrolą.

Może i jedno pęknięcie w zasiekach nie wystarczy, by przedrzeć się do fortecy, ale wystarczyło zrobić kolejne, a potem trzecie i czwarte. Po pierwszym sukcesie próbowałam znaleźć różne sposoby, by wślizgnąć się do umysłu Clancy ego. Oczywiście nie udawało mi się tam pozostać zbyt długo i natychmiast byłam stamtąd bezceremonialnie wyrzucana, ale każde małe zwycięstwo dawało mi siłę i nadzieję na kolejne. Wdzierałam się do jego głowy, kiedy jego myśli koncentrowały się na czymś innym, i podpuszczałam, by chronił jedno wspomnienie, podczas gdy tak naprawdę rzucałam się na inne. Clancy był zaskoczony, ale myślę, że jego także to ekscytowało. Do tego stopnia, że kazał mi ćwiczyć na innych.

W pewnym sensie czułam się tak, jakbym zbiegała z górki. Podejmowałam się coraz to nowych, większych i mniejszych eksperymentów. Pewnego dnia zmieniłam kolację w prawdziwą katastrofę, podsuwając każdemu z sześciu nastoletnich kucharzy inny pomysł na to, co mają przygotować. Wmówiłam też jednej z dziewczynek, że ma na imię Theodore. Uwierzyła i zaczynała płakać, ilekroć ktoś zwracał się do niej inaczej. Przekonywałam innych, by robili to, o co ich prosiłam, lub wmawiałam im, że zrobili coś, czego tak naprawdę nie zrobili. Przychodziło mi to z taką łatwością, że Clancy oznajmił mi, iż powinnam robić to samo, unikając dotykania osób, na których eksperymentowałam.

Stopniowo mi się to udawało, może nie robiłam tego jeszcze zbyt pewnie, ale było coś cudownie wyzwalającego w poczuciu, że ze swobodą używam tych samych umiejętności, które wcześniej - zatrzaśnięte gdzieś w głębi mnie - napawały mnie lękiem. Teraz stały się bardziej wyraziste i łatwiejsze do opanowania.

W następny wtorek znowu nam przeszkodzono.

Tym razem do drzwi zaczęła walić jedna z Żółtych, dziewczyna o imieniu Kylie. Nie czekała, aż Clancy zaprosi ją do środka. Weszła tak gwałtownie, że spadłam z łóżka.

- Dlaczego nie pozwalasz nam odejść? - Ciemne loki rozsypały jej się wokół twarzy. -

Pozwoliłeś na to Adamowi i Sarze, a nawet Gregowi i pozostałym, a przecież oboje wiemy, że wszyscy razem wzięci mają mniej rozumu niż muszka owocówka...

Kiedy cofnęłam się w stronę łóżka, zaskrzypiała podłoga. Gdy Clancy podszedł do drzwi, nie zasunął za sobą kotary, więc Kylie doskonale mnie widziała. Odwróciła się gwałtownie w stronę Clancyego, który uspokajająco położył jej dłonie na ramionach.

- Czy wy się tu migdalicie? I czy ty w ogóle przejrzałeś mój wniosek? Ślęczałam nad nim kilka dni!

- Czytałem go trzy razy - powiedział Clancy, przywołując mnie do siebie. Spojrzał na nią z tym samym uspokajającym uśmiechem i uwagą, którą okazywał mi, odkąd rozpoczęliśmy nasze lekcje. - Ale teraz chętnie porozmawiam z tobą o tym, dlaczego musiałem go odrzucić. Ruby, widzimy się jutro?

I po chwili znalazłam się na dworze, muskana promieniami porannego słońca.

Wiosna nas nie rozpieszczała - jednego dnia było chłodno i ponuro, a następnego ciepło i słonecznie. Na dwa tygodnie zaszyłam się w pokoju Clancyiego, więc trudno mi było nadążyć za zmianami meteorologicznymi. Zdjęłam bluzę i związałam włosy w niedbały koczek. Miałam ochotę sprawdzić, co słychać u Zu, ale nie chciałam jej przeszkadzać w lekcjach. Próbowałam znaleźć Pulpeta, lecz dziewczyna odpowiedzialna za ogrody oznajmiła mi tym swoim apodyktycznym tonem, że nie widziała go od tygodnia i że planuje poskarżyć się na niego Clancy emu, tak by wymierzył mu właściwą karę.

- Karę? - powtórzyłam, zdenerwowana, ale ona nie zamierzała niczego mi wyjaśniać.

Nie musiałam go długo szukać.

- Słyszałam - zawołałam, wchodząc na pomost - że chleb szkodzi kaczkom!

Pulpet nie podniósł nawet wzroku. Usiadłam koło niego, ale on wstał i ruszył przed siebie sztywnym krokiem, zostawiając na pomoście plecak i książkę.

- Hej! - krzyknęłam. - O co ci chodzi?

Cisza.

- Pulpet! Charles!

Obrócił się gwałtownie.

- Chcesz wiedzieć, o co mi chodzi? Nie wiem nawet, od czego zacząć. Może od tego, że minął już prawie miesiąc, a my wciąż tu tkwimy! A może od tego, że ty, Lee i Suzume znaleźliście sobie przyjaciół i jesteście zadowoleni, mimo że powinniśmy właśnie opracowywać plan, który pozwoli nam wrócić do domu?

- Skąd te wszystkie pretensje? - spytałam. Może rzeczywiście nie wpasował się tu tak naturalnie jak Liam czy Zu, ale widziałam przecież, jak rozmawia z dzieciakami, z którymi

pracował. Wydawało się, że jest mu tu dobrze. Owszem, może nie był szczęśliwy, ale nie wiem, czy to słowo w ogóle do niego pasowało. - Tu naprawdę nie jest tak źle...

- Ruby, tu jest okropnie! - wybuchnął. - Okropnie! Mówią nam, kiedy jeść, kiedy spać i w co się ubierać, a w dodatku jesteśmy zmuszani do pracy. Czym to się niby różni od obozu?

Wciągnęłam powietrze.

- To ty chciałeś tu przyjechać! Przykro mi, że to miejsce nie dorasta do twoich oczekiwań, ale my nie narzekamy. Gdybyś tylko zechciał, mógłbyś tu być szczęśliwy. Jesteśmy bezpieczni! Dlaczego tak ci zależy na tym, żebyśmy wyjechali?

- To, że twoi rodzice cię nie chcą, nie oznacza, że z naszymi jest podobnie. Może tobie nie zależy na powrocie, ale mnie tak!

Równie dobrze mógł mi wbić nóż w serce. Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Pulpet zanurzył dłoń we włosach.

- Tak ciężko pracowałem... Tak bardzo się starałem, a ty go nawet nie spytałaś, prawda?

- O co...? - zapytałam, ale przecież znałam odpowiedź. Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, przypomniałam sobie o obietnicy, której nie dotrzymałam. Mój gniew osłabł. - Przepraszam! Tak bardzo zaangażowałam się w nasze lekcje, że zapomniałam.

- Cóż, ja wciąż o tym pamiętam - powiedział i odszedł, zostawiając mnie na słonecznym pomoście.

Godzinę później stałam pod strumieniem ciepłej wody, przyciskając dłonie do twarzy.

Obozowe łazienki - jedna dla chłopców, a druga dla dziewcząt - były równie eleganckie jak wychodek. Składały się na nie betonowa podłoga, kabiny prysznicowe zbite z desek i pokryte pleśnią plastikowe zasłonki prysznicowe. Codziennie myliśmy tu zęby i twarze, a raz lub dwa razy w tygodniu braliśmy prysznic. Dziś jednak, gdy powietrze nie było przesycone zapachem kwiatowego szamponu i odżywki, zdałam sobie sprawę, że przestronne pomieszczenie pachnie trocinami.

Opuściłam łazienkę dopiero wtedy, gdy usłyszałam dźwięk dzwonka ogłaszającego koniec obiadu. Kiedy wyszłam na zewnątrz, nadal nie wiedząc, co począć z resztą dnia, wpadłam na Liama i uświadomiłam sobie, jak bardzo pragnęłam go zobaczyć.

Zaskoczony chłopak cofnął się o kilka kroków. Jego przyklejone do policzków mokre włosy były dłuższe, niż pamiętałam.

- O Boże - powiedziałam ze śmiechem, przyciskając dłoń do serca. - Ależ mnie przestraszyłeś.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę. - My się chyba nie znamy. Jestem Liam.

24

Nie wiem, jak długo tam stałam, wpatrując się w jego dłoń. Poczułam pieczenie żółci, która uwięzła mi w gardle niczym krzyk.

O Boże, nie, pomyślałam i zrobiłam krok w tył. Nie, nie, nie...

- Wyglądasz zupełnie jak moja przyjaciółka Ruby, ale nie widziałem jej już od tak dawna, że... - urwał. - Nie mów, że mój żart był aż tak beznadziejny!

Odwróciłam się i ukryłam twarz w ręczniku, tak by nie widział moich łez.

- Ruby? - Zawinął mi swój ręcznik wokół talii i przyciągnął mnie do siebie. - W ten sposób Liam Stewart chciał powiedzieć: „Cześć, słonko, strasznie za tobą tęskniłem”. O rany, czy to było aż tak beznadziejne, żeby zalewać się łzami?

Przygładził moje włosy.

- Dobra, dość tego... - Pochylił się i zanim zdołałam go powstrzymać, zarzucił mnie sobie na ramię.

Puścił mnie dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się z powrotem w chacie numer osiemnaście, gdzie posadził mnie na składanym materacu, który dzieliłam z Zu. Wcześniej zatrzymał się jeszcze przy swoim łóżku i zabrał z niego koc.

- Nie jest mi zimno - powiedziałam, kiedy mnie nim owinął.

- Więc dlaczego drżysz? - Usiadł obok mnie. Wtuliłam twarz w jego szyję i wdychałam jego czysty, leśny zapach.

- Jestem po prostu na siebie wkurzona - wyjaśniłam, kiedy odzyskałam głos. - Powiedziałam Pulpetowi, że zapytam Clancyego, czy pozwoli mu skorzystać z komputera, ale zupełnie wyleciało mi to z głowy.

- Hmm... - Liam zaczął rozplątywać moje mokre włosy. - Mam wrażenie, że on nie gniewa się na ciebie, tylko na mnie za to, że nas tu trzymam. To tylko potęguje jego strach, że nie wrócimy do domu.

- Jak mu to wynagrodzić?

- Mogłabyś zapytać o ten komputer - odparł, ujmując moją dłoń. - Chociaż nadal nie rozumiem, dlaczego akurat ty miałabyś o to prosić. Strasznie dawno się nie widzieliśmy.

- To prawda - stwierdziłam. - Ty zawsze jesteś na warcie.

Zaśmiał się.

- Żałuję, że nie siedzisz ze mną na tym drzewie. Jest mi dość samotnie.

- Powiedz, co robisz całymi nocami - poprosiłam. - Rozmawiałeś już z kimś o wyzwoleniu obozów?

- Wspomniałem o tym kilku chłopakom z mojego patrolu i 01ivii, która próbuje nas umówić w tej sprawie z Clancym. Myślę, że...

- Clance powiedział, że najtrudniej jest strzec zachodniej bramy obozu - oznajmiłam, przekręcając się tak, by na niego spojrzeć. - Uważasz na siebie, prawda?

Liam zamarł w bezruchu. Miałam wrażenie, że nie oddycha.

- „Clance", mówisz? - odparł nienaturalnie pogodnym głosem. - Chyba już wiem, dlaczego Pulpet chce, żebyś to ty zapytała o komputer.

- Co to ma niby znaczyć?

Liam westchnął.

- Nic, przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Cieszę się, że się zaprzyjaźniliście. - Próbowałam spojrzeć mu w oczy, ale spoglądał w przeciwległy kąt chaty, na ustawioną pod ścianą komodę z naszymi rzeczami. - Daje ci lekcje?

- Tak - odpowiedziałam, zastanawiając się, czy powinnam coś przed nim zataić. - Uczy mnie, jak uniemożliwić innym zaglądanie do mojej głowy.

- A co ze sztuczkami, które mogą ci pomóc nie wślizgiwać się do czyjegoś umysłu? - zapytał Liam. - W tym także ci pomaga?

- Próbuje - odparłam. - Powiedział, że kiedy nauczę się lepiej kontrolować swoje umiejętności, przyjdzie mi to naturalnie.

- Cóż, zawsze możesz poćwiczyć na mnie - rzucił, opierając czoło o moje czoło. Miałam wrażenie, że w moim mózgu tworzy się maleńki strumyczek, który lada moment przekształci się w powódź. Clancy mówił, że w takim wypadku powinnam zerwać kontakt fizyczny i wyobrazić sobie białą kotarę oddzielającą mnie od towarzyszącej mi osoby.

Nie chciałam jednak robić ani jednego, ani drugiego.

Poczułam, jak jego usta z czoła wędrują w dół, szepcząc coś na moich powiekach, policzkach i nosie. Pogłaskał mnie kciukiem po policzku, ale ja oderwałam się od niego i odwróciłam twarz.

- Czego się tak boisz? - wyszeptał ze smutkiem.

Nie mogłam uwierzyć, że ten chłopak kiedyś był dla mnie obcą osobą.

Nie mogłam uwierzyć, że kiedyś mogłam bez niego żyć.

- Nie chcę cię stracić.

Westchnął, sfrustrowany, a kiedy znów się odezwał, jego oczy błyszczały.

- Więc dlaczego uciekasz?

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć. Chwilę później do środka wpadła Hina, a za nią Zu i oznajmiły, że opuszczają obozowisko.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę - powiedział Liam. Kiedy Hina wyrzucała z siebie wartki potok słów, Zu ciskała się po chacie, zbierając swoje rzeczy. Nie wiedziałam, na kim się skupić: na przyjaciółce czy na dziewczynce, którą najwyraźniej wybrała na swoją rzeczniczkę. Za każdym razem, kiedy Hina zaczynała mówić, Liama i mnie ogarniało zdumienie.

Zu. Odchodzi.

Odchodzi.

Zatrzymałam ją, kiedy kierowała się w stronę komody, a następnie podprowadziłam do materaca i zmusiłam, żeby usiadła. Musiała nie zauważyć naszego przerażenia, ponieważ jej twarz jaśniała radością, a jej uśmiech zdawał się wyzwalać własną energię elektryczną. Poczułam ukłucie porażki.

- My i troje innych - powiedziała Hina, z trudem łapiąc oddech. Zastanawiałam się, czy całą drogę z klasy do naszej chaty pokonała biegiem. - Dwoje Niebieskich i Żółty. Kylie w końcu dostała pozwolenie na opuszczenie obozu.

Liam odwrócił się, żeby spojrzeć na Zu, i powiedział:

- Idziecie na przechadzkę?

Zu spojrzała z niego z niedowierzaniem.

- Zu, zlituj się! Chciałbym wiedzieć, co ty o tym wszystkim myślisz.

Hina w końcu zamilkła, a ja przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że Zu otworzy usta i przemówi. Liam milczał w napięciu, jakby oczekiwał tego samego. Jednak Zu wyciągnęła tylko notes ze swojego różowego plecaka, napisała w nim coś tym swoim porządnym, zaokrąglonym charakterem pisma, po czym podała go Liamowi, spoglądając na niego kątem oka.

Chcę jechać z nimi do Kalifornii.

Wiem, że powinnam cieszyć się jej szczęściem. Powinnam świętować to, że w końcu się odważyła i wyznała, czego tak naprawdę chce. Po prostu nigdy nie sądziłam, że marzy o przyszłości, w której nie ma dla nas miejsca.

- Myślałam, że Clancy odrzucił prośbę Kylie - powiedziałam do Hiny.

- Tak, ale w końcu udało jej się go przekonać.

- Co jest w Kalifornii? - zapytał Liam, opierając się o ścianę.

- Moi rodzice mają tam dom - wyjaśniła Hina. - Czekają tam na nas. Rząd z Zachodniego Wybrzeża nie wsadzi nas do obozów.

- A co z rodzicami Zu? - zapytałam. - Czy oni...

Hina od razu zorientowała się, o co chcę zapytać.

- Mój ojciec od jakiegoś czasu nie rozmawia z wujkiem.

- Zu, to długa wyprawa - zaczął Liam niepewnie. - A jeśli coś się stanie? Kto jeszcze z wami jedzie? Ten chłopak Talon?

Kiwnęła głową i przeniosła wzrok na mnie. Próbowałam dodać jej otuchy, posyłając jej uśmiech, ale bałam się, że zamiast tego wybuchnę płaczem. Zu znów pośpiesznie coś napisała i podała notatnik Liamowi.

Nie musisz się już o mnie martwić. To chyba dobrze, prawda?

- Lubię się o ciebie martwić. - Liam położył jej rękę na głowie. - Kiedy wyruszacie?

Przynajmniej Hina wyglądała na skruszoną.

- Właściwie to... musimy wyruszać za chwilę. Kylie martwi się, że Clancy zmieni zdanie. Nie był zbyt zadowolony z naszej decyzji.

- To bardzo szybko - wydusiłam. - Na pewno dobrze to przemyślałaś?

Zu popatrzyła na mnie i skinęła głową. Następna notatka przeznaczona była dla nas obojga.

Chciałabym być z moją rodziną. Nie bądźcie źli.

- Źli? - Liam pokręcił głową. - Nigdy. Przenigdy. Jesteś moją dziewuszką, Zu. Chcemy, żebyś była bezpieczna. Gdyby coś ci się stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Ktoś zapukał do drzwi. Po chwili wszedł Talon, jeden ze starszych Żółtych z włosami zaplecionymi w dredy, a tuż za nim zdumiony Pulpet. Liam wstał.

- Dobrze, że jesteś - powiedział. - Chciałem z tobą porozmawiać.

Talon skinął głową.

- Domyśliłem się. Kylie i Lucy też tu są. - Kylie wetknęła głowę do środka i pomachała nam. - Chcesz pogadać na zewnątrz?

Liam wyciągnął rękę i dotknął moich pleców.

- Pomożesz jej się spakować?

- Zwariowałaś? - usłyszałam głos Pulpeta. - Przecież ledwo znasz tych ludzi!

- O, przepraszam! - zaprotestowała Hina, kładąc ręce na biodrach. - Chciałabym ci przypomnieć, że to moja kuzynka.

Ja też będę za tobą tęsknić. Zu przestała wkładać rzeczy do różowej walizki i wydarła kartkę z notesu, po czym podała ją Pulpetowi. Usiadł tak nagle, że o mały włos minąłby się z materacem. Przez kilka chwil po prostu się w nią wpatrywał. Wiedziałam, co czuje.

- Czy Kylie mówiła, dlaczego musicie wyruszać już dzisiaj? - zapytałam, siadając obok Pulpeta.

Zu wzruszyła tylko ramionami.

- Czy wy... Czy wy zamierzacie dotrzeć do Kalifornii na piechotę? - zapytał Pulpet, a z każdym słowem jego głos stawał się coraz wyższy. - Chyba macie jakiś plan?

- Może znajdziecie nową Betty - powiedziałam, ale kiedy tylko wymieniłam to imię, Zu przerwała pakowanie i pokręciła głową. Napisanie kolejnego liściku zajęło jej nieco dłużej.

Nie, jest tylko jedna Betty.

- I najwyraźniej ona ci nie wystarczyła - stwierdził Pulpet z urazą. - Najwyraźniej wszystko można zastąpić, nawet nas.

Zu wzięła głęboki oddech i podeszła do niego z różowym plecakiem w ręce. Próbował odwrócić wzrok, ale stanęła tuż przed nim i zarzuciła mu ręce na szyję. Nie miał wyboru. Objął ją i schował twarz w jej dżinsową kurtkę.

Powietrze wypełnił natarczywy dźwięk obozowych dzwonków, który nie ustał, dopóki wszyscy nie znaleźli się na zewnątrz. Pozwoliłam, by Zu i Hina nas poprowadziły, przedzierając się przez tłum zgromadzonych dzieciaków. Ich czarne ubrania pierwszy raz zdawały się pasować do okazji.

Kylie podała Liamowi kawałek papieru i coś do niego mówiła, a on kiwał głową. Lucy stała tuż obok, drobna i cicha jak zwykle.

Po chwili wyciągnęła rękę i poklepała Liama po ramieniu, jakby chciała mu dodać otuchy Liam przestał udawać. Na jego twarzy malowała się rozpacz.

- Mogę pożyczyć coś do pisania? - zapytał Talona. Chłopiec przeszukał kieszenie granatowych bojówek, by po chwili z jednej z nich wydobyć długopis z niebieską zatyczką. Liam wziął go od niego i ukląkł przez Zu, a następnie przedarł na pół kartkę, którą wręczyła mu Kylie.

Żałuję, że nie mogłam zobaczyć, co na niej napisał, ale to nie ja byłam adresatką jego słów. Kiedy skończył, złożył kartkę na kilka części, a następnie wcisnął ją w dłoń Zu.

Dzwonek umilkł. Wszyscy spojrzeli na prawo, gdzie na ścieżce pojawił się Clancy oraz górujący nad nim Hayes. Na jego twarzy, zwykle.odprężonej i dumnej, dostrzegłam poirytowanie, a może nawet gniew.

- Kylie postanowiła stworzyć własne plemię i już dziś opuszcza nasze obozowisko.

Przez tłum przeszedł szmer.

- Weźmie ze sobą jedynie cztery osoby! - krzyknął, zagłuszając inne odgłosy. - Dopóki liczba dzieciaków w obozowisku się nie wyrówna, nikt inny nie otrzyma pozwolenia na opuszczenie tego terenu. Czy to jasne?

Cisza.

- Czy to jasne?

Stojący obok mnie Pulpet aż podskoczył, kiedy zgromadzeni głośno potwierdzili.

Clancy nie powiedział już ani słowa, odwrócił się na pięcie i skierował w stronę biura. Kiedy dotarł do białego budynku, miałam wrażenie, że wszyscy zgromadzeni wypuścili długo wstrzymywany oddech. Ciszę zmąciły zdezorientowane szepty.

- To było dziwne.

- Dlaczego nie dał im plecaków, tak jak zwykle?

- Martwi się. Niedługo zostanie nas tak mało, że zacznie brakować dzieciaków do ochrony obozowiska.

Spojrzałam na budynek biura, a po chwili zwróciłam uwagę na przywołującą mnie do siebie Zu.

Nie ma rękawiczek, pomyślałam, patrząc, jak opuszcza rękę wzdłuż tułowia. Oby już nigdy nie musiała ich wkładać.

- Naprawdę musicie wyruszać już teraz? - zapytałam, kiedy dołączyłam do niej i do Liama. Grupki dzieci zgromadziły się wokół Kylie i reszty, życząc im powodzenia i wręczając koce oraz torby z jedzeniem.

Zu uśmiechnęła się i zaplotła mi ręce wokół talii.

- Uważaj na siebie, proszę - powiedziałam.

Kolejny liścik przeznaczony był tylko dla mnie.

Kiedy to wszystko się skończy, przyjedziesz do mnie? Jest coś, co chciałabym ci powiedzieć, ale jeszcze nie wiem, jak to zrobić.

Przyglądałam się badawczo jej twarzy. Tak bardzo różniła się od dziewczynki, którą poznałam zaledwie kilka tygodni temu. Skoro w tak krótkim czasie tak bardzo się zmieniła, czy mogłam mieć pewność, że rozpoznam ją za parę lat, kiedy to całe piekło się skończy?

- Oczywiście - wyszeptałam. - Do tego czasu będę za tobą tęsknić. Każdego dnia.

Zanim zeszli z drogi, by wejść do ciemnego lasu, Zu odwróciła się i ostatni raz nam pomachała. Hina zrobiła to samo. Potem zniknęły.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałam. - Zajmą się nią. Powinna być z rodziną. Tą prawdziwą.

- Powinna być z nami. - Liam potrząsnął głową, a oddech uwiązł mu w gardle.

- Więc może powinniśmy z nią iść?

Odwróciliśmy się. Za nami stał Pulpet. Szkła jego okularów odbijały promienie zachodzącego słońca, tak że nie widzieliśmy jego oczu.

- Wiesz, że nie możemy - odparł Liam. - Jeszcze nie teraz.

- Dlaczego nie? - Pulpet podszedł do nas, a z jego głosu zniknął pozorny spokój. Czując, że przyciągamy spojrzenia gapiów, ściągnęłam ich z głównej ścieżki. - Dlaczego nie? - powtórzył. - Przecież to oczywiste, że nikt nam tu nie pomoże odnaleźć ani naszych rodziców, ani rodziców Jacka. Powinniśmy po prostu odejść, zanim się tu do nas przyzwyczają. Jeszcze uda nam się ją dogonić.

- I co potem? - zapytał Liam, przeczesując dłonią i tak już zmierzwione włosy. - Mamy się błąkać bez celu, aż jakimś cudem się na nich natkniemy? Mieć nadzieję na to, że nie zostaniemy złapani i zawleczeni z powrotem do obozu? Pulpet, tu jest bezpiecznie. To tu mieliśmy trafić. Stąd możemy zrobić wiele dobrego.

Szybko zorientowałam się, że nie powinien był tego mówić. Ostrzeżeniem były rozszerzone nozdrza Pulpeta i skrzywione ze złości wargi. Czułam, że słowa, które zaraz wypowie, będą nie tylko szorstkie, ale i okrutne.

- Rozumiem... Rozumiem to, Lee! - Potrząsnął głową Pulpet. - Znów chcesz być bohaterem. Chcesz, żeby wszyscy cię uwielbiali, wierzyli w ciebie i żeby za tobą podążali.

Liam zesztywniał.

- To nie tak... - zaczął ze złością.

- A co z dzieciakami, które posłuchały cię wcześniej? - Pulpet przeszukał kieszenie spodni, a następnie z jednej z nich wydobył znajomy kawałek papieru. Ściskał go tak mocno, że niemal starł go na proch. - Co z Jackiem, Brianem i Andym? Co z całą resztą? Oni także ci wierzyli, ale teraz, kiedy już ich nie ma, łatwo o nich zapomnieć, prawda?

- Pulpet! - krzyknęłam, rozdzielając ich, kiedy Liam zbliżał się do niego z zaciśniętymi pięściami.

Nigdy nie widziałam go tak wściekłego. Plama szkarłatu zalała mu kark, a po chwili wpłynęła mu na twarz.

- Nie możesz po prostu przyznać, że robisz to po to, by poczuć się lepiej, a nie po to, żeby komukolwiek pomóc? - nie odpuszczał Pulpet.

- Wydaje ci się... - Liam z trudem cedził słowa. - Wydaje ci się, że nie pamiętam o nich w każdej cholernej sekundzie każdego cholernego dnia? Wydaje ci się, że mógłbym zapomnieć o czymś takim? - Zamiast uderzyć przyjaciela, Liam zaczął uderzać się pięścią w czoło. Złapałam go za rękę. - Na miłość boską, Charles! - powiedział łamiącym się głosem.

- Ja tylko... - Pulpet przeszedł obok nas, a po chwili przystanął i odwrócił się w naszą stronę. - Nie wierzyłem - powiedział drżącym głosem - kiedy mówiłeś o tym, że wydostaniemy się z obozu i bezpiecznie dotrzemy do domu. To dlatego zgodziłem się napisać list. Wiedziałem, że pod twoją wodzą większość tego nie przeżyje.

Zrobiłam krok do przodu w tym samym momencie co Liam. Trzymałam przed sobą wyciągnięte ręce, tak by powstrzymać go przed czymś, czego mógłby żałować. Za plecami usłyszałam, jak Pulpet rusza z powrotem w kierunku naszej chaty. Liam próbował zrobić kolejny krok, ale przytrzymałam go, przyciskając dłonie do jego piersi. Oddychał ciężko, zaciskając pięści.

- Niech idzie - rzuciłam. - Musi się po prostu wyładować. Może powinieneś zrobić to samo.

Liam wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko coś mruknął, obrócił się na pięcie i ruszył w stronę pobliskich drzew, dokładnie w odwrotnym kierunku niż Pulpet. Oparłam się plecami o pień pobliskiego drzewa i zamknęłam oczy Czułam tak mocny ucisk w piersi, że mój oddech stał się płytki i urywany.

Było już niemal ciemno, kiedy Liam wyłonił się z lasu, pocierając twarz. Skóra na jego dłoniach była poraniona i zakrwawiona, jakby walił pięściami w coś twardego. W zapadającym zmierzchu wydawał się posępny, jakby ktoś zabrał mu gniew i zostawił jedynie szary smutek. Kiedy się do mnie zbliżył, wyciągnęłam rękę i oplotłam ją wokół jego ciepłego ciała. Objął mnie i przyciągnął do siebie, chowając twarz w moich włosach. Wciągnęłam do płuc znajomy zapach dymu, trawy i jego skórzanej kurtki.

- On wcale tak nie myśli - powiedziałam, prowadząc go w stronę przewróconego pnia. Nadal drżał i niepewnie trzymał się na nogach.

Zwalił się na pniak i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

- Ale to nie znaczy, że nie ma racji.

Siedzieliśmy tam tak długo, że słońce schowało się za drzewami, a po jakimś czasie zniknęło za horyzontem. Wokół nas zawisły nieznośna cisza i bezruch. Pogłaskałam go pomiędzy łopatkami i przejechałam dłonią w dół po wystających kręgach jego kręgosłupa.

Liam powoli się wyprostował i spojrzał na mnie.

- Myślisz, że wszystko z nim w porządku? - wyszeptał.

- Myślę, że powinniśmy to sprawdzić - odparłam.

Nie pamiętam, w jaki sposób dotarliśmy do chaty. Pamiętam tylko, że na ganku siedział Pulpet, a po jego policzkach płynęły ciche łzy. Na jego twarzy malowały się rozpacz i poczucie winy. Nie wiedziałam, że moje serce może się ścisnąć jeszcze mocniej.

- To już koniec - powiedział, gdy siedliśmy obok niego. - Wszystko skończone.

Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie poruszyło.

25

Nie powinno mnie było dziwić, że Liam znów bez reszty poświęcił się patrolowaniu obozowiska, ale to pozostali członkowie straży musieli go zachęcać, by wrócił do pomysłu wyzwolenia obozów. Wielokrotnie towarzyszyłam mu, kiedy wraz z 01ivią rozważał możliwe sposoby na przedarcie się przez system obronny obozów, i od czasu do czasu podrzucałam im jakiś pomysł na to, jak przedstawić ich plan Clancy'emu.

Entuzjazm, a zwłaszcza ten rodzaj entuzjazmu, który cechował Liama, bywa zaraźliwy. Zdarzały się noce, kiedy po prostu siadałam wygodnie i obserwowałam, jak opowiada o czymś z ożywieniem. Gestykulował przy tym, jak gdyby chciał uformować swoje pomysły z powietrza, tak by łatwiej nam było je zrozumieć. W jego słowach kryła się niesłabnąca wiara, która wyraźnie udzielała się także pozostałym. Pod koniec pierwszego tygodnia zainteresowanie jego planem wzrosło do tego stopnia, że musieliśmy przenieść nasze spotkania w okolice paleniska. Wokół Liama zawsze kręciła się wierna paczka dzieciaków, które korzystały z okazji, by poprosić go o radę.

Pulpetowi i mnie trudniej było wrócić do dawnego trybu życia. Przebaczył mi, pewnie dlatego, że ludzie nieszczęśliwi często nie potrafią poradzić sobie ze swoim cierpieniem w samotności. Nie wrócił już do pracy w ogrodzie, ale okazało się, że ta despotyczna dziewczyna jednak na niego nie doniosła.

Znów zaczęłam uczestniczyć w lekcjach z Clancym. A przynajmniej próbowałam.

- O czym dziś tak myślisz?

Cóż, z pewnością nie o tym, jak wniknąć do jego umysłu. Nie udało mi się nawet do niego zajrzeć.

- Pokaż mi swoje myśli - powiedział, kiedy otworzyłam usta. - Nie chcę o nich słyszeć. Chcę je zobaczyć.

Podniosłam wzrok z podłogi, na której powstała kałuża słońca. Jego blask wlewał się do pomieszczenia przez okno. Clancy spojrzał na mnie z irytacją, którą widziałam u niego tylko raz, gdy okazało się, że jeden z pozostałych w obozowisku Żółtych nie potrafi naprawić zepsutych pralek.

Nigdy wcześniej tak na mnie nie patrzył.

Zamknęłam oczy i znów sięgnęłam po jego dłoń, po czym przywołałam wspomnienie plecaka Zu znikającego w gęstwinie drzew. W ciągu kilku ostatnich tygodni coraz mniej naszych rozmów odbywało się za pomocą słów. Kiedy chcieliśmy sobie coś powiedzieć, dzieliliśmy się tym na swój sposób - mówiliśmy własnym językiem.

Dziś jednak było inaczej. Jego umysł równie dobrze mógł być zalany betonem, a mój zrobiony z galaretki.

- Przepraszam - wymamrotałam. Nie miałam nawet siły czuć się zawiedziona. Miałam wrażenie, że popadam w przedziwne przygnębienie. Rozpraszał mnie byle hałas czy ruch za oknem. Czułam się po prostu zmęczona. Zdezorientowana.

- Mógłbym w tym czasie robić inne rzeczy - stwierdził, a w jego słowach kryła się złość. - Muszę zrobić obchód i odbyć kilka spotkań, ale zamiast tego próbuję pomóc tobie. Jestem tu z tobą.

Kiedy to powiedział, poczułam dziwny ucisk w żołądku. Wyprostowałam się, gotowa, by znów go przeprosić, ale on nagle wstał z łóżka i podszedł do biurka.

- Clancy, jest mi naprawdę bardzo przykro. - Kiedy stanęłam przed nim, pisał już coś na laptopie. Miałam wrażenie, że stoję tak pogrążona w ciszy i nieznośnym poczuciu winy już od dłuższego czasu, gdy w końcu podniósł wzrok. Wydawało się, że on także ma już dość tego całego udawania, a jego irytację zastąpił gniew.

- Myślałem, że odejście tej twojej Żółtej pomoże ci się skupić, ale chyba się myliłem. - Clancy potrząsnął głową. - Najwyraźniej myliłem się co do wielu spraw.

Z jakiegoś powodu poczułam rozdrażnienie - może ze względu na ton jego głosu, kiedy mówił „ta twoja Żółta", a może ze względu na sugestię, że nie jestem w stanie opanować umiejętności, których próbuje mnie nauczyć.

Czułam, że muszę wyjść. Gdybym została tam choć chwilę dłużej, mogłabym powiedzieć coś, co zniszczyłoby naszą przyjaźń. Mogłabym mu powiedzieć, że Zu miała imię i że mam prawo się o nią martwić, ponieważ teraz nie będę jej już mogła chronić. Powinien sobie zdawać sprawę, że kilka ostatnich tygodni mogłam spędzić z nią, a tymczasem zgodziłam się, by pracować z nim. Spędzać czas z nim. Pocieszać i wspierać jego.

Może i wiele się nauczyłam, może i zaczęłam panować nad swoimi umiejętnościami, ale kiedy tak stałam z zaciśniętymi i drżącymi pięściami i wpatrywałam się w niego, nie potrafiłam znaleźć dla tego wszystkiego żadnego wyjaśnienia. Po co zamykać się w czterech ścianach z kimś, kto we mnie nie wierzy, skoro miałam wokół siebie osoby, które mnie wspierały?

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę drzwi. Kiedy je otwierałam, Clancy zawołał:

- No pewnie, Ruby, uciekaj jak zwykle! Ciekawe, jak daleko uda ci się zajść tym razem!

Nie spojrzałam na niego i nie zatrzymałam się, chociaż w głębi serca czułam, że może

mieć rację - że rezygnuję z jedynej szansy, by nauczyć się kontrolować swoje umiejętności. W ciągu ostatnich dziesięciu minut moja głowa straciła połączenie z tym upartym mięśniem bijącym w mojej piersi i prawdę mówiąc, nie byłam pewna, które z nich kazało mi opuścić pokój i znaleźć się jak najdalej od niego. Miałam jednak absolutną pewność, że nie chcę, by widział moją zbolałą twarz i krążące w mojej głowie przebłyski poczucia winy oraz smutku.

Nie potrafiłam przed nim niczego ukryć, jednak po raz pierwszy poczułam taką potrzebę.

Dopiero po kilku dniach zorientowałam się, że odejście Zu nie było jedynym wydarzeniem, które zmieniło mój sposób patrzenia na otaczającą mnie rzeczywistość. Odkąd Pulpet wyliczył podobieństwa pomiędzy East River a obozem, nie potrafiłam już nic na to poradzić. Tam, gdzie wcześniej widziałam dzieci w dżinsach i czarnych T-shirtach, teraz zauważałam uniformy, a tam, gdzie wcześniej dostrzegałam dzieci ustawione w kolejce po jedzenie, teraz widziałam Stołówkę. Kiedy punktualnie o dwudziestej pierwszej gaszono światła, a ja przez okno dostrzegałam sylwetki członków drużyny patrolowej, wracałam myślami do Baraku numer dwadzieścia siedem i znów wpatrywałam się w spód materaca Sam.

Zaczęłam się zastanawiać, czy pozornie niedziałające kamery w biurze i wokół budynków tak naprawdę nie są włączone.

Kilkakrotnie próbowałam spotkać się z Clancym, żeby go przeprosić, jednak zawsze odsyłał mnie z szorstkim: „Nie mam dziś dla ciebie czasu". Miałam wrażenie, że mnie karze, ale nie wiedziałam, czym właściwie sobie na to zasłużyłam. Tak czy owak, szybko zrozumiałam, że potrzebuję go bardziej niż on mnie. To wszystko, w połączeniu z urażoną dumą, sprawiało, że czułam się jeszcze gorzej.

Była środa, a do spotkania, na którym Liam i pozostali mieli przedyskutować nową strategię wyzwolenia obozów, pozostała zaledwie godzina, kiedy Clancy zechciał się w końcu ze mną zobaczyć.

- Wrócę niedługo - powiedziałam Liamowi, ściskając jego dłoń przy śniadaniu. - Spóźnię się kilka minut.

Kiedy jednak znalazłam się w biurze Clancyego i zobaczyłam, w jakim jest stanie, zwątpiłam, czy w ogóle powinnam była przychodzić.

- Cześć. Wejdź, proszę, tylko uważaj, gdzie stąpasz. Przepraszam za ten bałagan.

Bałagan? Bałagan? Miałam wrażenie, że w pomieszczeniu ktoś zdetonował bombę, a następnie wpuścił do niego stado dzikich zwierząt, tak by przeryły ocalone z pożogi szczątki. Biuro tonęło w stosach papieru, wydrukach, porwanych mapach, pudłach... A pośród tego

wszystkiego stał Clancy. Włosy opadały mu na twarz. Miał na sobie pogniecioną białą koszulę, w której widziałam go poprzedniego dnia.

W ciągu tych kilku tygodni naszej znajomości Clancy zawsze wyglądał nieskazitelnie. Jego schludność była nawet dość przerażająca, ale wynikała pewnie z tego, jak został wychowany. Nawet jeśli nie nauczył go tego ojciec, zrzędliwa niania zapewne wpoiła mu do głowy, że należy chować koszulę w spodnie i szczotkować włosy. Teraz jednak miałam wrażenie, że jest w zupełnej rozsypce.

- Wszystko w porządku? - zapytałam, zamykając za sobą drzwi. - Co się dzieje?

- Próbujemy zorganizować skok na transport z lekami. - Clancy usadowił się na krześle, ale po chwili wstał, zaniepokojony brzęczeniem laptopa. - Chwileczkę.

Przysunęłam sobie stopą jeden z leżących na podłodze stosów, próbując dojrzeć, co jest na nich napisane.

- To doniesienia o nietypowych nocnych manewrach na pobliskim postoju dla ciężarówek - powiedział Clancy, jak gdyby czytał w moich myślach. Jego palce biegały po klawiaturze. - A także raporty agentów Ligi na temat żołnierzy SSP kręcących się w okolicy. Wygląda na to, że Leda Corporation poprosiła rząd o pomoc w ochronie swoich transportów.

- Dlaczego akurat SSP? - zapytałam.

Clancy wzruszył ramionami.

- To największa jednostka wojskowa, jaką dysponuje teraz rząd, a dzięki mojemu kochanemu ojczulkowi także najlepiej zorganizowana.

- Cóż, to ma sens. - Kiedy mój wzrok padł na rozjarzone logo na pokrywie laptopa, przypomniałam sobie o Pulpecie. - Mogłabym cię prosić o przysługę?

- Tak, pod warunkiem że najpierw przyjmiesz moje przeprosiny.

Oparłam się o krzesło i wpatrywałam się w swoje dłonie.

- Nie możemy o tym po prostu zapomnieć?

- Nie, nie tym razem - odparł. - Hej, spójrz na mnie.

Kiedy na niego popatrzyłam, ścisnęło mi się serce. Był niebezpiecznie piękny, a ból wypisany na jego twarzy tylko to podkreślił.

Naprawdę mu zależy, wyszeptał cichy głosik w mojej głowie. Zależy mu na tobie.

- Przepraszam, że się uniosłem. Wcale nie miałem na myśli tego, co powiedziałem o twojej przyjaciółce Suzume. I naprawdę nie chciałem sugerować, że się nie starasz.

- Więc dlaczego to powiedziałeś?

Clancy przetarł twarz dłonią.

- Ponieważ jestem idiotą.

- To żadna odpowiedź - rzuciłam, kręcąc głową. Naprawdę mnie zraniłeś.

- Ruby, czy to nie jest oczywiste? - odparł. - Lubię cię. Znam cię dopiero od miesiąca, a jesteś prawdopodobnie jedynym przyjacielem, jakiego miałem, odkąd skończyłem dziesięć lat i odkryłem, kim jestem. Jestem idiotą, ponieważ wkurzyło mnie to, że skupiłaś się na kimś innym, podczas gdy ja chciałem, byś myślała tylko o mnie.

Byłam zbyt wstrząśnięta, żeby się poruszyć.

- Pozwoliłem Suzume odejść wraz z innymi nie dlatego, byś mogła się skoncentrować. Zrobiłem to po to, żebyś była szczęśliwa. Nie przyszło mi nawet do głowy, że możesz się o nią martwić, zwłaszcza po tym, ile wysiłku włożyłaś w to, żeby ją chronić.

On czuje do ciebie coś więcej.

Musiałam odwrócić wzrok. Jakoś to rozegrać. Mój mózg zmienił się w miękką papkę, a i z sercem nie było lepiej.

- Chyba mogę ci wybaczyć...

- Pod warunkiem że wyświadczę ci tę przysługę? - W jego głosie słychać było śmiech. - Jasne. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Cóż... Wiem, że zazwyczaj się na to nie godzisz, ale miałam nadzieję, że tym razem zrobisz wyjątek - rzuciłam i w końcu na niego spojrzałam. - Mój przyjaciel... chciałby skorzystać z twojego komputera, żeby skontaktować się ze swoimi rodzicami.

Z jego twarzy zniknął uśmiech.

- Twój przyjaciel Liam?

- Nie, Pulp... Charles Meriwether.

- Ten, który przestał przychodzić do ogrodu?

A więc najwyraźniej ta dziewczyna jednak na niego doniosła.

Clancy w milczeniu zamknął laptopa i wstał.

- Bardzo mi przykro, Ruby, ale chyba dość jasno się wyraziłem. Nikt więcej nie może stąd odejść.

- Nie, nie! - powiedziałam i zaśmiałam się nerwowo. - On po prostu chciałby sprawdzić, czyjego rodzice są cali i zdrowi.

- Nie - odparł Clancy i przysiadł na brzegu biurka, tuż przede mną. - On chce odejść i zabrać cię ze sobą. Nie kryj go, Ruby. Wszyscy są tacy sami. Jestem pewny, że chce podać rodzicom położenie obozowiska.

- Nigdy by tego nie zrobił! - krzyknęłam z rosnącą irytacją. - Naprawdę.

- Sama widziałaś, że kilka tygodni temu mieliśmy tu intruzów. Widziałaś, z jaką łatwością ktoś mógłby się wedrzeć na nasz teren. Co by było, gdyby alarm się nie uruchomił?

Mielibyśmy poważne problemy. - Twarz Clancyego pociemniała z niepokoju. - Jeśli Charles chce się skontaktować ze swoimi rodzicami, przekaż mu, by wypełnił wniosek zaopatrzony w odpowiednie instrukcje, tak jak pozostali. Opieram swoje decyzje na tym, co może potencjalnie zagrozić bezpieczeństwu obozu, niezależnie od tego, jak bardzo chciałbym pomóc twojemu przyjacielowi.

Sprawa rzeczywiście wyglądała niedobrze. Pulpet wolałby pewnie w ogóle nie kontaktować się z rodzicami, niż pozwolić, by ktoś obcy poznał jedyny bezpieczny sposób, w jaki mógł się z nimi komunikować.

- Chociaż... - powiedział Clancy po chwili, siadając obok mnie i kładąc nogi na biurku. - Jest coś, co mogłoby mnie przekonać.

Nie potrafiłam na niego spojrzeć.

- Piętnaście minut, Ruby. To ty będziesz uczyć mnie.

Czyja w ogóle wiem coś, czego on nie wie?

- Myślisz, że mogłabyś mnie nauczyć, jak wymazać komuś pamięć? Wiem, że nie jest to coś, z czego jesteś dumna, i wiem, że w przeszłości przyniosło ci to wiele bólu, ale to użyteczna umiejętność, którą chciałbym opanować.

- Cóż... Chyba tak - odparłam. Przecież nie mogłam mu odmówić po tym wszystkim, co dla mnie zrobił. Nie wiedziałam jednak, jak mam go tego nauczyć. Sama do końca nie rozumiałam, jak to działało.

- Zrozumienie tego całego mechanizmu pozwoli mi ustrzec cię przed podobnymi sytuacjami w przyszłości. Co o tym myślisz?

Byłam zachwycona.

- Jeśli pozwolisz - mówił dalej - chciałbym rozejrzeć się w twoich wspomnieniach i znaleźć jakieś ślady. Chciałbym po prostu potwierdzić swoje podejrzenia.

Chyba nie spodziewał się tego, że moją reakcją na jego prośbę będzie milczenie. Wielokrotnie zaglądał do mojej głowy i widział rzeczy, o których nigdy z nikim nie rozmawiałam. Udawało mi się jednak ukryć przed nim sprawy, które miały dla mnie ogromne znaczenie, a także marzenia, które chciałam chronić.

Przypomniałam sobie to, co powiedział Liam, kiedy opowiadał mi o swojej siostrze. „Te wspomnienia należą do mnie".

Jeśli jednak naprawdę pragnęłam przyszłości z moją rodziną - z Liamem - musiałam odpuścić i pozwolić, by Clancy zajrzał do mojego umysłu, tak bym w przyszłości mogła zapobiec tego typu zdarzeniom.

Możesz mu ufać, gdzieś w mojej głowie ponownie odezwał się ten sam głosik. To

twój przyjaciel. Nigdy by cię nie wykorzystał.

- Dobrze - odparłam. - Ale obejrzysz tylko te konkretne wspomnienia, a po wszystkim pozwolisz Charlesowi skorzystać ze swojego komputera.

- Zgoda.

Clancy uklęknął przede mną, chwycił moją twarz w dłonie i zanurzył mi palce we włosach. Próbowałam pozbyć się skrępowania spowodowanego jego bliskością. Najwyraźniej uznał, że nie będzie mi to przeszkadzało. Już wcześniej siedzieliśmy tak blisko siebie, ale tym razem było inaczej.

- Czekaj - powiedziałam i oparłam się o krzesło. - Powiedziałam Liamowi i pozostałym, że się z nimi spotkam. Możemy to przełożyć na później? Albo na jutro?

- To zajmie tylko chwilę - obiecał Clancy uspokajającym i cichym głosem. - Zamknij oczy i przywołaj we wspomnieniach ten urodzinowy poranek.

No dalej, zachęcał mnie głos. No dalej, Ruby...

Z trudem przełknęłam ślinę i zrobiłam to, o co prosił, wyobrażając sobie, że jestem w swojej dawnej, pomalowanej na niebiesko sypialni o wielkich oknach. Krok po kroku odtworzyłam w głowie każdy szczegół mojego pokoju. Na pustych ścianach pojawiły się wyszywanki babci, zdjęcia rodziców i mapa waszyngtońskiego metra. Na podłodze, tuż obok jasnoniebieskiego kocyka, zobaczyłam sześć maskotek, do których przytulałam się w nocy. Nawet szczegóły, o których zupełnie zapomniałam - lampa na moim małym biureczku i to, jak wyginała się środkowa półka regału - nagle nabrały ostrości.

- Dobrze - z oddali dobiegł mnie głos Clancyego, ale czułam, że jest bliżej, coraz bliżej. Czułam na policzku jego ciepły oddech, a na ciele niespodziewany dotyk. - Myśl... - Miałam wrażenie, że brakuje mu tchu. - Myśl dalej...

Jak przez mgłę widziałam jego ciemne oczy, żarzące się w migoczącym powietrzu. Widziałam tylko jego, ponieważ przez ostatnie kilka chwil w moim świecie istniał tylko on. Moje ciało wydawało się ciepłe i ospałe, kleiste jak miód. Clancy mrugnął raz, a potem drugi, jakby chciał odzyskać ostrość widzenia i przypomnieć sobie, czym właściwie powinien się zajmować.

- Po prostu...

Jego usta... Były tak blisko moich. Uśmiechały się. Jego palce zanurzyły się głębiej w moje długie włosy, a kciuki musnęły policzki.

- Ty... - zaczął zachrypniętym głosem. - Jesteś...

Przy najlżejszym dotyku czułam, jak powstaje iskra, a następnie zalewa mnie fala pożądania. Jego dłonie ześlizgnęły się w dół po mojej szyi, ramionach, rękach...

A potem przestał już być łagodny.

Przycisnął usta do moich ust tak mocno, że rozwarł moje wargi, kradnąc mi oddech i odbierając rozum. Nie czułam już pod sobą łóżka. Jego twarz była gładka i chłodna, ja jednak byłam rozpalona. Ogarnęła mnie gorączka, która sprawiła, że moje ciało zwiotczało. Opadłam na łóżko i zatopiłam się w poduszkach, jakbym pikowała w dół, przedzierając się przez chmury. Krew odeszła mi z głowy, a w skroniach czułam jedynie ciche, świdrujące pulsowanie. Wbiłam palce w jego koszulę - musiałam się czegoś złapać, by nie zapaść się zbyt głęboko.

- Tak - wysapał, a jego wargi znów odnalazły moje. Złapał brzeg mojej bluzki i podciągnął ją tak, że odsłonił mój brzuch.

Pragniesz tego, wyszeptał głos. Pragniesz.

Ale przecież to nie był mój głos. Przecież to nie ja wypowiadałam te słowa. Nagle jego błyszczące czarne oczy zrobiły się jasnoniebieskie. Tego właśnie chciałam. Tego pragnęłam. Mój umysł pracował powoli, z wysiłkiem układając myśli. Liam. To jednak Clancy był teraz przy mnie. Clancy, który mi pomagał, mój przyjaciel - tak piękny, że nie potrafiłam przy nim jasno myśleć. Clancy, który czuł do mnie coś więcej niż tylko sympatię...

Clancy, który także był Pomarańczowy.

Otworzyłam gwałtownie oczy, a jego ręce znalazły się na mojej szyi, zaciskając się lekko na mojej skórze. Próbowałam się mu wyrwać, ale miałam wrażenie, jakby wypełnił mi żyły betonem. Nie mogłam się ruszyć. Nie potrafiłam nawet zamknąć oczu.

Przestań, próbowałam powiedzieć, jednak kiedy zbliżył swoje czoło do mojego, ból, który eksplodował w moich skroniach, kazał mi zapomnieć o wszystkim.

26

Z głębokiego snu wyrwało mnie ostre pikanie komputera. Z trudem uniosłam powieki. Pokój pogrążony był w mroku.

Moje ciało było ociężałe i chociaż ktoś zdjął ze mnie sweter, koszula przykleiła mi się do pokrytej cienką warstewką potu skóry. Gdybym była sama, mogłabym zdjąć koszulę lub przynajmniej ściągnąć dżinsy, tak by moje ciało mogło odetchnąć, ale wiedziałam, że nie wolno mi tego zrobić. Wciąż przebywałam w jego pokoju, więc on także musiał tu być.

Na komodzie z ciemnego drewna paliła się lampa, a przez okno dobiegały mnie głosy dzieciaków zgromadzonych wokół paleniska. Czyżby nadszedł już wieczór? Na myśl o tym przeszedł mnie lodowaty dreszcz, a moje serce zaczęło wybijać podszyty paniką rytm.

Dźwięk dochodzący z telewizora zagłuszył skrzypienie starego materaca. Przez chwilę słuchałam jedynie barytonu prezydenta Graya, który wygłaszał wieczorną odezwę do narodu. Moje nogi ocknęły się ze snu jako ostatnie.

... zapewnić was, że tylko w tym roku stopa bezrobocia spadła z trzydziestu do dwudziestu dwóch procent. Daję wam słowo, że mnie uda się to, co nie uda się rządowi uzurpatorów. Chociaż chcieliby was przekonać, iż odgrywają jakąkolwiek rolę na światowej scenie politycznej, ledwo panują nad swoją organizacją terrorystyczną - Ligą Dzieci...

Telewizor zgasł. Kroki.

- Obudziłaś się?

- Tak - wyszeptałam. Drapało mnie w gardle, a mój język był spuchnięty.

Kiedy Clancy usiadł obok mnie, materac lekko się ugiął. Opanowałam grymas.

- Co się stało? - zapytałam. Dochodzące z dołu dźwięki przybrały na sile i łupały mi w głowie.

- Zemdlałaś - wyjaśnił. - Nie wiedziałem... Nie powinienem był tak na ciebie naciskać.

Uniosłam się na łokciu, bezskutecznie próbując mu się wyrwać. Wpatrywałam się w jego wargi i połyskujące pomiędzy nimi śnieżnobiałe zęby. Czy ja to sobie wyobraziłam, czy on...

Ścisnęło mnie w żołądku.

- Dowiedziałeś się czegoś? Czy twoja teoria się sprawdziła?

Clancy oparł się o wezgłowie. Jego twarz przybrała nieodgad-niony wyraz.

- Nie. - Znów wstał i zaczął się przechadzać pomiędzy oknem a białą kotarą. Mój wzrok padł na podłogę po drugiej stronie pokoju i nie zdziwiłam się, kiedy zauważyłam, że skąpana jest w niebieskiej poświacie bijącej od laptopa. - Nie. Wciąż o tym myślę. Wydawało

mi się, że być może wymazałaś im pamięć specjalnie, ponieważ byłaś zła lub zmartwiona, ale przecież nie wymazałaś im wszystkich wspomnień, tylko te, w których... byłaś ty. No i jeszcze ta dziewczyna, Samantha. Samantha Dahl, lat siedemnaście, z miejscowości Bethesda w stanie Maryland. Rodzice Ashley i Todd. Zielona, pamięć fotograficzna... - umilkł. - Wciąż o tym rozmyślałem, próbując zrozumieć, jak to zrobiłaś, ale mimo że przetrząsnąłem twoje wspomnienia, wciąż nie wiem, co się dzieje w twojej głowie. Żadnej przyczyny, tylko skutek.

Zastanawiałam się, czy zdaje sobie sprawę z tego, jak chaotyczna jest jego wypowiedź. Nie wiedziałam nawet, czy zauważył, że ześlizgnęłam się z jego łóżka. Towarzyszyła mi tylko jedna myśl - jak najszybciej wydostać się z tego pokoju i znaleźć się jak najdalej od niego. Po chwili ból powrócił.

Co on mi zrobił? Przyłożyłam rękę do czoła. Zawsze, kiedy wślizgiwał się do mojej głowy, odczuwałam ból, ale tym razem migrena była ostrzejsza. Clancy nie tylko zajrzał do mojego umysłu... Sprawił także, że chciałam go pocałować.

Czy nie tak?

- Jest już późno - powiedziałam, przerywając mu. - Muszę... muszę znaleźć resztę...

Clancy odwrócił się do mnie plecami.

- Chcesz powiedzieć, że musisz znaleźć Liama Stewarta.

- Tak - odparłam, robiąc kilka kroków w stronę drzwi. - Miałam się z nim spotkać. Będzie się martwił. - Moje włosy zaplątały się w białą zasłonę.

Clancy potrząsnął głową.

- Co ty w ogóle o nim wiesz, Ruby? Znasz go od miesiąca, półtora? On jest Niebieski, a poza tym ma sporo na sumieniu... I to od dawna, jeszcze zanim zabił te wszystkie dzieciaki. Sto czterdzieścioro ośmioro. Ponad połowę obozu. Możesz sobie darować te bzdury i przestać patrzeć na niego jak na bohatera, ponieważ on na to nie zasługuje. Jesteś zbyt wartościową osobą, żeby marnować z nim czas.

Kiedy złapałam za klamkę, zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

- O co ci chodzi?! - wrzasnęłam. - Co z tego, że jest Niebieski? Czy to nie ty wciąż powtarzasz, że wszyscy jesteśmy Czarni i że powinniśmy się wzajemnie szanować?

Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, był jednocześnie bezczelny i pociągający.

- Musisz pogodzić się z tym, że jesteś Pomarańczowa i że w związku z tym zawsze będziesz samotna. - Głos Clancyego stał się spokojny. Kiedy znów złapałam za klamkę, jego nozdrza rozszerzyły się ze złości. Ponownie zatrzasnął drzwi, przyciskając je obiema dłońmi, tak bym nie mogła wyjść. - Widziałem twoje marzenia. Nie ma w nich ani twoich rodziców, ani przyjaciół. Chcesz być z nim, jak wczoraj w chacie albo wtedy w samochodzie, w lesie.

„Nie chcę cię stracić”, powiedziałaś. Czy naprawdę jest dla ciebie aż tak ważny?

Czułam, jak rośnie we mnie gniew.

- Jak śmiesz? Obiecałeś, że nie... Powiedziałeś...

Zaśmiał się szyderczo.

- Rany, jaka ty jesteś naiwna! Ta kobieta z Ligi pewnie nie musiała się nawet wysilać, żeby przekonać cię, że nie jesteś zwyczajnym monstrum.

- Mówiłeś, że mi pomożesz - wyszeptałam.

Wywrócił oczami.

- Dobrze, gotowa na kolejną lekcję? Ruby Elizabeth Dały, jesteś i zawsze będziesz samotna. Gdybyś nie była taka głupia, może sama byś się tego domyśliła, ale ponieważ cię to przerasta, powiem ci to powoli, żebyś zrozumiała: Nigdy nie będziesz w stanie zapanować nad swoimi umiejętnościami. Nigdy nie będziesz umiała powstrzymać się przed tym, by wtargnąć do czyjegoś umysłu, ponieważ w głębi serca wcale nie chcesz tego kontrolować. Oznaczałoby to przecież, że musisz to zaakceptować. Jesteś zbyt niedojrzała i słaba, by używać swych umiejętności w sposób, w jaki powinno się ich używać.

Odwróciłam głowę.

- Ruby, czy ty naprawdę tego nie rozumiesz? Nienawidzisz tego, kim jesteś, ale podobnie jak ja otrzymałaś swoje umiejętności nie bez przyczyny. Mamy prawo ich używać. Musimy utrzymać się przy władzy i pokazać innym, gdzie jest ich miejsce.

Złapał za rozciągnięty kołnierz mojej koszulki i lekko mnie do siebie przyciągnął.

- Przestań. - Byłam dumna z tego, że mój głos brzmiał tak pewnie.

Nachylając się do mnie, Clancy podsunął mi rozmytą wizję nas dwojga, tuż przed tym, jak wtargnął w moje wspomnienia. Kiedy patrzyłam, jak moje oczy rozszerzają się z przerażenia, a jego wargi przyciskają się do moich, zakłuło mnie w żołądku.

- Tak się cieszę, że cię odnalazłem - powiedział dziwnie spokojnym głosem. - Możesz mi pomóc. Myślałem, że wiem już wszystko, ale ty...

Wymierzyłam mu łokciem cios w podbródek. Clancy cofnął się, wyjąc z bólu i przyciskając obie dłonie do twarzy. Miałam dosłownie pół sekundy, żeby się stamtąd wydostać. Skorzystałam z okazji i pociągnęłam za klamkę z taką siłą, że zamek sam odskoczył.

- Ruby, poczekaj! Nie chciałem...!

U dołu schodów pojawiła się twarz Lizzie. Widziałam, jak jej usta rozchylają się ze zdziwienia. Kiedy przecisnęłam się obok niej, słyszałam podzwanianie jej kolczyków.

- Posprzeczaliśmy się - tłumaczył jej Clancy cicho. - W porządku, niech idzie.

Wypadłam na zewnątrz, nie mogąc złapać tchu. Automatycznie skierowałam się w stronę paleniska, ale po chwili zatrzymałam się, żeby pomyśleć. Wokół stołu wciąż kręciło się mnóstwo ludzi. Chciałam znaleźć Liama - wyjaśnić mu, dlaczego nie przyszłam, i opowiedzieć mu o tym, co się wydarzyło, ale wiedziałam, że jestem zbyt rozgorączkowana. Musiałam się uspokoić, ale nie mogłam zostać tutaj. Wszyscy zaraz wypytywaliby mnie o to, co się stało. Musiałam zaszyć się gdzieś w samotności.

Cofnęłam się zaledwie o kilka kroków i natychmiast wpadłam na Mike'a.

- Hej, tu jesteś! - Włosy miał ściągnięte w kucyk, a głowę obwiązaną czarną bandaną. Wokół niego unosiła się woń benzyny i czegoś metalicznego. - Ruby? Wszystko w porządku?

Rzuciłam się przed siebie, mijając biuro i wbiegając na ścieżkę prowadzącą w stronę chat. W końcu wydawało mi się, że znalazłam się na drodze, którą odprowadzaliśmy Zu, ale okazało się, że był to jeden z bocznych szlaków, zarośnięty chwastami chłostającymi mnie po odsłoniętej skórze. Idealnie. Wokół nie było nikogo, a tylko na tym mi zależało.

Szłam przed siebie tak długo, aż nie dostrzegałam już blasku bijącego od ogniska. Raz po raz chwytałam palcami materiał T-shirtu, próbując odkleić go od skóry. Przesycony był wonią jego pokoju. Pachniał igliwiem, przyprawami korzennymi i rozkładającymi się starociami. Ściągnęłam go przez głowę i odrzuciłam tak daleko, jak potrafiłam, ale nadal - nadal! - czułam ten zapach. Był wszędzie: na moich dłoniach, dżinsach, staniku. Powinnam była pobiec prosto do jeziora albo pod prysznic. Powinnam była zmyć z siebie jego jad.

Uspokój się, powtarzałam sobie. Uspokój się! Nie wiedziałam jednak, co właściwie czuję. Na pewno złość - złość, że mnie okłamał i że dałam się na to nabrać. Obrzydzenie na myśl o jego dotyku. Na myśl o tym, że wniknął w każdy por mojej skóry. Ale było coś jeszcze. Ból, który narodził się gdzieś w głębi, pęczniał i przekształcał się, zamieniając moje serce w kamień.

Liam stał tuż przede mną, a mimo to nigdy w życiu nie czułam się tak samotna.

- Ruby? - W tym świetle jego włosy wydawały się srebrzyste. Jak zwykle zmierzwione, lekko się kręciły. Nie mogłam się przed nim ukryć. Nigdy mi się to nie udawało. - Mike po mnie przyszedł - powiedział, robiąc ostrożny krok w moją stronę. Trzymał przed sobą wyciągnięte ręce, jakby próbował udobruchać dzikie zwierzę. - Co ty tu robisz? Co się dzieje?

- Zostaw mnie, proszę - błagałam. - Potrzebuję chwili samotności.

Nadal szedł w moją stronę.

- Proszę! - krzyknęłam. - Odejdź!

- Nigdzie nie pójdę, dopóki nie powiesz mi, co się dzieje! - odparł Liam. Przyjrzał mi

się dokładnie i przełknął ślinę z tak wielkim trudem, że podskoczyła mu grdyka. - Gdzie byłaś dziś rano? Czy coś się stało? Pulpet powiedział, że zniknęłaś na cały dzień, a teraz jesteś tutaj... w takim stanie... Czy on ci coś zrobił?

Odwróciłam wzrok.

- Nie zrobił nic, o co sama bym się nie prosiła.

Liam cofnął się o kilka kroków, dając mi więcej przestrzeni.

- Nie wierzę ci. Ani trochę - oznajmił ze spokojem. - Jeśli chcesz się mnie pozbyć, będziesz musiała wymyślić coś lepszego.

- Nie chcę, byś tu był.

Potrząsnął głową.

- Nie oznacza to jednak, że zamierzam zostawić cię tu samą. Możesz tu spędzić tyle czasu, ile ci się podoba, ale ja nie ruszę się stąd na krok, dopóki nie powiesz mi, o co chodzi. - Liam ściągnął sweter i mi go rzucił. - Załóż, bo się przeziębisz.

Chwyciłam go jedną ręką i przycisnęłam do piersi. Nadal był ciepły.

Zaczął chodzić tam i z powrotem, z rękami na biodrach.

- Czy tu chodzi o mnie? Nie możesz o tym ze mną porozmawiać? Mam iść po Pulpeta?

Nie potrafiłam wydusić ani słowa.

- Ruby, zaczynam się ciebie bać.

- T dobrze. - Zwinęłam jego sweter i rzuciłam w mrok, tak daleko, jak tylko mogłam.

Westchnął i oparł się dłonią o pień drzewa.

- Dobrze? Co w tym dobrego?

Dotąd nie rozumiałam tego, co próbował mi wyjaśnić Clancy. Ale kiedy Liam spojrzał mi w oczy, wszystko stało się jasne. Delikatne pulsowanie w moich uszach zamieniło się w dziki ryk. Zacisnęłam powieki i przycisnęłam dłonie do czoła.

- Ja już nie mogę! - krzyknęłam. - Dlaczego po prostu nie zostawisz mnie w spokoju?

- Ponieważ ty nigdy byś mnie nie opuściła.

Szurając, zrobił kilka kroków w moją stronę. Powietrze wokół zrobiło się gorące, przesycone znajomą energią. Zacisnęłam zęby. Byłam wściekła, że stanął tak blisko, chociaż doskonale wiedział, że nie mogę nad sobą zapanować. Że mogę go skrzywdzić.

Chwycił moje dłonie i chciał odciągnąć je od mojej twarzy, ale nie pozwoliłam mu na delikatność. Z całej siły go odepchnęłam. Potknął się.

- Ruby...

Znów go pchnęłam, a potem jeszcze raz, za każdym razem wkładając w to coraz

więcej siły, ponieważ tylko w ten sposób potrafiłam przekazać to, co tak bardzo chciałam mu powiedzieć. Widziałam przebłyski jego błyszczących wspomnień. Widziałam wszystkie jego cudowne sny. Dopiero kiedy przyparłam go do drzewa, zdałam sobie sprawę z tego, że płaczę. Z bliska zauważyłam świeżą ranę pod jego lewym okiem i siniejącą w tym miejscu skórę.

Rozchylił usta. Jego dłonie znajdowały się tuż nad moimi biodrami.

- Ruby...

Zbliżyłam się do niego, jedną rękę wsuwając w jego miękkie włosy, a drugą chwytając materiał jego koszuli. Kiedy w końcu przylgnęłam do niego wargami, poczułam, że w głębi mojego ciała coś się zaciska. Poza nim nie istniało dla mnie nic - nie słyszałam odgłosu cykad i nie widziałam szarych pni drzew. Serce waliło mi w piersi. Jeszcze, jeszcze, jeszcze, wybijało miarowy rytm. Jego ciało rozluźniło się pod dotykiem moich dłoni. Drżał, kiedy muskałam jego skórę. Wdychanie jego zapachu mi nie wystarczyło - chciałam go wciągnąć głęboko do płuc - woń jego skórzanej kurtki i dymu, jego słodycz. Czułam, jak jego palce muskają moje nagie żebra. Liam przyciągnął mnie do siebie, stając tak, by jego nogi obejmowały moje.

Balansowałam na palcach, czując, że ziemia usuwa mi się spod stóp, kiedy jego wargi przesuwały się po moich policzkach i żuchwie, aż po szyję, gdzie pulsowało moje tętno. Wydawał się tak pewny siebie, jakby już dawno sobie to wszystko zaplanował.

Nie zauważyłam chwili, w której straciłam nad sobą kontrolę. Nawet gdybym to poczuła, byłam tak pochłonięta naszymi pocałunkami, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, iż mogłabym się wycofać, oderwać się od jego ciepłej skóry i tej chwili. Dotykał mnie lekko, z namaszczeniem gładząc moją skórę, jednak gdy tylko jego wargi znów odnalazły moje, w moim umyśle zrodziła się myśl, która wyrwała mnie ze słodkiego transu.

Mój umysł zalało wspomnienie twarzy Clancyego, który nachylał się, by zrobić to samo, co właśnie robił Liam. Ogarnęło mnie całą, tak niestrudzenie przedzierając się przez moje myśli, że nie mogłam go już dłużej ignorować. Zobaczyłam je wyraźnie, jakby wypalone było nie w mojej, tylko w czyjejś pamięci.

Wtedy zrozumiałam, że Liam także to widzi.

Jak, jak, jak? Przecież to niemożliwe! Wspomnienia wpływały do mojej głowy, a nie z niej wypływały!

Poczułam, jak Liam nieruchomieje, a potem się ode mnie odrywa. Kiedy spojrzałam mu w twarz, byłam już pewna, że on także to zobaczył.

Wzięłam głęboki oddech.

- O Boże, tak mi przykro. Ja... nie chciałam. On...

Liam złapał mnie za nadgarstek, przyciągnął do siebie i objął moją twarz dłońmi. Kiedy odgarniał mi włosy, zastanawiałam się, które z nas głośniej oddycha. Próbowałam się mu wyrwać, zawstydzona tym, co widział. Bałam się tego, co o mnie pomyśli.

Kiedy Liam przemówił, jego ton był opanowany.

- Co on ci zrobił?

- Nic...

- Nie kłam - błagał. - Proszę, nie okłamuj mnie. Czułem to... Całe moje ciało. Boże, miałem wrażenie, że zamienił cię w kamień. Bałaś się. Czułem twój strach!

Zanurzył palce w moich włosach i przyciągnął moją twarz.

- On... - zaczęłam - poprosił, by mógł zajrzeć do moich wspomnień, a ja mu na to pozwoliłam, ale kiedy próbowałam się wyrwać... Nie mogłam uciec, nie mogłam się ruszyć, a potem straciłam przytomność. Nie wiem, co on zrobił, ale to bolało... Tak strasznie mnie bolało.

Liam przycisnął usta do mojego czoła. Czułam, jak napinają się i drżą mięśnie w jego ramionach.

- Idź do chaty - powiedział, a ja nie zdążyłam nawet zaprotestować. - Zacznij się pakować.

- Lee...

- Znajdę Pulpeta - oznajmił. - A potem cała nasza trójka się stąd wyniesie. Jeszcze dzisiaj.

- Nie możemy. Wiesz, że nie możemy. - Ale on przedzierał się już przez ciemne zarośla. - Lee!

Odszukałam jego sweter i naciągnęłam go na siebie, jednak kiedy szłam za nim przez las, w stronę budynków i paleniska, nadal drżałam.

W naszej chacie znalazłam Pulpeta. Wsparty na łóżku, czytał książkę. Kiedy na mnie spojrzał, natychmiast ją zatrzasnął.

- Co się stało?

- Wyjeżdżamy - odparłam. - Zabieraj swoje rzeczy. Na co się tak gapisz? Szybko!

Zeskoczył z łóżka.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. - Co się dzieje?

Właśnie skończyłam opowiadać, co wydarzyło się między mną a Clancym, kiedy do środka wpadł Liam. Spojrzał na nas i z ulgą wypuścił powietrze.

- Martwiłem się, bo nie mogłem cię znaleźć - rzucił do Pulpeta. - Jesteście gotowi?

Założyłam rozciągnięty T-shirt, a Liam rzucił mi swoją kurtkę. Pulpet zawiązał buty, zatrzasnął walizkę i nie odezwał się ani słowem, kiedy wyłączyliśmy światła i wyruszyliśmy w mrok.

Zapach dymu z ogniska towarzyszył nam na szlaku dłużej niż światło i dochodzące stamtąd odgłosy. Zauważyłam, że Pulpet obejrzał się przez ramię. Tylko raz. Odległy pomarańczowy blask odbijał się w szkłach jego okularów. Wiedziałam, że chce zapytać, czy mamy jakiś plan, ale Liam uciszył nas oboje i wszedł na boczną dróżkę, której nigdy wcześniej nie widziałam.

Ścieżka była wyraźna, ale na tyle wąska, że musieliśmy iść gęsiego. Wpatrywałam się w ramiona Liama. Po chwili wyciągnął rękę do tyłu, żeby chwycić moją dłoń. Weszliśmy w zagajnik młodych drzew. Spowijał nas coraz gęstszy mrok.

A kiedy się z niego wydostaliśmy, zalało nas światło - tak ostre, że na chwilę musiałam zasłonić oczy. Czułam, jak Liam napina się i przystaje, a jego dłoń boleśnie zaciska się na mojej.

- A nie mówiłem? - usłyszałam głos Hayesa. - A nie mówiłem, że będą się chcieli tędy wydostać?

- Miałeś rację.

- Cholera - dobiegł mnie głos Pulpeta, ale byłam w tak wielkim szoku, że potrafiłam jedynie stanąć obok Liama i w milczeniu patrzeć na Clancyego, Hayesa oraz grupę chłopaków ze straży tarasujących jedyną drogę ucieczki.

27

Przez chwilę nikt się nie poruszył.

Teraz, kiedy okolicę rozświetlały latarki, rozpoznawałam to miejsce. Widziałam je już kiedyś na komputerze Clancy ego. To tu kilka dni temu łowcy nagród próbowali się przedrzeć przez druciane ogrodzenie obozu i to tu Hayes się nimi „zajął”. Wyglądało na to, że teraz z chęcią zajmie się także nami.

Reszta chłopców stała w miejscu, gdzie zaczynała się metalowa siatka otaczająca teren obozu. Clancy znajdował się pośrodku i wyglądał zdecydowanie porządniej niż kilka godzin temu.

- Chyba musimy pogadać - oznajmił uprzejmym tonem. - Mam wrażenie, że zaraz wydarzy się coś niebezpiecznego.

- Opuszczamy obozowisko - powiedział Liam. Słychać było, że ledwo panuje nad złością. - Nie chcemy żadnych kłopotów.

- Nie możecie tak po prostu odejść. - Hayes przepchnął się na czoło grupy i stanął u boku Clancyego. Wyglądał tak, jakby lada chwila miał przystąpić do ataku. - Mamy tu swój system, a wy nie zapracowaliście jeszcze na to, żeby odejść.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, na ścieżce usłyszeliśmy kroki, a zza suchych zarośli oddzielających nas od szerszej drogi dobiegły głosy. Pierwsza pojawiła się Olivia, a za nią Mike oraz czworo innych nastolatków, z którymi Liam przez ostatni miesiąc pełnił wartę. Zareagowali tak samo jak my - najpierw skrzywili się, oślepieni ostrym światłem, a kiedy ich wzrok się do niego przyzwyczaił, na ich twarzach odmalowało się zdumienie.

- Co się tu dzieje? - zapytała Olivia, która przedarła się przez grupę ubranych na czarno dzieciaków i zatrzymała przed Clan-cym. - Dlaczego nie wezwałeś mnie przez radio?

- Hayes i ja mamy wszystko pod kontrolą. - Clancy skrzyżował ramiona na piersi. - Powinniście wracać na swoje stanowiska.

- Dopóki nie wyjaśnisz, co się tu dzieje, nie ruszę się ani na krok. - Zwróciła się w naszą stronę, a jej wzrok padł na nasze plecaki. - Odchodzicie?

- Lee - rzucił Mike, który nagle zrozumiał, co się dzieje. - Co wy robicie?

- Wygląda na to, że Liam Stewart szykuje kolejną ucieczkę - oznajmił Clancy - albo przynajmniej próbuje. Mam wrażenie, że jego akcja zakończy się takim samym sukcesem jak poprzednia.

- Idź do diabła! - przerwałam mu, chwytając Liama za rękę, by uniemożliwić mu zaatakowanie Clancy ego. Trząsł się ze złości, ale nie mieliśmy z nimi szans. Czy on nie

zdawał sobie z tego sprawy?

- Ruby - powiedział cicho Clancy, tym samym tonem, którym przemawiał do mnie, kiedy jeszcze myślałam, że się przyjaźnimy. - Czy możemy chociaż o tym porozmawiać?

Tak, usłyszałam cichy głos. Czy tak nie będzie najlepiej? Czułam, jak mój gniew słabnie, z początku powoli, a potem coraz to szybciej. Puściłam dłoń Liama. Nagle miałam wrażenie, że to naprawdę najlepsze, a właściwie jedyne wyjście z tej całej sytuacji. Wcześniej byłam wściekła i bardzo się bałam, ale to w końcu był Clancy.

Clancy.

Zrobiłam krok w jego stronę. Czułam, że jego uśmiech mnie przyciąga. Przecież... mogłam mu wybaczyć. To byłoby takie proste. Przy nim wszystko było prostsze. Moje stopy poruszały się niezależnie od mojej woli, jakby doskonale wiedziały, w którą stronę powinnam iść.

Jednak ani Liam, ani Pulpet nie zamierzali mi na to pozwolić. Czułam, jak Pulpet łapie mnie za plecak. Kiedy tylko Liam stanął przede mną, straciłam Clancyego z oczu i nie pamiętałam już, dlaczego tak bardzo chciałam do niego podejść i wrócić z nim do obozowiska.

- Przestań! - wrzasnął Liam. - Cokolwiek robisz, przestań!

- Przecież on nic... - zaczął Mike, spoglądając to na Clancyego, to na Olivię. Widziałam ją za plecami Liama. Miała ponurą minę. Tuż za nimi dostrzegłam niepewne twarze członków grupy patrolowej, do której należał Liam.

- Przecież nic nie robię - odparł Clancy lodowato. - To ty jesteś zazdrosny o to, co mnie z nią łączy.

Zgromadzeni wokół niego chłopcy zgodnie pokiwali głowami. Ich twarze były dziwnie pozbawione wyrazu.

- To ty próbujesz złamać zasady - mówił dalej. - Ponieważ takie są zasady, prawda, Liv? Jeśli chcesz odejść, musisz mnie poprosić o pozwolenie, prawda?

Olivia zawahała się, ale pokiwała głową.

Liam wolno opuścił wyciągniętą rękę. Ściągnął brwi i zdawał się nachylać głowę w stronę Clancyego, jakby słyszał coś, czego reszta z nas nie mogła dosłyszeć. Czułam, jak jego ramiona się rozluźniają. Zrobił krok w tył, a następnie odsunął się ode mnie, przykładając rękę do czoła.

- Przepraszam... Ja po prostu... Nie chciałem...

- Przecież jesteś tu szczęśliwy, prawda? - zapytał Clancy uprzejmie. - Znów możesz się tak czuć. Tu obowiązują pewne zasady. Teraz już je znasz i ponownie ich nie złamiesz,

prawda?

- Tak - odparł Liam zachrypniętym głosem. Wpatrywał się we mnie, ale jego oczy były zasnute mgiełką, którą natychmiast rozpoznałam. Pulpet chyba także to widział. Zmrużył oczy i wbił w Clancyego wzrok pełen furii.

- Powiem ci, co myślę o tych twoich pieprzonych zasadach - powiedział głosem pełnym jadu, przeciskając się obok Liama. - Siedzisz sobie w tym swoim pokoiku i udajesz, że kierujesz się dobrem innych, podczas gdy sam nic nie robisz. Nie wiem, czy jesteś rozpuszczonym maminsynkiem, czy nie chcesz zabrudzić sobie tych alabastrowych rączek, ale to wszystko jest jedną wielką ścierną. Jesteś pieprzonym dupkiem, a ja nie dam się na to nabrać.

Zimne spojrzenie Clancyego przeniosło się na Pulpeta, ale ten kontynuował.

- Wciąż powtarzasz tylko, że wszyscy jesteśmy równi, ale sam ani przez chwilę w to nie wierzyłeś, prawda? Nie pozwalasz nikomu skontaktować się z rodzicami i nic cię nie obchodzą dzieciaki uwięzione w obozach, które założył twój ojciec. Kiedy członkowie drużyny patrolowej przyszli z tym do ciebie, nie chciałeś ich nawet wysłuchać. Chciałbym więc wiedzieć, dlaczego nie możemy opuścić obozowiska?

Pulpet zrobił kolejny krok do przodu, a Clancy nie zdążył się nawet odezwać.

- Jaki jest cel tego całego East River? Poza tym, że siedzisz tu sobie i wmawiasz ludziom, jaki to jesteś cudowny, bawiąc się nimi i ich uczuciami. Wiem, co zrobiłeś Ruby!

Pozostali milczeli, ale im dłużej Pulpet mówił, tym klarowniejsze stawały się ich spojrzenia. Kiedy Mike otrząsnął się spod wpływu Clancyego, spoglądał na niego tak, jakby miał zwymiotować. Reszta dzieciaków rozglądała się dokoła nerwowo i niepewnie.

W czasie tyrady Pulpeta Clancy stał nieruchomo, ale teraz nachylił się do niego, jakby miał wyjawić mu szeptem jakąś tajemnicę. Kiedy się jednak odezwał, mówił tak głośno, że wszyscy go słyszeli.

- Bawiłem się nie tylko jej uczuciami. - Spojrzał na Liama. - Prawda, Stewart?

Twarz Liama zalała szkarłatna plama furii i natychmiast zorientowałam się, jaką wizję umieścił Clancy w jego umyśle.

- Nie! - krzyknęłam, ale było już na to za późno.

To, co nastąpiło potem, zdarzyło się tak szybko, że połowa zgromadzonych wokół dzieciaków pewnie w ogóle tego nie zauważyła. Liam uniósł pięść, gotów wymierzyć cios w arogancką twarz Clancy ego, ale jego ręka zatrzymała się na wysokości jego ramienia. Całe jego ciało - każdy mięsień, staw i ścięgno - naprężyło się, jakby właśnie przeszył je prąd. Liam zamarł i po chwili był już na ziemi, a Hayes okładał go pięściami.

- Przestań! - błagałam, wyrywając się z uścisku Pulpeta. Wiedziałam, co Clancy mu zrobił. Wiedziałam, dlaczego nie mógł nawet unieść rąk, żeby zasłonić twarz. Kiedy zobaczyłam krew rozbryzgującą się po ziemi, poczułam, że dłużej już tego nie zniosę.

Inni czuli chyba podobnie.

- Clance - usłyszałam głos 01ivii - wystarczy. Dopiąłeś swego. Hayes! Przecież ty go zabijesz!

Hayes wymierzał mu cios za ciosem, a jego pięści spadały na każdą część ciała Liama, jak gdyby próbował wylać na niego całą swoją furię. Przestał dopiero, kiedy Clancy położył mu rękę na ramieniu, a nawet wtedy wymierzył Liamowi ostatni bolesny cios w twarz. Na koniec dźwignął go z ziemi, chwyciwszy za koszulę, a kiedy Clancy skinął głową, brutalnie go upuścił i odszedł, zostawiając jego bezwładne, poranione ciało, leżące twarzą w dół.

Kiedy Clancy i Hayes zniknęli nam z oczu, Pulpet i ja rzuciliśmy się naprzód, przepychając się przez krąg stojących nad Liamem dzieciaków. Zrobiliśmy może ze dwa kroki, kiedy Mike zastąpił nam drogę.

- Nie - powiedział. - Tylko pogorszycie sprawę.

- Co oni z nim zrobią? - zapytał Pulpet.

- Wracajcie do chaty. My się nim zajmiemy.

- Nie - zaprotestowałam. - Nie zostawimy go tu.

Mike zwrócił się do mnie ze złością.

- Nie wiem, coś ty mu, do cholery, nagadała, ale Liam był tu szczęśliwy. Właśnie tego potrzebował, a ty namieszałaś mu w głowie...

- Ani mi się waż... - warknął Pulpet. - Nie waż się jej za to winić. Jesteś tak zamroczony swoim kochanym Uciekinierem, że nie widzisz tego, co się wokół dzieje.

Mike był wściekły.

- Znosiliśmy cię w Caledonii ze względu na Liama, ale tutaj nie mam takiego obowiązku.

- Myślisz, że mnie to obchodzi? - odparł Pulpet. - Obchodzi mnie tylko to, co stanie się z Liamem. Z facetem, który zaryzykował wszystko, żeby nas tu przywieźć. - Jego słowa osiągnęły zamierzony efekt. Mimo spowijającego nas mroku zauważyłam, że twarz Mikea pobladła. - Możesz sobie czcić tego głupiego Uciekiniera, ale nawet sobie nie myśl, że pozwolimy wam zatrzymać Liama.

Znów rzuciliśmy się do przodu, próbując przedrzeć się do leżącego na ziemi przyjaciela. Czyjeś ramiona oplotły się wokół mojej klatki piersiowej, a ktoś inny złapał mnie za nogi. Na nic zdały się nasze krzyki - pozostałe dzieciaki odciągnęły nas od Liama.

Pulpet i ja bez ruchu siedzieliśmy na pryczy Liama i milcząc, wpatrywaliśmy się w drzwi. Za szybą przewijały się ciekawskie twarze innych dzieciaków, które próbowały rozeznać się w sytuacji. Pora ciszy nocnej już dawno minęła, ale żadne z nas i tak nie zdołałoby zasnąć. Sądząc po dwóch postaciach w czerni pełniących wartę przed drzwiami do naszej chaty, nie mogliśmy jej opuścić. Nie po tym, jak próbowaliśmy uciec, a już na pewno nie po werbalnym ataku, który Pulpet przypuścił na Clancyego.

- Gdzie nauczyłeś się tak mówić? - zapytałam go w końcu, ale on wzruszył tylko ramionami.

- Próbowałem sobie wyobrazić, co na moim miejscu powiedziałby Lee, i jakoś poszło. - Pulpet podrapał się w głowę. - Czy ja naprawdę powiedziałem, że Clancy ma alabastrowe rączki?

Zachichotałam.

- A potem było już tylko lepiej.

Mijały kolejne sekundy, a w mojej głowie kotłowały się myśli.

- Dlaczego nie podziałały na ciebie jego sztuczki? - zastanawiałam się na głos. - Przecież ich próbował, prawda?

- Próbował, czułem to. O czymś jednak nie wiedział... - Pulpet postukał się w czoło. - Stalowa pułapka. Nie ma szans, żeby coś się stąd wydostało, a tym bardziej dostało się do środka.

Naszła mnie myśl, że to, co mówi, może być prawdą i że być może to właśnie dlatego uniknęłam wślizgnięcia się do jego umysłu, jednak kiedy na ścieżce usłyszeliśmy głośne szuranie, wszystko inne przestało się liczyć.

Potykając się, do chaty weszli Olivia i jakiś chłopak. Między sobą prowadzili Liama. Jego twarz zwrócona była ku ziemi, a w jego włosach dostrzegłam zaschnięte błoto. Deszcz zaczął padać mniej więcej godzinę po tym, jak go zostawiliśmy.

- Lee - powiedział Pulpet, próbując go ocucić. - Lee, słyszysz mnie?

Pomogliśmy im położyć go na materacu. W pomieszczeniu było na tyle ciemno, że nie widziałam, jak ciężko jest pobity, dopóki Olivia nie postawiła na podłodze latarni, która oświetliła jego posłanie.

- O Boże - wyszeptałam.

Twarz Liama zwróciła się w moją stronę i po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że jest przytomny, a jego powieki są tak spuchnięte, że nie może ich otworzyć. Ujęłam jego rękę, która zwisała z jednej strony materaca, i położyłam mu ją na piersi. Jego oddech był świszczący. Wokół nosa, ust, a nawet na brodzie zasklepiła się gruba, kleista warstwa

zakrzepłej krwi. Dopiero w świetle dnia miałam zobaczyć, jak bardzo był poraniony.

- Potrzebujemy środków odkażających - powiedział Pulpet - bandaży i tak dalej...

- Chodźcie ze mną - odparła Olivia. - Zaprowadzę was do magazynu. Nikt nam nie przeszkodzi.

- Nie zostawię go samego - zaoponowałam, wciąż klęcząc przy Liamie.

- W porządku. - Na ramieniu poczułam delikatne muśnięcie dłoni Pulpeta.

Usłyszałam, jak za naszymi plecami drzwi otwierają się i zamykają z trzaskiem. Dopiero kiedy ten drugi chłopak, szurając, także opuścił chatę, znów spojrzałam na twarz Liama. Najdelikatniej, jak umiałam, gładziłam ją palcami. Kiedy dotknęłam jego nosa, zasyczał z bólu, ale nie próbował się odsunąć, dopóki nie musnęłam jego spuchniętej, pękniętej wargi.

Nie wiem, czy kiedykolwiek płakałam tyle, ile w ciągu minionego miesiąca. Nie przypominałam dziewcząt z mojego Baraku w Thurmond, które płakały co noc, a potem także rano, kiedy po przebudzeniu uświadamiały sobie, że to, co je spotkało, nie było złym snem. Jako dziecko także nie płakałam zbyt często. Teraz jednak nie potrafiłam powstrzymać łez.

- Czy naprawdę wyglądam tak uroczo, jak się czuję? - wymamrotał półprzytomnie Liam. Próbowałam nakłonić go, żeby otworzył usta. Chciałam się upewnić, że Hayes nie wybił mu zębów, ale jego żuchwa była zbyt wrażliwa, żebym mogła jej dotknąć. Nachyliłam się i przycisnęłam wargi do miejsc, po których wcześniej błądziły moje palce.

- Nie rób tego - powiedział, minimalnie otwierając jedno oko - jeśli naprawdę tego nie chcesz.

- Nie powinieneś był go atakować.

- Musiałem - wykrztusił.

- Zabiję go - powiedziałam, czując, jak rośnie we mnie gniew. - Zamorduję.

Liam zaśmiał się cicho.

- Oto i ona... Cała Ruby.

- Wydostanę cię stąd - obiecałam. - Ciebie i Pulpeta. Porozmawiam z Clancym i...

- Nie - odparł. - Przestań. Tylko pogorszysz sytuację.

- Przecież gorzej już być nie może! - powiedziałam. - To moja wina. Wszystko zepsułam.

- Boże... - Pokręcił głową, a przez jego usta przemknęło coś w rodzaju uśmiechu. - Przy tobie jestem tak szczęśliwy, że czasem zapominam o tym, żeby oddychać. Kiedy na ciebie patrzę, ściska mnie w piersi... i potrafię myśleć tylko o tym, jak bardzo pragnę cię pocałować. - Wypuścił drżący oddech. - Więc nie mów, że mnie stąd wydostaniesz, ponieważ

bez ciebie nigdzie się nie ruszam.

- Nie mogę jechać z tobą. Nie chcę cię narażać na tak wielkie niebezpieczeństwo.

- Bzdura - rzucił. - Nie ma dla mnie większej tortury niż bycie z dala od ciebie.

- Nie rozumiesz...

- Więc mi wytłumacz - odparł Liam. - Ruby, podaj mi chociaż jeden powód, dla którego nie możemy być razem, a ja podam ci sto argumentów dowodzących czegoś zupełnie przeciwnego. Możemy pojechać, gdzie tylko zechcesz. Nie przypominam twoich rodziców. Nigdy cię nie porzucę.

- Oni mnie nie porzucili. To, co im się stało, było moją winą. - Ten długo skrywany sekret dosłownie sam wyrwał mi się z ust i nie byłam pewna, czy moje wyznanie bardziej zaskoczyło mnie czyjego.

Liam umilkł, czekając na dalszy ciąg mojej opowieści. Zdałam sobie sprawę, że właśnie nadszedł moment, w którym miałam go stracić na zawsze. Potrafiłam myśleć tylko o tym, jak bardzo żałuję tego, że nie pocałowałam go ten jeden ostatni raz, zanim zacznie się mnie bać.

Oparłam głowę na poduszce tuż obok niego. Szeptem - bo brakowało mi odwagi, żeby zrobić to głośniej - opowiedziałam mu o tym, jak w noc przed moimi dziesiątymi urodzinami położyłam się spać i jak obudziłam się pewna, że na stole zastanę tradycyjne urodzinowe naleśniki. Opowiedziałam mu o tym, jak zamknięto mnie w garażu niczym dzikie zwierzę. Kiedy skończyłam, opowiedziałam mu także o Sam i o tym, jak byłam jej Pulpetem, a potem przestałam być dla niej... kimkolwiek.

Kiedy skończyłam, piekło mnie w gardle. Liam odwrócił się w moją stronę. Nasze twarze niemal się stykały.

- Nigdy - powiedział po chwili. - Nigdy, nigdy, nigdy. Nigdy cię nie zapomnę.

- Nie będziesz miał wyboru. Clancy twierdzi, że nigdy nie nauczę się tego kontrolować.

- Jestem pewny, że kłamie - odparł Liam. - Czy to, co widziałem wtedy w lesie, kiedy mnie...

- Kiedy cię pocałowałam.

- Tak. To... to naprawdę się zdarzyło, prawda? To, co zrobił ten palant... Sprawił, że nie mogłaś się ruszać, tak samo jak ja.

I tak, i nie. Ponieważ gdzieś w głębi serca chciałam, żeby to zrobił. A może sprawił, żebym tego pragnęła? Może wystarczył jeden dotyk, by zabawić się moimi uczuciami? W końcu skinęłam głową, a na wspomnienie dotyku jego skóry skręciło mnie w żołądku.

- Chodź tu - powiedział Liam łagodnie. Poczułam na skroni delikatny dotyk jego palców, które ześlizgnęły się w dół i przylgnęły do mojego policzka. Podniosłam twarz, a on zbliżył się i mnie pocałował. Kiedy się ode mnie oderwał, podążyłam za nim, szukając jego warg.

- Chcesz być ze mną, prawda? - wyszeptał. - Więc bądź ze mną. Coś wymyślimy. Ufam ci. Kiedy zajrzysz do mojej głowy, zobaczysz właśnie to.

Jego ciepły oddech musnął mój policzek niczym kolejny pocałunek.

- Mike już wszystko wymyślił. Spróbuje znaleźć sposób, żeby nas stąd wydostać, a wtedy ty, ja i Pulpet ruszymy w drogę. Odszukamy ojca Jacka i spróbujemy skontaktować Pulpeta z rodzicami, a potem porozmawiamy o naszych planach.

Nachyliłam się nad nim i pocałowałam go w czoło.

- Ty naprawdę nie czujesz do mnie nienawiści? - wyszeptałam. - Nie boisz się? Ani odrobinę?

Jego posiniaczona twarz skrzywiła się w grymasie, który miał być chyba uśmiechem.

- Strasznie się ciebie boję, ale z zupełnie innego powodu.

- Jestem potworem. Jedną z nich.

- Nieprawda - zapewnił mnie. - Jesteś jedną z nas.

28

Pulpet wrócił kilka minut po tym, jak Liam zapadł w niespokojny sen. Lee przebudził się, kiedy zaczęliśmy oczyszczać jego rany, i poczuwszy pieczenie środka odkażającego, chwycił mnie za nadgarstek. Kiedy uścisk jego dłoni zelżał i zobaczyłam, że jego powieki znów się zamykają, wypuściłam w końcu wstrzymywany oddech.

- Będzie żył - powiedział Pulpet, widząc moją minę. Pakował resztę środków do mojego plecaka. - Rano obudzi się z cholernym bólem głowy, ale będzie żył.

Spaliśmy na zmianę, a przynajmniej udawaliśmy, że śpimy. W moim ciele szalała niespokojna, niespożyta energia. Słyszałam, jak Pulpet mamrocze coś pod nosem, jakby próbował zrozumieć to, co wydarzyło się tej nocy.

Kiedy usłyszeliśmy odgłos kroków na betonowych schodkach naszej chaty, przestaliśmy udawać.

- Lizzie... - powiedział jeden z chłopców stojących na warcie. - Czy ty...

Przepchnęła się pomiędzy nimi i tak gwałtownie otworzyła drzwi, że uderzyły w ścianę. Liam się przebudził, bardziej zdezorientowany niż wcześniej.

- Ruby! - Lizzie zwróciła się do mnie. Była blada jak ściana, a włosy wplątały jej się w niezliczone kolczyki, jednak dopiero kiedy zobaczyłam krew na jej dłoniach, zamarłam. - Clancy... - szepnęła, chwytając mnie za ramię. - On... upadł na ziemię! Dostał konwulsji i krwotoku. Nie wiedziałam, co robić. Kazał mi po ciebie iść. Powiedział, że będziesz wiedziała, co się dzieje... Ruby, proszę! Proszę, pomóż mi!

Patrzyłam na jej umazane krwią ręce.

- To podstęp - wycharczał Liam z materaca. - Ruby, nawet o tym nie myśl...

- Jeśli naprawdę jest ranny, to ja powinienem iść - powiedział Pulpet do Lizzie.

- Ruby! - krzyknęła, jakby nie widziała, że stoję tuż obok. - Tam jest tyle krwi... Ruby, proszę, błagam, musisz mu pomóc!

On chyba naprawdę miał mnie za idiotkę. A może po prostu sądził, że miał na mnie aż taki wpływ, że zapomnę, co zrobił Liamowi, i przybiegnę mu na pomoc? Potrząsnęłam głową, czując ogarniającą mnie złość. Zbyt niedojrzała i słaba, by używać swoich umiejętności?

To się jeszcze okaże.

Liam podciągnął się na materacu i usiadł.

- Wiesz, jaki on jest - ostrzegał mnie. - Nie rób tego...

- Zaprowadź mnie do niego - powiedziałam, nie zważając na protesty Pulpeta. Odwróciłam się w jego stronę. - Musisz zostać z Liamem! - Musisz się nim opiekować, boja

nie mogę. - Wszystkim się zajmę.

Postanowiłam, że to ja nas stąd uwolnię. Nie zamierzałam zdawać się na Mikea ani na łut szczęścia. Ja to zrobię, a wyraz twarzy Clancyego, kiedy nad nim zapanuję, wynagrodzi mi trud, z jakim przyjdzie mi wślizgnąć się do jego umysłu. Przecież sam pokazał mi, jak to zrobić.

- Ruby... - usłyszałam głos Liama, ale chwyciłam Lizzie pod rękę i wyprowadziłam na zewnątrz, mijając zdezorientowane dzieciaki. Na dworze temperatura była niemal dwadzieścia stopni niższa niż w środku.

Z brody dziewczyny skapywały ciężkie łzy

- Jest w magazynie... Rozmawialiśmy o...

- Już dobrze - powiedziałam i położyłam jej rękę na plecach. Przebiegłyśmy przez ogród i wspięłyśmy się po tylnych schodach budynku biura. Lizzie nie mogła trafić kluczem do zamka, a kiedy jej się to w końcu udało, nie mogła go przekręcić. Musiałam otworzyć drzwi kopniakiem. Lizzie była zbyt rozgorączkowana, żeby cokolwiek zrobić. Wbiegła do środka. Na korytarzu i w kuchni było pusto. W budynku pachniało czosnkiem i sosem pomidorowym. Pozostali musieli się krzątać wokół paleniska, przygotowując kolację.

Wszyscy poza Clancym, który stał pośrodku magazynu, opierając się o półkę z makaronem.

Lizzie podbiegła do prawego kąta pomieszczenia, uklękła i zaczęła błądzić dłońmi po podłodze. Jej drżące ręce chwytały jedynie powietrze.

- Clancy! - krzyczała. - Clancy, słyszysz mnie?! Ruby już tu jest. Ruby, chodź tu!

Ścisnęło mnie w żołądku. Byłam zaskoczona tym, jak wielki ogarnął mnie smutek, kiedy moje najgorsze przypuszczenia się sprawdziły.

Dlaczego musi tak być?, pomyślałam, patrząc na niego. Dlaczego?

- Przyszłaś, naprawdę przyszłaś - rzucił Clancy znudzonym, wyzutym z emocji głosem. Miałam wrażenie, że recytuje wyuczone słowa. - Dziękuję, Ruby. Jestem naprawdę wzruszony, że zechciałaś mi pomóc.

- Dlaczego nic nie robisz? - jęczała Lizzie. - Pomóż mu!

- Jesteś chory - powiedziałam, potrząsając głową. Clancy ruszył w moją stronę, jednak ja podeszłam do Lizzie, która chowała twarz w podłodze. - Przestań, udało ci się mnie tu zwabić. Nie musisz jej dłużej torturować.

- Nie torturuję jej - odrzekł Clancy. - Po prostu się bawię. - A potem, jak gdyby próbując mi to udowodnić, warknął: - Lizzie, zamknij się.

Umilkła w połowie słowa. Z wargi, którą przygryzła, zaczęła się sączyć krew. Ujęłam

jej dłonie i odwróciłam je do siebie. Krew wypływała z niej, a konkretnie z dwóch podłużnych ran na jej rękach.

- Czego ty właściwie chcesz? - zapytałam, odwracając się gwałtownie. - Wszystko ci powiedziałam, a to, czego nie zdążyłam, sam zobaczyłeś.

Dopiero wtedy dostrzegłam, w co jest ubrany. Miał na sobie eleganckie, wyprasowane czarne spodnie, nieskazitelnie czystą białą koszulę i czerwony krawat, który zwisał mu z szyi w ten sam sposób, w jaki krew skapywała z brody Lizzie.

- Po prostu przez chwilę cię tu potrzymam - powiedział - a potem możemy iść.

- Niby gdzie? - Mój wzrok padł na półkę za jego głową, pełną metalowych łyżek i misek.

- Gdzie tylko będziesz chciała - odparł. - Czy nie to obiecał ci ten twój Niebieski?

Próbowałam zachować spokój, ale sposób, w jaki wycedził słowo „Niebieski", rozognił tylko tlącą się we mnie złość. Nie wiem, czy Lizzie wyczuła nagłą zmianę w moim nastroju, ale Clancy z pewnością ją zauważył. Uśmiechał się tym swoim idealnym Grayowskim uśmiechem - tym samym, który widziałam na każdej ścianie w Thurmond.

Dobrze, niech myśli, że jestem bezbronna. Niech myśli, że nic mu nie grozi. Ani się obejrzy, a będzie leżał na ziemi, nie pamiętając nawet, jak się nazywa.

- Masz jakąś lepszą ofertę? - zapytałam.

- A co, jeśli mam?

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć - odparłam i zbliżyłam się do niego, próbując odwrócić jego uwagę - zwłaszcza że mój los wcale cię nie obchodzi. Gdybym to ja cię potrzebowała, z pewnością nie przybiegłbyś mi z pomocą. Może się mylę?

Wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że przyszedłbym ci z pomocą.

- Proszę, puść Lizzie - powiedziałam. Przerażało mnie jej zachowanie. Była jak dziecko. Co takiego było w Pomarańczowych, że zmieniali się w takie monstra?

- Dlaczego? Jeśli tu zostanie, niczego nie spróbujesz z obawy, że stanie jej się krzywda. - Powiedział to tak obojętnie, że byłam pewna, iż żartuje.

- Skąd ta pewność? - Miałam nadzieję, że mój głos brzmi pewniej, niż mi się wydawało. - Nie znam jej zbyt dobrze.

- Widziałem twoje wspomnienia. Psychiatrzy takich jak ty nazywają nadmiernie empatycznymi. Nie zrobisz nic, co mogłoby oznaczać zranienie innych, a już na pewno nie zrobisz tego celowo.

Powiedział to tak pewnie, że na widok szoku, który odmalował się na jego twarzy,

kiedy się na niego rzuciłam, poczułam prawdziwą satysfakcję. Chociaż ten jeden raz nie przewidział mojej reakcji i nie zastosował na mnie tych swoich sztuczek. Jęknął z bólu, kiedy wbiłam mu paznokcie w twarz.

Natychmiast poczułam rodzące się pomiędzy nami silne połączenie. Miałam wrażenie, że po części miał rację. Musiałam chcieć użyć swoich umiejętności. Musiałam chcieć przejąć nad nimi kontrolę. A teraz naprawdę tego pragnęłam. Chciałam rozedrzeć jego mózg na strzępy.

Obrazy, które wyłoniły się z ciemnych odmętów jego umysłu, niczego mi nie przypominały. Zamiast jasnego światła i wyraźnych konturów widziałam wizje naszkicowane wodnistym węglem. Rozmyte, mętne. Widziałam zniekształcone twarze wyłaniające się z mroku. Jego umysł zdrętwiał. Miałam wrażenie, że mogę ująć go w dłonie i uformować na nowo.

- Puść ją - powiedziałam, zaciskając dłonie na jego gardle. Podrzuciłam mu obraz, na którym odsyłał Lizzie, i już po chwili mamrotał:

- Lizzie, wyjdź... stąd.

Rzuciła się do drzwi, a ja poczułam dreszcz satysfakcji. Drżał, mrugając oczami, ale ja nie puszczałam.

- A teraz - oznajmiłam - pozwolisz nam odejść.

Jednak kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, poczułam, że tracę nad nim kontrolę. Wzmocniłam uścisk, wbijając paznokcie w jego skórę. Jeszcze nie teraz, błagałam. Jeszcze chwilę... Muszę... muszę...

Równie szybko, jak wślizgnęłam się do jego głowy, zostałam z niej wyrzucona, oddzielona od niego białą kotarą. Spróbowałam jeszcze raz, ale Clancy chwycił mnie za nadgarstek i poczułam, jak moje ciało zastyga niczym kamień.

- Uuu, słabiutko - powiedział, pozwalając, bym zesztywniała runęła na ziemię, a następnie przeszedł nade mną, żeby obejrzeć odbicie podrapanego policzka w błyszczącej powierzchni garnka. - Nie udało ci się nawet podrapać mnie do krwi.

Nie mogłam poruszyć ustami, żeby mu odpyskować.

- Dobrze, że moje lekcje na coś się zdały. - Uśmiechnął się szyderczo, przygładzając zmierzwione włosy. Odwrócił się w stronę regałów, tak że nie widziałam jego twarzy, jednak dostrzegłam, że palcami kurczowo ściska materiał spodni. Nie udało mi się go zniszczyć, ale przynajmniej wytrąciłam go z równowagi. - Podoba mi się to, że moi uczniowie przykładają się do pracy, ale nie myśl sobie, że po kilku tygodniach praktyki masz szanse z kimś, kto ćwiczył to latami.

Skupiłam się na tym, by uwolnić się z katatonicznego stanu, w jaki mnie wprawił. Zaczęłam od stóp, wyobrażając sobie, że poruszam palcami. I... nic.

Może i potrafiłam wymazywać ludziom wspomnienia, ale on potrafił zamieniać ich w kamień.

Pierwszy krzyk rozległ się zaledwie chwilę po tym, jak usłyszałam ryk silników. Nagły wiatr wygiął drzewa za oknem. Ich gałęzie natarczywie drapały o ścianę budynku, jak gdyby chciały przyciągnąć naszą uwagę. Zauważyłam, że wysoki dźwięk syren zaskoczył Clancy ego, jednak chłopak szybko się opanował, a na jego twarzy pojawił się entuzjazm - i to właśnie najbardziej mnie przeraziło.

- A więc to już - powiedział, strzepując pył z marynarki. - W końcu przybyli.

Nie mogłam zamknąć powiek. Czułam, jak suche powietrze pali mnie w oczy, a po chwili miałam wrażenie, że powietrze także płonie. Przez otwarte okna wpadł do środka zapach dymu, a za nim dźwięk karabinów, krzyki i odgłosy walki. Wyobrażałam sobie, że się poruszam: wstaję i rzucam się do drzwi, a następnie dołączam do pozostałych, tam gdzie jest bezpiecznie, ale udało mi się tylko mrugnąć. Był to już jednak jakiś postęp.

- Nie martw się - rzucił Clancy, kiedy usiadł obok mnie. Jedną stopą zaczął wystukiwać rytm na stołku. - Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało.

W uszach słyszałam szum własnej krwi. Miałam wrażenie, że wrzaski, które docierają z zewnątrz, nie pochodzą od ludzi - przypominały raczej te wydawane przez obdzierane ze skóry zwierzęta. Były w nich ból, przerażenie i rozpacz. Metaliczny dźwięk przedzierający się przez ściany z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy.

Królikom potrzeba godności, a przede wszystkim zgody na swój los.

Podłoga zadrżała od tupotu stóp biegnących korytarzem. Nie wiedziałam, ilu jest napastników. Poruszali się rytmicznie. Drzwi magazynu rozwarły się i do środka wdarły się dym i żar.

Nigdy wcześniej nie czułam takiej wdzięczności jak wtedy, gdy moim oczom ukazali się przedstawiciele SSP. Podekscytowanie ustąpiło miejsca niezrozumieniu, a następnie niepohamowanej wściekłości. Najwyraźniej Clancy nie spodziewał się ujrzeć w progu żołnierzy.

Nie musiał ich nawet dotykać.

- Zamknijcie się - syknął i machnął na nich ręką. - Wynocha! Powiedzcie przełożonemu, że nikogo tu nie ma.

Na jego twarzy pojawił się entuzjazm - i to właśnie najbardziej mnie przeraziło.

- A więc to już - powiedział, strzepując pył z marynarki. - W końcu przybyli.

Nie mogłam zamknąć powiek. Czułam, jak suche powietrze pali mnie w oczy, a po chwili miałam wrażenie, że powietrze także płonie. Przez otwarte okna wpadł do środka zapach dymu, a za nim dźwięk karabinów, krzyki i odgłosy walki. Wyobrażałam sobie, że się poruszam: wstaję i rzucam się do drzwi, a następnie dołączam do pozostałych, tam gdzie jest bezpiecznie, ale udało mi się tylko mrugnąć. Był to już jednak jakiś postęp.

- Nie martw się - rzucił Clancy, kiedy usiadł obok mnie. Jedną stopą zaczął wystukiwać rytm na stołku. - Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało.

W uszach słyszałam szum własnej krwi. Miałam wrażenie, że wrzaski, które docierają z zewnątrz, nie pochodzą od ludzi - przypominały raczej te wydawane przez obdzierane ze skóry zwierzęta. Były w nich ból, przerażenie i rozpacz. Metaliczny dźwięk przedzierający się przez ściany z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy.

Królikom potrzeba godności, a przede wszystkim zgody na swój los.

Podłoga zadrżała od tupotu stóp biegnących korytarzem. Nie wiedziałam, ilu jest napastników. Poruszali się rytmicznie. Drzwi magazynu rozwarły się i do środka wdarły się dym i żar.

Nigdy wcześniej nie czułam takiej wdzięczności jak wtedy, gdy moim oczom ukazali się przedstawiciele SSP. Podekscytowanie ustąpiło miejsca niezrozumieniu, a następnie niepohamowanej wściekłości. Najwyraźniej Clancy nie spodziewał się ujrzeć w progu żołnierzy.

Nie musiał ich nawet dotykać.

- Zamknijcie się - syknął i machnął na nich ręką. - Wynocha! Powiedzcie przełożonemu, że nikogo tu nie ma.

Stojący z przodu mężczyzna, którego ciało ukryte było pod grubymi warstwami materiału i uzbrojenia, przycisnął obleczoną w rękawiczkę dłoń do ukrytego w uchu urządzenia i bezbarwnym głosem powiedział:

- Czysto.

Następnie gestem ręki nakazał swoim towarzyszom odwrót. Kiedy wybiegli z pomieszczenia, uświadomiłam sobie, że to oni byli źródłem dymu.

To oni podłożyli ogień.

- Cholera! Niech to jasna cholera! - Clancy potrząsał głową. Z całej siły uderzył pięścią w najbliższą półkę, a huk strzelaniny zagłuszył odgłos ciosu. - Gdzie moi Czerwoni? Dlaczego nie przysłał ich?

Przycisnął obolałą dłoń do ust i zaczął ją ssać, przechadzając się wzdłuż pomieszczenia. Jego oddech był płytki i urywany, jak gdyby odzwierciedlał to, co dzieje się w

jego głowie.

Jego Czerwoni. Należeli do niego - powiedział to tak, że nie miałam już żadnych wątpliwości, co ma na myśli. Projekt Jamboree - program wymyślony przez jego ojca.

Nie, nie przez jego ojca.

W końcu udało mi się połączyć różne fragmenty tej układanki. Kiedy po raz pierwszy opowiadał mi o tym programie, nie znałam go zbyt dobrze i nie wiedziałam, do czego jest zdolny - nie potrafiłam jeszcze połączyć wskazówek, które mimowolnie mi podrzucił.

Na świecie naprawdę nie było nikogo, kto byłby odporny na jego sztuczki - uległ im nawet prezydent Gray.

Clancy zaczął przechadzać się tam i z powrotem jak tygrys uwięziony w klatce. Na dźwięk karabinów jego plecy się napięły. Po chwili przystanął i spoglądał na spowijający okna dym.

- Kto ci o tym doniósł, ty draniu? - syknął cicho. Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, że mówi na głos. - Który z was wyrwał się spod mojego wpływu i wszystkiego się domyślił? Byłem taki uważny. Tak cholernie uważny...

Odwrócił się na pięcie i znów ruszył w moją stronę. Zrozumiałam prawdę. Ten sam człowiek, z którego poranionej ręki ściekała teraz krew, nakłonił swojego ojca, jego doradców i innych do stworzenia Projektu Jamboree. Przecież sam mówił, że zanim jego ojciec się zorientował, iż jest manipulowany, Clancy zadbał o to, by program przebiegał gładko i by dzieciaki były dobrze traktowane?

Mógł przecież zrobić o wiele więcej. Skoro kontrolował wszystkich w East River, czy nie mógł także sprawować kontroli nad małą armią Czerwonych?

Clancy musiał się zorientować, że wszystko pojęłam, bo parsknął szyderczym śmiechem.

- Czasem zapominam, że on nie jest głupi. Nawet po tym, jak w końcu się domyślił, że nim manipuluję, nie wpadł na to, że Projekt Jamboree był moim pomysłem. Zadbałem o to jeszcze przed ucieczką, a co więcej, od czasu do czasu opuszczałem East River, żeby sprawdzić, czy wciąż pozostają pod moim wpływem. Zaplanowałem wyciek informacji na temat położenia East River tak, by zbiegło się to w czasie z zakończeniem programu szkoleniowego.

Wsunął zaciśniętą pięść we włosy, a kiedy znów przemówił, załamał mu się głos.

- Dorastając, stawiałem go na piedestale, jednak kiedy zobaczyłem, do czego jest zdolny... i co może zrobić własnemu synowi... - Przerwał. - Kto to zrobił? Kto mu o tym doniósł? Ktoś musiał! W przeciwnym wypadku dlaczego wysłałby SSP? Powinienem właśnie

stać na czele moich Czerwonych! Powinniśmy właśnie ruszać na Nowy Jork, żeby go obalić...

Clancy nagle się pochylił, złapał mnie za przód koszuli i dźwignął z podłogi. Potrząsnął mną tak mocno, że prawie odgryzłam sobie język, ale nie odezwał się ani słowem. Dochodzące z zewnątrz odgłosy strzałów i krzyków nie poruszyły ani jego kamiennej twarzy, ani myśli. Do środka wdarł się dym, który wijąc się po ziemi, pochłaniał wszystko, co napotkał na swojej drodze. Nagle Clancy puścił moją koszulę i przyciągnął mnie do siebie w czułym uścisku. Jego palce zaplotły się na mojej szyi i byłam pewna, że ogarnięty szałem syn prezydenta albo mnie pocałuje, albo zabije.

Usłyszałam kolejne kroki, lżejsze niż poprzednio, ale równie pospieszne. Clancy podniósł wzrok, marszcząc czoło z rozdrażnieniem.

Nie widziałam, jak to się stało, ale Clancy wbił się plecami w regał z tak wielką siłą, że jego głowa z trzaskiem uderzyła w ścianę. Strącił półki z makaronem i mąką, po czym sam wylądował na brudnej podłodze.

Zobaczyłam nad sobą Pulpeta. Jego okulary były porysowane i powyginane, a na twarzy i koszuli miał plamy sadzy, ale chyba nie był ranny.

- Ruby! Ruby, słyszysz mnie? Musimy uciekać. - Dlaczego jego głos brzmiał tak spokojnie? Wokół niósł się huk strzelaniny, odgłosy niekończącej się serii wystrzałów i eksplozji. - Możesz się ruszać?

Nadal byłam tak zesztywniała, że udało mi się jedynie pokręcić głową.

Pulpet zacisnął zęby i chwycił mnie pod pachy, upewniając się, że mu się nie wyślizgnę.

- Trzymaj się, zaraz nas stąd wydostanę. Kiedy poczujesz, że możesz się ruszać, pomóż mi.

Poza bezpiecznym budynkiem biura nie było już schronienia przed hałasem. Serce zaczęło mi walić w piersi.

W powietrzu wisiały grube warstwy gazu łzawiącego i dymu. Ogień był wszędzie - wił się po ziemi, wpełzał na drzewa i opadał na dachy chat. Miałam wrażenie, że moja twarz i klatka piersiowa także się od niego zajęły. Niesiony wiatrem żar znalazł się tak blisko nas, że Pulpet musiał ugasić iskrę na moich dżinsach, tak bym nie stanęła w płomieniach. Stęknął, a ja pojęłam, jak wiele wysiłku wkłada w to, żeby mnie podtrzymać. Chciałam powiedzieć, żeby mnie zostawił, zabrał listy z kurtki Liama i uciekał.

Liam. Gdzie jest Liam?

Przez unoszące się w powietrzu drobinki popiołu dostrzegłam kontury czarnych mundurów, prowadzących dzieci ścieżką biegnącą od strony budynków. Zobaczyłam, jak

wyciągają jedną dziewczynkę z chaty, tak że upada w błoto, a następnie zostaje podniesiona za włosy. Dwóch chłopców z drużyny patrolowej wycelowało z broni w Czerwonych, a ci wysadzili ich w powietrze. - STÓJ!

Zabrakło mi tchu, kiedy Pulpet opuścił mnie na ziemię, a następnie rzucił żołnierzem o drzewo. Gdy znów mnie chwycił, poruszaliśmy się szybciej.

Gdy zaczęliśmy się staczać w dół zbocza, Pulpet jęknął z zaskoczenia. Po drodze natrafialiśmy na rozżarzone fragmenty poszycia. Uderzyłam ręką o drzewo. Byłam tak oślepiona dymem, że nie widziałam, dokąd się kierujemy.

Zatrzymałam się u podnóża, lądując twarzą w błocie. Wracało mi czucie w rękach i nogach, które zaczęły lekko drżeć.

Poczułam dłonie na kurtce. Krztusząc się, Pulpet przewrócił mnie na plecy.

Umrzemy. Umrzemy. Umrzemy.

Królikom potrzeba godności, a przede wszystkim zgody na swój los...

Zanurzyłam się w lodowatej wodzie. Szok wstrząsnął całym moim ciałem, wybudzając moje kończyny z odrętwienia. Szamotałam się i machałam rękami, żeby wydostać się na powierzchnię. Kiedy w końcu, krztusząc się i wdychając skażone powietrze, wynurzyłam się z ciemnej toni, moim oczom ukazało się zabarwione na pomarańczowo niebo.

Pulpet znów mnie znalazł. Jedną ręką trzymał się drewnianego pala, a drugą wyciągnął w moją stronę. Pomost, pomyślałam. Nasz pomost. Poruszałam nogami, próbując podpłynąć w jego stronę. Pulpet wciągnął mnie pod sklepienie ze starych desek. Latające nad naszymi głowami helikoptery wzburzyły wodę jeziora, która pokryła się dzikimi falami i wzorami. Ledwo udało mi się utrzymać głowę ponad powierzchnią przybierającej lodowatej wody, jednak byłam na tyle przytomna, że widziałam światło latarek prześlizgujących się po tafli jeziora.

Jedną ręką obejmowałam Pulpeta za ramiona, a drugą chwyciłam się śliskiego od wodorostów pala podtrzymującego pomost. On zrobił to samo i poczekał, aż nad nami ucichną odgłosy wojskowych butów i strzały, a następnie wyszeptał:

- O Boże!

Przyciągnęłam go do siebie i przytuliłam się do niego tak mocno, jak tylko pozwalały mi na to moje osłabione mięśnie. Nie odważyliśmy się rozmawiać, ale czułam, jak potrząsa głową. Wiedział, co próbowałam powiedzieć, a ja wiedziałam, o co chce zapytać, jednak żadne z nas nie potrafiło znaleźć słów, które moglibyśmy wykrztusić z siebie pośród dymu i ogłuszających wrzasków.

29

Moje nogi były prawie zamarznięte, kiedy w końcu odważyliśmy się poruszyć. Odkąd słońce pierwszymi promieniami zaczęło ogrzewać niebo, wokół panowała cisza. Najpierw zniknęły helikoptery, a po jakimś czasie odgłos karabinów. My wymienialiśmy tylko zdławione oddechy i szeptem zadawaliśmy sobie zalęknione pytania o to, co się stało z pozostałymi i z Liamem?

- Nie wiem - odparł. - Rozdzieliliśmy się. Może być gdziekolwiek.

Chciałam, żebyśmy wyszli z wody już dwie godziny temu, jednak wciąż dochodziły nas odgłosy walących się drzew i trzaski przypominające nam o straszliwej pożodze.

Moje mięśnie były tak zesztywniałe, że wydostanie się na pomost zajęło mi trzy razy dłużej niż w normalnych okolicznościach. Pulpet opadł na deski tuż obok mnie, dygocząc przy każdym zimniejszym podmuchu wiatru, który wdzierał się pod nasze mokre ubrania. Z trudem wczołgaliśmy się z powrotem na ścieżkę i trzymaliśmy się blisko ziemi, dopóki nie mieliśmy zupełnej pewności, że wokół nie ma nikogo.

Większość chat zupełnie zniknęła z powierzchni ziemi, zamieniając się w kupki zwęglonego drewna i kamieni. Kilka z nich wciąż stało - były puste i wypalone lub pozbawione dachów. Drobinki popiołu unosiły się wokół nas jak płatki śniegu, osiadając w naszych włosach i przyklejając się do mokrych ubrań.

- Powinniśmy iść do biura - powiedziałam. - Wejść do środka. Zgromadzimy zapasy, a potem możemy zacząć szukać Liama.

Pulpet zwolnił kroku i po raz pierwszy dostrzegłam jego zaczerwienione oczy.

- Ruby...

- Nie mów tego - ostrzegłam go szorstko. Nie zamierzałam przyjmować tego do wiadomości. - Nie mów.

Nie chciałam myśleć o Liamie. Ani o Zu czy pozostałych dzieciakach, które opuściły obozowisko. Czułam, że musimy się spieszyć. Gdybym się teraz zatrzymała, nie wiem, czy znalazłabym w sobie dość siły, żeby znów się ruszyć.

Pomieszczenia we frontowej części budynku były puste. Zabrano stamtąd pudła i skrzynie. Zmusiłam Pulpeta, żeby szedł za mną, kiedy wślizgiwałam się do magazynu, ale on także był opustoszały.

- Może go złapali - zasugerował Pulpet, pocierając głowę.

Skrzywiłam się.

- Czy my kiedykolwiek mieliśmy aż tyle szczęścia?

Weszliśmy na górę. W sypialni panował idealny porządek. Jeszcze zanim opuścił obozowisko, Clancy pościelił łóżko i pochował papiery oraz pudła. Wyglądało też na to, że odkurzył. Odsunęłam białą zasłonę przedzielającą pomieszczenie, podczas gdy Pulpet majstrował coś przy telewizorze, raz po raz przyciskając włącznik.

- Odcięli prąd - rzucił. - Coś mi mówi, że wody też nie ma.

Opadłam na krzesło Clancyego i oparłam twarz o jego ciemne drewno. Pulpet próbował ściągnąć ze mnie mokrą kurtkę Liama, ale mu na to nie pozwoliłam.

- Dziękuję, że po mnie przyszedłeś - powiedziałam, zamykając oczy.

- Ty głuptasie - odparł Pulpet z czułością i poklepał mnie po plecach. - Zawsze pakujesz się w jakieś tarapaty.

Kiedy się nie poruszyłam, poczułam, jak jego dłoń nieruchomieje na moim ramieniu.

- Ruby?

- Dlaczego on to zrobił? - zapytałam. Wszystko w tym pokoju przypominało mi o Clancym, począwszy od unoszącego się w powietrzu zapachu aż po sposób, w jaki ułożył książki na regale według kolorów. - Tak po prostu rzucił ich na pożarcie...

Pulpet kucnął przy mnie, a w kolanach chrupnęło mu jak siedemdziesięciolatkowi. Cały czas trzymał dłoń na moim ramieniu, ale przez dłuższą chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie chciałbym wdawać się w analizę jego piekielnego umysłu - zaczął ostrożnie - ale wydaje mi się, że władza sprawiała mu przyjemność. Podobało mu się to, że to on sprawuje kontrolę. Możliwość manipulowania ludźmi dawała mu siłę, ponieważ doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że poza obozem jest równie słaby jak my wszyscy. Jest wielu takich ludzi. Najmroczniejsze umysły skrywają się za fasadą najzwyklejszych twarzy. Odgrywał rolę dobrego przywódcy, ale wcale nie przypominał Lee ani... Jacka. Nie pomagał tym dzieciom, wierząc, że każde z nich zasługuje, by czuć się pewnie i by móc się bronić. Clancy myślał tylko o sobie. Nigdy nie osłoniłby kogoś własną piersią i... nie oddał za niego życia.

Wyprostowałam się.

- Myślałam, że Jacka zastrzelono, kiedy uciekał...

Pulpet potrząsnął głową.

- Zastrzelono go, kiedy mnie bronił, ponieważ... - Wziął głęboki oddech. - Ponieważ myślał, że sam nie potrafię się obronić. Nie zdawał sobie sprawy z tego, ile się od niego nauczyłem.

- Przepraszam. - Czułam pieczenie pod powiekami. - Za wszystko.

- Ja też - odparł po chwili i nawet nie musiałam na niego patrzeć. On także płakał.

Laptop schowany był w górnej szufladzie biurka. Na jego klapie przyklejona była jaskrawożółta karteczka.

Ruby, kłamałem. Przybiegłbym.

C.G.

- Pulpet! - przywołałam go do siebie. Komputer włączył się, wydając przedziwnie słodki dźwięk przypominający dzwoneczki.

- Po prostu go tu zostawił? - zapytał Pulpet, bębniąc palcami w biurko. - Czy karta bezprzewodowa nadal jest w środku?

Owszem, była, ale Clancy usunął z komputera wszystkie dane. Pośrodku ekranu została jedynie ikonka internetu.

- Co oznacza ta piętnastka na zegarze w rogu ekranu? - zapytał Pulpet, siadając na krześle. Nachyliłam się i spojrzałam na ekran. Bateria. Zostało nam tylko piętnaście minut.

- A to dupek - wycedziłam ze złością.

Pulpet potrząsnął głową.

- Lepsze to niż nic. Póki mamy połączenie z internetem, trzeba sprawdzić, jak się stąd wydostać. Możemy nawet poszukać nowego adresu ojca Jacka.

- I wysłać wiadomość do twoich rodziców - powiedziałam, czując, jak na myśl o tym ogarnia mnie radość.

- Nie trzeba, wolałbym raczej wykorzystać te... czternaście minut, żeby znaleźć tatę Jacka - odparł. - Może nawet uda nam się do niego zadzwonić, jeśli ten komputer ma wbudowany mikrofon.

Nie chciał nawet spróbować zadzwonić do swoich rodziców.

- Mówię poważnie - zaczęłam. - Wysłanie tej wiadomości zajmie tylko kilka chwil. Pamiętasz ją?

- Jako tako, ale to wystarczy.

Apatycznie krążyłam po pokoju, słuchając, jak bębni w klawiaturę komputera. Wdychałam zatęchłą woń pokoju. Przystanęłam przy łóżku Clancyego. Czułam w stosunku do niego taki gniew, że zapomniałam nawet o strachu.

Okno pokryte było sadzą i głośno zaskrzypiało, kiedy spróbowałam je otworzyć, ale było warto. Do środka wtargnął powiew świeżego powietrza. Pochyliłam się do przodu i oparłam dłonie o parapet. Przede mną rozpościerał się widok na obozowisko, a raczej na kupki popiołu i spalonej ziemi, jednak bez trudu przywoływałam w pamięci obraz ustawionych wokół paleniska dzieci czekających na swoją porcję kolacji. Kiedy zamknęłam oczy, słyszałam śmiech i odgłosy radia, a w powietrzu wyczuwałam pikantny smak chili i

zapach dymu. Zobaczyłam też Liama, który pogrążony był z kimś w cichej rozmowie. Płomień przydawał jego włosom złotego blasku.

Kiedy otworzyłam oczy, nadal go widziałam. I nie była to już jedynie moja wyobraźnia.

Wybiegłam z pokoju, nie zważając na protesty Pulpeta. Zbiegłam po schodach i potknęłam się, próbując pokonać zbyt wiele stopni naraz. Ruszyłam korytarzem i wypadłam przez drzwi, które ledwo trzymały się w futrynie.

Stał na drodze, odwrócony plecami do chat. Próbował przedostać się przez labirynt powalonych drzew i budynków. Na jego poranionej twarzy malowały się rozpacz i strach. Kuśtykając, niezdarnie pokonywał przeszkody.

- Lee! - Jego imię dosłownie wyrwało mi się z ust. Opuścił zwęglony kawałek drewna i z trudem przestąpił ponad zwalonym pniem, szamocąc się wśród liści i gałęzi. Dostrzegł mnie. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. - O Boże! - Zarzuciłam mu ręce na szyję i prawie nas przewróciłam.

- Dziękuję - szeptał - dziękuję, dziękuję...

Całował mnie po twarzy, ocierając z niej łzy oraz sadzę i cały czas powtarzając moje imię.

Nie tylko Liamowi udało się uciec, ale tylko on wrócił do obozowiska.

Kiedy siedliśmy w biurze Clancy ego i posilaliśmy się tym, co znaleźliśmy w magazynie, opowiedział nam, co wydarzyło się tej nocy. Pulpet co jakiś czas sprawdzał, czy nie ma wiadomości od rodziców, i upewniał się, że znaleziony przez niego adres ojca Jacka jest prawidłowy.

Wszystko zdarzyło się tak nagle, że większość dzieciaków ze straży nie zdążyła dobiec z lasu do chat, żeby odwrócić jeszcze losy walki. Ci, którzy skończyli swoją wartę, przyszli do naszej chaty i zmusili Liama - „Właściwie to mnie wynieśli”, powiedział Liam gorzko - żeby uciekł na jeden z ukrytych szlaków, przygotowany właśnie na taką okoliczność. Biegli aż do rana, nie zatrzymując się, dopóki nie dotarli do szosy, z której zabrali nas kilka tygodni wcześniej.

- Było nas najwyżej dwadzieścioro - powiedział, ściskając mnie za rękę. - Wszyscy w kiepskim stanie. Liv i Mike znaleźli działający samochód i wsadzili do niego tych najciężej rannych, żeby pojechać do szpitala, ale...

- A co z resztą? - zapytałam.

- Rozdzielili się. - Liam potarł oko i skrzywił się z bólu. Skóra w tym miejscu nadal była obolała, a opuchlizna niemal czarna.

- Dlaczego ty nie uciekłeś? - chciał wiedzieć Pulpet. - Co z tobą? Przecież tu wciąż mogło być SSP!

Liam parsknął.

- Myślisz, że się tym przejmowałem, wiedząc, że istnieje cień szansy, iż wasza dwójka wciąż tu jest?

Nie mieliśmy czasu do stracenia. Znaliśmy SSP i wiedzieliśmy, że żołnierze prawdopodobnie wrócą, aby upewnić się, że nikt nie ocalał. Chłopcy natychmiast ruszyli do magazynu, próbując ustalić, ile jedzenia będziemy w stanie ze sobą wziąć. Próbowałam się na coś przydać, ale czułam, że moją uwagę przyciąga głównie biurko Clancyego.

W końcu poddałam się i zostawiłam ich na dole, pozwalając, by dalej kłócili się o konserwy. Weszłam po schodach, obszukując kurtkę Liama, aby upewnić się, że wilgotne listy Jacka i Pulpeta wciąż tam są.

Bateria laptopa miała wystarczyć jeszcze tylko na dwie minuty. Ikonka mrugała, ostrzegając, że energia się kończy. Ekran przygasł i zniknęło podświetlenie klawiatury. Pisałam tak szybko, jak tylko umiałam, szukając w internecie Ruby Ann Daly z Virginia Beach.

Żadnych rezultatów.

Wpisałam tylko jej imię i nazwisko. Pojawił się zaledwie jeden adres z Salem. Nie mieszkałam tam już od niemal dziesięciu lat, ale poznałam adres domu moich rodziców.

Minuta piętnaście sekund. Znalazłam stronę internetową, o której wspominał Pulpet, a z której można było dzwonić, i wpisałam numer telefonu. Każdy sygnał kosztował mnie dwie sekundy.

Nie chciałam nawet nic mówić - marzyłam tylko o tym, żeby ją usłyszeć. Nie mogłam już do niej jechać. Miałam teraz ważniejsze sprawy na głowie. Potrzebowałam jednak pewności, że wciąż tam jest - że istnieje chociaż jedna osoba, która wciąż mnie pamięta.

Kliknięcie. Serce podskoczyło mi do gardła. Palcami kurczowo ścisnęłam blat biurka.

Głos mojej mamy.

Dzień dobry, dodzwoniłeś się do Jacoba, Susan i Ruby Dały...

Nie wiem, dlaczego zaczęłam płakać. Może ze zmęczenia. Może po prostu byłam już wyczerpana tymi wszystkimi trudnościami. Cieszyłam się, że mieszkali teraz we trójkę. Że rodzice naprawili naszą rodzinę i podstawili jedną Ruby za drugą. W ciągu tych kilku ostatnich dni uświadomiłam sobie, jak ważne jest to, by dbać o swoich bliskich i trzymać się razem. A oni się sobą opiekowali. To dobrze.

Dobrze.

Na chwilę zamknęłam jednak oczy i udawałam, że to ja byłam tą Ruby, która wciąż mieszkała przy Millwood Drive.

30

Kilka godzin później, kiedy nasza trójka znów ruszyła w drogę, w końcu mogliśmy opowiedzieć Liamowi o tym, co przydarzyło się nam poprzedniej nocy.

- Dzięki Bogu, że Pulpet cię znalazł - powiedział Liam, potrząsając głową. - Lepiej niż ktokolwiek z nas wiedziałaś, do czego on jest zdolny, a i tak poszłaś.

- Naprawdę myślałam, że uda mi się nim zawładnąć - wyznałam, opierając czoło o chłodną szybę. - Idiotka ze mnie.

- To prawda - zgodził się Pulpet. - Ale jesteś naszą idiotką, więc następnym razem bądź nieco ostrożniejsza.

- Popieram - rzucił Liam, splatając swoje palce z moimi na podłokietniku.

Kilka kilometrów na zachód od East River znaleźliśmy porzucony samochód i wybraliśmy go tylko dlatego, że wciąż miał ćwierć baku paliwa. W niczym nie przypominał Betty. Długie nogi Pulpeta wbijały się w tył mojego fotela, a w środku unosił się przetrawiony zapach chińszczyzny. Tak czy siak, auto było na chodzie. Po pewnym czasie mieliśmy się do niego przyzwyczaić.

- Kolejna - powiedział Pulpet, stukając w szybę.

Otworzyłam oczy i odwróciłam głowę, żeby rzucić okiem na biały słup, na którym ustawione było białe pudło z wystającą antenką. Kamery. Były wszędzie.

- Może powinniśmy zjechać z autostrady - zasugerował Liam.

- Nie! - odparł Pulpet. - Odkąd wjechaliśmy na sześćdziesiątkę czwórkę, widzieliśmy tylko dwa samochody, a jeżeli znów z niej zjedziemy, dotarcie do Annandale zajmie nam dwa razy więcej czasu. I tak będą szukać Betty, a nie tego samochodu.

Liam i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Możesz powtórzyć, co napisała twoja mama?

- Napisała, żebyśmy zarezerwowali stolik w restauracji mojej cioci i poczekali na nich w kuchni - powiedział Pulpet. - Zrobiłem to jeszcze z East River, więc powinniśmy się z nimi spotkać dziś wieczorem. Moja ciocia pewnie nas jeszcze nakarmi.

- W takim razie najpierw odstawimy ciebie - zaproponował Liam.

- Nie - odparł Pulpet. - Najpierw chcę dostarczyć list Jacka.

- Pulpet...

- Bez gadania - odgryzł się. - Wiele Jackowi zawdzięczam. Muszę to zrobić.

Ojciec Jacka mieszkał w motelu Days Inn, z dala od potężnych domów Annandale. Liam twierdził, że motel został zapewne przekształcony w budynek mieszkalny dla

robotników odbudowujących Waszyngton, ale jego teoria potwierdziła się dopiero, kiedy na parkingu obok naszego samochodu zatrzymał się stary, rozklekotany autobus i wysypało się z niego kilkunastu pokrytych pyłem mężczyzn, ściskających w rękach jaskrawe kamizelki i kaski budowlane.

- Pokój sto trzy - powiedział Liam, nachylając się nad kierownicą. Zmrużył zdrowe oko. - To ten facet w czerwonej koszuli. Tak, to on. Jack był do niego bardzo podobny.

Mężczyzna był niski i barczysty, miał szeroki nos i siwiejące wąsy.

Pulpet nachylił się i wyciągnął mi z ręki pognieciony list.

- A ty dokąd? - powiedział Liam, wciskając blokadę drzwi. - Nie sprawdziliśmy nawet, czy nikt nas nie obserwuje.

- Jesteśmy tu niemal od godziny. Widzisz tu kogokolwiek? Wszystkie samochody na parkingu są puste. Przyczailiśmy się, tak jak chciałeś, i udało się. - Wyciągnął rękę i odblokował swoje drzwi. Liam wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym się poddał.

- No dobrze. Tylko uważaj na siebie, OK?

Patrzyliśmy, jak rozglądając się na boki, Pulpet przebiega przez parking. Upewniwszy się, że rzeczywiście nikt nie obserwuje pokoju sto trzy, rzucił nam przez ramię spojrzenie pod tytułem: „a nie mówiłem?”

- Mądrala - skomentował Liam.

Pogłaskałam go po ramieniu.

- Dobrze wiesz, że będziesz za nim tęsknił.

- Zabawne, prawda? - zaśmiał się. - Co ja pocznę bez Pulpeta... Kto będzie mnie straszył tym, czym grozi nieprawidłowe otworzenie konserwy?

Liam poczekał, aż Pulpet uniósł dłoń i zapukał do drzwi, a następnie odpiął pas i nachylił się, żeby mnie pocałować.

- A to za co? - zapytałam ze śmiechem.

- Żeby odwrócić twoje myśli - odparł. - Kiedy odstawimy go do domu, będziemy musieli się zastanowić, jak znaleźć Zu i pozostałych, zanim zrobi to SSP.

- A co jeśli...?

Drzwi do pokoju sto trzy się uchyliły i wyłoniła się z nich zmęczona i nieufna twarz pana Fieldsa. Pulpet wyciągnął pognieciony list. Niestety stał do nas tyłem, więc nie widziałam, co mówi. Twarz mężczyzny spurpurowiała, tak że jej odcień zlał się niemal z odcieniem jego koszuli. Krzyknął coś na tyle głośno, że jego sąsiedzi rozsunęli zasłony, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Niedobrze - powiedział Liam, uchylając drzwi. - Powinienem był to z nim

przećwiczyć.

Mężczyzna zatrzasnął Pulpetowi drzwi przed nosem, a po chwili znów je otworzył - tym razem na oścież. W jego dłoniach błysnęło coś metalowego. Pulpet uniósł ręce i cofnął się o krok.

Strzał przeszył powietrze. Zanim zdążyłam krzyknąć, Pulpet już leżał na ziemi.

Krzyknęliśmy i ruszyliśmy w ich stronę. Wszyscy mieszkańcy motelu - głównie mężczyźni i kilka kobiet - wyszli ze swoich pokoi. Ich twarze zlały się w jedną potworną smugę.

Ojciec Jacka wycelował w nas drżącą lufę pistoletu, jednak Liam jednym ruchem ręki wepchnął go z powrotem do pokoju i zatrzasnął za nim drzwi. Upadłam na kolana tuż przy Pulpecie, czując, jak żwir wbija mi się w skórę.

Miał otwarte oczy. Wpatrywał się we mnie, mrugając. Żył.

Próbował coś powiedzieć, ale jego słowa ginęły wśród wrzasków dobywających się zza drzwi pokoju numer sto trzy.

- Pieprzone świry! Wynoście się stąd, popaprańcy!

Pieniąc się, spod prawego barku Pulpeta wypływała jasno-czerwona krew, którą niewidzialne palce rozmazywały na jego koszuli. Na początku nie wiedziałam, co robić. To wszystko wydawało mi się tak nierzeczywiste. Liam podniósł rewolwer ojca Jacka i wycelował go w mieszkańców sąsiednich pokoi. To nie mogło się dziać naprawdę.

- Spokojnie - odezwał się ktoś za naszymi plecami. Liam odwrócił się gwałtownie, trzymając palec na spuście. Jego twarz stężała. Mężczyzna uniósł ręce. W jednej z nich trzymał telefon. - Dzwonię tylko na pogotowie. Spokojnie. Sprowadzimy pomoc.

- Nie pozwól mu na to - powiedział Pulpet, z trudem łapiąc powietrze. - Nie pozwól, żeby mnie zabrali. - Słowa więzły mu w krtani. - Zawieźcie mnie do domu.

Liam obejrzał się przez ramię.

- Ruby, złap go za nogi.

- Nie ruszajcie go - rzucił mężczyzna z pokoju sto cztery - Nie można go ruszać!

Zza naszych pleców znów wyłonił się ojciec Jacka, ale mężczyzna z telefonem wepchnął go z powrotem do pokoju i zatrzasnął za nim drzwi.

- Złap go - rozkazał Liam, wtykając broń za pasek dżinsów.

Chwyciłam Pulpeta pod ramiona i niosłam go w ten sam sposób, w jaki on kilka godzin temu niósł mnie. Jeden ze stojących wokół mężczyzn zrobił krok w naszą stronę - nie wiadomo, czy chciał nas powstrzymać, czy nam pomóc.

- Niech pan go nie dotyka! - wrzasnęłam. Odsunęli się, ale nieznacznie.

Pulpet przycisnął rękę do rany. Miał szeroko rozwarte oczy. Liam chwycił go za nogi i razem go nieśliśmy. Mężczyźni wołali, że lada moment przyj edzie karetka. Karetka oraz SSP. Żołnierze na pewno by go nie uratowali. Z przyjemnością patrzyliby na śmierć kolejnego odmieńca.

- Nie pozwólcie, żeby mnie zabrali - wydusił Pulpet. - Lee, upewnij się, że moje nogi znajdują się niżej od klatki piersiowej. Nie podnoś ich tak wysoko... Przy ranach klatki piersiowej utrudnia to oddychanie...

To nie jego paplanina sprawiła, że ogarnął mnie strach, ale niekończący się strumień krwi, wydostający się spod jego rąk. Pulpet drżał, ale nie płakał.

- Nie pozwólcie, żeby mnie zabrali...

Wcisnęłam się na tylne siedzenie i wciągnęłam Pulpeta do środka. Jego krew przesiąkła przez moją koszulę i piekła mnie w skórę.

- Przyciskaj mocniej... - przykazał mi Pulpet. - Ruby, mocniej... Mocniej. Ja spróbuję przytrzymać ją za pomocą...

Chyba miał na myśli swoje umiejętności. Gdy tylko znów przykrył ranę ręką, miałam wrażenie, że upływ krwi rzeczywiście zmalał. Jednak jak długo mógł tak wytrzymać? Położyłam dłoń na jego dłoni. Dygotałam tak, że pewnie tylko bardziej mu zaszkodziłam.

- Dobrze - powtarzałam. - O Boże, nie zamykaj oczu... Mów do mnie. Powiedz, co mam robić!

Z piskiem opon wyjechaliśmy z parkingu. Liam z całej siły wcisnął pedał gazu, bijąc dłońmi w kierownicę.

- Cholera, cholera, cholera!

- Zabierz mnie do domu - błagał Pulpet. - Ruby, niech on zabierze mnie do domu.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałam, nachylając się nad nim tak, by widział moje oczy.

- Mój tata...

- Nie... Lee, do szpitala! - Podobnie jak Pulpet, ja także nie mówiłam już pełnymi zdaniami. Chłopiec wydawał takie dźwięki, jakby krztusił się własnym językiem.

Przebłyski jego wspomnień miały taki sam jasnoczerwony odcień, jak jego krew. Mężczyzna czytający w głębokim fotelu. Piękna kobieta pochylona nad kuchennym stołem. Ścieg krzyżykowy, znak wskazujący drogę na izbę przyjęć. Obraz powoli zaczął niknąć. Miałam wrażenie, jakby ktoś wziął nóż i wbił mi go w mózg.

- Alexandria jest pół godziny stąd - krzyknął Liam, odwracając się przez ramię. - Nie zawiozę cię tam!

- Szpital Fairfax - wycedził Pulpet. - Mój tata... Niech wezwą tatę...

- Gdzie to jest? - chciał wiedzieć Liam. Spojrzał na mnie, ale ja też nie wiedziałam. Uświadomiłam sobie, że jeśli będziemy zbyt długo krążyć, Pulpet umrze. Wykrwawi się na moich kolanach. Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy.

Liam zawrócił samochód tak gwałtownie, że musiałam przytrzymać Pulpeta i siebie. Zagryzłam wargi, żeby nie zacząć krzyczeć.

- Mów do niego! - powiedział Liam. - Pulpet... Charles!

Nie wiem, w którym momencie zgubił okulary. Wpatrywał się we mnie zaczerwienionymi oczami. Próbowałam utrzymać jego spojrzenie, ale zobaczyłam, że coś mi podaje. Pulpet uniósł rękę, która spoczywała na jego brzuchu.

List Jacka. Brzegi papieru pokryte były mokrą, lepką krwią, ale list był otwarty, jakby czekał, by ktoś go przeczytał.

Zapisany był drobnym, wąskim pismem, a każda z liter otoczona była bladą obwódką po tym, jak papier przez dwie godziny moczył się z nami w jeziorze. Część liter zupełnie zniknęła.

Drogi Tato, kiedy tamtego poranka wysłałeś mnie do szkoły, myślałem, że mnie kochasz. Teraz jednak widzę, kim jesteś naprawdę. Nazwałeś mnie potworem i odmieńcem. Ale to Ty mnie wychowałeś.

- Powiedz mu, żeby przeczytał... - Pulpet oblizał wargi. Na dworze szalała taka wichura, że musiałam się nachylić, by usłyszeć jego głos. - Powiedz Liamowi, żeby przeczytał mój list. Napisałem go... dla niego.

- Charles - wyszeptałam.

- Obiecaj... - w gardle utkwiło mi coś, przez co nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Skinęłam głową. Krew zaczęła szybciej wypływać spod naszych rąk.

- Gdzie to jest?! - krzyczał Liam. - Pulpet, gdzie jest ten szpital?! Musisz... Musisz mi powiedzieć, gdzie on jest!

Samochód zaczął dygotać, a potem jęczeć, przez co przypominał raczej dziką bestię niż maszynę. Liam wjechał w dziurę w asfalcie. Maska pojazdu otworzyła się i wydostała się spod niej chmura sinego dymu. Pokonaliśmy jeszcze pięć metrów, po czym auto nagle się zatrzymało.

Podniosłam wzrok i spojrzałam w oczy Liama.

- Naprawię to - zapewnił mnie łamiącym się głosem. - Naprawię, tylko... Mów do niego, dobrze? Naprawię to. Uda mi się.

Poczekałam, aż zatrzasną się za nim drzwi, i zamknęłam oczy. Pulpet znieruchomiał i

zrobił się blady jak ściana. Potrząsałam nim i krzyczałam do niego, ale to nic nie pomagało. Czułam, jak jego krew przecieka mi przez palce, szkarłatna pod zasnutym chmurami niebem, i przypomniało mi się to, co powiedział tej nocy, której opuściła nas Zu. To już koniec. Wszystko skończone.

Miał rację. Nagle spłynął na mnie dziwny spokój. Przez cały czas walczyłam. Walczyłam, kiedy opuściłam Thurmond, próbując wyswobodzić się z ograniczeń, które próbowano mi narzucić - szarpiąc się z tym, co nieuniknione. Byłam już tym zmęczona. Czułam się wycieńczona. Nie mogłam już dłużej wypierać tego, co w głębi duszy wiedziałam od czasu, kiedy SSP zburzyło cały mój świat. Tego, co w głębi duszy wiedziałam od zawsze.

Co takiego lata temu powiedziała nam panna Finch? Że po śmierci się nie wraca. Że nie można już niczego naprawić. Że kiedy ktoś odchodził, znikał na zawsze. Uschnięte kwiaty już nie rosły i nie kwitły. Martwy Pulpet nie będzie się już uśmiechał, wygłaszał swoich mądrości, nie będzie się nadymał ani śmiał. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

Sięgnęłam do kieszeni kurtki Liama i wcisnęłam przycisk alarmowy. Minęło dwadzieścia sekund, a każda z nich zdawała mi się dłuższa niż poprzednia. Kiedy guzik zawibrował, potwierdzając przyjęcie zgłoszenia, puściłam go.

Na zewnątrz Liam uderzał w coś metalowego. Z każdą chwilą wydawał się coraz bardziej bezradny i wściekły. Chciałam go do nas przywołać, tak by usiadł obok Pulpeta, ponieważ byłam pewna, że ta chwila już nadeszła. Byłam pewna, że nasz przyjaciel umrze w moich ramionach, niecałą dobę po tym, jak mnie uratował. A ja mogłam go już tylko tulić, nic więcej.

- Nie umieraj - wyszeptałam. - Nie możesz umrzeć. Musisz studiować matematykę, iść na mecz futbolowy i na bal maturalny. Musisz zapisać się na studia. Nie możesz umrzeć. Po prostu... nie możesz...

Odpłynęłam myślami. Moje ciało wpadło w znajome otępienie. Z zewnątrz dochodziły mnie niewyraźne krzyki Liama. Zacisnęłam ręce wokół piersi Pulpeta. Usłyszałam odgłos kroków na żwirze. Wdychałam woń dymu i krwi. Słyszałam jedynie bicie własnego serca.

Wtedy otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie pojazdu i pojawiła się w nich twarz Cate.

I wówczas naprawdę zaczęłam płakać.

- Och, Ruby - powiedziała zmartwionym głosem. - Ruby

- Proszę, pomóż mu! - łkałam. - Proszę!

Dwie pary rąk wyciągnęły mnie z samochodu. Moje dłonie wciąż oplecione były

wokół Pulpeta. Nie mogłam nimi poruszyć. Wokół było tyle krwi! Kopałam i wyrywałam się temu, kto próbował nas rozdzielić.

- Ruby, kochanie - powiedziała Cate, która nagle pojawiła się obok mnie. - Ruby, musisz go puścić.

Popełniłam błąd. To był błąd. Nie powinnam była ich wzywać. Powietrze wypełniło się okropnym wyciem i dopiero kiedy Liam wziął mnie w ramiona, zrozumiałam, że to ja przez cały czas krzyczałam.

Wokół naszego dymiącego gruchotu stały trzy terenówki.

- Jeśli mu pomożecie - powiedział Liam do Cate - pojedziemy z wami. Zrobimy, co tylko będziecie chcieli.

- Nie! - krzyknęłam. - Nie!

Liam trzymał mnie mocno, ale jego ręce drżały. Patrzyłam, jak pakują nieruchome ciało Pulpeta do jednego z samochodów. Ledwo zatrzasnęły się za nim drzwi, pojazd ruszył. Wciąż czułam ciepłą, choć stygnącą już krew Pulpeta na skórze, tak że miałam ochotę ją z siebie zrzucić.

- Proszę - powiedział Liam łamiącym się głosem. - Uspokój się. Musisz się uspokoić. Trzymam cię. Jestem tuż przy tobie.

Poczułam trwające zaledwie ułamek sekundy uszczypnięcie na karku. Nagle z mojego ciała ustąpiło wszelkie napięcie. Ktoś powlókł mnie do przodu na zdrętwiałych nogach. Kątem oka zobaczyłam białą terenówkę. Lee? Chciałam coś powiedzieć, ale mój język był zbyt ociężały. Ktoś nałożył mi czarny worek na twarz i podniósł do góry - tak jak robił to mój tata, kiedy byłam mała. Kiedy jeszcze zdawało mi się, że gdy dorosnę, będę latać.

Nagle świat pogrążył się w całkowitej ciemności.

31

Ocknęłam się, kiedy poczułam na twarzy lodowatą wodę. Po chwili usłyszałam także łagodny kobiecy głos.

- Już dobrze - mówiła kobieta. - Ruby, wszystko będzie dobrze. - Nie wiem, kogo chciała nabrać na te słodkie kłamstwa, ale ja nie zamierzałam dać się podpuścić.

Wrócił zapach rozmarynu, wypełniając mój nos wspomnieniem, którego nie potrafiłam umiejscowić w czasie.

Kiedy poczułam na sobie ciężar jej dłoni, z trudem otworzyłam oczy i mrugając, próbowałam przyzwyczaić się do słońca. Twarz Cate rozmywała mi się przed oczami. Kobieta wstała i przeszła przez pokój, by zaciągnąć cienkie zasłonki w oknie. Trochę pomogło, ale wciąż trudno mi było skupić wzrok, który prześlizgiwał się po jasnych, błyszczących powierzchniach: białej komodzie, jasnofioletowej tapecie, świecącym budziku, lustrze wiszącym na przeciwległej ścianie i naszych odbiciach.

- Czy to wszystko dzieje się naprawdę? - wyszeptałam.

Cate przysiadła na moim łóżku, w ten sam sposób jak kiedyś w Thurmond. Tym razem jednak na jej twarzy nie było uśmiechu. Za jej plecami o ścianę opierał się Martin ubrany w spodnie moro i żołnierskie buty. Wyglądał jak ktoś zupełnie inny. Nie od razu go poznałam. Jego okrągła twarz zeszczuplała, przez co oczy wydawały się zapadnięte. Ktoś był na tyle głupi, by dać mu broń.

- Jesteśmy w kryjówce na obrzeżach Maryland - powiedziała.

- Co z Lee?

- On także tu jest. Bezpieczny.

Nie jest bezpieczny, pomyślałam. Nie z wami.

Gdzieś w środku poczułam rodzącą się we mnie instynktowną chęć ucieczki. Nie czułam nic poza zmęczeniem i bólem. Omiotłam spojrzeniem pokój - dwa okna, które poza drzwiami stanowiły jedyną drogę ucieczki. Mogłabym wybić szybę, siłą umysłu odeprzeć Cate i zabrać Liama, a potem niezauważeni opuścilibyśmy to miejsce. To się mogło udać.

- Nawet nie próbuj - powiedziała Cate, podążając za moim wzrokiem. Z tylnej kieszeni dżinsów wyciągnęła mały srebrny przedmiot, położyła go sobie na dłoni i wyciągnęła go w moją stronę, mikrofonem do góry. - Nawet jeśli udałoby ci się uciec z tego pomieszczenia, każdy z agentów na dole ma przy sobie takie samo urządzenie. Sądząc po tym, jak zareagowałaś na ostatnią dawkę Paralizatora, niewiele pomożesz Liamowi, kiedy za twoją niesubordynację wywleką go z pokoju i zastrzelą.

Odskoczyłam.

- Nie zrobiliby tego... - Ale w jej oczach zobaczyłam prawdę. Zrobiliby. Zaryzykowali wszystko, żeby wydostać mnie z Thurmond. Walczyli z łowcami nagród, żeby mnie odzyskać. W umyśle Roba widziałam, że pomimo tego, co mówili o swojej misji, bez skrupułów pozbywali się innych dzieciaków, jeśli miało im to pomóc w zdobyciu tych nastolatków, którzy naprawdę mogli im się przydać.

- Jak mogłaś w ogóle o tym pomyśleć? - syknął Martin. - Wiesz, ile czasu zmarnowała, szukając ciebie?

Cate machnęła na niego ręką. Kiedy znów się do mnie nachyliła, na jej koszuli zobaczyłam ciemne plamki zaschniętej krwi.

Wspomnienia powróciły do mnie ze zdwojoną siłą.

- Pulpet... Co się stało z Pulpetem?

Cate spojrzała w dół na swoje dłonie i poczułam, jak mój żołądek się zaciska.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Nie udało nam się skontaktować z grupą agentów, która go zabrała, ale wiem, że dotarli do szpitala. - Cate sięgnęła po moją dłoń, ale nie pozwoliłam, by ją chwyciła. Na myśl o tym zakłuło mnie w żołądku. - Jest bezpieczny. Zajmą się nim.

- Nie wiesz, czy tak będzie - rzuciłam. - Przecież sama to powiedziałaś.

- Ale w to wierzę - odparła.

Chciałam jej właśnie powiedzieć, że wiara jest nic niewarta, kiedy znów przemówiła:

- Szukałam cię przez cały ostatni miesiąc. Nie ruszałam się z tej okolicy. Miałam nadzieję, że w końcu się pojawisz, ale... Ruby, gdzie byłaś? Dokąd pojechałaś? Wyglądasz, jakbyś...

- East River - powiedziałam.

Cate gwałtownie wciągnęła powietrze. A więc Liga słyszała o tym, co się stało.

- Wspaniale - skomentował Martin, odpychając się od ściany. Przełożył pasek karabinu przez ramię i podszedł do mnie powolnym krokiem. - Tygodniami siedziałaś na tyłku i nic nie robiłaś? Jakoś mnie to nie dziwi. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, o coś walczę. Stałem się częścią czegoś ważnego.

Wyciągnął rękę, jakby zamierzał dotknąć mojej nogi, ale mocno chwyciłam go za nadgarstek. Sama chciałam zobaczyć, przez co przeszedł - szkolenie i wrzeszczących instruktorów. Przywarłam do jego najsilniejszych wspomnień i zatopiłam się w nich, żeby zobaczyć, jaka czeka nas przyszłość.

Wspomnienia Martina zagotowały się jak gorąca smoła, kształtując się i przetwarzając, aż znalazłam się na jego miejscu. Paczka, którą trzymał w rękach, ciążyła teraz

w moich. Czułam, jak od jej ciężaru bolą mnie palce, jednak moje oczy koncentrowały się jedynie na rosnących na wyświetlaczu windy cyfrach: jedenaście, dwanaście, trzynaście... Przy każdym kolejnym piętrze odzywał się sygnał dźwiękowy. My jechałyśmy na siedemnaste.

Zmierzyłam wzrokiem stojącą obok mnie dziewczynę w garsonce. Jej młodą twarz pokrywała tak gruba warstwa makijażu, że wyglądała na dużo starszą. Przyciskała do boku skórzaną torbę, jak gdyby była to tarcza. Dopiero wtedy zauważyłam, że drżą jej dłonie.

Ja miałam na sobie uniform kuriera. Kiedy srebrne drzwi windy się rozsunęły, dostrzegłam w nich odbicie twarzy Martina.

Byłyśmy w jakimś biurowcu. Chociaż na zewnątrz panował mrok, w środku wciąż pracowali ludzie, których oczy wlepione były w ekrany komputerów. Ani ja, ani towarzysząca mi dziewczyna się nie zatrzymałyśmy się. Jej twarz pokryła się potem, od którego rozmazał jej się makijaż. Widząc to, poczułam rosnącą irytację.

Największy gabinet znajdował się w narożniku w głębi budynku. Właśnie tam się kierowałyśmy. Kiedy zostawiłam dziewczynę przy butli z wodą, westchnęła z ulgą. Była tam jako wsparcie. To ja miałam wykonać tę misję.

Drzwi gabinetu były zamknięte, ale za mlecznym szkłem rysowała się czyjaś sylwetka. Nadal tu jest. Na szczęście była tam także jego asystentka. Zdezorientowana kobieta spojrzała na paczkę. Wystarczyło jedno machnięcie ręką, żeby jej wzrok zrobił się szklisty i rozbiegany. Wiedziałam, że mam ją w garści. Starsza kobieta wstała z krzesła i ruszyła w stronę drzwi gabinetu. Zostawiłam paczkę na jej biurku.

Uwolniona spod jej ciężaru, z pośpiechem ruszyłam z powrotem, pokonując labirynt biurek. Spojrzałam na dziewczynę stojącą przy butli z wodą. Kiedy wskazałam głową na windy, ruszyła za mną i przygryzając wargę, spoglądała przez ramię na zostawiane w tyle biuro.

Nie zrobiła nic głupiego, dopóki nie znalazłyśmy się na zewnątrz. Zbiegłam ze schodów, kierując się w stronę zaparkowanego tam samochodu kurierskiego i siedzącego za kierownicą ciemnowłosego mężczyzny. Byłam już przy drzwiach, kiedy zorientowałam się, że jej nie ma. Stała na szczycie marmurowych schodów. Była tak blada jak kamienna podłoga, na której stała. Patrzyła przed siebie rozwartymi ze strachu oczami.

Chciała wrócić do budynku i ostrzec pracujących tam ludzi o bombie. Mięczak. W moim mózgu pojawiły się słowa tak wyraźne, jak gdyby zostały w nim wykute. Lepiej zginąć, niż zdradzić Ligę. Lepiej umrzeć, niż porzucić misję.

Wyjęłam pistolet spod siedzenia i wychyliłam się przez otwarte okno. Nie zdążyłam

jednak pociągnąć za spust. Na wysokości siedemnastego piętra nastąpiła eksplozja, która wyrzuciła w powietrze deszcz szkła i betonu, a dziewczyna zniknęła pod ich ciężarem.

Ręka Martina wciąż leżała u mego boku. Chłopak znieruchomiał. A więc na tym polegało bycie jednym z nich - to chcieli z nas zrobić. Wślizgnęłam się do jego umysłu, aby potwierdzić swoje obawy, ale nawet ja zdziwiłam się tym, jakie to było proste. Kilka tygodni temu, tuż po tym, jak wydostaliśmy się z obozu, nie umiałam się przed nim obronić. Teraz wystarczyło, że się o mnie otarł, a już go obezwładniłam. Wystarczył jeden dotyk.

Clancy okazał się jednak dobrym nauczycielem.

Znów spojrzałam na Martina i ogarnęła mnie litość. Nie z powodu tego, co miałam mu zrobić, ani tego, jak chciałam go wykorzystać, ale dlatego, że wydawało mu się, iż wie, co to znaczy mieć władzę i kontrolować sytuację. Nadal wydawało mu się, że jest ode mnie silniejszy.

Położyłam na jego dłoni palec, tylko jeden.

- Jak się nazywasz? - zapytałam.

Jego reakcja była zdumiewająca. Z twarzy odpłynęła mu cała krew. Zaczął mlaskać, próbując wypowiedzieć swoje imię - przywołać wspomnienie, które już nie istniało.

- Skąd jesteś?

Na jego twarzy pojawiła się panika. Wybałuszył oczy. Ja jednak jeszcze z nim nie skończyłam.

- Wiesz, gdzie teraz jesteś?

Czułam się prawie winna - prawie - kiedy zobaczyłam, że w oczach wzbierają mu łzy. Pamiętałam jednak, jak bezradna i przerażona czułam się przy nim w przeszłości, i żałowałam, że nie posunęłam się jeszcze dalej. W mojej głowie kształtował się plan, tak potworny, że nie chciałam się do niego przyznać.

- Ja nie... - wykrztusił. - Ja nie...

- Więc może powinieneś odejść - powiedziałam lodowato.

Nie musiałam nawet podsuwać mu odpowiedniej wizji. Wypadł z pomieszczenia, zatrzaskując za sobą drzwi. Uciekał przed potworem.

Cate wpatrywała się w drzwi z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Imponujące.

- Pomyślałam, że ktoś powinien go utemperować - odparłam. Pilnowałam tego, by mój ton był zimny i obojętny. Pewnie właśnie tego by chciała. Zobaczyłam już wystarczająco dużo, by zorientować się, jakiej brutalności tu wymagano. - Skoro mamy teraz spędzać ze sobą więcej czasu.

Kiedy pochyliła głowę, jej jasne włosy opadły na ramiona, Cate jednak nie zaprzeczyła. Byliśmy tu uwięzieni. Przyjęła ultimatum, które przedstawił jej Liam.

- Pewnie nigdy nie miałam wyboru - mówiłam dalej. - Pewnie w końcu i tak byście mnie tu przywieźli.

- Jesteś cennym nabytkiem dla ruchu oporu. - Cate uniosła rękę, ale opuściła ją, jeszcze zanim dotknęła mojej twarzy. Bystra kobieta. Wiedziała, do czego jestem zdolna. - Miałam nadzieję, że dołączysz do nas dobrowolnie.

- A co z Liamem?

- Teraz, kiedy widział naszą kryjówkę i agentów, wypuszczenie go byłoby zbyt ryzykowne. Z nami jest bezpieczniejszy, Ruby. Prezydent chce jego głowy. Jestem pewna, że... prędzej czy później sam to zrozumie.

Moje palce zacisnęły się na jasnej pościeli. Broń. Liam jako broń. Liam, który nie potrafił się nawet rozgniewać, nie czując przy tym wyrzutów sumienia. Z całej siły walczył o to, by uniknąć przemocy, a ja... ja znów go w to wszystko wciągnęłam. Skoro dostali go już w swoje ręce, uformują go teraz na własną modłę i zrobią z niego mrocznego potwora, którym tak bardzo nie chciał się stać.

Oddychałam z trudem, chociaż w głębi serca byłam spokojna niczym tafla wody jeziora w East River. Znalazłam ostatni kawałek układanki. Wiedziałam, co robić.

- Dobrze - powiedziałam. - Zostanę i nie będę z wami walczyć ani wami manipulować. Jeśli jednak tego chcecie... Jeśli chcecie, żebym używała swoich umiejętności lub jeśli chcecie przeprowadzać na mnie badania, musicie spełnić jeden warunek. Musicie wypuścić Lee.

- Ruby - zaczęła, potrząsając głową. - To zbyt niebezpieczne dla wszystkich osób zaangażowanych w tę sprawę.

- On jest Niebieski. Nie potrzebujecie go. On nigdy nie będzie w stanie walczyć tak, jakbyście tego chcieli.

Jeśli tu zostanie, zabijecie go.

Zabijecie w nim całe dobro.

- Teraz mam dużo większą moc - powiedziałam - ale nie zobaczycie nawet odrobiny tego, co potrafię, dopóki go nie wypuścicie. Dopóki nie przysięgniesz, że nie będziecie go ścigać.

Cate przyglądała mi się przez chwilę, przyciskając dłoń do ust. Na jej twarzy malowała się niepewność. Wykorzystałam Martina, by pokazać to, co mam im do zaoferowania, a on najwyraźniej dowiódł tego, jak przydatni potrafią być Pomarańczowi.

Sama nie zaproponowałaby mi jednak takich warunków.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Dobrze. Może odejść.

- Skąd mam wiedzieć, że dotrzymasz słowa?

Cate wstała i znów sięgnęła do kieszeni. Srebrna obudowa Paralizatora - jedynego przedmiotu, który mógł mnie powstrzymać przed wślizgnięciem się do jej głowy - nadal była ciepła, kiedy wcisnęła mi go do ręki. Zacisnęłam palce wokół jej dłoni.

- Przysięgam - wycedziłam, gdy Cate podniosła na mnie wzrok - że jeśli cofniesz obietnicę, rozerwę cię na strzępy. Nie przestanę, dopóki nie zniszczę twojego życia i życia wszystkich osób w tej organizacji. Ja, w przeciwieństwie do was, zawsze dotrzymuję słowa.

Skinęła głową, a w jej oczach zalśniło nawet coś w rodzaju dumy.

- Zrozumiałam - powiedziała Cate i chyba rzeczywiście tak było.

Liama trzymano w pokoju po drugiej stronie korytarza. Ściany pokryte były błękitną farbą, której odcień przywodził na myśl kolor nieba tuż przed wschodem słońca. Kiedyś mógł to być pokoik dziecięcy. Na suficie namalowane były chmury, a meble zdawały się zbyt małe dla osoby dorosłej.

Liam siedział na maleńkim łóżku, zwrócony plecami do mnie. Zamknęłam za sobą drzwi i w pierwszej chwili myślałam, że spogląda przez okno, jednak kiedy się do niego zbliżyłam, dostrzegłam, że wpatruje się w trzymaną w ręce pogniecioną kartkę papieru.

Materac ugiął się pod moim ciężarem, kiedy wdrapałam się na łóżko, złapałam go od tyłu i oplotłam ręce wokół jego piersi. Przycisnęłam policzek do jego policzka i pozwoliłam, by moje dłonie błądziły, dopóki nie natrafiły na miarowe tętno jego serca. Zamknął oczy i odchylił się.

- Na co patrzysz? - wyszeptałam.

Usiadłam obok niego, a on bez słowa podał mi kartkę. List Jacka Fieldsa.

- Miałaś rację - powiedział Liam po chwili. - Miałaś absolutną rację. Powinniśmy to byli przeczytać. Wiedzielibyśmy, że nie warto szukać jego ojca.

Jego głos był tak matowy i przepełniony żalem, że zgniotłam list w dłoniach i rzuciłam go w kąt. Potrząsnął głową i zakrył oczy.

Przez chwilę przeszukiwałam kieszenie jego kurtki, gdzie kilka dni temu schowałam list Pulpeta. Liam z rezygnacją patrzył, jak go wyciągam.

- Powiedział, że nie napisał go do nich - wyjaśniłam. - Napisał go do ciebie. Chciał, żebyś go przeczytał.

- Nie chcę.

- Chcesz. Kiedy opuścisz to miejsce i znów się z nim zobaczysz, będziesz chciał mu

coś powiedzieć.

- Ruby - rzucił ze złością, po czym zdjął rękę z mojego ramienia i wstał. - Naprawdę myślisz, że jeśli uda mu się przeżyć, pozwolą nam się z nim zobaczyć? Myślisz, że pozwolą nam zostać razem? Oni nie działają w ten sposób. Będą kontrolować każdy nasz krok, począwszy od tego, na co patrzymy, po to, co jemy. Wierz mi, będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle powiedzą nam, czy żyje, a już na pewno nie dowiemy się, czy wcielili go do Ligi.

Liam trzykrotnie przemierzył długość pokoju. Miałam wrażenie, że minęła godzina, zanim zebrałam się na odwagę i sama otworzyłam list Pulpeta.

W pokoju przez dłuższą chwilę panowała cisza.

- No i? - zapytał w końcu. Jego głos podszyty był strachem. - Co tam jest napisane?

Nic. Kartka papieru była niezapisana, jeśli nie liczyć nazwiska rodziców Pulpeta oraz ich adresu. Ani jednej kropli atramentu.

- Nie rozumiem... - powiedziałam, podając mu list. Coś mi w tym wszystkim nie pasowało. Może zgubił prawdziwy list lub wciąż miał go przy sobie? Kiedy znów podniosłam wzrok, Liam płakał. Jedną dłonią zgniótł kartkę, a drugą przycisnął do oczu. Wtedy zdałam sobie sprawę, że znam odpowiedź.

Pulpet niczego nie napisał, ponieważ czuł, że nie musi. Ufał, że sam będzie w stanie opowiedzieć rodzicom o tym, co się stało. Wierzył, że uda mu się dotrzeć do domu.

Liam opadł na łóżko, jakby nogi się pod nim ugięły. Oparł czoło na moim ramieniu, a ja go przytuliłam. On ci ufał, chciałam powiedzieć. Cały czas ci ufał.

Miałam wrażenie, że przybyło mi lat. Nie miałam ani szesnastu lat, ani nawet sześćdziesięciu, ale sto, tysiąc. Czułam się starsza, lecz nie słaba. Czułam się jak jeden z dębów rosnących przy drodze wijącej się ponad doliną Shenandoah - drzewo o głębokich korzeniach i mocnym pniu.

On może odejść, pomyślałam. Może wrócić do domu.

Przez dłuższy czas po prostu się do niego przytulałam. Chciałam zapamiętać bliznę, którą miał nad ustami, i to, jak jego włosy kręciły się na końcach. Nigdy wcześniej tak dotkliwie nie doświadczyłam nieubłaganego upływu czasu. Dlaczego zawsze stawał lub pędził naprzód w najbardziej nieodpowiednich momentach?

- Najgorsze jest to, że miałem tyle planów - wyszeptał. - To, co zrobimy, i miejsca, w które cię zabiorę. Naprawdę chciałem, żebyś poznała Harry ego. - Przez okno wpadło do pokoju popołudniowe słońce. Liam gładził mnie po ramieniu. - Będzie dobrze - powiedział. - Tylko nie możemy pozwolić, żeby nas rozdzielili.

- Nie rozdzielą nas - szepnęłam. - Tak sobie myślałam... Wiem, że to zabrzmi ckliwie,

ale... z tej całej historii wynikło coś dobrego. Poznałam ciebie. Dla ciebie przeszłabym przez to wszystko jeszcze raz. - Zapiekły mnie oczy.

- Naprawdę tak myślisz? - Liam wyprostował się i przycisnął usta do moich włosów. - Bo ja uważam, że nasze spotkanie było nieuniknione. Powiedzmy, że nie zamknęliby nas w tych okropnych obozach... Nie, posłuchaj. Opowiem ci niezwykłą historię naszego spotkania.

Odchrząknął i odwrócił się tak, by patrzeć mi w oczy.

- Jest lato, a ty mieszkasz w Salem. Próbujesz przetrwać kolejny nudny, upalny lipiec, pracując na pół etatu w lodziarni. Oczywiście nie zdajesz sobie sprawy, że wszyscy chłopcy z twojego liceum codziennie odwiedzają to miejsce nie dla trzydziestu jeden smaków, ale tylko i wyłącznie dla ciebie. Koncentrujesz się na szkole i zajęciach pozalekcyjnych, ponieważ chcesz iść na dobry uniwersytet i zbawić świat. Kiedy na myśl o kolejnym próbnym egzaminie zbiera ci się na mdłości, twój tata proponuje, żebyś odwiedziła babcię w Virginia Beach.

- Ach tak? - Wtuliłam głowę w jego pierś. - A co ty w tym czasie robisz?

- Ja? - powtórzył Liam, zakładając mi kosmyk włosów za ucho. - Jestem w Wilmington. Jest kolejne upalne lato, a ja spędzam ostatnie wakacje, pracując w warsztacie Harry ego. Niedługo mam zacząć studia na jednym z najlepszych uniwersytetów. Pragnę jedynie dodać, że moim współlokatorem w akademiku będzie sztywny mądrala o złotym sercu, Charles Carrington Meriwether IV, ale do niego jeszcze dojdziemy. - Położył mi dłoń na biodrze. Chociaż mówił opanowanym głosem, czułam, że drży. - Żeby uczcić pomyślne zdanie egzaminów, mama zabiera nas na tydzień do Virginia Beach. Jesteśmy tam dopiero od doby, kiedy zauważam ciemnowłosą dziewczynę. Wlepia wzrok w książkę, a w uszach ma słuchawki z ulubioną muzyką. Chociaż bardzo się staram, ani razu nie udaje mi się z nią porozmawiać. W końcu nasz przyjaciel Przeznaczenie doprowadza do tego, że ostatniego dnia naszego pobytu w Virginia Beach zauważam ją... ciebie... na plaży. Rozgrywam właśnie mecz siatkówki z Harrym, ale mam wrażenie, że wszystko wokół znika. Idziesz w moją stronę. Masz na nosie wielkie okulary przeciwsłoneczne i jasnozieloną sukienkę, a ja z jakiegoś powodu wiem, że jej odcień jest taki sam jak kolor twoich oczu. Ponieważ, jak wiadomo, jestem prawdziwym bogiem sportu, uderzam cię piłką w twarz.

- Au! - zaśmiałam się. - Brzmi boleśnie.

- Cóż, pewnie możesz sobie wyobrazić moją reakcję. Proponuję, że zaniosę cię do stanowiska ratowników, ale wyglądasz tak, jakbyś chciała mnie zamordować. W końcu, dzięki mojemu nieodpartemu urokowi osobistemu i poczuciu humoru, i ponieważ jestem tak żałosny, że się nade mną litujesz, pozwalasz, bym kupił ci lody. Opowiadasz mi o tym, że

pracujesz w lodziarni w Salem i jesteś sfrustrowana na myśl o tym, że czekają cię jeszcze dwa lata liceum. Jakimś cudem udaje mi się dostać od ciebie adres e-mail, a przy odrobinie szczęścia także numer telefonu. Rozmawiamy. Idę na studia, a ty wracasz do Salem, jednak wciąż jesteśmy ze sobą w kontakcie. Rozmawiamy o wszystkim. Czasem, kiedy nie mamy już nic do powiedzenia, robimy coś strasznie głupiego i wsłuchujemy się w swoje oddechy, aż jedno z nas zaśnie...

-... i Pulpet się z ciebie nabija - dodałam.

- Bezlitośnie! - zgodził się. - Twój tata mnie nie znosi, ponieważ myśli, że sprowadzam jego piękną, słodką córkę na złą drogę, ale i tak pozwala, bym od czasu do czasu cię odwiedzał. To wtedy opowiadasz mi o tym, że udzielasz korepetycji dziewczynce o imieniu Suzume, która mieszka w sąsiednim mieście...

-... i która jest najfajniejszym dzieciakiem na świecie - dodałam.

- Tak - odparł Liam. - Chcesz odgadnąć zakończenie?

Nie mogłam się już powstrzymać. Schowałam twarz w dłoniach.

Czułam, że jeśli nie zrobię tego teraz, nigdy się na to nie zdobędę. Nie mogliśmy się tu ukrywać bez końca. Przecież agenci Ligi szybko mogli zmienić zdanie i nie pozwolić mu odejść.

Wyprostowałam się, otarłam łzy i zacisnęłam zęby. Liam także się podciągnął, tak że siedział teraz obok mnie na brzegu łóżka. Na jego twarzy malowała się troska. Przez chwilę bałam się, że domyślił się tego, co chcę zrobić.

Przechylił głowę i uśmiechnął się. Próbowałam odpowiedzieć mu uśmiechem, ale czułam ogarniającą mnie rozpacz.

- Co?

Kiedy zamknęli nas w obozach, zabrali nam wszystko. Odebrali nam rodziny i przyjaciół, pozbawili nas ubrań i przyszłości. Jedyne, co nam pozostało, to wspomnienia. Teraz miałam mu odebrać także i to.

- Zamknij oczy - wyszeptałam. - Dokończę tę opowieść.

Poczułam mrowienie w głowie i pozwoliłam, by przekształciło się w ryk. A kiedy go pocałowałam - kiedy moje wargi po raz ostatni odnalazły jego wargi - wślizgnięcie się do jego umysłu było równie łatwe jak ujęcie go za dłoń.

Poczułam, jak odskakuje, z lękiem wypowiadając moje imię, ale nie pozwoliłam mu uciec. Usunęłam siebie z jego umysłu, dzień po dniu, wspomnienie po wspomnieniu, aż nie było już Ruby, która mogłaby go obciążać. Ogarnęło mnie dziwne uczucie odprężenia, którego nigdy dotąd nie zaznałam... A może po prostu nigdy wcześniej nie zwróciłam na nie

uwagi?

Kwestia Pulpeta także nie dawała mi spokoju i musiałam podjąć błyskawiczną decyzję. Jeśli żył - a przecież musiał żyć, innego scenariusza po prostu nie brałam pod uwagę - to Liga prędzej czy później wcieli go w swoje szeregi. Ale gdyby Liam o tym wiedział, wróciłby tu, żeby go stąd wydostać, i cała umowa byłaby na nic.

Postanowiłam, że to ja zajmę się Pulpetem. To ja pomogę mu uciec. Nie było powodu, dla którego Liam nie miałby myśleć, że jego przyjaciel wrócił do rodzinnego domu. Nie potrzebował niczego, co mogłoby go powstrzymać przed powrotem do jego domu. To była tylko drobna poprawka - plaster naklejony na brzydkie wspomnienie...

Kończył mi się czas. Drzwi za moimi plecami się rozwarły, a ja oderwałam się od Liama. Siedział sztywno z rękami na kolanach. Miał zaciśnięte powieki. Cate spoglądała to na mnie, to na niego, ściągając brwi. Wstałam i stanęłam koło niej.

Chwilę później Liam otworzył swoje jasnoniebieskie oczy. Widział mnie, jednak nie widział we mnie Ruby.

- Co się stało? - zapytał, spoglądając to na mnie, to na Cate. Dotknął twarzy, która wciąż była opuchnięta.

- Miałeś wypadek samochodowy - powiedziałam. - Liga cię zabrała.

Stojąca przy mnie Cate zesztywniała. Po chwili dostrzegłam, jak na jej twarzy pojawia się nagłe zrozumienie.

- Liga... - powtórzył, mrużąc oczy.

- Tak, ale czujesz się już na tyle dobrze, że możesz odejść - powiedziała Cate, kiedy otrząsnęła się z szoku. - Twój brat prosił, abyśmy dali ci pieniądze na bilet autobusowy.

- Domyślam się - mruknął Liam, szukając swoich butów. - Dlaczego nie pamiętam wypadku?

Cate chyba nie zdawała sobie sprawy, że niezbyt dobrze ukrywa zaskoczenie. Położyła rękę na moim ramieniu - może chciała podeprzeć mnie, a może siebie - ale ja się od niej odsunęłam.

- Czy nadal boli cię głowa? - wydusiłam. Miałam na sobie jego kurtkę. Nie mogłam się zmusić, żeby ją zdjąć. - Dość mocno się uderzyłeś.

- Trochę - przyznał. Nie podobało mi się to, jak na mnie patrzył, w skupieniu ściągając brwi. - Liga tak po prostu postanowiła mnie wypuścić?

Cate skinęła głową i rzuciła mu kopertę. Liam odrzucił ją z powrotem.

- Nie chcę waszych pieniędzy.

- W środku jest także instrukcja, jak możesz się skontaktować z rodzicami - dodała.

- Nie chcę - odparł. - Nie potrzebuję jej.

- Co mam powiedzieć Coleowi?

Liam stanął na drżących nogach.

- Powiedz mu, żeby wrócił do domu. Wtedy porozmawiamy. - Zwrócił się w moją stronę. - A co z tobą? Naprawdę jesteś jedną z nich? Wyglądasz na osobę, która ma więcej oleju w głowie.

Bez słowa wzięłam kopertę od Cate. Kiedy wcisnęłam mu ją do ręki, nie oddał mi jej.

- Powinieneś już jechać.

- Nie będę wam dziękował - oznajmił. - Nie prosiłem o waszą pomoc.

Zaczął schodził po schodach.

- Hej! - krzyknęłam. Liam zatrzymał się i spojrzał na mnie. - Uważaj na siebie.

Jego błękitne oczy spoglądały to na mnie, to na Cate.

- Ty też, słonko.

Przez okno wychodzące na ulicę patrzyłam, jak odchodzi. Widziałam jego znajomą sylwetkę, kiedy wyszedł z budynku i zamknął za sobą drzwi. Nie miał samochodu ani nikogo, kim musiałby się opiekować, komu musiałby pomóc. Był zupełnie wolny.

Wydawał się szczęśliwy, a przynajmniej pewny siebie. Instynktownie wiedział, w którą stronę iść. Nic nie mogło go powstrzymać.

Liam wyszedł przez furtkę w białym płocie otaczającym budynek i znalazł się na chodniku. Nasunął kaptur na głowę i spojrzał w obie strony, a następnie przebiegł przez ulicę. Patrzyłam, jak z każdym krokiem robi się coraz mniejszy.

Cały świat będzie ci nieprzyjazny, Książę o Tysiącu Wrogów, i ktokolwiek cię schwyta, zabije cię. Ale najpierw muszą cię schwytać, ciebie, który kopiesz, który nasłuchujesz, który biegniesz, książę o szybkim refleksie. Bądź sprytny, pełen sztuczek, a lud twój nigdy nie zginie.

Cate stanęła za moimi plecami i pogłaskała mnie po włosach.

- Będzie ci u nas dobrze - powiedziała. - Zajmę się tobą.

Zasunęłam cienkie zasłony, muskając palcami ich gładką tkaninę. Spoglądałam na nią przez chwilę, szukając w jej twarzy czegoś, co zdradziłoby, że kłamie. Zastanawiałam się, czy wydaje jej się, że wciąż jestem tą samą dziewczyną, którą uwolniła z Thurmond - tą samą, która rozpłakała się na widok gwiazd.

Nie wiedziała, że istniały teraz dwie różne Ruby. Byłam rozdarta pomiędzy tym, czego zawsze chciałam, i tym, kim miałam się odtąd stać. Surowa, gniewna część mnie miała zostać z tymi potworami i powoli się do nich upodobnić. Jednak była też druga, ukryta, ledwo

widoczna Ruby, która przez tak długi czas walczyła tylko o to, żeby być. To właśnie ją nosił w sercu Liam, nawet o tym nie wiedząc. To ona miała być zawsze przy nim i szeptać mu słowa otuchy. Powtarzać mu, że urodził się po to, by ścigać swoje marzenia.

Pierwszy raz od wielu miesięcy usłyszałam w głowie szept Sam: Nie bój się. Nie pozwól, by to zauważyli.

Odwróciłam się od okna i nie patrzyłam już wstecz.

PODZIĘKOWANIA

Jak mówi jeden ze starych przebojów: „z małą pomocą moich przyjaciół”. Tak właśnie było przy pisaniu tej książki. Jest wiele osób, którym chciałabym podziękować:

Mojej rodzinie - za to, że przez całe życie kochali mnie i wspierali. Jesteście dla mnie nieustającym źródłem inspiracji.

Mojej wspaniałej agentce Merrilee Heifetz, która niestrudzenie pracowała przy tym projekcie i która od samego początku bardzo go wspierała. Podziękowania należą się także Genevieve Gagne-Hawes - za rady, które pomogły mi w ukształtowaniu tej historii.

Całemu zespołowi z wydawnictwa Disney Hyperion, a zwłaszcza mojej redaktorce Emily Meehan. Zarówno ona, jak i Laura Schreiber niezwykle mocno zaangażowały się w pracę nad tą opowieścią. Każdego dnia myślę o tym, jak wielką jestem szczęściarą, mogąc pracować z tak utalentowanymi ludźmi.

Dziękuję moim pierwszym czytelniczkom, a zwłaszcza Sarah J. Maas, która płakała i śmiała się we właściwych miejscach, a także Carlin Hauck, która pomogła mi podeprzeć wyobraźnię wiedzą.

Dziękuję wszystkim z RHCB za niesłabnące wsparcie, zainteresowanie i zrozumienie.

Nie ma właściwych słów w języku angielskim, którymi mogłabym wyrazić, jak wdzięczna jestem Annie Jarzab za to, że pokochała tę opowieść równie mocno jak ja. Jestem szczęśliwa i zaszczycona, że mogę nazywać Cię swoją mistrzynią i przyjaciółką.